PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK DRUGI. — TOM VIII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1885.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1885.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	19	wiersz	22	zamiast:	*stanowczością*	czytaj:	*stanowczo*
„	124	„	38	„	*Vayage do... A. le docteur*	„	*Voyage de... le docteur A.*
„	159	„	24	„	*rytualizmu*	„	*rytualizm*
„	171	„	8	„	Θεοτοκός	„	Θεοτόκος
„	224	„	21	„	*duńskich*	„	*duńskich*
„	247	„	8	„	*źródło*	„	*źródła*
„	247	„	11	„	*„furarze“*	„	*„furażce“*
„	286	„	34	„	*Neuzehn*	„	*Neunzehn*
„	303	„	8	„	*Cinsvereinu*	„	*Piusvereinu*
Dod.	I	„	5	„	*ambo*	„	*ambae*
„	V	„	20	„	*nieubłaga*	„	*nieubłagana*

SŁOWO PRAWDY.

Tak ciężkie przebywamy czasy, tak ołowiane niebo wisi nad nami, że trudno jaśniejszego na widnokręgu dopatrzyć się punktu, trudno się odjąć zmorze gnębiącej ducha. A jednak źle jest rozpaczać, jeszcze gorzej i brzydziej zobojętnieć na bratnie łzy; w jednym i drugim razie opadają ręce przed wyczerpnięciem ostatka sił. Ale chrześcijanin nie ma prawa do zwątpienia, bo w Boga wierzy — a naród nie ma prawa do opuszczania rąk przed wyczerpnięciem ostatka sił, bo jakżeż często w dziejach ten właśnie ostatek sił był ocaleniem.

Chyba ślepy nie widzi, że to ołowiane niebo zwiastuje burzę, w której wiele się zmieni i wiele zginie — a to tylko ocaleje, czemu *Bóg* rękę poda. Dla nas Polaków, których imię jest dzisiaj piętnem wyjmującem z pod prawa ludzkości, to powinno być i jest otuchą, że nie cierpimy dzisiaj jako buntownicy, rewolucyoniści, socyaliści, ale widocznie — mimo wszelkich zaprzeczeń prześladowców — jako katolicy, związani z tem, czego burze nie obalają; spełnia się w nas słowo księcia Apostołów: *A żaden z was niechaj nie cierpi jako mężobójca, albo złodziej, albo cudzego pragnący; jeśli zaś jako chrześcijanin, niech chwali Boga w tem imieniu* [1].

Jako katolicy, widzimy także dokoła zachmurzone niebo — ale już na tem niebie nie brak jasnych punktów, dla każdego oka widzialnych. Między innemi pociechami, jakie Opatrzność na te „dni złe“ zachowała dla krzepienia i podnoszenia zgnębionego ducha, jest jedna — na którą obecnie zwrócić uwagę chcemy — jest to słowo prawdy, wypowiadane w naszych czasach z taką powagą, jasnością i zwycięzką siłą, jak może od wielu wieków nie słyszano. Patrzymy dziś ze zbolałem sercem, może i z przestrachem, na te saturnalia ducha gwałtu i ducha kłamstwa, urągające prawdzie: ale też mamy za dni naszych takich papieży, jak Pius IX. i Leon XIII., którzy raz po raz, z nieporównaną potęgą słowa, bez żadnej bojaźni

[1] I. Petri. IV., 15.

ludzkiej, gromią wszystkie błędy, piętnują wszelkie bezprawia i prawdę jawną i promienną wysoko w obec całego świata trzymają — *columna veritatis*. Mamy taki episkopat, który nie szermuje mieczem, jak w średnich wiekach, nie oddaje się dworactwu i przepychowi, jak za odrodzenia, nie zasadza swej ambicyi na niezależności od Stolicy Piotrowej, a zawisłości od tronów monarszych, jak od Ludwika XIV. do Józefińskich czasów; — ale stoi twardo przy obowiązku pasterskim; głosi powierzoną sobie prawdę i z kazalnicy i w prasie i w parlamentach i przed sądami i w więzach; poczuwa się do sądzenia wszystkich wielkich zagadnień, jakie ludzkość obchodzą, z filozofii czy z polityki, z historyi czy z nauki społecznej, o nich wszystkich głos podnosi, z podwójną powagą pasterstwa i uczoności; wyklina po imieniu przewrotne pisma, a wznieca i zasila dobre; staje często w pierwszym szeregu walczących z fałszywą nauką; a głosząc w ten sposób prawdę całemu światu, sam stoi jak jeden mąż, niebywałym dotąd w historyi przykładem, przy najwyższej Stolicy prawdy, począwszy od aklamacyi bulli *Ineffabilis* o Niepokalanem Poczęciu, aż do tego chóru dzięków i uznań, który powitał ostatni list papieski w sprawie kardynała Pitry — i dotąd jeszcze nie przebrzmiał. Mamy wreszcie, przy takich papieżach i takim episkopacie, całe zastępy świeckich synów Kościoła, prawych katolików, którzy prawdę od Pasterzy podawaną, równie śmiało i głośno w obec świata powtarzają, bez tych ogródek i zastrzeżeń, jakich w wieku Woltera sami obrońcy prawdy używali, którzy bronią jej nauką w obec fałszywej nauki, zastawiają wymową w obec przewrotnej polityki, zatwierdzają czynem i poświęceniem w obec niewierzących w szczerość przekonań, którzy wreszcie za cel życia i najszczytniejszy z zawodów obrali sobie być, w różnych stanach swoich, s ł u g a m i p r a w d y. Daleko — powtarzam — trzeba się cofnąć w dziejach ludzkości, żeby znaleść epokę w którejby prawda tak się zatwierdzała jak dzisiaj.

Gołosłowny to może tryumf w oczach niejednego. Ale nie; tryumf duchowy nie jest gołosłownym. Na jakież to duch gwałtu nie zdobywa się sofizmy, żeby jakimkolwiek płaszczykiem słuszności pokryć swoje bezprawia! Widać, że mu grunt sumienia ludzkości potrzebny jest do ustalenia swego dzieła. Otóż głos prawdy odbiera mu z pod nóg ten grunt sumień i przekonań ludzkich, bez którego

nic trwałego w ludzkości się nie stawia. Ten głos prawdy sprawia, że w łonie tego gruntu nie zamiera, lecz owszem kiełkuje ten Boży posiew sprawiedliwości, który po każdej zimie dziejowej umaja niwę chrześcijaństwa. W kim ta prawda Boża żyje, ten ma najrealniejszy zadatek żywotności — *Etiamsi mortuus fuerit, vivet.*

Tymi ostatnimi czasy — co właśnie dało mi powód do powyższych uwag — dwa razy ten głos prawdy przemówił uroczyście: przez usta episkopatu Niemiec, zgromadzonego we Fuldzie i przez usta episkopatu Austryi, zebranego w Wiedniu Oba te przemówienia mają niepospolite znamiona pasterskiego słowa, znamiona wiecznotrwałej prawdy i stosowności do potrzeb chwili.

W początkach k u l t u r k a m p f u, pamiętamy, marzyli politycy o ryczałtowem oderwaniu Kościoła katolickiego w Prusiech od Stolicy Piotrowej. Starokatolicyzm, przy pomocy nauki, patryotyzmu, skarbu pruskiego i żandarma, miał się stać kościołem narodowym dla katolików niemieckich. Ale ten nieomylny, od Boga dany ludowi instynkt katolicki, ta *unctio*, o której mówi św Paweł, zniweczyła ten zręcznie i po ludzku mądrze obmyślany zamach. Dziś jego sprawcy wstydzą się o nim wspomnieć. Nie mogąc tedy katolików oderwać od węgielnego kamienia ryczałtem, usadził się prześladowca na ich rozdzielenie. Długi czas wszystkie pociski prawodawstwa i administracyi, wszystkie krzyki płatnej prasy uderzały na biskupów i kler; świeckich jako tako oszczędzano, zarzując im tylko uległość dla pasterzy. Gdy i to nie pomogło, nagle zwrot w taktyce kulturkampfu: dla biskupów względy, prasa ich raz po raz pochwala i wymawia, ale wszystkie gniewy padają na świeckich szermierzy Kościoła, na centrum, na gazety katolickie. Świeże zajście paderbornskie— t. j., że wikaryusz generalny Paderborński wydał okólnik, zalecający kandydatom stanu duchownego, żeby stosowali się w studyach do pewnych wymagań praw majowych — zostało najniesłuszniej w tym duchu wyzyskane. Upatrywano w tym wypadku dowód, że niektórzy przynajmniej biskupi szukają *modus vivendi* z prawami majowemi; między samymi biskupami usiłowano rozdwojenie wywołać, lub przynajmniej rozgłosić. Tłumaczenia się i zaprzeczenia samego wikaryusza Paderbornskiego nie pomagały; gazety rządowe powtarzały swoje. Na to Biskupi pruscy nie mogli dać lepszej odprawy, jak gromadząc

się u grobu św. Bonifacego i wydając wspólny list, żywy dowód ich jednomyślności.

Ponieważ prześladowca usiłuje rozdwoić, biskupi zaczynają od zatwierdzenia jedności. Przypominają, że przed 11 laty, na początku tej walki o wiarę, poprzednicy ich podobnie napominali swój lud do jedności i zarazem dają temu ludowi wspaniałe i rzewne świadectwo, że wśród najcięższych przygód wiernie w tej jedności wytrwał.

„Dotąd trzymaliście się swego Kościoła w jedności, stałości i wier„ności, szczerze połączeni z Biskupami i ze skałą Piotrową. Za to wy„rażamy wam jeszcze raz w imię Jezusa Chrystusa uznanie i podzięko„wanie". Temi słowy do was, kochani dyecezyanie, przemówili przed 11 laty, wasi najwyżsi Pasterze. Z tego samego miejsca świętego, z którego oni niegdyś w stanowczej godzinie te słowa do was wyrzekli, od grobu św. Bonifacego, my je dzisiaj powtarzamy po upływie dziesięciu lat, pełnych ofiar i cierpień, pełnych też i dowodów świętej miłości i wierności.

Kochani współbracia, drodzy katolicy! Pozostaliście wierni swemu Zbawicielowi i swemu świętemu Kościołowi katolickiemu. To świadectwo dajemy wam, my od Boga dla Was ustanowieni Pasterze w obec wszystkich prawowiernych katolików; i to świadectwo ma pozostać zaszczytnym pomnikiem aż do końca świata. Z powodu wierności waszej wielbimy przedewszystkiem Boga, którego wszechmocnej łasce ten cud zawdzięczamy, cud, na którego widok samo niedowiarstwo wyznać byłoby zniewolone: *Od Pana się to stało: a jest dziwno w oczach naszych.*

Sam Zbawiciel świata, Boski Biskup dusz naszych, którego arcykapłańska modlitwa nigdy nie ustaje u tronu Ojca niebieskiego, wyblagał wam i nam te bogactwa łaski. Wiecie bowiem, o co prosił przed męką swoją: *Ojcze święty, zachowaj je w imię Twoje, któreś mi dał: aby byli jedno jako i my! A nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy przez słowo ich uwierzą w mię, aby wszyscy byli jedno, jak Ty Ojcze we mnie, a ja w Tobie: aby i oni w nas jedno byli, aby uwierzył świat, iżeś Ty mnie posłał.*

Tak Zbawiciel za nas i za was się modlił, tak modli się jeszcze ciągle, a te błagania Boskiego Serca Jezusowego nigdy nie pozostaną niewysłuchane. Jako niegdyś nad grobem Łazarza, tak też zawsze może się chlubić Pan: *Jać wiem Ojcze, że mnie zawżdy wysłuchiwasz.* Lecz dziś możemy szczególniejszym sposobem głos swój połączyć z głosem błogosławionego Odkupiciela: *Dziękuję Ci, żeś mnie i teraz wysłuchał, aby wszyscy wierzyli, iżeś Ty mnie posłał.* Tak, mili współbracia, dro-

dzy katolicy! cudownie Pan Was pokrzepił. — Statecznie odparliście wszelkie pokusy, jakie do Was przystępowały, aby Was zbić z drogi obowiązku, mężnie znieśliście ciężkie, gorzkie cierpienia, jakie Bóg na Was zesłać postanowił. Staliście się widowiskiem dla aniołów, dla ludzi i dla świata, widowiskiem takiem stał się też Kościół w naszej ojczyźnie. Otośmy mocno ze sobą skojarzeni; skojarzeni wierni ze swymi prawowitymi pasterzami we wierze i miłości; skojarzeni są Pasterze pomiędzy sobą w słowie i uczynku ku niewzruszonej zgodzie; skojarzeni jesteśmy wszyscy z najwyższym Pasterzem, któremu Chrystus Pan powierzył swą trzodę.

Ale ciesząc się i umacniając na duchu widokiem tej jedności, z drugiej strony Biskupi poglądają z boleścią na więzy, jakimi skrępowano ich pasterskie ręce, w chwili, kiedy lud wierny, powierzony ich pieczy, narażony jest na najgroźniejsze niebezpieczeństwa moralne i najwięcej od nich potrzebuje ratunku i duchownego posiłku. Nie podobna było silniej napiętnować i wymowniej potępić praw majowych, nie można było potężniej rozgromić intryg i zarzutów, jak tym uroczystym aktem wszystkich pasterzy dusz, łącznie świadczących, że te prawa krzywdzą dusze w ich potrzebach religijnych i moralności ich szkodę wyrządzają [1].

Niebezpieczeństwa, jakie wam i zbawieniu waszemu grożą — mówią Biskupi — wzrastają z każdym dniem, a my, wasi najwyżsi Pasterze, nie jesteśmy w możności was obronić, chociaż tego w pieczołowitości pasterskiej najgoręcej pragniemy. Dorastająca młodzież wystawiona jest podczas swego wykształcenia na wrażenia, które tylko mogą obrażać uczucia katolickie, wątpliwości przeciwko wierze w młodzieńczych sercach zasiewać i czystość serca zatruwać; a my nie możemy temu zapobiedz, ażeby te niebezpieczeństwa nie otaczały naszej młodzieży chrześcijańskiej. — Nie możemy również zapobiedz, żeby przyjmowanie Sakramentów św. i uczestniczenie w publicznem nabożeństwie nie było ograniczone. Tysiące ludzi, którzy w służbie wciąż wzrastającego przemysłu pracują, pozbawieni są w rzeczy samej środków łaski, której najwięcej potrzebują. Mnóstwo robotników garnie się po całotygodniowej ciężkiej pracy do konfesyonałów, ażeby przynieść ulgę uciśnionemu sercu, ażeby

[1] Tego faktu dowodzi zresztą liczebnie raport urzędowy Illinga, o czem ob. ustęp z „Kuryera poznańskiego“, przytoczony w tym poszycie na końcu przeglądu piśmiennictwa.

w cierpliwości i uległości chrześcijańskiej się pokrzepić i nowe powziąc postanowienia; atoli nic nie uzyskawszy, muszą wracać do domów, bo zastają konfesyonały puste, albo też tak oblężone, iż wyrzec się muszą nadziei dostąpienia tej łaski: a my nie możemy dopomódz, nie możemy zapobiedz temu, żeby z czasem nie odstręczyli się od Boga i nie zapomnieli Jego przykazań, bo nie pożywają pokarmu życia w Komunii świętej, bo słowo Boże i opowiadanie Ewangelii św. z trudnością do nich dochodzi; skoro zbyt mała jest dzisiaj liczba kapłanów, do ich duchownej obsługi, a zakonnicy, którzy niegdyś z gotowością do wszelkiej pomocy zwiedzali nasze gminy, obecnie są na wygnaniu.

Są to tylko dwa rysy cierpień Kościoła w naszych czasach; gdybyśmy nader smutny obraz teraźniejszości chcieli całkowicie przedstawić, musielibyśmy na każdem polu życia chrześcijańskiego podobne skargi i żale zawodzić, któreby naszą obawę i troskę o przyszłość aż nadto usprawiedliwiły.

Po tem majestatycznem świadectwie, jakżeż uroczyście i rzewnie podnoszą ci Pasterze prześladowani swe dłonie więzami obciążone, żeby błogosławić — i żeby samym widokiem tych więzów owieczki swoje do wytrwania zapalić! Im samym przypominają się w tej chwili czasy pierwszych bojów chrześcijaństwa i wielka postać Ignacego z Antyochii staje im na myśli, jako wzór i zachęta.

Im groźniejsze są niebezpieczeństwa, im więcej Kościół doznaje przeszkód do niesienia pomocy w tej niedoli dusz, która nas otacza, tem usilniej upominamy was w wiernej i szczerej miłości: niechaj gorliwość wasza wzmaga się coraz więcej i niechaj zastąpi to, czego my dokazać nie jesteśmy zdolni. Czujemy dotkliwie, że nam jeszcze są związane ręce, któreby na was hojność Boskiego błogosławieństwa nader chętnie zlewały. Lecz, tak ze świętym Biskupem i męczennikiem Ignacym mówimy: „Same te pęta, które nosimy, wołają na was: stójcie mocno i wy„trwajcie wiernie w nieosłabionej jedności i wspólnej modlitwie“.

Nakoniec odzywa się w dostojnych Biskupach wiecznie macierzyńskie serce Kościoła: wśród tylu niebezpieczeństw, od których trzeba się bronić, tylu niedoli i potrzeb, którym trzeba zaradzać, jedną tylko rzecz w szczególności, z błaganiem i zaklinaniem polecają wiernym: żeby katolickiem wychowaniem ocalili dziatwę:

Lecz z mnóstwa trosk i obaw naszych jedną przynajmniej sprawę polecamy wyraźnie, kochani współbracia i dyececzyanie, waszej szczegól-

niejszej pamięci. Zaklinamy was na miłość Jezusa Chrystusa, nie zaniedbujcie starania o dziatki wasze. Wiecie, o czem każdy dzień jaśniej nas przekonuje, że cała przebiegłość i złość piekielna okazuje się w tysiącznych środkach pokus, czyhających na zgubę młodzieży. Najświętszym waszym obowiązkiem jest, kochani współbracia, żebyście stanęli na straży zagrożonych dusz dzieci waszych; wszelkie wasze prace i troski będą daremne, będą bez błogosławieństwa Bożego, jeżeli Boskiemu Zbawicielowi nie zachowacie dzieci waszych. A wy, kochani rodzice, pamiętajcie, że kiedyś Pan, gdy przed jego sądem staniecie, zażąda napowrót od was dzieci, które wam powierzył. Cóż Mu w onej strasznej chwili odpowiecie, jeśli z winy albo z niedbałości waszej dusze dzieci waszych pozbawione będą wiecznego zbawienia? Pamiętajcie więc na ciężką odpowiedzialność i zabezpieczajcie własne zbawienie przez zabezpieczanie ile jest w waszej mocy zbawienia dzieci waszych.

My zaś prosimy Boga gorąco, ażeby rodziców i dziatki wszechmocną ręką prowadził i bronił i żeby, gdzie staranie ludzkie nie jest dostatecznem, odwracał grożącą zgubę. Oby boski Pasterz dusz naszych pobłogosławił te słowa nasze, które dziś do was zwracamy, i oby dla nich miłościwie w sercu waszem urodzajną ziemię przygotował! Kończymy tem upomnieniem, które przed jedenastu laty wam z tego tu miasta dali wasi najwyżsi Pasterze: „Stójcie mocno w św. wierze katolickiej, w miłości i wierności ku Kościołowi św. Cierpcie i znoście raczej wszystko, aniżelibyście mieli w czemkolwiek zaprzeć się Kościoła, albo też Jego nauki“. Błogosławieństwo wszechmogącego Boga, Ojca i Syna i Ducha św., niech zstąpi na was i będzie z wami po wszystkie czasy. Amen,

List ten, przez wszystkich, nawet nieobecnych na zjeździe Biskupów pruskich podpisany, „uderzył jak grom z nieba — tak się „wyraził o nim Schorlemer Alst na wiecu monasterskim: — zmiażdżył wszystkie intrygi nieprzyjaciół, oraz padł jak rosa ożywcza „na serca katolików“. Odtąd już niemożliwe są matactwa, wykręty, pozory rozdwojeń: trzeba przyznać, że się jest prześladowcą religii katolickiej i wiedzieć, że się ma do czynienia z sumieniem 15 milionów, stojących jak jeden mąż.

Tak przemawiają Biskupi w erze prześladowania. W innych znajdują się warunkach Biskupi Austryi w Wiedniu obradujący. Pod berłem rakuskiem, z rządem od 6 lat konserwatywnym, widzą Ko-

ściół w pokoju względnie największym w Europie, hierarchię w normalnej sytuacyi, rozwój nieskrępowany kościelnych instytucyj. Ale oko pasterzy nie łudzi się tą powierzchowną pomyślnością; nie od tego są oni biskupami, żeby tylko zewnętrznego ładu i swobodnego ruchu kółek w hierarchicznym ustroju doglądać. Jako stróże dusz odpowiedzialni, wiedzą oni, że kiedy nieprzyjaciel zewnątrz na Kościół miotać się nie może, tem usilniej wówczas skrada się wprost do dusz, by je truć tysiącznymi sposoby, jadem niewiary i występku. Dla tego, korzystając z dni pokoju, rozpatrują się w stanie dusz powierzonej sobie części owczarni Chrystusowej, i z pasterską istnie powagą i śmiałością, wypowiadają słowa prawdy, które ranią może serce goryczą tej prawdy, lecz oraz krzepią i leczą je, mocą jej wypowiedzenia.

Osnową tego listu pasterskiego jest napomnienie Chrystusa, (Mat. XVI.), żebyśmy zwracali uwagę na *znaki czasów* w duchowym porządku, tak samo, jak po znakach w powietrzu umiemy rozpoznawać nadchodzącą burzę lub pogodę. Otóż znaki czasu niniejszego, mimo obecnej ciszy, przedstawiają się Biskupom, jako „smutne, groźne, a nadto widocznie zwiastujące burzę".

Na pierwszym miejscu, między tymi znamionami złego stawiają pasterze nasi, nie rozkiełzanie namiętności antysocyalnych, nie zubożenie proleteryatu, nie nawet upadek moralności, ale podkopanie tego, co jest prawdziwym fundamentem życia moralnego i doczesnej nawet pomyślności chrześcijańskich społeczeństw — podkopanie wiary.

> Pomiędzy tymi *znakami czasu* w pierwszym rzędzie wymienić należy daleko rozszerzony brak wszelkiej wiary. Ileż to niezliczonych tysięcy znajduje się nawet pomiędzy tymi, którzy w imię Zbawiciela świata ochrzczeni zostali, *a nawet pomiędzy katolikami, którzy zasadniczo* lub też faktycznie od chrześcijaństwa się odłączyli? Iluż nie wzięło sobie za hasło bojowe: *Nie chcemy, aby ten Chrystus panował nad nami?*[1] Nietylko, że zaprzeczają największej tajemnicy wiekuistej miłości, Wcieleniu Syna Bożego i dokonanemu przezeń dziełu Odkupienia, lecz niedowiarstwo dni naszych idzie tak daleko, że zaprzeczane bywają same prawdy wynikające z rozumu, jakoto istnienie Boga ponadświatowego, Stwórcy i Pana, duchowość i nieśmiertelność duszy, a zatem i sprawiedliwość wiekuista i zapłata na tamtym świecie. A to niedowiar-

[1] Luk. 19, 14.

stwo zamiast cofać się ze wstydem do swoich kryjówek, występuje otwarcie z zuchwałością i z pychą, aby to wszystko, co dotąd było dla człowieka świętem, wyszydzić, zbluźnić i zwalczyć. Na każdem polu wydobywa rzekoma umiejętność broń, aby na Chrystusa i Kościół uderzyć... Wszystkie siły łączą się razem, rzekoma umiejętność, sztuka i prasa, wszystko działa wspólnie, aby zaczepiać wiarę i wprowadzić niedowiarstwo do najodleglejszej nawet chaty.

Nie we wszystkich krajach zarówno grasuje to niedowiarstwo, zwłaszcza sekciarskie i propagandę czyniące; w Galicyi mianowicie mało go znać. Ale jakżeż wielu ludzi u nas, co mienią się religijnymi dlatego, że religię w ogólności szanują, że uznają w niej potrzebę ludzkości, filar państwą, warunek życia naszego narodu; — ale nie widzą w niej prawdy bezwzględnej od Boga objawionej, nie uznają w niej obowiązku bezwzględnego względem Boga, nie rozumieją, że religia z istoty swojej wymaga wiary i praktyki, nie dlatego, że dogadza uczuciom lub interesom ludzkości, ale dla tego, że jest sama w sobie prawdą i obowiązkiem najwyższym — a w następstwie dopiero wszystkiemu innemu, i uczuciu i rozumowi i ojczyźnie i państwu służy: *pietas ad omnia utilis.* I przeto o tyle tylko trzymają się katolicyzmu, o ile wiążą ich z nim tradycye familijne lub narodowe, lecz w ogóle dla wszystkich wyznań jednakowy mają szacunek, o ile w nich upatrują element moralny i konserwatywny. Otóż i do tych zwracają się Biskupi i mówią im, żeby się nie łudzili mniemaniem, że są katolikami. Mogą oni nawet w danym razie służyć zewnętrznie sprawie katolickiej, ale sami dla siebie są równie bez religii i równie pożałowania godni, jak ostatni bezwyznaniowcy.

Nie o wiele lepszą, jak zupełne niedowiarstwo jest i obojętność w wierze, stawianie wszystkich religij na równi czyli indyferentyzm. W naszym czasie ubogim w wiarę rozszerzyło się po wszystkich klasach społeczeństwa, mianowicie zaś w tak zwanych stanach wykształconych, mniemanie, że na religijnej wierze i jej treści mało zależy; rzeczą główną, mówią, jest zachowanie się moralne. Jeżeli człowiek zachowuje się względem bliźniego uczciwie i dobrze, jeżeli obowiązki swoje jako obywatel państwa wypełnia wiernie, nie idzie wtedy o jego poglądy religijne. Cóż rzeczecie wierni Katolicy na takie zasady, głoszone dzisiaj w rozmowach, po gazetach i w książkach w sposób najjawniejszy?

Czemże gromią Biskupi ten indeferentyzm? W pierwszym rzędzie tem, że Bogu objawiającemu ci ludzie nie wierzą; w dalszem dopiero następstwie tem, że i moralność i porządek społeczny, o który dbają, nie dadzą się bez fundamentu wiary ustalić.

Bóg posyła na świat swego jednorodzonego Syna jako światłość świata, jako jedynego nauczyciela ludzi, jako ich Odkupiciela i Wybawcę od grzechu, od nędzy i śmierci, jako Założyciela Kościoła do sprawowania dalszego dzieła Odkupienia i oto ma być rzeczą obojętną, czy się naukę tego Posłannika Boskiego przyjmuje lub nie przyjmuje, czy się uczestniczy lub nie uczestniczy w Jego dziele Odkupienia, czy się poddaje Jego Kościołowi, lub się Mu odmawia wiary i posłannictwa? Czyż indyferentyzm taki nie jest wzgardzeniem religii Jezusa Chrystusa, krzyczącą niewdzięcznością względem Zbawiciela? Zaprawdę! obojętność względem wszelkiej religii, stawianie na równi religij wszystkich, mieści już w sobie i niedowiarstwo. Albo czyż nie jest to niedowiarstwem, jeżeli Bóg kazał ci się trzymać Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła, a ty odpowiadasz: nie! wszystkie religie są sobie równe!?

Główną rzeczą, mówią, jest postępowanie moralne. Rozchodzi się tylko o to, co ma być rozumiane przez postępowanie moralne. Jeżeli w pojęciu moralności zamknie się to wszystko, co pod tem pojęciem rozumie i czego wymaga religia chrześcijańska i Kościół święty, to w takim razie moralność prawdziwa bez wiary i po za wiarą rozwijać się nie może. Budowa moralności wzniesioną być może jedynie tylko na fundamencie wiary. „Wiara, tak uczy Kościół, jest początkiem, fundamentem i korzeniem sprawiedliwości“ [1]. *Sprawiedliwy żyje z wiary* [2]. Bo wiara stawia nietylko wymagania, ale i daje potrzebną siłę i nadnaturalną łaskę do moralnego działania; a bez wiary moralność nie ma żadnego oparcia ani żadnej podstawy. Wprawdzie, jeżeli moralność sprowadza się do pewnej szczuplej miary przyzwoitego zachowania się i poczucia sprawiedliwości względem bliźniego, z wykluczeniem wszystkiego, co się ustawom państwowym sprzeciwia, to postępowanie takie dalekie jeszcze od prawdziwej moralności — możebne jest i bez wiary; ale i to tylko przy dobrem usposobieniu i przy dobrem wychowaniu, w położeniu i w okolicznościach szczęśliwych. Czemże jednak i ta szczupła miara moralności będzie, jeżeli tych warunków braknie, lub gdy na człowieka burze pokus uderzą, gdy przyjdzie nędza, ubóstwo i nieszczęścia, gdy na widok bogatych i szczęśliwych obudzi się namiętna nienawiść i zazdrość?

---

[1] Sob. Tryd. ses. 6. cp. 8.

[2] Rzym. 1, 17.

Jakże długo oprze się siła moralna człowieka bez hamulca wiary? Czas, doświadczenie, codzienne objawy stanu rzeczy, dają wymowną i niezbitą odpowiedź na to pytanie. Rzućcie okiem na niektóre warstwy naszego społeczeństwa, które się wyzuły z wiary! Co za rozpalanie bez wszelkich granic, zdziczenie i zgnilizna moralna w tych klasach ludności!... Dynamit i petroleum są dla nich bronią dozwoloną, aby wszystko co istnieje z gruntu obalić.

Napiętnowawszy w ten sposób niewiarę, wylicza następnie list pasterski inne złowrogie znaki czasu, „które z jednej strony są skutkami niedowiarstwa i obojętności we wierze, z drugiej przyczyniają się jeszcze do większego osłabienia i zniszczenia wiary". Tu występuje najprzód ów szał używania, plaga dzisiejszych społeczeństw a zwłaszcza warstw zamożniejszych, która mianowicie w Austryi część klas wpływowych opanowała, i do służby kraju, a tem bardziej do życia chrześcijańskiego uniezdolniła.

Pomiędzy owymi *znakami czasu*, góruje panujący tak ogólnie praktyczny materyalizm, to jest ten zmysł światowy, podług którego usiłuje człowiek zaspokoić swój popęd do szczęścia jedynie tu na ziemi, w tym krótkim okresie czasu, który mu wymierzony jest pomiędzy kolebką a grobem, jak gdyby po śmierci nie miał się już czego spodziewać, ani też obawiać. Zmysł ten ziemski nie zna nic innego, prócz *pożądliwości oczu, pożądliwości ciała i pychy żywota*[1]. Człowiek zmysłowy nie chce niczego innego tutaj na ziemi, jak tylko posiadać, błyszczeć i używać. Ztąd to gonienie i to ubieganie za używaniem i za przyjemnościami w sposób przechodzący wszelką miarę i posuwający się aż do przełamania wszelkiej zapory. Równym krokiem z żądzą używania idzie także chciwość, jako usiłowanie do prędkiego i obfitego nagromadzenia środków, czy to w sposób dozwolony czy nie dozwolony, ku zaspokojeniu zmysłu używania. Jako konieczny skutek żądzy używania schodzi się z tem dziś i zbytek, o jakim przed kilkoma dziesiątkami lat nie miano i wyobrażenia. Chcąc mieć wszystko, co zmysłom pochlebia nie szczędzi się pieniędzy i kosztów, nawet, gdy już grozi straszydło zupełnego zubożenia. Jednem słowem: co owi rozkosznicy dawnych czasów u mędrca wyrzekli: *Pójdźcież, a używajmy dóbr niniejszych, a zażywajmy rzeczy stworzonych prędko jako w młodości... chodźmy w wieńcach różanych, póki nie uwiędną, żadna łąka niech nie będzie,*

[1] 1. Jan 2, 16.

którejby nie miała przejść rozpustność nasza[1], to stało się dziś hasłem czasu... Jakże opłakania godnym, jak brzemiennym w następstwa jest taki obłęd! jakie zapoznanie prawdziwego przeznaczenia człowieka! Głosi się dziś tyle „o godności człowieka“ i „o godnym człowieka bycie“; a może nigdy nie szanowano mniej godności ludzkiej ile obecnie. Bo czyż można było więcej zdeptać godność człowieka, jak gdy mu się zaprzecza jego wyższego przeznaczenia i jedynie na używanie znikomych tego życia ziemskiego rozkoszy skazuje — jak gdyby miał skończyć jak zwierzę?

Wszelako Biskupi nietylko narzekają na to moralne obniżenie, lecz wytykając dwa następne znamiona upadku, podają zarazem w ich przeciwieństwach prawdziwe dźwignie do podniesienia jednostek i społeczeństw.

Pan w miłosierdziu swojem życie nasze otoczył siedmiu Sakramentami, jakby siedmioramiennym strumieniem łask. Na wszystkich ustępach naszej ziemskiej pielgrzymki od kolebki aż do grobu, postanowił odpowiednie środki łaski, ustanowił także uroczystą pamiątkę swej śmierci, najświętszą ofiarę Mszy świętej, polecił nakoniec modlitwę nieustanną[2] jako środek szczególnie skuteczny do rozwoju duchowego życia. Ale jakże wielu katolików niedbałych jest na te zarządzenia pańskie, unika ich i pogardza niemi! Jak bardzo tyczy się to i świętych Sakramentów! Jak mało jest takich, którzy rozumieją czem jest Msza święta! Jak duch modlitwy i w sercach i w domach chrześcijan zaginął! A tak bez używania środków łaski, bez ćwiczeń religijnych życie wiary musi zwiędnąć i nakoniec uschnąć. Ludzie tego rodzaju, jeżeli jeszcze nie są niedowiarkami, muszą się stać nimi koniecznie. Mili wierni katolicy! prosimy i zaklinamy was z pełni naszego serca, nie zaniedbujcie ustanowionych dla waszego zbawienia, środków uświęcenia...

W ścisłym związku z przytoczonymi dotąd objawami czasu jest także, nad czem ubolewamy głęboko, coraz to bardziej wzrastające znieważanie niedzieli i dni świątecznych. Jakże daleko doszło już w tej mierze! W wielu miejscowościach, osobliwie zaś we większych miastach, zaledwo znana jest różnica pomiędzy dniami roboczymi a świątecznymi. Przemysł i handel odbywają się w dniach Bogu poświęconych, i to najwięcej w przedpołudniowych godzinach, tak samo, jako i w dniach powszednich. Sklepy różnego rodzaju stoją otworem, rzemieślnicy wykonują swą zwykłą i to hałaśliwą pracę, nieraz w po-

[1] Ks. mądr. II. 6 - 8.
[2] Łuk. 18, 1.

bliżu samych Kościołów. Wykonują się nawet publiczne budowy nie rzadko i wtenczas, gdy praca w dnie owe mogłaby być bez wszelkiej szkody przerwaną. Ruch na kolejach i na parowcach bywa w niedzielę jeszcze więcej ożywiony jak kiedyindziej, choć przecież do pewnego stopnia mógłby być ograniczony. Są nawet okolice, w których wieśniacy bez wszelkiej obawy pracują w polach, ku coraz to większemu zgorszeniu, choć nie ma do tego potrzeby. Obyście, Najmilsi w Panu, na seryo rozważyli skutki, jakie z tych i innych pogwałceń niedzieli wypływają. Bądźcie przekonani, że na takich zakazanych w niedzielę robotach nie spoczywa błogosławieństwo Boże. A choć Bóg nie zawsze zaraz wymierza za to pogwałcenie karę, to chrześcijanie nie powinni przecież zapominać o dawniejszych groźbach: *Jeżeli pogwałcicie me Sabaty, nawiedzę was prędko ubóstwem. Próżno siać będziecie, bo dam wam niebo z wierzchu jako żelazo, a ziemię miedzianą. Susza spali urodzaje wasze i grad je wyniszczy. Ogień przyjdzie na domy wasze i zniszczy wszystko coście zebrali*[1]. Uznali to i wypowiedzieli już przed stu laty przywódzcy rewolucyi francuskiej, że zniesienie święcenia niedzieli najprędszym już i najskuteczniejszym środkiem stawienia przeszkody wykonaniu obowiązków religijnych i na wykorzenienie chrześcijańskiej wiary. *Synowie ciemności roztropniejsi są w rodzaju swoim od synów światłości...*

Na piątem i ostatniem miejscu między znakami złego wymienia list pasterski tę złowrogą waśń między narodowościami w państwie austryackiem, która w niektórych stronach do zgoła niechrześcijańskiego rozgoryczenia doszła.

Kto miłość swego szczepu tak wysoko stawia — mówią uroczyście Biskupi — że aż nienawidzi narody inne i nimi pogardza, waśnie i kłótnie pomiędzy nimi roznieca, kto w pierwszym rzędzie nie widzi w bliźnim swym człowieka odkupionego przez Chrystusa Pana, lecz tylko narodowego przeciwnika, ten nie myśli już więcej i nie działa w duchu chrześcijanina, albowiem narodowość nad wiarę katolicką stawia. — I przytaczając słowa Biskupów Austryi z roku 1849, dodają: — „Przez samolubstwo zamienia się zdrowa miłość ojczystych dzie„jów, swojego języka i odziedziczonego obyczaju, w szał gorączkowy, „który widząc śmiertelnego wroga w każdym inaczej myślącym sąsiedzie, „swój własny dom podpala, aby zniszczyć mieszkanie sąsiada. Nie ozna„cza to postępu, o którym oni mówią, jest to raczej opłakania godny „powrót do ciemnego barbarzyństwa pogańskich czasów; narodowość

[1] Cfr. Lewit. 26, 16, 20, 34, 35.

„staje się cielcem złotym, a jego cześć bałwochwalcza w żarze roz-„kielzanych namiętności wyradza się zbyt często w zwierzęcą rasową „walkę, będącą hańbą ludzkości i obrzydliwością w oczach Boga". Wszak wszyscy jesteście dziećmi tego samego Ojca w niebie i wspólnej nam matki Kościoła. Wszyscy, jakkolwiek w różnych językach do jednego modlicie się Boga, wszyscy odkupieni jesteście przez tego samego Jezusa Chrystusa i uświęceni jesteście tym samym Duchem świętym: *Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest, jeden Bóg i Ojciec wszystkich*[1]. W tem wysokiem zjednoczeniu nie mają różnice narodowościowe żadnego większego znaczenia... *Starajcie się przeto,* upominamy Was z Apostołem: *zachować jedność ducha w związcze pokoju*[2].

Scharakteryzowawszy w ten sposób śmiałymi i trafnymi rysy moralne choroby, grasujące w społeczeństwie, ich pasterskiej pieczy poruczonym, Biskupi wskazują następnie „dwie drogi, dwa środki, któremi przeważnie ta zaraza po kraju się szerzy, ażeby ostrzedz przed niemi wiernych", mianowicie lożę masońską i przewrotną prasę.

Słusznie Ojciec święty Leon XIII., napiętnowawszy zgubną działalność wolnomularzy, potępiwszy ich zasady i dążenia, odkrywszy jasno cele do których dążą, stosuje do nich słowa psalmisty Pańskiego: „*Oto nieprzyjaciele twoi okrzyk uczynili, a którzy cię nienawidzą, wynieśli głowę. Przeciw ludowi twemu radę złośliwą wymyślili i spiknęli się przeciw świętym twoim. Mówili: Pójdźcie a wytraćmy je z narodu*[3]"... I w rzeczy samej starają się oni bezkarnie i słowem i pismem i wykładami po katedrach, podstawę Kościoła zburzyć nie oszczędzając ani praw Jego, ani uwzględniając posłannictwa danego Mu od Boga. A na Stolicę Apostolską i na rzymskiego Papieża podwajają oni teraz swoje napaści. To, co zwolennicy tej sekty już dawno pomiędzy sobą ukartowali, wypowiadają dziś otwarcie: „Potęga Papieży musi być złamaną, Papiestwo samo musi być wygładzone z tej ziemi". — Cóż rzeczecie na to, Katolicy; jeżeli przy takich knowaniach wolnomularstwa przeciwko katolikom i przeciwko Kościołowi, pełno jeszcze w ich ustach miłości, tolerancyi i braterstwa? Czyż im na ślepo zaufacie, czy z narażeniem siebie samych i najświętszego dobra dusz naszych, dacie się zwabić w ich sidła?

Ale, najmilsi, prócz tych, którzy noszą wolnomularskie oznaki, jest jeszcze wielka liczba takich, którzy duchem z lożą spokrewnieni

[1] Efez. 4, 5, 6
[2] Efez. 4, 3.
[3] Ps. 82, 2—5.

ich zasady dzielą i czynnie są z niemi połączeni. Ilość tych z niemi połączonych pomocników, przewyższa u nas nawet liczbę samych braci do loży należących. Wprawdzie sam tajny związek jest wyrazem i przedstawicielem wszystkich planów i usiłowań mających na celu walkę na zabój z Kościołem w czasach dzisiejszych, ale na jego korzyść pracuje wiadomie czy niewiadomie cała legia innych, duchem mu zupełnie wspólnych. Do nich należy także tych katolików zaliczyć, którzy przeciwko własnemu Kościołowi i jego interesom walczą i przy każdej sposobności stają po stronie nieprzyjaciół religii i Kościoła. Wszyscy oni pracują w służbie jako czeladź wolnomularstwa, w zupełnym przeciwieństwie do tego, co Ojciec święty wiernym nakazuje: „Mąż przy mężu zająć niewzruszone stanowisko przeciwko nawale sekciarstwa".

Najsilniejszą dźwignią w ręku loży i jej pomocników w pracy nad odarciem społeczeństwa z cech chrześcijańskich jest prasa, zwłaszcza peryodyczna prasa, to jest złe dzienniki. Już nieraz ostrzegali biskupi swych wiernych przed szkodliwą lekturą. Poczuwamy się do obowiązku ponowienia jednomyślnie tej przestrogi, jakby ona z jednych ust pochodziła, i mamy nadzieję, że słowa nasze nie przebrzmią, jak głos wołającego na puszczy. Ale jeżeli pomimo to znajduje się wielu takich, co wolą czerpać zasady wiary i moralności z zatrutych krynic dziennikarstwa, zamiast gasić swe pragnienie u żywych źródeł prawdy, jeżeli naukę swej religii chętniej biorą z dzienników redagowanych przez żydów i niedowiarków, obdarzając ich bezwzględnem zaufaniem, a urząd nauczycielski Kościoła odrzucają; tedy oni samych siebie i tych, którzy z nimi są związani zawiodą do zguby i zginą przez złe skutki własnej przewrotności.

Nasza literatura, w ogóle wzięta, działa rozkładowo na wiarę. Tendencyjnie odciąga ona ludzkie serca od tego wszystkiego, co wyższe i nadnaturalne, a zgina je ku ziemi. Tak samo zgubnie działa prasa pod względem moralnym przez pisma peryodyczne, pamflety i książki. Samobójstwo, pojedynek, wiarołomność małżeńska i występki wszelkiego rodzaju uniewinniane bywają godziwie, a nawet w aureoli cnoty przedstawiane. A często w porywającej i olśniewającej formie — trucizna na złotym półmisku. Któż policzy ofiary, które codziennie poddają się Molochowi złej prasy? Kto policzy niewinnych, którzy przez złą lekturę popadli w zupełne zepsucie i odarci zostali ze wszelkiego wstydu, kto policzy tych wszystkich pełnych nadziei młodych ludzi, którzy dawniej żarliwymi byli katolikami, a skutkiem zgubnych czasopism, postradali wiarę i wstąpili teraz w szeregi nieprzyjaciół wiary? Nie łudźcie się ukochani, pod względem niebezpieczeństwa, jakie wam gotuje złe czy-

tanie. Kto czyta to, co jest jadem zepsucia skażone, psuje się sam i mimo woli wciąga do siebie truciznę, w książce albo w gazecie zawartą. *Kto się dotyka smoły, ten się powala*[1]. Skoro pod grzechem jest nakazane unikać wszystkiego, co wierze i dobrym obyczajom może być niebezpieczne, to grzechem jest także czytać lub wydawać dzienniki, które takie niebezpieczeństwo mieszczą w sobie. Niepojętą zatem jest rzeczą, jak mogą czytać takie *dzienniki i czasopisma nawet* dobrzy katolicy i sami kapłani i płacić za nie! Jakże to dozwolonemby być mogło, przyczyniać się do rozszerzania złego? a któż będzie w stanie przed Bogiem odpowiedzieć za to, że pieniądzmi swymi płacił gazeciarzom za ich szyderstwa i bluźnienie tego, co jest święte? Kościół święty jest przedmiotem najzaciętszej napaści ze strony prasy, a ty płacisz wrogowi haracz i dajesz mu pomoc przeciwko świętej Matce twojej, jedynemu zakładowi twego wiecznego zbawienia.

Zamiast popierać złą prasę, wspomagajcie prasę dobrą. Słusznie mówią, że prasa dobra, ma w obecnym czasie wielką misyę. Oddający w dobrej intencyi, z miłości do religii i prawdy, w usposobieniu do wyższych ideałów, siły swe na użytek prasy, są w pewnem znaczeniu misyonarzami, t. j. zwiastunami prawdy, obrońcami Kościoła i wiary, patronami najwyższych interesów ludzkości. Zadanie ich jest piękne i wielkie. Bo tylko dobra, na gruncie chrześcijańskim oparta prasa, może się stać tamą mocną naprzeciw prądom ducha czasu i być warownią pewną naprzeciw kłamstwu i zasadom przewrotności. Jej zadaniem jest wyrazić prawdziwe potrzeby ludu i na opinię publiczną w sposób skuteczny wpływ wywierać. Dosyć to niezawodnie powodu, abyście żywą uwagę udzielili katolickiemu dziennikarstwu i je wszelkim sposobem silnie wspierali.

Do tych słów biskupich, potężnych jak rozkaz ojcowski a rzewnych jak błaganie matki, ani słowa dodać nie możemy. Same wszystko mówią. I *ten*, co ich uporczywie nie posłucha, uchylić musi czoła przed ich mocą i prawdą.

Kończąc swój wspaniały list, Biskupi austryaccy — pięknym trafem, albo raczej objawem tego samego macierzyństwa Kościoła co w Biskupach pruskich przemówiło — przechodzą także na rzecz wychowania dziatwy i młodzieży. Zaczynają od wzniosłego określenia chrześcijańskiej rodziny. Ztąd wyprowadzają obowiązek i sposób chrześcijańskiego wychowywania dzieci, w domu, w szkole i po ukoń-

[1] Ekli. 13. 1.

czonych szkołach — śmiało przytem piętnując braki dzisiejszego szkolnictwa w Austryi i dotyczącego prawodawstwa, oraz zatwierdzając swój pasterski obowiązek pracowania nad zmianą tego stanu rzeczy.

Rodzina jest zawiązkiem i korzeniem społeczeństwa, tak państwowego, jak i kościelnego, jest sama w sobie społeczeństwem w miniaturze. Jakie życie rodzinne, takie i życie społeczne. Chrystus Pan podźwignął życie rodzinne, które w starem pogaństwie wyrodziło się, zepsuło i rozpadło, i uporządkował je według woli Boga. W szczególności zaś nietylko uregulował małżeńskie pożycie, ale wyniósł nadto małżeństwo do godności Sakramentu, ogłaszając stosunek męża i żony, jako symbol i obraz, mający przedstawiać stosunek Chrystusa do Kościoła i obdarzając stan małżeński właściwą mu sakramentalną łaską. Skutkiem tego nietylko małżeństwo uzyskało nowy kształt, ale nadto całe życie rodzinne przybrało inny, uświęcony charakter. Stosunki męża do żony rodziców do dzieci, pana domu do czeladzi, znacznie zmienione zostały przez chrześcijaństwo. Gdzie duch Chrystusa panuje, tam to życie jest piękne, uporządkowane i tym duchem przesiąkłe. Z głębokim żalem, Najdrożsi, opłakiwać nam przychodzi, że obecnie życie rodzinne pozbawione pod wielu względami charakteru chrześcijańskiego, sprowadzone zostało nieledwo do pogańskiego kształtu. Nie mamy zamiaru roztaczać przed waszemi oczyma tego smutnego i ciemnego obrazu stosunków naszych rodzinnych, bo smutna rzeczywistość w sposób przerażający przedstawia się nam ze wszystkich stron. Zwracamy tylko uwagę, że z pozbawieniem rodziny charakteru chrześcijańskiego, nastąpił i upadek rodziny. Ci, co pracują ustawicznie nad pozbawieniem rodziny znamienia chrześcijańskiego, pracują przez to równocześnie i nad zagładą rodzinnego szczęścia.

Głównym punktem i osią środkową, około którego obraca się szczęście rodziny, jest wychowanie dzieci, jest ten punkt, od którego zawisło szczęście lub nieszczęście rodziny. Całe zaś dzieło wychowania zamyka Paweł święty w dwóch słowach: *Wychowywajcie (dzieci) w karności i grozie Pańskiej*[1], pouczajcie je i zaprawiajcie je do chrześcijańskiego postępowania. Obie te rzeczy, pouczanie i wdrażanie do karności podwójnie są potrzebne w naszych czasach, bo dzisiaj dziecko bez gorliwego współdziałania rodziców, ani się dostatecznie nie nauczy, ani do chrześcijańskich praktyk nie wdroży. Znacie wszyscy stan szkół naszych. Nauczyciele nie są zobowiązani ustawami uczyć po chrześci-

[1] (Efez 4, 6).

jańsku, ani wywierać na dzieci jakikolwiek wpływ pod względem ich wychowania w domu chrześcijańskim. Obowiązujące ustawy dozwalają, że niechrześcijanie nawet nauczycielami w szkołach ludowych być mogą. Jest to jasne, że tacy nauczyciele młodzież szkolną katolicką wychowywać religijnie i moralnie nie są usposobieni, i nie są w stanie urzeczywistnić pierwsze i najważniejsze zadanie szkoły ludowej, które według brzmienia obowiązującej ustawy szkół ludowych nie jest innem, jak „wychowywać dzieci obyczajowo-religijnie". Książki szkolne są również bez barwy religijnej. Cały ciężar dotyczący spoczywa na barkach katechetów. Jakżeż atoli może parę godzin w tygodniu, przeznaczonych na naukę religii, nie rzadko przy nadmiernej liczbie dzieci szkolnych wystarczyć, aby je należycie nietylko pouczyć, ale wprowadzić w życie chrześcijańskie, co przecież jest rzeczą wychowania. Naszym jest obowiązkiem nalegać na to, aby szkoły nasze znowu w duchu religijnym urządzone zostały i nie wolno nam spocząć aż ten cel osiągniemy. Lecz nawet i wtedy, gdyby ten cel osiągniętym został, winno domowe wychowanie dopomagać wychowaniu szkolnemu, co więcej, wychowanie domowe będzie zawsze rzeczą główną. To, co się w szkole dzieje, jest w najlepszym razie tylko dalszem rozwinięciem i podporą wychowania domowego. Im więcej przeto szkoła pod tym względem zaniedbuje, tem więcej musi w tej mierze działać wychowanie domowe...

Wykonywujcie waszą *rodzicielską władzę jeszcze i wtenczas, gdy* dzieci wasze już wyszły ze szkoły. Ach! ileż to wiele przedtem obiecujących dzieci, popadło właśnie w tym okresie życia w sidła występku i zepsucia na zawsze. Używajcie zatem i w tym jeszcze czasie zbawiennej karności w obec waszych dzieci. Nie dajcie im wydostawać się z ochronnej zagrody posłuszeństwa na drogę rozkiełzanej wolności. A i wtenczas nie wypuszczajcie z rąk waszej ojcowskiej władzy, gdy wasze dzieci wyrosły na młodzieńców i dziewice. Dopiero gdy ich i w tym czasie zachowacie od raf pokuszenia, możecie z niezamąconą rodzicielką pociechą uważać dzieło wychowania za skończone... Kto w swej młodości wiatr sieje, ten zbierać będzie w swem późniejszem życiu burzę. Dlatego błogo wam będzie rodzice, jeżeli się wam udało zachować dzieci wasze pośród grożących młodocianemu wiekowi niebezpieczeństw czysto i niepokalanie. Możecie na schyłku waszego życia modlić się z otuchą, jak modlił się niegdyś Zbawiciel: *„Któreś mi dał strzegłem ich i żaden z nich nie zginął, jedno syn zatracenia*[1]".

[1] (Jan 17, 12).

Najmilsi wierni, wielkiej doniosłości są prawdy, któreśmy wam wyłożyli. Ostrzegliśmy was przed złym duchem czasu, daliśmy wam upomnienie, abyście pozostali wiernymi Duchowi Jezusa Chrystusa. Teraz możemy wołać z Mojżeszem: *Wzywam świadków dziś nieba i ziemię, żem położył przed was żywot i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo. Obierajcie tedy żywot, abyś i ty żył i nasienie twoje i miłował Pana Boga twego i stał przy Nim*[1]. Łaska naszego Jezusa Chrystusa i miłość Boża i społeczność Ducha świętego niech będzie z wami wszystkiemi. Amen. (Dnia 20 maja 1885 roku).

Tak jest; pouczyli nas w tym liście pasterze nasi o doniosłych prawdach, których po części i w naszej katolickiej Polsce niedosyć rozumieliśmy. Ale prócz nauki dali nam i przykład: przykład śmiałości i otwartości, z jaką w obec świata złego i niewiernego prawdę wypowiadać należy; przykład, jak przyczyn złego a zarazem środków podźwignienia społeczeństw, nie tyle w politycznych urządzeniach szukać trzeba, ile w głębi przekonań i życia religijno-moralnego rodzin i jednostek. Podczas gdy pruscy biskupi dają przykład, czasy męczeńskie przypominający, jak prześladowcy przeciwstawiać trzeba łączne i niezłomne *non possumus* — Biskupi austryaccy dają nam znów przykład uprawniony, jak można sprzyjać rządowi konserwatywnemu, być wiernym Koronie, a przytem dopominać się głośno o swoje zapoznane prawa i stanowczą wymagać sprawiedliwych reform, czy w zarządzie, czy w ustawodawstwie. W końcu jedni i drudzy dają nam otuchę, że prawda nie upada w świecie, owszem, że idzie ku zwycięztwu — kiedy tak pewnym siebie i potężnym przemawia głosem.

X. M. Morawski.

[1] (Deutor. 30, 19).

ZWIĄZEK MORALNOŚCI Z RELIGIĄ
w pogańskiej starożytności.

Teorya moralności szczególnie dziś leży na sercu pozytywistom. Łatwo im było uprzątnąć Boga i przyszłe życie „z dziedziny wiedzy pozytywnej“, ale daleko trudniej przychodzi im powiedzieć, czem jest obowiązek, dla czego powinniśmy słuchać sumienia i żyć uczciwie, jeśli nie mamy innego losu jak zwierzę. W art. „Czy jest możebna moralność sekularyzowana?“[1] przedłożyliśmy rozmaite próby uzasadnienia moralności pozytywnej bez Boga, uwieńczone najnowszym systemem Herberta Spencera, i przekonaliśmy się — jak sądzę dowodnie — że te wszystkie systemy chybiają celu, nie wytrzymują krytyki rozumu, a tem mniej znoszą probierz życia.

Ale pozytywiści, nie poprzestając na teoryi — w której zapewne słabość swoją czują — szukają jeszcze poparcia w historyi i twierdzą, że przynajmniej w starożytności moralność stała niezależnie od idei religijnej. Choćby i tak było, niewielkimby to jeszcze było dla nich tryumfem, bo moralność starożytności pogańskiej nie jest do pozazdroszczenia — nawet dla naszych czasów. Historycznie, związek moralności z religią, przez chrześcijaństwo wprowadzony, jest niezaprzeczenie postępem moralnym ludzkości, zniesienie więc tego związku byłoby wstecznością.

Ale, bliżej się przypatrzywszy, czy można w istocie powiedzieć, że moralność — jaka była w starożytności pogańskiej — była, jak dziś mówią, sekularyzowaną, bez żadnej zależności od idei religijnej? Tę kwestyę podejmuje studyum p. Ludwika Żychlińskiego, które tu podajemy. Jest ono dopełnieniem z punktu historyi tego, cośmy zeszłego roku dowodzili ze stanowiska filozofii.

(Od Redakcyi.)

[1] *Przegląd powsz.*, t. III., str. 329. (Wrzesień 1884 r.)

Chiny.

Mnogie prace, jakie dziś mamy o Chinach, zgadzają się w tem, że dawni Chińczycy oddawali cześć duchom różnym, np. duchowi nieba, słońca, błyskawicy, gór, rzek i t. d., że składali także cześć przodkom, których duchom przypisywali wiedzę o sprawach ludzkich i możność dopomagania lub szkodzenia. O religii tej pierwotnej dowiadujemy się wprawdzie tylko od Konfucyusza, ale Konfucyusz wyznawał[1], że nie jest fundatorem, ale tylko przekazywaczem religijnych wierzeń chińskich. Oto co pisze: „człowiek ponosi karę w swych dzieciach i w ogóle we wszystkich potomkach swych. Jeśli był niesprawiedliwym, to potomstwo jego zmarnieje, ród jego wygaśnie, a sam pozbawion zostanie czci familijnej“. Wnosić ztąd więc można, że Chińczyk wierzył, iż przodek zmarły ucierpi na tem opuszczeniu w pozaświatowym swym bycie[2]. Dawne owe wierzenia w duchy różne żywiołowe i w duchy przodków trwają do dziś u ludu, podczas gdy we wykształceńszych warstwach wyrobił się pewien rodzaj przekonań filozoficznych o dwóch potęgach we wszechświecie, o sile i materyi, pod względem zaś moralnym: o złem i dobrem, — wyrobił się także pewien system, oparty na różnicy potęgi czynnej i biernej. Obie te potęgi obejmują wszechświat. Duch nieba, zwany *Tien*, zajmuje wszelako wyższe miejsce, aniżeli duch ziemi. Duch nieba jest to duch jeden, wielki, rządzący wszystkiem. Konfucyusz wskazywał nań, jako na Bóstwo najwyższe; — duchy zaś niższe, zwane *Shins*, jak np. ducha powietrza, wód, gór i t. d. miał mniej więcej za to, za co miał Sokrates bóstwa mitologiczne Grecyi. O ile sprawdzić można, uchodzi dzisiaj u Chińczyków sklepienie nieba za szatę ducha nieba, a chociaż zabobony ich w dziwnie dziecinnej często występują formie, dają — mimo to — świadectwo tej wierze. Możnaby zacytować maksym chińskich bez końca, mieszczących w sobie wyobrażenia moralne i religijne. Przytoczymy dwie tylko. Konfucyusz nauczał[3]: „że nie trzeba czynić tego drugim, czego nie chcemy, aby oni nam czynili“, — a Lao-tse, drugi

[1] Legge: rife of Confucius.
[2] Legge: religieus of China
[3] Legge: o. c.

prawodawca religijny chiński wyznaje: „Istnieje istota nieskończona, która była, nim było niebo i ziemia. Istota ta wolną jest, spokojną i niezmienną. Działa wszędzie i w każdym kierunku. Nie wiem jej nazwiska, ale gdy się silę ją nazwać, wołam: wielki — daleki! Zaledwie przecież tak zawołałem, uczuwam że jest przy mnie".

Indye.

O życiu tej części szczepu aryjskiego, który zajął był nasamprzód Indye aż po Indus, a później objął w posiadanie i kraj nad Gangesem, istnieją tylko pieśni stare, a raczej hymny, spisane w księgach świętych, zwanych *Weda*, tj. wiedza.

Potęgom niebieskim, jako to: duchom światła, powietrza, wichrów, błękitu i t. d. przewodniczył *Indra*, władca piorunów, pan wszystkiego, co płynne i stałe, ten, który istniał przed innymi duchami. Hindusi dawni oddawali osobno cześć słońcu *(sunja)*, uosabiając je w bogu Sawitri, oraz ogniowi, a raczej duchowi ognia *(Agni)*. Wspomina także Weda boga tajemniczego, Warunę, który przebywa na krańcu wszechświata i u którego mieszka Yama, brat pierwszego człowieka, przyjmujący dusze zmarłych. Na nowiu odprawiali dawni Hindusi stypy, na które zapraszali przodków zmarłych. W części Wedy, zwanej Rig-Wedą [1], brzmią hymny opiewające już wyraźnie o niebie, jako o siedlisku dusz. I tak np. „Boże! po„zwól mi zamieszkać tam, gdzie wieczne świeci światło, w okręgu „słońca, w dziedzinie nieśmiertelnej i niezmiennej, tam, gdzie jest „kraina tajemnicza nieba, gdzie płyną potężne wody i życie trwa „swobodne, tam, w trzeciem niebie, gdzie promienieją światy, „tam daj mi nieśmiertelność, tam uczyń mię nieśmiertelnym, gdzie „panuje szczęśliwość i króluje radość, gdzie się spełniają najdroższe „pragnienia ziemskie". W innem miejscu Rig-Wedy [2] stoi o bogu Warunie: „Pan światów widzi, jak gdyby był tuż przy nas. Co „dwóch sobie szepce, on wie, bo jest trzecim. Chociażbyś ujść zdo„łał po za kraniec świata, nie ujdziesz Waruny. On policzył nawet „najmniejsze mgnienia ócz twoich".

Im dalej, tem bardziej usuwała się postać boga Indry, a wstę-

[1] IX., 713.
[2] IV., 6.

pował na jego miejsce Waruna[1], o którym opiewają późniejsze hymny, że przestrzega sprawiedliwości, wynagradza dobrych, a karze przestępców i że jego prosić trzeba o odpuszczenie grzechów. Weda wspomina o wielu mężach świętych. Jeden z nich, Wazistha, tak się modlił do Waruny[2]: „Mądre są i potężne dzieła twoje, Waruno, „który oddzieliłeś firmamenta, umieściłeś w górze niebo, chwały „pełne, odsunąłeś sklepienie gwiazd od ziemi. Jakże mi się zbliżyć „do Ciebie? Przyjmieszli chętnie ofiarę moją i skłonisz się do próśb „mych? Przyzywam cię, Waruno, który chcesz poznać me grzechy. „Mędrcy wszyscy mówili mi, że jesteś na mnie zagniewany. Czy „chcesz mię zniweczyć za grzechy? Jam zawsze wielbił Ciebie. Po„wiedz Panie słówko, a pośpieszę do Ciebie i czcić Cię odtąd będę, „wolny od grzechu. Daj mi rozgrzeszenie za grzechy ojców i za „własne, popełnione pod naciskiem cielesności. Nie z własnej zgrze„szyłem woli, byłem pod wpływem odurzenia, namiętności, chuci „zdradzieckich. Chcę się poprawić i zadosyćuczynić Twemu gnie„wowi. Panie! przyjmij błaganie moje".

Ofiarą, jaką najczęściej niesiono bogom, był sok rośliny *Soma*. Hindusi mniemali, że sok ten żywi bogów, aż nareszcie zrobili z tego soku boga-żywiciela. Wierzeń powyższych w Warunę i w Somę nie rozprowadziły przecież wcale księgi Wedy, natomiast wytworzyła się wiara w to, że bogów zmusić mogą błagania i ofiary ludzkie do łaskawości i tym sposobem powstał nowy Bóg — Pan modlitwy — Bramanaspati. Jak dawniej wierzono, że ogień (Agni) pośredniczy między niebem a ziemią, tak teraz stał się pośrednikiem *Bramanaspati*. Uznano w nim istotę świętą, cudowną, mieszkającą w modłach i liturgii, i nazwano Bramą. Bóg wszystkich modlących się czyli braminów, uznany został za najwyższego Boga. Nie pojmowali go wszelako Hindusi, jako mieszkającego po nad naturą, ale jako bytującego w naturze, aczkolwiek go mieli za stwórcę natury. Brama jest duchem niewidzialnym, najświętszym, źródłem i duszą światów, życiem wszechżycia. Że jednak istniała jeszcze wiara w bogów dawnych, ci podporządkowani zostali Bramie. Z Bramy rodzili się teraz święci ludzie, jak np. wzwyż wspomniany Wa-

[1] Rig-Weda V., 6, 13. k. VII., 5, 17.
[2] Ks. VII., h. 86.

zistha, z Bramy poszło urządzenie kast, od niego pochodziły i zwierzęta, oraz rośliny i kamienie. Najbliżej Bramy były istoty najbardziej uduchowione, najdalej od Bramy, najbardziej materyalne. Skoro upatrywano w Bramie najwyższą czystość i świętość, zadaniem być musiało jego wyznawców stawać się doń podobnymi. Jak z Bramy powstały dusze wszelkie, tak też do Bramy wrócą, ale do nieba Bramy wnijść tylko mogą dusze czyste.

Z tem wszystkiem, łączyli Hindusi z pojęciem Bramy, jako duszy wszechświata, wyobrażenie, że ludzie całą skalę istot przejść muszą, nim spoczną w spokoju ich dusze, że odradzać się muszą bezustannie i to, gdy w nagrodę, to coraz bliżej ku Bramie, a gdy za karę, to coraz dalej od Bramy. W miarę grzechów swoich więc rodzić się np. miał człowiek, raz słoniem, drugi raz świnią, to znów ptakiem, i t. d. W każdem tedy zwierzęciu mogła żyć — wedle takiej wiary — dusza ludzka w ogóle, a może nawet w szczególności, dusza przyjaciela lub którego z przodków. Ztąd to wynikła potrzeba mnogich ceremonij, oczyszczań i pokut, które wzrosły do jak najdrobnostkowiej przeprowadzonego systemu.

Filozofowie wśród Hindusów bramińskich starali się z pojęcia o Bramie wyprowadzić naturę świata. Trudność skojarzenia pojęcia Bramy ze światem materyalnym leżała w tem, że Brama bezcielesny porodzić miał świat cielesny. Jedni znosili to przeciwieństwo, zaprzeczając istnienia światu materyalnemu. Tak system zwany *Mimansa*, tj. badanie, głosił, że jeden jest tylko byt, byt duszy najwyższej i że oprócz niej nic nie istnieje, a co zdaje się istnieć, to czczy stanowi pozór, ten pozór zniweczyć należy przez b a d a n i e; ono wyzwala człowieka z pęt zmysłowych, czyni go jasnowidzącym i daje mu poznać, że nie istnieje świat zmysłowy, że dusza ludzka jest tylko cząstką integralną Bramy. Z przeciwnej strony doktryna *Sankia*, tj. rozważanie, stawia dwa pojęcia: indywidualności ludzkiej, i materyi, jako pierwiastkowe. Dusze ludzkie, podług niej, istnieją o własnej mocy, same ubierają się w materyą, tj. w ciało, nie umierają ze śmiercią ciała, ale przyoblekają się zaraz w nowe ciała[1]. Brama i inne duchy same się wytworzyły. Ale wszystkie te systemy, mimo swych przeciwieństw, schodzą się z powszechnie przyjętą

[1] Burnouf. Introduction au Buddhisme, 511.

ideą wyzwolenia z więzów ciała, w którem upatrują moralne zadanie człowieka i pewnego rodzaju zbliżenie się do Bóstwa.

Pojawił się wówczas nowy reformator i zakonodawca Wschodu Buda. Kiedy się zważy, że doktryna tego człowieka była w gruncie ateistyczną, a kresem jej rozwoju dialektycznego była nicość, *Nirwana*, trudno pojąć zrazu, jakim sposobem tak nadzwyczajne miała powodzenie, iż niemal pół Azyi opanowała. Ale pamiętać trzeba, że kiedy Braminizm otaczał się tajemnicą, był kastowym, prawił o niezrozumiałych dla ludu abstrakcyach, Buda zstąpił na ulicę, mówił językiem dla wszystkich zrozumiałym, jak żyć należy: głosił, że każdy człowiek powinien się starać przedewszystkiem o zmniejszenie cierpień, własnych nasamprzód, a potem cudzych; nakazywał miłość, miłosierdzie, braterstwo ludzi między sobą i łaskawość dla tworów wszelakich, ukrywanie dobrych uczynków, a wyznawanie win własnych. Każdy człowiek podług Budy zbawiony być może i ludzie najniższej klasy zyskać mogą Nirwanę, zwalniającą od dalszej wędrówki; różnice kastowe nie mogą przeszkadzać do uduchowienia się i poznania stanu rzeczy istotnego.

Tej doktryny moralnej sam Buda nie opierał zapewne na pojęciu o Bóstwie, jednak przeciwko religii ludu nie występował, a ledwo zeszedł z tego świata, jego nauka moralna oparła się na ubóstwieniu jego własnej osoby i stała się religią tak samo jak Braminizm. I zapełniło się niebo buddystów bogami braminizmu, przychodzącymi słuchać słów wielkiego Budy, który teraz nauczał tak Indrę jak i Bramę o nowym Zakonie[1] i stał się wcieleniem mądrości najwyższej. Szczątki Budy uwielbiano i stawiano mu ołtarze. Tak dalece moralność, oparta na sankcyi czysto ludzkiej, ostać się nie potrafiła.

Dalsza ewolucya braminizmu dotyczyła moralności, a mianowicie zwróciła się w stronę obowiązku miłosierdzia. Czyny zaś dawnych bohaterów, Ramy i Kryszny, opiewane w epopei, Ramajana zwanej, urosły do znaczenia czynów bożych, a to w ten sposób, że uznano w Ramie i Krysznie wcielenia boga Wiszny. Pojawił się w końcu system filozoficzny, nazwany Joga, tj. zgłębienie rzeczy, który starał się wykazać, że nauka Budy nie sprzeciwia

[1] Burnouf O c. 132—139.

się w gruncie wierze braminizmu, przedstawiał stworzenie świata jako wsiąknięcie duszy świata w materyę, pozostawiał duszom ludzkim samodzielność, ale wyprowadzał pochodzenie ich z łona Bramy, a powrót ich do łona Bramy pojmował nie jako skutek zniszczenia ciała, ale jako skutek medytacyi. Kto wraca do Bramy, ten kres kładzie swej duszy. Łaskawość ludzi jednych dla drugich, chociaż do różnych kast należących, uważał za obowiązek konieczny.

Myśl Hindusów, jak widzimy, przechodziła najróżniejsze koleje; ale w żadnej z nich idea religijna nie rozerwała się z moralnem człowieka zadaniem, pełnienia dobrego a unikania złego.

Persya.

Czem u Hindusów księga święta, Weda, tem były u mieszkańców Iranu tradycye religijne, zebrane w księdze Zenda-Westa. Zoroaster zastał w Iranie cześć bogów światła, powietrza i t. d. a cześć ta przypomina takąż cześć bogów w najstarszych hymnach Wedy. Przyzywano np. tak samo w Iranie opieki Ognia (Agni) przeciw duchom złym, ofiarowano tak samo bogom sok rośliny Soma, przemieniono wreszcie tak samo sok ten żywiący bogów — w boga.

Podczas jednak gdy u Hindusów trwała dawna wiara tylko tak długo, dopóki nie rozprzestrzenili siedzib swych aż za Ganges, ostała się ona w Iranie, wykształciła wybitnie i stanowiła oś doktryny religijnej.

Najdawniejsza wiara Iranu znała Boga dobrego i złego, tj. Ahura Mazdę i Angramajna. Wedle niej, przyszli ludzie na świat nie jako duchy upadłe, ale jako stworzenia nowe Ahura Mazdy. Ahura Mazda odbierał cześć, należną istocie czysto duchowej; on to nakazał geniuszowi słońca, Mitrze, przebiegać przestwór niebieski i pozwolił, aby mu ludzie hołd oddawali. Ahura Mazda zatraca rok każdy, co wyraża w ten sposób Zenda-Westa, „że Ahura Mazda zdeptuje zwierza płodności i potem udaje się na ostateczną krawędź zachodu, gdzie czeka, jako stróż i sędzia, na wszystkich ludzi, którzy umierają“. Mieszkańcy Iranu wyobrażali sobie, że wszyscy zmarli przebiegać muszą tę samą drogę, jaką przebiega słońce. Dusze dobre przyjmował bóg słońca Mitra i wiódł je do krainy szczęśliwości; dusze złe szły nasamprzód do czyśćca, gdzie mogły jeszcze odpokutować za winy żywota ziemskiego.

Wiarę tę dawną rozwinął Zoroaster. Naczelnikiem duchów dobrych pozostał Ahura Mazda i otrzymał miano *sventa*, tj. święty, a naczelnictwo nad złymi duchami pozostało Angramajnowi. Zoroaster uczył, że Bóg stworzył świat dobrym, że zaś złe wprowadził w świat Angramajn. Duchy dobre pomagają ludziom, złe szkodzą im. Ahura Mazda nie walczy jednakże bezpośrednio z Angramajnem, walczą ze sobą tylko duchy dobre i złe, tak jak to opiewała i dawna wiara. Zoroaster kładł walny przycisk na środki, dane przez Ahura Mazdę ku obronie przeciw złym duchom. Tymi środkami były: słowo święte, modlitwa, przyzywanie duchów dobrych a odpędzanie złych, oraz zachowanie czystości ciała i duszy. Zenda-Westa rozróżnia tak samo duszę i ciało, jak wiara Hindusów, wszelako nie uznaje zupełnego przeciwieństwa między światem duchowym. a materyalnym. Zło i cierpienie przychodzi wprawdzie od świata materyalnego, ale tylko od jednej jego strony, tkwi w jednej tylko części natury, a mianowicie, w ciemniach, w kale wszelkim, w trupie, w śmierci. Ta to strona natury podlega duchom złym pod przewodem Angramajna, który pierwszych ludzi, stworzonych przez Ahura Mazdę, skusił do skosztowania owocu zakazanego i zaszczepił przez to w następcach ich grzech. Z niego poszły wszelkie żądze wieczyste, wszelkie zbrodnie i cierpienia i boleści. Tylko przeciw tej złej stronie natury walczyć ludzie powinni, reszta zaś jej służyć im ma ku wzmacnianiu sił życia i ku radowaniu się. Cieleśnie nieczystem jest to, co przeszkadza wzmacnianiu dobrych sił życia, czystem to, co je krzepi. Plamami zaś duszy jest kazirodztwo, kłamstwo, oszustwo i t. d. Zachować czystość duszy nietylko dlatego trzeba, aby uniknąć wpływu duchów złych na ziemi, ale i aby módz wnijść po śmierci do przybytku duchów światłości.

Jak w Indyach, tak i w Iranie wierzono od najdawniejszych czasów w życie pośmiertne, a Zoroaster nadał tylko wyraźniejszą cechę tej wierze. Kto żył czysto, nie dał się skusić złym duchom *(dewom)*, jaśnieje już za życia, a po śmierci dostaje się do krainy duchów światłości. „Dusze, głosił Zoroaster, przychodzą po śmierci, w chwili, gdy wznosi się Mitra na most prowadzący do pozaświata. Tutaj wiodą spór o duszę duchy dobre ze złymi, poczem zapytuje Ahura Mazda duszę, jak się sprawowała za życia. Duszę czystą bierze do siebie grono duchów niebieskich i prowadzi ją przed tron

złoty Ahura Mazdy, a potem do mieszkania świętych — nieśmiertelnych“ [1]. Oto jeden z ustępów księgi świętej Iranu, illustrujący szczegółowo ideę życia pośmiertnego: „Zoroaster spytał raz Ahura Mazdę: duchu najświętszy, stwórco świata, istoto przeczysta, gdzież się podziewa dusza sprawiedliwego w nocy dnia, w którym umarł? A Ahura Mazda odpowiedział: stawa u głowy i odmawia przez dni trzy modlitwy zbawienia. Gdy minie trzecia noc, owiewa duszę woniejący zefir, a wśród tej woni pokazuje się natura zmarłego w postaci dziewicy. Dusza jego pyta ją: któż jesteś, najpiękniejsza? A natura jego odpowiada: jam jest twemi myślami dobremi, twemi uczynkami dobremi. Ty uczyniłeś mię, która byłam miłą, milszą, która byłam piękną, piękniejszą. — Zaledwie głos ten ustał, daje dusza sprawiedliwego krok naprzód i stawa w miejscu, nazwanem dobre myśli, daje krok drugi i stawa w miejscu, nazwanem dobre słowa, daje krok trzeci i stawa w miejscu, nazwanem dobre uczynki, daje krok czwarty i stawa w miejscu, gdzie świeci światłość bez początku“ [2].

Egipt.

Egipcyanie dawni wierzyli, że na początku panował tylko Bóg dobry, i że Bóg zły Seb, później zwany Typhon, zło w świat zaszczepił. Seb starał się zepsuć świat, ale go zwalczył Bóg dobry; poczem przeznaczył duchom złym, aby się wcieliły w ciała ziemskie i aby w postaci ludzkiej oczyszczały się z grzechu. Inna jeszcze tradycya opiewała: że Bóg stworzył niebo różnych sfer, niebo duchowe, ale mu ono nie wystarczało; gdy więc ze sfer niebieskich ujrzał w przepaściach materye, ulitował się nad ich dolą i ukształtował z nich naturę piękną, która wzbudziła podziw duchów niebieskich. I zaprowadził Bóg hierarchię duchów; wyższym pozwolił zarządzać w sferach niebieskich, niższym zaś polecił zarząd nad żywiołami, dał im nadto moc stworzenia innych istot, które, aczkolwiek niższej natury, nadać miały światu materyalnemu więcej wdzięku i rozmaitości. Tak powstały wszystkie rodzaje tworów, wedle po-

---

[1] *Wendidad* VII., 132. XIX., 90, cytowany w *W. Menzla:* „Über die Unsterblichkeitslehre im Alterthume“.

[2] XXII. tegoż *Wendidad.*

rządku. Kiedy jednak duchy owe żywiołowe przekonały się, że im się powiodło stworzenie, wzbiły się w pychę i wkroczyły zbuntowane do przybytków niebieskich. Ztamtąd spojrzały na dół, aliści spostrzegają naturę w postaci tak uroczej kobiety, że nie pytając o nic, schodzą do niej i biorą ją w swe objęcia. Z tego skojarzenia się ducha z naturą wyrodziła się śmierć. Bóg skazał bowiem teraz duchy buntownicze na zamieszkanie w ciałach ludzkich, w których pokutować będą, nim powrócą po odbytej pokucie do świata duchów niebieskich. Duchy buntownicze nie chciały się jednak poddać takiemu losowi i powtórny bunt podniosły. Nie mogły się już przecież wznieść w sfery wyższe, a mszcząc się, zaczęły na złość przekraczać przykazy boże, walały i trapiły naturę, dręczyły ludzi zbrodniami, cierpieniami, wojnami. Poskarżyła się cała natura ziemska przed Bogiem, a on zesłał jej ku zbawieniu jej, emanacyę siebie samego, Ozyrisa, który nowego w naturę tchnął ducha, ale poniósł zarazem dobrowolną ze siebie ofiarę, wstępując w naturę. Co duchy upadłe zrobiły ze złości, tego on dokonał z litości i podczas gdy one wprowadziły grzech w świat, on wybawiał świat od grzechu. Znika corocznie, napomniawszy ludzi aby nie grzeszyli a gotowali się do lepszego żywota przez świątobliwość, aby ufali w jego obronę i czekali pod jego przewodem zmartwychwstania[1]. Egipcyanin wierząc, że jest duchem upadłym, obleczonym w ciało ludzkie, otoczył się mnóstwem nakazów i zakazów, mających go chronić przed wpływami złych duchów i dlatego przedstawia nam się życie Egipcyan w tak wielkim pogrążone formalizmie.

O powolnem rozwijaniu się wiary dawnej daje znać np. rozsada prostego pierwiastkowo pojęcia o człowieku, jako wcieleniu duchów upadłych. Zaczęli bowiem Egipcyanie rozróżniać w biegu czasów w tem samem indywiduum nasamprzód ducha od ciała, potem ducha od duszy, wreszcie dodawali każdemu indywiduum do boku ducha opiekuńczego.

Najcharakterystyczniejszą przecież różnicę wiary Egipcyan a innych ludów starożytnych, stanowiła troska o zachowanie na wieczność ciał zmarłych. Wielu badaczy dziwi się, zkąd Egipcyanie dbali tak bardzo o konserwacyę ciał, skoro życie mieli tylko za próbę

[1] *W. Menzel's:* Unsterblichkeitslehre des Alterthums.

i mało je cenili. Inni badacze wyrównać chcą ten kontrast w ten sposób, że wnioskują, iż życie wieczne nie znaczyło u Egipcyan nic więcej, jak wieczną wędrówkę dusz na ziemi egipskiej i ich tamże zmartwychwstawanie. Nie mamy pretensyi do rozstrzygania kwestyi tej, wszelako tyle jasnem nam się widzi, że w żadnej wierze dawnej nie istniała tak urobiona całość przepisów moralnych i taka sankcya dobrego i złego. Po śmierci stawał — wedle wiary Egipcyan — każdy człowiek przed sąd Ozyrisa i 42 sędziów niebieskich. Cnotę i niecnotę zmarłego ważyło to kollegium na wadze i wyrok wpisywało w księgę zmarłych. Zmarły, uznany za sprawiedliwego, łączył się z Ozyrisem, brał udział w jego bóstwie. Na ziemi trwać miał ród ludzki dopóty, dopókiby dusze upadłe, których oni wcieleniem, nie zostały zbawione. A czas ten przyjdzie kiedyś, a wtenczas przestanie też znikać corocznie Ozyris i zakróluje na wieki wieków nad zmartwychwstałymi.

Jak sobie wyobrażali Egipcyanie stan duszy po śmierci, aż do chwili zmartwychwstania powszechnego, wnioskować można z odszukanych różnych dokumentów. I tak np. przedstawia nam księga śmierci, przechowywana w Turynie, sceny z życia spokojnego rolnika obok sądowego wyroku, wydanego o człowieku sprawiedliwym przez sędziów pod przewodem Ozyrisa. Mamy także po muzeach okazy dawnych grobowców, na których umieszczone są sceny, dotyczące losu dusz potępionych. Jedna z tych scen przedstawia nam wypędzenie potępionego w postaci świni, druga symbolizuje grzesznika w innych postaciach zwierzęcych, wedle miary przestępstw podsądnego.

Nad Eufratem.

Dawne religie krajów położonych nad tą rzeką, mało są dotąd znane, chociaż archeologiczne poszukiwania nie przestają gromadzić coraz liczniejszych danych, zdolnych choć w części wniknąć w ów świat zamierzchły. Przytoczymy tutaj dwa z napisów, znalezionych ostatnimi czasy na kamiennych płytach wśród zwalisk assyryjskich, a które najoczywiściej stwierdzają związek moralności z religią. Jeden z tych napisów brzmi: „Panie, mnogie są winy moje, wielkie są grzechy moje, więc gniew Boga zesłał na mnie chorobę i niemoc. Panie! nie opuszczaj sługi swego wśród fal burzy, uchwyć go za

rękę. Grzechy, jakie popełniłem, pokryj pobłażliwie". Inny napis brzmi: „Związ z niebem chorego, gdyż porwany ma być ze ziemi. Dzielnego człowieka moc idzie na zagubę, wiernemu słudze nie wraca siła. Jest on ciężko chorym w ziemskiej swej powłoce. Ale otóż zaniepokoiła się o niego bogini Isztar, zstępuje z krainy górnej nieznana ludziom i stawa u drzwi jego. Chory pyta: kto tam? — To ja — odpowiada — Isztar, córa boga Lema, to ja, Marduk, syn Bela. I zbliżają się do łoża chorego z czarą wziętą ze skarbu niebieskiego i wlewają w nią płyn świetlany. Niechże się teraz podniesie mąż ten sprawiedliwy, niech zabłyszczy jak ta czara, niech szaty jego zajaśnieją jak czyste srebro, niech świeci jak miedź, niech się wzniesie do słońca, najwyższego z bogów i niech słońce, Bóg najwyższy, przyjmie w swe święte ręce jego duszę".

Grecya.

Dość powszechnie ustalona opinia o odłączeniu w dawnej Grecyi religii i moralności, na dwóch opiera się faktach. Nasamprzód, że nie istniała w Grecyi żadna urzędowa nauka religii, żadna księga święta, żadne objawienie boże, na któreby się odwoływano. Funkcye kapłańskie były tylko liturgiczne; kapłan miał tylko obowiązek pilnowania świątyń, wypełniania ceremonij i sprawiania ofiar. Kult był czysto zewnętrzny, składał się z formuł modlitewnych i obrzędów tradycyjnych, mających na celu przebłaganie zagniewanych bogów, zaskarbienia sobie ich łaski, otrzymanie od nich dóbr materyalnych. Powtóre odwołuje się opinia owa na to, iż ponieważ legendy i opowieści mitologiczne przedstawiały w świetle tak niegodnem bogów, nie grali oni też roli stróżów moralności. Mieli namiętności czysto ludzkie i w nich się lubowali, spełniali rzeczy, które w oczach poczciwszych ludzi istotnemi były zbrodniami!

Można istotnie sądzić na pierwszy rzut oka, że religia tak mało moralna nie mogła w żaden sposób służyć za jakąbądź podstawę moralności, że więc nie pozostawało sumieniu ludzkiemu, jak odłączyć moralność od religii. Tymczasem kto z uwagą przejrzy literaturę grecką z epoki poprzedzającej rozwój filozofii, napotka ślady powszechnej u Greków idei, że moralność opiera się na religii, że bogowie są mścicielami zbrodni, że sprawiedliwość idzie z nieba. Z drugiej strony zauważymy, że mieli przecież Grecy instytucye,

które pierwiastkowo przynajmniej służyły do podsycania wiary w łączność moralności z religią, a temi instytucyami były t. zw. *mysteria*, opiewające o życiu pozagrobowem i środkach zbawienia. Nareszcie zwrócimy uwagę na to, że obznajomienie się coraz dokładniejsze i coraz obszerniejsze z pomnikami sztuki greckiej, pozwala nam lepiej ocenić niejeden mit, pozbawiony właściwego znaczenia bądź przez uprzedzenie i rutynę, bądź też przez bujną wyobraźnię krytyków.

Aby wydać sąd bezstronny o wartości śladów, jakich dostarczają teksty, trzeba mieć na uwadze dwie okoliczności. Nasamprzód, że teksty te mieszczą się w autorach, którzy nie pisali ani w celu pouczania, ani w intencyi bronienia zasad. Niewiele jest wprawdzie tych tekstów, ale każdy z nich ma więcej wartości jako wskazówka o stanie umysłów greckich, aniżeli długie dysertacye. Powtóre rozważyć trzeba, że chociaż Grecy nie objawiali w swych obyczajach przejęcia się ideą sprawiedliwości bożej i życia przyszłego, mogli mimo to wierzyć w pewne zasady religijne. Uczy nas bowiem doświadczenie codzienne, że ludzie praktykują przepisy religii, a przecież i w mowie i w życiu dbają jak najmocniej o rzeczy tego świata. Nie powinno tedy zadziwiać, że poeci greccy odwoływali się stokroć częściej do chwały i interesów, aniżeli do bojaźni bogów, z drugiej zaś strony nie powinno się stąd zaraz wnioskować, że bojaźń bogów nie istniała wcale w Grecyi, że nie ważyła na szali jej zwyczajnego życia.

Jakież więc są ślady w starych autorach o stosunku religii do moralności? W Odyssei opowiada Eumejusz Ulissesowi o orgiach pretendentów i dodaje: „zapomnieli snać o zemście bogów, a bogowie nienawidzą uczynków złych, bo kochają sprawiedliwość". Kiedy już się zemścił Ulisses, nie szczyci się ze zemsty i oświadcza, „że wrogowie zginęli z woli bogów i dla złych uczynków". Wyladowawszy na ziemię fenicką pytał sam siebie „czy dostał się do ludzi niesprawiedliwych i okrutnych, czy też do takich, co chwalą bogów i świadczą gościnność?" Hezyod, odnosząc do Zeusa zakon sprawiedliwości, mówi: „Syn Saturna rozkazał rybom, ptakom i zwierzętom, aby się pożerały nawzajem, ludziom zaś dał zakon sprawiedliwości, który jest czemś daleko lepszem". Tenże Hezyod grozi karami Zeusa nietylko tym, którzy łamią przysięgi, ale i tym, któ-

rzy cudzołożą, pozwalają na odarcie sierot, bezczeszczą ojca i niesprawiedliwości się dopuszczają. Dodaje nadto, że miasta całe ponosić muszą nieraz karę za jednego winowajcę. Aratus pisał: „wszystkie ulice i place pełne są Zeusa, pełne są jego morza i ziemie, a my jesteśmy jego dziećmi“. Solon przyzywa Zeusa do usankcyonowania praw, nadanych Ateńczykom. Zeus jest stróżem przysięgi i obrońcą skarżących się; nadaje powagę królom, czuwa nad państwami, z jego imieniem na czele wydają sędziowie wyroki. Lirycy opiewają go, jako źródło sprawiedliwości. Pindar mówi [1]: „szczęśliwy, kto znając prawdy Eleuzyńskie, zstępuje do grobu, albowiem zna koniec życia, zna i początek z bożego nadania“. Tenże Pindar sławi także w wymownych słowach zakon niebieski i wieczny, rządzący wszystkiem co śmiertelne i co nieśmiertelne, zlewający się z wolą Zeusa. Myśl tę Pindarową oddaje pięknie Sofokles, gdy każe przemawiać Antygonie, oskarżonej o pogrzebanie zwłok brata przeciw wyraźnemu prawu. „Tego prawa — mówi Antygona — nie nadał Zeus, ani sprawiedliwość, siedząca u boku bogów podziemnych. Nie mniemałam, aby prawa wasze mogły być tak potężne, iżby łamały prawa bogów niewzruszone, istniejące nie od dziś ni od wczoraj, ale po wszystkie czasy i bez początku. Nie miałam obowiązku narażać się na karę bogów przez szacunek dla rozkazów ludzkich. Wiem, że mię czeka śmierć. Jeśli umrę przedwcześnie, będzie to dla mnie łaską, ale gdybym była pozostawiła bez pogrzebu ciało brata, nie utuliłabym się w żalu“. W Edypie [2] mówi Sofokles: „król Olimpu jest ojcem zakonu duchowego. Zakon ten nie pochodzi od człowieka i nic go nie zniweczy. W tym zakonie jest Bóg jakiś, Bóg wielki, który się nie starzeje“. W tragedyach występują Erinye, chwytają winowajcę, prześladują go krzykiem i przekleństwy i skłaniają do przyzwania śmierci. Nigdzie nie objawia się lepiej charakter pierwotnej moralności greckiej. Erinye przedstawiają wprawdzie sumienie miotane wyrzutami, ale jest to sumienie objektywe, dane przez Zeusa, przez tego co dzierży berło sprawiedliwości. Jeśli później uśmierza się wściekłość Erinyów to dlatego, że bóg inny wstawił się za prześladowanym. Był nim

[1] III., 128 wydanie Heynego.
[2] V., 863.

Apollin, bóg-zbawca, który uwalnia Oresta od Furyi. Pojawia się więc bóg karzący i bóg przebaczający.

Życie po śmierci maluje nam Hezyod pod rządami Saturna wśród wysp szczęśliwych. Tam umieszcza on cnotliwych. Zbrodniarzy zaś w piekle, gdzie karę ponoszą. Później przybiera idea zapłaty pośmiertnej formę wybitniejszą. Pitagoras i jego uczniowie rozpowszechniają wiarę w wędrówkę dusz, nie niszcząc idei kary i nagrody.

Straszliwie zmysłowe, a często i sprosne opowieści, jakie już za czasów Homera obiegały o bogach, przekształcanie przez poetów allegoryj na przygody lub przestępstwa bogów i bogiń, podkopywały wiarę starą i wywoływały reakcyę. Potrzeba pociechy wśród cierpień, nieszczęść i niebezpieczeństw, leży w naturze człowieka, w naturze jego sumienia. Ona to wytworzyła już wcześnie *mysteria*. I ta instytucya wśród płochego ludu Hellenów, pod wpływem przekwitłej już i zepsutej Azyi, uległa wcześnie skażeniu i służyła w końcu za narzędzie i zasłonę najgorszym natury ludzkiej popędom. Ale nie ulega wątpliwości, że pierwotna myśl misteryów była moralną i to w połączeniu z myślą o Bogu, nieśmiertelności i zbawieniu.

Powstały one nasamprzód tam, gdzie panował jeszcze szacunek rzetelny dla religijności i przypadały zwykle w święta wielkie doroczne, w które zgromadzeni pielgrzymi zanosili modły do bogów o opiekę, o odwrócenie złego a przychylenie dobrego, o pomyślny plon i t. d. i śpiewali hymny na cześć błogosławionego słońca. Życie pobożne łączyła i wyobraźnia Greków z zatrudnieniem rolniczem. Jako człowiek sieje ziarno i o nie dba, tak i Bóg stwarzając człowieka, dba oń po śmierci. Rola nieobsiana zachodzi chwastami, ztąd wartość porządku społecznego, własności i praw, którym odpowiadają obowiązki. Jako celem rolnictwa plon, siew zaś tylko wtenczas wydaje owoce dobre, gdy dbał o niego dobry siejbiarz, tak też tylko prawe małżeństwo daje plon błogosławiony dzieci. Czczono przeto w misteryach Demeter, wszech-macierz, jako naczelne bóstwo żeńskie.

Misteryami najdawniejszemi zdają się być Eleuzyńskie. Tak w Eleuzis, jak w Syrakuzie i innych siedliskach misteryi, różne adeptów istniały stopnie. Dla pierwszego stopnia żądano tylko sprawiedliwego żywota; ideę nieśmiertelności duszy objawiano tylko

epoptom, t. j. błogosławionym. Kto wstępował do misteryj, musiał się najprzód oczyścić i ku temu istniały mnogie i ścisłe przepisy. „Trzykroć szczęśliwy — mówi Sofokles — kto wprowadzony został do przybytku misteryów, gdyż otrzyma, gdy zstąpi do krain podziemnych, przywilej błogosławionogo żywota. Dla drugich pozostaje chyba srom i nędza“.

Psyche znaczyła duszę w ziemskiem ciele, zbawioną po mnogich cierpieniach przez miłość niebieską, praświatło, pod imieniem Erosa; motyl, unoszący się nad postacią Psyche, był symbolem duszy tak przed urodzeniem, jak i po śmierci człowieka. Wizerunki mnogie Erosa i Psyche, jakie nam przekazała starożytność na sarkofagach, urnach, czarach, gemmach, wskazują na to, że myśl naczelna tych wizerunków należała do nauki misteryów i służyła wtajemniczonym do ożywienia wiary w życie przyszłe. Była to zapowiedź błogosławionego odrodzenia po życiu sprawiedliwem.

Dyonizos uchodził w misteryach, czci swojej poświęconych, za oczyszczonego z grzechu; wyobrażano sobie, że przyjął poniżenie swe nietylko jako dobrowolną pokutę, ale i jako jedyny środek, umożebniający dokonanie wybawienia ludzkości. Same jego narodziny, jak je przedstawiano w misteryach, mieszczą głębszą myśl moralną. Semele, ulubiona Zeusa, zapragnęła oglądać jego majestat, ale gdy się w nim ukazał, zginęła w płomieniu. Zeus uratował jednak syna, urodzonego z płomienia, Dyonizosa. Jako Semele zapragnęła oglądać Zeusa i dlatego zginęła, tak syn jej zapragnął pokochać piękność ziemską, zniżył się do materyi, i dlatego pochłonięty być musiał przez nią. A była to materya jeszcze surowa, uosobiona w micie o Tytanach i nabrała dopiero wyższego znaczenia organizmu, gdy spłynął w nią duch.

Grecy nie ograniczyli na ród ludzki myśli wyzwolenia, ale ogarniali nią świat cały. Wskazują na to wizerunki na grobowcach, urnach, i. t. d.[1]. Widzimy na tych wizerunkach idealizowanie nietylko ludzi, ale całej natury. Rośliny pojęte są tam jako podstawa życia organicznego i Dyonizos przedstawiony bywa zwykle zrośnięty z wegetacyą. Widzim go także zrośniętego ze światem zwierzęcym, uosobionym w Silenach i Centaurach. — Dyonizos, wyzwoliwszy

[1] *Braun:* Griech. Götterlehre 487.

całą naturę uosobioną w Ariadnie, schodzi do krain podziemnych, aby matkę Semele wprowadzić do nieba. Grecy łączyli także z temi misteryami myśl przemiany ograniczonego w czasie bytu w wieczną swobodę i harmonię, a na uzmysłowienie tej myśli wybrali wino. Wino było symbolem, mającym moc zrównania ludzi przez wspólnie uczutą błogość, przypominającym szczęśliwość złotego wieku. Z czary odrodzenia iść miało zapomnienie realności ziemskiej. Misterya Eleuzyńskie rozróżniały ziemię i niebo, czas i wieczność; celem ich było rozbudzanie i podtrzymywanie wiary w życie pośmiertne. Misterya Dyonizosa starały się nie o to, aby zwalniać ludzi z pęt ciała, ale o to, aby torować drogę przemienieniu luzi przez przejmowanie się błogością boską.

Misterya trudniły się więc pielęgnowaniem idei życia pośmiertnego, oraz pielęgnowały ideę moralno-religijną — oczyszczania. Wszelako tkwiły idee te nietylko w misteryach; musiały one poruszać i serca. Czytamy bowiem w autorach o winowajcach, szukających w różny sposób oczyszczenia się z grzechów. Jedni zgłaszali się do kapłanów arkadyjskich, zwanych psychagogami, którzy uchodzili za znawców obrzędów pokutniczych, drudzy korzyli się u stóp Zeusa-Phyksiosa, trzeci posyłali do Apollina Delfickiego, z prośbą o zadanie sobie pokuty. Prócz tego przebiegali Grecyę kapłani Wschodu, zwani orpheotelestami, którzy uchodzili za posiadających środki oczyszczenia grzeszników. Wierzenia te zabobonne znikały przecież w miarę rozpowszechniania się wpływu szkół filozoficznych i ostały się chyba u prostego ludu, dokąd nie przedarła się jeszcze oświata i literatura. Plato wspomina, że za jego czasów drwiła wprawdzie większa część Greków z nauk kapłanów o życiu pośmiertnem, że jednak w razie niebezpieczeństwa lub śmierci zdejmował ludzi strach przed Hadesem i uciekali się wtenczas do różnych praktyk, obiecujących zbawienie.

Możnaby tu zarzucić, że owa spójnia moralności z religią nie możebną była w obec opowieści sprosnych o bogach i w obec formy, często aż ohydnej, kultu samego. Ale przyzwijmy doświadczenie codzienne na pomoc. Widzimy, że najsprzeczniejsze pojęcia istnieć mogą w głowach ludzkich, zwłaszcza niewykształconych i niereflektujących w sposób oderwany. Zastósowawszy to doświadczenie do owych czasów mniemamy, że mogła i u Greków istnieć

obok siebie mitologia, pełna zmysłowości, i idee religijne wznioślejsze. Zresztą sumienie, które z natury swojej potrzebuje Bóstwa, piastującego zakon moralny i pragnie sankcyi życia pośmiertnego, dosyć się już przez to objawiło w Grecyi, że ludzie trzymali się bądź co bądź tradycyjnego kultu? Mógł Zeus nie zasługiwać na rolę stróża moralności, ale był nim i sumienie idealizowało go, abstrahując od przypisywanych mu przez poetów przywar. Posąg Zeusa olimpijskiego dłuta Fidyasza, może tu służyć za okaz tego przemienienia bogów greckich. Legendy i opowieści mitologiczne niweczyły i walały postać Zeusa, artysta wielki odnalazł ją i oczyścił.

Rozstrój, rosnący między moralnością a religią, obejmując coraz obszerniejsze koła, musiał wszelako w końcu wybuchnąć z cała siłą. Filozofia powstała i rozpowszechniła się w Grecyi, nie troszcząc się o kult tradycyjny i o charakter wierzeń religijnych. Xenofanes, wystąpiwszy przeciw wielobóstwu, głosił, że jeden jest tylko Bóg, wieczny i niezmienny Pan światów. Anaxagoras zaledwie uratował życie, ucząc, że słońce jest tylko masą gorejącą, a nie bogiem Heliosem. Równolegle podkopywał dawną wiarę charakter niemoralny legend mitologicznych w chwili, gdy się ocknęła w umysłach samodzielność myślenia. Mity, pierwotnie allegoryczne, zamieniły się były w obrazy konkretne, przedstawiające bogów i boginie z czysto ludzkiemi żądzami. Kiedy n. p. w Homerze napotykamy takie opowieści, jak o miłości Cerery dla bohatera Jazona, którego spotkała na uprawionem po raz trzeci polu i z którym miała syna Plutona, to jeszcze sens allegoryi przejrzysty: Cerera znaczyła rolnictwo, Jazon usilną pracę około roli, a Plutus plon bogaty. Wkrótce jednak do tego przyszło, że miasta, na podstawie opowieści mitologicznych o krewkości bogów i bogiń, zaprowadzały instytucye, służące złym chuciom i występkowi. Tak n. p. dla naśladowania przykładu Zeusa, miasto Samos zakładało domy i czasy rozpusty. Jedna z opowieści opiewała, n. p., że Zeus mieszkał lat 300 z Junoną, zanim się z nią ożenił; nuż mieszkańcy Samos biorą ztąd pohop do zaprowadzenia u siebie instytucyi wolnych miłostek. Plato pisze o pewnym synie, co wytoczywszy proces ojcu, powoływał się na przykład Zeusa, który zrzucił z tronu Saturna. Ten sam Plato przestrzega ziomków, aby nie naśladowali złodziejstw boga Merkurego. Dość przeczytać

Eurypidesa i Arystofanesa, aby się o tem przekonać, że w przekonaniu Greków oświeconych mitologia ostać się nie mogła.

Nikła tedy religia i moralność, skarykaturowana przez poetów, a sprowadzana do zera przez szkołę sofistów. Pojawia się wówczas Sokrates, zbija sofistów, sprowadzając ich wywody do *absurdum* i podnosi w nauce moralności znaczenie sumienia. Ono to, nauczał Sokrates, działa w człowieku jako jego geniusz (δαιμόνιον). Najwyższem dobrem człowieka nie jest szczęście, ale cnota, będąca fundamentem szczęścia. W miejsce Zeusa mitologicznego, stawia Sokrates Boga, jakiego głosił niegdyś Anaxagoras i dowodzi jego istnienia przez wskazywanie celowości w naturze i przez fakt, że ludy wszystkie wierzą w jakiegoś najwyższego Sędziego i Pana. Od tego czasu filozofowie stawali się coraz bardziej kierownikami sumień. Wielobóstwo stało się zabobonem gminu, moralność utraciła styczność wszelką z liturgią i religią gminną, ale nie z religią istotną. Filozofowie wyparli się bogów Olimpu, ale przynieśli wyższe i czystsze o Bóstwie pojęcie. Platona spirytualizm religijny stworzył ważny moment w rozwoju myśli greckiej. Usiłował on zreformować kult, naprawić jego niedostatki, zboczenia i wybryki, wytłumaczyć głębsze znaczenie bogów i legend mitologicznych, wytworzyć pojęcie wznioślejsze o Bogu i idącej zeń moralności, któreby i ludzie oświeceni podzielać mogli, a któreby zarazem przeistoczyć zdołało zbutwiały kult gminu. Za najwyższą ideę stawiał Plato ideę dobrego. „Jak słońce, mówi on[1], „nietylko jest wogóle przyczyną, że widzimy w świetle wszystkie „rzeczy, ale i przyczyną wzrostu i rozwijania się tych rzeczy, tak „i dobro najwyższe taką ma potęgę i piękność, że nietylko wytwarza „w duszy ludzkiej umiejętność, ale też daje istnienie i prawdziwość „wszystkiemu, co stanowi przedmiot umiejętności. A jak słońce nie „jest samo w sobie tem co widzi, ani tem co jest widzianem, ale „jest po nad obojgiem, tak też Dobro najwyższe mieszka ponad „umiejętnością i prawdą, a umiejętność i prawda nie zlewają się „z niem, lecz są tylko rzeczami dobremi". — Idea Dobra jest przyczyną ostateczną poznawania i bytu, idealności i rzeczywistości, stoi przecież po nad poznawaniem i bytem[2]. Że Plato Boga i ideę naj-

[1] Respubl. VI., 506.
[2] Respubl. VI., 508–517.

wyższego Dobra miał za jedno, że miał na myśli Boga osobistego, wnioskować ztąd można, że występował silnie z ideą religijną Boga, przeciw antropomorfizmowi rozbujałemu w mitach, i że starał się wywieść onę ideę, tak jak Sokrates, z celowości w naturze i z potrzeby wiary w jakiegoś Boga najwyższego, uczuwanej przez wszystkie ludy. Ta zarazem tkwi myśl we wszystkich Platona wywodach, że rozumność duszy wskazuje na coś boskiego w jej naturze. Duszę pojmował Plato jako coś pośredniego między duchem a ciałem. Będąc złączona z ciałem, bierze udział w jego ruchu i jego zmianach i o tyle jest znikomą; o ile przecież bierze udział w poznawaniu, o tyle ma coś z rozumu Bóstwa. W Teetecie mówi: „Podobni mamy być Bogu, ale nie równi", z czego wynika, że podścielisko idei Dobra miał Plato za niepochwytne dla ludzi; a tylko jego manifestacye, mianowicie w umiejętności, cnocie i pięknie, uważał za przystępne. Sprawiedliwość pojmował Plato jako regulatorkę duszy i węzeł spajający inne cnoty. W jednem miejscu swej *Respubliki* wznosi się do takiego uobrazowania sprawiedliwości: „Niech „sprawiedliwy ogołoci się z wszystkiego, nawet z oznak zewnę„trznych sprawiedliwości i zostawi sobie tylko jej umiłowanie. Niechaj „będąc niewinnym, obarczon zostanie wszystkimi zarzutami zbrodni; „niechaj doświadcza bezustannie hartu cnoty, przypatruje się walce „jej z bezcześcią i towarzyszącemi bezcześci męczarniami. Niechaj „idzie śmiało naprzód aż do grobu, zawsze fałszywym sądem ludz„kim ścigany, a przecież zawsze tak samo cnotliwy; niechaj się po„święci na rózgi i katusze i niechaj nareszcie, wszelkich doznawszy „cierpień, umrze za prawdę, jak gdyby był złoczyńcą, najsromotniejszą „z śmierci, śmiercią na krzyżu" [1].

Arystoteles był może pierwszym, który usiłował zbudować system moralności na podstawach czysto ludzkich i na motywach czerpanych z doczesności. Potężny ten geniusz stworzył znakomity ze stanowiska danych naturalnych system moralny, ale zimny głos rozumu nie przyniósł lekarstwa na wzmagający się rozstrój — i przynieść go nie mógł.

Rzym.

Religia pierwotna Rzymian była pełna prostoty. Nie przyczepiła się do niej była mitologia, na kształt greckiej i chociaż żadna księga

[1] Respubl. II.

święta nie istniała u Rzymian, chociaż nie istniało i urzędowe nauczanie moralne, odwołujące się do objawienia bogów, wyobrażenia religijne rzymskie służyły lepiej od greckich za podstawę moralną. Przemieniać się wszelako dość wcześnie zaczęła religia pierwotna pod wpływem powabnych i zmysłowych legend mitologii greckiej. Zachowali wprawdzie bogowie Rzymu swe nazwy, ale przybrali charakter bogów greckich. Enniusz, jeden ze starszych poetów rzymskich, przetłumaczył z powodzeniem książkę Ephemera, która opiewała, że cała mitologia jest tylko wykrzywioną wiarą pierwotną, zasadzającą się na czci bohaterów. O wiele później Lukrecyusz w świetną szatę ubrał naukę Epikura, która wykluczała bogów od wszelkiego wpływu na świat. Cycero oświadczał, że kto się obeznać chce z obowiązkami i uregulować mądrze życie, zgłosić się winien nie do kapłanów, ale do filozofów. W dziele: „O obowiązkach“ nie stawia on obowiązku *par excellence*, tylko obowiązki stósować się mogące do okoliczności życia. W dziele: „O naturze bogów“ mówi wprawdzie o Stwórcy najwyższym, ale nie podaje bliżej, jak Boga pojmować, gdzie go szukać po stworzeniu świata. Obstając wszelako przy istności Boga, uznaje pewne względem Niego obowiązki, które streścił później Seneka w maksymie: *Si vis propitiare deos, bonus esto.* W dziele: „O prawach“ mówi: „Prawo moralne jest „to duch Boży. Boski rozum nakazy daje, a gdy raz się zaszczepi „w duchu człowieczym, wytwarza prawo. Ponieważ zaś rozum jest „w Bogu i w człowieku, istnieje więc podobieństwo drugiego z pierw„szym“. W książce: „O „rzeczypospolitej“ [1], mówi: „Za„kon powszechny, wieczny, niezmienny, naucza dobrego, zakazuje „złego. Nikt zachwiać zakonu tego nie potrafi innym jakimbądź, „ani nie potrafi ująć na jotę jego znaczenia. Ani lud, ani senat „rzymski nie zdołają nas zwolnić z winnego dlań posłuszeństwa. „Tłumaczy on sam siebie i jest ten sam w Rzymie, co w Atenach; „dziś, jutro, wszędzie i zawsze, niezmienny, święty, a wraz z nim „Bóg, który go ustanowił i uświęcił, Pan i Król światów“.

Dość powyższych przytoczeń by wykazać, że jak w Grecyi, tak i w Rzymie filozofia opanowawszy świat intelligentny, wyparłszy z przekonania mitologię i gminne zabobony, nie „zsekularyzowała“

[1] IV., 17.

jednak moralności, ale jeszcze więcej uwydatniła jej zależność od Bóstwa i związek z religią. Z drugiej strony, zważając szlachetne usiłowania tej filozofii starożytnej, podziwiając sumę prawd moralnych, do jakiej się wzniosła, jest się uderzonym widokiem jej niemocy, brakiem żywotności i wpływu na ogół. Arystoteles, ten geniusz w najwyższym stopniu organiczny, zbudował wspaniały ideał wzorowego męża; postawił i Cycero ideał doskonałego obywatela, nakreślili później i Seneka i Epiktet i Marek Aureliusz zarysy wzniosłej moralności; mimo to, nie wpłynęły te wszystkie usiłowania na zreformowanie zepsowanego społeczeństwa. Varro drwił z mnogich systemów filozoficznych, skoro nie zgadzają się ze sobą w kwestyi najwyższego Dobra, będącego ostateczną moralności teoretycznej podstawą. Brakło im oto formuły obowiązku. Zwalczyli byli formułę dawniejszą: posłuszeństwa woli bogów i bojaźni ich kar; a na jej zastąpienie mieli tylko rozumowania, które nigdy nie opanowują społeczeństw, mianowicie gdy zmierzają nie do rozbudzenia, ale do okiełzania namiętności. Ich teorya moralna miała wprawdzie wewnętrzną relacyę do Bóstwa, ale tylko naukową, teoretyczną; brakło jej zewnętrznej powagi nakazu z góry. Mówili: bądźcie moralnymi, żeby się Bogu podobać, ale nie mogli powiedzieć: Bóg nas posłał, żeby was o tem pouczyć.

Ludwik Zychliński.

EMIGRACYA NASZYCH WŁOŚCIAN.

(Dokończenie).

Domyśleć się można, ile podobne opisy werbują ochotników. Nieufniejsi pytają jednak, czy to tylko prawda? „bo papier mówić nie może, a ci co z Ameryki wrócili, skarżą się nieraz na doznaną biedę“. Nie trzeba jednak sądzić, aby wyłącznie tak grubo materyalistyczne odgłosy w onych się znajdowały listach. Bywają i bardzo rzewne, a wszystkie noszą cechę niezatartą i niezatraconą charakteru polskiego włościanina. Każdy zaczyna się od słów: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, a bardzo często kończy jak modlitwa, kościelnym wyrazem *Amen*. Wśród najpotoczniejszych doniesień lub najpoziomszych szczegółów stale odnajduje się wiadomość, że kościół niedaleko; jeden np. opisuje żonie, jakie ma wygody, kończy w ten sposób: „Jestem jeno sam polak w tem mieście, a l e d o „k o ś c i o ł a m a m b l i s k o. Teraz tylko kochana żono ciebie i swoje „dzieci pozdrawiam po tysiąc razy i jestem twoim mężem aż do „grobowej deski. Amen“. Rodzima ludu naszego poczciwość prześwieca w każdym liście, czasem bardzo nieudolnie nakreślonym, bo strach jak skażoną nieraz pisane polszczyzną. Do niemieckich naleciałości przybywają anglicyzmy, częstokroć najdziwaczniej spolonizowane. Jeszcze zrozumieć łatwo, gdy mowa o s z y f i e, trudniej gdy znów okręt przedzierzgniony w s i w, a stopa tłumaczona niemieckim f u s e m. A dalej przy opisie zajęć rodzinnych dowiadujemy się, iż jeden pracuje w s z o p i e z powodzeniem prawdziwem, rozwożąc po domach towary wedle zwyczaju ameryckiego dostawiania na miejsce każdemu co tylko zażąda. A więc tu szopa tłumaczeniem sklepu, s h o p. Są i p o l i s m a n y i r e n t y i mnóstwo z angielska spolszczonych wyrazów. Trudniejsza sprawa z tym,

który donosi, że pracuje w lumperjardzie. Po długiem rozmyślaniu nad tą zagadką, doszedłem na końcu do przekonania, iż to nie co innego jak lumberyard, skład desek w porcie. Nie można się dziwić temu skażeniu mowy, nietylko zważywszy na dłuższy pobyt na obczyźnie, ale jeszcze przy częstych z cudzoziemkami związkach. Jeden np. chłopek żeni się z francuzką i „francuziątka" przywozi pokazać dziadusiom we wsi rodzinnej pozostałym. Inny poślubia angielkę, i dopieroż bieda jak się tu z panią bratową rozmówić, gdy przybywa reszta rodzeństwa z Polski! Ale najczęściej żenią się jednak między sobą, lub piszą do kraju, aby im rodzice lub krewni upatrzyli i przysłali oblubienicę. Jeden, zda się lubownik flamandzkich piękności, koniecznie prosi o „coś tłustego"; wyraźnie uroda sielska głównie na wagę się mierzy. Inny zapraszając brata obiecuje mu niezawodne powodzenie i kończy w tych słowach: „Potem sobie razem swoje panny z Polski ściągniemy do siebie i przy jednym stole sobie razem wyprawimy wesele, ale tak huczne, że choć nas będzie kosztowało 200 talarów, to aby będziemy wiedzieli że nas wiele kosztowało nasze wesele". W tym samym liście prosi o książkę do nabożeństwa, ale ładnie oprawną i zamykaną, choćby sześć marek kosztować miała.

Nie byłby zadowolniony książe Bismark z mana, jakie się w tych listach dostaje zjednoczonym Niemcom, nazwanym bez ogródki *Reichshungerland*. To pisze pewien siodlarz. Z górnego Szlązka jakiś znów młynarz opisuje w czarnych kolorach co to jest w rodzinnym kraju robotę stracić a czego w Ameryce można się nie lękać. „bo w Szlązku taki ścisk co jeden drugiemu kawałek chleba od ust wydziera, co brak pracy a ludu straszna moc". Niejeden donosi, jako go „febra amerykańska pobiera", bo dostał listy od swoich, którzy „już mają własne mieszkanie i po kawale ogroda, mają księży i nauczycieli katolickich i dziękują Panu Bogu, iż są inakszemi ludźmi jak w Prusach". Mały urzędnik gospodarski taki np. dostaje list od brata: „Miejsce dla ciebie mieć będę i to niedługo, przy„szlę ci *szyfkartę* i pieniędzy na drogę. Ja biorę tygodniowo jako „*commis voyageur* angielskiej fabryki żelaza 45 dolarów tygodniowo, „a wiesz że o tem pojęcia nie miałem, bo równie jak ty za marne „600 marek się marnowałem przy gospodarce. Przyjedź, to się prze„konasz, że w Nowym Świecie lepiej".

Któż się takiej zdoła oprzeć pokusie i na takie obietnice głuchym zostanie? Tym co wrócili, już się w kraju nie podoba: „bo nie ma takiej jak tam wolności“. Mówią że wrócili nie z biedy, ale z tęschności za rodzicami, których przed śmiercią zobaczyć chcieli, ale zawsze o Ameryce myślą. Nie rzadko listy od wierszowanej zaczynają się formułki:

Idź listeczku w dalekie kraje,
I zanieś tam nasze obyczaje,
A gdy przyjdziesz koło proga,
Najprzód się ukłoń i pozdrów Pana Boga.

Albo w odmiennym nieco waryancie:

Siadam do stołu tu mego
I piszę do serca twego.
Piszę cię liście, a idź mi sporo,
Byś mi zastał dzieci, żonkę zdrową,
A gdy to pismo zajdzie do waszego proga,
To niech pochwali Pana Boga.

I znów w końcu wierszyk od niechcenia, że nagryzmolił:

Bo już słońce zaszło,
I światło mi zgasło,
I pióro się złamało
I spać mi się zachciało.

Obyczaje „ameryckie“ nieraz jednak gorszą naszych włościan. Jeden zacząwszy list od tego że mu się dobrze powodzi, i że byle zdrowie służyło, w dwa, trzy lata tysiąc bitych do kraju przywiezie, dodaje: że „choć mi się wiedzie i roboty nie brak, wrócę do swo„jej ziemi, bo w Ameryce jest 77 w i a r ó w (wiar). Choć nawet jeden ro„dak z Cz... zna religię a już Boga przeklina i powiada: tu Boga „nie ma. Tak kochany bracie, w Ameryce życie dla ciała jest do„bre jak ma robotę, a jak nie ma roboty, to ot zdychaj. A dusza „jak chce“. Dalej przyznaje, że prędzej się dojdzie do grosza jak w Prusach, byle mieć robotę, a kończąc prosi, aby co źle w jego piśmie wybaczyć, bo ręce od młota 25-ciofuntowego zgrubiały. Inny pisze: „Donoszę ci kochany bracie o świętach u nas; otóż ze „świętami tak jest jak i z nami; kiedy my się braćmi rodzili, to „braćmi zostaniemy aż do śmierci, a kto się katolikiem rodził, to „o świętach nie zapomni aż do śmierci“. Inny jeszcze donosi, że „niedzielę tu srodze dobrze obchodzą, nawet kolej żelazna nie cho-

„dzi, pijaków tyla nie zobaczy, szynkownie pozamykane. Ale za to „żadne święto nie będzie od amerykanów święcone, chyba od takich „co z Prus pochodzą; a dobry katolik, to jeszcze święto święci, ale „żaden amerykanin święta nie święci, oni w to nie wierzą".

Ztąd zgorszenie dla naszych, a nawet utrapienie, bo w fabrykach roboty z świętem nie ustają. Kto raz zaświętuje, zaraz go odpędzają. A nawet na Wielkanoc całego dnia po fabrykach nie szanują. Za to narodowe amerykańskie święta obchodzą bardzo uroczyście, a to w przeciwstawieniu do gwałcenia świąt kościelnych jeszcze bardziej lud nasz oburza. Bezwyznaniowość jest też w powietrzu; czują to dobrze nasi emigranci, i z wyjątkiem miejsc, gdzie są szkoły i kościoły polskie, wracają niekiedy z miłości dla dziatek, „aby się nie stały poganami". Tego niedostatku w Chicago np. nie czują, gdyż tam nacieszyć się nie mogą „pięknemi kazaniami i na„bożeństwem, tak urządzonem, iż kto chce, może być w kościele przed „pracą na mszy św. i wieczorem na nauce", tam też istnieje stowarzyszenie św. Michała, w którym przy śmierci męża żona dostaje jakiś fundusz, a mąż przy śmierci żony. Chwalą sobie nadto, że w Ameryce każdy jest wolnym obywatelem, podczas gdy „w naszym „nieszczęśliwym kraju każdy musi być sługą rządu". Jeden biedak opisuje ciężką podróż, jaką odbył z drobną a liczną dziatwą, świeżo przez zgon matki osieroconą na szyfie, gdzie jechało tysiąc osób. Za wylądowaniem część dzieci wymarła, inne długo chorowały, o zarobek było w zimie trudno, ale się nareszcie znalazł przy zamiataniu śniegu na torze kolejowym; potem inny przynośniejszy; i już w dalszym ciągu listu z lutego b. r. znana znów powraca piosenka, „że w Ameryce chleba, ani mięsa nie upragnie". Zaprasza więc kumotrów za morze, zwłaszcza doróżkarzy znajomych mile pozdrawia — wyraźnie sam był doróżkarzem — a co najrzewniejsza, śle pozdrowienia mogile niedawno straconej małżonki: „ja niebo„szczycę żonę, a dzieci matkę swoją umarłą pozdrawiają".

Może zbyt luźnie zebrane i podane są powyższe odgłosy, ale z nich najlepiej potrafi sobie czytelnik własny sąd wyrobić, nie naginany żadnym komentarzem ni uwagą. Przesuwają się przed oczyma wszystkie możliwe zatrudnienia i zarobki, wyplatanie krzeseł, furmanienie, wszelkie rzemiosła, usługa po kolejach i prywatnych domach, prace w kopalniach i przy fabrykach, w portach

i w głębi kraju. Wszędzie płaca wysoka, a przy twardych nawyknieniach naszego ludu, przy braku zupełnym wykwintniejszych potrzeb i wymagań zysk łatwy i prawdopodobny. Oczywiście, wiele zależy od pomyślnych okoliczności, bo w Ameryce bardziej jeszcze aniżeli w starej Europie, „łut szczęścia lepszy od funta rozumu". Ale jednozgodne otrzymujemy świadectwa, iż kto tam w biedę bez wyjścia popada, kto wraca bez zarobku, kto nie znajduje odpowiedniego zajęcia i wynosi się spiesznie z Ameryki, to chyba taki, który nie chce pracować, lub co zbroił. Na zrównoważenie powyższego ustępu, który wyglądaćby mógł na popieranie ruchu emigracyjnego, kiedy z wręcz przeciwnym zamiarem do niniejszej zasiedliśmy pracy, chciałoby się dobrać mniej optymistycznych odgłosów, i czarną stronę wychodztwa w jaskrawszych jeszcze wystawić barwach. Atoli prawda przedewszystkiem uszanowaną być winna, nawet wbrew osobistym przekonaniom. Z pośród licznych listów z Ameryki, jakie mi z różnych stron łaskawie dosłano, mała tylko liczba na smutniejszą zawodzi nótę, rzadko kiedy z nich widmo nędzy wychylać się zdaje. Tyle pewnego, że stosunki się rdzennie zmieniły w ostatnich latach, i że choć jeszcze trafia się niekiedy list z wiadomością, „iż tu więcej zarobię przez dwa miesiące, niż w Prusach przez cały rok", znać, że interesa emigrantów nie tak idą jak dawniej. Fala wychodztwa całego świata zalała poniekąd całą północną Amerykę, a choć jeszcze są pustkowia do zaludnienia i uprawienia, jednak i tam zaczyna być ciasno dla spółzawodnictwa ludzkiej pracy. Okazała się w ostatnich latach superprodukcya zboża, do tego posunięta stopnia, iż koloniści *Far Westu*, zniechęceni niskością cen i powolnym zbytem ziarna, nieodchodzącego tak szybko jak dawniej, znaczne przestrzenie niegdyś uprawiane zostawili w tym roku odłogiem. Obwód rolniczy Washingtonu do tego stopnia zacieśnił pola niegdyś obsiewane, że tegoroczne żniwo w każdym razie dać musi co najmniej 36 milionów hektolitrów ziarna mniej, aniżeli w latach poprzednich. Ale zapóźnione to odmiany, dla Europy to coś nakształt „umarłemu kadzidło". Nie trzeba jednak sądzić, aby tylko starego świata dzierżawy systematycznie były niszczone przez konkurencyę Ameryki. Jeśli może być odrobina pociechy w myśli, że więcej podobnych nam znajduje się ofiar, że w obecnej chwili tak samo Ameryka południowa jak i Europa zrujnowaną jest przez wszechpotężne

Stany Zjednoczone, to godzi się przypomnieć to ogólne dziś prawo fatalnej konieczności, ażeby przynajmniej odjąć naszym rolnikom nieco goryczy, choćby przez jawne udowodnienie, iż niema ich winy w powszechnym dziś materyalnym upadku. Ale w dziejach idzie zawsze pewna Nemezys, i rujnująca dziś wszechświat cały Ameryka północna, prawdopodobnie sama ulegnie ruinie, gdy się dalej rozwinie uprawa zboża w Indyach. Za pięć lat najdalej wszystkie targowiska zalane zostaną tak olbrzymią falą indyjskiego ziarna, otrzymywanego bez zachodu i nakładu, a więc jeszcze więcej zbezcenionego niż amerykańskie, że w obec tego zalewu handel rolniczy całego świata upadnie, a wtedy i Stany Zjednoczone nie wyłączą się z pod ogólnego prawa. I dziwnie jest rzeczywiście pomyśleć, że to ludzka praca, poprawiająca dzieło Stwórcy, że to plany i roboty Europejczyka, Lessepsa, otwarciem nowych dróg handlowych przez Suez i Panamę, przyczynia się głównie do zrujnowania całego świata podkopaniem opatrznie urządzonej dotychczas równowagi produkcyi i dostawy!

Wewnętrzne, polityczne stosunki Ameryki północnej przyczyniają się obecnie do zastoju w interesach, o którym i listy naszych chłopków poświadczają. Wszyscy na początku bieżącego roku i w ciągu przeszłego jednaką zawodzili skargę: „Latoś idą kiepskie zarobki, „dlatego że nie ma króla w Ameryce, tak jak w Prusach, aby był „wiecznie król po królu, tylko co cztery lata obierają innego i na„zywają prezydentem. To latoś idą kiepskie zarobki, bo ten stary „(Arthur) żadnych nie wydaje robót. Fabryki tanio płacą, a nikt za „tanie pieniądze nie chce robić, i dlatego wiele fabryk stoi pozamy„kanych". Inny pisze: „Nam się w tym roku licho powodziło, bo „ten co rządził Ameryką, to go zastrzelili, a rządził jego na„stępca, i licho szły roboty. Ale teraz się spodziewamy, że będzie „lepiej, że obrali inszego króla, i tak samo katolika, tylko nie w pol„skim języku". W tem ostatniem zdaniu przegląda pojęcie naszego ludu, zespalające katolika z Polakiem a nazywające Miemcem każdego różnowiercę. Wybór prezydenta Clevelanda ogólne snadź budzi nadzieje. Oto np. list z marca b. r.: „Czasy są nie za bardzo, „co jest wina temu, że prezydent, czyli zastępca króla, jest obierany „tylko na cztery lata. To ten ostatni rok zawsze są ciężkie czasy. „Ale zeszłej jesieni był obrany nowy prezydent, a dnia wczorajszego „objął krzesło, więc teraz spodziewamy się lepszych czasów".

Czy się te nadzieje spełniają? — nie wiadomo. Ale już w grudniu 1884 r. jeden z emigrantów pisał, że „o robotę trudno i dużo tysięcy ludzi wyjeżdża z Ameryki do swych starych krajów“. Na Szląsk miało wrócić przeszło tysiąc wychodźców z lat dawniejszych, jeśli ta wiadomość jest pewną.

Pewien garncarz, który obiecywał swoim złote góry, cały zastęp nowych emigrantów ściągnął. Ale jakież było ich rozczarowanie, gdy zastali go w biedzie, która i ich udziałem się stała. Zmiany bowiem losu tak są częste i nieprzewidziane w Ameryce, iż nigdy nie wiadomo, czy się pomyślność ustali, czy rozwieje. Pewien młody chłopak, „febrą amerykańską“ oddawna trawiony, otrzymawszy od szwagra szyfkartę, popłynął za morze na początku roku. Ale rychło mu obrzydły tameczne stosunki, pisze więc do matki, aby za nim nie płakała, „bo w Ameryce nie zginę i do was wrócę. „Tylko pieniędzy nie mam, a tu robota kiepska. Więc pojadę sobie „dalej, do Filadelfii, lub Pittsburga, bo najlepiej jest w Ameryce, „gdy o człowieku nikt nie wie, tylko ojciec i matka, bo w Ameryce „to nie ma ani brata, ani siostry, bo człowiek musi sobie być sam „bratem i siostrą. Bo w Ameryce to człowiek jest wszędzie dobry, „jak ma pieniądze, a jak nie ma pieniędzy, to ani brata, ani siostry „przy nim nie ma. Bardzo mi markotno, że ja jechał do Ameryki, „bo ja żebym wiedział jak tu jest, to bym więcej nie jechał. Ale „teraz dowiedziałem się, więc wam wszystkim odradzam Amerykę, „i po milion kroć was pozdrawiam, a zostańcież mi wszyscy zdrowi, „co daj Boże Amen“.

Najbardziej desperacki jest list poniższy z Nowego Jorku, pisany w kwietniu b. r. Pisze go jakiś młody chłopak, ścigany dla wojskowości, co go zniewala chronić się do Ameryki, ale bez ochoty i przekonania, jak się z jego pisma wykazuje: „Podróż była bardzo „nieprzyjemna, ponieważ bardzo wielkie panowały burze, dwadzieścia „dni jedną podróżowaliśmy linią. Nie będę wam opisywał okropności „tej podróży, bo wiem żebym was zatrwożył, tylko podam kilka „słów o tej tak zachwalanej ziemi obiecanej. Przybywszy na ląd ame„rykański z kilkoma groszami, które mi jeszcze pozostały, pomyśl „tylko, com miał sobie począć, gdy po przebyciu trzech dni nie „znalazłem żadnego zatrudnienia i pieniędzy ani feniga nie miałem. „Wtedy dopiero okropna boleść powstała w mem sercu, gdym roz-

„myśliwał, gdzieby się przenocować dnia tego, i tak samotnie sie-
„działem na ławie; aż tu przychodzi pewien pan z hotelu i pyta się
„o młodego człowieka, podskoczyłem z radości i przedstawiłem się
„iż nie mam żadnej roboty, na co mnie przyjął z pensyą 4 dolla-
„rów... Więc tak okropnie jest w Ameryce w porze zimowej, gdzie
„w samym Nowym Jorku, co nie kłamię, bez zatrudnienia było 85.000
„ludzi. Ludzie odbierają sobie życie z nędzy na ulicach, tak okropna,
„mój drogi szwagrze, jest ta ziemia obiecana. Siostra dostała zatru-
„dnienie na pensyi, jako służąca, z 8 dolarami miesięcznie; ja wprawdzie
„jako służący miałem 4 dolary tylko, ale teraz w sali gdzie ostrygi
„są na sprzedaż i do otwierania, biorę miesięcznie 10 dolarów. Życie
„tu bardzo niespokojne, z powodu zepsutego ludu, bo tu bardzo
„wielkie zabójstwa panują. Są też bardzo pobożni ludzie, gdzie nie
„tak dużo jest zepsutego. Kościoły bardzo kosztowne, nawet wewnątrz
„z czystego marmuru. Także i dosyć pobożnych, zakonnych i ducho-
„wieństwa".

Czasem, choć materyalnie dobrze się emigrantowi powodzi, tęsknota w listach gorzką przebrzmiewa nótą. Pewien wieśniak pisze do „swojej kochanej małżonki Franciszki", że mu nie źle idzie, że był na farmie u jednego Anglika, gdzie mu było bardzo dobrze, brał 15 dollarów na miesiąc i wikt, tylko praca ciężka, a teraz dostał się do Schenandoale (?), gdzie dużo Polaków ze wszystkich stron: „z pod Moskala, z pod Austryaka i z Prus, można się roz-
„mówić i jest polski ksiądz proboszcz, i mają Polacy swój kościół
„i jest dosyć przyjemnie", ale ciągła obawa czy owoc tej ciężkiej pracy doszedł rąk żony. „Więc będziesz miała wyżywienie z temi
„dziećmi, tylko proszę cię, żebyś dała baczność na te dzieci, żeby
„one krzywdy nie miały, bo ja dobrze wiem, że jak ojca nie ma,
„to każdy na dzieciaku się utknie, jak na sierocie. Proś Pana Jezusa,
„żeby mi dał zdrowie i szczęście, żebyśmy się jeszcze mogli ujrzeć i sobą
„się nacieszyć. Oj Boże! oj Boże mój! jak smutno w świecie ojcu
„przez dzieci i przez żony! W dzień i w nocy zawsze myślę
„sobie o swojej Franusi i o dzieciach, i niech każdego Bóg broni
„się rozstawać z swoją wierną małżonką; jest to boleść i tęsknota
„w dzień i w nocy, rozerwać miłość, i Pan Bóg wie, czy człowiek
„się ujrzy z swoją wierną małżonką; bo to Ameryka nieszczęsna,
„jak wielu już w niej życie zakończyło dla marnego grosza. Kończąc

„to pisanie, pozdrawiam wszystkich krewnych, kumotrów, sąsiadów. „Bądźcie mi zdrowi, aż do zobaczenia się z wami".

Na tym poczciwym liście zamkniemy szereg naszych przytoczeń z wiejskich korespondencyj, łaskawie nam udzielonych. Czytelnik sam konkluzye i wnioski wyprowadzić zechce z tych odgłosów amerykańskich. Tyle pewnego, że nie rychło jeszcze wstrzyma się ludzka fala, prądem wieku parta ku hurtownym wędrówkom. Choć Stany Zjednoczone okazują się w tej chwili mniej dla emigrantów sposobne, mniej w powodzenie bogate i pewne, nie dla tego jeszcze wychodztwo ustanie. — Zmieni ono tylko koryta i kierunki, zwróci się ku południowi, gdzie już dawniej, choć mniej liczni do Brazylii emigranci donosili: że tam zarobek dobry, wszelka swoboda; że mają kościoły, szkoły i polskich księży, i konie i gospodarstwa do 90 mórg. Tylko klimat dotąd odstraszał nieco, a żółta febra dziesiątkowała. Utrzymały się wszelako niektóre osady i kolonie polskie, a hrabia d'Ere, najbliższy krewny cesarza brazylijskiego, a dziewierz ks. Adama Czartoryskiego, zwiedzając owe okolice, znalazł je w kwitnącym stanie i kilku polskiemi słowami cieszył dobrowolnych wygnańców. Obecnie Argentyna ponownie zaprasza i nęci europejskich emigrantów, a doskonałe warunki klimatyczne licznych jednają i ustalają osadników. Nareszcie i Patagonia, dotąd bezludna i ugorem leżąca, otwiera się dla spekulacyi, zakładaniem olbrzymich, na wzór australskich Runs'ów, utrzymywaniem tysięcy owiec na dzikich pastwiskach tej pustej krainy. Bodaj i tam zajdą nasze Polaczki, bo gdzie ich nie ma? W Puntu Arenas, porcie cieśniny magelańskiej, do niedawna proboszczem był polski Reformat, czy Bernardyn, ojciec Matulski..

Cokolwiek bądź, w obecnych warunkach naszych społeczno-politycznych, wychodztwo transatlantyckie dotkliwszą jeszcze dla nas jak dla innych narodów jest klęską. Tracimy najlepszy, najzdrowszy element w kraju, a przerzedzenie się naszych szeregów sposobi do przegranej na zagrożonych posterunkach. Przytem ten dobry, poczciwy, niezrównany w swej rodzinnej zacności kmieć polski, wystawia się samochcąc na przeróżne szwanki. Dobrobyt nieraz wprawdzie, choć nie zawsze znajdzie, ale dla kraju, dla mowy ojczystej, dla wiary i Kościoła nie rzadko ginie. Jeśli się dostanie w strony, gdzie nie ma Polaków, nie ma katolików, powoli zatraci

narodowe piętno, religijne w nim usną potrzeby, materyalizm amerykański go owładnie — dzieci już będą tylko yankesami — a daj Boże aby prócz narodowości nie postradali całkiem i wiary. Wielu z wychodźców już w portach niemieckich na parowcach Lloyda ulegnie najgorszym wpływom i podszeptom. Dla żeńskiej zwłaszcza części emigracyi, owe porty i statki bywają nieraz grobem cnoty i uczciwości. Wspomniałem już, że 10 procent wychodźców ginie. Jeśli przyjmiemy cyfrę pół miliona Polaków osiadłych w Ameryce, już otrzymamy sumę 50,000 takich straconych biedaków, o których żadna wieść żałobna ni pomyślna nie doszła krewnych, jakoby w wodę wpadli. Czy zginęli w nurtach morza czy w fali nędzy, któż odgadnie?

To pewna, że Polacy w Ameryce stale do najcięższych i najniebezpieczniejszych używani są robót. Inni emigranci płyną za morze aby łatwiejszego szukać sposobu życia, Polacy aby jak najznojniej pracować. Gdziekolwiek w kopalni lub fabryce nastąpi katastrofa, wśród ofiar najwięcej zawsze bywa polskich nazwisk. Przytem nasi nie znają zwykle żadnego prócz własnego języka, i nim się nieco po angielsku lub niemiecku nauczą, padają ofiarą wyzyskiwaczy i wydrwigroszów.

Powinnością więc klas przewodnich jest nawoływać do pozostania w kraju; a nie tylko nawoływać, ale też pracować, gdzie można i jak można, nad uchyleniem niedostatków, które lud nasz wypierają z ojczyzny; obmyślać hojniejsze środki zarobku, pomnażać i wspierać przemysł domowy i fabryczny; nie szczędzić na to przemyśliwań, zachodów i ofiar — bo tu idzie o moralne ratowanie tego ludu i o samą podstawę naszego narodu.

Kiedy w pewnych miejscowościach występuje przeludnienie, albo niemożliwość pomnożenia zarobków stósownie do potrzeb ludności, można jeszcze, przed ostatecznością emigracyi zamorskiej urządzać i kierować emigracyami we własnym kraju, z miejsc przeludnionych, do innych — jakich nie mało w Polsce — gdzie brak ramion do pracy. U nas w Księstwie, pod obuchem nieprzyjaznego rządu, trudniejby takie dzieło na większe rozmiary przeprowadzić; ale w Galicyi, gdzie i prywatna inicyatywa swobodna i rząd jest krajowy, nie widzę dlaczegoby nie mogło powstać w tym celu stowarzyszenie, albo czemu Władze nie miałyby się

zająć takim przesiedlaniem nadwyżek ludności, czy to z Prus czy z części Galicyi stosunkowo przeludnionych. Chociaż nie jest w naszym ręku prąd emigracyjny w całości powstrzymać możemy go jednak osłabić, zmniejszyć krajowi wiele utrat, a marzącym o wychodztwie wiele nieszczęść oszczędzić.

W końcu i tym których już ta zaraźliwa „gorączka Ameryki“ opanowała i których nic już nie powstrzyma, można i powinno się nieść pomoc, chroniąc ich przed agentami przedsiębiorstw parowcowych i towarzystw amerykańskich, i kierując ich wyjazdem tak, aby w możliwie najlepszych warunkach, z jak najmniejszą szkodą materyalną i moralną, do kresu swej pielgrzymki dobili. W tym celu warto wiedzieć i rozszerzać wiadomość o stowarzyszeniu, które w obec rosnącej emigracyi zawiązało się w Niemczech.

Troskliwy o dobro swych dzieci Kościół, na każdą epokę i potrzebę osobne znajduje źródła zaradcze. Trynitarze powstali w czasach najazdów bisurmańskich, aby z jasyru choćby kosztem własnej wolności wykupywać chrześcijańskiego niewolnika. Srożące się zarazy wywołały zastęp sług szpitalnych Jana Bożego; ubóstwo ogołoconej z dóbr doczesnych Stolicy apostolskiej wzbudziło po wiekach przerwy cudowną ofiarność wiernych składających znów ochotnie Świętopietrze. Na gorączkę emigracyj zamorskich ta dobra Matka ustanowiła podobnież osobną pomoc i miłosierną instytucyę. Stowarzyszenie św. Rafała Archanioła, towarzysza wędrówki młodego Tobiasza, a zatem patrona podróży i podróżujących, powstało przed 12 laty, i odtąd nie przestaje błogich wydawać owoców, z których niestety! nasi wychodźcy zbyt mało korzystają. Na czele stanął znany z katolickich uczuć Karol książe Isenburg Birstein, przewodniczący komitetowi, w którego skład wchodzą dalej hrabia Ludwik Arco Zinneberg, hr. Praschma, Feliks von Loë, Freiherr von Frankenstein, Dr. Lingens i kilku innych, może nie mniej zasłużonych, ale mniej znanych. Główny cel stowarzyszenia jest raczej moralnego, aniżeli materyalnego zakresu. Przedewszystkiem chodzi o to, aby emigrantów na daleką drogę krzepić pomocą Sakramentów śś., chronić religijnie przed niebezpieczeństwami duszy i ciała, i zakładać w głównych miastach portowych rodzaj zakładów misyjnych, któreby w przejeździe opiekowały się wychodźcami. Statuta nadzwyczaj proste zapraszają członków do niesienia jałmużny mo-

dlitwy i grosza ku wskazanemu celowi. Jak w każdem niemal stowarzyszeniu, i tu widzimy dwie klasy członków, rzeczywistych, czynnych, oraz honorowych. Czynni członkowie składają co najmniej 1 markę rocznie, honorowi do 6-ciu marek, lub też jednorazowy datek 8 talarów. Tak honorowi jak czynni uczestniczą w przywilejach duchownych stowarzyszenia.

Każda dziesiątka członków tworzy osobne kółko, z którego jeden zbiera składki i powierza je miejscowemu proboszczowi, do przesłania ich naznaczonemu w każdej dyecezyi mężowi zaufania, lub też wprost na ręce którego z członków komitetu. Każdy z członków rzeczywistych codziennie następną modlitwę powtarza w zjednoczeniu z stowarzyszeniem i na onego cele: „Wysłuchaj o Panie prośby nasze, i otocz swem błogosławieństwem drogę sługi swego, ażeby w każdej przygodzie życia i podróży Twą opieką mógł się cieszyć Amen. Najśw. Panno Maryo, opiekunko podróżników na morzu, św. Rafale, módlcie się za nami". Wystarczy mówić tylko jedno Ojcze nasz i Zdrowaś Marya, z wezwaniem: „św. Rafale Archaniele, módl się za nami".

W każdej miejscowości, gdzie co najmniej dwa kółka, czyli dwie dziesiątki członków się znajdują, na dniu 24 października, czyli w święto bł. Archanioła Rafała, lub też następnej niedzieli, odprawia się msza św. na intencyę emigrantów i członków bractwa, zapraszając tych ostatnich, aby zechcieli na intencyę biednych wychodźców komunię św. ofiarować. W niemieckich dyecezyach biskupi wziąwszy pod swą opiekę nowe stowarzyszenie, polecili władzom parafialnym w niedzielę po dniu 24 października corocznie zbierać składkę na bractwo św. Rafała. Papież Leon XIII. udzielił odpustu zupełnego członkom stowarzyszenia w dniu św. Rafała lub następnej niedzieli, po dopełnieniu zwykłych warunków. Podobnież odpustu zupełnego wszystkim chrześcijanom obojej płci, którzy emigrując w dalekie strony oddają się pod opiekę Stowarzyszenia św. Rafała, a mianowicie w dniu wyjazdu, pod zwykłymi warunkami, w każdem niebezpieczeństwie śmierci, po przyjęciu ŚŚ. Sakramentów a w razie niemożności, za wezwaniem ustami lub sercem ze skruchą doskonałą najświętszych imion Jezusa i Maryi.

Kartki wpisowe rzewnym układem za serce chwytają. Święty Archanioł prowadząc za rękę rodzinę wychodźców, wskazuje na

bezmierne morze i stojący na kotwicy statek. W górze unosi się Najśw. Panna z podpisem: *Ave Maris Stella!* Na odwrotnej stronie kilka słów pełnych miłości wyjaśniają właściwy cel stowarzyszenia, „które pragnie wychodźców zasłonić radą i pomocą przed grożącemi im a przeróżnemi niebezpieczeństwami. Wszyscy ci, którzy rok rocznie tysiącami własne opuszczają zagrody, aby w Ameryce nowej szukać ojczyzny, są zaiste pożałowania godni. Ale skoro już zawiodły usiłowania wstrzymania ich od wychodztwa, miłosierdzie chrześcijańskie pragnie osłodzić im mnogie i ciężkie duszy i ciała niebezpieczeństwa i tem się zajmuje, aby jeżeli któremu z nich grób w falach morskich miał się otworzyć, mógł śmierci w oczy spojrzeć bez trwogi żadnej i spokojnie. Niejeden lekkomyślnie na tę daleką wybiera się wędrówkę, atoli widok ogromnego morza i pamięć grożących stąd niebezpieczeństw wystarcza, aby u każdego wzbudzić chęć oczyszczenia swego sumienia i uregulowania swych rachunków z Panem Bogiem. Główne porty emigracyjne Hamburg, Bremen i Liverpool są wszelako protestanckiemi miastami, co utrudnia spełnianie chrześcijańskich powinności; zaczem okazała się potrzeba założenia w powyżej wymienionych miejscowościach osobnych misyj, aby ułatwić emigrantom przysposobienie się chrześcijańskie na tak daleką podróż. A gdy stowarzyszenie zdoła przeprowadzić, aby żaden katolik w innych warunkach nie puszczał się na morze, wtedy cel swój osiągnie, i wielką zasługę, wielką nagrodę mieć będzie u Boga“... Składki pieniężne na to się gromadzą, aby owe misye portowe utrzymywać, oraz naznaczać mężów zaufania, którzy czynem i radą przychodzą w pomoc emigrantom.

Nasi chłopi prawie nigdy nie puszczają się w „świat“ inaczej, jak po dopełnieniu swych chrześcijańskich powinności, każdy z wychodźców polskich, jak to już wspomniałem, przed opuszczeniem wioski rodzinnej, zakupuje mszę św. na intencyę swej wędrówki, idzie do spowiedzi, ukrzepia się Ciałem i Krwią swego Zbawiciela. Stowarzyszenie św. Rafała pod tym tedy względem niema potrzeby się troskać o naszych chłopków, którzy się nie ruszą bez pojednania się z Bogiem, i nieraz z najdalszych okolic niemieckich wracają, aby wielkanocnego dopełnić obowiązku. Ale nie jest to wyłączny cel stowarzyszenia św. Rafała. Aby poznać choć w części onego działalność, wystarczy zaczerpnąć nieco wiadomości z prze-

mowy p. Teodora Meynberga, który, jako mąż zaufania bractwa św. Rafała w Hamburgu, tak na ostatnim wiecu katolików szląskich przedstawiał stan i cele umiłowanej przez się instytucyi. Najprzód wylał on słuszne skargi na obojętność ogólną dla tak dobroczynnego stowarzyszenia. Prywatnie nieraz otrzymują oni wyraz szczerego żalu, iż mianowicie polscy wychodźcy n i c o rzeczonem nie wiedzą bractwie, że ani prasa, ani plebani wiejscy nie wspominają o niem; pod pozorem, iż będąc przeciwnikami emigracyi, nie chcą jej ułatwiać, ani się nią zajmować. Ależ gdy nie udało się zatrzymać w domu biednych wychodźców, cóż właściwszego, jak polecić ich mężom zaufania, którzyby nad pierwszemi potrzebami duszy i ciała tych błędnych owieczek radzili? Gdy raz już własne opuścili siedziby, jedni tylko członkowie stowarzyszenia św. Rafała mogą jakiejkolwiek udzielić im pomocy. Cyfry najlepiej wyjaśnią działalność bractwa. Referat p. Meynberga obejmuje tylko to co się zrobiło za pośrednictwem stowarzyszenia do początku zeszłego roku. Otóż w Bremen, Antwerpii, Roterdamie i Hamburgu bractwo odpowiedziało na 30.000 listów; opiekowało się 160.000 emigrantów, udzieliło mieszkania 50.000. W nabożeństwach uczestniczyło 140.000 wychodźców, kommunikujących było 20.000. Polecono zamorskim mężom zaufania 150.000 emigrantów. Skontrolowane rachunki, depozyty i zmiany pieniędzy dorosły sumy sześciu milionów marek. Pod względem materyalnym te dwa ostatnie punkta osobne mają znaczenie. Nieznający się na wartości obcych pieniędzy wieśniak, zbyt często bywa oszukany, a jak już wspomnieliśmy, za wyładowaniem w Ameryce najcięższych nieraz doznaje kolei, lub wyzyskiwać się daje przez spekulujących na siły jego i pracę. Nad tem głównie czuwają znów delegaci bractwa w portach amerykańskich. Szczęśliwy emigrant, który dostawszy się pod opiekę św. Rafała, przechodzi tak z ręki do ręki wiernych sług Tobiaszowego towarzysza.

Niestety! tak mało dotąd wiedzą o istnieniu owej dobroczynnej instytucyi, nawet w Niemczech, że na 89, 415 emigrantów, którzy z portu Hamburskiego w zeszłym odpłynęli roku, zaledwie t y s i ą c zgłosiło się do biór stowarzyszenia św. Rafała!

Przemowa p. Teodora Meynberga rozdziela się na trzy części; pierwsza bada przyczyny emigracyi, druga pyta o rodzaj wychodzących

z kraju ludzi, trzecia obejmuje to co dla nich może i powinno robić Towarzystwo św. Rafała.

Mniej więcej wyczerpnęliśmy dwa pierwsze pytania, ale może nie będzie bez ciekawego znaczenia dodatek kilku jeszcze szczegółów i faktów, z doświadczenia p. Meynberga zaczerpniętych. „Czemu wędrujesz?“ — pytał on np. pewnego wieśniaka z Nadreńskich prowincyj. — „bo mi wypowiedzianą została suma hypoteczna, której w żaden sposób własnymi środkami wypłacić nie mogłem. Nikt też we wsi nie chciał, czy nie mógł mi pożyczyć żądanej kwoty, z wyjątkiem znanego lichwiarza, i to na 12 procent. Musiałem tedy sprzedać grunt, i po zapłaceniu pomienionej sumy nie zostało mi, jak 2000 marek na podróż do Ameryki z żoną i sześciorgiem dziatek“. Dalej wspomina p. Meynberg o pewnym młynarzu ze Szlązka, wędrującym z czworgiem dzieci, dlatego że nie mógł zaspokoić lichwiarza inaczej jak odstąpieniem mu swego młyna. Krewni nie chcieli widzieć powinowatego w podrzędniejszem położeniu, złożyli się tedy na koszta podróży, aby go wraz z dziećmi za morze wyprawić.

„Czemu emigrujesz?“, pytał znów innym razem pewnego pomocnika murarskiego z Prus Zachodnich. „Bo przy ostatnich wyborach dałem głos na mego proboszcza. Straciłem wtedy zarobek u przeciwnej partyi, i musiałem chwycić za kij wędrowczy, a zarazem namówiłem trzynaście pokrewnych osób, żeby ze mną ruszały za morze; rozporządzamy wszyscy razem 4000 marek.“

Już powyżej z zapisków pana Meynberga wyciągnęliśmy skargi polskich emigrantów, narzekających na lichy zarobek i stosunki kościelne i szkolne tak w Księztwie, jak w Prusach Zachodnich. Prześladowania skutkiem wyborów są nader częstym powodem emigracyi, zwłaszcza z tej ostatniej prowincyi, jak to p. Meynberg udowadnia. „Tu, w *Reichshungerlandzie* — jak znów niejeden emigrant nazywa dziś niemiecką ojczyznę — nigdy nie dojdziemy do własności“. Inni znów t. j. mali posiadacze i kupcy szlązcy, na odjezdnem o powód emigracyi badani narzekali mówiąc: „Brniemy w długi, mimo oszczędnego życia i ciężkiej pracy, dlatego więc udajemy się za morze“. Takich wypadków zachodzą tysiące; oto jest jedna z stron kwestyi socyalnej, której z chrześcijańskiego obowiązku należy w oczy spojrzeć, a nie umywać sobie od niej rąk, pod pozorem, że się jest

przeciwnikiem żebractwa; wszakże nikt u nas od żebraka nie odwraca oczu, owszem, każdy rad z pomocą spieszy, aby go dźwignąć z otchłani nędzy i niedostatku.

Zdaje się, iż samemuż nawet zasłużonemu stowarzyszeniu św. Rafała uczyniono zarzut podawania zbyt chętnej ręki emigrantom, i przez to ułatwiania jeszcze hurtownej za morze wędrówki. Powiedziano dalej, iż nie wszyscy zasługują na pomoc i jałmużnę, że niegodnych nieraz spotyka wsparcie członków bractwa. „Zapewne — odpowiada na ten zarzut p. Meynberg — wychodzą za morze lekkomyślni, próżniaki, awanturnicy obojej płci, ale obok nich iluż poczciwych, dobrych ludzi odpływa do Ameryki, a mianowicie: rodziców, spieszących na wezwanie swych dzieci, małżonek, jadących wraz z dziatwą połączyć się z mężem i ojcem, braci i sióstr zatęsknionych za rodzeństwem, sierót bez opieki, udających się pod skrzydła pozostałych a spółczujących zdala i litościwych krewnych. A dalej, ileż to zakonnych osób, ilu kapłanów ostatni lat dziesiątek wygnał za morze? Ileż wciąż cnotliwej młodzieży śpieszy na obczyznę, aby tam módz poświęcić się zawodowi uniemożebnionemu i utrudnionemu dziś w kraju! Ile nareszcie poczciwych rolników, rzemieślników, robotników zasługujących na opiekę i pomoc!

Opieka ta dla niejednych zapóźno przybywa; statystyka wykazuje, iż skutkiem emigracyi setki i krocie dusz odpadają od jedności z katolickim Kościołem, z powodu przenoszenia się w okolice, gdzie nie znajdują religijnej pomocy, wśród protestanckiego otoczenia. Umywanie sobie nareszcie rąk od zajęcia się losem w chrześcijaństwie wychowanych wędrowców, gdy ci wystawieni są na moralne i materyalne szkody, w złych gospodach i na złych okrętach, to zaiste nie jest chrześcijańskim uczynkiem. Bywają bowiem statki i gospody, gdzie nietylko ludzi nad przepisaną liczbę i miarę ładują i pakują, ale ich jeszcze moralnie psują i do złych obyczajów zachęcają!

Więc jakaż na to rada? najprzód jałmużna grosza i modlitwy, a następnie staranie, aby żaden katolik nie opuszczał europejskich wybrzeży, nie uciekłszy się wprzódy pod skrzydła bractwa św. Rafała. Jest to może jedyny sposób, aby lekkomyślną emigracyę powstrzymać, lub odpowiednio nią pokierować. Wiadomo, ile jest głośnych reklam, afiszów i anonsów, obiecujących ziemię złotodajną

i żyzną za darmo, lub za bezcen. Towarzystwo św. Rafała usiłuje rozwiać te złudne mamidła i od lekkomyślnych odwodzić postanowień. Powodzenie bywa zwykle rozgłośnem, niepowodzenie w zapomnieniu ginie. O tych, co się dobili chleba i własności w Ameryce, wszyscy wiedzą; o tych, którzy tam przepadli bez wieści, z nędzy i głodu umierając, nikt nie słyszy. A ilu takich bywa, najlepiéj wie towarzystwo św. Archanioła. Gdy więc kto zapuka do drzwi ludzi zaufanych, naznaczonych w głównych portach niemieckich, holenderskich i angielskich, znajdzie u nich niezawodną pomoc, opiekę, uczciwą gospodę, porządny statek, pomoc w zakupnach, wypłatach, zmianie pieniędzy, a co najlepsza, polecające listy do zamorskich członków bractwa, którzy znów przybyłców przygarniają, obmyślają im szybki zarobek, i czuwają nad tem, aby emigranci pozostali i na obcej ziemi zdrowemi cząstkami ludzkiej społeczności, wiernymi synami Kościoła.

Przemówienie p. Meynberga kończy się gorącym okrzykiem: „Wszakże i my jesteśmy przeciwnikami wychodztwa! i my chcemy czynić wszystko, co się da, aby powstrzymać ruch emigracyjny. Gdy jednak żadne usiłowania skutecznej tamy prądowi wiodącemu ludzi za morze postawić nie są zdolne, czuwajmy przynajmniej nad ofiarami tego prądu, a będzie to przynajmniej cząstkowe rozwiązanie kwestyi socyalnej".

Odzywa się jeszcze mówca do prasy katolickiej, do kapłanów i świeckich, prosząc wszystkich, aby raczyli rozszerzać wiadomość o istnieniu stowarzyszenia św. Rafała, i w razie styczności z emigrantami, polecali im udawanie się pod skrzydła św. Archanioła i sług jego czynnych. Tem też zaklęciem kończymy niedostateczną pracę naszą. Uwiliśmy ją z luźnych szczegółów i wypisków, ze sprzecznych nieraz wiadomości i zwierzeń, konkluzye zostawiając czytelnikowi, choćby z narażeniem własnego pióra, na zarzut, iż popieramy sprawę emigracyi. Jest to, powtarzamy, bolesny objaw naszego wieku, boleśniejszy jeszcze w naszych warunkach bytu; ale wyświecenie prawdy większą zawsze oddaje usługę społeczeństwu, aniżeli marne wyrzekania i jałowe potępiania kwestyi, która z różnych stron badaną być winna. Cokolwiekbądź, ośmielamy się ten słaby przyczynek do historyi wychodztwa przedłożyć czytelnikom *Przeglądu* nie w innej nadziei, nad tę, że przywiedzione tu fakta i wiadomości pobudzą ich do

tem troskliwszej opieki, tem czynniejszej miłości dla tych właśnie warstw społecznych, których niedostatek czyni sposobniejszymi na pokusy i podszepty emigracyjne. Bratnia pomoc skuteczniej zdoła wstrzymać ruch wychodźczy aniżeli wszystkie dziennikarskie nawoływania i wywody, a spójnia serdeczna plebanii, dworu i szkoły, wspólnem usiłowaniem najpewniejszą stawi zaporę przeciw wyrywającej się z naszych cichych siół fali wędrowczej.

M.

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

(Ciąg dalszy).

Zostaje nam jeszcze do rozwinięcia piąty dowód istnienia Boga podług św. Tomasza.

Obok fizycznego porządku i harmonii w świecie, istnieje też porządek moralny. Prawo moralności, niezatartemi głoskami w sercach ludzkich wyryte, naprowadza nas także na istnienie Boga, jako Najświętszego Prawodawcy. Dowód ten wielorakim sposobem dałby się przeprowadzić; tu jednak opierać się będziem tylko na powszechnie przyjętych zasadach, na założeniach stojących poza obrębem kwestyj spornych. Fakt to niezaprzeczony, że każdy człowiek ma poczucie prawa i bezprawia, dobra i zła. Wprawdzie nie zawsze i nie wszystkim wiadomo, gdzie jest przedział między temi przeciwieństwami, i nieraz jeden uważa za dobre, co drugi złem być mieni — owszem, przyznać to można, nie nadwerężając doniosłości naszego dowodu, że nawet co do najpierwszych zasad moralności, możliwą jest różność zdań lub niewiadomość. Ale ta chwiejność w zapatrywaniach, pochodząca z różnorodności zwyczajów i obyczajów, wychowania i oświaty, odnosi się li tylko do poszczególnych przepisów i przykazań prawa moralności — czyli przeciwne niekiedy znajdujemy odpowiedzi na pytanie, **co** jest prawnem i dobrem, a **co** złem i bezprawnem. Różnicę jednak między prawem a bezprawiem, między dobrem a złem, wszyscy bez wyjątku uznają, czyli innymi słowy sam fakt powszechnego uznawania w czynach ludzkich dobrego i złego, sprawiedliwości i bezprawia, żadnej nie podlega wątpliwości.

Niemniej pewnym też faktem jest w nas poczucie obowiązku, czyli powinności pełnienia tego, co się nam przedstawia jako słuszne i dobre, a unikania tego, co w naszem przekonaniu złem jest i niesłusznem. Z tego poczucia obowiązku wypływa możliwość ustawodawstwa i poddania się ustawom, a ztąd też możliwość ustroju państwowego.

Fakt trzeci również niewątpliwy, jak poprzedzające, jestto głos wewnętrznego uznania i pochwały, odzywający się w sercu, ilekroć człowiek spełnił jakiś czyn dobry lub zaniechał złego. Przeciwnie zaś, za dopuszczeniem się występku lub zaniedbaniem dobra, budzi się w sercu człowieka mimo i przeciw jego woli wewnętrzny głos wyrzutu i nagany. Na tym pochwalnym i karcącym głosie ludzkiego serca, polega moralna możliwość sankcyi czyli przymusu prawnego. Bez tej podstawy zasadniczej, przymus wywołałby tylko oburzenie i bunt.

Istnieje więc prawo, które fizyczną wolność naszej woli w moralne karby ujmuje, nakazując pełnić dobro a unikać zła. Prawo to głosi własny nasz rozum a sankcyonuje wewnętrzne zadowolenie albo nagana.

Chrześcijanie zowią sumieniem ów wewnętrzny głos rozumu, o ile on dla każdego człowieka jest heroldem prawa moralności, napominającym do jej pełnienia, odstraszającym od przekroczeń, płacącym wewnętrzną pociechą, karcącym smutkiem i zgryzotą. U Kanta głos ten nosi miano kategorycznego rozkazodawcy *(der kathegorische Imperativ)*. Że więc sumienie bynajmniej nie jest wymysłem, tego dowodzi nawet cała nowsza filozofia od Kanta i Fichtego, gdzie *imperativum cathegoricum* w nauce poznawczej tak ważną rolę odgrywa.

Trzy zatem mamy niezaprzeczone, psychologiczne fakty: 1-o Uznanie różnicy między złem a dobrem, 2-o poczucie powinności i 3-o sankcyę wewnętrzną. Objawy te muszą koniecznie mieć swą racyę dostateczną: bo to nie mrzonki fantastyczne, ale fakty prawdziwie powszechne. Gdybyśmy je tylko kiedy niekiedy w chorobliwej jakiejś duszy napotkali, godziłoby się uważać je za płód gorączkowej wyobraźni — ale jeśli te fakty pojawiają się we wszystkich pokoleniach, w całym ogóle ludzkości, jeśli zarówno w sercu wykształconego Europejczyka, jak i w nagiej piersi dzikiego Hottentota

odzywa się niczem niezagłuszone sumienie, jeśli człowiek cnotliwy czerpie w niem moc i pociechę, a i zbrodniarza trawi wewnętrzna katusza, toć słuszna i sprawiedliwa dla takich faktów odpowiednej domagać się przyczyny. Ale gdzież jej szukać? Czy w przesądach wszczepionych religijnem wychowaniem? Ale jakimżeż cudem wszystkie narody wszystkich czasów, tak bardzo się w innych przesądach różniące, właśnie na tym jednym tylko punkcie zgodzićby się mogły? Czy to nie znak oczywisty, że świadomość prawa obyczajowego i władzy jego obowiązującej, zawdzięcza swe istnienie nie przypadkowemu przesądowi, ale konieczności, będącej wynikiem rozumnej natury człowieka. Onato wśród wszystkich narodów, pokoleń i wieków, zawsze nieodmienna, zawsze tażsama, walcząc z przewrotnością wychowania, z głupstwem fałszywej oświaty, uratowała z pośród ruin cnoty i prawdy przynajmniej *fundamentalne* zarysy prawa moralnego, świecąc niem nawet w najgrubszych ciemnościach barbarzyństwa i demoralizacyi.

Do przyjęcia głównych zasad moralnych rozum podobnie przymuszonym się czuje, jak do uznania głosu wewnętrznej pochwały lub nagany, którego zagłuszyć w sobie niepodobna. Zkądżeż ta konieczność, ten przymus?... Człowiek potrafi wywinąć się od uznania najjaśniejszych dowodów, potrafi zamknąć oczy na światło prawd widocznych jak słońce, ale nie widzieć granic obyczajowych, wmówić w siebie, że niemasz moralnego zła ani dobra, mierzyć tą samą miarką cnoty i zbrodnie — tego, wbrew własnej woli, nigdy dokazać nie zdoła.

Jedno jest tylko możliwe wyjaśnienie tego faktu: Rozum i wolna wola człowieka, wychodząc z rąk Stwórcy, nosi już wyryty na sobie zakon moralności, którego wypełnienie warunkiem jest dojścia do celu. Bóg nie wypuszczcza duszy człowieka ze swej dłoni, bez obdarzenia jej sposobem poznania Jego najświętszej woli. Promulgacya ta polega właśnie na niezłomnej k o n i e c z n o ś c i uznania różnicy między złem a dobrem, oraz poczucia obowiązku pełnienia dobrego a unikania złego. A koniecznie i niechybnie budzące się zadowolnienie lub wyrzuty sumienia, stanowią tę sankcyę tajemniczą, którą Przedwieczny Prawodawca na duszy wypisał. Wszak nie inaczej postąpił On z każdym atomem martwej materyi, darząc go siłą ruchu i kreśląc w nim nieodmienne, przymusowe prawo ciągłego używania

tej siły. Jedna tylko, oczywiście wybitna zachodzi różnica między prawem wyrytem w materyi, a prawem w rozumnej naturze ludzkiej wypisanem. Materya nie poznaje prawa, lecz pełni je, parta wewnętrznym przymusem; stąd też ani nie ma poczucia sankcyi, ani nie wie o celu prawa, ani nie doznaje w osiągnięciu go zupełnego szczęścia i zaspokojenia. Rozum, i to każdy, poznaje to prawo co najmniej w głównych jego zasadach, a im wierniej doń się stosuje, tem bystrzej sięga w jego głębię.

Czuje on dobrze potrzebę zamknięcia swej fizycznej wolności w granicach tego prawa, bo sumienie ze sprawiedliwym wymiarem nagrody lub kary czuwa nad jego wypełnieniem. Rozum niespaczony w swych pojęciach umie też poznać tego prawa cel ostateczny, cel, którego posiadanie szczęściem jest nieskończonem, utrata wiekuistą katuszą [1]. Prawo moralności zatem, żyjące i czynne w duszy człowieka, dowodzi istnienia Wszechmocnego Prawodawcy, który zakon swój wyryć chciał nietylko na kamiennych tablicach, ale i w żywej księdze serca ludzkiego.

Ale dość już dowodów. Z kwestyj przez nas podjętych i wyjaśnionych widocznem być musi każdemu, ktokolwiek „prawdy Bożej w niesprawiedliwości nie zatrzymywa", że świat, badany ze wszystkich punktów widzenia, wszędzie ukazuje nam najwyższego Architekta i Stwórcę wszechrzeczy. Bez Boga świat jest zagadką nierozwiązaną, Sfinksem nieodgadniętym.

Przeciwnie, w obec Boga pęka ta tajemnicza zasłona i wytryska światłość, ukazując nam źródło bytu, życia i działania. A to najwyższe źródło, ześrodkowujące w sobie wszelkie dobro i piękno w pełni bez miary i granic — tak, że istnością jego jest nieskończoność, którą człowiek musi wprawdzie uznać, lecz jej szczytu, jej głębi, jej ogromu, okiem ducha dosięgnąć i zmierzyć nie zdoła.

Jakież więc powody podaje filozoficzna krytyka naszych czasów na usprawiedliwienie wyroku potępiającego filozofię scholastyczną? To druga z pierwszorzędnych kwestyj, którą w tym trzecim dziale rozwiązać zamierzyliśmy.

---

[1] Cf. S. Th. 1. 2-ae, q. 9, 92, 93, 94.

Oto wielki dogmatyk ateizmu, Dr. Fr. Strauss, odpowiada nam[1], że lubo dowodzenie scholastyczne wykazuje bytność jakiegoś k o n i e c z n e g o jestestwa, jakiejś n a j w y ż s z e j przyczyny, wcale jednak nie udowadnia ani o s o b o w o ś c i tego jestestwa, ani r o z u m u tej najwyższej przyczyny. Pierwszy ten zarzut już pokazuje, jak mało ów mąż uczony obznajomił się z dawną filozofią. Filozofia scholastyczna ściśle odróżnia dwie te kwestye: „że Bóg jest, ***quod est***" i „czem Bóg jest, ***quid est***". Do rozwiązania pierwszej kwestyi, służą dowody wykazujące z analizy świata byt istoty posiadającej znamię Bogu samemu właściwe. Dowody te odsłaniają nam stopniowo n i e o d m i e n n o ś ć tego jestestwa, jako podstawę wszelkiej zmienności, prowadzą nas do s a m o i s t n e j p r z y c z y n y w s z e c h p r z y c z y n, do b e z w z g l ę d n e g o a b s o l u t u, na którym opiera się wszelki byt warunkowy, do źródła i pełni wszelkiej doskonałości, do twórcy nakoniec i organizatora fizycznego i moralnego porządku na świecie. Drugie pytanie rozwiązuje filozofia scholastyczna wnioskowaniem z dowodów pierwszego, wykazując, że jestestwo mające takie własności, k o n i e c z n e m n a s t ę p s t w e m posiadać też musi wszystkie inne przymioty pozaświatowego, osobowego Boga, który wiekuiście nieodmienny i nieskończenie doskonały, żyje całą pełnią bytu, wszechmocy, wiedzy i świętości. Dowodu na to dostarcza scholastyczna, tylokrotnie już nicowana kwestya o metafizycznej istocie Bóstwa.

W kwestyi tej chodziło o oznaczenie atrybutu, z którego logicznie możnaby wyprowadzić wszystkie inne przymioty Boskie. Zasadniczy ten atrybut miał stanowić ontologiczną podstawę innych atrybutów, sam zaś z żadnego wypływać nie miał. Atrybut ten powinien być nadto pierwszy, który wpada w oczy umysłowi, podnoszącemu się ze stworzeń do uznania Stwórcy[2]. Lecz Strauss stawia jeszcze inną racyę przeciw scholastycznym dowodom o Bogu. Jego zdaniem prawo przyczynowości nie wywodzi nas p o z a o b r ę b

---

[1] Der alte und neue Glaube, p. 115.

[2] S. Thom. Sum. 1, q., 13, 11. — C. Gent. l. I., cc. 21—24. — Opusc. 30., c. 6. — Q. Q. disp. de pot., q. 6. a. 1. — Gotti, Tract. 2. de Deo, dub. 3.— Petavius. De Deo lib. I., c. 6. — Card. Franzelin, De Deo uno, sect. 3., c. 2., thes. 22—24. Kleutgen, Theologie der Vorzeit, Theil. I., Abh. 2. — Phil. d. Vorzeit, B., I. Abh. 5., VI.

wszechświata, nie doprowadza do nadświatowego jestestwa. Bo każde jestestwo, którego przyczyny dochodzimy, ma tę przyczynę w drugiem podobnem jestestwie, to znów w trzeciem i tak dalej w nieskończoność. Nigdy więc nie dojdziemy do jestestwa pozaświatowego, krążąc ustawicznie „w opierającym się na samym sobie, wśród wiecznej przemiany zjawisk zawsze nieodmiennym wszechświecie“ Szereg zawisłych od siebie przyczyn rozwijać w nieskończoność, było to *absurdum* dla mędrców dawnej szkoły; bez pierwszej samoistnej przyczyny, świat był im nietylko zagadką, ale i niedorzecznością. Wyżej już wykazaliśmy tę prawdę; a odwoływanie się Straussa do doświadczenia nic tu nie ma do rzeczy.

Zwolennicy Kantowskiej szkoły tworzą poważny zastęp w szeregach walczących przeciw scholastycznym dowodom o Bogu. Ponieważ jednak zarzuty wszystkich tych adwersarzy są jednobrzmienne, wybieramy więc z nich tylko jednego Kunona Fischera, który myśl mistrza najumiejętniej i najdokładniej uwydatnił[1]. Fischer „patrząc na dowód kosmologiczny przez mikroskop krytyki, odkrywa w nim cały rój dyalektycznych uroszczeń“. *(Ein ganzes Nest von dialektischen Anmassungen).* Dziwnie zaiste brzmi ten zarzut uroszczenia w ustach niemieckiego profesora, skoro wiadomem, że nie ma nigdzie tyle zarozumiałości i uroszczeń, jak na nieomylnych katedrach niemieckich profesorów. Pierwszem nadużyciem, którego scholastyczny dowód rzekomo się dopuszcza, jest wniosek z bytu niekoniecznego do bezwzględnie koniecznego. Wniosek ten ma być niesłusznym, bo z bytu doświadczalnego wysnuwa byt po za granicą doświadczenia leżący; doświadczenie bowiem nie zna koniecznego ni bezwarunkowego jestestwa. Byt więc wywnioskowany nie jest przedmiotem rzeczywistym, ale tylko w rozumie istniejącem pojęciem; takiemu zaś pojęciu przypisywać wartość przedmiotową, to oczywisty przeskok i uroszczenie. Tak rozumuje Fischer, dając zarazem dowód, że i na nim ciąży pierworodny grzech szkoły Kantowskiej. Jakto? wnioski z rzeczy widzialnych do niewidzialnej ich przyczyny miałyby tylko podawać oderwane o niej pojęcie a nie dowodzić jej istnienia? A więc wniosek archeologa z gruzów starożytnego miasta,

[1] Geschichte der neuen Philosophie, 3. Band.

z wykopanych posągów i narzędzi o minionem istnieniu ludzi w tem miejscu — jest tylko dyalektycznem uroszczeniem? A więc wniosek fizyka z promieni światła przechodzących przez próżnie o istnieniu eteru jest również uroszczeniem?

Drugiem uroszczeniem, według sądu profesora, jest twierdzenie przyjęte za punkt oparcia w scholastycznym dowodzie, że nieskończony szereg warunkowych, czyli stworzonych przyczyn, niemożliwy jest bez pierwszej, bezwarunkowej i niestworzonej przyczyny. Niemożliwość bowiem nieskończonego szeregu, doświadczeniem nigdy udowodnić się nie da.

Relacya uczonego profesora niezgodna jest z prawdą a przytem pomija punkt najważniejszy. Możliwość nieskończonego szeregu stworzonych przyczyn była kwestyą sporną w szkole scholastycznej. Miała swych obrońców, ale i przeciwników *(Cf. S. Th. op. de possibilitate creationis ab aeterno)*. Jednak jedni i drudzy uzasadniali swój dowód istnienia Boga nie na niemożliwości nieskończonego szeregu, ale na niemożliwości szeregu, któryby same tylko stworzone zawierał jestestwa a wykluczał wszelki pierwiastek niestworzony. Jeśli wszystkie człony są stworzone — któż tedy będzie ich stwórcą? Strumień bez źródła jest chimerą — *ein Unding*, jak mówią Niemcy.

Trzecie uroszczenie dowodu scholastycznego ma zależeć na tem, że stawia pierwszy człon tego szeregu przyczyn poza obrębem tego szeregu i przyznaje mu na domiar całkiem odrębną naturę i własności. Postępowanie takie jest dowolnem. Bo jakiem prawem z przyczyn warunkowych logicznie wnosić można o pierwszej koniecznej przyczynie, kiedy oba te rodzaje przyczyn rozdziela przepaść nieprzebyta?!

Wniosek z przyczyn stworzonych o pierwszej koniecznej przyczynie nie jest uroszczeniem samowolnem, ale logiczną koniecznością W szeregu przyczyn nie może być wszystko stworzone, a jeśli jest stworzone, to przez kogo pytamy? Tylko więc przyczyna niestworzona może być podstawą wszechstworzeń. Nie dość powiedzieć o zawieszonym łańcuchu, że jedno ogniwo zwiesza się na drugiem. Choćbyśmy liczbę ogniw pomnożyli w nieskończoność, mimo to jednak będziem musieli wskazać jakiś stały punkt oparcia, dźwigający cały łańcuch na sobie. Takim punktem oparcia dla stwo-

rzeń jest niestworzona przyczyna, której istnienie wypływa tylko z jej własnej, wewnętrznej konieczności bytu. Nic tu nie przeszkadza wspomniana „przepaść nieprzebyta“ między pierwszą a następnemi przyczynami. Zważając doskonałość bytu, w istocie przepaść nieprzebyta otwiera się między Stwórcą a stworzeniem, bo ani byt konieczny stworzonym, ani stworzony nigdy stać się nie może koniecznym. Zważając jednak ich styczność, rzecz to widoczna, że chociaż byt konieczny bez stworzonego istnieć może, żadne jednak jestestwo stworzone niezdolne jest do bytu bez koniecznego jestestwa, z którego pełni czerpie całe swe istnienie, więc ta przepaść przebytą być musi.

Czwarte mniemane uroszczenie dawnych teologów, to już zarzut, wynikający z zupełnej ignorancyi. Wywodzą oni, zdaniem Fischera, istnienie Boga z pojętliwości, czyli możliwości idei najdoskonalszego jestestwa, w taki mniej więcej sposób argumentując: byt konieczny musi zawierać wszelką rzeczywistość w sobie, do rzeczywistości zaś należy też istnienie, a więc byt konieczny w rzeczy samej istnieje. Fischer używa całego arsenału swej wymowy, by uwidocznić nielogiczność takiego dowodzenia. Szkoda doprawdy tylu wysileń i trudów, bo ontologiczny dowód istnienia Boga, w szkole katolickiej nigdy prawa obywatelstwa nie posiadał, jakkolwiek niektórzy późniejsi teologowie przybierali go w najrozmaitsze formy, chcąc go podnieść do rzędu logicznych dowodów. Pomimo więc napaści Kantowskich adeptów, nie upadły ani się zachwiały stare, scholastyczne dowody. Owszem, jak widzieliśmy, krytyka ich stoi niżej wszelkiej krytyki.

Angielscy empiryści, John Stuart Mill [1], Herbert Spencer i cała ich parentela, odrzuca te same dowody z tej racyi, że w ogóle twórczość nie istnieje. Milczy o niej doświadczenie najzupełniej, a wszystko co tylko powstaje, jest prostą metamorfozą materyi, która już istniała, dokonaną działaniem sił, również już przedtem bytujących. Taki stan rzeczy trwał zawsze. Materya i siła nie mają początku, nie potrzebują więc żadnej twórczej przyczyny.

Tak jest, słusznie twierdzi Mill: doświadczenie istotnie nie nam nie powie o stworzeniu, ale czyż rozum nasz niezdolny jest wznieść się ponad poziom doświadczenia? Widzieliśmy już

[1] W ostatniem swem Essay o religii.

poprzednio, że wieczność nie stworzonej materyi, zważona na szali rozumu, jest istnem niepodobieństwem. Lecz dowodów tych tak już dawnych, pozytywna filozofia zdaje się nawet nie pojmować — jakimże więc sposobem odeprzećby je mogła?

Ciekawe zarzuty Spencera[1] są dla nas prawdziwą niespodzianką. Podwójny cios wymierza on przeciw kosmologicznemu dowodzeniu Stwórcy. Z jednej strony stworzenie z niczego jest dlań niedorzecznością — z drugiej w samem pojęciu stworzenia widzi sprzeczność wewnętrzną. Pierwszy zarzut rozwija w sposób następujący: Żeby z nicości coś powstać mogło, to rzecz przeciwna zdrowemu rozsądkowi: bo powstawanie jest przejściem z niebytu do bytu, a to co odbywa tę podróż, jest sobie absolutne nic, nic zaś postępujące naprzód, zawsze pozostaje niczem. Gdyby Spencer przeczytał św. Tomasza dowiedziałby się, że gdy mówimy o stworzeniu, nie twierdzimy, że nicość przechodzi lub przemienia się w rzeczywistość — podobnie jak bryła marmuru pod ręką mistrza przemienia się w posąg, ale twierdzimy, że to co wprzódy nie istniało wcale, mocą Bożą poczęło istnieć; przejście z nicości do bytu jest tylko przenośnią, która to pojęcie w skróceniu wyraża[2]. Nie nic przechodzi do bytu, ale sam byt się rozpoczyna. To zaś bynajmniej się nie sprzeciwia zdrowemu rozsądkowi.

Dalej pyta Spencer, jeśli świat jest stworzony, zkąd wzięła się próżna przestrzeń? Oczywiście, odpowiada sobie, przestrzeń ta byłaby stworzoną, podobnie jak cały świat. To zaś jest już istnem niepodobieństwem, którego nikt chyba nie przypuści. Jeśli bowiem próżnia została stworzoną, rzecz jasna, że przedtem istnieć nie mogła. Nieistnienie zaś próżni jest nie do pojęcia. Ot — i już pobici jesteśmy na głowę. Ale czy p. Spencer wie o tem, że próżnia jest tylko możliwością rzeczywistej rozciągłości, i że możliwość taka nie wymaga wcale stworzenia? Podstawą jej jest niezmierzoność Boga. Pojęcie zaś jej z naszej strony zasadza się na poznaniu rzeczywistej rozciągłości. Pierwszą ideę próżni czerpiemy z możliwości zapełnienia przedziałów, między rzeczywistymi przedmiotami istniejących. Próżnia więc nie może być stworzoną

[1] Grundlagen der Philosophie.

[2] Cf. S. Th. 2 dist. I. q. 2 a. 6. — Sum. theol. I. q 45 a 1. ad 3-m.

na wzór materyi. Ztąd też dawni filozofowie nazywali ją *ens rationis* t. j. jestestwem, które w porządku realnym jest niczem i tylko myślą *per modum entis* pojąć się daje, odnośnie do rzeczywistego jestestwa.

Idea Stwórcy z następujących powodów wydaje się Spencerowi logicznem niepodobieństwem. Zrazu filozof rozumnie argumentować zaczyna. Stwórca, mówi on, winien być sam sobie źródłem istnienia; tego zaś samoistnienia, kończy niefortunny dyalektyk, wyobrazić sobie niepodobna. Samoistnienie bowiem jest istnieniem bez początku, czyli z przeszłością nieskończoną; nieskończonej zaś przeszłości w żaden sposób przedstawić sobie nie możemy, nawet przy najwyższem naprężeniu ducha. Spencer pomięszał tu dwa nader różne pojęcia. Nie możemy sobie nieskończonej przeszłości wyobrazić, to znaczy: nieskończoności tej niepodobna nam ogarnąć wyobraźnią — na to zgoda. Ale pomyśleć ją i pojąć, że ona być musi, każdy potrafi bez żadnego wysiłku; bo przecież tylko tego pomyśleć niepodobna, co samo w sobie wewnętrzną jest sprzecznością. Przeszłość zaś nieskończona sprzecznością wcale nie jest.

Dalej utrzymuje bystry nasz krytyk, że pierwsza przyczyna właśnie dlatego, iż nie może mieć innej przyczyny, ale niezawisłą, doskonałą, nieskończoną — słowem bezwzględną być musi — właśnie dla tego jest niemożebną; bo cokolwiek jest przyczyną, to już *ipso facto* bezwzględnem być nie może. Bezwzględnem może być tylko to, co w żadnym nie stoi stosunku do innych jestestw. Przyczyna zaś stoi w stosunku przyczynowości do swego skutku, a zatem bezwzględną nie jest. Każdy początkujący nawet uczeń dawnej szkoły odpowiedziałby na ten zarzut, że bezwzględny byt wprawdzie nie może stać do innych jestestw w stosunku zależności, bo to pomawiałoby go o niedoskonałość, ale może wiązać się z jestestwami jednostronną zawisłością z ich strony, nie przyćmiewając w niczem swej nieskończonej doskonałości. Tak więc byt taki pozostałby zawsze bezwzględnym bytem, bo niezawisłym od niczego, jakkolwiek inne jestestwa wiązałby z nim stosunek najściślejszej zależności. Taką jest właśnie pierwsza przyczyna. Sama niezawisłą jest od niczego, ale od niej zawisłe jest wszystko w swym bycie i działaniu. Spencer sądzi, że stara szkoła zbywa jego zarzut

wykrętem, mówiąc, że absolut najprzód istnieje sam tylko w sobie, a później dopiero staje się przyczyną. Przeciw tej odpowiedzi powstaje nasz myśliciel z oburzeniem. Co jest nieskończonem, woła, to przecież nie może się stać czemś, czem od początku nie było. Oburzenie całkiem sprawiedliwe — tylko, że dawnym teologom nie śniło się nawet o podobnej supozycyi. Pierwsza przyczyna była zawsze w sobie nieodmienną; tylko skutki jej wyszły na jaw w czasie i w porządku, zakreślonym wyrokami nieskończonej mądrości.

Trzeci i ostatni zarzut Spencera ze wszystkich może jest najciekawszy. Pierwsza przyczyna musi być świadoma. Świadomość zaś wymaga przedmiotu, któryby ją budził. Tym znów przedmiotem nie może być sam podmiot, tak, aby pierwsza przyczyna tylko samej siebie była świadomą. Przedmiot bowiem świadomości albo jest własnym jej tworem, albo ją poprzedza jako czynnik sprawczy, albo wreszcie stoi niezależnie obok podmiotu. W pierwszym przypadku mielibyśmy bezwzględną przyczynę bez świadomości (ten to wniosek dał pohop Hartmannowi do oparcia swego systemu na nieświadomym absolucie). W drugim przypadku prawdziwym absolutem byłby przedmiot. W trzecim zaś żadnego już nie byłoby absolutu, tylko dwa podobne do siebie względne byty. Rzecz dziwna; czemużby tapierwsza, nieskończenie doskonała przyczyna, która nie bierną bezczynnością, ale zawsze czynnym jest aktem poznawczym *(actus purus)*, czemuż pytamy, ów duch nieskończony nie mógłby pojmować samego siebie, a zagłębiając się myślą w nieskończonej pełni swych doskonałości, czemużby nie miał tam znaleść najobfitszej materyi, starczącej poznawczemu aktowi na całą wieczność za przedmiot i pokarm?!

Gnozologia Spencera dowodzi i tego, jak powierzchowni i nieobeznani są częstokroć nowocześni uczeni z najprostszemi kwestyami nauki poznawczej.

Teolog pisemka zwanego *Gartenlaube*, Jerzy Henryk Schneider, aby czytelników swoich podnieść do wyżyn umiejętności, kompiluje w dziełku „o zwierzęcej woli“, wszystkie zarzuty przeciw istnieniu Boga, na jakie się nowoczesna niewiara dotychczas zdobyła. Najprzód, mówi on, t. zw. akt stworzenia przeciwny jest faktom doświadczalnym, zarówno jak stwarzanie nowych organizmów, wynikom

wiedzy [1]. Któż to powiedział uczonemu teologowi, że akt stworzenia zalicza się do rzędu zjawisk empirycznych? Doświadczenie milczy o akcie stworzenia — zgoda — ale czy toż samo doświadczenie mówi co p. Schneiderowi o niemożebności tego aktu? Gdzież więc to mniemane przeciwieństwo? Ale idźmy dalej. W całej przyrodzie, mówi Schneider, niema ani śladu woli osoby działającej — wszędzie spotkać tylko można nieodmienne prawa natury i przyczyny na oślep działające. Astronomia, fizyka, chemia, dawno już wystraszyły z granic swego państwa widmo ducha rządzącego przyrodą [2].

Zkąd tedy wzięły się te prawa natury? Zkąd ta mądrość przedziwna w ślepo działających przyczynach? Na to ani nawet p. Schneider nie da nam dostatecznej odpowiedzi. Nie nieznajomość przyrody [3] prowadzi nas do Boga, ale właśnie przeciwnie, im głębiej wnikamy w jej prawa, im pilniej badamy tę cudowną mądrość przyrody, tę siłę niespożytą i nieodmienną, kierującą całym wszechświatem zarówno jak i pyłkiem niedojrzanym, tem jaśniej poznajemy konieczność istnienia najmędrszego prawodawcy, co w tej bezdusznej materyi palcem swojej wszechmocy wyrył niespożyte prawa. Lecz na teraz przerwijmy rozmowę z p. Schneiderem, by ją dogodniej na innem ukończyć miejscu.

Najgęstsze ciosy padają ze wszystkich stron na dowód teologiczny. Jedni twierdzą śmiało, że na świecie niemasz zgoła żadnej celowości, drudzy przypuszczają celowość w ustroju *(Zweckmässigkeit)*, lecz nie uznają jej w dążeniu *(Zweckstrebigkeit)* natury. Inni wreszcie uznają celowość i w ustroju i w dążeniu natury, lecz odmawiają jej wszelkiego związku przyczynowości z jestestwem pozaświatowem. Zróbmy mały przegląd tych rozmaitych wykrętów, którymi zbłąkany rozum usiłuje się wyłamać z pod narzucającej się oczywistości.

Przeciwników celowego ustroju natury znajdujemy w obozie materyalistów i pesymistów, jakimi są: F. A. Lange, dziejopis materyalizmu [4], Dr. F. Schulze, „filozof“ przy wyższej szkole technicznej w Dreźnie [5], wspomniany już przedtem Schneider [6], i nakoniec

[1] Der thierische Wille, p. 38.
[2] Ibid., p. 137.
[3] Ibid., p. 138.
[4] Geschichte des Materialismus II., p. 248.
[5] Philosophie der Naturwissenschaft I., p. 70.
[6] Der thierische Wille, pp. 30, 45, 138.

Schopenhauer[1], znany filozof *Weltschmerz'u*. Oni to zestawiają w swych dziełach wszystko, cokolwiek nauka zarzucićby mogła celowości natury.

Prawa zachowania i rozpłodu gatunków występują zwykle jako dowód celowości. Tymczasem fakt to udowodniony w naukach przyrodniczych, że w przyrodzie miliony zarodków życiowych marnują się bez pożytku, że niszczeją tysiące dzieł zaledwie rozpoczętych, słowem, że zagłada i zniszczenie jest w naturze regułą. Jeśli zaś z tego potopu wypłynie czasem jakaś szczęśliwa odmiana *(Variation)*, która się nam celową wydaje, jestto tylko wyjątek, traf szczególny, niemniej przypadkowy jak owe wszystkie nieszczęśliwe odmiany niszczące się nawzajem. Za poparcie służą tu słowa Darwina: „Widzimy przyrodę promieniejącą szczęściem, ale nie widzimy tego lub zapominamy, że owe ptaszki niewinne dokoła śpiewające karmiąc się owadami i ziarnem, tępią życie i jego zarodki — zapominamy i o tem, że ci śpiewacy i ich pisklęta i ich jaja, stają się łupem drapieżnych ptaków i zwierząt". W rozwijaniu tej samej myśli, w obrazowaniu walki wszystkich przeciw wszystkim, Schopenhauer zasłużył sobie niezaprzeczenie palmę pierwszeństwa.

Czy jednak zgodne to wszystko z prawdą — nie trudno osądzić. Wcale nie jest cechą głębokiej nauki, nazywać wyjątkami objawy celowości we wszechświecie, celowości, którą napotykamy wszędzie od pyłku lub źdźbła, do gwiazd i oceanów. A im dalej postępuje nauka, tem więcej odkrywa coraz szerszych widowni celowego ustroju w przyrodzie. Jeśli wzrok czyjś krótki, w tym lub owym wypadku albo prawie natury celu nie dostrzega, to jeszcze nie jest racyą, by przeczyć istnieniu celowości. Nierozumnie postąpiłby, ktoby zarzucał bezcelowość sztucznej machinie dla tego, że celu niektórych jej kółek zbadać nie potrafił. Takiem właśnie jest postępowanie krótkowidzących filozofów bezcelowego materyalizmu. Śmiech budzą doprawdy zarzuty Schopenhauera, w tem n. p. upatrującego bezcelowość, że woda w morzu jest słoną, skutkiem czego wśród bezmiarów wodnych można umrzeć z pragnienia.

Gdyby celowość istotnie tak rzadko pojawiała się w przyrodzie, nie raziłby nas, ani zadziwiał w każdym szczegółowym przed-

[1] Welt als Wille und Vorstellung, II., 374 i indziej.

miocie, choćby pozorny jej niedostatek. Bo zwyczajne, codzienne zjawiska nie zwracają na siebie szczególniejszej naszej uwagi właśnie dla tego, że są zwyczajne. Wyjątki tylko, nadzwyczajnym idące torem, budzą w nas ciekawość i większe lub mniejsze zajęcie odpowiednio do nadzwyczajności zjawiska. Owa wciąż powtarzająca się zagłada milionów żyjątek i zalążków, nie jest bezcelową w przyrodzie, ale przeciwnie, jest jednem z koniecznych wiązań podtrzymujących budowę i porządek świata. Niższe stopnie życia schną albo giną, aby wyższe zachować, wzmocnić i udoskonalić. Cząstki zniszczonego życia wchodzą w skład nowych, świeższych, pełniejszych organizmów. Przyroda dlatego właśnie błyszczy zawsze tą barwą świeżości młodocianej, że to co zużyło się już i postarzało przemija, a z prochów jego świeże wykwita życie. Natura ustawicznie się odmładza nieustannem przeobrażeniem materyi. Jestto fakt naukowo udowodniony. Jakichże sposobów używa natura w tem przeobrażaniu? Tu właśnie uwidocznia się iście mistrzowski jej ustrój: bo z najszczuplejszymi względnie środkami, na najkrótszej drodze, osiągnąć najwyższą liczbę najróżnorodniejszych jestestw — na to potrzeba arcymistrza. Tysiące więc giną, ale nie bez celu; miliony przemijają, ale nie zupełnie: bo grób ich jest kolebką nowego rozkwitu [1]. Ów prąd zniszczenia wszystko porywający, owa walka w przyrodzie wszystkich przeciw wszystkim, to tylko wymysł fantastyczny tych filozofów, którzy niepokój i niezadowolenie własnego serca złożyćby chcieli na karb świata i Stwórcy swego.

Rozrzutna płodność przyrody, te na pozór zbyteczne miliony nasion i żyjątek, są właśnie warunkiem bytu i środkiem wyżywienia doskonalszych jestestw. Ryczałtowa zagłada jednostek, ten podatek życia i krwi, pobierany z każdego gatunku, należy do rozumnej celowej ekonomii świata. W naturze panuje niezamącona harmonia, równowaga najzupełniejsza. Gdziekolwiek spostrzedz się dają początki jakiegoś nadmiaru, jakiejś zbytniej przewagi jednogatunkowego życia, tam natychmiast występuje regulator w postaci jestestw, umiejących tę nadmierną obfitość dla własnego bytu i dobra spożytkować. Zatem wprost nie naukowe to zapatrywanie, widzieć bezcelowość w działaniu lub faktach, przyczyniających się tak potężnie

[1] Wigand, Der Darwinismus I., p. 96.

do dobra całości. „Bóg i natura, mówi św. Tomasz, czynią zawsze to, co dla całości jest lepszem, nie zawsze co dla osobnika, chyba o tyle, o ile on jest podporządkowany całości“ [1]. Drugi zastęp przeciwników teleologicznego dowodu, przypuszcza wprawdzie celowość w ustroju natury, lecz twierdzi, że natura nie dąży do celu i nie osiąga go działaniem jakiegoś kierowniczego pierwiastku, tylko prostym trafem, ślepą kombinacyą sił fizycznych.

Niezrównany w swoim rodzaju jest zamach Dr. Fr. Straussa na celową dążność przyrody [2]. Podług jego teoryi, wszelka w ogóle czynność celowa jest chimerą; bo czynność taka z pierwszego robi ostatnie, a z ostatniego pierwsze, przetwarzając skutek w przyczynę. O mądrości Straussowska! A cóż należy do istoty każdej rozumnej czynności człowieka? Wszak to co pierwszem jest w porządku woli, zamiaru, intencyi — to samo właśnie jest ostatniem w porządku rzeczywistego wykonania. Młodzian np. chce zostać uczonym lub artystą. Uczoność, artyzm, w porządku woli jest pierwszem, jest celem, do którego dąży ten młodzieniec. Ale długoletniem dopiero, praktycznem zastosowywaniem środków zdobywa się nakoniec cel zamierzony, czyli to właśnie, co pierwszem było we woli, to, do czego wiodły stopniowo wszystkie zabiegi i trudy. Ztąd też filozofia scholastyczna trafnie określa cel: *Finis est primum in intentione et ultimum in executione* [3].

Jeśli więc w czynach człowieka dążność celowa pewnym jest faktem i tak częstem, tak powszedniem nawet zjawiskiem, toć i w naturze celowość taka chimeryczną nie jest. Zapewne, wielka zachodzi różnica między działaniem człowieka, a działaniem przyrody. Człowiek zna swój cel; a znajomość ta i chęć dopięcia tego celu jest dlań pobudką do użycia środków i przewodniczką w odpowiednim ich wyborze. Przyroda nierozumna celu swego nie poznaje, ani nie wybiera środków samowolnie, świadomo, z zamiarem osiągnięcia celu. Wszelkie jej działanie, instynktowe czy mechaniczne, spełnia się nieodmiennie pod naciskiem wpojonego w nią pierwiastku musu.

---

[1] S. Th. Sum. theol. I. q. 48., a. 2. ad. 3-m.

[2] Strauss, Der alte und neue Glaube, p. 215.

[3] S. Thom. Quaest. disp. q. 5., de verit., a. 1. ad. 3. q. 28., de verit., a. 7.— Sum. theol. I. II.-ae q. 23., a. 4. ad. 2-m.

Do najświeższych, ale i najgłówniejszych przeciwników celowej dążności w przyrodzie należy Ed. Zeller [1]. Antiteleologiczny jego dowód jest dwojaki a raczej obosieczny. Pierwszy przedstawia się w takiej mniej więcej osnowie: Przypuśćmy, że świat został stworzony — tedy jest on wynikiem wsobnej konieczności działania twórczej przyczyny. Taka zaś konieczność wyklucza wszelką samowolną czynność celową. Drugi dowód brzmi wprost przeciwnie: Świat nie jest stworzony — a więc nie może być mowy o celowej czynności wszczepionej weń aktem stworzenia. Pierwszy swój dowód tak uzasadnia Zeller: „Przyczyna świata (jeśli przypuszczamy jej istnienie), musi być jestestwem bezwzględnem. Wszelka zaś czynność bezwzględnego jestestwa jest bezwarunkowo konieczną, zkąd w czynnościach jego wzajemna zawisłość środków i sposobów, oraz ich wybór jest bezwzględnie niemożliwym. Gdzie zaś jest czynność prawdziwie celowa, tam najprzód odbywa się dobrowolny wybór celu, a od tego wyboru, warunkowo znów jest zawisłym wybór i zastosowanie środków. Tymczasem bezwzględnie doskonała przyczyna świata nie może z natury rzeczy wybrać nawet celu. Albowiem wola jej zupełnie tak samo jest bezwarunkową i konieczną, jak jej byt. Oto dowodzenia Zellera. „Wola bezwzględnej przyczyny świata, jest bezwzględnie konieczną“ — to rdzeń zarzutu Zellera. Jest tu coś z prawdy, lecz więcej pomięszania pojęć. Wola jako czynność jest w Bogu bezwzględnie konieczną — niezawodna to prawda. Przedmiot woli twórczej jest koniecznym, w tem właśnie błąd.

Wola Stwórcy zająć się może nieskończoną ilością przedmiotów. A choć miłość ku swej bezwzględnie doskonałej istności zapełnia całą pojemność, że tak powiem, woli Boskiej, tak, że nie potrzeba już żadnego zewnętrznego jestestwa, by wolę tę w czynie utrzymać, jednak może On zająć się tem lub owem jestestwem, budować te lub inne światy, z podobnym, czy odmiennym ustrojem — i to właśnie znamieniem jest nieograniczonej wolności Bożej. A w jakikolwiek sposób ta najwolniejsza jego wola na zewnątrz jest czynną, zawsze i koniecznie każda taka czynność wiernem jest zwierciadłem nieskończonej jego mądrości. Bóg więc może dowolnie obrać przed-

[1] Ueber teleologische und mechanische Naturerklärung. Berlin 1876.

miot swej czynności na zewnątrz i mądrością swą oznaczyć środki wiodące do tego celu. Nie dowodzi to wcale jakiejś niedoskonałości lub zawisłości w Bogu, ale przeciwnie, znamionuje najwyższą Jego swobodę. Nie Bóg zależy od celu i środków przezeń obranych, ale i cel ten i te środki zależą od nieskończenie mądrej Jego woli.

„Świat—mówi dalej Zeller—nie mógł być stworzony. Posłuchajmy, dla czego. Gdyby istniała jakaś światotwórcza potęga, zawsze, współwiekuiście ze swem istnieniem objawiaćby się musiała: bo nie masz siły bez odpowiedniego objawu. Powtóre, w Boskiej woli wewnętrzną koniecznością chcącej tego co jest najlepsze, odwłoka w wykonaniu jest niepodobieństwem: bo w Bogu i chęć i możność i wykonanie nieodzownie identyfikować się muszą". Tak naucza Zeller, wyraża jasno i dokładnie to samo, o czem już marzył mistrz jego Hegel w swym ciemnym labiryncie poplątanych myśli. Pierwsze uzasadnienie przytoczonego dowodu, że siła zawsze się odpowiednio objawia, jest zgoła mylne. Bezwątpienia wola Stwórcy nigdy nie spoczywa w biernej bezczynności, i niemasz u Niego przejścia od woli do możności i do wykonania, ale konieczny przedmiot Jego woli jest w Nim samym, bo żadne jestestwo nie mogłoby zwrócić ku sobie całej pełni Jego miłości i On też sam sobie najzupełniej wystarcza. Jeśli jednak pomimo to wolna wola Stwórcy przelewa się i na zewnątrz powołując jestestwa do bytu, to i ta Jego wola wieczną być musi. Akt więc stworzenia jest rzeczywiście wiekuistym we woli, ale sam przedmiot jej urzeczywistnia się dopiero w tej chwili, którą mu ten akt woli odwiecznie przeznaczył.

Trzeci klasyczny zarzut przeciw celowej dążności w naturze, znajdujemy w dziełach uczonych przyrodników. Oto treść zarzutu: Wszelkie działanie natury jest tylko mechanizmem, a wszelki byt nowy, wynikiem mechanicznie działających sił. Mechanizm zaś i mechanicznie działające siły są negacyą wszelkiej celowej dążności: gdyż siły mechaniczne działają z bezwzględną koniecznością, a przeciwnie, dążność celowa wymaga wolnego wyboru środków, doprowadzających do celu. Dowodzenie to wykazuje tylko niewolniczą jednostronność i płytkość zapatrywania się na przyrodę. Prawda, że mechanizm jest czynnikiem wszelkiego działania przyrody — ale nie wyłącznym, nie jedynym tylko czynnikiem. Mechanizm ten — to niewyczerpany zapas środków i narzędzi, służących naturze do pracy.

Nad niemi stoi pierwiastek kierujący, stoi cel wyryty w przyrodzie, który wszystkie mechaniczne przymusowo działające siły zestawia lub podporządkowuje, aby wciąż nowe jestestwa wprowadzać do bytu. Wszak nie inaczej i ludzkie tworzą się dzieła. Rzeźbiarz, gdy dłutem posąg wykuwa z marmuru, podnosi ramię według koniecznych praw równowagi, młot spada na dłuto, a dłuto odrywa cząstki marmurowej bryły, stosując się najdokładniej do wszelkich wymagań mechaniki. Ale rzeźbiarz władcą jest i kierownikiem wszystkich tych ślepo i koniecznie działających sił, on je zestawia ze sobą w takim a nie innym porządku, aby z bezkształtnej bryły marmuru wydostać wykończony posąg. Tak każdy sztukmistrz i każdy rzemieślnik używa swych narzędzi, lubo najczęściej bezwiednie, zawsze jednak podług wszelkich przepisów mechaniki; a cel zamierzony jest mu sternikiem w porządkowaniu i łączeniu sił mechanicznych ze sobą. Taki warsztat, n. p. Kruppa, pokazuje najwidoczniej niewolniczą uległość sił mechanicznych królewskiej potędze celu. Bez kierowniczej myśli celowej, nie wyszłaby z rąk ludzkich ani jedna porządnie ułożona całość. Taki sam nieład panowałby i w warsztacie przyrody.

Widzimy zatem, jak płonne są zarzuty, które nowa filozofia przeciwstawia celowej dążności w naturze. Pozostaje nam jeszcze do zbadania probierzem nowoczesnej krytyki, trzeci punkt dowodu teleologicznego, twierdzący, że przyczyną celowej dążności w przyrodzie może być tylko pozaświatowe jestestwo. Nowoczesna filozofia chwyta się wszystkich sposobów, byle tylko zwalczyć to ostatnie stanowisko. Są to głównie wątpliwości i zarzuty Kanta — klinga zawsze ta sama, tylko ukryta w nieco odmiennej pochwie. Wystarczy więc w krótkości okazać to nowe przeobrażenie i wartość jego ocenić. Najprzód nowi myśliciele wmawiają w nas, a raczej w siebie, że celową dążność przyrody można dostatecznie wyjaśnić li tylko naturalnemi własnościami jestestw, pocóż więc szukać gdzieś po za światami jakiejś koniecznej przyczyny?[1]. Zapewne — chcąc poznać bezpośrednią przyczynę, wystarczy zbadać naturalne własności jestestw. Ale zkąd przecież wzięły się te własności? Czy może żadnej nie mają przyczyny? Bezwątpienia, kto nie

[1] Kuno Fischer. Geschichte der neuen Philosophie, t. III., str. 585.

zerwał z fundamentalną zasadą przyczynowości, ten i tu uznać musi konieczność jakiejś przyczyny i dojść w końcu do ostatecznego źródła i dawcy wszechbytu, który wszystko urządził podług miary i wagi i wlał w istotę jestestw konieczne prawa, jako środki służące do dopięcia wytkniętych im celów. Stara to już nauka, mająca za sobą wielowiekową przeszłość: bo całą filozofię chrześcijańską i najznakomitszych mędrców pogaństwa [1]. Drugi zarzut nie różni się w rzeczy samej od pierwszego — inaczej tylko jest sformułowany. Najgłębsze umiejętności, jak kosmogonia, astronomia, geogonia, dają jednogłośnie tę samą odpowiedź, jaką miał dać niegdyś Laplace Napoleonowi I. na zapytanie, czemuby w jego systemie nie było wzmianki o Bogu: *Sire, je n'avais pas besoin de cette hypothèse.* Niepotrzebny jest Stwórca, ni rzeźbiarz natury: bo chaotyczna masa materyi z wewnętrznym prądem ruchu, wszystkie systemy światów w całości i w każdej ich cząstce najzupełniej wyjaśnia. Zgoda. Przyjmijmy system Laplace'a jako nieomylnie prawdziwy, a zatrzymajmy się tylko przy chaotycznej masie. Zkądże spadła ta *rudis indigestaque moles?* Wszak i ona mieć winna dostateczną racyę bytu. Zkąd ten ruch nadany atomom chaotycznej materyi? Zkąd prawa wiążące się z tym ruchem, a pełne niepojętej mądrości? Kto te prawa ułożył? Kto zdołał wryć je tak głęboko w samą istność materyi, że po tysiącach lat nieświadomo a jednak nieodmiennie powtarzają stereotypową swą pracę? Sam Kant — przed zwrotem swych pojęć do krytyki — głosił, że faktu tego bez Boga niepodobna wyjaśnić [2]. Newton [3] i Buffon [4], którzy uprzedzili Kanta i Laplace'a, w zasadniczem pojęciu ich systemu jawnie wyznają swe przekonanie, że i pierwotny ów chaos materyi i ruchów nie mógłby istnieć bez Boga. Odwoływanie się więc do słów Laplace'a na nic nie przyda się temu, kto sięgnąć chce aż do ostatniej przyczyny ustroju świata, nie zadowalniając się pierwszym lepszym, bezpośrednim jego czynnikiem. Ale prorok nowego ateizmu, Dr. F. Strauss, i tu sobie umie poradzić. Chaos

[1] Pesch. S. J. Welträthsel, t. II., str. 307 sq.

[2] Naturgeschichte und Theorie des Himmels, t. IV., str. 51 i 220. T. I. na wielu miejscach: np. str. 212—222, 247, 248.

[3] W 1-szym i 2-gim liście do Bentley'a cyt. u Lorinsera, Buch der Natur t. I., p. 312 sq.

[4] Buffon, Histoire naturelle, Théorie de la terre. Paris, 1774, t. I., p. 191—193.

z całym zasobem ruchu, to szczątki innego, dawno już zburzonego świata. Nie potrzeba nam więc żadnego Boga do wyjaśnienia początku pierwotnych składników i ruchów materyi. Odpowiedź znakomita! Tylko że i ten nowy świat nie ma znów podstawy i przyczyny swego istnienia. Mądrość Straussa nie posunęłaby nas ani o krok dalej, choćbyśmy przypuścili nietylko jeden taki świat zdruzgotany, będący materyałem naszego, ale i cały szereg podobnych poprzedników; wówczas mógłby rozum przypuścić wieczną materyę, ale powstającą wiekuistem działaniem Stwórcy, zawisłą od Niego w swym bycie i ruchu. Aby podać jakąś przyczynę ruchu w chaotycznym pierwoskładzie świata, uciekają się inni do wsobnych sił *(vires immanentes)*[1], które nazywają bądź siłą przyciągającą, bądź dążeniem do równowagi, bądź innem mianem, przypisując im charakter pierwszego motora w bezwładnym chaosie. Dając nawet wiarę wszystkim tym konjekturom, mimowoli znów to samo nasuwa się pytanie, zkąd się biorą te siły wsobne, w których drzemią sobie tak potężne i niespożyte prawa?

Chcąc ten wyłom zasłonić, niektórzy uczeni obdarzają materyę jakiemiś tajemniczemi własnościami[2]. Strauss[3], Schopenhauer[4], Hartmann[5], mówią o instynktowej sile przyrody. „Jak instynkt zwierząt jest działaniem, mającem pozór świadomości celu, na której mu zbywa, tak i w działaniu przyrody zupełnie to samo się dzieje". A zatem instynkt natury, to ostatni zastępca Boga we wszechświecie. Lecz i ten ostateczny zamach niefortunnie obmyślany. Przypuśćmy, że pewien rodzaj zwierzęcego instynktu kieruje przyrodą. Czyż instynkt taki nie udowadniałby w niej widocznego istnienia celowej dążności? Wglądnijmy w instynkta zwierząt, a przekonamy się, że wszystkie one zmierzają do oznaczonych celów, właściwych każdemu organizmowi. Nie przypadek to, ale wieczyste prawo. Dowodem zupełna tożsamość instynktów u zwierząt jednogatunkowych, u równogatunkowych zaś rozmaitość zastosowana do potrzeb każdego gatunku, a przedziwnie harmonizująca z całą eko-

[1] Jacob Ennis, Philosophical Magazine, vol. III., n. 18, kwiecień, 1877.
[2] Du Prel, Werke, t. I., str. 331.
[3] Der alte und neue Glaube, str. 117., 143.
[4] Natur als Wille und Vorstellung.
[5] Philosophie des Unbewussten, str. 730.

nomią przyrody. Zkąd więc pochodzi ta instynktowa dążność zwierząt do celu? Z instynktu materyi, odpowiadają przeciwnicy. Prawda, lecz to tylko połowiczna odpowiedź: bo zkąd znów ten instynkt pochodzi? Próżnobyśmy szukali u nich rozwiązania tej kwestyi. Jedna tu tylko możliwa jest odpowiedź: Ten, który stworzył zwierzęta według gatunków i rodzajów, wskazał im odpowiedni cel życia i wyposażył ich naturę popędem do tego celu wiodącym; a jak instynkt zwierzęcy nie usuwa i nie zastępuje twórczej wszechmocy i wszechmądrości Boga, lecz owszem uzasadnia Jego istnienie, tak też i dążność celowa martwej przyrody, jakimkolwiek tłumaczona sposobem, zawsze domagać się będzie tej pierwszej podstawy dla siebie.

Tak więc stanęliśmy u kresu naszego założenia. Krytyka, chcąca podkopać stare dowody o Bogu, zaćmić je blichtrem nowej umiejętności, okazała się najzupełniej nieumiejętną i nielogiczną. Frazesy nowych mędrców, oznajmujące światu, że w obec badań i postępu nauki dawna wiara ostać się nie może, są tylko czczym sofizmem oraz występkiem przeciwko porządkowi społecznemu, przeciw szczęściu jednostek i ogółu, bo wszystko to, odarte z wiary w Boga, rozprządz się musi i runąć.

Stary więc dowód rozumowy, który od tysiąców lat dla najgenialniejszych umysłów dostateczną był rękojmią istnienia Boga, który podług Pawła św. i mędrca starego zakonu tak pewnym, tak widocznym jest znakiem Stwórcy, że kto Go nie uznaje, jest *inexcusabilis* — ten sam dowód i w obec nauki, w obec postępu wiedzy, stoi jak dawniej nietknięty i nieporuszony. Prawdziwa umiejętność, nauka gruntowna i bezstronna, jeszcze obfitsze światło rozlewa wśród świątyni przyrody, tem wyraźniej ukazując Stwórcę takim samym, jakim Go podaje ta wiara, którą sobór watykański przeciwstawia dzisiejszemu niedowiarstwu: *Unum Deum verum et vivum, Creatorem ac Dominum coeli et terrae, omnipotentem, aeternum, immensum, incomprehensibilem....* (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

Z LISTÓW BRONISŁAWA ZALESKIEGO[1].

II.

Podróż po stepie Orenburskim.

Epizod obyczajowy. — Uczta u Bija. — Podróż nadrzeczna ku Mogudżarskim górom. — Odwiedziny Kirgizek. — Stanowisko kobiet. — Z życia Kuzumbaja. — Ajruk. — Mogiła Akty-Kiena.

Muszę pani opowiedzieć jedno zdarzenie z zeszłego roku, które i obyczaje stepowych kolonij trochę maluje i świadczy o ślicznej skłonności człowieka do zawierania związków po za obrębem swego domu i swojej wioski nawet — skłonności, która koniecznie do ogólnego pobratania się prowadzi. Stepowych twierdz jest kilka. O wiorst przeszło 200 od Karabutaku, dalej ku Aralskiemu morzu, nad rzeką Irgizem zbudowana z nich jedna — tam także jest osada z kilku lub kilkunastu rodzin złożona. W niedostatku wszelkiego sąsiedztwa, te kolonie są w ciągłych między sobą stosunkach; takim sposobem młoda dziewczyna z Karabutaku wpadła w oko koloniście z nad Irgizu. Nie wiem już, ile razy młodzieniec w odwiedziny przyjeżdżał, ale nakoniec i on się podobał i chcieli się pobrać; ale ojciec dziewczyny, mając na widoku jakąś bogatszą dla córki partyę, nie pozwalał; prośby, przekładania nic nie pomagały, prezenta oblubieńca nie miały skutku żadnego, trzeba się było wyrzec projektu, albo nie posłuchać ojca. Widać, że miłość stepowa gorąca — kochankowie nie mogli zrzec się siebie wzajemnie. Młody kolonista z dwudziestu końmi przyjechał w okolice Karabutaku, dzień w jakimś wąwozie przesiedział niepostrzeżony, żeby konie sił nabrały, a w noc umówioną dziewczyna wyszła z domu, siadła na koń i we dwoje puścili się do Irgizu. Ojciec w kilka godzin spostrzegłszy, że córki niema, ruszył w pogoń po świeżych śladach, na wielbłądach, bo koni czy nie miał, czy były spracowane. Ale nic nie pomogło, córka z oblubieńcem

[1] Zobacz „Przegl. powszechny". Tom III., str. 407.

w półtora dnia stanęła w Irgizie; tam jest cerkiew i ksiądz uprzedzony czekał z błogosławieństwem. Ojciec, już znalazł małżonków; gniewał się czas jakiś, ale w końcu dał się przebłagać i opowiadano nam, że młodzi teraz bardzo dobrze i szczęśliwie żyją. Cały melodramat — czyż nie prawda?

Opuściwszy Karabutak przechodziliśmy mimo wąwozu, złożonego z niewielkich ale stromych skał grünszteinu i porfiru, między któremi wiła się maleńka rzeczka. Tam spostrzegliśmy chatkę z kamienia, obrosłą dokoła gęstą trawą i krzakami głogu, bo w ogólności nad wodą roślinność stepu jest bujna, a w tej porze zupełną jeszcze miała zieloność. Chatkę zbudował Muła Itłasów; nikogo w niej nie było, okna nawet zakryte i drzwi pozamykane — pustka najzupełniejsza, bo mieszkańcy gdzieś na koczowisko wyruszyli; ale zimą około tego domku zbiera się 30 do 40 kibitek i wtenczas Muła uczy czytać dzieci. Jedna z izb domu przeznaczona na szkołę. Itłasów ma być człowiek rozumny, a wychowany sam w Sterlibaszy, szkole, o jakiej kiedyś mówiłem. Jedyny też to rozsadnik, zkąd islamizm rozchodzi się po stepie, wyjąwszy sąsiednie Chiwy i Bucharyi okolice, do których Mułowie ztamtąd przychodzą. Kirgizi w ogóle, o ile mogłem się przypatrzeć, Mahometanami nie są i nie wiadomo, do jakiego wyznania należą; najprędzej do żadnego, jeśli ogólnych pojęć o Bóstwie za wyznanie poczytywać nie będziemy. Sąsiedztwo z Tatarami z jednej strony a z Chiwą i Bucharyą z drugiej, rozszerzyło w nich niektóre pojęcia i zwyczaje tych krajów; ogólno-wschodni koloryt ich obyczajów pomógł do tego, że ich za Mahometanów poczytano, ale zdaje się, że mylnie. Ze wszystkich Kirgizów, których widziałem, jeden tylko nasz Czahun odprawiał modlitwy i to najczęściej raz, czasem dwa razy na dzień; umywań, przepisanych przez Koran, nikt z nich nie zachowywał. Meczetów nigdzie w całym stepie nie ma, postów nie znają, o pielgrzymkach do grobu proroka ani słychać u nich. Zdaje się więc, że islamizm nigdy między nimi nie wybujał prawdziwie i że prędzej od wszystkich innych plemion wschodnich przyjęliby wszelką przyniesioną im religię. Byłoby to dobrze dla ich przyszłości, bo chrystyanizm nie ma bardziej upartego i nienawistnego ku sobie wroga, jak wyznanie dzieci Mahometa.

Brzegiem Karabutaku, a później drugiej malutkiej rzeczki Aszcze-saj, zbliżyliśmy się do Irgizu, tam znaleźliśmy kilka aułów

kirgiskich. Kozacy łowili ryby w Irgizie, my nad jego brzegami upolowaliśmy kilka małych gąsiąt dzikich, które rękami ułowić się dały i potem długo bawiły nas w obozie; jedno z nich szczególniej wyrosło u nas na gęś poważną, która prawie całą podróż z nami odbyła i z przechadzek wracała zawsze do swego kosza.

Tam przyjechał do nas młody Kirgiz i przywiózł w podarunku barana, prosząc w imieniu ojca, żebyśmy go w aule odwiedzić raczyli. Był to syn przełożonego aułu, Usurbaju-Kusiurbaja; przyrzekliśmy, że przyjedziemy. Nazajutrz ruszyliśmy konnno — przysłany przez Usiurbaja nad rankiem Kirgiz służył nam za przewodnika; na połowie drogi spotkał nas syn znowu, a kiedy zbliżaliśmy się do aułu, wyjechał na nasze spotkanie sam gospodarz w towarzystwie kilkunastu Kirgizów, i z powagą przywitawszy, poprowadził do pąsowego namiotu, umyślnie dla nas przygotowanego. Po wszystkich salamach i ściskaniach rąk usadził nas na kobiercach a sam zaczął przemowę. Przez kwadrans przynajmniej lał się potok słów donośnym wymawianych głosem, a tak szybko, że ledwo wyrazy schwycić było można. Kirgizi z podziwieniem i dumą wewnętrzną słuchali oratora, my nic naturalnie nie rozumieliśmy, ale Kuzumbaj tę poezyę przekładał nad prozę, którą znowu Kozacy drogomani nasi nam tłumaczyli — były to podziękowania, wyrażenia szczęścia z naszego przybycia i t. d. Odpowiedzieliśmy kilku słowami. Nowe potoki elokwencyi zalały nas, i tak powtarzało się to kilka razy, z wielkiem zadowoleniem mówcy i słuchaczów. Przy częstowaniu rożkiem z tabaką, a zawsze takim grzmiącym donośnym głosem, podano kumys, który istotnie był wyborny, i którego, chcąc być grzecznym, trzeba było pić ile się zmieściło. Prosiliśmy gospodarza, żeby nas z rodziną swoją poznajomił; rad był temu i po kilku chwilach poprosił nas do swojej kibitki. Większa od zwyczajnych i z białego wojłoku zrobiona, formą i składem nie różniła się zgoła od zwyczajnych kibitek kirgizkich. Już je pani dawniej opisywałem, powtarzać więc teraz nie będę. Wszedłszy, znaleźliśmy wyczyszczoną, jak nigdy się nam widzieć nie zdarzyło, wzorzyste kołdry i dywany rozesłane były na ziemi; światło padało z góry przez wierzch odkryty, na skrzyniach i pakach porozwieszane różnokolorowe stroje, chałaty złotymi i srebrnymi galonami bramowane; ile było broni u gospodarza i wszelkiego rodzaju świecideł, wszystko to wydobyte

ze schowania i rozwieszone; cała rodzina wystrojona, żadnego nawet dziecka nagiego nie było, co chyba w wielkich uroczystościach się zdarza, bo malcy wiecznie goło uwijają się około kibitek. Całe zgromadzenie siedziało w kółko, zostawiając najwyższe miejsca dla nas. Usiadłszy wschodnim obyczajem, trzeba było witać się kolejno ze wszystkimi mężczyznami. Odznaczał się między całem towarzystwem, jak harbuz na grzędzie ogórków, ogromnej tuszy Bij[1]; za nim siedziało kilka dziewcząt — może którą z nich miał zamiar zaszczycić wyborem swoim, bo bez ustanku z ukosa rzucał na nie spojrzenia, a te się zakrywały. Rozmowa szła nie ustając, Kuzumbaj nam pomagał, bo chcąc, żeby Kirgiz rad był z gościa, trzeba się starać mówić jak najwięcej.

Tłum uboższych Kirgizów cisnął się do kibitki przypatrzyć się nam i cząstkę jaką jadła dostać; przyniesiono pilaw i bisz-bermek, zwyczajne potrawy kirgiskie, z których każdą znowu kumysem zapijać trzeba było; Kuzumbaj wyprowadzał nas z biedy, zjadając i wypijając wszystko, czego spożyć nie byliśmy w stanie. Tymczasem sypały się pytania ze wszystkich stron; każda część stroju naszego, cygarnica, fajka, wszystko obudzało ciekawość — a cóż kiedy dostałem papier i ołówki? Niezmiernie uszczęśliwieni z rysunku byli, powtarzając co moment: oj-boj-oj! ich wykrzyknik podziwienia; malcy ośmieliwszy się, zaczęli przychodzić a nawet zaczepiać nas; guziki przy sukniach szczególniej im się podobały, a mię cieszyły te pełne życia twarzyczki, z dziwnym doprawdy, nigdzie indziej niewidzianym u dzieci blaskiem w czarnem oku. Dziewczęta jedne milczały, albo czasem szeptały tylko między sobą; widać było, że i one nie o jedną rzecz zapytać i wygadaćby się chciały. Prosiliśmy, żeby zaśpiewały. Po długich korowodach dowiedzieliśmy się, że w przytomności mężczyzn, a szczególniej ojca, śpiewać nie można, zwłaszcza w dzień; nalegania z naszej strony, cukierki nawet nic nie pomagały; ale Kuzumbaj wziął się na koncept: ponieważ chodziło tylko o zachowanie formy, więc wyprosił ojca za drzwi... obiecał stać na straży i tak zgodziły się śpiewać. Sprowadziły jeszcze kilka towarzyszek, tak że ich było razem 8 czy

[1] Bij znaczy to samo prawie co u nas szlachcic, a na Kaukazie Bezkirgizi nazywają ich także Biała-kość, wyższy ród przez to oznaczając.

9 i usiadłszy w kółko, plecami do nas, po długiem chichotaniu, drożeniu się i uśmiechach, zaczęły śpiewać. Nie spodziewałem się usłyszeć tak miłych, dźwięcznych głosów; nóta śpiewu była monotonna, jak wszystkie kirgiskie, ale była w niej harmonia, a świeżość młodziutkich głosów wynagradzała wiele. Kirgizi śpiewając improwizują zwyczajnie; nóta prawie zawsze ta sama, ale słowa są improwizowane. Nie wiem, czy jest w takich śpiewach miara, rym czasem, mnie schwycić zdawało się. I nasze śpiewaczki zaimprowizowały piosenkę następującą, jak ją nam tłumacze przełożyli: „Ojciec wyszedł i dał nam sposobność rozweselić naszych gości, ojciec wam rad i myśmy rade. Piękne źrebcę u nas i piękne klacze, nie boimy się jednak złodziei, bo przyjaciele u nas. Jak przyjdą złodzieje, powiemy im, że przyjaciele nasi niedaleko, zapytają zkąd oni? powiemy, że z Orenburga, a wtenczas uciekną, zostawiwszy nas w pokoju". Nastąpiły potem pieśni na pochwałę każdego z nas z kolei z życzeniami zdrowia, pięknych żon, mnóstwa dzieci, stad wielkich, bogactwa i t. d. Dziękowaliśmy, rozdając śpiewaczkom pierniki, z czego niezmiernie były rade, bo przysmak to był niesłychany w stepie. Kobiety tymczasem przy Kirgizach bojaźliwe i małomówiące, bez nich pozbywały się wszelkiego przymusu, głośno gadać a potem i zaczepiać nas zaczęły, pozwalając sobie daleko więcej, niżbyśmy dla ich moralnej godności słyszeć z ich ust chcieli. Na ogół, Kirgizki, kiedy je spotkasz bez mężczyzn, w mowie są nietylko wolne, ale nawet wyuzdane, i brak kobiecej cnoty jest jedną z ran okropnych, które toczą tę społeczność. Chodzi tylko o zachowanie formy, o niedopuszczanie się czegoś w pewnej godzinie, przy pewnej osobie.

Uprzejmość naszego gospodarza nie ograniczała się na traktamencie; zaledwo dziewczęta śpiewać przestały, wszedł Usiurbaj, zapraszając nas na wyścigi konne, które, powiadał, że dla nas urządzić kazał. Jest to jedna z najulubieńszych zabaw Kirgiza; wesele, pogrzeb, zresztą każda uroczystość wyścigami u nich się kończy. Obszerne błonia i płaszczyzny, na których mieszkają, naprowadzić do tego musiały i może nawet zrodziły upodobanie; mają wielkie stada koni i te szczególniej wytrwałością się odznaczają. Meta dla wyścigów zdziwiłaby niejednego z amatorów Jockey klubu, bo nigdy mniej od wiorst 20 nie przebiegają. Często daleko więcej,

i utrzymują, że na mniejszej przestrzeni konia poznać nie można; 40 i 50 wiorst pędzą nieraz i istotnie z zadziwiającą szybkością. Konie na ogół bardzo są niepokaźne; znawcy utrzymują, że opisy Ammiana Marcelina, historyka Hunnów, doskonale i do dzisiejszych kirgiskich koni przystosować się dają. Na wyścigach przygotowanych dla nas nie było sławnych w stepie biegunów. Stadnina naszego gospodarza dostarczyła kilkanaście małych koni, z wejrzenia bardzo młodych i chudych, na których malcy kirgiscy przeganiali się dla naszej zabawy. Meta tą razą zaledwo 5 wiorst wynosiła. Wyjechawszy na plac popisu, znaleźliśmy tłum Kirgizów, przeszło 200 na koniach, w najrozmaitszych strojach, często po dwóch na jednym koniu, którzy z aułu wysypali się przypatrzyć gonitwom, tłum różnobarwny i pełen miejscowego kolorytu. Premie dla zwycięzców były przygotowane, ale i tu zdradzał się charakter kirgiski. Składały się one z chałatu bardzo prostego i już podnoszonego, a dalej z jagnięcia i koźlątka; tym ostatnim zaledwo po kilka godzin życia zostawało, schorzałe i słabe czołgały się na kolanach, padając co kroków kilka, nic więc gospodarz na ofiarowaniu ich nie tracił. Malutkie chłopcy przystrojone w jaskrawe chałaty, objęte szerokiemi spodniami, jak najlepsi jeźdźcy pędzili na swoich konikach; jeden z czarnemi i błyszczącemi jak żar oczami dobiegł pierwszy do mety i wygrał tym sposobem chałat, ale podług zwyczajów kirgiskich, premium należało się najstarszemu z przytomnych; pokazało się, że nasz sędziwy Czahun najwięcej lat sobie liczył, jemu więc chałat przysądzono, jagnię i koźlątko porwali inni Kirgizi, i w tejże chwili na tem miejscu miała nastąpić uczta; malcy nic nie dostali; darowaliśmy im po parę nowych srebrnych pieniążków, z czego niezmiernie uradowani byli. Starsi jednak odebrać je im później musieli, bo tak się działo nawet z łakociami rozdawanemi dzieciom: każden kawałek cukru obchodził zwyczajnie usta wszystkich kobiet i mężczyzn, nim okruszyny jego dostały się dziecku.

Po długich pożegnaniach i życzeniach, bez liku uścisnąwszy ręce gospodarza, jego rodziny i Bija, pojechaliśmy do naszego obozu. Nazajutrz odwiedził nas Usiur-baj Kusiurbajew i wtenczas dowiedzieliśmy się co było przyczyną tak uprzejmego ugoszczenia; miał jakąś sążnistą skargę, myślał, że w Orenburgu pomódz mu będziemy mogli, nadzwyczaj rozwlekle i z najdrobniejszymi szczegółami, jak

to zwyczaj u Kirgizów, opowiedział nam wszystko i prosił o instancyę.

Wkrótce ruszyliśmy dalej brzegiem Aszcze-Saju. Berenit, grünstein i porfir, składały tam ziemne pokłady, przy podobnej formacyi w Altajskich górach, wszędzie znajduje się złoto; trzeba było spodziewać się i tu je odkryć, aleśmy na żadną nie natrafili żyłę.

Po hucznej biesiadzie u Kusiurbaja, znowu nie spotykaliśmy nikogo; parę dni tak przeszło, aż raz przewodnicy zobaczyli zdaleka dwóch ludzi konnych; spotkanie człowieka w stepie, to radość, to nowość; dalej więc przez znaki rozmawiać z nimi; pokazało się, że swoi, zbliżyliśmy się wzajemnie i znaleźliśmy w podróżnych Kirgizów wiozących pocztę z Irgizu do Orska. Zawiązała się rozmowa, wzajemnie opowiedzieliśmy sobie słyszane nowiny i po kwadransie każden ruszył w swą stronę. Porównywają step do morza i w istocie są podobieństwa; rozległość przestrzeni ograniczonej tylko horyzontem, wichry stepowe podobne do burz morskich, miraże jak fatamorgana, nawet białe ptactwo, którego nigdzie nie widziałem, prócz na morzu, tutaj spotyka się także. I Kirgizi mają w sobie coś podobnego do żeglarzy o tyle, o ile step podobny do morza; ogorzali od wiatru i słońca, jak tamci mówią bardzo głośno, krzyczą donośnie jak ludzie, co z daleka rozmawiać z sobą przywykli przez wichry i burze; w podróżach kierują się gwiazdami, odbywają je na wielbłądach, prawdziwych łodziach stepowych, kołyszących się jak tamte; wzrok mają dziwnie bystry i rozpoznają na horyzoncie przedmioty, jak gdyby przez lunety patrzyli. Kiedy dwóch podróżnych spotyka się w stepie, to jak dwa okręta na morzu, postrzegli siebie zdaleka i dążą ku sobie; najprzód znakami zapytują się wzajemnie, co są za jedni, swoi czy obcy; to jak wywieszone flagi na statku, podjeżdżają i spadły na chwilę; nie zsiadając z koni zapyta jeden drugiego zkąd i dokąd jedzie i z jakiego aułu, jaka tam droga, czy nie ma złodziei (korsarzy) i dalej każden w swoją stronę. A huragan, szczególniej zimą, to prawdziwa burza morska; niejeden przypłacił życiem, a szczęśliwy ten, kto zakopał się w śniegu i tak przesiedzieć potrafił aż do pogody.

Rozstawszy się z rzeczką Aszcze-Saj, przeszliśmy drugą podobną Jeman-Kajrakły i brzegami trzeciej Jakszy-Kajrakły zwanej, poszliśmy już prosto ku Mugodżarskim górom. Brzegi stawały się

coraz bardziej skaliste, a tymczasem zmieniała się i roślinność; do traw spotykanych dotąd, przybywały nowe: kijak z szorstkim liściem, kłosami i ziarnem podobnem do naszej pszenicy, rodzaj to pirców — kilka gatunków owsa i w ogólności więcej mącznych i krochmalnych roślin niż u nas. Im szliśmy dalej, tem bujniejsze były wszystkie rośliny, ledwo poznać było można dawno znajome, tak wypiękniały i urosły. Gęsta zielona trzcina (oczeret) w wielu miejscach pokrywała wybrzeże, dostarczając koniom ulubionej strawy; powoli i krzewy zjawiać się poczęły: najpierwej krzaki głogu pięknie kwitnące, ogromne kępy łozy, dalej ożyna a nawet agrest, tylko na tym ani kwiatu, ani owocu nie znaleźliśmy. W krzakach łozy odzywały się słowiki, ale już mało i źle śpiewały; całe ptactwo umilkło, pora wiosny, miłości, uciechy minęła, po niej dla nich nastała pora pracy i obowiązków z pisklętami, schowało się w trawie. Czasami tylko przez psa nastraszona wyleciała jaka biedna kaczka, krzykiem go swoim odprowadzając od dziatek. Noce dziwnie ciche nastały, lubowałem się niemi nieraz, łowiąc uchem wszystkie ich głosy, ale najczęściej były one nieme; wielbłądy nasze jakoś dziwnie milczały i tylko węże, których tam mnóstwo, i żaby przerywały ciszę.

Nie mogąc jechać brzegiem samej rzeczki, wijącej się między coraz większymi kamieniami, nieraz znacznie w stronę zbaczać musieliśmy i wtenczas roślinność nadrzeczna znikała, otaczała nas znowu pusta i monotonna płaszczyzną. Raz jednak zdaleka dostrzegliśmy na niej zieloną kępę; podjechawszy znaleźliśmy całe drzewo, albo raczej jeden krzak ogromny z kilku pniami, były i suche między nimi, ale żadnej obciętej gałązki. Drzewo tak rzadkie jest na stepie, że stało się dla Kirgiza świętością i nasza dzika śliwka, na której ani kwiatu, ani owocu nie było, obwieszona była szmatkami odzieży, skór, włosów końskich, składanych tam w ofierze przez modlących się przy niej Kirgizów. Ptaszków tam tylko nie było, bo orzeł uwił sobie na wierzchu drzewa ogromne gniazdo, i król pustyni spłoszył młodszych skrzydlatych braci, tak wszędzie lubiących zieloność.

Zbliżając się ku górom, zaczęliśmy częściej napotykać Kirgizów; świeże koczowiska rozpoznać było można po wygryzionej do szczętu trawie, gdzie tylko wysokie badyle blekotu stały nietknięte,

bo tych nietylko barany, ale nawet wielbłądy skosztować nie odważają się nigdy. Czasem mimo naszego obozu przekoczowywały auły; raz temu zdarzeniu winni byliśmy zabawne odwiedziny. Na dwóch wielbłądach przyjechały do nas aż cztery Kirgizki i prosto do kibitek naszych przyszły ze zwykłym Salam-malajkiem. Wszystkie cztery mężatki, jedna stara i okropnie brzydka, dwie dosyć ładne jak na Kirgizki. Rozmowa szła nie łatwo, ale pomogli tłumacze, a goście nasi wcale nie byli milczący; z ciekawością pytały one o każden przedmiot im nieznajomy, nakoniec wszystkie prosić nas zaczęły o trochę włosów z głowy. Nie mogliśmy pojąć przyczyny takiego żądania, aż nam wytłumaczono, że Kirgizki, u których zapewne z powodu ciężkich robót często zdarzają się poronienia, przypisują to złemu duchowi, (szajtanowi jak go nazywają), a będąc przekonane, że szajtan obawia się Rosyan, włosy ich za najskuteczniejszy uważają talizman. W czasie połogu gryzą te włosy, przekonane, że to je od poronień obrania. Uczyniliśmy zadość żądaniu naszych piękności, z czego niezmiernie były uszczęśliwione, a podana herbata do reszty je w dobry humor wprawiła; ale niedługo to trwało; na biedę zjawił się mąż jednej z naszych towarzyszek i z wielkim krzykiem kazał jej jechać do aułu, nie pozwoliwszy wypić ani szklanki. Z pokorą i milcząca spełniła rozkaz pana, choć bardzo się jej nie chciało, bo władza męża dotychczas jest u Kirgizów nieograniczona i żona w niczem sprzeciwić mu się nie śmie. Pozostałe ledwośmy na herbatę zatrzymać potrafili, tak się pan batyr był rozjędyczył i tak się nalękały niebogie. I nie dziw — jeden tylko chrystyanizm połączywszy wszystkich w Zbawicielu, porównał mężczyznę i kobietę. Gdzie Jego słowo nie przenikło, tam wszędzie żona zostawała w zupełnej zawisłości od męża, miał nad nią prawo życia i śmierci; tak było w całym świecie starożytnym prawie, tak jest dotychczas na Wschodzie; może więc i obwiniać bardzo Kirgiza nie można za jego domową tyranię, jest ona w obyczajach, i kobiety same z temi pojęciami rosną. Okropne jednak żyją w stepie podania o karach, jakich mężowie domierzali nad żonami w niedawnych jeszcze czasach. Śmierć od noża była jedną z najczęstszych ale nie najsroższych kar za wiarołomstwo. Znalazłszy gacha u żony, Kirgiz przywiązywał go do końskiego ogona i tak w step puszszał, a winną piekł rozpalonem żelazem, choć to już do starych zda się należeć oby-

czajów; teraz częściej pieniądzmi niż życiem i u Kirgizów za obelgi się płaci, zawsze jednak strach pozostał i żona pamięta, czego się mąż mógł z nią dopuścić, pamięta zawsze, iż on jest panem a ona niewolnicą, a przynajmniej sługą.

A wszakże kobiety nie zawsze są biernemi istotami w stepie. Jedno zdarzenie z życia naszego Kuzumbaja najlepiej tego dowiedzie. Sam mówił mi, że nie zawsze był szczęśliwy w barantach swoich; otóż nad brzegami rzeczki Jakszy-Kajrakty, pokazywał miejsce, gdzie mu się najbardziej nie powiodło.

— Zbili nas, mówił, a mię wzięli do niewoli i obdarłszy, związanego przyprowadzili do aułu, tam okuli w pęta, jakie koniom nadziewają, i tak rzucili do osobnej kibitki. Przeleżałem tam dni dwadzieścia męczony głodem, bo tylko po odrobinie ajranu (napój z owczego mleka) dawali mi codzień; grozili, że zabiją i sam byłem pewien tego, aż uratowała mię dziewczyna.

— Jakże to było? spytałem.

— At, byłem młody, odpowiedział, użaliła się nademną, przyszła w nocy i powiedziała: „Jesteś w ręku mojego ojca, oni ciebie niedługo zarzną, ale mnie ciebie żal, chcę ciebie uratować". I na drugą noc ukradkiem przygotowała konia, nasypała dwie miski krutu, i wsunęła do rąk klucz od moich łańcuchów — otworzyłem je i uciekłem. Jedenastego dnia stanąłem zdrów i cały w domu, gdzie myśleli, że jestem *ulgan* (umarły).

I przy tych słowach zawsze wesoła i figlarna twarz Kuzumbaja pokryła się jakąś rzewnością, zaczął w końcu jechać prędzej i improwizować na ulubioną sobie nótę piosnkę o swojej zbawczyni. Nie mogli mi dobrze jej wytłumaczyć, ale że się dziewczyna nazywała Ajkuszym, co znaczy księżyc, więc kończyło się tem, że twarz jej była tak miła jak twarz księżyca.

— Nie zapomnę jej nigdy, dodał, dobra była, cały auł płacze teraz po niej, bo już umarła.

— Czy później nie spotkałeś jej kiedy? zapytałem.

— Owszem, raz posłyszałem, że w jednym z aułów toj (t. j. uczta z powodu wesela). Pojechałem, żeby się poweselić i najeść, nie wiedząc czyj tam ślub będzie; po drodze dowiedziałem się, że to wesele mojej Ajkuszym; przyjeżdżam, aż ona już siedzi między dziewczętami w wysokiej czapce. Przyszedłem i oddałem jej salam.

Poznała mię i ona, a ja zaraz posłałem do domu po jedwabny chałat i darowałem jej; potem już jej nie widziałem.

— Czemuż sam się nie ożeniłeś z nią, spytałem, kiedy taka była dobra?

— Nie oddaliby za mię odpowiedział; nie śmiałem się pokazać w tamtym aule, musiałbym chyba ją wykraść jak i konie kradłem, a onaby się nie dała, bo lubiła innego, i ten też ją wykradł, bo ojciec na ślub się nie zgadzał. Po weselu jednak przystał na kałym i pogodził się.

Historya Kuzumbaja i Ajkuszym pewno się nieraz powtórzyła w stepie i maluje obyczaje kirgiskie lepiej, niż długie słowa. W ogólności już sam sposób życia wędrowny przyczynia się do tego, że kobieta w stepie daleko jest swobodniejszą, niż jej siostry na Wschodzie; a położenie dziewczyny zdaje się być jeszcze mniej zależne niż żony. Jest mnóstwo przyzwoitości, którym ulegać i które zachowywać musi, ale niema takiego wyłącznego nad sobą pana, jak tamte.

Raz zbliżając się do gór poszliśmy o wiorst kilka do aułu w odwiedziny; auł składał się z kilkunastu kibitek i nic nie miał różniącego się od innych, ale o 200 kroków w stronie spostrzegliśmy matę z Cziju [1], pokrytą pięknym wojłokiem; zajrzeliśmy do środka i zobaczyliśmy, że cały ten gatunek namiotu otaczał tylko dywan i poduszki wzorzystym wojłokiem pokryte. Pytaliśmy, jakie to wszystko ma przeznaczenie i powiedziano nam, że to dla nowożeńców. Znaleźliśmy ich właśnie w aule; oblubienica była w kibitce sama jedna i wchodzić tam żadnemu z nas nie pozwalano; kobiety jednak, które otaczały kibitkę, podejmowały wierzchni wojłok, namawiając nas, żebyśmy się pannie młodej przypatrzyli. Ona nie cofała się wcale, owszem, z uśmiechem pokazywała młodą i rumianą twarz swoją; przyjmowała kawałki cukru, które przy każdych odwiedzinach mieliśmy z sobą w kieszeniach. Nowożeniec za to ciągle koło nas się kręcił, wchodu do namiotu pilnował z jakimś toporkiem w ręku,

[1] Czij, stepowa roślina cienka i wysoka, do naszej trzciny podobna, tylko bez kolanek i liści na łodydze; ma śliczne kity u wierzchu, różowego nieraz koloru; rośnie ogromnemi kępami, często w piaszczystych miejscach. Wysokością 10 stóp dochodzi, pali się prawie jak słoma; zimą twardnieje zupełnie i używa się przez Kirgiza na maty do kibitek.

którym znaczące robił znaki, kiedy się który z nas do drzwi zbliżył. Oboje młodzi mieli coś świątecznego w twarzach, choć on do żydka podobny; u niej włosy czarne jak heban, zaplecione były w mnóstwo drobniutkich kosek i tak spływały po plecach długie i lśniące; w pąsowym zawoju wyglądała ładnie, i oczywiście na ten raz była jakby panią w aule. Przed zachodem słońca jednak wyszła z kibitki i wtenczas widzieliśmy ją dojącą z innemi owce i kozy. Dowiedzieliśmy się później, że młodzi nie byli jeszcze zaślubieni, bo kułym nie cały opłacony; za wypłaconą część jego, przyszły mąż nabrał prawa do takich wizyt, jaką ta była, po uiszczeniu się całkowitem miał ślub formalny nastąpić.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej ku górom; przez kilka dni widać było na horyzoncie rysujące się ich grzbiety i coraz prędzej stanąć się między niemi chciało. Przyszliśmy nakoniec; Kuzumbaj ostrzegał, żeby szyldwachy w nocy krzyczały donośnie, bo złodziei w górach najwięcej, a ich, jak utrzymywał, krzykiem odstraszyć można. Właśnie w wigilię naszego tam przybycia uprowadzili z bliskiego aułu kilka koni, i kiedy pogoń za nimi posłano, przyszło do bójki, w której jeden z goniących zginął a drugi wrócił raniony; rabusie ze zdobyczą uciekli. Pokazywali nam mogiłę świeżą zabitego i słyszeliśmy z dala płacze Kirgizek, którym zwyczaj każe w podobnych razach krzyczeć żałośnie i twarz sobie szarpać na dowód żalu. Wypadek ten dowiódł nam, że baranta jeszcze nie całkiem ustała w stepie, choć dawny duch hajdamacki zdaje się skonał. Mieliśmy się na ostrożności i nic się nam nie przytrafiło.

Góry Mugodżarskie stanowią niewielkie pasmo od Ust-Urtu ku górom Uralskim biegnące, w kilku miejscach przerwane a zewsząd otoczone pustynią. Ogniwo tego łańcucha, najbardziej do Ust-Urtu zbliżone, nazywa się Jaman-Tan; to zaś, które jak straż przednia w step wybiega, Kara-Tan, a cały korpus gór nosi miano Mugodżarskich, już nie wiem zkąd przez etymologów wyprowadzone. Składają się one gdzieniegdzie z granitu, ale po większej części z porfiru, grünszteinu, kwarcu, piaskowca; kilka gór pięknego różnokolorowego jaspisu znaleziono, w niektórych miejscach agaty i chalcedrony. Wszystkie pokryte grubą warstwą napływowej ziemi i dla tego najczęściej okrągławe mają kształty, zrzadka tylko jakim ostrym kamieniem, kawałkiem skały urozmaicone. Ciągną się kilku małemi

pasmami, które szerokie rozdzielają płaszczyzny, puste jak cała ta strona. Prawie wszystkie rzeczki stepowe w tych górach biorą początek, dlatego źródła i strumienie napotykają się często; koło nich bujna trawa rośnie i z wysokości, góry te wydają się jakby zielonemi poprzedzielane wstążkami. Góry same zupełnie puste, niską stepową trawą zrzadka porosłe, albo zupełnie z zieloności ogołocone; często spotykaliśmy na nich cebulkowate rośliny, rzadziej dziko rosnącą rzepę. Nad rzeczkami roślinność w niektórych miejscach dość bujna, podobna zupełnie do tej, którą nad innymi stepowymi strumieniami spotykaliśmy, tylko że kwiaty, które tam okwitły, tu ledwo w pączki zawiązywać się zaczynały.

Wędrując po górach przenosiliśmy nasz obóz od źródeł Oru do źródeł Emby i wszystkich po kolei rzeczek stepowych. Najpiękniejszą z nich wszystkich jest rzeczka Akty-Kiendy, bystro płynie a brzegi ma skaliste i w bardzo wielu miejscach drzewami porosłe. Dotychczas tylko pojedyńcze drzewka, objedzone przez kozy i barany napotykaliśmy w górach, tutaj już całe gaiki; wśród dni znojnych, przy pustej, szarej dokoła krainie, dziwnie mile nęciła oko świeża zieloność tych drzewek; szmer ich liści mówił o Litwie... i myśli za nim nie wiedzieć gdzie biegły. Obóz poszedł równiejszą drogą — lecz ja konno kilka wiorst brzegiem tej rzeki jechałem, lubując się rozsianymi na każdym zakręcie gaikami; były to brzózki, młoda osina, czeremcha, u spodu ich krzaki ożyny, czarnych porzeczek, kępy łozy a niżej jeszcze głogi, gaszty, wielki ślaz różowy, groszki śliczne barw rozmaitych; w trawie zaś u samego spodu gęsto napotykały się truskawki, które już i pierwej zbieraliśmy w dolinach i z których Otton konfitury smażył. Góry stopniowo podnosiły się, już jedne przy drugich coraz bliżej siedziały, aż nareszcie wyszedłszy na płaszczyznę ukazał się nam Ajruk, najwyższa z gór Mugodżarskich. Nie olbrzym to wcale, ale zawsze odznacza się między otaczającemi go górami i wygląda jak ojciec pilnujący igrającej u stóp jego dziatwy. Dzień był pogodny; niebo obłokami pokryte cieniowało ślicznie całą przestrzeń i Ajruk zarekomendował się nam w całej piękności, jaką tylko mieć może; zalotnie zdawał się mieniać barwy, żeby nas do siebie przywabić, to jasno różowy — jakiś rozmiłowany, to znowu ciemny i groźny, czasami fioletowy, purpurowy prawie, niebieski; raz zdawał się grozić mniejszym pagórkom i brwi mar-

szczyć na ich swawolę, to znowu uśmiechał się mile, rozpogadzał czoło i jakby wołał do siebie. Może domyślał się, że go rysuję i tak wszystkie swe stroje przywdziewał, próbując, co bardziej do twarzy mu będzie; bliższej jednak znajomości widać, że z nami zawierać nie chciał, bo kiedy nazajutrz u jego podnóża stanęliśmy, przywitał nas tak rzęsistym deszczem, żeśmy do nitki przemokli i te kaprysy trwały całe dwa dni, tak, żeśmy już o możności wejścia na jego wierzchołek zwątpili. I wiatr południowy nie rozpogadzał go wcale, owszem, chmury tak nisko nasunął sobie na czoło, że nam zupełnie wierzchołek jego zakrywały, przewalając się mglistymi bałwanami po jego grzbiecie. Przetrwaliśmy jednakże te złe humory i góra widząc, że nas nie znudzi, dała za wygraną; w nocy już się rozpogodziło i trzeciego dnia o świcie poszedłem na górę; termometr wskazywał tylko 2° Reaumura. Wejść na wierzchołek nie trudno, konno nawet wjechać można, ale też i trudzić się nie byłoby dla czego; po drodze nic nie spotykałem, prócz dzikiej brzoskwini gęsto u stóp Ajruku rosnącej, rzadkich bardzo cebulkowatych roślin i kilku krzaczków tinia-syngiru z drobnym różowym kwiatkiem, który po całym stepie jest rozsypany; dudek przeleciał nad jednym z wąwozów, a jakiś jeszcze drobny ptaszek witał wschodzące słońce, otóż i wszystko. Z wierzchołka widok bardzo rozległy, to prawda, ale zupełnie pusty; widać całe pasmo Mungodżar, ale góry zupełnie do siebie podobne; patrząc na nie z takiej wysokości, zdają się poukładane jak serniki na półmisku; do koła ze wszystkich stron aż po granice widnokręgu, goły, pusty step zupełnie, gdzieniegdzie tylko po nim wije się strumień, albo błyszczy szyba niewielkiego jeziora; laski także, tak miłe nad brzegiem rzeczek, zdają się ztąd tylko zielonemi kępami; w zachodniej stronie urozmaicały step trochę białe wzgórza, jak mury dalekiego miasta wystające z szarej przestrzeni; ale więcej nic zgoła, życia żadnego, kilka ledwo aułów dostrzedz było można, i te wydawały się jak szare punkciki. Długo stałem obiegając okiem ogromny widnokrąg, wyzywając znak jaki życia, i wszystko milczało, wszystko było puste dokoła. Orzeł tylko pokazał się nad górami Jaman, tak zrazu jak szary ledwo widzialny punkcik, co chwila wyraźniejszy, zdawał się płynąć ku mnie, tak wolno i poważnie wahał skrzydłami w powietrzu, już był niedaleko, już go widziałem wyraźnie, prościutko ku mojej gó-

rze płynął — ale zwrócił się nagle, pociągnął nazad i przepadł w błękicie tych gór. Znowu nic żyjącego nie widziałem dokoła, niebo nawet było puste bez obłoków, i tak wróciłem nazad. Ale wieczorem wynagrodzony byłem; chciałem zobaczyć step z takiej wysokości przy zachodzie słońca i udało się przewybornie, zachód był cudowny, co często w tych stronach się zdarza. Zrazu chmura pokryła słońce, ale z pod niej padały takie strumienie światła, że cały step był jakby powodzią jego zalany. Dziwny widok! Horyzont niknął gdzieś w niebie, a niebo zlewało się z horyzontem, w jakiemś przejasnem przeźroczu; na utkanym promieniami stepie, wzgórza i górki wydawały się jak niewyraźne pasemka w jasnej mieniącej się tkaninie, kontury przedmiotów nikły i rozpływały się w świetle. Powoli u dołu mgła ta jeszcze gęstnieć poczęła, coraz grubszą zasłoną pokrywała widnokrąg, słońce spadłszy na dół długo jaskrawo-czerwone płynęło po tem różowem rozpalonem morzu, obłoki na całym niebie zróżowiały, jednym ciepłym tonem pokryło się wszystko. Słońce znikło, a jeszcze na zachodzie nic nie było widać prócz oceanu różowo-niebieskiej jasności, w którym ziemia zlewała się z niebem; i tak dzień skonał, nastąpiła noc cicha i ciepła, jasna i gwiaździsta, a nazajutrz o 4 godzinie rano już 20° pokazywał termometr.

Obeszliśmy Ajruk dokoła i żeby się zemścić za niegościnne przyjęcie, rozłożyliśmy nasz obóz po drugiej jego stronie. Wieczorem na sam jego wierzchołek wielbłądy nasze zaniosły pęki brzeziny, której nam dostarczyły suche drzewa w gaikach; ułożyliśmy stos i zapaliliśmy na znak dla Kirgizów wysłanych po pocztę do Karabutaku; takim sposobem mieliśmy iluminacyę. Stos na Ajruku tak gorzał wspaniale, że długo o nim gadali w stepie; widziany był o wiorst 100 i więcej w około. Zwyczajnie w stepie, jeżeli się kogo w obozie spodziewają, rozkładają ogniska, albo na wysokich żerdziach, a kiedy ich niema, to na pikach palą snopy trawy stepowej, rohoże i t. p. rzeczy; bez tego, w stronie gdzie żadnych dróg niema i miejscowość zupełnie do siebie podobna, trudno byłoby wynaleść obóz i nie zbłądzić. Wybiera się na ten cel najwyższe w około miejsce, żeby jak najdalej ogień mógł być widziany. Kilka razy używaliśmy tego sposobu z naszymi posłańcami i nieraz znak ten przyprowadził ich do obozu.

Niedaleko ztamtąd, obaczyliśmy znowu rzeczkę Akty-Kiendy; otaczało ją tutaj kilka skał malowniczych, złożonych z wapiennego kamienia, którego połączenie z grünszteinem ciekawe dla geologów. Wśród tego wianka skał na małej dolinie stoi grobowiec św. Akty-Kiena, który i rzece imię swe nadał. Różna to od wszystkich, jakie w stepie widziałem, mogiła; składa ją klomb krzewów (baur-kurt po kirgisku zwanych), zupełnie do naszego agrestu podobnych, tylko z gronami jagód jak porzeczki; otacza ten klomb mur złożony z kamieni, a porozwieszane na krzakach szmaty odzieży i zatknięta po środku żerdź wysoka, pokazują mogiłę świętego. Dokoła niej mogiły innych Kirgizów, bo oni chętnie na miejscach świętych grzebać siebie każą.

O kilka wiorst dalej, już za górami w stepie jest inna jeszcze mogiła, znana u Kirgizów pod imieniem mogiły świętej dziewczyny (Kyz-Aulio); podanie powiada, że tam pochowana córka Akty-Kiena. Odwiedziłem ją umyślnie; składa się z wielkich drzew czeremhy, otoczonych głazami; niektóre z tych drzew już uschły, inne bujnie rosną, a wszystkie razem suche z żyjącemi, tworzą bardzo malowniczą grupę. Orzeł tam gniazdo sobie uwił i jedyny to stróż samotnego grobowca; że Kirgizi odwiedzają go jednak, o tem świadczy mnóstwo szmat, odzieży, skórek i t. p. zwyczajnych ofiar na grobach świętych. Jest coś rozrzewniającego w tej czci Kirgizów dla Akty-Kienu i jego dziecka; o mogiłach tylu batyrów, sułtanów zapomnieli, a te czcią i pamięcią otaczają. Może była myśl jaka i w obsadzeniu pachnącą czeremhą mogiły młodej dziewczyny.

Pytałem Kuzumbaja, jak dawno żył Akty-Kiena, ale mi dokładnie czasu oznaczyć nie umiał; powiedział tylko, że bardzo już dawno, za jego pra-pradziada — ale był człowiek bogobojny, pomagał biednym i karmił, a sobie kawałka mięsa nie pozwalał, kumysu nawet nie pił, żył jednym ajranem i tego bardzo skromnie używał. Córka jego umarła bardzo młodo. Więcej szczegółów dowiedzieć się nie mogłem. Może Akty-Kiena zajmował się rolnictwem, bo niedaleko jego mogiły wyraźne ślady uprawnej roli widne, dotychczas, to pewna, że Kirgizi skłonni w ogólności do obżarstwa i w jedzeniu znajdujący ledwo że nie najwyższe upodobanie, wszelkie umartwienia i posty bardzo wysoko cenią. Życie surowe i wstrzemięźliwe, bodaj że już samo, pieczęć świętości kładzie na człowieka.

Bawiąc tu dni kilka, przyszło komuś do głowy, zaproponować przejażdżkę na wielbłądach; zgodziliśmy się wszyscy, a że auł był niedaleko, więc w odwiedziny tam się wybraliśmy. Pomysł niebardzo był szczęśliwy, bo kto jeździ na wielbłądzie, ten w mniemaniu Kirgizów dowodzi, że konia nie ma, a przez to bardzo w ich oczach na szacunku traci — aleśmy o tem nie wiedzieli. Większą jeszcze biedą była sama jazda. Wielbłąd idąc stępo kołysze jak łódź albo huśtawka, ale kłusem tak trzęsie i podrzuca, że nieprzyzwyczajonemu usiedzieć trudno; siodło przytem niezmiernie szerokie jeszcze niewygody przyczynia tak, że tych 4 czy 5 wiorst zmęczyły mię bardzo i nazad piechotą wolałem powracać. Przeprowadzali nas jednak aulni Kirgizi, pomimo tego, żeśmy na wielbłądach przyjechali, bo niczem się w domu nie zajmując, wszelkie przejażdżki niezmiernie lubią i radzi z każdej do tego zręczności. Między przeprowadzającymi jechało dwóch na jednym koniu z bałabajką i ci całą drogę śpiewali jakąś pieśń nieskończenie długą, ale tak prędko, że nawet kozacy umiejący po kirgisku rozumieć ich nie mogli. Wróciwszy do siebie musieliśmy ich uczęstować i rozstaliśmy się Kunakami.

Opuściwszy Ajruk poszliśmy dalej Mugodżarskiemi górami ku ich południowemu skrajowi; droga coraz zdawała się smutniejszą, laski koło Ajruku częstsze, tu rzadziej spotykać się dawały i jakieś mniejsze, nędzniejsze. W ogólności strumienie płynące na zachód obrosłe są gaikami — przeciwnie te, które ku wschodowi biegną, brzegi mają puste, i ani jednego drzewka tam nie spotkać.

Wyszliśmy na drogę Chiwińskich karawan; pasmo niziutkich płaskich wzgórzy zupełnie do siebie podobnych, szaro-żółtych, bo rosnąca na nich kępami stepowa trawa już była wypalona od słońca, ścieśniało tylko dla oka widnokrąg, żadną go nie mogąc zająć pięknością. Pustynia zupełna, choć niepłaska a połamana we wzgórza otaczała nas dokoła; gdzieniegdzie tylko spotkane źródło rozweseliło oko kawałkiem zielonej około niego łąki, albo kępami trzciny wodnej jeszcze wtenczas pięknie zielonej. Glina, piasek albo grunt solą przesiąkły następowały koleją po sobie, a na nich wszędzie też same biedne rośliny, taż sama zdaje się martwość. Czasami spotykaliśmy stado baranów i ich pasterza jadącego na osiodłanej krowie, co często w stepie się zdarza. Tak doszliśmy ostat-

niego ogniwa Mugodżarskiego łańcucha, zwanego Jaman-Tan, co znaczy złe góry, złożone z grünszteinu i zielonego piaskowca; są one niższe daleko od Mugodżarskich, bardziej od nich nastrzępione kamieniami, pomimo to pokryte są także grubą warstwą napływowej ziemi; zajmują przestrzeń kilku wiorst kwadratowych, zakreślając koło, w którem wąwozy zdają się zbiegać do środka, z czego właśnie są do dalszego pasma podobne, puste zupełnie, we środku tylko mają dolinę porosłą bujną trawą. (Dok. nast.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Postęp i szczęście i przewroty społeczne przez *Władysława Michała Dębickiego.* Warszawa 1885.

Nigdzie na polskiej ziemi nie znalazły *Nowinki* nowoczesne tak gościnnego przyjęcia jak w Warszawie. Teorye Darwina, Haekla, Spencera, Comte'a i Littré'go miały tu wielki popyt, znalazły obrońców i krzewicieli, pozytywizm zwłaszcza zapalił ku sobie młodzieńcze umysły i przebył tu wiek swój złoty. Ma wprawdzie i dziś jeszcze swoje organa literackie, ma jeszcze zaciętych apostołów i gorliwych wyznawców, ale to przecie nie to, co było przed laty. Ludzie konserwatywnych zasad milczeli po większej części, czy to z braku odwagi, czy też sądząc, że licho się samo przeżyje. Jeden tylko prawie *Przegląd katolicki* śledził czujnie jego objawy i karcił te niewczesne zapędy. Dziś i inni podnoszą swój głos i ścierają się z nimi należycie. Jedną z takich publikacyj polemicznych jest praca p. Dębickiego drukowana z początkiem b. r. w *Niwie*, teraz zaś ukazała się w oddzielnej broszurze.

Wymierzona głównie przeciw liberałom i materyalistom wykazuje, że wszystkie ich usiłowania zmierzające do obalenia niniejszego porządku, by na jego rumowisku wznieść przybytek przyszłego szczęścia ludzkiego, są „pracą Danaid, dziecinnem, szalonem, zbrodniczem marnotrawieniem sił i świętego zapału"; a że tylko postęp chrześcijański sprowadzić jest w stanie „najwyższą pomyślność, jaka jest na ziemi".

Szczęście bierze autor nie w pełnem filozoficznem znaczeniu, ale w nierównie szerszem, w nieskończenie niższym stopniu, niż ona

„beatitudo“ teologiczna, ale coś bardziej powszedniego i ziemskiego, poprostu szczęście: „to przyjemny stan samowiedzy ludzkiej, czyli zadowolnienie mniejsze lub większe, krótsze lub dłuższe ze swej doli“.

Autor wychodząc z tego punktu, że szczęście to cel i koniec wszelkich usiłowań, bodziec do wszystkich przedsięwzięć i trudów, niepohamowane i nad wszystkiem dominujące pragnienie całego życia, szkicuje w kilku barwnych rysach szczęście tegoczesne, liczne wynalazki, wzrost oświaty w każdym kierunku, a mimo to konkluduje opierając się na eudomonologii, że „dola ludzka może się pogorszyć, ale nie polepszy się nigdy“, że wszystkie te usiłowania i zdobycze różnorodne „nie osuszą łez ludzkich, ziemi w Eldorado nie zmienią, że będzie zawsze, czem jest i być ma: padołem udręczenia, surowym zakładem wychowawczym ludzkości, *vallis lacrimarum*“.

Bo jeśli który, to nasz wiek mógłby być szczęśliwy. Skorzystawszy z doświadczenia wieków przeszłych, prześcignął wszystkie na drodze oświaty, przemysłu i t. d., a jednak „suma szczęścia ludzkiego, tj. liczba stanów przyjemnych bynajmniej nie wzrasta, że owszem, dzieje się wprost przeciwnie“. Nie przeczy, że są — wedle jego określenia — szczęścia ludzie szczęśliwi, ale mniej tych, którym się fortuna złotem kołem toczy, a więcej biedaków, nędzarzy niezadowolnionych ze swego losu. Na dowód, że teraz źle się dzieje na świecie, przytacza liczne samobójstwa, rozwody coraz częstsze, zepsucie toczące zwłaszcza więcej wykształcone klasy, pesymizm w poglądach filozofów i pisarzy tegoczesnych, wreszcie bezustannie i ze wszech stron świata dochodzące nas wieści o wojnach, zbrodniach, pożogach, epidemiach i katastrofach różnego nazwania i rodzaju. Skonstatowawszy to, co i wielkiego dowodzenia nie potrzebuje, jak mrzonki odtrąca wszelkie zapowiedzie postępowców nowożytnych o złotym wieku w przyszłości, bo „dopóki ludzie tylko pozostaną „ludźmi, dopóki mieć będą krew, uczucia i namiętności, dopóki zie„mia pozostanie taką samą, jak jest dzisiaj planetą, dopóty nie „wyschnie ani jedno źródło niedoli, a skąpe krynice szczęścia wy„dajności swojej nie zwiększą“, czyli krótko mówiąc nie będzie lepiej na tym świecie, bo złe pozostanie, dobrego nie przybędzie.

I tak rodowi ludzkiemu towarzyszą nędze nieodłączne, tych żaden postęp nie usunie, cywilizacya nie zmniejszy, żaden ustrój

społeczny nie zmieni. Pozostanie śmierć i starość, pełna cierpień. Wychowanie będzie zawsze kłopotliwe dla wychowujących i pełne przykrości dla pupilów. Sztuka lecznicza przy największym rozwoju nie usunie chorób, „postępuje medycyna, a tymczasem, niby dla „urągowiska, na każdym niemal kroku spotkać można ludzi kaszlą„cych, stękających, łysych, garbatych i chromych, z popsutymi zę„bami, dotkniętych bezwładem członków, bladych, wątłych, drażli„wych i posępnych“. Każdy cywilizacyjny postęp okupią zawsze seciny zdrowiem lub życiem, bo „za zwycięzkim orszakiem dobro„dziejstw cywilizacyjnych, niby smuga czarnego dymu, dażą suchoty, „choroby umysłowe, przymiot, niekrwistość, hypochondrya, histerya, „krótkowzroczność i cały legion katarów“. Ludzie pozostaną zawsze pełnymi namiętności, złych przywar i nałogów, a więc pełno będzie chciwości, zajrzenia, nienawiści sobkostwa, dybania na cudze mienie, podstępów, kradzieży i mordów. Tak będzie w rodzinach i narodach; ztąd zatargi i wojny wybuchać będą od czasu do czasu.

A gdyby, jak powiada, jakimś trafem ziściły się utopie Mostów Bronsse'ów Guillaume'ów przywódców „Czarnej ręki“ hiszpańskiej i tym podobnych uszczęśliwiaczy rodu ludzkiego, gdyby ludzkość przeszła w idealną anarchię, w tak zwany „stan amorfny“, czyby ustały wojny? W znaczeniu dzisiejszem tak, ale za to „ludzkość cała zlana w jedno olbrzymie stado rozkiełznanych dwunogich zwierząt, nie miałaby już z kim prowadzić wojny nazewnątrz, ale natomiast masakrowałaby się wewnątrz bez końca i miary“.

Nietylko więc zle pozostanie, ale i o zwiększeniu dobrego, tj. przyjemności nie można myśleć. Trojakie bowiem są przyjemności: zmysłowe, umysłowe i moralne. Moralnych nie znają materyaliści, ani pozytywiści, więc niema co mówić z niemi o nich. Co do zmysłowych, tych stopień natężenia się nie zwiększy z prostej przyczyny, że ich pośrednikiem jest „system nerwowy, którego hedoniczna wrażliwość ma stałe granice“, każda przyjemność nam z czasem powszednieje, a nuda i przesyt, to koniec wszystkich rozkoszy tego rodzaju. Wygórowane rozkosze pociągają za sobą rujnacyę zdrowia, a bez niego przyjemności niemasz. Przytem zawsze te przyjemności dostępne tylko niewielkiej części, a zarzut, iż „dzięki po„stępowi i dla biedniejszych przystępne dziś są rzeczy, które w daw„nych wiekach na wagę złota kupowano“, odpiera jako nic niezna-

czący „w obec smutnego faktu, że proletaryat dzisiejszy nie jest ani „weselszy, ani zdrowszy od dawniejszego, pomimo teatrów, wódki, „piwa, cynamonu i pieprzu“.

Co do umysłowych przyjemności prawdą niezaprzeczoną, że badanie, praca naukowa dostarcza wiele przyjemności; ale ponieważ to sprawa z materyalistami, i *ejusdem farinae* ludźmi, argumentuje *ad hominem*, wykazując, do czego doszli najwięksi ich rzekomo uczeni. Przytacza wyznanie Spencera, że miasto prawdy, zdobywa „próżnię niepewności“, Du Bois Reymonda desperackie *dubitemus*, a Haeckla sąd o fizyce i chemii, że są „prawdziwym zamkiem powietrznym, wzniesionym z samych hypotez“. Przytem dobrze to filozofować, kiedy nie potrzeba się starać o byt materyalny, wygodnie stawiać najśmielsze hypotezy w ciepłym pokoju po dobrym obiedzie, przy czarnej kawie z cygarem, ale „kiedy dziś doktorzy filozofii bez całych butów, adwokaci bez klien„teli, lekarze bez praktyki są nierzadkiem, jak np. w Niemczech zja„wiskiem“, nie dziw, że niejeden wykrzyknie z Faustem: „O w takiej doli i psu żyć nie warto!“ A w zajadłem szamotaniu się z nędzą, krok jeden do rozpaczy, „a wtedy balsamem pociechy nie są „i nie będą nigdy dla uczonego ani najśmielsze hypotezy o two„rzeniu się mgławic, ani krytyczne poglądy na rapsodye Homera, „ani biegłe pojmowanie tekstu Rig-Wedy, ani głęboka znajomość „wymoczków, ani logarytmy, ani pandekty, ani językoznawstwo, ani „fizyka i chemia, ani żadna inna wiedza, która jego jest“.

A stwierdziwszy w ten sposób swoje założenie, nie każe się bynajmniej wyrzec ludzkości wszystkich dobrodziejstw cywilizacyi, owszem, „uznając konieczność postępu i to coraz wszechstronniejszego w miarę coraz nowych potrzeb i coraz cieńszych warunków“, twierdzi, że trzeba go się starać oprzeć „na trwałej i rozumnej podstawie i rozwijać go w trwałym i rozumnym kierunku“, to jest oprzeć się na chrystyanizmie i w jego duchu się doskonalić.

Jeden chrystyanizm bowiem uważa życie człowieka za zadanie o wielkiej doniosłości. Sam jeden najlepiej rozwiązuje kwestye równości, wszystkich za braci uznając, a kwestyę socyalną miłosierdziem w duchu Chrystusowem, bo to zakon miłości, a pobudką do spełnienia go sankcya pozagrobowa. A choć „mniej wtedy z pewno„ścią byłoby tytoniu, mniej piwa i wódki, ale za to więcej powsze-

„dniego chleba; nie czytywanoby wówczas pornograficznych piśmideł, „nie szerzono schlebiającego żądzom materyalizmu, nie oklaskiwano „jawnej rozpusty na deskach teatralnych, ale za to szpitale miałyby „mniej łazarzów, mniej byłoby waryatów, mniej histeryi, hypochon„dryi, mniej w ogóle tego nerwowego rozdrażnienia, które tak smu„tnie cechuje dni nasze". Złote zaprawdę słowa, którym tylko przyklasnąć musimy i powinszować autorowi tego zdrowego i chrześcijańskiego zapatrywania się na rzeczy.

Prawda, przyznaje autor, że i chrystyanizm nie umniejszy nędz żywota, ziemi w raj nie zamieni, „ale idee chrześcijańskiego po„stępu, głęboko zakorzenione w duszach, sprowadziłyby na ziemię „to wielkie dobrodziejstwo, którego żadne inne sprowadzić nie mogą; „oszczędziłyby ludziom niezliczonych cierpień, których sprawczynią „jest niegodziwość lub namiętność człowieka. A nadto chrystyanizm „krzepiąc nieszczęśliwych nadzieją, wskazując im idealne wzory re„zygnacyi i męztwa, nie wydałby nikogo na łup największego z nie„szczęść — beznadziejnej rozpaczy".

A że tak jest, nie inaczej, odwołuje się do dziejów świata, które mu takie świadectwo oddają w przebiegu wieków, wskazuje na cudowny jego rozwój, na dzieła cywilizacyi, miłosierdzia i wszechstronnego umoralnienia. Nawet wrogowie mimowolnie składają się na apologię chrystyanizmu, zapożyczając zeń, jak liberalizm, „wszystkie swe efektowe hasła, swe pojęcia wolności honoru i obowiązku", jak socyalizm, biorący zeń, „poglądy i uczucia filantropijne". Niemniej cenne w tej mierze są wyznania Lang'a Monteskiego, Renana, których o stronniczość nikt nie posądzi.

A okazawszy na przykładach błogie działanie chrystyanizmu, nawołuje wszystkich filantropów do zwalczania tych złych prądów. Kończy zwrotem do literatów polskich, „którzy nie wiedząc za co, „mszczą się na swym narodzie i podkopując w jego samowiedzy „chrześcijańską teoryę życia, czynią go zwolna nieszczęśliwym".

Rozszerzyliśmy się może i nadto, więcej przynajmniej, niżby objętość tego dziełka wymagała, ale sądzimy, że istotnie warte tego. Dotyka bowiem kwestyi najżywotniejszej naszego społeczeństwa. W obec prądów materyalistycznych i socyalnych, głos ten ostrzegawczy bardzo na czasie. Przytem praca to samodzielna, dobrze pomyślana, logicznie przeprowadzona, w dobrym duchu i celu pod-

jęta. Autorowi chodziło o prawdę i dobro społeczeństwa przedewszystkiem. Nieraz musiał zdemaskować wrogów, wykazać ich niecny kierunek, ale czyni to zawsze w granicach przyzwoitości. Jest więc polemika, ale nie wyzywająca, siłą rzeczy, nie słowy ostremi gnębiąca przeciwnika. Styl do tego barwny, przedstawienie rzeczy żywe. Liczne cytaty dają dowód jego oczytania a poglądy zdrowe i wyżyna której sięgnął, pokozują, że to umysł wyższy, co albo nigdy nie zboczył na manowce, albo wcześnie dojrzał. Wprawdzie w niektórych ustępach zawiele trochę słów i frazesów na efekt obrachowanych. Żałujemy też, że autor dalej nie wniknął w dobroczynność chrystyanizmu, a stąd druga część w przeciwstawieniu do pierwszej, jest trochę za ogólnikową, ale w każdym razie w ramach, jakie sobie autor zakreślił, jest to praca zasługująca na uznanie, udatna w całem słowa znaczeniu. Widać nie chybiła celu i ugodziła dobrze, kiedy się na nią targnął tak zjadliwie p. Wścieklica w Ateneum. I snać oburzenie przeszło miarę, bo nie dozwoliło „poważnie polemizować“, ale żółcią zaprawiło całą krytykę.

Za pierwszą część swej pracy otrzymał autor nazwę „pesymista zdecydowany“, za wtórą „optymista różowo na świat patrzący“. Dalej zarzuca mu złe użycie statystyki. Czemu? bo „statystyka jest nauką za młodą, by można z niej wyprowadzać wnioski zupełnie pewne“. Ciekawa to odpowiedź w ustach zdecydowanego pozytywisty, jakim jest p. Wścieklica. Wszak pozytywiści, począwszy od Buckla, najwięcej się na statystyce opierają, kiedy chodzi o poparcie ich teoryj. W ich oczach statystyka, to potęga, zapomocą której chcą zwalczyć metafizykę, obalić objawienie Boże. Jakżeż się to dzieje, że kiedy się ta sama statystyka przeciw nim obraca, staje się nauką „młodą“, bez powągi?

Nie podoba się p. Wścieklicy odwołanie się autora na częste rozwody. „Należałoby się je objaśnić raczej wzrostem łatwości, otrzymania rozwodu, aniżeli zwiększeniem małżeństw nieszczęśliwych“. Minęły czasy w naszej Polsce, kiedy magnaci płacili takim Młodziejowskim, Ostrowskim „za rozwody i dowody“, a jeśli jest gdzie nadużycie w tej mierze, to nie winna temu ogólna praktyka Kościoła, ale zbieg nieszczęsnych okoliczności i opłakanych warunków, w których się niestety znajduje. Lecz to nic jeszcze w porównaniu z dalszemi zdaniami, jak np. następne: „niepodobna przypuścić, żeby

„ludzie mieli dziś być bardziej niezgodni, niż dawniej, dlatego, że „nauka weszła w kolizye z religijnemi podaniami“, czyli innemi słowy, że człowiek nie kieruje się zasadami, że zasady nie wpływają na życie praktyczne. Cóż więc kieruje jego czynem, instynkt, czy fatum? Więc albo w niczem nie różnimy się od bezrozumnych zwierząt, albośmy automaty bez woli.

O wierze naszej świętej wyraża się p. Wścieklica z pogardą: „religijne podania“. Kto Konfucyusza, Budę, Mahometa stawi w jednej linii z Chrystusem Panem, dla tego i ich bałamuctwa, jak i Boska nauka „podaniem“. Kto uwierzył w omnipotencyę rozumu, i tylko to dlań prawda, co widzi i czego się dotknie rękami, temu niezrozumiałe „co Bóg małuczkim objawił“, i u tego „wiedza weszła w kolizye z wiarą“.

W końcu jeszcze jedno zdanie. „Jeżeli zaś stosunek małżeństw „nieszczęśliwych nie uległ zmianie a liczba rozwodów pomimo to wzrosła, „to suma ludzkiego nieszczęścia się zmniejszyła; gdyż rozwiedzeni „przestali się dręczyć a nawet mogli znaleść lepsze pożycie w nowych „związkach“. Jaka religia, taka też etyka. Za cóż ma p. Wścieklica małżeństwo? Wedle niego luźny związek, „życie na wiarę“ a małżeństwo to jedno. U nas małżeństwo rzeczą świętą, „Sakramentem wielkim w Chrystusie Jezusie“, a jako takie i nierozwiązalne, podwaliną jest społeczeństwa. Tam tylko może być mowa o wychowaniu dobrem dziatek, o wykształceniu moralnem ludzkości. Gdzie świętość zaś przysięgi poszła w poniewierkę, tam najgłębsze posady społeczeństwa zachwiane i ruina jego niedaleka.

Inne zarzuty p. Wścieklicy nie wiedzieć, czy grzeszą więcej naiwnością, czy niewiadomością. Czytając n. p. takie zdanie, „że „dzisiejsze niezadowolenie klas upośledzonych bierze głównie źródło „w tej właśnie ufności, nie występuje ono w postaci rozpaczy bez„nadziejnej, lecz przejawia się w pragnieniu dalszej poprawy sto„sunków w dążeniu do osiągnięcia możliwie największego dobro„bytu“; stawiamy pytanie, czy literat ten ma wyobrażenie o dzisiejszych fabrykach Zachodu, choćby z książek i opisów, czy rzucił choć okiem na takie urzędowe sprawozdanie, jak *Rapport officiel sur l'enquête relative aux anarchistes en Suisse 1885.* Kiedy w średnich wiekach robotnik znajdował w cechu drugą familię, która mu zapewniała dobrobyt jego stanowi odpowiedni, w dzisiejszych

fabrykach ogromna większość skazana jest przez całe życie na stan istnych niewolników, a wolność opuszczenia tych kajdan, by umrzeć z głodu w zaułkach, jest tylko ironią, co jeszcze przyczynia się do ich cierpień! I ten los, na jakiby się murzyn nie godził, ma być tylko skutkiem aspiracyi „do osiągnienia możliwie największego dobrobytu".

Ale dość tego cynizmu i „chromej loiki". Mogliśmy dostatecznie poznać, czego warta krytyka p. Wścieklicy. Przekonać go, a tem bardziej nawrócić go nie kusimy się, ale darować mu poniewierki rzeczy, które dla każdego chrześcijanina są najświętsze, nie możemy. Kończymy słowy p. Ochorowicza, które przytacza p. Dębicki przy końcu swej pracy: „Nie bądźcie złodziejami, nie odbierajcie wiary tym, którym nic w zamian dać nie możecie!".

Z. B.

Über die historische Bedeutung des Basilianerordens in Galizien und seine gegenwärtigen Verhältnisse, von *I. Iwanowicz*. Leipzig, 1885.

Reforma dobromilskich Bazylianów wywołała wielką wrzawę w dziennikarstwie. Poważną i sumienną ocenę tejże podała nam broszura p. t.: Bazylianie i reforma dobromilska. Z obozu przeciwnego pojawiła się niemiecka broszura pod powyższym tytułem. Główną jej zaletą, że omawia kwestyę reformy bazyliańskiej spokojnie, z punktu przeważnie kościelnego, nie sprowadzając jej, jak to czyniło dziennikarstwo, na teren polityczno-narodowych namiętności, któremu ona zupełnie jest obcą. Wydana w Lipsku w styczniu b. r. przygotować ona miała umysły i kompetentne sfery do życzliwego przyjęcia deputacyi ruskiej z Dr. Szaraniewiczem na czele, która w maju b. r. wyruszyła do Wiednia do cesarza, ministra stanu i do nuncyusza. Poglądy w niej wypowiedziane nie są nowe, słyszeliśmy je kilkakrotnie z ust koryfeuszów partyi świętojurskiej w złotej dobie jej działalności; z treścią ich spotkaliśmy się także w mowie, jaką miał Dr. Szaraniewicz do ks. Nuncyusza w Wiedniu, występując tam jako jeden z trzech deputatów ruskich, protestujących w imieniu „narodu ruskiego" przeciw reformie bazyliańskiej; pomimo to a może właśnie dlatego nie są one zupełnie zgodne z prawdą historyczną.

Zgodzimy się, że monastery bazyliańskie, których r. 1743

naliczono 236 na Litwie i Rusi, „są pomnikami historycznej przeszłości Rusinów“ (str. 5), bo takimi pomnikami są wszystkie klasztory w ogóle, bez różnicy obrządku i reguły. Zgodzimy się i na to, że książęta ruscy a nawet litewscy byli fundatorami wielu najdawniejszych monasterów; świadczą o tem dokumenta erekcyjne, a taki sam objaw pobożności spotykamy u wielu łacińskich także królów i książąt, w średnich zwłaszcza wiekach. Nawet i na to zgoda, „że najwięcej monasterów założono w XVII. wieku... w epoce pogłębienia religijnych przekonań po obojej stronie“ (katolickiej i prawosławnej) (str. 7). Ale za to godzić się nie można na sposób przedstawienia tej religijnej reakcyi w łonie prawosławnej Cerkwi w XVI. i XVII. wieku. Autor opowiada tak spokojnie, bez żadnego słowa krytyki albo nagany roboty patryarchy Teofana 1620 r., jak gdyby one jedynie z gorliwości o prawosławie i całkiem według praw i kanonów cerkiewnych dokonane były; przemilcza przytem roztropnie o równie niekościelnej propagandzie patryarchy Jeremiasza II. 1588 r. Nie znajduje też nic nagannego w akcyi bractw stauropigialnych, które złożone przeważnie z ludzi świeckich, przywłaszczyły sobie część juryzdykcyi biskupiej, kontrolę i sąd nad samymiże biskupami, a dla których p. Iwanowicz, jako jeden z najprzedniejszych przewódców stauropigii lwowskiej, pragnie przywrócić jeszcze dzisiaj wpływ decydujący w sprawach Cerkwi ruskiej. Tymczasem z dokumentami w ręku wykazać można, że przemilczany Jeremiasz II. był chciwcem i łakomcem, że za pieniądze święcił władyków i to po kilku naraz na jedno władyctwo, i znów za pieniądze erygował stauropigie, a intryganckiem swem postępowaniem zraził nawet takiego patrona prawosławia, jak k-że Konstanty Ostrogski i do szukania w Rzymie ratunku dla cerkwi go popchnął. Nie lepszy był ów Teofan, który prawosławną hierarchię, pod osłoną hetmana zaporoskiego Konaszewicza, wskrzesił i odrazu obok religijnej, narodowościowo-polityczą propagandę, na Ukrainie zwłaszcza rozpostarł.

Nie całkiem też prawdziwe twierdzenie: „ówczesny rząd polski, wraz ze swymi wysokimi dygnitarzami, wmieszał się do walki“, (str. 7). Owszem, za mało może było tego wdania się ze strony rządu polskiego w sprawie unii, która — pomijając religijne — wielkie polityczne korzyści mu przynosiła. Króla Zygmunta prosili władycy, „zwyczajem bizantyjskim“, aby sprawę reformy cerkwi ruskiej on sam

wziął w swoje ręce. Król, jako pobożny pan, odmówił i odesłał biskupów do papieża; przyrzekł tylko moralną pomoc i dał pieniądze na drogę delegatom Rusi Z dygnitarzy polskich, jeden kanclerz Zamojski, drugi biskup krak. Maciejowski a trzeci kanclerz lit. Lew Sapieha, pojmowali ważność unii, i popierali ją, legalnemi wszelako środkami; wszyscy inni, nawet episkopat łaciński, okazali się tej sprawie wprost niechętnymi, tak, iż im Skarga publicznie o to przymawiał: „dali się bardzo zestarzeć tej ranie, iż mniemają, aby już niezleczona była, a ono nie tak jest“ (O jedności Kościoła, część III., rozdz. VI). Świeccy zaś panowie i szlachta na sejmach, w sądach a nawet na dworze królewskim przeciw unii i na korzyść prawosławia agitowali, jak się na to głośno użalali metropolici: Pociej i Rutski. Wychwalany przez autora Szczęsny Herburt, fundator dobromilskiego monasteru, nie był prawosławnym, ale różnowiercą i nie z gorliwości o ruską wiarę monaster fundował, ale przez butę i na przekor królowi, który sam jeden unią na sejmach i w sądach przed napaścią prawosławnych bronił.

Niezupełnie prawdziwy jest cały ustęp pod lit. *D* (str. 9), przedstawiający „historyczno-cywilizacyjną misyę“ Bazylianów na Rusi przed unią. Byli to przeważnie nieucy, próżniactwu i niemoralności oddani; niech p. Iwanowicz odczyta, co Dr. Pełesz, dzisiejszy Biskup stanisławowski, w swej *Geschichte der Union* (I. 500—508) na źródłach ruskich oparty, opowiada. Dopiero od czasu reformy Rutskiego i Jozafata, t. j. od 1619 r. Bazylianie są takimi, jakimi ich p. I. maluje i wtenczas można mówić szczerze i śmiało o ich „cywilizacyjnej misyi“.

Opowiadając organizacyę Bazylianów przed Unią, zbył milczeniem autor owe z wielu miar szkodliwe dla karności monasterów wpływy bractw stauropigialnych. Moglibyśmy mu to jeszcze przebaczyć, ale dalszy jego w tym przedmiocie wywód (str. 12—13) jest tendencyjny i da się ująć w ten sylogizm: Unia brzeska nie zniosła autonomicznych urządzeń Cerkwi i dawnej organizacyi Bazylianów, jedno i drugie zagwarantowała Stolica św. i polscy królowie (str. 13). Reforma Bazylianów w XVII. wieku poczyniła pewne szczerby w tej zagwarantowanej bullami i ustawami królewskiemi autonomii, wyjmując Bazylianów z pod juryzdykcyi metropolity i biskupów „i sprowadzając przez to dla spokoju Cerkwi bardzo smutne skutki“

(str. 15); ale dopiero reformacyjna bulla Leona XIII. autonomię tę ścieśniła i naruszyła (beeinträchtigt und verletzt, str. 36), wstrząsnęła konstytucyę bazyliańską i stworzyła anormalne stosunki Bazylianów w Galicyi (wesentlich erchüttert... anormale Verhältnisse für den Basilianerorden in Galizien geschaffen, str. 33, 35), a więc papież Leon XIII. jest gwałcicielem wiekami uświęconych, dokumentami zabezpieczonych swobód i wolności cerkwi ruskiej, a narzędziem jego, i do tego „narzędziem niesposobnem“ są Jezuici. Mniejsza już o Jezuitów, ale ażeby papieża przedstawić jako gwałciciela wolności Kościoła, do którego przecie Cerkiew ruska w Galicyi należy, to już chyba nie da się pogodzić z katolicyzmem, który p. Iwanowicz jako jeden z koryfeuszów unickiej stauropigii lwowskiej wyznaje. Pojmuję, że dla pozornego usprawiedliwienia deputacyi świeckiej w sprawie wyłącznie cerkiewnej, należało sięgnąć do historyi i dawnych stauropigij, ale należało to uczynić oględniej. W gruncie rzeczy chodzi tu o kardynalną zasadę katolicką, którą w pierwszym lepszym katechizmie wyczytać można. Najwyższą władzą w Kościele katol. jest papież i na podstawie tej prymacyalnej władzy przysługuje papieżowi prawo wydawania dekretów, czy przepisów, które dla dobra bądźto Kościoła całego, bądź jakiej prowincyi kościelnej, bądź też zakonu którego, uważa za pożyteczne. Każdy kardynał, prymas, metropolita, arcybiskup, biskup, ksiądz, zakonnik, świecki albo wojskowy człowiek, słowem, każdy kto jest i chce pozostać katolikiem, uszanuje to rozporządzenie papieskie, bo ono jest legalne, prawowite, i na tej to karności i posłuszeństwie polega niespożyta siła i moc Kościoła.

W ciągu trzech wieków papieże zatwierdzali autonomię Cerkwi ruskiej, istnieje ona po dziś dzień, o ile ją nie papieże, ale prawa józefińskie i państwowe nowsze ustawy nie okroiły. Tak samo dawne konstytucye bazyliańskie zatwierdzili papieże, i nie oni ale znów józefińskie prawa i patenty rządowe poczyniły w tej konstytucyi znaczne szczerby; i właśnie to wdanie się świeckiego rządu w wewnętrzne sprawy nietylko Bazylianów, ale i innych zakonów, były przyczyną ogólnego upadku zakonów w Galicyi. Konkordat z Stolicą św. 1855 r. rozwiązał ręce zakonom o tyle, że mogły rządzić się według swych statutów i znosić bezpośrednio z naczelną swą władzą w Rzymie. Ale podczas gdy łacińskie zakony przywołały

sobie z grona swego reformatorów z zagranicy i częścią już się zreformowały, częścią jeszcze się reformują, to Bazylianie nie mając ani w kraju, ani za granicą ludzi potemu, zreformować się mogli tylko przy pomocy innego zakonu. Czuli oni to sami dobrze, a przedewszystkiem ich prowincyał. Powiadomiony o tym stanie rzeczy papież, wyznaczył Jezuitów na narzędzie tej reformy, i miał na podstawie swej prymacyalnej władzy do tego zupełne prawo. Dlatego też ani ks. Metropolita lwowski, ani ks. Biskup przemyski nie przyłożyli ręki do protestacyjnej propagandy, jaką stauropigia lwowska, której prezesem jest Dr. Szaraniewicz i niedobitki partyi świętojurskiej, po wschodniej Galicyi rozrzucili, a zapytani o zdanie przez rząd, odpowiedzieli, iż reformie dobromilskiej nie mają nic dozarzucenia. I nie mogli inaczej postąpić, bo wdanie się papieża w tę sprawę i bulla jego *Singulare praesidium* wypływa z natury prymacyalnej władzy papieży, uznanej przez Cerkiew ruską w Galicyi i przez rząd austryacki.

Równie na niezrozumieniu rzeczy polega twierdzenie autora, jakoby bulla *Singulare praesidium* spaczyła zakon bazyliański w Galicyi: „*Es sind durch diese paepstliche Bulle anormale Verhältnisse für den Basilianerorden in Galizien geschaffen worden*“ (str. 35). Zabawne to nieco, aby p. Iwanowicz uczył Leona XIII. w jaki sposób ma tenże układać swoje bulle, iżby one nie naruszały istoty zakonu bazyliańskiego. Mniejsza już o to, ale znów przypomnieć się godzi zasadę z katechizmu, że tak jak na podstawie prymacyalnej władzy papieże w XVII. i XVIII. wieku zatwierdzili regułę bazyliańską, zreformowaną przez Rutskiego i kongregacye zakonne, tak też mocą tejże władzy mógł Leon XIII. zupełnie prawnie i legalnie zawiesić chwilowo zwyczajny bieg organów zarządu zakonnego, a to tem bardziej, że chodziło tu właśnie o przywrócenie dawnego porządku rzeczy, ustawami zakonu i bullami papieskiemi sankcyonowanego. Wyraźnie zaznacza Leon XIII. w swej bulli: *Dobromilenses alumni ... informentur ex instituto ordinis Basiliani disciplinaque per s. Josaphatum ordinata. Cumque omnino velimus Ruthenorum ritus probatasque consuetudines inviolate servari, curent* i t. d., nakazuje, aby obrządek ruski w służbie bożej zachowany był w całej ścisłości, co też wykonuje się tak wiernie, że nawet przyznać to musiał głośny p. Naumowicz, który

niedawno temu zwiedził Dobromil i pilnie śledził liturgię młodych Bazylianów. Rzecz jasna, że nawet do tego chwilowego zawieszenia zwyczajnych organów zarządu zakonnego nie byłby przystąpił Leon XIII., gdyby wyjątkowe rozprzężenie i zupełne rozluzowanie się zakonu bazyliańskiego w Galicyi nie dało do tego słusznego powodu.

Nie wiele szczęśliwszym jest wywód prawny p. Iwanowicza, że tymczasowy — za wiedzą i wolą papieża i pośrednictwem władz rządowych, zarząd monasterów i majątków w Dobromilu i Ławrowie przez Jezuitów — zarząd, z którego oni zdawać muszą ścisły rachunek Propagandzie rzymskiej, sprzeciwia się prawu własności, (steht mit den Bestimmungen des bürgerlichen Gesetzbuches über das Eigenthumsrecht in Widerspruch (str. 34). Ani papież, ani rząd austryacki nie ujął nic z prawa własności rzeczonych monasterów; żywi się z dóbr tych monasterów 50 Bazylianów, podczas kiedy dawniej żywiło się ich 6 czy 7; Bazylianie byli i są ich właścicielami, a Jezuici okrom wiktu i mieszkania, złamanego szeląga nie wzięli i nie biorą ani za duchowno-naukową pracę, ani za uciążliwą administracyę dóbr, i takowe w swoim czasie dobrze zagospodarowane do rąk bazyliańskich oddadzą. Niechże się więc uspokoi p. Iwanowicz i jego koledzy w stauropigii, bo „die gesammte ruthenische griechisch-unirte Bevölkerung“, w której imieniu występuje, była zawsze i jest o los Dobromila zupełnie spokojną, przekonana, że ani papież, ani monarcha praw Cerkwi ruskiej i zakonu bazyliańskiego nie uszczuplą w niczem.

Ks. Stanisław Załęski.

Pozytywizm warszawski i jego główni przedstawiciele, przez *Teodora Jeske-Choińskiego*. Warszawa, 1885, str. 97. Cena rs. 1.

Zawiódłby się, ktoby tu szukał sylwetek dzisiejszych pozytywistów warszawskich, lub charakterystyki ich dążeń i zasad. Jest to tylko przedmiotowy i delikatnie krytyczny obraz genezy wzrostu i upadku „pozytywnego“ bałamuctwa młodzieży warszawskiej między rokiem 1866 a 1880. Gruntem, co zrodził tę pokrzywę, był *Przegląd tygodniowy*, pierworodne dziecię p. Adama Wiślickiego, zdolnego i przedsiębiorczego redaktora. Przegląd w dziecięcych latach dzieckiem jest tylko, bez stanowczego kierunku i szkołą młodych dyletantów. Z r. 1870 rozpoczyna się przełom. P.P. Ochorowicz i Limanowski rozpowszechniają teorye francuzkiego i angielskiego pozytywizmu, a krytyka zaczyna już nicować bezwzględnie i śmiało. W tymże roku zjawia się ów „mąż walki, co bez pokory i obłudy rzuca rękawicę dawnemu porządkowi i przykłada silną niepohamowaną dłoń do budowy przeszłości, aby runęła“. Mężem tym jest p.

Aleksander Świętochowski. Cynik to w guście Woltera, ateusz i kosmopolita, polemik zjadliwy, zarozumialec wszystko lekceważący, ale stylista świetny, błyszczący, oryginalny. Walka jego żywiołem, bronią — sarkazm i pogarda. Od razu zrywa ze społeczeństwem i staje na czele nowego stronnictwa, budząc wszędzie ciekawość i podziw. Tak było po rok 1872, w którym artykuł „O tradycyi i historyi w obec postępu“ wywołał ogólną nienawiść ku szyderczemu publicyście, tak, że nawet właśni jego szermierze przenieśli się gromadnie do innych obozów: pod sztandar *Opiekuna domowego* i *Niwy*. *Przegląd*, choć z uszczuplonym zasobem sił, coraz namiętniej targał się na cześć osobistą każdego, czernił, obmawiał, nie szanując nawet tajemnic domowego ogniska. W r. 1879 ustępuje p. Świętochowski, a *Przegląd* odtąd staje się „krzewicielem nowożytnej socyologii, idąc śladem jej zmian i skoków“. Autor przyznaje *Przeglądowi* następujące zasługi: 1. był on palestrą i nowicyatem literackim dla wielu dzielnych pisarzy, 2. Spełnił posłannictwo szermierza, wojującego w imię trzeźwości, pracy organicznej, postępu naukowego i społecznego. 3. Zręcznie i starannie zbierał nowe zdobycze zagranicznej wiedzy. Grzeszył zaś tem, że „burzył, a budować nie potrafił; wyśmiewał, zamiast uczyć; szykanował, zamiast krytykować. Zrobiwszy swoje, przestał być użytecznym. Rozumie się także samo przez się, że i bezwzględność, zarozumiałość, namiętność i niesmaczne plotkarstwo nie należą do zalet“ (str. 36). Taki nagrobek wystawił autor ówczesnemu *Przeglądowi Tyg.*, przechodząc do określenia dalszej działalności pozytywizmu na łamach *Niwy*. *Niwa* z Bakonowskiem hasłem na ustach „wiedza, to potęga“, jedną ręką ściera się z *Przeglądem Tyg.*, drugą rozwija sztandar Comte'ów i Spencerów przeciw idealizmowi i marzycielstwu, usiłuje jednak nie narażać się nikomu. Po kilku już latach wyczerpała się skarbnica Zachodniej wiedzy, a garstka pozytywistów nie mając od początku stałego programu, ani sił wyrobionych i dojrzałych, opuściła ręce i poszła w rozsypkę. Działanie jej było zawsze „chłodzące“. „Padł szron na młode serca wtedy, kiedy im było potrzeba ciepła i słońca, więc je zwarzył, wyziębił, iż okwitły, nie zakwitnąwszy wcale. Powiał zimny, przenikliwy wiatr od Zachodu na nierozwinięte umysły i ściął je ubezwładniwszy“ (str. 53). Dzisiejsza *Niwa* jest już przedstawicielką nowej a chlubnej reakcyi. Z dawnych rozbitków jeden p. Świętochowski pozostał na stanowisku (w *Nowinach*, a od r. 1881 jako redaktor *Prawdy*). Autor aż trzy osobne rozdziały poświęca ocenie jego wartości we filozofii, w powieściopisarstwie, w dramaturgii i w polemice.

Zarówno ta charakterystyka p. Świętochowskiego, jak i pogląd na dziesięcioletnie dzieje pozytywizmu, napisane z życiem, wdziękiem i znajomością rzeczy. Zanadto jest może grzeczny autor dla pozytywistów francuskich, gdy mówi, że „trzeba było podać czytelnikom pozytywizm francuzki w przystępnej formie, wziąć od niego to, co stanowi jego istotną wartość, metodę, a odrzucić co nie odpowiadało warunkom miejscowym“ (str. 45). Metoda pozytywna znalazła właściwe sobie miejsce w naukach przyrodniczych, dawno przed Comte'm, a tak zw. filozofia pozytywna ani metodą, ani zasadami, ani treścią swoją nie zasługuje na propagandę w naszym kraju. — To tylko uboczna uwaga. Całość książki p. Choińskiego zasługuje na najzupełniejsze uznanie.

B. J.

Kilka uwag nastręczonych dziełem ks. Maryana Morawskiego, p. t. „Filozofia i jej zadanie", przedstawił *Józef Billewicz*. Warszawa, 1884.

Mała broszurka i niewiele mozołu kosztowała autora, bo prawie cała zapełniona jest dosłownemi ustępami z książki X. Morawskiego. Ale *habent sua fata libelli* — zasłużyła ona p. Billewiczowi na zaszczyt krytyki w *Kraju*. Pfe! powiedział *Kraj*, któż widział pisać broszurę o książce tak wstecznej, jak X. Morawskiego?- — A z drugiej strony *Przegląd powszechny* ma także słówko do powiedzenia o niej.

Najprzód mylnie przypuścił p. B., że główna osnowa książki, o której pisał, mieści się w tych trzech ostatnich rozdziałach, które jedynie uwzględnił. Pierwsza część książki krytyczna, jest odrębna i co najmniej równie ważna. Po drugie, jest dziwny jakiś skok w tej ocenie. Przytacza p. B. jeden ustęp po drugim i jeden po drugim pochwala, aż raptem na przedostatniej kartce, ni ztąd ni zowąd zastrzega się, że w cuda nie wierzy — i na dobitek dowodzi sylogizmem z baroco, że i ks. Morawski nie powinien w takowe wierzyć, bo cud jest w kontradykcyi z jego definicyami. Istotnie, ks. M. rzeczy o cudach nie wykładał, chyba nawiasowo o nich wspomniał; gdy zaś omawia cud, „jako chwilowe zawieszenie pewnego prawa natury", a prawo nazywa „modłą dążenia do celu", ztąd jeszcze nie wynika, żeby cud był bezcelowym, bo cud może mieć cel wyższego rzędu, któremu cele natury, choć równie boże, w pojedynczym przypadku ustąpić mogą. (Nie bez celu w przyrodzie zapewnie są burze, ale gdy Chrystus słowem burzę uśmierzył, było to w wyższym celu okazania, że jest Panem przyrody). Nakoniec machnął jeszcze p. Billewicz parę razy piórem przeciwko Kościołowi, ale jego wywody mają jakoś bardzo subjektywny charakter: „Orzeczenia soboru, przyznające nieomylność, nie dopinają, według mnie, tego celu". — „Kościół nie potrafi nigdy, według mnie, stanąć na czele cywilizacyi" i t. p. *Notabene* na tych, „według mnie", kończy się argumentacya. Na takie rozumowanie nie możemy inaczej odpowiedzieć, jak tylko, że według nas, te przedmioty wymagają głębszego ich zbadania, aby o nich pisać. *X. Y.*

Herder jako pedagog, napisał *Dr. Fr. J. Albert Zipper*. Lwów, 1885, str. 49. Odbitka z programu szkolnego.

Dziś, gdy wszystkie umysły zajęte są kwestyami szkolnemi, a wyraz „reforma szkół" z ust i z pod pióra niemal nie schodzi, ważnem jest poznać wybitniejsze postacie i systemata słynniejszych pedagogów i reformatorów szkolnictwa. Jedną z takich postaci jest bezwątpienia Herder, którego wiele trafnych uwag pedagogicznych, równie dobrze dziś i w Galicyi, jak w przeszłem stuleciu w Rydze, czy Wejmarze były na czasie. Już Herder bronić się musiał przeciw zbytniemu przeciążaniu uczniów, gdyż nie chodzi wcale „o zapchanie, lecz o wykształcenie głowy". Przestrzegał przed metodą uczenia, pozornie niekosztującą mozołu, ni trudu, bo taka metoda nie męczy, ale i nie rozwija, a dobrą chyba być może „dla pań lub niemowląt". Lecz bardziej jeszcze ciekawym od tych tak trafnych uwag jest proces, jaki odbywał się w umyśle Herdera, ze względu n. p. na pożyteczność nauki łacińskiego języka: w młodzieńczych latach radby go był zastąpił językiem francuzkim lub włoskim; z biegiem czasu zrozumiał, że nie tak łatwo zastąpić klasyczne księgi

Cyceronów lub Horacyuszów, i zmienił sąd wydany przedwcześnie przeciw doświadczeniu tylu wieków.

Herder był również jednym z najpierwszych a przynajmniej najenergiczniejszych obrońców poważnej nauki języka krajowego, jej ważności i znaczenia. Szkoda, że autor niniejszej broszury, zgadzający się może czasem aż zanadto z pewnemi ideami Herdera, a przynajmniej nieprotestujący im ani słowem (por. str. 7, 43), nie położył sam dość wagi na czystość i poprawność języka. Nie czytalibyśmy wtedy o „hospitowaniu“ (str. 11), „paginie“ (17), „pepineryi“ (str. 42) i zupełnie już chyba niezrozumiałej „apertynencyi“ (str. 41). Przyznajemy się też, że niemile uderzył nas w przedmowie szumny panegiryk dla 18 w., wieku „doniosłych“ wprawdzie przeobrażeń, ale niestety „doniosłych“ — w ogóle mówiąc — w złym a nie dobrym kierunku. *B.*

Wspomnienie o dziejach wiary świętej rzymsko-katolickiej w Rydze. Parafianom ryzkim w krótkich słowach opowiedział *X. Jan. J...* Ryga, 1885. Str. 52 (z dwiema rycinami).

Sto lat temu, w lipcu r. 1775, biskup Benisławski poświęcił uroczyście kościół parafialny rzymsko-katolicki w Rydze, wybudowany staraniem gorliwego Reformata, X. Jana Gindla. Na pamiątkę tej rocznicy, drogiej sercom ryzkich katolików, wydał czcigodny autor to „Wspomnienie“, mające w krótkim rysie przedstawić smutne losy katolicyzmu w Rydze, one bezustanne walki, jakie tamtejsi wierni staczać musieli. Jak wszędzie, tak i w Rydze, mieszkańcy nie przyjęli protestantyzmu z przekonania, ale z interesu; nic też dziwnego, że nietylko niechętnem, lecz zawistnem okiem spoglądali na szczupłą garstkę wytrwałych w wierze katolików, i przez długie lata opierali się otworzeniu katolickiego kościoła. Zwłaszcza po śmierci Batorego i Zygmunta III. protestantyzm rozpanoszył się z całą gwałtownością, a katolicy ledwie gdzieś za miastem, w domach prywatnych zbierać się mogli na nabożeństwo. Lepsze czasy zawitały po bitwie półtawskiej i wypędzeniu Szwedów z Rygi przez Piotra W. Franciszkanin Cieszyński wybudował skromną kapliczkę na dalekiem przedmieściu; r. 1765 stanęło publiczne oratoryum pod zamkiem ryzkim, a w 20 lat później wzniósł się na temże samem miejscu dzisiejszy kościółek. Niebawem objęli zarząd parafii ryzkiej Jezuici (1804—1820) a gorliwość zacnego przełożonego, Józefa Coince, zostawiła tutaj niezatarte ślady. Wielu lutrów wróciło na łono katolickiego Kościoła; ilość spowiedzi z 1800 rocznie, wzrosła na 21.000; w nowo założonych szkółkach katolickich kształciło się nawet niemało luterskich dzieci; rząd ogłosił katolików — zawsze skutkiem starań O. Coince — za równouprawnionych z innymi mieszkańcami Rygi; nowo utworzony szpital, pod kierownictwem „świeckich dam miłosierdzia“, założonych również przez O. Coince, wzbudzał podziw najzacieklejszych protestantów. Po usunięciu Jezuitów r. 1820, objęli zarząd parafii księża świeccy, później Dominikanie prowincyi litewskiej, a od r. 1868 ponownie kler świecki. Obecnie proboszczem ryzkim jest kanonik Franciszek Affanasowicz, były sekretarz arcybiskupa mohilewskiego. *J. B.*

Pogląd na smutne i groźne położenie państw i ludów, pod względem religijno-moralno-społecznym w wieku obecnym i na środki polepszenia onego, skreślił *X. Licencyat Seweryn Paszkowski.* Kraków, 1885 w księgarni katolickiej Dr. Wł. Miłkowskiego. Str. 23, w 8-ce.

W krótkich zarysach autor stwierdza, że coraz więcej i szybko obniża się religijny i moralny poziom społeczeństwa, i dla zaradzenia złemu, zachęciwszy duchowieństwo do usilnej i więcej naukowej pracy, mianowicie zaś kaznodziejów i katechetów do miewania nauk nie wyłącznie moralizujących, ale też dogmatycznych i apologetycznych, stawia niektóre postulata. W szczególności żąda zawiązywania towarzystw, którychby celem i zadaniem było: *a)* wydawnictwo i propaganda apologetycznych religijnych dzieł i czasopism, *b)* prokurowanie głosów na kandydatów do parlamentu znanych dobrze jako katolików i patryotów, *c)* zaradzenie ubóstwu i biedzie krajowej, przez zakładanie fabryk, *d)* rozciąganie troskliwej opieki nad rzemieślnikami i wyrobnikami, *e)* umieszczanie w pracowniach chłopców i dziewcząt osieroconych i zaniedbanych. Dalej podtrzymywanie, ożywianie, lub względnie wskrzeszanie cechów rzemieślniczych po miastach, a zaprowadzanie gospod chrześcijańskich po wsiach, we wszystkich gminach komitety nad ubogimi, opieka nad wojskowymi. W końcu szczególny nacisk kładzie autor na nieodzowną i naglącą potrzebę zajęcia się „kwestyą wychowania młodzieży w domach rodzicielskich i w szkołach“ i dążenie do wskrzeszenia i wzmocnienia myśli chrześcijańskiej w szkołach. Cała ta praca nosi charakter programowy; ufać należy, że zacny jej autor nie poprzestanie na tej jednej broszurce, lecz zdrowe myśli w niej wypowiedziane dalej będzie krzewił i stopniowo urzeczywistniał, a tym sposobem da początek tyle pożądanemu i pożytecznemu, lecz w kraju naszym prawie jeszcze drzemiącemu „ruchowi katolickiemu“. *H. J.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z nowszej poezyi włoskiej. Szkoła Manzoni'ego i Mazzini'ego. Poeci weryści: Carducci; liberalno-umiarkowani: de Amicis, Alcardo Aleardi, Prati, Zanella. Teatr włoski: Ferrari, Cossa, Giacometti, Marenco. Poeci katoliccy i rewolucyjni.

Ojczyzna Danta, Boccaccia, Petrarki, Włochy roznoszące niegdyś światło nauki i poezyi po całej Europie, dziś smutną koleją rzeczy nie mogą od długich już lat zdobyć się na żadnego prawdziwie genialnego pisarza. Jako przyczynę tego upadku podają samiż Włosi niewolnicze naśladowanie dawniej francuzkich, dziś przeważnie niemieckich i angielskich poetów i romansopisarzy. Tradycye Byron'a, tego „brytańskiego Alcybiadesa“ i Heinego, godnego następcy Voltair'a, znalazły grunt przygotowany w karbonarskich lożach i ztąd bujnie rozrosły się po całym Apenińskim półwyspie, przyduszając,

lub zatruwając swym jadem kiełkujące talenta. W chwili gdy świeży powiew romantyzmu rozszedł się po Europie, we Włoszech pochwyciła go na wyłączne posiadanie rewolucya i uczyniła swym narzędziem, tak, że dla wielu: „romantyk“ a „rewolucyonista“ stało się synonimem. Jeden Manzoni, nieśmiertelny autor „*I promessi sposi*“ mógłby był romantyzm włoski na lepsze skierować tory, ale niestety Manzoni umarł bez dziedzica, bo szkoła, którą zostawił, wstyd mu raczej przyniosła. Natomiast berło romantyzmu objął smutnej pamięci Józef Mazzini. Konspirator ten, jak wszystko inne, tak i literaturę uważał tylko jako środek do spisku, do przeprowadzenia jedności rewolucyjnych Włoch, podkopania religii. „Literatura — pisał on[1] — powinna być ustawicznem wezwaniem do młodzieży, aby powstała i bronią utworzyła ojczyznę... Romantyzm był we Włoszech walką wolności przeciw uciemiężeniu, walką podjętą w imię niezależności od wszelkiej formy, czy normy nie wybranej przez nas samych. . . „Zmuśmy rządy do przestraszenia się naszym śmiałym, gorącym stylem; sztuka powinna być jedynie hymnem wojennym... jej zadaniem jest zachęcić człowieka do przeprowadzenia myśli w czyny, z myśliciela przemienić go w apostoła i żołnierza“.

Program ten trafił do przekonania młodych umysłów, a Mazzini, „prorok idei“, ujrzał się wnet na czele licznego zastępu, który rzucał rękawicę „wszystkim i wszystkiemu: Papieżowi, cesarstwu, domowym i cudzoziemskim ujarzmicielom: wywieszał na swym sztandarze zasady demokratyczne, „jedynie postępowe i narodowe we Włoszech“: za cel jedyny miał: B o g a i n a r ó d. Ile złego zrobiła, ile jeszcze zrobi ta rewolucyjna szkoła poetów włoskich, to Bogu jednemu wiadomo; to jednak pewna, że ona obecnie, niestety! trzyma prym w poezyi i teatrze, że ona, jeśli nie najwięcej, to najgłośniejszych liczy zwolenników.

Szkoła rewolucyjna dzieli się znów na dwa odcienia: werystów, czyli realistów i liberalno-umiarkowanych. Do skrajnych werystów[2] liczą się: Stecchetti, Labronio, Tanganelli, Chiarini, Tarchetti, Rapisardi, Praga, Fontana i paru innych. Wszystkie zalety ich

---

[1] Por. Previti 1, 7. Della decadenza del pensiero italiano. — Della litteratura.

[2] Rapinardi, sam realista, nazywa swych współbraci po piórze „Idealisti della porcheria“ (Preludio z 10 stycznia 1880).

i wady streszcza w sobie najgłośniejszy i najbardziej utalentowany *Jozue Carducci*, uznany powszechnie za przewódzcę werystów włoskich. Carducci aż odraża swym cynizmem i zapamiętałością przeciw wszystkiemu, co piękne i święte. Nienawiść do Boga, do własnej ojczyzny, do świata całego, ciągnie się jak czarna nić, tak przez jego „Juvenalia“ (1850—1860) i „Nuove poezie“, jak przez „Odi barbare“ i „Decennalia“. Z nienawiści do chrześcijanizmu, uradowałby się wskrzeszeniu tradycyj greckich i rzymskich. Chrystusowi wyrzuca, że usunął z ziemi wszelką radość:

„Żegnaj semickie bożyszcze!
Śmierć sama rządzi twe tajemnice,
O nieprzystępny królu wszech duchów,
Słońce nie zajrzy w twoje świątnice.
Z krzyża ty ludzi krzyżujesz,
Powietrze smętkiem zarażasz;
Lecz nieba błyszczą, pola się śmieją,
Ale miłością jaśnieją
Źrenice Lidyi[1]“.

W piosnce „Wersal“ zachęca ludy, aby przeklęły „ścierwo króla i Boga“. Natomiast z zamiłowaniem opiewa stare bóstwa: Apolina i Wenerę i rozpływa się w pochwałach wolności ciała. Dobry ten patryota pisze o swej ojczyźnie:

„Ghetto Italii otwarte wszystkim[2];
Któż zechce kopnąć Italii ludy?“.

Boć wszyscy Włosi są tyranami, lub głupcami:

„O przeklęta!
Bądź ty ma ojczyzno stara!
Wstyd dzisiejszy, wieków kara!
Spoczywa na tobie.
Przyjm mię, posłuchaj, starych bohaterów
Hufcu wezbrany!
Smutną nowiną z wami się podzielę:
Kraj nasz podłością skalany[3]“.

---

[1] Odi barbare. „W kościele gotyckim“.
[2] Meminisse horret“.
[3] Decennalia l. II. „In morte di Giovanni Carioli“.

W chwili, gdy cała Europa współczuła nad tragiczną śmiercią młodego Eugeniusza Bonapartego, Carducci w osobnej odzie znęcał się prawdziwie „po barbarzyńsku“ nad nieszczęśliwą ofiarą i nad boleścią cesarzowej Eugenii. Same nawet piękności natury: maj, wiosna, śpiew ptaków, wprowadzają go w wściekłość. Ależ nienawidzić wszystkich i wszystko, to już nie nazywa się być realistą, ale chyba „z piekła rodem“.

Poetów liberalno-umiarkowanych najlepiej przedstawia głośny nawet w Polsce, *Edmund de Amicis* [1]. Naśladowca Bresciani'ego — do czego się nie przyznaje, bo zawsze niełądną to rzeczą naśladować Jezuitę — i Monzoni'ego, — do czego nie przyznać się trudno; de Amicis pisze za wiele i za prędko, aby mógł pisać dobrze. Tomik jego wierszów nazwać można śmiało wierszowaną prozą; równie trudno dopatrzeć się tu poezyi, jak jakiegoś określonego zdania, czy systematu. W jednym sonecie potępia de Amicis realizm, w drugim idealizm; w jednym wydaje się być katolikiem, w innym — ateuszem. Dziecięciu, prowadzącemu za rękę ociemniałego ojca, obiecuje w nadgrodę:

„Nieśmiertelny uścisk ziemi,
Złoto, szał chwały i rękę anioła“.

„De Amicis, pisze niepodejrzany o stronniczość de Gubernatis, płacze nieco zawiele w swych pismach, w ten sposób, w jaki płaczą aktorowie na scenie“. Bodajby był przynajmniej na przemian śmiał się i płakał, znalazłby zawsze chętnych czytelników, przywabionych potoczystym jego sposobem pisania; na nieszczęście w dwutomowej książce „Przyjaciele“ zaczął się bawić w filozofa-moralistę: jak zwyczajnie, nikogo nie pouczył, a wbrew swemu zwyczajowi znudził wszystkich [2]. Nie dopatrzeć tu żadnego porządku, ni rozkładu materyi; monotonność usypia; styl „raczej azyatycki niż włoski“ odstręcza. Sto razy przegląda się w jednej idei, powiększa ją, zmniej-

[1] Pani Siemiradzka przełożyła na język polski opis podróży do Holandyi, Hiszpanii, Konstantynopola, Marokko. Najgorszą z tych książek barwnych, lecz powierzchownych, jest „Hiszpania“, której katolickich tradycyj de Amicis nic a nic nie rozumiał.

[2] Por. *Zocchi* T. J. „L'ideale nell'arte“, p. 135—157; Civiltà cathol. quaderno 798. p. 711—720.

sza, przerabia. Mówi, że w swej książce „zamierzył podać cel najwyższej moralności“, a nie wspomina nawet o Bogu i wierze. Zresztą i przyjaźń czemże jest? na czem się opiera? czy istnieje? De Amicis daje na te zapytania nieokreślone, sceptyczne odpowiedzi. Kogo razi brutalność Carducci'ego, ten rad na swym biórku trzyma wytworne tomiki eleganckiego de Amicis, ale jak pierwszy, tak drugi wpuszcza w duszę jad sceptycyzmu, a bodaj nawet, czy salonowy sceptycyzm de Amicis'a nie jest w gruncie niebezpieczniejszy. Takby przynajmniej obawiać się można po szalonem powodzeniu, którem poeta ten, podróżnik i pseudo-moralista cieszy się obecnie we Włoszech i zagranicą.

Jeśli panie włoskie nie mogą się dość nachwalić uroczego de Amicis'a, to młodzież przenosi nadeń „narodowego poetę Włoch“, „poetę Werony“ jak go zwą z emfazą: *Aleardo Aleardi*. W gruncie rzeczy jest Aleardi poetą nader miernym. Wszystkie jego utwory, jak n. p. „*Lettere a Maria*“ „*Ora della mia giovinezza*“, „*Monte Circello*“ itd., grzeszą niezrównaną ciemnością; wierzyć się nie chce, żeby sam poeta wiedzieć miał dokładnie, co chciał wyrazić w swych zagadkowych strofkach. Każden wiersz niemal jest zbiorem dziwnych fantazmatów i sprzeczności. To odzywa się z miłością o „królowej bolejących — Matce Bożej“ [1]; to przeklina księży „kupczących świętymi strachami i matkobójczem świętopietrzem“; to znów rzuca obelgi na Piusa IX., którego „wyżółkła postać zakrywa mu Boga“. Ateuszem Aleardi nie był, ale religia służy w jego wierszach dla frazesu i ozdoby, a nie wypływa z głębszego przekonania. Gorący zwolennik jedności Włoch, przyczyniał się do zaprowadzenia tej jedności, deklamacyami przeciw „królowi Rzymu“ i Austryakom. Wszak gdy był dzieckiem, matka jego, „święta osoba“, owijała go w trójkolorowe powijaki [2]“. Opiewając miłość, nie wznosi się nad „białe rączki“, „czarne oczki“ i „złote warkocze“. Smutne świadectwo dali sobie Włosi, mianując Aleardi'ego swym poetą narodowym, tem bardziej, że język jego niepoprawny, a wiersz niedbały; prawda, że to poeta nie katolickich, lecz rewolucyjnych Włoch.

Trzeba urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą. *Jan Prati* pisał również jak Aleardi wiersze zaniedbane, również uchodzić chciał za

[1] Fuochi dell'Appenino.
[2] Canto politico.

katolika liberalnego, również rzucał zniewagi na Rzym, Piusa IX. i katolickich kapłanów, a jednak „narodowym poetą“ nie został, a co gorsza, popadł po krótkim rozgłosie w zupełne niemal zapomnienie. Do tego pogrzebu za życia, przyczyniła się najbardziej forma już niezaniedbana tylko, ale usypiająca. Jak sam Prati się wyraża, wiersze jego „idą i idą“.

„Idą w dolin cienie,
Rozmawiać z kwiatami,
Opowiadać najad łany
Po nad oceany.
Idą zawsze wieczne gońce,
Idą dalej i jeszcze dalej,
Idą z nieba do pieczar ciemnych;
Idą zawsze i zawsze idą[1].

Od nieznośnej rozwlekłości nie umiał się ustrzedz Prati, nawet w najlepszym swym wierszu lirycznym „*Uomo*“, w którym opiewa losy, dzieje i uczucia człowieka. Zresztą pytanie, czy sam Prati cenił wysoko sam siebie, kiedy najgorętszem jego życzeniem było umrzeć w objęciach psa:

„I cóż zrobimy, o wierna ma psino?
Czyż nie najlepiej, by twoje ramiona
Stały się dla mnie ostatnią gościną
I jabym umarł u twojego łona?[2]

Ksiądz *Zanella*, choć hołduje zasadom liberalnym i przez czas długi żywił nieukryte sympatye dla jedności Włoch, czuje przecież i wierzy głęboko i znać, że nawet mniej licujące z jego suknią myśli wypowiada z przekonania a nie za pieniądze sekty. Błędne zapatrywania, któremi przesiąkł, spowodowały go do opiewania „Nowych Włoch“, do życzenia, „aby fortuna Włoch dotarła aż do rzymskiej kolebki“, do wychwalania Cavoura[3]. Na Burbonów neapolitańskich miota pioruny. Włochom zaleca zgodę i cnotę:

---

[1] „I miei versi“ w „Isiele“. Roma, 1880.

[2] Sonet „Psiche“.

[3] Sam poeta poczuł niestosowność tej ody do zaborcy Rzymu i opuścił ją w następnej edycyi, wespół z kilku przekładami podejrzanej moralności z Owidyusza, Catulla i Tibulla.

„Pióro co walczy z wstydem niech ginie,
A z piórem geniusz! Cóż ztąd, że słynie
Kto, — gdy bez cnoty?

Złote słowa, na które Włosi nigdyby zapomnieć nie powinni. Cóż ztąd, że Carducci'ego, Amicis'a obdarzył Bóg geniuszem, kiedy pióro ich walczy z wstydem i wiarą? Geniusze takie nie przynoszą szczęścia, ale są raczej jedną z najsroższych kar Bożych dla narodu, wśród którego powstały.

Dramat włoski nie zajął w ostatnich czasach — przynajmniej w ogóle mówiąc — poczestniejszego stanowiska od epiki i liryki. „Teatr — pisała niedawno Fanfulla [1] — stał się nudnym i pedantycznym ponad wszystkie dozwolone granice. Największa część autorów nie ma wyobrażenia o praktycznym zmyśle życia". Z sądem tym zgadza się najzupełniej Józef Costetti [2], sam komedyopisarz, i nieudolności narodowych pisarzy przypisuje zalanie sceny włoskiej przez nędzne utwory francuzkie. Na same nawet sztuki oryginalne wywierają Francuzi wpływ niezmierny. Tak n. p. najobfitszy komedyopisarz, *Paweł Ferrari,* który z początku szedł w ślady Goldoni'ego, następnie przerzucił się, na wielką swą niekorzyść, do szkoły Dumas'a i Sardou. Pierwszym wynikiem tej zmiany frontu, było nagromadzenie mnóstwa nieprawdopodobieństw, i nienaturalnych tyrad; drugim skażenie języka przez cały potop gallicyzmów. Tak n. p. jedna z najpopularniejszych komedyj „Skutki i przyczyny" opiera się na założeniu, że dziewiętnastoletnia księżniczka, wychowana w klasztorze, przystępuje do ślubu, jak do przemijającej igraszki, nie mając wyobrażenia co robi i do czego się obowiązuje. Tej nieświadomości winne są naturalnie zakonnice, u których młoda księżniczka pobierała wychowanie. Wprawdzie miała ona ojca, wuja, ciocię i krewne i krewnych, którzy mogli ją w właściwym czasie pouczyć i wybadać, ale Ferrari składa całą winę na nieznośną nietolerancyę zakonnic, niedopuszczających w swym zakładzie nawet najdrobniejszego romansiku. Mniej wartości ma jeszcze komedya „Due dame", choć publiczność włoska przyjęła ją frenetycznymi oklaskami. Książe Gonzaga miesza pomiędzy sobą dwie panie, choć

[1] *Il Fanfulla* z 24 września 1883.
[2] *Bozzetti di teatro,* p. 141, sq.

w życiu praktycznem z pewnościąby ich nigdy między sobą nie pomieszał, a następnie w skutek kilku podsłyszanych u drzwi słów, odkrywa swą pomyłkę: oto cała treść okrzyczanej tej sztuki. O ileż genialniejsze pomysły miewał Ferrari w dawniejszych utworach: „*Goldoni e le sue sedici commedie nuove*“, lub w „*Satira e Parini!*“. Prawda, że w onczas nie uważał jeszcze za swój ideał komedyi Dumas'a, lub Sardou'ego. W „*Duello*“ broni pojedynku; w „*Suicidio*[1]“ mniema, że potrafi odstraszyć od samobójstw dogmatami nie wiary prawdziwej, ale mglistej, i w rzeczy samej nic nieznaczącej „wiary obowiązku“.

Zmarły przed czterma laty i smutnie sławny z cywilnego pogrzebu, *Piort Cossa*, niezłym był poetą, ale złym dramaturgiem. Wychowany przez Jezuitów w kolegium rzymskiem, zaczerpnął tam gust do studyum starożytności, na tle której rozwija się największa część jego dramatów. Pierwszy sławniejszy utwór „*Nerone*“ (r. 1870) jest poprostu bardzo luźnie związanym zbiorem anegdotek z życia tego cesarza. Nie wiele lepsze są „*Messalina*“ i „*Cleopatra*“; *Cola di Rienzo;* sam autor, czując bijący w oczy brak jedności scenicznej, przezwał te utwory: „dramatycznemi poematami“ — nazwa wygodna i do niczego nieobowiązująca. Ale bezbożne usposobienie Cossy przebija się najwyraźniej w „*Giuliano l'Apostata*“, prawdziwej apoteozie nowoczesnego pogaństwa:

„Zwij się sobie Jowiszem, Mitrą lub Jehową;
W obec nieskończoności nic nie znaczy słowo[2]“.

Woła bezczelnie i gdzie tylko może, stara się zdeptać chrześcijaństwo, podobnie jak w „*I Borgia*“ i „*Cola di Bierno*“ obrzucał błotem papiestwo i papieżów, owe „wyśmiane parodye Tyberyuszów i Neronów“. Charakterystycznym jest znakiem, a dla lepszych protestantów niezbyt przyjemnym, że nie wierząc w Boga, ni w ludzi, Cossa uwielbiał Marcina Lutra, „nowego Chrystusa, rycerza Bożego, mającego zrównać z ziemią bałwany rąk ludzkich[3]“.

---

[1] Komik Belloti-Bon, grający jedną z głównych ról w „Suicidio“, miał podobno jednego tylko roku 200.000 lir z tej komedyi, co nie przeszkodziło mu bynajmniej do zakończenia życia samobójstwem.

[2] Akt III. Sc. 3.

[3] Poesie liriche VI. „A Martino Lutero“, z okazyi odkrycia pomnika tego herezyarchy w Wormacyi 25 czerwca 1868.

Bezporównania lepszym, a przynajmniej przyzwoitszym jest *Paweł Giacometti*. Jego „*Torquato Tasso*“ i „*Giuditta*“ otrzymały rządowe nadgrody; „*Elisabetta regina d'Inghiltera*“, została przetłumaczoną na język angielski. Dramat „*La morte civile*“, wymierzony przeciw nienaruszalności węzła małżeńskiego, zjednał autorowi niedwuznaczne sympatye rewolucyi; ale natomiast „Maria Antonietta“ została napiętnowaną nazwą dramatu klerykalnego, hołdującego reakcyi. Biedny Giacometti bronił się jak mógł, czem istotnie smutne oddał sobie świadectwo.

Zresztą nie na jednym *Giacomettim* wykazuje się tyrania, jaką sekta wywiera we Włoszech na sztukę i literaturę. Kiedy *Leopold Marenco* wydał parę dramatycznych utworów, osnutych na tle wieków średnich, powstał po rewolucyjnych dziennikach niezmierny hałas: zdawało im się widocznie, że wespół z dramatem zmartwychpowstaną instytucye i idee wieków średnich [1]. Przed kilkunastu znów laty nieumiejętni agitatorowie wygwizdali w Siennie jednę z komedyj Scribe'a, sądząc, że gwiżdżą na zapowiedzianą afiszami „*Il conte e l'ostiere*“, chrześcijańskiego Alberti'ego. Jak walczyć z tak niesumienną, nieoglądającą się na nic agitacyą? To też nie dziw, że podobnie jak w innych rodzajach poezyi, tak i w teatrze królują dziś we Włoszech poeci rewolucyjni, wrodzy porządkowi społecznemu i chrześcijaństwu. Ferrari, Cossa, podobnie jak Carducci i Amicis, są dziś na wszystkich ustach i scenach, podczas gdy katoliccy poeci i dramaturdzy: Del Testa, Merighi, Valle, Vitelleschi, nie mogą się doczekać ani za granicą, ani nawet w samych Włoszech, słusznie należącego się im rozgłosu i wpływu. Mniejsza o to! choć w względnem ukryciu pracują oni dla szczęścia społeczeństwa i własnej ojczyzny, podczas gdy o pierwszych powiedzieć należy z Mickiewiczem:

„Kiedy nad naukami niezbożnik pracuje,
Strzeż się go: jest to zbójca, który broń kupuje“. *L.*

Le déluge biblique devant la foi, l'ecriture et la science, przez *ks. Aleks. Motais*, oratoryanina z Rennes. 1 tom w 8-ce, 353 str. 1885. Paryż, Berche et Tralin. 8 fr.

Książka ta jest nowym krokiem w postępie exegetycznych badań: a choć to krok śmiały, ale postawiony tak silnie i pewnie, że zasługuje na uwagę uczo-

[1] Co najoryginalniejsze, to, że sam Zola widział się zmuszonym do wzięcia w obronę tego rodzaju dramatów historycznych przed wandalizmem rewolucyjnych swych kolegów. Por. „*Le naturalisme au théatre*“, p. 16, 17.

nych. Ks. M. trzyma się zasady, że wykład biblii powinien liczyć się z najnowszymi pewnikami nauk, owszem, może odstępować od dosłownego znaczenia wyrazów Pisma św. w rzeczach dotyczących zagadnień przyrodniczych nawet wtenczas, kiedy umiejętności ścisłe naprowadzają tylko na hypotezy niezgodne ze znaczeniem dosłownem. Jedną tylko kładzie tamę dowolnemu wykładowi opisów biblijnych: wyraźne orzeczenie Kościoła. Tak np. przypuszczenie, że wiele jest zamieszkałych światów, oburza wielu poważnych teologów, jak i każdy nowy system kosmogoniczny. Podobnie potępiają twierdzenie, że nowe rodzaje zwierząt mogą powstawać w przebiegu wieków: ks. M. uważa takie sądy za przedwczesne, bo Stolica Piotrowa nie uznała dotąd błędu przeciw Wierze w tych przypuszczeniach. Więc śmiało stawia swoje poglądy ks. M., ale umie je poprzeć głębokimi dowodami: wielcy pisarze kościelni służą mu za podstawę w pojmowaniu kanonów trydenckich i na takiej zasadzie rozróżnia w ojcach Kościoła to, co należy do Wiary, od zdań, przyjętych od świeckich uczonych i zgodnych z pojęciami czasu, w którym pisali. Przewiduje zarzuty przeciwko sobie; oczyszcza się z nich z wielkim zasobem wiedzy teologicznej i nauk przyrodniczych. Niejeden ustęp w tej obronie jeszcze więcej przynosi zaszczytu jego prawowierności, aniżeli nauce głębokiej. Jeszcze pod innym względem dzieło ks. M. wybitnie odznacza się między innemi wykładami biblii: zwraca się na pole, od czasu Ojców Kościoła leżące odłogiem. Nowsi exegeci mało kładą wagi na *Chrystologię* ksiąg świętych: na znaczenie ich mistyczne, które nie tyczy się dziejów żydowskiego narodu, ale Zbawiciela i Jego nauki. Słowo *pisane* jest dla ojców Kościoła opowiadaniem o Słowie *wcielonem;* pobocznie tylko przechowuje ono dla pamięci potomków zdarzenia ludu, który, jako państwo, mało zaważył w dziejach ludzkości. Dzisiejsi pisarze zwyczajnie bronią dosłownego znaczenia biblii przeciw bezbożnym napaściom niedowiarków, co daremnie wykazywali w tych księgach sprzeczności z wypadkami ówczesnych dziejów. Ks. M. czerpie światło do swoich wykładów z proroczego znaczenia słów i na tle przepowiedni mesyańskich przedstawia zdarzenia żydowskiego państwa; dla tego niema trudności w pogodzeniu wyrazów Mojżesza z świeżemi odkryciami badaczów starożytności: ustępuje przed ich badaniami w szczegółach, które opisują dzieje narodu, a wykazuje głównie, że opis Mojżesza dosłownie jest dokładnym w znaczeniu swojem mistycznem. Według niego, każda głoska, nakreślona z natchnienia Ducha św., jak najwierniej uczy nas tylko o przyszłych przejściach Kościoła; ale znajomość starożytności może nas przekonać, że żywe przenośnie wschodnich pisarzów nie zostawiły nauce pomnika do poznawania pierwotnych dziejów świata. *K. C.*

Vayage do la Vega autour de l'Asie et de l'Europe, par *A. le docteur Nordenskiöld.* Tom II. Traduit du suédois par M. M. Rabot et Lallemand. Paris 1885. Hachette et C-ie.

W pierwszym tomie podróży profesora Nordenskiölda napotykamy zajmujące opisy morza Karyjskiego, uważanego dotąd za niedostępne, opisy ujścia Jenisseju i Leny, zkąd udając się na północno-wschód przez cieśninę Behryng'a miał wypłynąć na ocean Wielki. Lody jednak przeszkodziły uczonej wycieczce i statek Vega stanął w odnodze Koliuszyn ujęty przez żywioł, o którego sile pojęcia nie mają dzieci południa. Termometr Celsiusza wskazywał 47° po niżej

zera, a wiatr ostry dął z północy, bijąc jakby żarzącemi prętami w twarz każdego, ktoby śmiał z pokładu wychylić się; zawieje zaś przenosiły coraz w inne miejsca góry z zasp śnieżnych, jakby wałem jakim otaczając Vegę, a dla jej mieszkańców, rozpoczęła się noc bez końca przerywana tylko zorzami, których piękność wzbudzała co dzień nowy zachwyt, a blask złoty i krwawy naprzemian oblewał tę arkę przywiedzioną tu żądzą wiedzy i miłością nauki.

Zatrzymanie się to przymusowe statku Vega na zimowe leże, opowiada nam bardzo barwnie profesor Nordenskiöld w Tomie II swojej podróży, nie szczędząc szczegółów zupełnie nowych, nieznanych z tego kraju, niedotkniętego stopą żadnego podróżnika.

Jedynymi gośćmi, pojawiającymi się na pokładzie Vegi, byli zgłodniali i zawieją gnani rybacy Czukczysze nieopodal koczujący. Głód jednak i brak oleju fokowego, służącego jako światło temu koczowniczemu plemieniu, zmusił ich do cofnięcia się ku lądowi a naszych podróżników zostawił zupełnie osamotnionych, z nadzieją tylko, że przyjdzie zdarzający się czasem w tej porze wiatr południowy, który rozpuści grubą skorupę lodu, dozwoli statkowi zaopatrzyć się w ryby i oczyściwszy z kry znaczną przestrzeń pozwoli odpłynąć. Przewidzenia te znane tradycyom tuziemców zdawały się sprawdzać, 8 lutego termometr dosięgał prawie zera. Podróżni nasi zaczęli każdy po swojemu rokować przyszłość, zawiązały się nawet zakłady, budujące prawdziwe zamki na lodzie, gdy tymczasem dnie następne przyniosły znaczne obniżenie się temperatury, która powróciła do zwyczajnego stadyum tych lodowatych krajów.

Po 15 marca dopiero poczęły przejeżdżać koło Vegi tabory renami ciągnione a wiozące skóry i inne produkta z rynków rosyjskich, przeznaczone na handel zamienny z mieszkańcami cieśniny Behryng'a; później zaś nieco mijali ich rybacy z wyspy Koliuszyn, powracający z ładunkiem ryb, których gatunki mocno zajęły uczonych naszych podróżników. 23 marca okrzyk radosny rozległ się na pokładzie Vegi, witający pierwszego ptaka, za którym gromady całe dzikich gęsi, edredonów, nurków i rybitew spuściły się na pokład, „który był jedynym czarnym punktem w tej okolicy". Zatęsknieni mieszkańcy statku z radością dzielili się pożywieniem z tymi skrzydlatymi wysłańcami niosącymi im gałązkę oliwną nadziei, która jednak nie prędko jeszcze ziścić się miała. W maju bowiem rozpadły się lody w szczeliny wielkie dozwalające na połów ryb, nazajutrz jednak zasklepione, przedstawiały tylko lodowe góry do urwisk skalistych podobne. 27 maja dopiero witali Szwedzi muchy chodzące po lodzie, a miesiąc później w czerwcu z pod śniegowej skorupy zaczęła zielenić się trawka i bladą swą główkę wychylił pierwszy kwiatek arktycznej flory. Wtedy to rozpoczęły się naukowe wycieczki załogi Vegi na lądy nadbrzeżne, o których profesor Nordenskiöld tak pisze:

„Roztopy śnieżne zalały wodą lody szczególniej przy wybrzeżach, utrudniając przystęp do ziemi. Sprowadziłem więc łódź lekką, na której wpłynęliśmy na lagunę pomiędzy Pitlekaj i Dziretlem. Na dnie leżały lody, ale głębokość wody pozwalała płynąć łodzi. Na wybrzeżu rozpięliśmy namiot, z którego przyrodnicy robili wycieczki łodzią lub pieszo po całej okolicy; zbadaliśmy ją najdokładniej".

„Znakomite usługi uczonym oddawały w tych wycieczkach psy zaprzągnięte w czwórkę lub ósemkę do sani, które ślizgały się po stepach lodem otoczonych; gdzieniegdzie tylko wyglądała trawka ciesząc oko znużone jedno-

stajnością krajobrazu, budzącą nieopisaną tęsknotę w duszy europejczyka. Lipcowe słońce dopiero zamieniło te lody w morze błota, w zatoce zaś opierały się one promieniom jego jeszcze dni kilka i dopiero 18 lipca siedzący za stołem oficerowie uczuli pierwszy ruch i lekkie zakołysanie statku. W jednej chwili załoga cała wyległa na pokład; kapitan widząc, że od tak dawna oczekiwane wzruszenie lodów nastąpiło, kazał palić w gotowym już do drogi kotle i tego samego dnia podążyła Vega ku celowi swojej podróży. Niewola zaś jej lodowa trwała 9 miesięcy i dni 20".

Głębokie to i przeciągłe uśpienie natury pod szarym niebem północy, nie było czasem straconym dla uczonej załogi Vegi, która ożywiona zapałem naukowym bogate porobiła odkrycia. Na wstępie zapoznaje nas profesor Nordenskiöld z plemieniem Czukczyszów, znanem dotąd tylko Rosyanom jako naród dziki i niezdolny do przyjęcia jakiejbądź cywilizacyi, bo odtrąca go od niej charakterystyczne zamiłowanie wolności, cenionej przez Czukczyszów nad życie. Prof. Nordenskiöld dostrzegł także w plemieniu tem dzikiem rys ten wydatny, dając nam obok tego szczegółowe opowieści o delikatności uczuć, którą ze zdziwieniem odkrywamy w ludach, nieuszlachetnionych cywilizacyą, ani wyższem pojęciem religijnem.

„Po kilkogodzinnej podróży — mówi prof. Nordenskiöld w imieniu pomocnika Brużewicza — przybyłem do koczowiska, gdzie mieszkał przewodnik mój Notti. Przepędziliśmy noc w jego namiocie, w którym mieszkało trzech braci wyrostków i chora siostra. Po przybyciu naszem jeden z nich zajął się wyłącznie przygotowaniem do jutrzejszej podróży, zaprzęgu i sani. Chora zaś uwinięta w skóry renów nie spuszczała z oka lamp olejnych, na których grzały się rądle improwizowane z sardynkowych puszek. Jeden z braci wniósł wielki kawał tłuszczu fokowego okolonego zmarzlemi jarzynami, w kostkę pokrajanemi. Większą część tej potrawy dał siostrze, sobie biorąc resztę. Każdy kawał mięsa przyprawiano jarzynami przyrządzonemi z liśćmi wierzby, a gdy tych ostatnich zabrakło, oddano mięso psom, które wyczekiwały przed namiotem na pożywienie. Drugie danie składało się z rodzaju kotletów z mięsa fokowego, trzecie zaś z zupy przyrządzonej ze krwi tego zwierzęcia. Siostrze dawano znaczny dział z każdej potrawy, a mię zapraszano także. Po skończonej wieczerzy rozciągniono skóry renów, i udano się na spoczynek. W nocy słyszałem jęki chorej siostry, na zawołanie której zawsze jeden z braci pospieszał". „O szóstej zbudziłem ludzi" mówi porucznik Brużewicz a w godzin cztery byliśmy we wsi Naźtskaj, gdzie spotkaliśmy transport foki, która w tej porze jest jedynem pożywieniem tuziemców. Widywaliśmy dzieci zjadające mięsa tego jednorazowie funtów trzydzieści, i to w sposób dla Europejczyka co najmniej dziwny. Napełniają bowiem usta, o ile się da, poczem odcinają nożem resztę mięsa pozostającego zewnątrz ust".

Stopień cywilizacyi Czukczyszów tak niski, że z okazów sztuki wielkie podobieństwo upatruje profesor Nordenskiöld do pierwotnej sztuki ojców naszych z epok kamiennej i kościanej. Za narzędzia ostre służy im kawał lodu rżnięty, lub zęby ryb i renów stosownie zaostrzone, za igłę zaś służą ości rybie.

Porucznik Nordgrist ułożył słownik Czukczyskiego języka, a znajomość krajowej mowy wiele przyczyniła się do zbadania zwyczajów tego nieznanego narodu. Profesor Nordenskiöld widzi w nich rzadki wyjątek wśród ludzkości, niemający najmniejszego pojęcia o Bóstwie (Tom II, str. 137) i porównuje ich

do mieszkańców podbiegunowych Ameryki, którzy nie znają żadnego Boga.[1]. Amulety w kształcie figurek wyrzniętych z kości i noszonych na szyi, mają wedle ich pojęć przynosić szczęście, które całkiem ma być zawisłe od zabobonów i przesądów. Te ostatnie są stróżami moralności, która niekiedy jest u nich budującą, równie jak miłość rodzinna, nadzwyczaj pomiędzy niemi rozwinięta. Wnioskując z rysów twarzy nie sądzi profesor Nordenskiöld, aby Czukczysze pochodzili z plemienia mongolskiego, którego nienawidzą, a upatruje w nich przeciwnie wiele charakterystycznych rysów scytyjskiego szczepu, z którego wyszły niegdyś dzisiejsze europejskie narody.

Z kolei podaje profesor Nordenskiöld opowieść o ciekawych odkryciach i obserwacyach, zaznaczonych przez uczoną wyprawę w królestwach fauny i flory. „Mniemano dotychczas, że żadne żyjątko wytrzymać nie może wewnętrznej temperatury niższej od zera, a dziś odkrywamy cały świat tajemniczy, zaludniający ocean arktyczny; miliony owadów żyjących w temperaturze kilku stopni zimna". „Chodząc po wybrzeżach — pisze dalej — daje się spostrzegać pod stopami światło niebieskie. Badane spektroskopem mieni się ono i zlewa w jedno. Śnieg ciemny poruszony stopami światłem się oblewa, robiąc wrażenie morza ognistego. Zjawisko to pospolicie się zdarza w dzień ciemny podczas temperatury mrożącej żywe srebro. Podróżny opanować nie może złudzenia, które tak nim owlada, że ze strachem dotyka śniegu, wywołując za każdym krokiem nowe błyskawice".

Fenomen ten sprawiają małe owady z rodziny *metridia armata*, według klasyfikacyi profesora Lüllzeborga, wydając światło największe podczas niskiej temperatury, gdyż 20 do 30 stopni zimna nie sprawia tym organizmom najmniejszej szkody, chociaż nie posiadają żadnej możności podnieść temperaturę własną powyżej tej, którą w otoczeniu swojem znajdują. Botanika nie małe też skarby zawdzięcza doktorowi Kzelman, który wiele gatunków wzbogacił nieznanemi odmianami, nawet w najbardziej północnej Skandynawii. Piękne rysunki objaśniają dokładniej tych nowych przybyszów do przybytku flory i fauny, zdobią też książkę, którą każdy więcej wykształcony człowiek czyta z zajęciem, a uczony bada, widząc w niej bogaty przyczynek dla nauki. Wielce pożądany byłby polski jej przekład. *M. S.*

Rozmaitości.

Niedawno opuściły prasę:

Dzieła Adama Mickiewicza. Tom III. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. Lwów 1885.

Tom ten zawiera najcenniejszą naszą epopeję P. Tadeusza. Poprzedza go wiersz, wyjęty z rękopisów, który Mickiewicz pierwotnie przeznaczył na przedmowę. Przy końcu podane waryanty różnych miejsc. Tom trzeci równie jak dwa poprzednie zaleca się starannością i wykończeniem.

[1] Nie należy tej relacyi brać dosłownie, bo zaraz niżej spotykamy wzmiankę o zabobonach i przesądach, które niemożebne są bez wiary w jakąś nieznaną potęgę, w jakieś bóstwo. (Przyp. Redakcyi.)

Pisma Juliusza Słowackiego. Wydanie drugie pomnożone, staraniem *Dra Antoniego Małeckiego.* Lwów 1885.

Dr. A. Małecki, któremu tyle już zawdzięczamy wiadomości o życiu i pismach Juliusza, nowem obdarza nas wydaniem dzieł jego, obejmującem dotychczas cztery tomy. Obok zwykłego rozkładu podług treści, układ utworów w każdym tomie zawartych według porządku chronologicznego, szczęśliwym jest pomysłem i wygodnym dla czytających. Ostatni dział prozy Słowackiego obok właściwej mu obrazowości, wdzięku i siły pióra, przyczynia się też choć w części do wyświecenia stanowiska Juliusza wśród emigracyi, jego tendencyi, poglądów, oraz przekonań o wartości własnych pism. Staranny wydawca na tem większe zasługuje uznanie, że praca jego w jednym przeważnie ześrodkowana kierunku, gruntowny przyniesie zbiór wszystkich chwil życia i rysów charakteru tego „dziecka z czarnemi oczyma", które „natchnieniom dało myśl skrzydlatą".

Jan Sobieski i jego wiek, przez *Ludwika Piotra Leliwę.* Tom IV. Kraków 1885. (str. 349).

Czwarty i ostatni tom tego dzieła zawiera obok przebiegu wypadków dziejowych między r. 1677 a 1684., którego obszerniejszą ocenę podaliśmy w IV. t. Przeglądu, str. 111., charakterystykę współczesnych mocarstw i monarchów wraz z oceną ich polityki, pogląd na wewnętrzny stan Polski, na stosunki magnatów z królem i na najbliższe jego otoczenie. Na tem tle wzorzystem, godnem epopei, ukazuje się postać bohatera wieku z podwójnym wieńcem na czole: cierpienia i chwały. Tylko zewnętrzna forma tej pracy zostawia do życzenia; bo zwroty czasem nie całkiem polskie, a styl może nadto obfitujący w synonimy i przymiotniki.

Geschichte der k. boehm. Gesellschaft der Wissenschaften sammt einer kritischen Uebersicht ihrer Publicationen aus dem Bereiche der Philosophie, Geschichte und Philologie *Joseph Kalouzek.* Zweites Heft. Prag 1885.

W tomie V. „Przeglądu", str. 98, poddaliśmy ocenie pierwszy zeszyt. W drugim kreśli p. Kalouzek dalszy ciąg monografii Towarzystwa czeskiego nauk, począwszy od 1830 r. aż do naszych czasów z wyliczeniem prac jego członków, nie podając jednakże nowszych dzieł ocenie ze względu na żyjących autorów. Praca p. Kalouzka u miłośników literatury czeskiej obudzi zajęcie i piękną będzie pamiątką Jubileuszu Towarzystwa nauk, który przypada na dzień 7 listopada b. r.

Bóg moją miłością. Modlitwy św. Gertrudy. Warszawa u *Stanisława Niemiery,* 1885, w 16-ce, str. XXIII i 368.

Prawdziwą przysługę oddał wydawca tem nowem i wcale udatnem tłumaczeniem modlitw św. Gertrudy wszystkim, co lubią lub pragną się modlić należycie. Modlitwy te po większej części objawione św. Gertrudzie i siostrze jej św. Mechtyldzie zebrano i z dodaniem niektórych modlitewek św. Bernarda, Edmunda i innych wydano po raz pierwszy w Kolonii 1572 r. w języku łaciń-

skim. Od pierwszej zaraz chwili przyjęto książeczkę tę jak najlepiej, i powagi takie, jak Ludwik Blozyusz, Jan Lansperg Kartuzyanin, polski nasz Bzovius Dominikanin jak najgoręcej ją polecali. To też doczekała się niezliczonych niemal wydań i tłumaczeń na wszystkie prawie języki. Obecne tłumaczenie oparte jest jeżeli się nie mylimy, na jednej z nowszych edycyj Gandawskich. Tłumacz w dodatku umieścił spory zbiorek modlitw odpustami udarowanych, trochę pieśni kościelnych, — wreszcie cały szereg litanij, które jakkolwiek często napotykają się w książkach do nabożeństwa, przecież nie zdaje nam się, aby były po myśli Stolicy św., która w aprobowaniu litanij jest bardzo powściągliwa, a podobno dlatego, że do tak krótkich, z jakich pospolicie się składają wezwań, łatwo wkradają się nieścisłości i przesady. Książeczkę tę gorąco polecamy kapłanom, osobom zakonnym, czcicielom N. Serca Jezusowego i wszystkim zgoła tym, co jak wyżej powiedzieliśmy, lubią lub pragną się modlić uczciwie.

O fizyce nowożytnej, historyczno-filozoficzne studya. Książka ta wyszła obecnie w przekładzie polskim, której ocenę i obszerny rozbiór podaliśmy w zeszytach marcowym, kwietniowym i wrześniowym b. r. Str. VIII, 238. Cena 1 złr. 50 cnt.

Główny skład w księgarni Gebethnera i Sp., ale można także ją nabyć za pośrednictwem redakcyi „Przeglądu Pow." i wkrótce zapewnie w Królestwie będzie do nabycia za pośrednictwem Red. „Przeglądu Katolickiego".

Wzrost zbrodni w stosunku do walki religijnej w Niemczech wyszło w tym przedmiocie ważne urzędowe sprawozdanie tajnego radcy *Illinga*, którego treść z „Kuryera Poznańskiego" (Nr. 199) podajemy.

Zwolennikom walki kulturnej nic nie jest tak bardzo solą w oku, jak dowód przerażającego wzrostu statystyki zbrodni w epoce tej walki. Usiłują przeto ubarwieniem zatrzeć fakt, który tak strasznie ich obwinia. Bezowocność tych usiłowań wykazał jawnie tajny radca Illing. Ponieważ atoli chodzi nie tylko o wykazanie groźnego niebezpieczeństwa, ale i o stwierdzenie przyczyn stanu chorobliwego, nie poprzestał autor na samem ogłoszeniu cyfr kryminalistyki, lecz rozstrząsa także w trzecim rozdziale swej przez bióro statystyczne ogłoszonej pracy powody wzrostu i ubytku zbrodni. Takich powodów wymienia aż pięć, to jest: 1) cenę artykułów żywności; 2) zmianę środków zarobkowania i komunikacyi; 3) picie gorzałki; 4) upadek moralności w niższych warstwach społeczeństwa; nareszcie 5) krótkotrwałość kar i wspólne więzienia. Prasa katolicka wbrew hołdującej materyalizmowi prasie liberalnej obstawała zawsze przy twierdzeniu, że powody moralne w daleko wyższym stopniu wywołują zbrodnie, aniżeli nędza materyalna i okoliczności zewnętrzne. Stwierdzają to i wywody Illinga. Nie przeczymy, że cena artykułów żywności wywiera wpływ na pewne występki, np. na kradzieże; ale jeśli cena żyta w latach 1873—78 spadła o 25 procent, a procesy o kradzież wzrosły o 24 prct., cóż naturalniejszego nad wniosek, że upadek moralności spowodował ten wzrost kolosalny.

Drugi powód (zmiana stosunków zarobkowania i komunikacyi) silniej wpływa według wzmiankowanej statystyki na wzrost zbrodni i występków, niż pierwszy. Ale jeśli dowody wykazują, że ilość kar sądowych częstokroć zostaje

w odwrotnym stosunku do gęstości zaludnienia i rozwoju przemysłowego (i tak przypada w okręgu sądowym poznańskim jeden skazany na 60, w Wrocławiu na 90, w Berlinie na 132.2, w Hamm na 193.2), to znaczenie przyczyn leżących w dziedzinie moralności jest tem wyraźniejszem. Każdy przeto tem ciekawiej wyczekuje cyfr dotyczących powodów moralnych, a zajmujący się tem rozdział nietylko daje zastraszający obraz, ale otwiera złowrogą perspektywę na przyszłość. Przedewszystkiem stanowią cyfry niezbity argument, że najzgubniejszym czynnikiem w dziedzinie statystyki zbrodni jest używanie gorzałki. Z pomnożeniem wyszynków idzie krok w krok pomnożenie zbrodni. Od roku 1869 do 1877, a zatem w czasie najzaciętszej walki kulturnej wzrosła w Prusach liczba traktyerni z 42.187 na 60.924 (to jest o 44 procent), a karczem z 69.869 na 80.065 (czyli 23 prct.). Śledztwa zaś wytoczone o opór organom władzy rządowej zwiększyły się w tej samej epoce z 3793 na 7273, zamachy na życie z 584 na 808, wypadki pokaleczenia z 9810 na 19.135. Udowodniono zarazem, że głównym i ostatnim powodem zbrodni było opilstwo, gdyż przeważna ich większość powstała wskutek nędzy, nędza z rozłajdaczenia się, a to z pijaństwa.

Jeszcze smutniejszem jest to, co mówi o czwartym powodzie, tj. cofaniu się moralności. Autor twierdzi, że nietylko liczba, ale i złośliwy charakter zbrodni ciągle wzrastał, i „żeśmy jeszcze nie stanęli na kulminacyjnym punkcie tego wzrostu". Oprócz tego przestrzega nas, abyśmy się nie dali złudzić pozornemi symptomami polepszenia. Ale właśnie te wywody dotyczące cofania się moralności, nie są dość szczegółowe i wyczerpujące, lubo wszystko zachęcało autora do gruntownego badania. Walka przeciw Kościołowi osłabiła w masach poczucie moralności i zluźniła jej podstawy. Kiedyż bowiem np. w Berlinie były puściejsze kościoły, kiedy mniej ślubów i chrztów, odkąd straszniejszy wzrost demokracyi socyalnej? Od czasów zaostrzenia walki kulturnej, lubo wtedy o nędzy ekonomicznej nic prawie słychać nie było. Ale z łatwych do odgadnięcia powodów chciano w sferach rządowych uniknąć wskazówki na demoralizujące następstwa „kulturkampfu", w którym księdza katolickiego sadzono w jednej celi z pospolitym zbrodniarzem, tak jak uporczywie milczano o fatalnych skutkach Falkowskiej polityki szkolnej, któreśmy widzieli w moralnem zaniedbaniu i niesłychanych wybrykach dziatwy.

Fałsze historyczne w rozprawie p. Tomasza Glińskiego, zamieszczonej w sprawozdaniu dyrekcyi c. k. gimnazyum tarnowskiego na rok szkolny 1885. Napisał *ks. Dr. Józef Bąba*. Tarnów, 1885.

Dyrekcye gimnazyów umieszczają w corocznem sprawozdaniu szkolnem zwykle jednę naukową rozprawę, mającą dać świadectwo o erudycyi i wiedzy nauczycielskiego grona. Otóż w tegorocznem sprawozdaniu gimnazyum tarnowskiego ogłosił nauczyciel historyi powszechnej, p. Gliński, z okazyi 800-letniej rocznicy śmierci Grzegorza VII. rozprawę o szumnym tytule: „Charakter walki Grzegorza VII. z Henrykiem IV. i znaczenie jej powszechno-dziejowe". Ta rozprawa, bardzo słabo pod względem technicznym opracowana, tchnie duchem antykatolickim i powtarza za protestantami stare, wielekroć zbite fałsze historyczne. I taką rozprawę sankcyonowała swoją powagą c. k. dyrekcya gimnazyalna, a *Czas* nr. 138 w dziale: *Wiadomości artystyczne, lite-*

rackie i naukowe pochwalił ją „dla sumiennego zbadania źródeł, jasnego i zrozumiałego sposobu przedstawienia i katolickiego ducha“. W wielu wypadkach uchodziły podobne wycieczki profesorów i uczonych na papieży i Kościół bezkarnie, tą jednak razą znalazł się w Tarnowie inny profesor historyi, który nierównie większym zasobem erudycyi, z ścisłą loiką i sumienną krytyką wykazał mylne zapatrywania i sądy gimnazyalnego nauczyciela, i rzecz swoją ogłosił najprzód w tarnowskim dwutygodniku *Pogoń*, a potem w osobnej broszurze. Nie sądzimy, aby p. Gliński miał wyraźny zamiar osławienia papieża i papiestwa; napisał tak jak umiał i jak go nauczono. Ale wypadek ten, nienależący wcale do wyjątków, dowodzi tylko tego, że panowie profesorowie nie dosyć uwzględniają najnowsze naukowe prace, nawet protestantów o papieżach, a przez to narażają siebie na takie upokorzenia, jak niniejsze, nie mówiąc już nic o wielkiej szkodzie, jaką wyrządzają nauce i wiedzy a bardziej jeszcze przekonaniom religijnym młodzieży, którą przecież w kraju katolickim w czci Kościoła katolickiego wychowywać powinni.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Trzydziesty drugi kongres niemieckich katolików w Monasterze.

Kiedy groźny rok 1848 rewolucyjnemi ideami zachwiał i poniżył rządy, które w obec garstki żydowskich przeważnie studentów i rzemieślników, kryły się z przestrachu lub opuszczały ręce, gdy w obozie rewolucyonistów rozległ się okrzyk tryumfu nad wrzekomym grobem katolickiego kościoła, gdy z szyderstwem wołano, że pod sztandarem wiary stoi już tylko „kilka babek i niedorosłych dziewcząt", wówczas właśnie ocucił się i powstał drzemiący duch katolickiego życia. W Würzburgu zgromadzili się biskupi niemieccy śląc słowa niespożytej siły do panujących, do duchowieństwa, do germańskich ludów. Głos ten w katolickich sercach zgodnem odbił się echem — i oto w dniach 3—5 października katolicy w Moguncyi, zgromadzeni pod przewodnictwem Dra v. Baussa z Fryburga, postanawiają nieodwołalnie połączyć wszystkie stowarzyszenia w jedno, pod nazwą „katolickiego związku Niemiec" (katholischer Verein Deutschlands). Stowarzyszenie to podległe głowie Kościoła i biskupom, corocznie zbierać się miało. Celem przezeń wytkniętym była obrona swobód kościelnych, umysłowe i obyczajowe kształcenie ludu, i łagodzenie klęsk socyalnych uczynkami chrześcijańskiej miłości. Chwalebne te zamiary otrzymały sankcyę wszystkich biskupów Niemiec i apostolskie błogosławieństwo z Gaety od wielkiego papieża Piusa IX. (10 lut. 1849). Taki był początek i cel katolic-

kich wieców niemieckich [1]. Te zjazdy odbywane regularnie każdego roku, z wyjątkiem lat 1866 i 1870, z powodu toczącej się wojny, bujny owoc wydały, szczególnie przez niezachwianą zgodę i jedność katolików, o którą rozbiła się przemoc i prawdziwie machiawelska polityka antykatolickiego obozu. Zdawało się, że polityka ta choć w części dopnie swego celu, ale inaczej się stało. Gdy rząd pruski ze zwykłą swą przebiegłością falangę katolicką złamać usiłował, ona tymczasem potężna jednością, obchodzi nowy, może najwyższy tryumf wewnętrznej swej siły, na tegorocznem walnem zebraniu w Monasterze. Już w pierwszym dniu (24 sierpnia) stanęli świeccy i duchowni przewódcy katolickiej nauki w prastarej, biskupiej stolicy, w tym Rzymie niemieckim, jak go ze słuszną dumą nazywają. Z podniesionem i pełnem radości sercem, zebrało się już w pierwszym dniu przeszło 1500 katolików we wspaniałej halli, aby przyjąć z gorącym entuzyazmem serdeczne powitania i życzenia z Austryi, Prus Zachodnich, Szląska, Bawaryi, Belgii i Holandyi. Od wszystkich biskupów Niemiec i od wielu z Austryi nadeszły powinszowania. Duszą jednak całego zebrania i ogniskiem najpodnioślejszych wrażeń był okólnik kardynała Melchera i prawdziwie apostolski list kardynała-sekretarza stanu Jacobiniego, przesłany wraz z błogosławieństwem Jego Świątobliwości. Entuzyastyczne okrzyki na cześć Ojca całego chrześcijaństwa wznoszone, świadczyły, że katolicy najrozmaitszych ziem i narodów czuli się członkami i braćmi jednej wielkiej rodziny, której matką, Kościół rzymsko-katolicki. Te uczucia iście katolickie wyrażał baron Schorlemer z Alstu. Tymczasem nadchodzący wieczór wzmocnił zastępy dzielnych rycerzy Kościoła. Przybyli: Exc. Dr. Windhorst, Exc. baron Frankenstein, prezydent rady państwa w Bawaryi, wiceprezydent niemieckiej rady państwa i t. d., tak, że dnia następnego (30 sierp.) olbrzymie mury tumu nie mogły już pomieścić mnóstwa przybyszów cisnących się na mszę, którą odprawił pontyfikalnie najczcigodniejszy biskup Monasterski.

O godz. $9^1/_2$ rozpoczęło się pierwsze posiedzenie. Powitany radosnym okrzykiem (hoch!) wszedł Windhorst w towarzystwie hr. Drosta Vischeringa i bar. Schorlemera z Alstu, otoczony gronem naj-

[1] Szczegóły dotyczące początku i działalności tychże zjazdów podaje „urzędowe sprawozdanie z 11 walnego zebrania we Fryburgu 1860“, str. 15—36.

znakomitszych członków centrum. Następnie czcigodny prałat i jeneralny wikaryusz Dr. Giese przedłożył w pełnej natchnienia przemowie program katolickiego zebrania. „Czego tu chcemy?“ — oto pytanie, na które mówca tak odpowiada: „Wielcy tego świata, szczególnie w naszej ojczyźnie, nie szczędzili niczego, byle tylko potargać węzły łączące ją z Rzymem. Najprzód użyto przemocy, później podstępu. Przypomnijmy sobie oprócz starokatolików i katolików państwowych, podżeganie niższego duchowieństwa przeciwko biskupom, biskupów przeciw papieżowi, całego ludu wreszcie przeciw kapłanom, aby tym sposobem zbudować „niemiecki kościół narodowy“. My więc najprzód w obec całego świata i władzców jego okazać chcemy nasze głębokie przywiązanie do rzymsko-katolickiego Kościoła; powtóre, chcemy utwierdzić i bardziej jeszcze spotęgować naszą jedność braterską; po trzecie, chcemy w sobie rozżarzyć gorętszy jeszcze zapał do walki. Oto nasz program, nasz sztandar... nasze posłannictwo“. Jednogłośne: „tak, my tego chcemy“ i huczne brawo dwóch tysięcy przyklasnęło słowom mowcy. Następnie przystąpiono do wyboru przewodniczących. Pierwszym prezesem jednogłośnie obrany Dr. Lieber, znakomity rzecznik Centrum. Pierwszym wiceprezesem hr. *Preysing-Lichtenegg-Moos* z Bawaryi, drugim zaś kupiec Walther z Erfurtu. Również dla pojedyńczych wydziałów: misyj, chrześcijańskiej miłości, sztuki, oświaty i szkół, wiedzy i prasy i t. d., wyznaczono osobnych przewodniczących. Na tem skończyło się pierwsze posiedzenie prywatne. Po południu zaś rozpoczęto pierwsze publiczne zebranie. Niezmierny był napływ słuchaczów w sali festynowej, która wszystkich w żaden sposób pomieścić nie mogła, tak, że całe setki z niczem odchodzić musiały. O 5 godz. przybył najczcigodniejszy biskup Bernard w towarzystwie swego sufragana Dr. Cramera, który wstąpił tu w przejeździe do Rzymu. Radosne „hoch!“, brzmiące z ust całego zebrania, powitało gościa tak zacnego. Prezes Dr. Lieber otworzył zebranie pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Pozdrowienie to i treść jego była i jest dla Żydów zgorszeniem, a dla pogan głupstwem — dla nas zaś jest ona przedmiotem czci i uwielbienia, oraz nieustraszonem a silnem jak skała wyznawstwem w obec wszystkiej ziemi... szczególnie jednak w obec dzisiejszej niewiary, szerzącej się wśród naszych naukowych zakładów, wśród naszych parlamentów, a nawet

wśród najniższych warstw naszego ludu. Siłą tego Imienia stójmy niewzruszeni i słuchajmy biskupów mocą pasterskiego urzędu na nas wołających: „Trzymajcie się niezachwianie jedności wiary waszej"... Tak, jedność zerwana być miała, lecz zamach ten spełzł na niczem, bo jesteśmy i pozostaniemy wiernymi związkom jedności z czcigodnym episkopatem naszym i z następcą Piotra św. rzymskim papieżem!" Słowa te przyjęto z uniesieniem; poczem przemówił najczcig. biskup Bernard w podobnym sensie, krótko wykazując, jak w ostatnich 37 latach od chwili pierwszego wiecu niemieckich katolików, rosło i potężniało katolickie życie i jedność, pomimo więzień, przemocy i chytrości, i jak potężne i groźne stoją w obecnej chwili zastępy katolików, gotowe do dania odporu swym wrogom. Na ten sam temat przemawiał też Dr. Moufang z Moguncyi. Historycznemi faktami wykazawszy upadek katolicyzmu w Niemczech przed i po rewolucyi francuskiej, tak kończył uczony mówca: „Jednak katolicki sztandar lubo po wielu ciężkich walkach, powstał z upadku, i blask swój rozwinął nad całym narodem, ale i dziś w obec nieprzejednanych wrogów Rzymu, ściślej jeszcze skupiać się i jednoczyć potrzeba, bo walka wre wciąż jak dawniej, a przyszłość ciemna jeszcze. Jednak jasno nam świecą słowa Zbawiciela: *et portae inferi non praevalebunt*, choć, jak się to stanie, nie wiemy".

Po krótkiej mowie proboszcza Huhna z Monachium, o palestyńskich towarzystwach *(Palästina-Vereine)*, wstąpił na trybunę ostatni mówca bar. Schorlemer z Alstu, poruszając w ogólności kwestyę socyalną. „Chrystus zbawił dusze nasze, ale rozwiązał też całą kwestyę socyalną, stawiając zasadę i prawo: „Miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego". Nowoczesny liberalizm, ze swym zimnym egoizmem i indywidualizmem, ze swym bogiem państwowym, nie zna tego prawa, lecz stawia wprost przeciwną zasadę: „Miłuj nadewszystko siebie samego, a bliźniego o tyle, o ile tego wymaga twój interes". Liberalizm ten poczyna się od r. 1789. Odtąd rewolucya socyalna z pola nie schodzi. Korporacye na podstawie chrześcijańskiej były potrzebą serca warstw biedniejszych. Zamiast je zreformować, poznoszono je. Pracę zdegradowano na towar; jej wartość odbytem się mierzy. Katoliccy politycy socyalni, jak np. hr. de Mun, wręcz potępili te przewrotne zasady. Praca jest poprostu narzędziem kapitału, zamiast być żywym, pro-

duktywnym czynnikiem. Jest to grunt urodzajny na posiew demokracyi socyalnej. Socyalni demokraci twierdzą, że co się dzieje na korzyść robotników, czyni się z obawy przed nimi. Może się to stosować tylko do wyznawców manszestryzmu i socyalistów państwowych, ale nie do nas. Kościół katolicki zawsze się opiekował biednymi i więcej dla nich uczynił niż wszyscy socyalni demokraci razem. Co czynimy dla braci cierpiącej, czynimy z miłości chrześcijańskiej, nie z obawy przed demokracyą socyalną. Czynilibyśmy to samo, chociażby tego prądu wcale nie było. Zwalczamy tylko jej do przewrotu i negacyi zmierzające zasady. Nie lekceważymy jej, ale też jej nie przeceniamy. Socyalna demokracya jest dziecięciem nowoczesnego liberalizmu. Socyaliści nie tają się z tem wcale, że katolicyzm jest ich najniebezpieczniejszym przeciwnikiem, i słusznie, gdyż gdzie katolicyzm kwitnie, tam nie ma gruntu do posiewu socyalistycznego. Ruina wiary, życia religijnego, rodziny i własności, jest podwaliną budowy socyalno-demokratycznej. Pragniemy polepszyć dolę braci naszej stanu robotniczego, ale bez naruszenia świętego prawa własności, które, według przykazania bożego, jest nietykalnem. Socyaliści nie chcą tej nietykalności uznać, idąc za głosem swych proroków Marxa i Lassalla. I dla monarchii nie ma miejsca w ich państwie. Pracę chcą socyaliści zamienić na wspólne dobro całej ludzkości i głoszą, że wszyscy mają równe prawo do pracy i do jej płodów. To znosi wszelką własność. Socyalna demokracya musi wzrastać na gruzach, wytworzonych przez walkę kulturną. Przeniknie ona i szeregi wojskowe. Niszczyć ona umie, ale nie zdolna nic zbudować. Lecz w dniu, w którym przejdzie do zrealizowania swych marzeń, stanie się śmiertelną; a żniwo głów daleko obfitsze będzie, niż za Dantona, St. Justa i Robespiera. Straszna będzie katastrofa, a jedyną arką zbawienia może być tylko Kościół katolicki; straszniejszą będzie kaźń czcicieli mamony i ziemskich rozkoszy. My ufamy w Bogu. Może On odpuści karę, albo w właściwej chwili zaklnie burzę, powstrzyma rozszalałe bałwany i odbuduje królestwo boże na ziemi. Przyznaję, że prawo zabezpieczenia w razie kalectwa i prawo o kasach dla chorych i niezdatnych do pracy, (do czego centrum przeważnie się przyczyniło), jest bardzo pożyteczne; ale to nie wystarcza. Tu trzeba leczyć chorobę duszy, wzbudzić w robotnikach wiarę. Kończcie walkę kulturną, usuńcie

prawa majowe, przywróćcie Kościołowi wolność, odwołajcie wygnane zakony, nie wyłączając Jezuitów. Precz z połowicznością, precz z koncesyami dwulicowemi. Potrzeba nam nadewszystko dobrych praw ochrony robotników, ograniczenia pracy kobiet i dzieci, uregulowania czasu pracy, procederowych sądów rozjemczych, nakazu święcenia niedzieli i świąt uroczystych. Te są nasze żądania, i nie pierwej spoczniemy, aż nam zadość uczynią". Długie grzmoty oklasków były nagrodą i pochwałą mówcy. Po skończonem zebraniu towarzystwo naukowe studentów „Germania" przedstawiło 5 żywych obrazów z historyi Monasteru. Z tem przedstawieniem połączono też wspólny komers katolickich naukowych korporacyj Monasteru.

Na drugi dzień, (2 września) rano, odbyła się narada wydziału kwestyi socyalnej, wydając rezolucye o spoczynku i święceniu niedzieli, oraz wezwanie do wszystkich katolików, aby energicznie wystąpili przeciw zbytecznemu pociągowi do uciech i zabaw.

O $10^1/_2$ rozpoczęło się drugie tajemne jeneralne zebranie. Równocześnie nadeszły nowe telegramy i życzenia od kardynałów: Hergenröthera i Franzelina, od biskupów Austryi, Szwajcaryi i Ameryki. Depesze te odczytywano wśród okrzyków najżywszej radości. Zadaniem tego posiedzenia były sprawy misyjne, oraz towarzystw: św. Franciszka Ksaw., Dzieciątka Jezus i św. Bonifacego". Najważniejszym przedmiotem obrad było tak zwane „Towarzystwo zbiorowe" w Niemczech, w celu zakładania katolickich domów sierot i ochronek, jako przeciwstawienie zakładom protestanckim, przez które, jak słusznie uważa Windhorst, Kościół wiele już dusz utracił. Może przed dwoma lub trzema laty począł liberalizm głównie w miejscowościach fabrycznych wznosić zakłady podobne katolickim, zostającym przeważnie pod kierownictwem żeńskich zakonów. Domy sierot, kolonie robocze i wakacyjne, stały się celem ich starań. Nawet protestancki ortodoksyzm nie usunął się od udziału w tej pracy. A lubo zakłady te miały być symultanne, jednak już w krótkim czasie stały się szkołą prozelityzmu, lub otwartej bezwyznaniowości. Wszyscy biskupi Niemiec oświadczyli się naturalnie przeciw tym instytucyom, dając pohop do starań o wznoszenie liczniejszych jeszcze zakładów katolickich. Na wieczornem — tegoż dnia odbytem — publicznem zebraniu baron Wendt polecił raz jeszcze w serdecznych wyrazach uchwały, odnoszące się do towarzystwa św. Bonifacego,

poczem X. Dr. Mosler z Trewiru roztrząsał przyczyny niedostaku księży. „Zkąd to pochodzi? — pytał mówca. — Skutek to walki kulturnej, sztucznie przerzedzającej szeregi kapłanów. Spojrzmy na gimnazya, te wychowawcze szkoły naszych duchownych, policzmy tajne korporacye, zważmy fałszywe stanowisko profesorów religii, zważmy sposób wykładu nauk a przedewszystkiem historyi. Tak, wykład historyi prawdziwie katolicki, jest obecnie w Prusach niemożebny. Cóż więc wypada nam czynić?

1. Nie ustępując ani na krok domagać się winniśmy od państwa wszelkich swobód dla kościelnych zakładów wychowawczych. Żądamy więc wraz z papieżem prawa swobodnego wychowywania kleru.

2. Zanim celu dopniemy, winno tymczasem domowe wychowanie zaradzać złemu. Świeccy środkami materyalnemi, t. j. wsparciem, duchowni naukową pomocą, t. j. przysposabieniem chłopców. W ten sposób obecnie dobre duchowieństwo mieć możemy".

Po Moslerze przemawiał apostolski wikaryusz z Kopenhagi Msgr. de Euch, o stosunkach katolickiego Kościoła w Danii. „Po wielu ciężkich przejściach, wschodzi nad nami jutrzenka lepszej przyszłości. Dwudziestu ośmiu kapłanów, (połowa Jezuitów), 95 sióstr zakonnych i 4.000 katolików (połowa nawróconych), tworzą jedyny punkt oparcia w religijnym chaosie państwowego kościoła". Tu zabrał głos X. proboszcz Schlösser z Bremy, przedstawiając smutny stan wychodźców pod względem religijnym i polecając zarazem stowarzyszenie św. Rafała. Następny orator, Dr. Porsch z Wrocławia, w gorących słowach i ognistych barwach zestawił katolickie stowarzyszenia z tajnymi związkami wrogów katolicyzmu, odpierając niesłuszny zarzut separatyzmu. Tu wykazał, jak koniecznem było ustanowienie Centrum, w obec zdeptania wszystkich praw kościelnych. „Czyż szczery katolik mógł na to patrzeć spokojnie? Wszak szczególnie w Prusach nic nam dobrowolnie dać nie chciano: więc byliśmy zmuszeni nasze siły parlamentarne zespolić w jednomyślne ciało. Nie my odłączyliśmy się sami! Nie! przymusem popchnięto nas do skupienia się odrębnego. Jak więc czczym jest zarzut, że się odłączamy, że się zbieramy osobno, że utworzyliśmy jednobarwne Centrum! I zaprawdę, nie tak łatwo zmienimy barwę, nie tak łatwo zerwiemy jedność, nie tak prędko „ulotnimy się",

jakby tego pragnął p. minister Puttkammer. Związek nasz trwać będzie, dopóki nie przywrócą nam naszych religijnych i politycznych swobód. Nasze kwitnące stowarzyszenia, to tylko naturalna reakcya Kościoła przeciw poganizacyi społeczeństwa, do której szczególnie dąży wolnomularstwo. Ciężkie są czasy — kończy mówca, skreśliwszy zabiegi loży — dwa wielkie obozy stoją przeciw sobie gotowe do boju, chorągiew już rozwinięta, maska już zerwana; z jednej strony czerwony sztandar rewolucyi socyalnej, z drugiej błyszczy krzyż w ręku Chrystusowego namiestnika". Nieziemskiem jakiemś uniesieniem zapłonęły twarze całego zebrania, gdy Dr. Lieber odczytał telegram, w którym Ojciec św. wyrażając wielką swą radość z obrad wiecu apostolskiego, udzielił mu błogosławieństwa. Stojąc, słuchano tej wiadomości, poczem zgięły się kolana, o ile to w natłoku było możliwem, aby przyjąć błogosławieństwo Leona XIII. Trzykrotny okrzyk, sześciu tysięcy głosów rozległ się wśród murów festynowej sali. Zapał nie zaraz ostygł. Raz jeszcze trzykrotne „hoch" zabrzmiało, na dowód czci i uwielbienia dla Głowy katolickiego Kościoła.

Jednocześnie odbyło się jeneralne zebranie związku „Arbeiter-wohl", który założony przez teraźniejszego posła Dra Hitze[1] i Brandesa szybko się rozkrzewił, szczególnie w Westfalii i w nadreńskich okolicach fabrycznych. Na przeszłorocznem zebraniu w Ambergu z szczególniejszym przyciskiem podnoszono ważność tego związku i w ogóle wszystkich katolickich stowarzyszeń robotników, jako najskuteczniejsze *antidotum* przeciw tajnym związkom i demokracyi socyalnej. Dr. Hitze przedłożył doskonały zarys organizacyi takich stowarzyszeń, który znalazł ogólne uznanie a ze strony Windthorsta szczególniej gorące poparcie i pochwałę.

Z nie mniejszą świetnością odbyło się i trzecie publiczne zebranie. Otworzył je ks. Marty, biskup Tyberyady i Wikaryusz apostolski z północnej Ameryki, ognistą a natchnioną mową, kreśląc szybki wzrost katolicyzmu w północnej Ameryce, do czego i pruski

[1] Dr. Hitze jest jednym z pierwszych socyalnych polityków w Niemczech, czego dowodem, oprócz większych jego dzieł, świetnie redagowane „Christlich-sociale Blätter", nakazujące szacunek nawet samemu rządowi. Również inne małe pisemko związku „Arbeiter-Wohl" minister spraw wewnętrznych publicznie pochwalił i polecił.

kulturkampf niemało się przyczynił, posyłając tam wygnane zakony, które misyjną swą pracą szerzyły światło prawdziwej wiary. Z tych to przyczyn Kościół amerykański składa podziękę Niemcom, spoglądając ze czcią i podziwienieniem na ten bój, z bohaterską odwagą podjęty, który prędzej czy później zwycięztwem skończyć się musi.

Poseł Bachem poruszył kwestyę niezmiernej wagi: t. j. kwestyę prasy katolickiej. „Przed walką kulturną, mówił, mieliśmy niewielką liczbę katolickich dzienników. Walka, która i te nieliczne głosy ogółu zagłuszyć miała, mimowoli podniosła je i pomnożyła. W samej prowincyi nadreńskiej powstało 14 nowych pism, dzielnie walczących w obronie naruszonych praw Kościoła. Prasa jest niezbędną: stan jej jest termometrem społeczeństwa. Czemu np. przypisać ospałość panującą w Austryi (niestety! zarzut ten aż nadto prawdziwy)? Oto, bo w potężnej tej monarchii istnieje zaledwie jedno niezawisłe pismo katolickie, i to bardzo skąpo popierane. Dlatego i do nas należy wspierać prasę katolicką nietylko słowem, ale i czynem. Na tym punkcie i w Niemczech niejedno jeszcze zreformowaćby wypadało, a przedewszystkiem usunąć z katolickich rodzin wszelkie liberalne i żydowskie piśmidła. Wówczas dopiero wiara i czynne życie katolickie zakwitnie w całej pełni!“.

Prałat Hergenröther (brat kardynała), przedstawiając smutne położenie Kościoła i Stolicy św., nader trafnie zcharakteryzował królestwo włoskie, jako państwo toczone robakiem nędzy społecznej. Bo łupieztwo Kościoła nie przynosi błogosławieństwa. Jednogłośnie zaprotestowało całe zebranie przeciw grabieży Rzymu, a w szczególności przeciw tendencyi umorzenia „kwestyi rzymskiej“. Nakoniec nadeszła chwila ostatniego publicznego posiedzenia, w którym i damy udział wziąć mogły. Pierwszy mówca, hr. Galen wystąpił z dziwnie pobożną apologią Różańca św.

Dr. Haffner, znany w świecie filozoficznym, wskazał na groźne pojawy antychrześcijańskich pojęć w prasie, w sztukach, w literaturze i wiedzy, porównując zarazem dzisiejsze czasy z odpowiedniemi dziesiątkami lat przeszłego stulecia, w których ta sama idea antyreligijna wywołała straszną tragedyę. „Akt 1, to rządy Ludwika XIV., akt 2, Ludwika XV. W 3 akcie ukazują się na wzniesieniu postacie Woltera i Rousseau, którym cała prawie Francya korny hołd

oddaje. W 4 akcie słychać już okrzyk „écrasez l'infâme!“ A w 5 widać krwawe postacie Dantonów i Robespierów... A potem? Potem nauczali filozofowie bez wiary w Jenie, Berlinie, Królewcu... później zjawił się Marx, Lassale, Bebel, a w Berlinie nihilista Hartmann. Romansopisarstwo w guście Zoli jak wezbrany potok zalewa kraj cały. Akademie nasze chylą się do upadku. A cóż mówić dopiero o naszych gimnazyach i szkołach ludowych? Podobieństwo między teraźniejszością a wiekiem ubiegłym, jest uderzające. Właśnie w tych samych latach przeszłego stulecia rozpoczął się zapamiętały bój przeciw Kościołowi Chrystusowemu. Jeszcze tylko 4 lata dzielą nas od proklamacyi praw człowieka, a drugie tyle od krwawych scen królobójstwa. Cóż czynią państwa, by temu zapobiedz? Nie dynastyom dana jest obietnica wiecznotrwałości, ale katolickiemu Kościołowi. Kościół więc niech uwolnią, naukom niech dadzą swobodę, a w życiu i w śmierci z Kościołem i przez Kościół odniesiem zwycięstwo!“

Po tych słowach stanął na mownicy Dr. Windhorst: „Niewymowną czuję radość, zawołał, że wiec ten świetniej wypadł, niż wszystkie poprzedzające. Napływ katolików z daleka i z bliska imponuje ogromem. Słychać tu języki katolików całych Niemiec, Ameryki i Belgii; nawet z Australii i Chin zawitali do nas missyonarze. Z radością konstatuję ten fakt w obec szyderstwa naszych przeciwników. Przepowiadano prędką stagnacyę w naszym ruchu; wołano, że już strudziliśmy się w boju, że żyjemy z sobą w niezgodzie; my tymczasem jak dawniej pełną oddychamy piersią, trud nie pochylił nam czoła, ręce nie zerwały uścisku bratniej zgody, jedna myśl przenikała wszystkich, jeden głos stanowił uchwały. Chciano znaleść niezgodę wśród naszych biskupów, aż oto wzniosły list z Fuldy dowodzi niezachwianej jedności. Mówiono, że niemasz u nas harmonii z biskupami, a oto całe zebranie jedność z nimi głośno wyznaje, dzięki im składa za listy, a nauk i rad ich we wszystkiem słuchać przyrzeka. Zgodni więc są pasterze, zgodną jest i trzoda, a ponad nią i ponad nimi stoi jeszcze Starzec z Watykanu panujący nad światem. Bądź co bądź, on nad nim istotnie panuje. Wpływ jego sięga od wschodu do zachodu, od północy aż do południa! O taką jedność wszystkie wysiłki, wszystkie knowania naszych wrogów rozbić się muszą. Mylą się nasi

przeciwnicy, jeśli mniemają, że śmierć przerzedzi lub przeistoczy nasze szyki. Nie! nowa generacya już dojrzewa. Z radością winienem zaznaczyć, że będąc obecnym na studenckich i kupieckich uroczystościach, spostrzegłem tam znakomite talenty, które, skoro przyjdzie czas, nie odmówią swych usług dla naszej dobrej sprawy. O dalszą przyszłość matki starać się winny.

Dalej mówca serdecznemi słowy dziękuje biskupom za ich troskliwość i poparcie, przyrzekając w imieniu świeckich szacunek i posłuszeństwo dla książąt Kościoła. Niemniej serdecznie dziękuje wszystkim katolikom, zwierzchności świeckiej i obywatelom Monasteru za gościnne przyjęcie. Wreszcie gorąco poleca wykonanie uchwał szczególnie o stowarzyszeniach robotników. Nakoniec przechodzi na pole polityki kościelnej. „W tej polityce, mówił, obecnie nastąpił zastój. Biernością tą chcą nas przemódz — ale się mylą ci panowie. My wciąż a wciąż powtarzać będziem nasze żądania. Nie bądźmy jednak zbyt gorąco kąpani. Może długa jeszcze czeka nas droga, jednak dojdziemy do końca. Dlatego Centrum upaść nie może, utrzymać je trzeba koniecznie, zwłaszcza przy tegorocznych wyborach. W obecnych stosunkach nie możemy trzymać się żadnej partyi: bo ani narodowo-liberalnej, ani wolno-konserwatywnej nigdy nie wybierzemy... O jedno jeszcze was proszę, o modlitwę tak za mię samego, bo czuję, że już wieczór nadchodzi, jak i za wszystkich towarzyszów broni. Jako ostatni głos naszego wiecu składamy tu publicznie przed całym światem ślub niezłomnej wierności dla matki naszej Kościoła św., wierności dla naszych biskupów, wierności dla Namiestnika Chrystusowego w życiu i w śmierci. A na znak przyjęcia tego ślubu, zawołajcie wraz ze mną: Niech żyje Jego Świątobliwość Ojciec św. Leon XIII.!“ (lebe hoch, hoch, hoch!). Tysiączne echo odbrzmiało z wszystkich piersi i raz jeszcze zatrzęsło murami festynowej sali. Jak z otwarciem wiecu, tak i przy jego zamknięciu prezes Dr. Lieber prosił o biskupie błogosławieństwo, którego udzielił czcig. biskup Bernard, po tej krótkiej lecz pełnej treści odezwie: „Złożyliście tu wyznanie, przed którem zadrży świat, zasialiście ziarno na żyznym gruncie serc waszych. Teraz wracacie do swych krajów, by wziąć się do uciążliwej pracy, by rzetelność waszych zamiarów czynem potwierdzić, i walczyć niezachwianie o prawo, o wolność i o prawdę. Używaj-

cież dobrze swego oręża, a szczególnie modlitwy i Różańca św. Modlitwa rozstrzygnie czy upadek, czy zwycięstwo ma wam być nagrodą". Głośnym wiwatem na cześć biskupów i trwałość katolickiej jedności zamknięto 32-gie jeneralne zebranie.

Sześć uchwalonych rezolucyj mają na celu zmianę w położeniu Stolicy św., zakładając jednogłośny protest przeciw nieprawemu zaborowi włoskiego rządu. Żądają dalej pełnej jurysdykcyi dla biskupów, swobodnego kształcenia kleru, zniesienia wszelkich praw, przytłumiających rozwój i istnienie zakonów. Nakoniec opierając się na przyrodzonem i nadprzyrodzonem prawie wychowywania dzieci, domagają się uchwały wiecu reformy zakładów wychowawczych, a mianowicie zniesienia szkolnego przymusu, oraz szkół symultannych i bezwyznaniowych, przywrócenia wpływu Kościoła na wykład religii, na kształcenie i wybór nauczycieli w wyższych i niższych zakładach naukowych.

W obec takich czynów, jak ten wiec katolików niemieckich, wszelki komentarz z naszej strony byłby zbytecznym. Czyny głośniej od słów przemawiają. Ale nie będzie zbyteczną rzeczą przysłuchać się refleksyom, jakie ten wiec podaje do myśli niekatolikom. Otóż najprzód w liberalnej gazecie *Débats* senator francuzki, pastor protestancki, p. Pressensé, opisując to zebranie, którego był świadkiem, konstatuje, że „termometr katolicyzmu wciąż się podnosi". „Z roku na rok, mówi on, można widzieć, jak pod wpływem kulturkampfu zacieśniają się węzły jedności między katolikami niemieckimi a papiestwem. Niema już śladu tej opozycyi, jaką najznakomitsi ich przedstawiciele okazywali w obec ogłoszenia dogmatu nieomylności. Książe Bismark odegrał prawdziwie rolę władzy wykonawczej, mającej wprowadzić w życie postanowienia soboru Watykańskiego. Nikt się więcej nadeń nie przyczynił do przełamania opierających się wszechwładzy papieskiej i do pokonania ich ostatnich podrygów. Papież powinienby ciągle palić świece na jego cześć, w swojej prywatnej kaplicy".

Druga, również słynny organ liberalizmu we Francyi, *Le Temps*, niemniej poważne robi nad tem refleksye. „Dla widzów bezstronnych i z boku całej tej sprawie się przypatrujących, to jest godnem uwagi

i pamięci, że po 12 latach zapasów, partya katolicka w Niemczech jest tak silną, zbitą i stanowczą, jak była na początku. Ani 6 lat kulturkampfu właściwego, (grzywny, wypędzania i składania z urzędu), ani 6 lat połowicznego pojednania, (rokowania z Rzymem, umizgania się do dygnitarzy kuryi, chwilowe sojusze z lewem centrum, na tle protekcyi ekonomicznej, lub reformy socyalnej), nie ubezwładniły partyi, której p. Windthorst przewodzi. Na najbliższych wyborach do Landstagu, kanclerz i jego sojusznicy będą musieli dobrze się z siłami centrum rachować. Można mniemać, że nie taki właściwie cel zakładał sobie ks. Bismark, kiedy zaczynał kulturkampf".

„Ten wiec dowiódł — mówi *Neue Fr. Presse* — że kanclerzowi nie powiodło się osłabić centrum, jest ono teraz więcej niż kiedykolwiek żywotne, pewne siebie, i żądne walki. Taka jest właśnie myśl przewodnia całej mowy p. Windthorsta. Nigdy on z taką wiarą w przyszłość nie przemawiał, jak w Monasterze; nigdy się mniej w dyplomatę nie bawił. P. Windthorst, zdawał się dowódzcą objeżdżającym swe hufce i szczycącym się nimi. Jego słowa, to niby komendy na jutrzejszą bitwę. A powiedział tylko prawdę. Prawdą jest, że 10 lat walki nie zniechęciły katolików, owszem, wzmocniły ich, uwydatniły ich męztwo. Z siłą swoją i z swoim systemem pół-ustępstw, kanclerz ugrzązł w obec niewzruszonej stałości centrum, z po za którego wygląda charakterystyczny profil Leona XIII. Nie dało się ani rozdzielić katolików z papieżem, ani polepszyć stosunków z rządem. Żelazny mąż, co inne partye obracał, jak chciał, na opozycyę katolicką nie posiada żadnego zaklęcia".

K.

Ogólny wiec Katolików w Gliwicach.

Jeszcze nie przebrzmiały gorące hasła „zgody i jedności", świadczące o solidarności katolickich mieszkańców Niemiec, a już ich echo odezwało się na ogólnym wiecu katolików Górnego Szląska. Gliwicom tą razą przypadło w udziale podejmować w swych murach uczestników tego dziewiątego z kolei wiecu. Już od 5 b. m. zapanował ruch niezwykły w mieście, zaroiły się ulice od przybyszów

a coraz nowi nadciągają goście. Miasto świątecznie przybrane, łuki i bramy wzniesione ku uczczeniu gości, zapowiadały serdeczne przyjęcie. W pysznie ustrojonej sali letniego teatru odbyło się wieczorem powitanie. Mowę wstępną wygłosił ksiądz proboszcz Buchali, prezes miejscowego komitetu, objawiając radość w imieniu Gliwiczan, że mogą w swych progach ugościć wiecowników. Przypomina, że lud Górno-szląski zawsze wskróś katolicki, a jako taki, staje zawsze po stronie centrum. I wiec ten nie będzie czem innem, jak tylko stwierdzeniem tej jedności wobec wrogów, objawem, że nie szukają gnuśnego pokoju, ale z wiarą i samowiedzą dążą do swego celu, a w Bogu nadzieja, że go osiągną. Po skończonym akcie powitalnym zagajono pierwsze tajne posiedzenie, celem ukonstytuowania wiecu. Na nim to wybrano prezesem p. Szalszę z Fronau a wiceprezesami hr. Praszme i ks. dziekana Strzybnego. Utworzono cztery sekcye: formaliów, socyalną, szkolną i prasową, a na czele ich postawiono pp. hr. Strachwitza, ks. proboszcza Bowrotka, ks. dziek. Nerlicha, p. Zarubę, jako prezesów. Prace ich rozpoczęły się nazajutrz. Oprócz zwykłych posiedzeń sekcyi dwa razy zebrało się zgromadzenie ogólne. Nowo wybudowana sala okazała się za szczupłą, zaledwie 2.000 mogła pomieścić, a wiecowników liczono do 6 tysięcy.

Pierwsze posiedzenie 7 b. m. wieczorem zagaił sam prezes katolickiem pozdrowieniem. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Poświęciwszy parę słów stratom, które poniosło centrum przez śmierć kilku posłów, zaznaczył stanowisko wrogów Kościoła, co pragną tylko uśpić czujność katolików, byle dopiąć swego, t. j. przeprowadzić prawa majowe. Potem świetnie odparł zarzuty czynione katolikom, że naruszają spokój konfesyjny i nadużywają wieców, by werbować do swej kliki. Niemniej gorąco przemawiał hr. Strachwitz, który choć po raz pierwszy ukazał się na mównicy, jednak wywiązał się z zadania swego należycie, wykazując konieczność gorliwego popierania centrum w obec knowań literatów, bo tego wymaga interes monarchii i Kościoła. P. Forsch z Wrocławia uderzył na postępowanie rządu w Prusiech z Kościołem, nad którym prawa majowe wiszą jak miecz Damoklesa. Zagrzewa do energicznego działania, a rezultat niechybnie odpowie zbożnym usiłowaniom.

Tymczasem funkcyonujące sekcye rozstrząsnęły kwestye im polecone i przygotowały wnioski, które miano przedłożyć na ogólnem zgromadzeniu do zatwierdzenia. Zwłaszcza uchwały komisyi szkolnej zasługują na uwagę. Znakomitą mowę wygłosił tu ks. kanonik Franz z Wrocławia. Dwu rzeczy każe domagać się u rządu i to dopóty, dopóki ten nie ulegnie, t. j. by przywrócono prawo nauczania religii Kościołowi w szkołach, i by tę naukę religii dzieciom pochodzenia słowiańskiego tłumaczono w języku ich macierzyńskim, względnie polskim lub morawskim. Cieszy nas bardzo, że światły prałat zmienił swe zdanie, z jakiem się odezwał na przeszłorocznym wiecu we Wrocławiu. W prasowej sekcyi niepotrzebnie poruszono kwestyę polityczną i obstawano przeciw tak zwanej agitacyi polskiej na Górnym Szląsku. Nie wchodząc w to, czy Niemcy mogą się żalić na szerzenie polonizmu na Górnym Szląsku, zauważymy tylko, że na wiecu katolickim, mającym na celu wyłącznie interesa katolicyzmu, sprawa ta była nie na swojem miejscu. Na szczęście uchwały w komisyi proponowane nie przeszły na ogólnem zgromadzeniu, owszem, „Katolik“, któremu także tę agitacyę zarzucono, został polecony. Kiedy odnośne sekcye pokończyły swe prace, zebrało się drugie ogólne zgromadzenie dnia 8 wieczorem. Znakomitą na niem mowę wygłosił dr. Stephan o sprzeczności naturalnego prawa moralności z dzisiejszą polityką. Określiwszy prawo naturalne moralności wedle Arystotelesa, faktami udowadnia, gwałcenie jego w dziejach historyi od trzech wieków. Począwszy od wojny trzydziestoletniej a skończywszy na polityce berlińskiej z Rzymem, to szereg rozbojów na wielką skalę, niesprawiedliwości, obłudy i fałszu. Jedyna droga do zapobieżenia temu, to powrót do prawa moralności, które tylko Kościół katolicki uznaje i strzeże.

Nie mniejszej doniosłości była mowa p. Metznera, który w święceniu niedzieli i świąt od Kościoła ustanowionych widzi zachowanie dawnej tradycyi katolickiej Górnego Szląska i podporę życia rodzinnego i społecznego.

Na zakończenie przemówił sam prezydent, dziekując wszystkim za tak świetny udział w wiecu, i rozwiązał zgromadzenie po przeczytaniu wniosków, którym przyklasnęło całe zgromadzenie. Wnioski te, to dowód dobrego zrozumienia potrzeb dzisiejszego

społeczeństwa w Prusiech i szczerego przywiązania do Kościoła i Wiary św. I tak dziewiąty ogólny wiec katolików na Szląsku:

1. Żąda przywrócenia doczesnej władzy papieża.

2. Ze względu na ucisk Stolicy św., wzywa wszystkich wiernych jej synów do uczestnictwa w Bractwie św. Michała i składaniu Świętopietrza.

3. Celem wszystkich usiłowań katolickich w Prusach, ma być przywrócenie wolnego wykładu religii, a tego koniecznym warunkiem: niczem niekrępowane wychowanie kleru i swobodne wykonywanie pasterskiego urzędu.

4. Wdzięczność swą wyraża ku Ojcu św. za niestrudzone usiłowanie w celu przywrócenia pokoju całemu Kościołowi, a zarazem i smutek, że działanie jego trafia na tyle przeszkód.

5. Wita z radością jednomyślną zgodę biskupów zgromadzonych we Fuldzie i składa dzięki za słowa zachęty i pociechy.

6. Gorąco zaleca katolikom przy wyborach głosować tylko na mężów o niewzruszonych katolickich zasadach.

7. Ponawia dawne żądanie:

a) co do wolności wykładu religii i wykonywania funkcyj kościelnych;

b) przywrócenia Kościołowi nadzoru nad szkołami;

c) cofnięcia prawa nauczania religii tym, co nie mają upoważnienia od Kościoła;

d) powierzenia inspektorom katolickim nadzoru nad szkołami;

e) zniesienia szkół symultannych, nowych nie zakładania;

f) nauczania religii w ojczystym języku dzieci słowiańskiego pochodzenia.

8. By dzieci słowiańskiego pochodzenia uczono również czytać i pisać w ich języku.

9. Prawa z poręki rządu, tyczące się klas roboczych, nie zastąpią miłosierdzia chrześcijańskiego.

10. Żąda przywrócenia zakonów.

11. Dziękuje centrum za troskę o robotnikach i wyraża nadzieje, że centrum i nadal popierać będzie cechy przymusowe i przyczyni się do polepszenia doli klas roboczych.

12. Dziękuje centrum za obronę święcenia niedzieli i wzywa katolików, by przeprowadzenie tej ustawy gorliwą agitacyą poparli.

Oprócz tego odbyło się zgromadzenie dam, 3.000 wzięło udział; 9-ego zaś b. m. rozpoczął się wiec polski, który zagaił prezydent Szalsza, wzywając, by przy wyborach dotrwali wiernie, obierając tylko ludzi o zasadach szczerze katolickich, bo tym tylko sposobem dojść mogą do celu.

Ważnem było upomnienie ks. Falkenberga, redaktora z Berlina, by lud polski nie szukał zarobku w Berlinie, gdzie traci wiarę i kazi swe obyczaje. X. Bączek w mowie swej przyznaje, że lud ucisk ponosi od rządu, ale i on nie jest bez winy. Powodem nędzy, na którą się najwięcej żalą, to zbytki, pohop do hulanki i kieliszka, w którym tonie ciężka praca, i tygodniowy zarobek.

Rano i po południu odbył wiec swe posiedzenia i zakończył je o godzinie 5 prezes, zalecając ludowi zachowanie zasad słyszanych, a podziękowawszy mówcom za trud, i miastu za gościnne przyjęcie, wzniósł okrzyk na cześć Ojca świętego.

Z. B.

Wykopaliska w Ojcowie.

Badania nad człowiekiem przedhistorycznym, nad wyrobami ręki jego, nad szczętami zwierząt ras zaginionych, zajmują dziś poważne umysły. Najważniejszym źródłem do wyśledzenia epok odległych służą jaskinie.

Wyroby ręki ludzkiej z czasów pierwotnych oddawna zwracały na siebie uwagę ludzi myślących. W XVI. wieku Włoch Merkati napisał całe dzieło, i rzeczywiste znaczenie broni i narzędzi kamiennych wytłumaczył. Rękopism przechowywany w bibliotece watykańskiej, wydany z rozkazu Klemensa XI. w r. 1717.

Od tego czasu zaczęły się pojawiać w przeszłem stuleciu dzieła podobnej treści, jak Antoniego de Jussieu (1723 r.), Maduhela (1734 r.) i kilku innych. Przypadkowo tylko znajdowano w jaskiniach narzędzia z kamienia i kości. Muzeum brytańskie do dziś dnia przechowuje młot kamienny, znaleziony w r. 1715 razem z kośćmi słonia. Pomimo to wszystko nie było ani systematycznych badań, ani utorowanej drogi do nich; od pół wieku dopiero datuje się powstanie tak zwanej archeologii przedhistorycznej.

Z mnogich oddziałów archeologii przedhistorycznej, badania jaskiniowe są najważniejsze i najtrudniejsze. Nie dość jest być praktycznym badaczem archeologicznym, ale trzeba być zarazem geologiem, a przytem posiadać wytrwałość i zamiłowanie.

My nie mieliśmy dotąd gruntownych i umiejętnych badaczów jaskiń. Pierwszy wszedł na tę drogę przed kilku laty p. Jan Zawisza i cześć mu za to. Dopiero od lat kilku wyłącznie się temu poświęcił delegat Akademii umiejętności, p. Godfryd Ossowski. A ma on potemu wszystkie niezbędne warunki: jest biegłym, praktycznym badaczem archeologicznym i dał się poznać na tem polu, szczególnie w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, a co ważniejsza, jest geologiem, autorem mapy geologicznej Wołynia i kilku prac w tej gałęzi.

Dziś mamy przed sobą wspaniałe wydanie ostatniej jego pracy: *Jaskinie okolic Ojcowa pod względem paleo-etnograficznym. I. Wiadomości wstępne. Jaskinia maszycka w Maszycach. Badał i opisał G. Ossowski.* Tablic litografowanych i heliotypowych 8 i 12 figur w tekście.

P. Ossowski przedstawia rezultaty swoich badań w jaskini maszyckiej, położonej w południowej części wąwozu ojcowskiego, na gruntach wsi Maszyc, w powiecie olkuskim. Autor szczegółowo opisuje wąwóz ojcowski, skreśla badania swoje w tej jaskini, zaznajamia z wykopaliskami, podług chronologicznego ich położenia, a mianowicie z warstwy głębszej, następnie z wyższej, podaje chronologiczne zestawienie tychże wykopalisk i ostateczne wyniki pod względem geologicznym i paleontologicznym, a w końcu przedstawia obraz chronologiczny budowy geologicznej, oraz zabytków zawartych w jaskiniach na ziemiach polskich, jakie już zostały zbadane po rok 1884. Ośm tablic z 139 figurami i 12 drzeworytów ułatwia czytelnikowi bliższe zaznajomienie się z przedmiotem.

Skreśliwszy w wiadomościach wstępnych obraz sytuacyi topograficznej i budowy geologicznej okolicy, w której położona jaskinia maszycka, oraz bibliografię literatury, mającej związek z tą okolicą, autor przystępuje do właściwego opisu.

Jaskinia występuje w górze maszyckiej, położonej w lesie, o pół mili na południe od zamku ojcowskiego i wznosi się mniej więcej na 150 metrów nad poziom doliny Prądnika. Góra rozpoczyna się

na zachodzie, od strony doliny, stromem urwiskiem skalnem, na kilkadziesiąt metrów wysokiem, po którem wyżej następuje stromy, lasem pokryty stok; na wschodzie zaś przedłużeniem szczytu tej góry jest wyniosła płaszczyzna, na której leży wieś Mszyce. Jaskinia otwiera się na zachód, t. j. ku dolinie Prądnika. Łuk jej otworu podniesiony jest nad skalnem dnem, do wysokości czterech metrów. Kształt jaskini przedstawia dwie komory, mające po 10 mniej więcej metrów długości i około 9 szerokości największej. Pierwsza z nich oświetlona jest od wejścia przez otwór, a z góry przez dwie szczeliny, znajdujące się w jej sklepieniu; komora tylna jest ciemną. Dalsze przedłużenie obu tych komór stanowi wązki otwór skalny, mający przeszło 10 metrów długości i półtora do dwóch szerokości. Całkowita tedy długość jaskini wynosi około 30 metrów. Namuliska jaskini w obu komorach przykryte były sporej grubości warstwą głazów i rumowiska skalnego, pochodzącego z wietrzejących ścian i sklepień jaskini.

Przypatrzmy się teraz badaniom autora ze stanowiska archeologicznego. Ażeby przystąpić do badań, wypadało mu najprzód uprzątnąć na kilkudziesięciu furach mnóstwo głazów, odpadłych od wietrzejącego sklepienia jaskini. Zapuszczając się następnie w głąb namuliska znalazł kilka przedmiotów żelaznych, szczątki zbroi i odzieży, prawdopodobnie z wieku XII.—XV., obok zaś, skorupy naczyń nowego pochodzenia, a nawet polewane. Dalej łupane kości zwierzęce i łupane krzemienie. Na półmetrowej głębokości było już mnóstwo skorup od naczyń wyraźnie starożytnych, nadto łupane narzędzia krzemienne, osełki z piaskowca, gładzone wyroby krzemienne, wyroby z kości i z rogu jeleniego. Wszystko to znajdowało się na przestrzeni, której głębokość wynosiła około półtora metra. Po całkowitem zaś zdjęciu na całej długości jaskini warstw namuliska, bezpośrednio na skałach białojurajskich, znalazła się dyluwialna glina mamutowa. Ale tu nowe trudności: bo cała ta spodnia warstwa, tak samo jak i poprzednia, przepełniona była ogromną ilością głazów, brył i rozmaitych okruchów wapiennych, tak mocno zleżałych, że miejscami cały pokład miał pozór jednolitej skały. Po oczyszczeniu i przekopaniu w głąb pokazało się, że ta ostatnia warstwa miała grubości półtora metra i że był to pokład, leżący na skalnem dnie jaskini. Gdzieniegdzie znajdowały się luźne s t a l a g m i t y, niby

od dna jaskini oderwane, dochodzące do półmetrowej długości, i do 20 cnt. średnicy w przekroju poprzecznym. Znaleziono tu liczne wyroby kościane, jeden wyrób z rogu renifera, okazy kwarcytowych bryłek gładzonych, łeb *suhaka* z obu możdżeniami rogów, oraz kilkanaście kawałków czaszek ludzkich i dolna szczęka ludzka. W końcu wypadało jeszcze oczyścić kanał, którego otwór zawalony był wielką bryłą skalną, a następnie zwalisko brył kamiennych, zasute niewielką ilością namuliska ziemistego. Po usunięciu tego wszystkiego odkrył się otwór do dwóch metrów szeroki, dość stromo do góry prowadzący, a przebywszy przestrzeń około 10 metrów, można się było dostać do samego wierzchołka skały.

W dalszym ciągu swej pracy, autor podaje dokładny opis wykopalisk, zdobytych z dwóch odrębnych warstw namuliska, głębszej i wyższej. Wykopaliska te stanowią dwie odrębne całości, mające zupełnie różne właściwości archeologiczne.

I tak w najgłębszej, spodniej warstwie namuliska, (oznaczonej literą *C*), spoczywającej bezpośrednio na skalnem dnie jaskini, znalazł p. Ossowski: *wyroby ręki ludzkiej, kości zwierzęce* i *kości ludzkie.*

Z wyrobów ręki ludzkiej mamy tu wyroby *krzemienne*: składające się z noży i skrobaczy wielkich, ciężkich, w odłupaniu grubych, przeważnie otłukiwanych; z klocków także wielkich i ciężkich. Wyroby *kamienne,* zawierające dwie bryłki kwarcytowe z powierzchnią w części obrobioną i jeden klocek mały kwarcytu czerwonego (kurant do rozcierania farb). *Kościane* składają się z broni kościanej, a mianowicie są tu groty pociskowe i rohatyny, wyrobione z żeber wielkich zwierząt zaginionych (mamuta i nosorożca), oraz z kła mamuta, w końcu z szydeł i łopatek, także z kości kopalnych, nadto przedmiot z rogu renifera, rodzaj godła (?), tak zwane *baton de commandement.* Większość tych wyrobów przyozdobiona ornamentyką archaiczną.

Kości zwierzęce w jaskini znalezione, w głębszej jej części należą bez wyjątku do kości kopalnych, a mianowicie: mamuta, nosorożca włochatego, konia kopalnego, konia *gat?* hyeny plamistej, niedźwiedzia jaskiniowego, niedźwiedzia szarego, żubra kopalnego, wołu kopalnego, łosia i jelenia kopalnych, renifera, suhaka, lisa ko-

palnego, wiewiórki i zająca kopalnego. Nadto dwa ptasie gatunki, ściśle nieokreślone *(Gallus domesticus* i *Lagopus?)*.

Szczątki ludzkie należały do 5—8 indywiduów, lecz były w tak małej ilości i tak pokruszone, że do żadnych wywodów antropologicznych doprowadzić nie mogły.

Główną cechą zewnętrznego zachowania przedmiotów tego wykopaliska jest to, iż na żadnym z nich nie ma śladu patyny jaskiniowej, a wszystkie przedmioty kościane mają na swej powierzchni gęsto i obficie rozwinięte *dendryty*, osiadłe częstokroć i na miejscach obrobionych.

Wykopaliska z warstwy wyższej rozpadają się na trzy oddziały: *a) wyrobów krzemiennych*, zawierających noże drobne, lekkie, w odłupaniu cienkie i wcale nieotłukiwane, klocki w znacznej ilości, odłupki drobne i tłuczki kuliste; *b) wyrobów kamiennych*, zawierających młotki, siekierki, kliny i t. p. narzędzia szlifowane, oraz kamienie żarnowe, płyty gładzone i osełki; *c)* w końcu *wyrobów kościanych*, zawierających szydła, łopatki, wisiorki. Z tych jedne wyrobione z kości kopalnej, inne bydlęcej, bez żadnej ornamentyki. Z rogu jeleniego znaczna ilość młotów i trzonków do nożyków krzemiennych.

Zdobył też badacz dużo skorup glinianych, w ręku lepionych, rozmaitej wielkości, kształtu i obrobienia. Gdy z niektórych okazów udało się odbudować całość, lub też przedstawić w rysunku, pokazało się, że ceramiczne te wyroby miały formy garnków, dzbanów i mis.

Kości zwierzęce łupane, znalezione w ogromnej ilości, należą do zwierząt fauny tegoczesnej. Z dwudziestu dwu gatunków tej fauny, pięć żyje i dziś w stanie przyswojonym, a mianowicie: wół, koza, owca, świnia i kot; reszta zaś w stanie dzikim. Z tych ostatnich w okolicy Ojcowa pozostały: lis, wilk, dzik, sarna i zając; z tych zaś, które wyniosły się już z tych okolic: łoś, jeleń, daniel, koza skalna, żbik i bóbr. Z ptaków są: orzeł, kogut i kaczka.

Okruchy napłyniętych kości kopalnych, mocno uszkodzone i nieprzydatne do oznaczenia z nich gatunków. Z nich jednak profesor Dr. Woldrich oznaczył szczątki psa i żbika, należących do fauny przejściowej z okresu dyluwialnego do aluwium.

Cechą nader wybitną przedmiotów, składających wykopalisko tej warstwy, jest bardzo obfita mocna szara patyna jaskiniowa, pokrywająca ich powierzchnię.

Szczątki ludzkie od czterech indywiduów, są tak drobne i niecharakterystyczne, że tak samo jak i z poprzedniej warstwy, do żadnych wywodów antropologicznych posłużyć nie mogły.

Zestawienie przytoczonych tu cech archeologicznych zabytków obu tych wykopalisk i porównanie ich ze sobą, doprowadziły naszego badacza do nader ważnych spostrzeżeń. Oba wykopaliska, należąc do okresu kamiennego, to tylko mają ze sobą wspólnego, że zawierają wyroby krzemienne, kamienne i kościane; w szczegółach zaś różnią się między sobą najzupełniej cechami wielce charakterystycznemi. Najprzód spostrzega się zupełny brak w jednem wykopalisku tych wyrobów, które w drugiem, przeciwnie, stanowią najwięcej charakterystyczną i wybitną jego właściwość, jak naprzykład wyrobów z rogu jeleniego w wykopalisku warstwy *C*, a z rogu renifera w wykopalisku z warstwy *b*. Broni z kości kopalnej, cechującej warstwę *C*, niema zupełnie w warstwie *b*, a ceramiki, narzędzi szlifowanych (gładzonych) i łupanych kości zwierzęcych, tak obfitych w tej ostatniej warstwie, nie ma żadnego śladu w warstwie *C*. Niemniej uderzającą jest odmienność kościanego materyału, użytego do wyrobów, jak kości wyłącznie kopalnych w warstwie *C*, a bydlęcej w warstwie *b*. W obrobieniu technicznem, ornamentyka charakteru archaicznego, tak pospolita na wyrobach kościanych warstwy *C*, nie pokazuje się już wcale na wyrobach warstwy *b*. Nakoniec pod względem zewnętrznego zachowania przedmiotów, różni je patyna, znajdująca się na wyrobach z warstwy *b*, a dendryty pokrywające powierzchnię wyrobów kościanych warstwy *C*.

Ta, tak rażąca odmienność w wyrobach przedmiotów obu wykopalisk pod względem archeologicznym, mając na względzie warunki geologiczne, w których one zostały znalezione, pozwala autorowi twierdzić, że pod względem wieku, dwa te wykopaliska należą do dwu zupełnie odrębnych epok okresu neolitycznego, oraz, że wykopalisko warstwy *C* jest nierównie starszem od wykopaliska z warstwy *b*; że przedział czasu pomiędzy niemi istniejący, stanowi lukę, którą wypełnia kunszt wyrobów dotychczas jeszcze u nas nie od-

kryty, albowiem przejście bezpośrednie kultury jednego stopnia do drugiego tak nagłe, jakiem jest przejście kunsztu wykopaliska warstwy *C* do kunsztu wyrobów z warstwy *b*, byłoby w dziejach jej rozwoju zjawiskiem bezprzykładnem.

Wykazana odmienność charakteru archeologicznego obu tych wykopalisk, oraz warunki geologiczne, w których się one znajdują, dały autorowi podstawę do oznaczenia ich jako osobnych samoistnych ogniw przedhistorycznej kultury wieku kamiennego. Wyroby zatem wykopaliska starożytniejszego (warstwa *C*) oznacza autor nazwą *ogniwa maszyckiego*. Wykopalisko zaś warstwy następnej *(b)* nazywa ogniwem *północno-krakowskiem*, na tej podstawie, iż charakter archeologiczny jego wyrobów stale się utrzymuje w wykopaliskach całego szeregu jaskiń, jakie się znajdują na linii północnej obszaru krakowskiego.

Określenie i ustalenie tych dwóch samoistnych ogniw okresu neolitycznego rzuca pierwsze światło i na wykopaliska, pod względem wieku swego jeszcze nieoznaczone, a zdobyte przedtem przez p. Ossowskiego z jaskiń mnikowskich. Znalezienie bowiem w niektórych z tych jaskiń wyrobów charakteru archeologicznego analogicznych z wyrobami ogniwa północno-krakowskiego, leżących na niższym poziomie wykopaliskowym warstwy *b*, wykazuje, iż cały ogół owych tak rozmaitych wyrobów kościanych mnikowskich, zajmuje w skali chronologicznej stanowisko późniejsze, a zatem oznaczony nazwą *ogniwa mnikowskiego* należy do najnowszych czasów neolitycznych, zbliżonych do okresu bronzowego, lub też stanowiących epokę przejściową.

Oznaczając samoistność ogniw neolitycznych naszego kraju, autor nie poprzestaje na samej tylko absolutnej charakterystyce archeologicznej, lecz porównywa je z wykopaliskami tego rodzaju innych krajów Europy. Z tego porównania pokazuje się, że chociaż wszystkie ogniwa wykopalisk naszych jaskiń mają niejakie ogólne podobieństwo do ogniw ustalonych w klasyfikacyi chronologicznej za granicą, szczególnie we Francyi, to jednakże w zasadniczym swym charakterze acheologicznym tak dalece od nich się różnią, iż nietylko nie można ich oceniać podług skali chronologicznej owych krajów, ale przeciwnie, żadnej ścisłej analogii pomiędzy niemi upatrywać niepodobna. Tego rodzaju spostrzeżenia p. Ossowskiego i wy-

snute stąd wnioski, oparte na faktach, niezaprzeczenie stanowią najwybitniejszą stronę jego pracy. Niejeden z naszych sumiennych archeologów pojmował dobrze, o ile niedogodnem było porównywać i oznaczać chronologię naszych wykopalisk podług skali krajów zagranicznych. Było to najniewłaściwszem naginaniem faktów, gdy te z natury rzeczy do podobnych zapatrywań nagiąć się nie dawały. Tajemnicę tę odgadnąć łatwo. Gdy dziś bowiem, przy tak ścisłem połączeniu ze sobą ludów Europy, życie społeczne rozmaitych jej narodowości kształci się jeszcze o tyle samoistnie, iż zachowuje najściślej swą charakterystyczną odrębność lokalną, to cóż dopiero w czasach przedhistorycznych, kiedy ludy, jakie wtedy zamieszkiwały Europę, były daleko więcej rozdzielone od siebie nietylko przestrzenią, ale i fizyograficznemi warunkami bytu, tamującymi wszelką między nimi łączność, życie to kształciło się i płynęło tak rozmaitemi drogami cywilizacyjnemi, iż wszelkie zastosowanie jakiejś ogólnej skali, któraby pozwalała oceniać rozwój ich kultury względnie do pewnej epoki, jest zupełnie niemożliwem. Każdy pewny obszar fizyograficzny musiał mieć swoje odrębne warunki rozwoju kultury, a więc posiadał i swoją odrębną chronologię przedhistoryczną, podług której tylko oceniać należy zabytki, jakie po nim pozostały.

Tego rodzaju klasyfikacya lokalna, przez p. Ossowskiego podjęta względnie naszego kraju, zasługuje na zupełne uznanie. Zapewne, czas, liczniejsze badania, nowe wykrycia archeologiczne, mogą uzupełnić jego zapatrywania, mogą nawet pod pewnym względem je zmodyfikować, w każdym jednak razie sama już dążność do sumiennej oceny chronologicznej wykopalisk, a tem bardziej jego usilne prace, jako badacza jaskiniowego, prace, wymagające szczególnego uzdolnienia, wielkiej wiedzy, nadzwyczajnego poświęcenia i wytrwania, dają mu prawo do wdzięczności rodaków.

A. H. Kirkor.

Postęp katolicyzmu w Anglii.

Wśród powszechnego ucisku Kościoła za dni naszych, zasmętnione chrześcijan oko skwapliwie szuka objawów pocieszających i dodających otuchy; do takich należy ruch ku pojednaniu się

z Rzymem, raz po raz uwidoczniający się na dalekim Wschodzie, od zachodniej zaś strony rozwój katolicyzmu w Anglii, oraz pojedyńcze nawrócenia, pozwalające rokować stopniowy powrót szlachetnego narodu do pełności prawdy i wiary. Czy owa chwila błogosławiona się przybliża? czy zorza jej błyska jasnem i jawnem niezawodnej nadziei promieniem? Kwestyę tę znajdziemy poruszoną w wielu czasopismach angielskich i francuzkich, z ostatnich czasów. „Przegląd dubliński", *Dublin Review, Correspondant* paryski i inne publikacye peryodyczne nie przestają badać tak żywotnej sprawy, i tętna postępu lub zastoju na drodze wiodącej Anglię do Damaszku sumiennie zachwytują. Świeżo zaś ukazała się książeczka, wydana przez p. W. Gorman-Gordon, która na ośmdziesięciu kartkach zamieszcza nazwiska trzech tysięcy znaczniejszych konwertytów z bieżącego stulecia. Z tych tedy artykułów, z badań i publikacyj należy zdać sprawę naszym czytelnikom, i w kilku słowach streścić widoki katolicyzmu oderwanego od Kościoła przed kilku wiekami w królestwie angielskiem.

Temu lat trzydzieści kilka, zwrot umysłów ku prawdzie tak promieniał z Oksfordzkiej wszechnicy, iż mniemano, że przed końcem XIX. stulecia cała Anglia katolicką zostanie. Zdawało się, iż w ślad Manningów, Newmanów, Faberów i tylu innych, naród cały bez wyjątku wróci na łono Kościoła. Atoli minęły czasy gromadnych nawróceń. Dziś nie powtórzyłyby się opatrznościowe posłannictwa Klodoweusza, lub naszego Mieczysława. Przykład królów przewodzących narodom, lub władzców myśli nie wystarcza, aby za sobą pociągnąć tłumy. Każdy chce sam prawdy szukać, sam jej dociec, i dopiero za własnem iść przekonaniem; nigdzie zaś więcej jak w Anglii kierunek ten indywidualny się nie objawia. Choćby i królowa, i całe ministeryum wróciło na łono katolickiego Kościoła, mimo idącego za tem przewrotu politycznego w ustroju rządowym Anglii, jeszczeby to żadnego nie nawróciło Anglika. Zaczem i przykład owej świetnej plejady, która temu lat kilkadziesiąt z Oksfordu ku Rzymowi pospieszyła, nie porwał za sobą spodziewanej liczby naśladowców. Co więcej: po zbyt sangwinistycznych nadziejach niektórych pisarzy katolickich, nastąpiło pewne rozczarowanie, w obec stosunkowo nie dość spiesznego rozwoju katolicyzmu w Anglii. Jeśli bowiem Kościół nabiera tam coraz większego znaczenia i powagi, jeśli cieszy się

świetnemi pojedyńczemi zdobyczami, liczebnie nie tyle się rozszerza, ile się było można spodziewać, a to dla dwóch mianowicie przyczyn: raz, że obecnie zaostrzone polityczne stosunki wycofały znaczną ilość Irlandczyków z Anglii, gdzie dotąd stanowili oni jądro gminy katolickiej; a powtóre, że rozsiane wśród innowierców rodziny katolickie częstokroć popadają w indyferentyzm i zatracają swe cechy religijne. Rodzice jeszcze się trzymają, dzieci już obojętnieją, a przy braku wykształcenia i znajomości swej wiary, identyfikują się niebawem z pierwszym lepszym systematem religijnym, który się pokusi o ich zagarnięcie. Szkoły symultanne niezmierne pod tym względem wyrządzają krzywdy: niema przykładu odstępstwa wśród klas majętniejszych i bardziej wykształconych. Natomiast pośród uboższych niemal bezwiedne następują apostazye, przez co dorocznie odpada pewna liczba katolików; zaczem przyrost ich ogólny nie bywa tak zadawalniającym, jak się można było spodziewać. A jednak trudno nie podziwiać wszystkiego, co się w bieżącym wieku stało i zrobiło w protestanckiej na wskróś dotąd Anglii! Tu, nieco statystyki, najwymowniej przemówi. Do r. 1850 nie było tam wcale hierarchii katolickiej. Wikaryusze apostolscy zarządzali rozproszoną gminą katolicką, jakoby w krajach pogańskich. Liczbę ich dopiero Grzegorz XVI. podniósł do ośmiu, poprzednio było ich zaledwie kilku. Dziś zaś Anglia posiada już piętnaście uorganizowanych dyecezyj, Szkocya ma ich pięć od r. 1878. Oba zaś kraje chlubią się 22 biskupami i dwoma kardynałami. Duchowieństwo katolickie w r. 1851 nie liczyło więcej nad 754 kapłanów, dziś ich ma półtrzecia tysiąca. Kościołów i kaplic przed 35 laty było 522, dziś ich widzimy 1564. Klasztory się rozmnożyły w nieskończoność, szkoły rosną i słyną po całej Europie z nauki i znakomitego kierunku. Wygnani z Niemiec i Francyi zakonnicy przenoszą nasienie boże na ziemię rodzajną. Protestanccy nawet rodzice, widząc i uznając zasługi zakładów naukowych katolickich, chętnie tamże swe dziatki oddają. Słowem, postęp znaczny, niespodziewany i błogi, na wszystkich drogach widnieje. Zapewne, daleko jeszcze do całkowego powrotu, do pojednania się całego państwa i narodu z Rzymem, ale to, co się już pod oczyma naszemi dzieje, może największą przejmować pociechą i najpiękniejsze budzić nadzieje.

Przed kilkoma laty wydany spis konwertytów p. t.: *Rome's*

recruits, czyli podboje Rzymu, a dziś książeczka p. Gorman-Gordon, zarówno wykazują, iż niema roku, któryby nie przyniósł dla rzymskiej jedności świetnych zdobyczy. W kraju gdzie imię i stanowisko tyle jeszcze znaczy, i tak wielki wpływ wywiera, nie tyle liczyć jak ważyć i mierzyć owe nawrócenia należy. Ponieważ autor tylko głośniejszych konwertytów imiona spisał, czytelnik wertując je, dochodzi do przekonania, iż niema tak znakomitej w Anglii rodziny, niema wyższej korporacyi rządowej, któraby nie dostarczyła Rzymowi nowych podbojów. Wszystkie wyższe klasy społeczne w tym spisie są przedstawione: szlachta, mieszczaństwo, wojsko, marynarka, medycyna, prawodawstwo, piśmiennictwo, duchowieństwo, uniwersytety. Katolicy doliczają się dziś w Izbie wyższej czterdziestu parów swego wyznania, przeważnie nawróconych. Z pośród najgłośniejszych zdobyczy Kościoła, wymieńmy margrabiego Bute, katolika od r. 1869 i byłego wicekróla Indyi, margrabiego Ripon, nawróconego w 1874 r. Armia spisowi p. Gordon-Gorman, dostarcza pocztu 150 nazwisk, wśród których widzimy dwunastu jenerałów i około dwudziestu pułkowników. Nie dowiadujemy się zaś, ilu prostych żołnierzy, lub niższego stopnia oficerów, prawda w życiu obozowem doścignęła, bo jak to powtarzamy, niniejsza lista obejmuje zaledwie naczelne i przewodnie imiona. Spotykamy się tu z najpiękniejszemi i najsławniejszemi nazwiskami Anglii. Nelson dał kościołowi katolickiemu dwóch czy trzech wnuków. Znana i odważna podróżnica, wnuczka Lorda Byrona, poczestne w tym spisie zajmuje miejsce. Bliski krewny Gladstona obecnie kształci się w seminaryum katolickiem, folgując kapłańskiemu powołaniu. Hrabia Granville kilka sióstr ustąpił katolickiemu Kościołowi, w ich liczbie znaną powieściopisarkę, Lady Fullerton. Biskupi anglikańscy własnej rodziny nie umieją zasłonić przed podbojami prawdy; wciska się ona do ich domów, zdobywa sobie córki, siostry i braci dygnitarzy ustanowionego Kościoła. Można więc powtórzyć stanowczo, iż niema dziś w Anglii znaczniejszej rodziny, któraby tą lub ową odrośla nie należała już częściowo do katolickiego Kościoła. Z pośród duchowieństwa i zastępu profesorów uniwersyteckich, bodaj najwięcej imion doliczyć się można. Zwrót tylu mężów wybitnych talentem, nauką, stanowiskiem, wpływem, uważanym być musi za objaw pełen pocieszających zapowiedzi. Ale zarazem ta sucha no-

menklatura robi wrażenie aktów męczeńskich, gdy się wspomni, do ilu to ofiar i poświęceń miłość Boga i Prawdy była tu pobudką! Ile przyrodzonych węzłów się stargało w jednej chwili! Ilu bohaterów ochotnie zerwało z świetną przeszłością i stanowiskiem, aby się dobrowolnie skazać na niedostatek i osierocenie! Gołosłowny ten poczet nazwisk stanowi zaiste złotą księgę katolików angielskich.

Choć najczęściej pojedyńcze nawrócenia zapisać przychodzi, zdarzają się wyjątkowo liczniejsze powroty na łono prawowitego Kościoła. I tak niedawno przykład dwóch protestanckich duchownych w Brighton pociągnął za sobą przeszło trzystu ich parafian. W r. 1880 podobnaż liczba protestantów przeszła razem na katolicyzm w wyspie Jamaice. Niema tedy wątpliwości, że grunt coraz jest sposobniejszy dla prawdziwej wiary i liczba nawróceń coraz się wzmaga. Znany pisarz protestancki Froude świeżo zwracał uwagę swych ziomków na wzrost widoczny i olbrzymi „papizmu“ w krajach, gdzie go dotąd nie znać było wcale. Atoli nawoływania tendencyjne już nic w tym względzie nie potrafią zdziałać, tak usnęły dawne religijne nienawiści, fanatyzmem sekciarskim podżegane. Niebywałe umiarkowanie zapanowało w głosach prasy, teatr nie wyśmiewa jak dawniej papizmu, powieści nie urągają papistom, „bałwochwalstwo rzymskie“ już nie bywa wytykane katolikom. Wszystkie te głosy zamilkły.

Zmianę tę w części przypisać należy zbliżeniu, jakie nastąpiło między Anglikami a katolikami, za pomocą ustawionego przez rytualizmu pomostu. Kwestya ta oczywiście na pierwszy plan występuje, ilekroć jest mowa o bliższem czy dalszem nawróceniu Anglii. Tyle pewnego, że duch religijny niezmiernie się tam w ostatnich latach ożywił, a wraz zbudziła się w sercach potrzeba wyraźniejszych praktyk duchownych. Jednocześnie wielkie się w Anglii gotują przełomy: coś z tego, co się działo we Francyi w przededniu rewolucyi, dziś za kanałem się rozwija. Jak encyklopedyści w XVIII. wieku, tak dziś pozytywiści angielscy podkopują istniejący porządek rzeczy, zarówno w dziedzinie religijnej jak i politycznej. Tyle pewnego, że ustanowiony Kościół Anglikański już zadrżał w swych posadach. Przed dziesięcioma laty mąż tego znaczenia, co p. Gladstone stawiał pytanie, czy Kościół Anglikański wart jest zachowania? *Is the church of England worth preserving?* Stronnictwo liberalne zamierza przy

najbliższych wyborach zamieścić w swym programacie hasła wręcz przeciwne ustanowionemu państwowemu kościołowi. Wśród burzy grożącej zatopieniem dotychczasowych pojęć i przekonań, gorętsze dusze chwyciły się rytualizmu, aby zaspokoić swe religijne potrzeby. Jestże to z korzyścią dla sprawy wzrostu i postępu katolickiego Kościoła? Zdania w tej mierze są nader podzielone. Większość widzi w tym ruchu zagadkowym krzywdę dla ogólnej sprawy katolicyzmu. Rytualiści, podobnie jak ich założyciel, dr. Pusey, niedawno przez Piusa IX przyrównanymi zostali do dzwonów głośno brzmiących, które wołają ludzi do kościoła, ale same doń nie wchodzą. Większa liczba Rytualistów, przejąwszy niemal wszystkie praktyki katolickie, nie czują potrzeby ostatecznego zjednoczenia się z Rzymem; duchownych anglikańskich głównie wstrzymuje nieuznanie ważności odebranych przez nich święceń, świeccy zaś, w spowiedzi, w czytaniu ksiąg ascetycznych, w odmawianiu Różańca, w wzywaniu pomocy Śtych Pańskich, w klasztornem nawet — na własną modlę urządzonem życiu — znajdują rzekomo wystarczające dźwignie na drodze pobożnej doskonałości. Inni upatrują w kościele powszechnym rodzaj federacyi, niewymagającej bynajmniej uznania zwierzchności Rzymskiej. Ztąd mnóstwo dusz pozornie zmierzających ku osiągnięciu całej prawdy, w połowie drogi się zatrzymują i nie zwiększają szeregów katolickich, jak się można było spodziewać. Pesymiści ze smutkiem patrzą na połowiczność ruchu, który z początku zdawał się całe fale ludzkie pędzić ku skale Piotrowej. Spokojniejsze jednak umysły nie wątpią o ostatecznie pomyślnym skutku tajemniczego prądu, który powiał nad Anglią. Drogi ducha, drogi Boże nie są ludzkiemi drogami, i nieodgadnione, niepojęte miewają kierunki. Rytualizm dziś służy na wyrównanie przepaści, która niegdyś dzieliła protestantów od katolików, niszczy uprzedzenia wieków, zaciera przesądy, przybliża źródła prawdy ku spiekłym i spragnionym wargom. Racyonalizm podkopał wszystkie sekty gęsto po Anglii rozsiane; nad mętną falą niewiary i zwątpienia, materyalizmu, i pozytywizmu, ateizmu i agnostycyzmu, pływa jak ongi arka Noego Kościół katolicki, w którym skołatane umysły jedynie znajdą środki ocalenia i ratunku.

Od początku dziejów niema przykładu podobnego duchowego procesu. Zwykle apostolstwo i propaganda katolicka rozszerzała podboje Kościoła. Tu na łonie samego Anglikańskiego kościoła powstał

ruch, który od pół wieku niezależnie od katolickich wpływów odbudowuje cegiełką po cegiełce zburzony niegdyś w kraju katolicyzm. Przypomina to poniekąd dzieło wielkich reformatorów zakonnych, ale w społecznych rocznikach nie mamy nic podobnego. Upadek wszelkich pojęć religijnych zbudził kilka dusz wyborowych do czynu, zapalił ich płomieniem żarliwości, i oto wśród Anglikanów samych znaleźli się przewodnicy ruchu wracającego do dawnych tradycyj. Widząc martwotę własnego kościoła, jęli badać sąsiednie ustroje gmin chrześcijańskich. Żywotność Kościoła katolickiego we Francyi nie mało się przyczyniła do zaciekawienia poważniejszych wyspiarzy. Przekonali się niebawem, jak ścisłym węzłem połączone bywają dzieła miłosierdzia i gorliwości chrześciańskiej z wewnętrznem, pobożnem życiem. Obecny upadek Francyi, szaleństwa rządu trzeciej Rzpltej odbiły się i w Anglii zmniejszeniem uroku, jaki na nią wywierał pomyślny rozwój Kościoła i instytucyj od niego zależnych w kraju zapierającym się dziś swych historycznych tradycyj. Mimo jednak mniej korzystnych w tej chwili warunków postępu i rozwoju, katolicyzm wciąż rośnie i szerzy się w Anglii, zdobywa sobie rozległe pola działania, i choć nie tak szybko, jak się tego ludzka niecierpliwość spodziewała, ale nieustannie i wytrwale odbudowuje gmach jedności z Rzymem, przez Henryka VIII zwalony. Przyszłe stulecie ujrzy dokonanie tego dzieła Bożego, a idące przełomy będą może środkiem przeprowadzenia politycznych i konstytucyjnych przekształceń, bez których ostateczne nawrócenie Anglii obejść się nie może. *N.*

Korespondencya Redakcyi.

Do szan. Redakcyi pewnej gazety galicyjskiej. Miło nam, że nasza korespondencya z Lublany o Słoweńcach (w naszym poszycie z września) tak pochlebnie została od szan. Red. ocenioną, że oprócz 4 pierwszych wierszów, dosłownie w jej szpaltach znalazła miejsce. Ale prosilibyśmy na inny raz o grzeczność przytoczenia źródła.

Druk ukończony dnia 26 września 1885.

WALKA O BÓSTWO CHRYSTUSOWE
W V. WIEKU.

Walka o dogmat, dzisiejsza i dawna. — Początki Nestoryusza. — Pierwsze jego kazania w Konstantynopolu. — Opór ludu. — Katolicka nauka o osobistej jedności Chrystusa. — Wystąpienie biskupa Cyryla. — Nestoryusza popierają mnisi egipscy. — List św. Cyryla Aleksandryjskiego do mnichów egipskich. — Korespondencya z Nestoryuszem. — Memoryał do cesarza. — Pisma do Pulcheryi i Eudoksyi. — Nestoryusz i Cyryl zwracają się do Papieża. — Synod rzymski. — Patryarcha antyocheński i jego stronnictwo. — Synod aleksandryjski. — Dwanaście uchwał przeciw Nestoryuszowi. — Polemika przeciw tym uchwałom. — Apologie Cyryla. — Rozdwojenie całego Wschodu. — Cesarz zwołuje sobór do Efezu.

Wielu ludzi, patrząc jak fale dzisiejszego krytycyzmu i niedowiarstwa unoszą jedne po drugich okruchy starych wierzeń chrześcijaństwa i same podwaliny tej dwudziestowiekowej budowli podmywają — doznaje uczucia jakiejś nieogarnionej trwogi. Kiedy dzisiaj np. obradujący w Berlinie synod protestantów uchwala rezolucyę p. Tauchera, „że warunkiem dla chcących brać udział w pracach synodalnych jest uznanie zasadniczego artykułu o Bóstwie Chrystusa“ [1] — słychać w tem orzeczeniu jakby jęk konającej wiary protestantyzmu; a kiedy i przeciwko temu powstaje burza protestów i nagan, nawet w organach „ewangelickiego stowarzyszenia“ (Protestantenverein), odsłania się cała bezdeń negacyi, do jakiej wiek nasz doszedł: chrześcijanie przeczą Bóstwu Chrystusa! Dokąd nas ta fala zapędzi?

W istocie jednak nie trwoga powinna nas katolików na ten widok przejmować, ale, prócz litości dla zbłąkanych, błogie uczucie

[1] Na posiedzeniu d. 26 sierpnia b. r.

naszego bezpieczeństwa. Nawa niosąca całość naszej wiary, *depositum fidei*[1], już nieraz przebyła te wszystkie nawałności. I dawne wieki miały swoich protestantów, przeczących wszystkiemu, a godzących się jedynie w protestowaniu przeciw Kościołowi; miały także swoich Strausów i Renanów, godzących na Bóstwo Założyciela Kościoła. Rodzaj ich szermierki był wprawdzie inny niż dzisiaj, stosowny do ducha onych czasów i nastroju minionych społeczeństw; nie mieli oni do pomocy tej skłonności umysłów do materyalizmu, jaka dzisiejszym sekciarzom służy, ale mieli w ręku Pismo św., któremu powszechnie wówczas wierzono, a które przebiegły umysł zawsze przekręcić potrafi; mieli dwory cesarskie przystępne intrydze, a niezapominające jeszcze pogańskiego tytułu: *Imperator Pontifex Summus*. Przedmiot jednak, około którego walczono, t. j. dogmat katolicki, zawsze był ten sam co dzisiaj i zawsze ten sam cel walki: zburzenie królestwa Chrystusowego na świecie.

Od takiej walki o Bóstwo Chrystusa, na wielkie rozmiary, pod wodzą św. Cyryla Aleksandryjskiego z jednej strony, a z drugiej sławnego Nestoryusza, wrzał świat chrześcijański w początkach V. wieku. Pamiętać trzeba, że prawda objawiona nie posiadała ku swojej obronie w pierwszych wiekach tych wyrazistych, niemal geometrycznych określeń, z jakiemi ją w dzisiejszych katechizmach znajdujemy. Bóg dał odrazu Kościołowi w apostolskich czasach cały depozyt wiary; ale wyraźna świadomość i rozumienie tego co się w tym depozycie zawiera, miało się w Kościele wiekami rozwijać. Ten brak autentycznego określenia dogmatu, ułatwiał starym kacerzom zaczepki, utrudniał obronę prawdy; ale też odwrotnie ta szermierka z kacerstwem wywoływała coraz większe określenie i wyjaśnienie dogmatu i po każdem zwycięztwie nad herezyą część prawdy wyświeconą sankcyonowało raz na zawsze orzeczenie powszechnego Kościoła. Tak przeciw Doketom wyjaśnił i zatwierdził Kościół prawdziwość człowieczeństwa Chrystusowego; przeciw Ebionitom i Aryanom wystąpił w obronie Jego Boskości. Z początkiem V. wieku było już orzeczonym dogmatem wiary katolickiej, że Chrystus jest zarazem prawdziwym człowiekiem; ale naturalne pytanie, które się samo nasuwało: w jaki sposób natura ludzka złączona jest z naturą Bożą

[1] I. Tim. 6.

w Chrystusie — mniej było dotąd roztrząsane. Dawni ojcowie i doktorowie Kościoła zbywali to pytanie ogólnikowemi odpowiedziami. Tertulian mówi[1]: że „Słowo oblekło się w ciało", a formuła ta podoba mu się bardziej, niż uświęcone wyrażenie św. Jana: „Słowo ciałem się stało". Orygenes, Ireneusz, Laktancyusz, Cypryan, mówią nieraz o „zmieszaniu się" Bóstwa z człowieczeństwem. Uczony biskup laodycejski Apolinaryusz, około r. 320, trzymając się nauki Platona, że człowiek składa się z duszy, ciała i ducha, sądził, że Słowo zastępowało w Chrystusie ducha ludzkiego. Przeciw nauce tej, która znosiła ludzką naturę w Chrystusie, powstali: św. Atanazy, Epifaniusz, obaj Grzegorze: Nanzyanzeński i Niseński. Jeśli Chrystus ma być Odkupicielem rodu ludzkiego, musi być prawdziwym człowiekiem, a więc musi mieć prawdziwą, rozumną ludzką duszę. Ale w jaki sposób Słowo złączyło się z naturą ludzką? Czy przez złączenie natury bożej z ludzką, powstała nowa jakaś odmienna natura, która nie jest ani bożą, ani ludzką? Czy przeciwnie Bóg zamieszkał tylko w człowieku, tak, że to złączenie Boga z człowiekiem jest czysto przypadkowem? Czy wreszcie może złączenie to nie jest ani pierwszego, ani wtórego rodzaju, ale zupełnie inne, niż wszystkie złączenia, które na świecie tym widzimy? Na pytania te i ci nawet ojcowie, którzy walczyli z herezyą Apolinarego, dają mgliste jeszcze i niedokładne odpowiedzi.

Z początkiem V. wieku odnowili walkę z Apolinarym nauczyciele szkoły Antyocheńskiej: Dyodor z Tarsus i Teodor, późniejszy biskup Mopsuestu w Cylicyi. Wedle Teodora dwie są w Chrystusie osoby: osoba boska i osoba ludzka, złączone ze sobą przypadkowo, t. j. w ten sposób, że druga osoba boża „zamieszkuje" w człowieku Jezusie. Marya nie porodziła Boga, ale jego „świątynię", a przeto nie może być nazwaną „Bożą Rodzicielką", chyba w znaczeniu przenośnem. Niewłaściwem też jest przypisywać przymioty i właściwości boże człowiekowi Jezusowi i na odwrót. Tak np. zdanie: „Druga Osoba Boża poniosła śmierć za rodzaj ludzki", jest niewłaściwem i nieprawdziwem, bo Chrystus nie jest jedną osobą o dwóch naturach boskiej i ludzkiej, ale w człowieku Jezusie, który śmierć za ludzi poniósł, mieszka Bóg Słowo, z na-

[1] Ad Praxeam c. 27.

tury swej niecierpiętliwy. Śmierć i wszystkie czynności Jezusa dlatego były tak wielkiej wagi, bo w Jezusie przemieszkiwało Słowo; ale co innego jest, że w Jezusie Bóg przemieszkiwał, co innego, że człowiek Jezus jest Bogiem.

Takim w głównych swych zarysach był system Teodora z Mopsuestu. Herezya jego przeminęłaby może bez śladu, jak tyle innych, gdyby Teodor nie miał słynniejszego od siebie ucznia, który naukę jego rozwinął i cały Wschód nią zawichrzył. Uczniem tym był Nestoryusz; głównym przeciwnikiem Nestoryusza był Cyryl, patryarcha aleksandryjski. Przez lat kilkanaście cały kościół wschodni dzielił się na Cyryliaułw i Nestoryanów; na prowincyonalnych synodach, po miastach i miasteczkach, na dworze cesarza Teodozego II. zadawano sobie pytanie: W jaki sposób Słowo złączyło się z naturą ludzką? Nie było to w istocie pytanie małej wagi, walka o słowa. Jeżeli druga osoba boża nie stała się istotnie człowiekiem, jeżeli „Bóg z Boga nie przyjął na się natury naszej i swoją jej nie uczynił, nie moglibyśmy zwyciężyć twórcy śmierci i grzechu“ [1], dzieło odkupienia nie byłoby prawdziwem odkupieniem, a zatem runęłyby podwaliny całej katolickiej wiary. I dlatego poznając ważność tego pytania, tak silnie obstawał Cyryl, biskupi i lud katolicki przy prawdzie podanej w Piśmie i kościelnej nauce.

Ale ponad tymi sporami i zabiegami ludzkimi unosił się duch boży i jak zawsze w historyi świata i w historyi Kościoła „przedzielił światłość od ciemności“. Herezya Nestoryusza, jak herezye jego poprzedników, przyczyniła się tylko do prawdziwego „rozwoju“ wiary, do większego zaokrąglenia i rozjaśnienia dogmatu na wielkim soborze Efezkim.

I.

Kto to był Nestoryusz? Z rodzinnego miasta Germanicyi w Syryi, przybył on za młodu do Antyochii, gdzie odznaczył się niebawem wymową, a bardziej może niż właściwą wymową, miłym i dźwięcznym głosem. Kazania i sława nader umartwionego życia zjednały mu wziętość, a gdy pod koniec r. 427 umarł biskup kon-

[1] Leo papa in epistola dogmatica ad Flavianum.

stantynopolitański Sisinnius, obrano na tę godność Nestoryusza. Lud upatrywał w nim drugiego Jana Chryzostoma. W pierwszem kazaniu, powiedzianem w Konstantynopolu, wystąpił gwałtownie przeciw heretykom: „Uwolń ziemię od heretyków, cesarzu! — wołał do obecnego Teodozyusza — a dam ci za to niebo; pomóż mi zwyciężyć kacerzy, a dopomogę ci w wojnie przeciw Persom“ [1]. W niewiele dni później postanowił odebrać Aryanom ich zbór, zaczepił Nowacyanów, Macedonianów i Quartodecimanów i wyjednał u cesarza ostre prawa przeciw kacerzom. Dla jednych Pelagianów był łaskawszy i wstawiał się nawet za nimi w osobnym liście do papieża Celestyna. Ale już w tej epoce pozornej gorliwości, rzucał pierwsze nasiona przyszłej herezyi. W tem samem pierwszem swem kazaniu, w którem się tak srożył przeciw heretykom, zaprzeczył N. Pannie tytułu „Bożej Rodzicielki“, i rozróżnił dwie osoby — a nie tylko dwie natury — w Chrystusie: Boga i człowieka: „Pytacie mię, czy należy nazywać Maryę Bożą Rodzicielką, czy też rodzicielką człowieka? Lecz czyż Bóg ma matkę? A więc może nie zbłądzili poganie przydając matki bogom?... Nie! mój najmilszy: Marya nie zrodziła Boga... stworzenie nie zrodziło Stwórcy, ale zrodziło człowieka, który jest narzędziem Bóstwa; Duch św. nie stworzył Słowa, ale stworzył Słowu z Dziewicy świątynię, w której miało zamieszkać... Czczę tę suknię, którą się Bóg posługuje, dlatego że się Bóg nią posługuje, że się w niej ukrył, i że od niej jest nieodłącznym... Uważ dobrze, co zamierzam powiedzieć. Ten, który został ukształcony w ciele Maryi, nie był sam Bogiem, ale Bóg złączył się z nim, a z powodu tego złączenia, nazywamy Bogiem i połączonego z Bogiem człowieka“ [2].

Kazanie to było niejako wstępem i programem przyszłej herezyi. W następnych kazaniach rozwijał ją Nestoryusz ostrożnie, ale bez przerwy. Lud konstantynopolitański oburzył się na niesłyszane dotąd „nowinki“, na rozdział dwóch osób w Chrystusie i na zaprzeczenie Maryi nazwy „Matki Bożej“. Na wstępie drugiego kazania pochwalił Nestoryusz tę gorliwość ludu: „Widzę, że nie zbywa ludowi na czci, i roztropnem nabożeństwie, ale, że nie zna tajemnicy rodze-

[1] Socrates. Hist. eccl. VII., 29.

[2] Marius Mercator. ed. Garnier-Migne p. 757 sq. Impii Nestoris sermo I.

nia bożego. Lecz w tem nie lud zawinił, ale — mówiąc skromnie — ta okoliczność, że poprzedni kaznodzieje nie mieli czasu jaśniej i dokładniej dogmatów wiary wam wyłożyć“ [1]. „Bóg i człowiek — tłumaczy dalej — jest jednym, ale jednym o tyle, o ile jednem jest świątynia i ten, który w tej świątyni zamieszkuje. Jest to jedność „powagi“, „godności“, „złączenia“, słowem, jedność czysto przypadkowa; ale nie jest to jedność „osobista“, t. j. taka, na mocy której moglibyśmy przymioty i właściwości Boże odnosić do człowieka i odwrotnie. „Powiedz o biorącym, że jest Bogiem; dodaj o wziętym, że jest sługą; złącz następnie obydwóch wedle godności, ponieważ jedna jest obydwóch powaga, jedna godność; tego rodzaju wyznaj jedność, osób nie naruszając“ [2].

Gładkie jednak słówka Nestoryusza nie przekonały ludu konstantynopolitańskiego, ludu „teologów“, jak go dziś nazywają. Wiedział on dobrze, że w Piśmie św. niema może prawdy tak silnie i ustawicznie stwierdzanej, jak, że Jezus Chrystus, Mesyasz prawdziwy, dlatego właśnie jest prawdziwym Mesyaszem, Odkupicielem rodu ludzkiego, że jeden i tenże sam Chrystus jest prawdziwym Bogiem a zarazem prawdziwym człowiekiem. Prawdę tę przypominały ustawicznie wiernym słowa, wyjęte z początku Ewangelii św. Jana: „A Słowo stało się ciałem“. Istniejące „na początku“, t. j. od wieków, Słowo przybrało sobie ciało, t. j. naturę ludzką, kórej nie miało, gdy było „na początku u Boga. Przez to jednak Słowo nie przestało być Słowem, Bogiem prawdziwym, bo natura boża z samej swej istoty żadnej zmiany nie znosi. Również natura ludzka nie przemieniła się w boską, bo wtedy nie byłoby prawdą, że Słowo stało się i jest człowiekiem. Podobnież z tego połączenia natury ludzkiej z bożą, nie powstała jakaś trzecia odrębna natura, bo ta nie byłaby już ani Słowem, ani ciałem. Tak więc Słowo przybierając sobie naturę ludzką, w ten tylko sposób mogło ją przybrać, że będąc jednym, a nie dwoma Chrystusami, prawdziwym był Bogiem, a zarazem prawdziwym człowiekiem.

Równie jasno, jak św. Jan, wyraził się św. Paweł (do Filip. II., 67): „który (Chrystus) będąc w postaci Bożej, nie poczytał za

---

[1] Marius Mercator. Impii Nestorii sermo II., p. 763.
[2] Tamże p. 766.

drapieztwo, iż był równym Bogu, ale wyniszczył samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się na podobieństwo ludzi i postawą naleziony jako człowiek". Bóg przyjął postać sługi, nie wyzuwając się z natury Bożej, bo to jest niepodobieństwem, ale będąc i pozostając Bogiem, stał się zarazem sługą i człowiekiem. Prawda ta znaną była i tkwiła głęboko w sercu ludu, choć nie była jeszcze określoną nazwą techniczną „jedności osobistej". Pomimo tego lud konstantynopolitański poznał odrazu, że Nestoryusz sprzeniewierza się nauce katolickiej, nauce Pisma św. i tradycyi. W czasie jednego kazania oburzony lud zawołał: „Mamy jeszcze cesarza, ale nie mamy już biskupa". Kilku laików, między nimi niejaki Euzebiusz, późniejszy biskup, przerwali Nestoryuszowi kazanie i odważnie mu się sprzeciwili. Wszczął się tumult, a największa część słuchaczy stanęła po stronie Euzebiusza. Nestoryusz nazwał ich „nędznikami", przywołał na pomoc siłę zbrojną a opierających się kazał ubiczować i uwięzić. Gwałtowne te środki na nic się nie przydały. Maryusz Merkator, człowiek świecki, ale teolog uczony i którego wpływ niemało ważył na samym dworze cesarskim, rozrzucił pomiędzy duchowieństwem i ludem list otwarty, w którym porównywał herezyę Nestoryusza z potępionymi błędami Pawła Samosateńskiego, Ebiona, Fotyna i Marcelego. Rozrzucono jeszcze inną, podobnej treści odezwę, która zaczynała się od słów: „W imię Trójcy świętej zaklinam każdego, który pismo to dostanie, aby ukazał je biskupom, księżom, dyakonom, lektorom i laikom zamieszkującym Konstantynopol. A nadto niechaj ofiaruje im jeden egzemplarz tego pisma na zawstydzenie Nestoryusza, wznawiającego błędy wyklętego przed stu sześćdziesięciu laty od prawowiernych biskupów Pawła Samosateńskiego". Paweł rzekł: „Marya Słowa nie zrodziła". Nestoryusz podobnież rzekł: „Marya, mój najdroższy, nie zrodziła Boskości". Następuje obszerniejsze porównanie nauki Nestoryusza z nauką Pawła Samozateńskiego, a cała odezwa kończy się słowy: „Jeśliby więc kto odważył się powiedzieć, że kimś innym jest Syn jednorodzony, który z Ojca się zrodził, a innym jest Syn Maryi Dziewicy, nie zaś jednym i tym samym Panem naszym Jezusem Chrystusem, taki niech będzie wyklęty" [1].

[1] Marii Mercatori opera, p. 774.

Spokojniej, ale bardziej może jeszcze stanowczo wystąpił biskup Cyzyku Proclus. Zaproszony od Nestoryusza z kazaniem na jednę uroczystość N. Panny (str. 429), skorzystał Proclus z tej sposobności, aby ostrzedz lud przed błędami własnego ich pasterza. W obecności Nestoryusza jasno i wspaniale wyłożył naukę prawdziwą o Wcieleniu Chrystusa: „Ten, który odkupił nas, nie jest tylko człowiekiem, o Żydowinie!: bo natura ludzka grzechowi była poddaną; ale nie był też Bogiem tylko, o Manichejczyku!: miał bowiem ciało, a gdyby natury mej nie był na siebie wziął, nie byłby mię ocalił... Jeśli kimś innym jest Chrystus, a kimś innym Bóg Słowo, już nie trzy, lecz cztery są Osoby Boże. Nie rozrywaj szaty odkupienia naszego, którą w niebie zeszyto; nie bądź uczniem Aryusza; on istotę Bożą bezbożnie rozdzielił, ty nie rozłączaj jedności, by Bóg się od ciebie nie odłączył“ [1].

Zaledwie Proclus skończył, lud nie dwuznacznie objawił swe zadowolenie. W tej chwili powstał Nestoryusz: „Nie dziwię się, rzekł, że miłośnicy Chrystusa obsypują oklaskami tych, którzy mową swą czczą błogosławioną Maryę: nigdy bowiem dosyć nachwalić się nie możem tej, która stała się świątynią Ciała Pańskiego. Ale na to uprzejmość wasza zwrócić powinna uwagę, aby wynosząc zbytnie i nienależycie Maryę, nie wydawało się, jakobyśmy zapominali o godności Słowa Bożego, przypisując Mu podwójne „rodzenie się“ [2] (jedno z Ojca przed wiekami; drugie z Maryi w czasie)“. W dalszym ciągu swej mowy Nestoryusz zbija po kolei twierdzenia Proclusa, bądź poważnie, bądź żarcikami, kładąc zawsze nacisk na główny punkt swej herezyi, że w Chrystusie nie są tylko dwie natury: Boska i ludzka w jednej Osobie, ale że są dwie osoby: Bóg i człowiek, złączone ze sobą węzłem przypadkowym, jaki n. p. zachodzi między świątynią a tym, który tę świątynie zamieszkuje. Ludowi nie podobało się zwłaszcza zaprzeczenie N. Pannie tytułu: Matki Bożej. Ztąd w następnem kazaniu, skierowanem znowu przeciw Proclusowi, Nestoryusz chytrze zgadza się na tę nazwę, byle nazywając Maryę Matką Bożą, nikt nie rozumiał, że jest Matką Boskości. Żadnemu katolikowi nie przyszło nigdy na myśl nazwać Maryę Matką

[1] Homilia Procli episcopi Cyzici. Inter opera M. Mercatoris, p. 775 sq.
[2] Impii Nestorii sermo IV. Inter opera M. Mercatoris, p. 782 sq.

Boskości; tego więc zatwierdzać nie było potrzeby. Ale Nestoryusz mieszał pojęcia abstrakcyjne z konkretnemi, nazwy oznaczające osobę z nazwami oznaczającemi naturę osobie właściwą: z najprawdziwszego twierdzenia, że Marya nie jest Matką Boskości, prowadził zdradziecko do twierdzenia, że Marya nie jest Matką Boga, t. j. do zaprzeczenia zasadniczego dogmatu: że t e n s a m, który jest odwiecznym Bogiem, stał się w żywocie Maryi człowiekiem: przecząc Maryi tytułu Bogarodzicy (θεοτοκός), przeczył jedności osoby Chrystusa, przeczył Bóstwu tego człowieka, który na krzyżu umarł. „I Jana Chrzciciela — mówił [1] — gdy był jeszcze w żywocie matki, napełnił Duch św.; a czyż dlatego nazwiemy Elżbietę matką Ducha św.? Można więc nazwać Maryę „Matką Chrystusa", ale „Matką Bożą" nazywać jej nie należy. Chrystus jest nietylko Bogiem, ale Bogiem i człowiekiem... Człowieka tego czczę, ponieważ jest współpracownikiem Bożym, narzędziem Dobroci Bożej... jest żyjącą purpurową szatą króla nad królami... Bóg nie poniósł za nas śmierci, ale złączonym był z ukrzyżowanym dla nas człowiekiem [2]".

Z Konstantynopola szybko rozeszły się błędne zdania Nestoryusza po innych prowincyach wschodnich. Z jego rozkazu wyklął publicznie biskup Doroteusz wszystkich tych, którzy Maryę mieliby nazywać Matką Bożą. Z początkiem r. 429 rozprawiali już o tych samych błędach egipscy mnisi, pomiędzy których wkręcić się potrafili emisaryusze konstantynopolitańskiego patryarchy. Ale o Egipt, a raczej o patryarchę aleksandryjskiego Cyryla, rozbić się miała nowa herezya. Jak św. Atanazy w walce z Aryanami przyczynił się do utwierdzenia dogmatu Trójcy Św.; jak św. Augustyn walcząc z Pelagianami, stał się doktorem i nauczycielem „Łaski"; tak św. Cyryla wyznaczył Bóg, aby opierając się świeżo powstałemu Nestoryanizmowi, przyczynił się w ten sposób do rozjaśnienia nauki o Wcieleniu.

Cyryl, synowiec poprzedniego patryarchy Aleksandryjskiego Teofila, zasiadał już od lat ośmnastu na patryarszej stolicy i w wielu trudnych zajściach odznaczył się energią i mądrością. Kilku mnichów przybyłych do Aleksandryi, uwiadomiło go o toczą-

[1] Impii Nestorii sermo V. Inter opera Merc., p. 785 sq.
[2] Sermo VII. Ib. p. 789—801.

cych się pomiędzy nimi dysputach, czy można Maryę nazywać Bożą Rodzicielką. „Lepiejby było, pisał w skutek tego Cyryl do mnichów egipskich [1], żebyście się zupełnie w takie dysputy nie wdawali; teraz jednak muszę wam rzecz całą wyjaśnić. Jeśli Chrystus jest Bogiem, jakże Marya może nie być Bożą Rodzicielką. Tak nazywa ją św. Atanazy, który przez lat 46 był Aleksandryjskim patryarchą. Synod Nicejski zatwierdził, że Chrystus prawdziwym jest Bogiem. Ale nazwa „Chrystus“ przystoi nietylko samemu Odkupicielowi; owszem, prorok Habakuk zwie tak wszystkich sprawiedliwych. Jeśli więc Marya zrodziła tylko Chrystusa-człowieka, niczem się od innych niewiast nie różni. A przecież ogromna jest różnica między innymi chrystusami (t. j. „pomazańcami“) a Chrystusem, Bogiem prawdziwym. I dlatego i inne matki mogą się nazywać matkami Chrystusowemi, ale nigdy matkami Bożemi. Chrystus nie jest człowiekiem ubóstwionym, ale Bogiem prawdziwym, który wziął na się naturę ludzką. Pismo nam pokazuje tę prawdę, a tem samem naucza nas, że Marya jest Bożą Rodzicielką. Czyż św. Paweł nie mówi, że Bóg własnemu Synowi nie przebaczył? Ale, jeżeli Chrystus był tylko narzędziem Bożem, to nie był synem Bożym; podobnie jak gdy kto ma syna, który umie grać na lirze, ten liry nie będzie uważał za syna. Natenczas i Mojżesz, z równą słusznością mógłby być nazwan synem Bożym. A przecież apostoł Paweł zalicza go do sług; Chrystusa zaś zwie Panem, który rządzi w domu ojcowskim, jako syn. Jako my przez łaskę stajemy się synami Bożymi, ale z natury nie przestajemy być ludźmi; tak Słowo stawszy się człowiekiem, nie przestało z natury być Bogiem. Jakże więc Dawca życia, Życie samo, śmierć poniosło? W ten sposób, że śmierć poniosło ciało, które Słowo uczyniło swem własnem; ożywiając zaś to ciało po trzech dniach pokazał oczywiście, że prawdziwem jest Życiem. Mówimy, że „Bóg umarł na krzyżu“, jak mówimy, że „człowiek umarł“, choć dusza jego nie umarła. Uznajmyż więc, że Chrystus jest Bogiem, że zatem Marya jest Bożą Rodzicielką: byśmy snać nie stali się słusznem pośmiewiskiem żydów i pogan“.

W ten sposób skreślony jest obszerny list do mnichów egipskich, który wnet rozbiegł się w licznych egzemplarzach po całym

[1] Cyrilli Alexandrini Opera. Ed. Migne. t. X., p. 9—40.

Wschodzie i stał się niejako programem wszystkich przeciwników Nestoryusza. Przemawiając do ludzi pobożnych, ale nieuczonych, Cyryl starał się raczej o popularne przedstawienie katolickiej nauki, niż o zupełną ścisłość wyrażeń i porównań. Porównanie jedności zachodzącej między Słowem a naturą ludzką w Chrystusie, z jednością, jaka zachodzi między duszą i ciałem w człowieku, ściągnęła później na Cyryla zarzut, że przyjmował on w Chrystusie nie tylko jedną Osobę, ale i jedną naturę i że tak popadł w błąd Monofizytów. Cyryl myśl swą wyjaśnił jak najdokładniej, zwłaszcza w późniejszych dysputach z teologami antyocheńskimi. Zasadniczą prawdą, na której opierał wszystkie swe wywody, był dogmat katolicki, że Chrystus jedną jest Osobą, ale Osobą, która dwie ma natury: Bożą i ludzką, natury, bynajmniej ze sobą nie zmieszane, chociaż złączone najściślej i nierozdzielne. Stosownie do tej zasadniczej prawdy tłumaczone być muszą wszystkie mniej lub więcej dokładne porównania, których używał św. Cyryl, jak i inni Ojcowie, aby wyjaśnić i poniekąd uzmysłowić sposób, w jaki druga Osoba Boża połączyła się z naturą ludzką.

List do mnichów egipskich doszedł niebawem i do rąk samego Nestoryusza i niemało go rozgniewał. Już poprzednio rozesłał on na różne strony homilie swe i listy, którymi rozszerzał swą herezyę. Listy te i homilie dostały się i do Rzymu. Papież Celestyn i inni biskupi, którzy znajdowali się naówczas w Rzymie, zaniepokoili się tem i wysłali z zapytaniem do Cyryla, azali rzeczone homilie pochodzą istotnie od Nestoryusza. Przed użyciem innych środków, Cyryl chciał spróbować, czy nie uda mu się po przyjacielsku wpłynąć na Nestoryusza, aby wycofał się z błędnej drogi. Dowiedziawszy się o gniewie Nestoryusza z powodu listu do mnichów, Cyryl obszernie opisał mu zgorszenie, powstałe w Kościele, z powodu fałszywej jego nauki [1] i zaklął go, aby umorzył złe w zarodku, nie odmawiając N. Pannie tytułu „Bogarodzicy“. Przy końcu listu Cyryl oznajmia, że przed wielu jeszcze laty napisał traktat o Trójcy św. i o Wcieleniu, który teraz zamyśla ogłosić. Niech więc Nestoryusz nie myśli, że rozprawa ta w szczególności przeciw niemu jest wymierzoną.

[1] Cyrilli Al. Opera. t. X. p. 39—43.

Na list ten odpowiedział Nestoryusz krótko i ostro [1]. „Odpisuję ci — pisze — bo nalega na to obecny tu ksiądz Lampon; zresztą wiedz, żeś zgrzeszył niemało przeciw chrześcijańskiej miłości (a wyrażam się skromnie). Czy dobre chęci Lampona zdadzą się na co, to przyszłość wykaże". Jednocześnie starał się Nestoryusz usposobić przychylnie dla siebie papieża Celestyna. „Grasuje tutaj — pisał doń [2] — heretycka choroba, podobna do zgniłej nauki Apolinaryusza i Aryusza. Nowi ci heretycy mieszają Bóstwo i człowieczeństwo w Chrystusie i twierdzą bluźnierczo, że Słowo Ojca współistotne wzięło początek z rodzicielki Chrystusa... Dlatego też odważają się nazywać Dziewicę bożą rodzicielką, kiedy przecież ani Ojcowie Nicejscy, ani Pismo św. nazwiska tego nie znają... Prawdopodobnie doszła już wieść do Rzymu, jakie walki z tego powodu muszę staczać: ale nie walczyłem napróżno, gdyż wielu się już nawróciło".

Wzrastającą nienawiść Nestoryusza przeciw Cyrylowi podnie cało kilku Aleksandryjczyków, którzy dopuściwszy się ciężkich przestępstw w mieście rodzinnem, schronili się do Konstantynopola. Byli to prości zbrodniarze: jeden z nich skradł pieniądze z pomocą swej służącej, drugi chciał zabić własną matkę; pomimo tego Nestoryusz nie wahał się nadstawiać ucha ich oszczerstwom. Cyryl gotów był przebaczyć wszystkie te osobiste urazy, byle tylko jego przeciwnik nie rozdzielał Kościoła swoją herezyą [3]. Nestoryusz inaczej był usposobiony. „Na potwarze, pisał do Cyryla, które ciskasz na nas w przedziwnym twym liście, nie myślę odpisywać, bo potrzebujesz widocznie lekarstwa na łagodność... Powołujesz się na sobór, ależ czytajże raz, a nie przebiegaj oczami" [4]. Po tych obelgach wykłada ponownie całą swą błędną naukę i oskarża Cyryla, że robiąc Boga człowiekiem wznawia herezyę Aryusza i Apolinaryusza, jakoby Cyryl zaprzeczał kiedykolwiek Chrystusowi bóstwa, lub rozumnej duszy ludzkiej. Na cóż mogły się przydać przyjacielskie nalegania i listy z człowiekiem tak pysznym, jak Nestoryusz? To też w następnych dwóch listach Cyryl nie kusi się już nawet

---

[1] Inter opera Cyrylli Al. t. X., p. 43.

[2] Inter opera Mercatoris, p. 173—177. List ten pisany był pod koniec roku 429.

[3] Epistola IV Cyrylli ad Nestorium. Opera Cyrylli t. X. p. 43 sq.

[4] Epistola V Nestorii ad Cyrillum. ibid. p. 49 sq.

przekonać Nestoryusza, że jest w błędzie. Przepowiada mu tylko że bądź co bądź polegnie w tej walce, bo nie ma sił do potykania się z Bogiem Wcielonym. „Kościół nie ścierpi twej bezczelności, mówi mu, a Kościoła bramy piekielne nie zwyciężą“ [1]. Cały miesiąc czekali posłańcy Cyryla w Konstantynopolu na odpowiedź, ale daremnie.

Niepodobieństwem było rachować dłużej na dobrą wolę Nestoryusza; obecnie chodziło już tylko o to, aby nowo powstającą herezyę przytłumić w zarodku. Na chwilę jednak, w lutym roku 430 zdawało się, że zła sprawa tryumfuje. Nestoryusz potrafił przyciągnąć sobie nowych stronników; podobno nawet spodziewał się, że w razie zwołania soboru, będzie sędzią Cyryla. Nie było chwili do stracenia. Klerycy Aleksandryjscy, przebywający w Konstantynopolu, wypracowali obszerny memoryał do cesarza Teodozyusza i przesłali go do przejrzenia swemu patryarsze. Cyryl wykreślił wszystkie osobiste wycieczki przeciw Nestoryuszowi i czemprędzej odesłał memoryał z obietnicą, że niebawem przyszle do Konstantynopola roztropnych biskupów i mnichów dla popierania sprawy. Jednocześnie wysłał Cyryl listy a raczej dwa poważne traktaty do Eudoksyi, żony cesarza, i Pulcheryi jego siostry, w których przystępnie a jednak głęboko wykłada katolicką naukę o Wcieleniu i dowodzi jej prawdziwości z Pisma św. i ze zdań dawnych ojców.

W memoryale do Teodozyusza, przypomina Cyryl [2], że wprawdzie moc i potęga cesarska wielka, ale o tyle tylko bezpieczną jest, o ile jest utwierdzoną na fundamencie wiary: Jezusie Chrystusie. Prawdę tę stwierdza przykład królów żydowskich: tylko ci tryumfowali, którzy byli pobożni. Aby zaś mieć prawdziwe nabożeństwo, należy mieć prawdziwą wiarę. „I w tym właśnie celu, tobie, o Cesarzu i obu Królowym (małżonce i dziewicy) traktat ten o Wcieleniu Syna Bożego przedkładam. Niemasz niczego, czegoby tu szaleńcy nie zmyślili. Marcellus i Fotinus utrzymują, że Słowo przedwieczne nie ma żadnej istności a w niczem nie różni się od słowa usty wypowiedzianego, i mówią, że takie słowo stało się człowiekiem. Inni bluźnią, że Słowo wzgardziwszy urodzeniem z Maryi.

[1] Epistola VI et VII. 36. 57 29.

[2] De recta fide in Dominum nostrum J. Christum ad religiosissimum Imperatorem Theodosium. Cyrilli opera, t. IX., p. 1133—1201 (editio Migne).

przemieniło się w ciało ziemskie. Inni nie chcą przyznać Chrystusowi duszy ludzkiej. Inni wreszcie jednego Chrystusa na dwóch dzielą, i jednego z nich t. j. tego, który urodził się z Dziewicy, człowiekiem zowią; drugiego Słowem Ojca Przedwiecznego nazywają. Mówiąc zaś tak, nie rozróżniają tylko dwóch natur: natury bożej i ludzkiej, bo w ten sposób z prawdąby się nie mijali, ale stanowią dwie odrębne osoby: Boga i człowieka. Tych architektów bredni krótko zbyć należy. Czyż Dziewica porodziła cień, pasterze czcili cień, czyż my sami jesteśmy cieniami? Jeśli Słowo nie stało się ciałem i rzeczywiście nie było kuszonem, to i nam w pokusach nie może przynieść pomocy. Jeśli Chrystus jest cieniem, to cierpieć za nas nie mógł; jeśli cierpieć nie mógł, odkupieni nie jesteśmy; jeśli jest cieniem, nie umarł, a więc i nie zmartwychwstał; jeśli nie zmartwychwstał, to i my nie zmartwychwstaniemy. Bóg nie mógł się również przemienić w ziemskie ciało, bo my wprawdzie jesteśmy zmienni, ale Bóg jest niezmienny. Niemniej błądzą i ci, co duszy rozumnej Chrystusowi odmawiają. Obawiają się oni, abyśmy przyznawszy Chrystusowi duszę ludzką rozumną nie pomyśleli, że dwóch jest Chrystusów, a nie jeden. Nie dwóch, lecz jeden jest Chrystus, ale Chrystus przyszedł na świat, aby nas odkupić, a do tego nie wystarczało przybranie samego ciała, ale musiał wziąć na się całą naturę ludzką, a więc i duszę rozumną. Wziął na się ciało, aby ciało nasze od zgnilizny uwolnił; wziął duszę, aby napoił ją siłą i niezmiennością Bożej swej natury, jako wełna łącząc się z farbą, jej moc i kolor przyjmuje. Zresztą pamiętać należy, że wytłumaczenie sposobu, w jaki Druga Osoba Boża połączyła się z naturą ludzką, trudnem jest i że uzmysłowić sobie tego zjednoczenia zupełnie nie możemy. Nie bądźmy więc zbyt ciekawymi, ale wierzmy Pismu i wyznawajmy, że jeden i ten sam Chrystus prawdziwym jest człowiekiem, a zarazem Bogiem prawdziwym. Nie rozdzielajmy człowieczeństwa od Bóstwa, ani też po niewytłumaczonem i tajemniczem owem zjednoczeniu nie zdzierajmy człowieczeństwa ze Słowa, ale wierzmy, że jeden i tenże sam Syn dwie natury, bożą i ludzką, bez zmieszania ich w cudownej jedności cudownie w sobie połączył".

Podobnej treści, tylko bardziej przystępnie, napisane były dwa

traktaty „O Wcieleniu“, przesłane małżonce i siostrze Teodozyusza [1]. Zamiast długich i nużących wywodów, zadawalnia się tu Cyryl cytatami z dawnych ojców: Atanazego, Attyka, Amphilocha, Ammona, Chryzostoma, Seweryana, Vitalisa, Teofila, którzy uznawali i nazywali Maryę Matkę Bożą i wykładali jednomyślnie prawdziwą naukę o zjednoczeniu dwóch natur w jednej Osobie. Następnie przywodzi najrozmaitsze miejsca N. Testamentu o Wcieleniu i pokrótce znaczenie ich tłumaczy, „byście i same się pouczyły i innych od złej drogi mogły odprowadzić“.

Ale i Nestoryusz nie próżnował. Potrafił on się wkraść w łaskę Teodozyusza i przedstawił mu w czarnych kolorach list Cyryla do Pulcheryi i Eudoksyi. Wzbudził nawet podejrzenie w cesarzu, że Cyryl zamyślał zasiać kąkol niezgody między rodziną cesarską. Nadto napisał do papieża Celestyna I., oczyszczając się z uczynionych zarzutów i posyłając bruliony swych kazań do przejrzenia. To spowodowało Cyryla, że i on zwrócił się do papieża i przez dyakona swego Pozydoniusza wysłał (w lecie 430 r.) do Rzymu gruntowne sprawozdanie, do którego przyłączył poprzednie swe listy do Nestoryusza. „Ponieważ dawny zwyczaj, pisał Cyryl do papieża [2], nakazuje w podobnych sprawach z Świętobliwością Twoją się znosić, donoszę ci, że obecnie szatan wszystko miesza, a szalejąc przeciw Kościołom Bożym, gotuje zgubę wszystkim ludom, które prawej wiary się trzymają... Chciałem napomnieć Nestoryusza listem synodalnym i wyrzec się z nim wszelkiej styczności. Zamiast tego napomniałem go listownie; on zaś nietylko mię nie usłuchał, ale jeszcze zasadzki mi gotuje. Oprócz garstki stronników i tych, których przywiódł ze sobą z Antyochii, wszyscy go opuścili... Wszyscy, a zwłaszcza biskupi macedońscy głośno wyrażają przeciw niemu swe oburzenie. Czyż w takim stanie rzeczy możemy milczeć? Powiedz więc nam i poradź, co mamy robić“.

Opierając się na tym liście i załączonych dokumentach, zwołał papież synod do Rzymu, potępił naukę Nestoryusza i zagroził mu złożeniem z biskupstwa konstantynopolitańskiego, jeśliby w przeciągu dziesięciu dni po otrzymaniu tego pisma, błędów swych nie

[1] De recta fide ad Reginas religiosissimas. Cyrilli opera, t. IX., p. 1201—1335; i p. 1335—1421.

[2] Epistola XI. Opera Cyrilli t. X., p. 79 sq.

odwołał. W liście do Cyryla [1], papież dziękuje mu za żarliwość w obronie wiary i zleca wykonanie wyroku przeciw Nestoryuszowi. Aby ostrzedz biskupów i uprzedzić możliwe potwarze, wyjaśnił Cyryl stan rzeczy kilku najbardziej wpływowym dostojnikom, jak Jan patryarcha Antyocheński, Juwenal patryarcha Jerozolimski, Akacyusz biskup Berejski i prosił, aby wspomagali go w walce z nową herezyą. Stary Akacyusz patrzał niechętnie na tę energiczną działalność Cyryla i wespół z Janem Antyocheńskim, który był osobistym przyjacielem Nestoryusza, radził, aby z większym spokojem i namysłem brać się do rzeczy. Odpowiedź Akacyusza, dwuznaczna i dyplomatyczna, była wyrazem myśli całej pokojowej partyi Antyocheńskiej, która formowała się już pod wpływem samego patryarchy Jana. „Dysputy — pisał Akacyusz [2] — zwyczajnie do niczego dobrego nie prowadzą, jak uczy nas tego świeży przykład Apolinaryusza. Bez wątpienia, trzeba przytłumić źle brzmiące słowa Nestoryusza, aby one nie wywołały większych rozterek w Kościele, ale brać się do tego należy spokojnie i powoli. Wielu mieszkańców Konstantynopola przybyło do Antyochii, a nawet do mnie, broniąc Nestoryusza. List twój przeczytałem Janowi Antyocheńskiemu; zabolał nad nim, bo choć niedawno wyniesiony na godność biskupią, tego samego jest zdania, co my starcy. Prosi, abyś przeciw owemu zdaniu, które wypadło z ust Nestoryusza, a którego tolerować nie można, należycie, ale zarazem z wielką przezornością wystąpił".

Cyryl sądził, że właśnie przezorność wymagała stanowczości i energii. W listopadzie 430 r. zebrał synod egipskich biskupów w Aleksandryi a przedłożywszy im listy papieskie, wygotował wespół z synodem obszerne pismo do Nestoryusza i dwa inne pisma do kleru i ludu, tudzież do mnichów konstantynopolitańskich. Ton listu do Nestoryusza jest ostry i stanowczy: „Zaiste — pisze Cyryl [3] — nie powinniśmy kochać bardziej ciebie, aniżeli Chrystusa. Herezya twa grasuje coraz szerzej i dlatego wraz ze św. synodem Rzymskim napominamy cię już po raz trzeci, abyś od obłędu swego odstąpił.

[3] Inter opera Cyrilli. t. X. p. 99 sq.

[2] 11 sierpnia 430. Pod tąż samą datą wysłał papież listy z uwiadomieniem o wyniku synodu: do Nestoryusza, do kleru i ludu konstantynopolitańskiego, do Jana patryarchy Antyochii i paru innych biskupów. Por. Mansi. Collectio Conciliorum, t. IV., p. 1017—1047.

[3] Opera Cirilli, t. X., pag. 105—123.

Obłudnemi słówkami udajesz, że trzymasz się nicejskiego soboru; istotnie zaś gardzisz jego uchwałami. Dla uchylenia zgorszenia winieneś teraz na piśmie i pod przysięgą odwołać to, coś dotychczas uczył, a wyznać prawdziwą katolicką naukę o hipostatycznem zjednoczeniu Słowa z naturą ludzką. To zaś, co masz odrzucić i odwołać, zawarliśmy w dwunastu uchwałach [1], które do listu mego dołączam".

[1] Dwanaście tych uchwał czyli wyklęć (anathematismi) tak ważną grają rolę w całej następnej walce z Nestoryanizmem i tak dobrze i jędrnie streszczają prawdziwą katolicką naukę i błąd jej przeciwny, że dla należytego zrozumienia dalszego przebiegu sprawy, musimy je tu w dosłownem tłumaczeniu umieścić:

1. Jeśliby kto nie wyznawał, że Zbawiciel prawdziwym jest Bogiem, i że przeto N. Panna jest Bożą Rodzicielką (albowiem Ona zrodziła wedle ciała Wcielone Słowo Boże): niech będzie wyklęty.

2. Jeśliby kto nie wyznawał, że Słowo Boże z ciałem (t. j. z naturą ludzką) hipostatycznie zjednoczyło się i że jeden jest Chrystus wespół ze swem ciałem, t. j. że ten sam jest Bogiem a zarazem człowiekiem: niech będzie wyklęty.

3. Jeśliby kto po zjednoczeniu rozdzielał w Chrystusie osoby i łączył je ze sobą tylko z przyczyny wspólnej godności, powagi i mocy, a nie uznawałby zjednoczenia fizycznego: taki niech będzie wyklęty.

4. Jeśliby kto wyrażenia, których sam Chrystus o sobie używał, lub które ewangeliści, apostołowie i święci do Chrystusa zastosuwują, rozdzielał pomiędzy dwie osoby czyli hipostazy w ten sposób, że jedne z nich odnosiłby do samego człowieka, oddzielonego od Słowa Bożego, inne zaś samemu Słowu Bożemuby przypisywał: taki niech będzie wyklęty.

5. Jeśliby kto odważył się powiedzieć, że Chrystus jest człowiekiem, który Boga w sobie nosi, a nie raczej, że jest prawdziwym Bogiem, jedynym przyrodzonym Synem Bożym, ponieważ: „Słowo ciałem się stało" (Jan I. 14) i „społeczność z nami miało ciała i krwi" (do Żydów II., 14): niech będzie wyklęty.

6. Jeśliby, kto powiedział, że Słowo Ojcowskie jest Bogiem, lub panem Chrystusa, i nie wyznałby, że po Wcieleniu Słowa, jeden, jako uczy Pismo, i tenże sam, Bogiem jest zarazem i człowiekiem: niech będzie wyklęty.

7. Jeśliby kto powiedział, że Słowo Boże poruszało tylko i działało w człowieku Jezusie i że chwała Jednorodzonego otaczała tylko człowieka Jezusa, jako różnego i oddzielnego od siebie: niech będzie wyklęty.

8. Jeśliby kto ośmielił się powiedzieć, że powinniśmy przybranego człowieka wespół ze Słowem odwiecznem czcić, wielbić i za Boga uznawać, jakoby jeden od drugiego był oddzielony (bo w tem znaczeniu zawsze i z naciskiem używa Nestoryusz przysłówka „wespół") a nie raczej, że jednym aktem czci i uwielbienia Zbawicielowi chwałę oddawać powinniśmy, ponieważ Słowo ciałem się stało: taki niech będzie wyklęty.

9. Jeśliby kto twierdził, że Duch św. uwielbił Pana N. Jezusa Chrystusa, obdarzając go jakąś mocą odrębną i Chrystusowi nie własną, i że Chrystus dopiero od Ducha św. otrzymał władzę nad szatanami i władzę czy-

W liście do kleru i ludu konstantynopolitańskiego pisał Cyryl, że zwlekał wprawdzie, jak mógł najdłużej, ale jeśli Nestoryusz w czasie oznaczonym przez papieża Celestyna błędów swych nie odwoła, nie cofnie się synod przed środkami, choć surowymi, ale koniecznymi. „Zwłóczyliśmy, jako zwłóczą lekarze z wypaleniem niezdrowego członka; ztąd się więc nie gorszcie. Ale jeśli Nestoryusz i po tem napomnieniu nie przestanie być wilkiem, miasto pasterza, w styczność z nim nie wchodźcie a przeciwnie z wyklętymi od niego bratajcie się“ [1].

Z listami tymi i z uchwałami synodu wysłał Cyryl do Konstantynopola dwóch egipskich biskupów: Theopenta i Daniela, i dwóch kleryków aleksandryjskich: Potamona i Makaryusza. Posłowie ci wręczyli Nestoryuszowi uchwały synodu w kościele, w obec tłumnie zgromadzonego ludu [2]. Na razie nie dał Nestoryusz odpowiedzi stanowczej; zażądał tylko, aby posłowie stawili się przed nim nazajutrz. Nazajutrz jednak nie przypuścił ich do siebie, a natomiast intrygował w pałacu cesarskim. Na nalegania Nestoryusza, Teodozyusz wysłał ostrą naganę do Cyryla i zagroził mu swą niełaską i karą, gdyby śmiał nadal powstawać przeciw konstantynopo-

---

nienia cudów, tak, że Duch, w którym działał cuda, nie był Jego własnym: taki niech będzie wyklęty.

10. Jeśliby kto powiedział, że nie samo Słowo Boże, które stało się ciałem i człowiekiem nam podobnym, ale że ktoś inny, jakiś od Słowa różny człowiek, jest naszym najwyższym Kapłanem i Apostołem; albo jeśliby kto powiedział, że Chrystus nietylko za nas, ale i za siebie się Bogu ofiarował (kiedy przecież jako wolny od zmazy grzechu ofiary nie potrzebował): taki niech będzie wyklęty.

11. Jeśliby kto nie wyznał, że Ciało Pańskie daje żywot i że stało się ono własnem Słowu Bożemu, ale utrzymywałby, że ciało to przynależy do kogoś innego, który ze Słowem połączył się tylko w godności, lub też w którym Słowo tylko przemieszkuje; a nie przyznawałby, że dlatego Ciało Pańskie daje żywot, ponieważ (jak wspomnieliśmy), przeszło w jedno ze Słowem, które wszystko ożywiać może: taki niech będzie wyklęty.

12. Jeśliby kto nie wyznał, że Słowo Boże cierpiało wedle ciała, że wedle ciała było ukrzyżowane i śmierci wedle ciała zakosztowało i że Chrystus będąc życiem i życie dającym, jako Bóg: stał się zarazem pierworodnym pomiędzy umarłymi: taki niech będzie wyklęty. — (Cyrilli Al. Opera, t. X., p. 119 sq).

[1] Cyrilli Al. opera, t. X., p. 123 sq. Podobnej treści jest list Cyryla do mnichów konstantynopolitańskich. Tamże, p. 125 sq.

[2] Baronius ad annum 430, n. 50, 59.

litańskiemu patryarsze. Nestoryusz ze swej strony ogłosił dwanaście klątw [1] w odpowiedzi na klątwy Cyryla, podsuwając podstępnie Cyrylowi różne fałszywe zdania, powyrywane z herezyi Apolinaryusza, a zarazem intrygował przeciw Cyrylowi u Jana Antyocheńskiego. Samemu Janowi nie podobał się zwłaszcza *anathematismus* trzeci. Sądził on, że „zjednoczenie fizyczne“, o którem mówił Cyryl, należy rozumieć w ten sposób, jakoby człowieczeństwo i Bóstwo p r z e m i e n i ł o s i ę w Chrystusie w jedną nową naturę. „Nie mogę nawet wierzyć — pisał Jan [2] — aby takie zdanie istotnie od Cyryla pochodziło“. Słowa „zjednoczenie fizyczne“ pochodziły istotnie od Cyryla, ale pod wyrażeniem „fizyczne“ rozumiał on złączenie w jedną osobę (hipostatyczne), a nie w jedną naturę, jak to później wielokrotnie i dobitnie wyjaśnił. Również wyraz „przemieniło się“ nie oddawał dokładnie myśli Cyryla, nasuwając mimowolnie na myśl przemienienie dwóch natur Bożej i ludzkiej w trzecią od nich różną, ani Bożą, ani ludzką. Ale takie niedokładności były konieczne w obec nieustalonych jeszcze teologicznych wyrażeń.

Posłuszny wezwaniu patryarchy antyocheńskiego, napisał Jędrzej Samosateński całą księgę przeciw klątwom Cyryla [3], kierując również najcięższe ciosy przeciw anatematyzmowi trzeciemu. Teodoret w liście do Jana z Antyochii, nie chce wierzyć, aby anatematyzmy, które rozeszły się pod nazwiskiem Cyryla, miały rzeczywiście być jego pióra; tyle w nich, jak mu się wydawało, podobieństwa do Apolinaryzmu. Ktokolwiek jednak ich autorem, poczuwa się do bronienia prawdy i w tym celu wypracował swą „Naganę dwunastu klątw Cyryla“ [4]. Na wszystkie te zarzuty odpowiedział Cyryl w dwóch odrębnych apologiach. W jednej zbił wywody Jędrzeja i kilku innych biskupów; w drugiej broni się przeciw zarzutom Teodoreta [5]. Jak w jednem tak w drugiem piśmie przechodzi kolejno dwanaście

[1] Opera Marii Mercatoris, p. 909 sq.

[2] Mansi t. V., p. 756.

[3] Zarzuty Jędrzeja Samosateńskiego przechował nam w znacznej części sam Cyryl w swej odpowiedzi: „Apologeticus pro 12 capitibus adversus Orientales Episcopos“. — Opera, t. IX., p. 315—386.

[4] Theodoreti opera, t. V., p. 1—68.

[5] Apologeticus pro 12 capitibus adversus Orientales Episcopos. t. IX., p. 315—386. Apologeticus contra Teodoretum pro 12 capitibus t. IX., p. 391—453.

swych anatematyzmów; po każdym z nich cytuje dosłownie wywody przeciwników, a następnie obszernie je rozbiera i zbija.

Przedewszystkiem broni się tu Cyryl przeciw wszelkim podejrzeniom o sprzyjanie herezyi Apolinaryusza. „Nie mieszamy — pisze — natury Boskiej i ludzkiej, ale mówimy, że przez połączenie Bóstwa z człowieczeństwem jeden stał się Chrystus. Słowo nie weszło z człowiekiem w jakieś zmieszanie, nie zmieniło się w ciało, ale w niewypowiedziany sposób złączyło się, przybrało sobie naturę ludzką. Można jedne przymioty, właściwości i nazwy odnosić do natury Bożej, inne do ludzkiej, byle przez to nie rozłączać Boga od człowieka; nie sądzić, że owa świątynia, która jest z N. Panny, nie jest zarazem Bogiem. Jeden jest Chrystus, ale ten życiem swem i cudami okazał, że jest czemś więcej, niż człowiekiem. Czyniąc zaś te cuda, nie oddawał z nich chwały komuś innemu, ale sobie samemu jako Bogu. Jako Bóg, jest sam życiem; jako człowiek, życie otrzymał od Ojca. Jako Bóg, jest panem chwały; jako człowiek, chwałę otrzymał od Ojca. Sam Chrystus mówi o sobie, że nikt Go poznać nie może, bo choć znali Go ludzie wedle natury ludzkiej, nikt Go nie znał wedle natury Bożej. Mówicie, że Słowo mieszka w Chrystusie, jako w świątyni, ależ w ten sposób mieszka w nas wszystkich. Mówicie, że trzymam z Apolinaryuszem. Więc i Jan św. trzymał z Apolinaryuszem, gdy mówił: „Słowo stało się ciałem“. Nie walczcież przeciw powietrzu; słuchajcie dawnych Ojców. Nie chcecie — to idźcie swą drogą; my pójdziemy za wiarą Ojców i Pisma“.

Dowody Cyryla nie przekonały Teodoreta. Dawne węzły przyjaźni, wspólny pobyt w jednym klasztorze łączyły go z Nestoryuszem; a w dodatku niezadowolniona pycha pchała go w ramiona nowej herezyi. Gdziekolwiek Cyryl wysyłał swe listy w obronie katolickiej nauki, tam i Teodoret wyprawiał swych gońców z pismami przeciw Cyrylowi. W błąd wprowadzeni przez niego biskupi: Genadyusz, a nawet Izydor Peluzyota, wystąpili ostro przeciw Cyrylowi, sądząc, że wpadł w błąd Monofizytów. Co najgorsza, potrafił Teodoret uzyskać wpływ niemały na umysł Jana Antyocheńskiego; a wpływ ten nie przyczynił się bynajmniej do rozjaśnienia prawdy i uspokojenia Kościoła.

Jeśli jednak przyjaciele Nestoryusza nie próżnowali, to Cyryl

ze swej strony podwajał gorliwość. Oprócz listów rozsyłanych na wszystkie strony i kazań, któremi oświecał Aleksandryjczyków o prawdziwym stanie rzeczy, opracował Cyryl kilka obszerniejszych dziełek, wymierzonych przeciw Nestoryuszowi. Pierwsze z nich: „Uwagi o Wcieleniu Jednorodzonego“ [1], napisane bardzo jasno i przystępnie, miało na celu spopularyzowanie katolickiego dogmatu o zjednoczeniu obu natur w Chrystusie. Kolejno przechodzi Cyryl nazwy: Emanuela, Jezusa, Chrystusa i tłumaczy ich znaczenie. Następnie zastanawia się nad różnemi zjednoczeniami, jakie widzimy w naturze. Ale pojęcia, czerpane z tych złączeń, nie odpowiadają tajemniczemu zjednoczeniu natury Boskiej i ludzkiej w jednej Osobie. Pewnem podobieństwem tego zjednoczenia jest węgiel żarzący się, opisany przez Izajasza (VI., 6., 7). Węgiel nie zmienia się w ogień, ogień nie zmienia się w węgiel, a przecież węgiel żarzący się jest czemś jednem a nie dwoma przypadkowo złączonemi rzeczami. Arka wewnątrz i zewnątrz ozłocona oznacza symbolicznie, że Słowo złączyło się nietylko z ciałem, ale i z duszą Chrystusową. Ale jak złoto i drzewo nie zmieszały się ze sobą w jakąś nową, trzecią naturę, tak przez złączenie Słowa z naturą ludzką nie powstała jakaś nowa, odmienna natura. W jakiż więc sposób powstało to zjednoczenie? Zmysły tego nam nie powiedzą; wiemy, że Bóg wszedł w prawdziwe zjednoczenie z naturą ludzką, ale zjednoczenia tego dokładnie opisać i wysłowić nie umiemy.

Druga praca, wymierzona przeciw Nestoryuszowi, ułożoną jest w kształcie dyalogu między Cyrylem a jednym z przychylających się do zdań Nestoryusza i nosi tytuł: Że jeden jest Chrystus [2]. Cyryl tłumaczy katolicką naukę; przeciwnik zaś jego przedkłada mu rozmaite zarzuty, które zasłyszał od Nestoryanów. Jeżeli mówi Cyryl, Słowo Boże dla tego nazywa się człowiekiem, ponieważ zamieszkuje w człowieku, toć nazwać Je należy nie człowiekiem, lecz człowieczem, jako i ten, który zamieszkuje np. w Nazarecie, nie zwie się Nazaretem, lecz Nazarejczykiem. Więc i Ojca i Ducha św. nazwijmy człowiekiem, bo i Ojciec i Duch św. mieszka w ludziach. Jak zaś stało się, że choć jeden tylko jest

[1] Cyrilli Al. Opera, t. VIII., 1369—1420.
[2] Cyrilli Al. Opera t. VIII. p. 1253—1370.

Chrystus, Bóg człowiek, przecież zawieszony na krzyżu, nie cierpiał wedle Bóstwa, ale tylko wedle człowieczeństwa — dostatecznie i zupełnie wyjaśnić tego nie potrafimy. Stało się tu podobnie tak, jak gdy żelazo bierze w siebie ogień i czemś jednem z ogniem się staje, a jednak uderzenia młotem samo żelazo przyjmuje a nie ogień.

Podobnej treści i formy jest dyalog o Wcieleniu Chrystusa[1], który zresztą jest tylko przerobieniem rozprawy O prawdziwej wierze do Teodozyusza, tudzież kilka innych pomniejszych dyalogów. Daleko ważniejszą a ze wszystkich może pism Cyryla najgłębszą jest rozprawa: Przeciw bluźnierstwom Nestoryusza ksiąg pięć[2]. „Natrafiłem, mówi Cyryl w przedmowie, na książkę pełną bluźnierstw, na pozór z pewnym ładem i porządkiem ułożoną, która z pierwszego wejrzenia jakby się prosiła, żeby ją przeczytać. I gdyby pisarz coś w niej powiedział, co samem milczeniem możnaby przytłumić, to i ja może milczałbym i innym radziłbym, aby w pismach swych nie odświeżali słów tak niemądrych i nieprzezornych. Ale dzisiaj chodzi nam o zbawienie czytelników i przeto stajemy do walki. Najprzód przytoczymy zawsze wiernie słowa naszego heretyka, a potem roztrząśniemy je i na nie odpowiemy, nakształt doświadczonych wekslarzy, dobrą monetę w dogmatach od fałszywej odłączając".

Wierny wytkniętemu programowi przed każdym rozdziałem przytacza Cyryl słowa Nestoryusza, i zaraz obszernie na nie odpowiada. W pierwszej księdze broni Cyryl nazwy Bogarodzicy; we wtórej dowodzi, że Chrystus nie jest człowiekiem Boga noszącym; w trzeciej, że zjednoczenie natury Bożej i ludzkiej w Chrystusie nie jest przypadkowe, wedle godności i powagi, ale osobiste; w czwartej, że Chrystus prawdziwym jest Bogiem a nietylko mocą jakąś nadzwyczajną od Ducha św. obdarzonym człowiekiem i że w Sakramencie Ołtarza przyjmujemy nietylko ciało Syna Człowieczego, ale żyjącego Chrystusa: człowieka i Boga zarazem; w piątej wreszcie księdze uczy Cyryl, że Ten, który umarł i cierpiał za nas, był nietylko człowiekiem, ale i Bogiem, chociaż umarł i cierpiał wedle człowieczeństwa, a nie wedle

[1] Cyrilli Al. Opera, t. VIII., p. 1189—1253.
[2] Cyrilli Al. Opera, t. IX., p. 1—248.

Bóstwa. I dlatego mówimy: Chrystus umarł, choć Bóstwo nie umarło, bo Chrystus jest jednym Bogiem-człowiekiem. Tylko ten, kto w to wierzy. zwyciężył świat (I. Jana V., 5). Kto zaś nie wierzy Bogu w to, co zaświadczył o Synie swoim, czyni Boga kłamcą.

Pisma Cyryla rozeszły się po całym Wschodzie i zwróciły powszechną uwagę na ten niezmiernej wagi spór dogmatyczny. Cały więc Kościół wschodni podzielił się na Cyrylistów i Nestoryanów; hasłem pierwszych było: Marya jest Matką Bożą — hasłem drugich: Marya nie jest Matką Bożą. Nie chodziło tu wszakże o jeden więcej chwalebny tytuł Maryi, ale o cały szereg zagadnień, których rozwiązanie łączyło się z przyznaniem lub odmówieniem Matce Chrystusowej nazwy Matki Bożej. Cyryl pojął, że Nestoryusz podkopuje sam korzeń dzieła Wcielenia i Odkupienia naszego i dlatego z taką energią stanął do walki. Nestoryusz widząc, że nie sprosta Cyrylowi, zażądał zwołania powszechnego soboru. Tego samego domagali się natarczywie stronnicy Cyryla. Ulegając powszechnym życzeniom rozesłał (19 listopada 430) cesarz Teodozy II. okólnik do wszystkich metropolitów, wzywający ich wraz z ich sufraganami do Efezu na sobór w dzień Zielonych świątek. Pytanie, poruszone przez Nestoryusza, stanąć miało przed sądem powszechnego soboru; nowa herezya, jak wszystkie jej starsze i młodsze towarzyszki, przyczynić się miała do „rozwoju“ katolickiej wiary.

(Dok. nast.)

Ks. J. Badeni.

Z UKRAINY POŁABSKIEJ.

I. Kapitularze Karola Wielkiego.

Drogą handlową nadreńską, prowadzącą przez Turyngię do Moguncyi, jechał na ośle św. Sturmiusz, apostoł Germanii. Było to w 736 r. Zbliżywszy się do przeprawy przez rzekę Fuldę, spotkał on wielką ilość Słowian, kąpiących się i pływających w rzece. „Na widok takiej mnogości ludzi nagich — powiada biograf tego apostoła — osioł, na którym siedział mąż Boży, zadrżał z przestrachu, a woń od nich przejęła zgrozą samego apostoła. Oni zaś, jako poganie, jęli urągać słudze Pańskiemu i zamierzali nawet nań uderzyć, lecz ręka Boska wstrzymała ich. Ten zaś z tłumu, co służył za tłumacza, zapytał Świętego: dokąd jedzie, a ten mu odrzekł: że się udaje dalej, na pustynię. I tak przejechał podle nich“ [1].

To współczesne świadectwo jest bardzo ważne i wiarogodne. Stwierdza ono obecność Słowian w połowie VIII. wieku na tej samej drodze od Renu, którą przed tysiącem lat odbywał się z ich krajami handel rzymski. Obecność ich tam nie musiała być przypadkową, a zamanifestowana nie kilku lub kilkunastu osobami, lecz znaczną mnogością, powstać mogła albo z niedalekiego sąsiedztwa kolonij słowiańskich [2], albo z taboru handlowego, posuwającego się po owej drodze; na każdy sposób droga widocznie była znaną, a uczęszczaną przez nich. Prowadziła ona do brzegów Łaby przez

[1] Vita S. Sturmi. Monum. Germ. Pertz. II., 309.

[2] „Terra Slavorum, qui sedent inter Moinum et Radantiam fluvios, qui vocantur Moinvinidi et Ratanzvinidi“, p. u Szafarzyka, a również akta biskupstwa würzburskiego pod r. 832.

Naumburg, Merseburg do Halli, punktów bardzo ważnych w handlu zachodnio-lechickim [1].

Powyższa wiadomość biografa apostoła niemieckiego wprowadza nas w czwartą epokę żywota praojców naszych na zachodzie. Pierwszą stanowiłyby czasy rozsiedlenia się ich przed erą chrześcijańską w zachodnio-północnej Europie; drugą, wciskanie się tamże Germanów, wzrastającą przewagę drużyn germańskich i przejmowane przez nich pośrednictwo w naddunajskim handlu Słowian z Rzymianami [2]; trzecią, wyparcie Niemców ze Swewii ku południowi przez Atyllę w przymierzu z ludami słowiańskiemi, co sprowadziło napór cofających się drużyn germańskich na cesarstwo zachodnie i obalenię tegoż.

Jakoż wskazana powyżej obecność żywiołów północno-słowiańskich nad Renem i Dunajem możliwą tylko była jako następstwo zajętego wpierw przez nich silnego stanowiska na północy, skąd posuwać się mogli, w celach kolonizacyjnych lub handlowych, ku południowi, zajętemu przez szczep germański.

Nawzajem szczep germański zaczął posuwać się ku północy. Tak np. Fryzów już widzimy gromadnie kolonizujących się nad Łabą w okolicach Marscinerlandu i Białej Ziemi, na przestrzeni przylegającej do związku Lutyckiego i Stodorskiego. Tam oni w wieku IX. sypią już groble i osuszają błota. A cóż mówić o posterunkach i ruchach wojenno-handlowych, które znacznie musiały poprzedzić kolonizacyę! Obustronne stosunki handlowe odbywać się mogły podówczas albo za pośrednictwem owej od górnego Renu drogi turyngskiej, zbiegającej się z nadreńską w Moguncyi, albo na przełaj Saksonii przez Brunświk, albo wprost od ujść Renu morzem północnem do ujść Łaby przez Hamburg. Znaczenie tego ostatniego punktu i doniosłość jego handlowo-polityczna była znakomicie oceniona przez Słowian i Niemców. Dla jednych i drugich zawładnię-

---

[1] Dla słowiańskich ludów połabskich i nadbałtyckich zatrzymujemy ogólną nazwę Zachodnio-lechickich, względnie do Polski jako Wschodniej Lechii. Tożsamość lechickiego pochodzenia dla jednych i drugich udowadniamy w innych pracach naszych, z których pewne w zarysach lub w streszczeniu wyjątki, znane już są z publikacyj drukowanych, jak np. „Z Rujany“, „Ostatnie dnie Arkony i Swantewita“.

[2] Pliniusz hist. nat. XXXVII., 42.

cie ujściem Łaby stawało się kwestyą życia lub śmierci i od tego też w znacznej mierze zależała większa lub mniejsza doniosłość całego biegu Łaby dla jednych i drugich.

Odrzuceni od Łaby Germanowie wracali po dwóch wiekach znów ku niej i skupiali się coraz gęściej na lewych jej wybrzeżach, zajmując oddzielne tam punkta, najpierw pokojowo, sposobem kolonizacyjnym, a następnie ręką zbrojną. Żywotna jednak kwestya użytkowania tej drogi zawisłą stać się musiała, jak już powiedzieliśmy, od tego, w czyjem posiadaniu będzie ujście Łaby. I oto widzimy cały wiek VI., VII. i połowę VIII., jak się toczą zacięte boje między Germanami a Zachodnimi Lechitami o władanie ujściem Łaby. Walkę tę ze strony Lechitów prowadzą Wagrowie, ze strony Germanów północne odłamy Sasów z tak zwanej Nordalbingii.

Walka to była, jak widzimy, długa, a przytem uporczywa i nieustająca, jak każda walka na kresach i ukrainach w owe czasy, kiedy przeciwnicy przerywali bój po to tylko, aby odpocząć i nabrać sił do wznowienia go w sposób jeszcze zaciętszy i bardziej nieubłagany. Cóż dopiero, gdy do zapasów wystąpili dwaj podówczas najwaleczniejsi przedstawiciele obu ras, Sasi i Wagrowie. Toczona ze zmienną koleją szczęścia, musiała ona nieraz przechylać szalę zwycięztwa na stronę Słowian i w owych chwilach ujście Łaby i brzegi morza niemieckiego w kierunku północnym były w ich władaniu, jako to widać z osad słowiańskich, które tam docierały, a których ślady zostały tak w nazwach spółczesnych, jakoteż dochowanych do dni naszych.

Walka ta jednak tak wyczerpała siły obu stron, że Wagrowie, którzy w czasie jej trwania przodowali znaczeniem i potęgą reszcie Zachodnim Lechitom, a zwłaszcza plemionom obotryckim, utracili w końcu to przewodnictwo (które przeszło do właściwych Obotrytów); a Sasi chociaż zdołali utrzymać i ujście Łaby i północne pomorze niemieckie, zbyt jednak byli wycieńczeni, aby potrafili wyzyskać zwycięstwo w kierunku posunięcia się lądem słowiańskim ku przeciwległemu Bałtykowi. Rolę tę wzięło na siebie cesarstwo Zachodnie. A i samo handlowe stanowisko zajętego przez nich wybrzeża nie miało znaczenia takiego, jakiego później nabrało przy wzmożeniu się związku hanzeatyckiego.

W owych czasach, z nadchodzącą epoką Karolingów, powsta-

jący Hamburg był jeszcze na poły słowiańskiem, na poły niemieckiem miastem, a i na długo takim pozostał. Dwojaką miał nawet nazwę — słowiańską: *Kamień* (Camenburg) i *Bogbór*, z których jedna, jak się zdaje, poprzedziła niemieckie jego zaludnienie, a druga znacznie później powstała, kiedy Słowianie w okolicach jego stawali się coraz rzadszym i bardziej niknącym żywiołem, i jeśli dawali rozgłos imieniowi swemu w murach jego, to aby je zburzyć, spalić i splądrować z orężem w ręku i pod chorągwią zdala zjawiających się zbrojnych zastępów Obotryckich.

Była nawet chwila, kiedy Niemcy dobrowolnie ustąpili ujście Łaby na rzecz Zachodnich Lechitów. Zdarzyło się to wówczas, kiedy Karol Wielki, nie mogąc przełamać oporu Sasów, wzdragających się przed chrześcijańską jednością cesarstwa zachodniego, dla poskromienia ich oddał swym wiernym sprzymierzeńcom Obotrytom Nordalbingię czyli zachodnią część Halzacyi do ujścia Łaby i wybrzeża morza północnego [1], a pokonywanych i chwytanych Sasów przesiedlał z rodzinami w głąb Germanii i Galii. Nie umieli jednak korzystać Obotryci z tak dogodnej sposobności do ustalenia się i zatrzymania tak dobrej pozycyi. Zresztą krótkotrwała była ta łaska czy omyłka cesarza Franków, a może i nieszczera. Zaledwo kilka lat minęło, obsadził on Nordalbingię swojemi wojskami i obronną linię cesarstwa posunął jeszcze dalej w głąb lądu na wschód. Obotryci nie mając co robić, bez oporu i protestu zwolna ustąpili z zajętych pozycyj, i w ten sposób straconą została dla Słowian możność przełamania tego muru, którym Niemcy oddzielali ich od zachodu, a z nią najłatwiejsza i najkrótsza droga morska do Anglii, Francyi i Włoch, droga wszechstronnego, bez monopolu Germanów, rozwoju ogólno-cywilizacyjnego, religijnego i handlowego.

Utrzymawszy za sobą ujście Łaby i wybrzeże morza północnego, Niemcy korzystać zaczęli ze znaczenia handlowego tej linii którąśmy gdzie indziej zaznaczyli jako ostatni kres szlaku fenickiego, to jest linii zwróconej zarówno ku wschodowi jak zachodowi między Hamburgiem a Ripen. Na razie południowe tylko kończyny tej linii

[1] Saxones transalbianos cum mulieribus et natis transtulit in Franciam (a podług Annal. Lauriss.: per Gallias caeterosque regiones... dispersit) et pagos transalbianos Abodritis dedit (Annal. Fuldenses w Pertza Monum. German I., 533).

były w ich zupełnem rozporządzeniu. To też handel swój jeśli mogli prowadzić, to tylko na Hamburg, ztamtąd nie na Lubekę, która wówczas była jeszcze w posiadaniu Słowian, lecz przekraczać musieli t. z. limes Saxoniae, obchodzić od północno-zachodniej strony posiadłości Wagrów, i przez rzekę Egdorę dostawać się do Heidebo czyli późniejszego Szlezwiku. — Jednocześnie przystąpiono z ich strony do zawładnięcia samego szlaku, t. j. dolnego i średniego biegu Łaby od strony Saksonii i Turyngii. Cesarstwo zrozumiało ważność jego, i wyręczając Sasów, rozpoczęło kroki stanowcze ku utwierdzeniu się na nim i zapewnieniu z niego korzyści handlowych dla Germanii.

Pytanie — co to był za szlak, kiedy nim zawładnięto, kiedy i w jaki sposób zeń zużytkowano — jest nadzwyczaj ważnem, bo odpowiedź na nie rozjaśnia z jednej strony kwestyę aborygenatu Niemców i Słowian nad średnią i dolną Łabą, a z drugiej rozstrzyga o późniejszem stanowisku ekonomicznem Słowian i Niemców w północnej i środkowej Europie.

Mamy właśnie przed sobą kapitularz Karola Wielkiego. Data jego r. 805 po Chr. Dowiadujemy się z niego, że Cesarz Zachodu wybiera i wyznacza na lewej stronie Łaby trzy punkta składowe dla towarów: Bardewik (naprzeciw Lauenburga) i Szezel (niedaleko Luneburga) u dolnego biegu tej rzeki, a Magdeburg u średniego, tam tylko nakazując skierowywać handel pod rygorem kar dla sprzeciwiających się [1].

Akt ten cesarstwa — jako występującego podówczas w Europie w imię jedynie prawowitej od Boga władzy, w imię porządku i cywilizacyi — przedstawiać się musiał tym, którzy na nie patrzyli zawsze li tylko ze stanowiska tychże samych aspiracyj i mniemań co dwór wielkiego monarchy i jego otoczenie, nie zaś podług realnych stosunków, — jako akt uporządkowujący i dający dyrektywę ekonomiczną. I słusznie tak sądzić mogli, jeśli tylko patrzyli przez szkła

[1] De negotiatoribus, qui partibus Sclavorum et Avarorum pergent, quo usque procedere cum suis negotiis debeant, id est in partibus Saxoniae usque ad Bardaenowic, ubi praevideat Hredi, et ad Schezla, ubi Madalgaudus praevideat, et ad Magadoburg praevideat Aito.. Et ut arma et brunias non ducant ad venundandum. Quod si inventi fuerint portantes, ut omnis substantia eorum auferatur ab eis, dimidia quidem pars partibus palatii, alia vero medietas inter missum et inventorem dividatur. (Capitulare Caroli Magni w Mon. Germ. Leges. rok 805).

nadwornego biografa, wołającego, że berło Karola Wielkiego sięgało dzielnic Polski, cywilizując barbarzyństwo wschodniej Europy[1]. Nieuzbrojonemu jednak szkłem takiem wzrokowi rzucał się w oczy już od pierwszego wejrzenia prohibicyjny charakter kapitularza niepozbawionego ówczesnych dążeń politycznych a skierowanych przeciw Zachodniej Lechii. Zakaz wywozu tam broni zdradza ową dążność. A gdy się również bez żadnego uprzedzenia odczyta ustęp kapitularza o wyznaczeniu punktów składowych dla kupców słowiańskich i awarskich (negotiatoribus, qui partibus Sclavorum et Avarorum pergent), staje odrazu na myśli sam przez się znany handel *naddunajski*, a owe trzy punkta składowe jako zostające w związku z drogami do owego handlu prowadzącemi. Istotne jednak i dokładne znaczenie jego wyjaśnia się dopiero przy bliższem rozpatrzeniu się w warunkach etnograficznych i topograficznych z epoki obejmującej czas wydania kapitularza.

Maleńki kraik Połabian był tak zaludniony, tak ruchliwy, że mała przestrzeń jego roiła się osadami miejskiemi i grodami lub miastami, którym przodowały Chociebuż (Gadebusch) i Racibor (Ratzeburg) późniejsza stolica dyecezyi[2]. Leżąca z lewej strony Łaby owa przestrzeń kraju, na której się znajdowały powyższe dwie przeprawy warowne: Bardewik i Szezel, weszła w skład ziemi Bardów i nazwaną również została Bardengau; południowa jej część, znana ziemia Drzewian i Glinian (Drawehn i Linegau), była właśnie owym cudownym zakątkiem Wendlandu, który najdłużej ze wszystkich ziem Połabszczyzny lechickiej, bo do końca XVIII w. zachował żywe ślady słowiańskości.

Między Bardewikiem a Dziewinem rozsiadły się liczne grody i miasta wzdłuż Łaby po obu jej brzegach i to często przeciwlegle, tak że grodowi lub miastu prawobrzeżnemu odpowiadało lewobrzeżne, zbudowane tuż nad samą Łabą lub w bliskiej od niej odległości. I tak idąc od północy ku południowi w górę rzeki, mamy od strony Lechitów czyli z prawej: miasto Lauenburg i wyspę *Mezęrec* (Międzyrzec), a od strony cesarstwa czyli z lewej Bardewik

[1] „Deinde omnes barbaros ac feras nationes... inter Renum ac Visulam... ita perdomuit“ (Einh. vita... M. G. 11, 15).

[2] Helmold — i Jahrbücher des Vereins für Meklemb. Gesch. u. Alterth. (Schwerin 1836—1874).

i dalej Radegast, tudzież Grodec; za niemi po prawej Łęczno (Lenzen), po lewej Hidsaecker (czyli Łuczkow p. Perwolf 381); u ujścia Hawoli — Niż i Hawelberg, a z przeciwnej strony — Werbno, Wallislewo i Arneburg; dalej Kobylice, a po lewej, u ujścia Tangery — Tangermünde; jeszcze dalej Czartow (Schartau) i Burg, a u ujścia Ory — Uściura (Wolmirstedt); nareszcie Biedrzyce (Biederitz), a naprzeciw, Dziewin (Magdeburg). Prawobrzeżne tu wyliczone, były pochodzenia słowiańskiego i prawie wszystkie już istniały w chwili ogłoszenia wzmiankowanego wyżej kapitularza Karola Wielkiego, o lewobrzeżnych tego dotychczas powiedzieć nie umiano, czy nie chciano, bo chociaż i one po większej części były słowiańskiemi, jednak powstać miały znacznie później. Panuje pod tym względem nawet między słowiańskimi badaczami — jak Hilferding, Perwolf itd.— przekonanie, że do i za Karlowingów po lewej stronie Łaby, począwszy od ujścia Solawy aż do Hamburga, nie było zgoła jeszcze Słowian, lecz że się przenieśli tam dopiero za cesarzów z domu saskiego [1], korzystając z wewnętrznych niesnasek Germanii i wycieńczenia tego kraju. W ten sposób Załabszczyzna, która dziś w pospolitej mowie ludu niemieckiego zowie się Wendlandem, byłaby skolonizowaną przez Słowian dopiero w końcu IX i w X wieku. Wobec tego trudno wytłumaczyć, dlaczego ci właśnie koloniści najdłużej zatrzymali swą narodowość i cechy słowiańskości, o wiele dłużej niż ich metropolie, posiadające niegdyś byt polityczny i walczące nieraz z taką siłą oporu, która jak współczesnych dziwiła, tak i nas w zdumienie wprawia? Odpowiadają nam na to, że Słowianie ci, raz przyznawszy nad sobą władztwo Niemców, nie czynili żadnych usiłowań zbrojnych do zrzucenia owego; że przeto Niemcy względniej i miłościwiej obeszli się z nimi, niż z ich wojowniczymi sąsiadami nad Solawą i prawym brzegu Łaby; że nareszcie miejscowość odnośna, otoczona pustynią i bagnami, łatwiej i dłużej ich ochraniać zdołała.

Rzeczywiście i dziś jeszcze cały ten kraj obrzeżony jest z jednej strony pustynią luneburską (Lüneburger Heide) i wielkim lasem Göhrde, a od strony Łaby tu i ówdzie błotami i trzęsawiskami tak głębokiemi że nazwa ich przeszła w imię własne *Marscinerland*

[1] Hilferding 314 i nast.; Perwolf na różnych miejscach.

graniczący z ziemią Bełzką (Balsamerland). Lecz takie same pozycye znajdujemy w całej Połabszczyznie Z. Lechickiej z prawej strony Łaby. Cała ziemia Obotrytów, Lutyków i Stodoran były pasmem trzęsawisk i błot, do których też i zastosowany był znany sposób obronny prowadzenia wojny przez Z. Lechitów, polegający na budowie grodów w miejscach otoczonych jeziorami, błotami lub lasami. Nie oparły się one jednak naporowi germanizmu, który umiał dosięgnąć i te niedostępne twierdze słowianizmu. Miałżeby być wstrzymany takąż samą pozycyą z tej strony Łaby, pozycyą wystawioną na pierwszy ich impet, bez zajęcia której myśleć nie mogli o zabezpieczeniu swych pleców?

By jednak lechiccy mieszkańcy Załabszczyzny spokojnie i kornie zachowywali się względem Niemców — historya nie stwierdza, owszem, kronikarz wieku XII tak powiada: „Ziemie te bowiem były — jak mówią — niegdyś, a mianowicie za czasów Ottonów zamieszkałe przez Sasów... lecz gdy potem Słowianie przemogli, Sasi zostali pozabijani, a ziemia do naszych czasów w posiadaniu Słowian pozostała. Teraz zaś, gdy Bóg hojnie księcia naszego i innych książąt zbawieniem i zwycięztwy obdarza, Słowianie wrzędzie zostali wytępieni i wypędzeni, a od granic oceanu sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone“ i t. d.[1].

Nigdzie tu wzmianki nie ma o tem, że Słowianie z prawego brzegu wtargnęli na lewy i w skutek tego odparli panujących tu Sasów; przeciwnie, wyrażenie się kronikarza, że Słowianie przemogli (praevalentibus Slavis), wskazuje, iż to byli tubylcy Słowianie, oddawna razem mieszkający wraz z Sasami; bo przemagać może ktoś już istniejący, będący na miejscu, a gdy przemoże w wojnie domowej, wtenczas zabija (occidit), nie zaś zwycięża, jak w wojnie zewnętrznej; bo aczkolwiek Helmold co do rezultatu omylił się, i okazało się, że Słowianie nie zostali wszędzie wytępieni i wypędzeni, to jednak mówiąc o odwecie na przybyszach, nigdyby nie użył był tego wyrażenia; bo się wytępia i wypędza tylko rokoszan zasiedziałych na miejscu, — a przybyłych z zewnątrz do walki rozprasza się i ściga, zwłaszcza w wojnach z Zachodnimi Lechi-

[1] Helmold I. 88 (... sed *praevalentibus* postmodum Slavis Saxones occisi....).

tami, którzy je toczyli w IX., X. i XI. wieku tylko w obronie tych grodów, gdzie przebywali; a jeśli żądzą lub potrzebą odwetu zmuszeni byli opuścić je i wyjść po za terytoryum własnego plemienia, jednej swojej żupy lub ziemi, to walka wtenczas nosiła zawsze charakter najazdu, a po splondrowaniu, spaleniu i zburzeniu ziemi najechanej, cofali się jak najspieszniej do swoich ognisk, wcale nie kusząc się o zdobywanie nowych terytoryów, chyba, że na nich zastali podstawę i materyał z dawniej zasiedziałych pobratymców, których zatrzymać pragnęli, i przy pomocy ich zbudowawszy nową linię obronną, wcielić takową do własnych posiadłości. Tak postępował Godeskalk, Kruk, Nikłot, tak postępowali zarówno Ranowie i Stodoranie, jak Obotryci, Lutycy i Pomorzanie. Tem bardziej tak a nieinaczej postąpić musianoby w tym wypadku, gdy przedmiot działania znajdował się oderwany od pierwotnej linii operacyjnej tak straszną przeszkodą jak szeroka Łaba, a jej lewy brzeg wchodził w obręb niemieckiej linii operacyjnej, mocno tu obwarowanej.

Jedno więc z dwojga: Sasów wypędzili z lewego brzegu albo sami Załabianie — i wówczas był to protest krwawy, wcale nielicujący z wrzekomo potulnem ich zachowaniem się względem Niemców, albo uczynili to Lechici z prawego brzegu, a w takim razie utrzymać zdobyte po lewej stronie terytoryum mogli i chcieli tylko przy współdziałaniu pobratymców, których zastali na miejscu.

Gdyby zaś przypisywać zaludnienie Słowianami Wendlandu dopiero zbrojnemu najściu prawobrzeżnych Lechitów, z epoki walk wspomnianej u Helmolda, t. j. reakcyi przeciw Germanom po śmierci Ottona III., lub — jak chce komentator Helmolda [1] — reakcyi zbrojnej, która miała miejsce wiekiem wstecz, zaraz po rozpadnięciu się monarchii Karolingów, a zawsze inicyatywie Lechitów prawobrzeżnych, to pytanie: czemużby oni tegoż samego uczynić nie mieli jeszcze wcześniej? A przecież na sposobności nie brakło, jak np. w czasach owych, kiedy na prośbę Pipina Franków o pomoc, „wodzowie surowego narodu Słowian“ (duces gentis asperae Sclavorum) mogli stanąć na czele 100-tysięcznej armii, przejść z nią na lewy brzeg Łaby przeciw Sasom [2] i samą grozą swej siły zmusić ich do pokoju.

[1] Hilferding 342.

[2] W Pertza Annal. Mettens. I. 330.

Stosunki nieprzyjazne między obu ludami lewego brzegu nosiły na sobie charakter taki sam wzajemnej nienawiści i nieufności, jak na prawym, a zakorzeniły się tak trwale, że nawet w czasie najgłębszego pokoju przy funkcyonowaniu czynności życia codziennego objawiały się w sposób z obu stron drażliwy i niezdradzający ani łagodnego wykonywania władzy przez zwycięzców, ani faktycznego uznania porządków onej przez zwyciężonych. Tak w północnowschodniej części Starej Marchii z połowy XII. wieku dochodzi nas wiadomość, że słowiańscy rolnicy podatków nie płacą, tak, że takowe władze niemieckie gwałtem, siłą zbrojną wymuszały [1]. W innym znów zakątku, a mianowicie w ziemi Bardów w XIV. wieku skarżą się ludzie klasztorni, że ich sąsiedzi Słowianie podpalają i grabią [2].

Zjawiska takie, jak wzbranianie wstępu do cechu kupcom pochodzenia słowiańskiego, wydalanie ich z rady miejskiej, wzbranianie Słowianom nabywania domów miejskich i t. p., powtarzały się tak samo tu, jak i w reszcie Połabszczyzny, z tą chyba różnicą, że gdzieindziej aplikowano to już w XIII., a tu dopiero zaczęto w XV. wieku [3].

Istniały tu pewne jeszcze urządzenia starosłowiańskie, z których jedne były pochodzenia dawniejszego, inne znów znamionowały łączność, podtrzymywaną między Lechitami lewego a prawego brzegu Łaby. Tak luneburscy rolnicy używali słowiańskiego r a d ł a (radli podług Henniga), obok niemieckiego pługa (plaug, podług tegoż), i, jak załabscy Lechici, płacili dziesięcinę kościelną, b i s k u p n i c ę [4]. W XII. i XIII. wieku widzimy wioski na porzeczu Ory (Podgorzyce, Bożyce, Kruszyce), należące do klasztoru hilleslewskiego (Hillersleben), płacące temuż klasztorowi podatek w naturze chlebem, t. z. *wozop* [5], który na Pomorzu płacono księciu, i ściągano również w ziemiach lutyckich, a tu i tam uważano go jako powin-

[1] „Sclavi decimam non solventes... quam militaris violentia extorquebat“ (J. Perwolfa Германизація Балт. Слав., str. 70.

[2] Tenże 40.

[3] Idem 74.

[4] Perwolf 41.

[5] Reditus annualis qui vocatur *wozop*, annona quae in vulgari *woszop* dicitur; frumentum quod *wozop* vocatur (u Perwolfa 69—70).

ność ziemską, nieznaną Niemcom i stanowiącą część składową *juris slavici* w przeciwieństwie do niemieckiego *jus teutonicum*.

Jest to ta sama ziemska powinność, w Polsce używana też jako o s e p.

Jakby mogli pozwolić Niemcy na pozostawienie Słowianom tego rodzaju rodzimych urządzeń, gdyby ciż Słowianie nie byli tu oddawna tubylcami, a ich instytucye nie wyrosły wraz z nimi i z biegiem czasu? Że holenderskim kolonistom nad Łabą zostawiono niektóre przywileje i urządzenia własne, to rzecz zrozumiała, albowiem sprowadzili ich sami Sasi; ależ lechickich kolonistów nikt nie sprowadzał, lecz sami przyjść mieli.

Jeśli już mowa o *jus slavicum*, to nie małej wagi okazuje się zjawisko, które dostrzegamy w drugiej połowie XIV. w. w ziemi *Bevensen*, na południe od Luneburga między Ilmenawą a lasem gordskim; znajdujemy tam urządzenie wyraźnie zaznaczone pod nazwą s ł o w i a ń s k i e g o p r a w a d e d e n i k a (jus slavicum quod dedenick vocatur [1]). Tożsamość już nietylko pojęcia, ale tego samego wyrażenia się, znajdujemy w sposobie, jakim władała w r. 1354 szlachta Zwierzyńska (Schwerin) wsią Röbbelstorff, a mianowicie *cum molendino et cum* ***jure slavico***, *quod* ***dedenick*** *vocatur* [2]. Jest to widoczne prawo polskiego i w ogóle słowiańskiego d z i e d z i c z e n i a [3]. Podług niego szlachta lechicka tak wschodnia (polska), jak zachodnia (połabska), władała dobrami ziemskiemi tytułem własności, bezsprzecznie przechodzącej na dzieci drogą dziedzictwa. Wciskająca się do Zachodniej Lechii szlachta niemiecka przyjmowała dawane jej przez książąt lechickich dobra w lenno i stawała się wasalami księcia. Za ich przykładem nie omieszkali pójść krajowcy, zamieniając dziedzictwa w lenna. W ten sposób przechodziło *jus haereditarium* w *jus feodale*. A że odmiennym był sposób dziedziczenia u Słowian, zachowali więc Niemcy odnośnemu prawu nazwę specyficznie prawa s ł o w i a ń s k i e g o. Jeśli jednak było ono właściwością stanu rycerskiego, to jak pogodzić istnienie

---

[1] U Perwolfa 41.

[2] Tamże.

[3] Dedan połabskie = polskie dziedzic (p. Dr. Pful'a Pomniki Połabian Słowjańćiny w Časopisie Tow Mać. serbskeje za rok 1864).

jego ze stanem ludności załabskiej, gdyby ta powstała sposobem kolonizacyi? Ludność osiedlająca się w takiej masie na obczyźnie, jak się to działo w Luneburskiem i w ogóle w Załabszczyźnie, prawie zawsze składa się z warstwy ludowej: stan szlachecki jako jednostki, jest skorszym do opuszczenia zagonów ojczystych, jeśli go ku temu nęcą widoki korzyści ekonomicznych lub towarzyskich, ale w masie nie będąc zniewolony ostateczną koniecznością, jest o wiele trudniejszym do emigracyi, bo zamienia ustalone w kraju stanowisko na niepewne losy w obczyźnie. Więc jedno z dwojga: albo była szlachta w załabskim Wendlandzie i dochowała w stosunkach swoich resztki rodzimego słowiańskiego prawa dziedziczenia i w takim razie musiała być autochtonami, albo *jus dedenick* przeszło do pojęć ludowych ogólnego prawa dziedziczenia, a w takim razie musiałoby być ogólniejszem i bardziej rozpowszechnione, niż je znajdujemy w formie tak wyjątkowej, jakby echo znikłego w dalekich czasach zwyczaju.

Analogiczny niejako z tem objaw napotykamy i w innem zjawisku, a to w zamianie imion pospolitych na własne. Jadąc Łabą za górnym jej biegiem o $1^1/_2$ mili od Lauenburga spotykamy na lewym jej brzegu wioskę Gartze, na którą szczególniejszą zwrócić pragnęlibyśmy uwagę czytelników. Leży ona w tej części hanowerskiego Wendlandu, króra kolejno przybierała nazwę ziemi Bardów (Bardengau), Drzewian (Drewani) i Luneburskiej (Glinian). O jakich ośm mil dalej w kierunku południowo-wschodnim, idąc zawsze za biegiem rzeki w górę, natrafiamy również (a zawsze po lewej stronie Laby) prawie na pograniczu Starej Marchii miasteczko Gartow lub Gardow, jak widać więcej brzmieniem niż przestrzenią zbliżone do tamtej wioski. I zaprawdę, zbliżenie brzmień nie jest przypadkowem, i jedna i druga nazwa jest prostą przeróbką niemiecką (tak często i dziś praktykowaną w Prusach) lechickiej nazwy, służącej do określenia jednego i tegoż samego pojęcia grodu czyli gordu[1], jak go wymawiali Zachodni Lechici. Jakoż Gartze było to u Załabian Gardec[2] = Gradec, a właściwie Gordec

[1] Połabsk. gord = polskie gród, a połab. grod oznaczał polskie grad zgodnie z gwarą mazur. i kaszubsk. p. Schleichera Laut und Formenl. der Polabisch. Spr., str. 35 i 69.

[2] Hilferding Ист. Б. Сл. 326.

(Grodec = Grodek), Gardow zaś nazywali oni Gordsko[1]. Chociaż jedno z nich zostało wioską, drugie miasteczkiem, to jednak oba niewątpliwie musiały być pierwotnie grodami i im wcześniej zostały niemieckiemi, tem w dalszą starożytność odnieść należy początek ich słowiański. Pierwotnie mieć one mogły jakąkolwiek nazwę własną, którą utraciły po długiem przeciągu czasu, a stać się to mogło tylko w ten sposób, że najpierw stracić musiały pierwotne swe przeznaczenie i przestać istnieć jako grody, gdy jednocześnie ludność, która je wzniosła, stopniowo skład swój zmieniała, zastępując resztki swoje nowymi przybyszami, których pamięć nie była odświeżaną ciągłem brzmieniem imienia własnego i takowe nareszcie z biegiem czasu zniknąć mogło zupełnie. Ci jednak przybysze musieli być jednoplemiennikami z dawniejszymi mieszkańcami i rozumieć tak samo znaczenie wyrazu gród jak poprzednicy, skoro je zatrzymali aż do czasu, gdy Niemcy swoje na tem miejscu wznieśli osady i nazwali je wyrazem najczęściej obijającym się o ich uszy, a przywiązanym do miejscowości jakby imię własne. Coś podobnego znajdujemy na prawym brzegu Łaby w stosunku odwrotnym. W ziemi Moraczan pojawili się Niemcy, których następnie ztamtąd wyparto; ale ślady pobytu zostawili w mieście, które od nich poprostu zwać się poczęło Burgiem[2], i z tą nazwą pozostało na zawsze. Tu jeszcze prędzej zniknąć musiało imię własne, które będąc twardem i prawdopodobnie niezrozumiałem dla Słowian, w pamięci ich zatrzymać się długo nie mogło.

Prawdopodobnie jednak nie miały one od samego początku istnienia żadnej nazwy i poprzestawały na imieniu pospolitem Gorda, a to się tłumaczy łatwo tym zwyczajem słowiańskiego ludu w ogóle, a lechickiego w szczególności, jakiego się trzyma zawsze w mowie swojej względnie do bliskiej miejscowości. Jak w Rzeczypospolitej szlachcic mówiąc o grodzie swej ziemi, nie wspominał najczęściej imienia jego ani w mowie potocznej, ani w aktach nawet pisemnych, lecz się ograniczał samem znaczeniem imienia pospolitego (jak np. byłem w grodzie, stawałem w grodzie, działo się w grodzie), bo takowe zupełnie wystarczało i rozumiało się, że mowa tylko

[1] Perwolf Герм. Б. Сл. 38, 44, 71. (Gartów w XVII w. po słowiańsk Gorsty jako skażenie Gordsko = polsk. Grodzisko (Hilferding 329).

[2] Perwolf 77.

o grodzie jego ziemi, nie zaś o żadnym innym; tak też i lud nasz do dziś dnia mówiąc o najbliższem mieście omija jego nazwę własną i powiada: było się w mieście, słychać w mieście i t. p. Jeszcze większe uwzględnienie zwyczaj ten znajdował w Zachodniej Lechii przez wzgląd na stanowisko i znaczenie tamtejszych grodów. Gród Zachodnich Lechitów nie był czemś samodzielnem lub odrębnem od ziemi, opola lub żupy, w której się znajdował. Stanowił on wraz z nią nieodłączną i spółistniejącą razem całość. Rządząc się tem samem prawem niemieckiem był w zupełności zawisłym od tej ziemi, od tej żupy, był koniecznym i bezpośrednim jej organem, służąc zawsze i wszędzie tylko jej celom i jej interesom. Stał najczęściej pustym i napełniał się chwilowo okoliczną ludnością wtedy tylko, gdy takowa zbierała się tam dla obrony od nieprzyjaciela, dla ofiar religijnych w świątyni lub dla wymiaru sprawiedliwosci w sądzie. To też i wyrażenie gród a sąd było, jak i w Polsce jednoznaczne. Stała liczniejsza ludność kupiła się w tych grodach, które same były handlowymi. Wówczas gród wraz z zamkiem mógł jak dawniej być niezajętym i jak dawniej służyć tylko jako miejsce zgromadzania się ludności żupy jego, a miejscowa ludność handlowa i przemysłowa rozsiedlała się wtedy u podnóża jego na przedmieściach. Będąc grodem ziemi i li tylko ziemi, nie jej dawał nazwisko, lecz od niej brał takowe, tak Glińskiej [1] żupy — gród Glin, Łęczyńskiej — Łęczno [2] (dziś Lenzen) i t. p., lub zgoła mógł nie mieć żadnej nazwy i być tylko po prostu grodem żupy zemczyckiej, lisickiej, teltowskiej, barnimskiej i t. d. Dlatego to kronikarze średniowieczni pisząc o zdobyciu jakiego grodu lub o pewnym fakcie mającym tam miejsce, często nie są w stanie podać zgoła żadnej właściwej nazwy onego, lecz zmuszeni są ograniczać się na parafrastycznym sposobie wyrażenia się w rodzaju np. *civitas Kycinorum, castrum quod adjacet.* Nie podawali nazw dlatego, bo ich nie było lub że ich używali sami mieszkańcy bardzo rzadko [3], bo imiona miejscowości powstawały tylko bądź przy gęstszem zaludnieniu, bądź przy zetknięciu się z obcymi ludźmi, dla których bliższe określenie stawało się koniecznością.

[1] Od terenu gliniastego całej okolicy.
[2] Od nadmiaru łąk okolicy.
[3] Porówn. rzekę *Jecze* lub las *Cheyne.*

Niemcy, jako powiedzieliśmy, zająwszy te grodziska czyli miejsca dawniejszych grodów, lub jeszcze istniejące grody, zamieniali je w swoje osady wiejskie lub miejskie i chrzcili je mianem imion pospolitych, przyjmując je — bardzo być może przez nieznajomość języka, — za imiona własne. Że tak być musiało, stwierdza i ta okoliczność, że niekiedy nawet oddzielnym epitetem zaznaczali pochodzenie lechickie takich grodów, jak się to stało właśnie z wioską, położoną w tych samych stronach na porzeczu Ory, a którą nazwano *Winidischenburch*, t. j. grodem Wendów. Był on już znany pod tą nazwą w pierwszej połowie X wieku, bo w r. 937 [1].

Na taką przemianę i przeistoczenie nie wystarczały dziesiątki lat, lecz potrzebne były nawet wieki, i jeśli w ostatniem przekształceniu niemieckiem pojawiają się już grody na początku X w., to pierwotne ich stadyum słowiańskie odnieśćby należało co najmniej do początków VIII w., a w znacznej części do epoki nawet wcześniejszej. Przy bliższej analizie dróg, jakiemi to przekształcenie się odbywało, przy zestawieniu przyczyn, które wpłynęły n. p. w tym razie na danie jednym osadom epitetów zaznaczających lechickie pochodzenie, wówczas gdy inne pozostały bez niego, można byłoby nawet dojść, jeśli nie do daty więcej pewniejszej co do ich zajęcia przez Niemców, — to przynajmniej do wykazania, które z nich były wcześniejszemi lub późniejszemi. Gdy to jednak na teraz okazuje się dla nas zbytecznem, poprzestajemy na zaznaczeniu dwóch jeszcze odnoszących się do tego przedmiotu okoliczności: A najpierw, że od grodów lub grodzisk tych pochodzenia lechickiego odróżnić można, chociaż nie zawsze, ale bardzo często miasta i osady pochodzenia niemieckiego, choćby one nosiły obok niemieckich i słowiańskie nazwy, a to nietylko przez to, że powstałe później, były co do roku powstania i założenia swego skwapliwie notowane w aktach lub kronikach (pisanych przez Niemców, a których Słowianie poganie nie posiadali), ale oraz i przez to, że nazwy takie słowiańskie okazują się prostem zwykle tłumaczeniem odnośnych nazw niemieckich. Bo jak Niemcy germanizowali nazwy słowiańskie, tak na odwet Lechici słowiańszczyli nazwy niemieckie, pomijając to, kiedy i która strona czyniła to dla pobudek politycznych, a która dla dogodności życia codziennego,

[1] Perwolf 34. 35.

dość wskazać na różnicę co do sposobu przeinaczania nazw przez jednych lub drugich; wówczas gdy Niemcy najczęściej przekręcali wyrazy słowiańskie, naciągając je do praw swojej fonetyki lub etymologii, np. *Branibor* wyszedł u nich na *Brandenburg*, *Lubusz* na *Lebus*, *Zwier(z)yn — Schwerin*, *Wostrow — Gustrau*, *Podbuzie — Putbus*, *Podstąp — Potsdam*, *Czartów — Schartau* i t. d.; Słowianie, Zachodni Lechici, częściej tłumaczyli samo znaczenie wyrazu, np. ten sam zniemczony *Brandenburg* zlaszyli na *Zgorzelec*, *Schnakenburg* wyszedł u nich na *Gadij-Gord* (Gród gadzinowy), *Magdeburg* na *Dziewin* i t. p. [1].

Drugą okolicznością, zwracającą jeszcze uwagę naszą na ten sam przedmiot, jest rozpowszechnienie nazwy *gord*, *gród* w Zalabszczyznie. Takie przykłady, jak powyżej przytoczone w wyrazach *Gordec* (Gartze) i *Gordsko* (Gartow), nie są odosobnionymi, spotykamy je bardzo często, tak samoistnie i oddzielnie (jak Gartz w Osterburskim — Hilferd 332), jakoteż w rodzaju przydawki końcowej do innego wyrazu [2]. Co więcej nazwa ta przechodzi na przestrzenie, zajmujące nieraz o wiele więcej obszaru, niżby go zmieścić mógł gród, a stanem i przeznaczeniem swojem niemające nic wspólnego z grodem. Zdaje się, iż do tej kategoryi zaliczyćby można było ów wielki las *Göhrde*, zalegający część Luneburskiego.

Jeśli późniejsze badania stwierdzą, że po za tym lasem dwie tylko wioski lechickie były [3], że więc tu był zachodnio-południowy kres Połabszczyzny, to las *Göhrde* można będzie słusznie uważać jako ostatni las krainy *grodów* v. *gordów* [4].

Wyciągając tedy wniosek z przedłożonych przez nas powyżej faktów i kombinacyj, twierdzimy, że zaludnienie lewego porzecza

[1] Oczywiście, że po jednej i po drugiej stronie były wyjątki w przeciwnym kierunku, np. wagrski gród *Starogród* Niemcy przetłumaczyli za przykładem duńskim (Altenburg) Oldenburg, a zaś Zach. Lechici przekręcali niemieckie, np. *Hillesleben* na *Hillesława*; jak znów były miejscowości noszące jednocześnie dwie różne nazwy, jedne u Lechitów, drugą u Niemców, np. *Wollmirstedt-Ustiure* p. Dytmara.

[2] Schnackenburg w XVIII. w. nazywał się u Słowian Godegard, jako skażony wyraz Gadigard (Hilferd. 329).

[3] Vindorf, Boitze (Hilferd. 329).

[4] Co do pochodzenia wyrazu *Göhrde*, porów.: A. Brücknera, Die Slav. Ansiedelungen, str. 68.

Łaby przez Z. Lechitów jest współczesne z pojawieniem się ich na prawem porzeczu i w ogóle w całej Połabszczyźnie, których lechicki początek gubi się w pomroce dziejów. A przy twierdzeniu takiem tem chętniej obstajemy, że sąd nasz okazuje się mniej lub więcej zgodny z sądem wypowiadanym luźnie od czasu do czasu przez samych Niemców [1]. Następnie przypuszczamy, że pobratymcy ich z prawego brzegu, bądź to w skutek okazyj wojennych, bądź drogą pokojową zasilali pierwotny żywioł świeżemi siłami, a tak powstałe i zlane w jednę całość społeczną żupy załabskie, mogły sprzymierzać się z Sasami, lub być wiernymi cesarzom i walczyć nawet z bracią prawobrzeżną, dla chwilowych interesów własnych lub dla tych nieporozumień międzyplemiennych, gwoli którym tak często też Obotryci, Lutycy, Pomorzanie i Ranowie walczyli między sobą, przyzywając na pomoc jedni przeciw drugim Niemców lub Danów. W tem tylko rozumieniu przyjmujemy mniemanie poprzedników naszych o wierności Załabian Niemcom [2], dzięki której, jak wnioskują [3], potrafili zachować oni tak długo narodowość swoję.

Nawiązując teraz znowu badanie nasze do kwestyi znanego nam kapitularza Karola Wielkiego i stosunku jego do grodów prawo i lewobrzeżnych, przekonywamy się najpierw, że grody te w równej mierze były lechickimi, przed wydaniem kapitularza, a następnie, iż ilość ich była w owej epoce daleko większą, niż za czasów późniejszych ustalonego już nad tymi krajami władztwa Niemców. Inaczej być nie mogło, bo stosunek taki odpowiadał w zupełności ustrojowi politycznemu społeczeństw zachodnio-lechickich, topograficznym właściwościom kraju, a nareszcie względom na wojenną potrzebę obrony kraju. Zgodnie z pierwotnym charakterem plemiennym, ludy połabskie czuły nieprzezwyciężony wstręt do centralizacyi; każde plemię żyjąc niezawiśle od drugiego, rządziło się samodzielnie w granicach swojej ziemi lub żupy; samorząd z dniem

[1] Tak Zeuss powiada: ... „die Einwanderung der Slaven in diesen Strich ist vielleicht so hoch hinaufzusetzen, als die Ankunft der Slaven an der Elbe“. (Die Deutsch. u. d. Nachbarstämme v. K. Zeuss, str. 661). Glosatorowie Zwierciadła Saskiego opowiadają, „jak Sasi wyparli Wendów (których oni nazywają północnymi Turyngami), z lewego na prawy brzeg Łaby, lecz że później król Karol napowrót ich przesiedlił“.

[2] „Sie waren den Deutschen ergeben“ (Zeuss loc. cit.).

[3] Hilferd. w ustępach wyżej powołanych.

każdym rozwijał się coraz bardziej, a z nim razem żupy coraz więcej drobiły się na części, z których każda przy lada sposobności dążyła do wydzielenia się z całości i do utworzenia samodzielnej żupy. A żupa taka musiała mieć swój główny gród dla świątyni, narad i jako siedlisko żupana; jedne więc grody traciły swą pierwotną doniosłość, nie przestając istnieć nadal, a inne jednocześnie powstawały i zwiększały się. Jeden jednak gród nawet dla zmniejszonej już i wydzielonej z całości żupy wystarczyć nie mógł we wszystkich potrzebach życia publicznego; w razie napadu nieprzyjaciela, lub w częstych sporach wewnętrznych między plemionami, trudnoby było całej ludności zbiegać lub szukać schronienia w grodzie, któryby się znajdował nie w środku żupy, lecz gdzieś może na końcu. Ci, którzy za daleko byli od grodu, budowali sobie nowy gród w bliskości siebie, gdzieby mogli w razie nagłej potrzeby rychło się zgromadzić, lub znaleść schronienie. Dla grodu wybierano miejsce ubezpieczone przez naturę, zakładano go najczęściej wśród nieprzystępnej puszczy, po środku jeziora lub błot, któreby czyniły schronienie nieprzystępnem, tak, że jedna, zwykle wązka droga prowadziła do grodu. A że takich miejsc dogodnych i zabezpieczonych znaleść się mogło bardzo wiele w kraju zapełnionym nieprzetrzebionemi puszczami, błotami i trzęsawiskami i nieprzejrzanym obszarem jezior, odpowiednio więc do nich mnożyła się liczba grodów. I dziwić nas nie może, jeśli bezimienny geograf bawarski z końca IX. wieku, wyliczając różne plemiona i ludy połabskie, podaje dla każdego z nich ilość grodów na kilkanaście i kilkadziesiąt. Rachuba taka nie była żadną przesadą, lecz owszem, zgodna z rzeczywistością i znamionuje prawdziwe a dokładne obeznanie się geografa z bytem Z. lechickim.

Tam, gdzie było bliższe i bardziej bezpośrednie zetknięcie się z Niemcami, a więc gdzie była większa potrzeba obrony i czujności, tam liczba grodów jeszcze bardziej zwiększyć się musiała. Linia Łaby między Bardewikiem a Dziewinem stanowiła właśnie ową linię, która najbardziej była wystawiona na napad Niemców i zarazem dotykała ziem, w których system rozdrobnienia na żupy znajdował jedno z najrozleglejszych zastosowań. To też i ilość znajdujących się tam grodów była większą niż gdzieindziej. Jeśli król niemiecki mógł w jednym zakątku ziemi *Moraczan* darować ko-

ściołowi magdeburskiemu aż siedm[1] zdobytych grodów słowiańskich, to wyobrazić sobie można, jaka ich mnogość być musiała w ziemiach obrzeżonych wzmiankowanym kawałkiem Łaby. Wywód nasz o istniejących z nazwy grodach, jako też o śladach dawniejszych ocalałych w nazwach *gordów*, stwierdza tę mnogość. I jeśli geograf bawarski podaje w trzech żupach obrzeżonych Elbą, Stepnicą i jeziorem Moryckiem, liczbę znajdujących się tam grodów tylko na jedenaście[2], to albo ogranicza ją tylko do grodów z targowiskami, (a więc tylko *civitates* – jak się wyraża — nie zaś wyłącznie *castra*), albo pierwotna mnogość była już za jego czasów zmalałą i została przez Niemców, zdobywających od czasu do czasu te terytorya, zredukowaną do powyższej liczby. Bo jeśli żupę *Bethenici* rozciągniemy aż po za gród *Boitzenburg*, to na przestrzeni wymienionej przez niego, a zamieszkałej przez lud trzech żup, my sami naliczyćbyśmy mogli w X. już wieku taką samą, lub nawet większą liczbę.

Kornica (Carentia u Saxona, *Korenica* u Hilferdinga, porów. też Perwolf, str. 203), główny po Arkonie gród Rany, leżał wśród bagnisk niedostępnych do tyla, że zaledwie jedna wązka ścieżka tam prowadziła; Plona twierdza Wagrów, zbudowaną była na wysepce głębokiego jeziora i komunikacyę miała z lądem tylko za pomocą bardzo długiego mostu; grody obotryckie Zwierzyn, Dobin, Małachów, jak również Retra lutycka, Racibor stodorski również stały wśród jezior[3]. Reszta grodów tak samo osłonięta była rzekami i błotami[4]. Arabski pisarz z X. w., mówiąc o państwie Nakonowem, a więc o kraju wschodnich Obotrytów i zachodnich Lutyków, powiada, że wojska przebrać się do tych krain mogły tylko po wielu trudach i przeszkodach, bo cały kraj ten jest jednym ciągiem mokrych łąk, trzęsawisk i moczarów[5].

Grody więc Z. lechickie w ścisłem znaczeniu wzięte, służyć nie mogą za wskazówkę do wytyczenia dróg handlowych, tak

[1] Hilferd, str. 104.

[2] „Bethenici et Smeldingon, et Morizani, qui habent civitates XI".

[3] Patrz Sax. Gram. i Helmolda.

[4] Hilferd, 137

[5] Al-Bekri komentowany przez M. J. De Goeje: Een belangrijk arabisch bericht over de Slavische volken omstrecks 965 n. Ch.

w handlu wewnętrznym, jak zewnętrznym; a jeśli gdzieindziej miasta strzegły gościńców, których kierunek musiał się naginać do położenia i wziętości onych, to tu grody leżały po za obrębem dróg i komunikacyj. Mieszkańcy każdej żupy mieli swe własne ścieżki, im tylko znane i przez nich tylko używane. Dla stosunków zaś między jedną żupą a drugą, lub między krajami, służyły naturalne przesmyki, brody i przejścia, utorowane samą przyrodą i odbywającemi się po nich wędrówkami odwiecznemi ludów. O publicznem wytyczaniu i utrzymaniu gościńców w pojęciu nowoczesnem lub starorzymskiem mowy być nie mogło, bo do tego potrzebaby było większej solidarności między żupami niż jaka była w istocie, a samo usiłowanie utrzymania lub budowania wspólnych gościńców w takiem znaczeniu musiałoby wywołać silną organizacyę federalistyczną, lub stworzyć jedność państwową. (C. d. n.)

Jan Grzegorzewski.

Z LISTÓW BRONISŁAWA ZALESKIEGO.

(Dokończenie).

III.

Podróż po stepie Orenburskim.

Noc na stepie. — Kirgiska oaza. — Ust-Urt. — Irtegie. — Kara-Kum czyli Czarne piaski. — Źródła Dzaga-bułak. — Emba. — Spotkanie z sułtanem Halim i Batyrem Isetem. — Rewizyta Iseta. — Kupno koni. — Pożar stepu. — Przybycie do Orska.

Tu trzeba się było zatrzymać i obmyślić dalszą drogę; mieliśmy dostać się do Ust-Urtu a przewodnicy straszyli, że tam i wody zabraknie i karmu dla koni nie znajdziemy. Wyprawiono Kuzumbaja na zwiady a obóz rozłożono przy źródłach Karabutaku. Objeżdżając góry na jednej z nich znalazła się bogata ruda miedzi i magnesowe żelazo, ale więcej nic zgoła. Kozacy tymczasem kosili trawę i trzcinę bujnie nad źródłem rosnącą, a na drugi dzień i Kuzumbaj wrócił; oznajmił, że o 35 wiorst są studnie, ale karmu niema; mieliśmy go na parę dni, więc postanowiono ruszyć dalej.

Dzień był znojny, 35° pokazywał termometr Reaumura, trzeba było zaczekać, aż upał najsilniejszy między 1 a 3 przejdzie trochę; o godzinie więc 4 po południu ruszyliśmy z miejsca. Tu już zupełna przed nami odkryła się pustynia, step równy i płaski z gliny, popękany od spiekoty, łaknący zda się od niepamiętnych czasów kropli wody, usiany był z początku drobniutkimi odłamkami pokładów, składających góry a tu kiedyś falami przyniesionych, i porosły z rzadka piołunem wyżółkłym także od skwaru; gdzieniegdzie jak malutkie wysepki oddzielały się na martwej przestrzeni karłowate i wyschłe krzaczki Tawałgi. Żadnego żywego nie spotkaliśmy stworzenia, ptaszka nawet, ani zdaje się żuka, tylko pierze jakiejś biednej sowy, rozszarpanej przez lisa lub wilka.

Słońce zaszło a jeszcze byliśmy w drodze, noc wszystko kirem

powlekła, a jeszcze studnie były daleko; szliśmy kierując się gwiazdami, bo w stepie drogi żadnej, a Kuzumbaj ślad swój wczorajszy w ciemności stracił. Nareszcie i on znikł przed nami; Czahun już tylko patrząc w gwiazdy, kierował naszą karawaną. Parę godzin błądziliśmy tak po stepie, trącając co chwila o nowe kępy, któremi był pokryty, aż zdaleka postrzegliśmy ognik. Z razu maleńki jak gwiazdka na ziemi, wzrastał i szerzył się powoli; nareszcie jasną łuną zabłysnął. Kuzumbaj to, dobiegłszy do studni, na znak dla nas step zapalił, wyschły zupełnie piołun gorzał doskonale; im bardziej się przybliżaliśmy, tem ogień stawał się wyraźniejszy; na ciemnem tle nieba jasne kłęby dymu odbijały cudnie. Ogień u spodu pędził z trawki na trawkę, z kępy na kępę przeskakiwał, wijąc się ślicznym wężykiem po czarnym stepie a jasna aureola dymu wznosiła się w górze. Śliczna stepowa iluminacya! Wkrótce i księżyc się pokazał, sam zczerwieniony, posrebrzał z góry jaskrawe kłęby dymu i cały ten widok oświecał. Przy jego blasku i obóz nasz rozstawiliśmy już o północy.

Studnie, przy których zatrzymaliśmy się nazywały się Bil-Kuduk (bil znaczy grzbiet, kuduk studnia), była to kirgiska oaza. Nad kilku jamami napełnionemi wodą, rosła bujna trzcina z zupełnie jeszcze zielonemi liśćmi; u spodu jej rozścielała okrągłe swe listki lukrecya (glicerryza) a kilka gatunków stepowych kwieci przetykało ten szmaragdowy kobierzec. Dokoła wszystko nagie i puste, jak okiem sięgnąć nic prócz zżółkłej, przepalonej płaszczyzny; poczuliśmy, czem być musi dla Beduina arabska oaza. Napoiwszy rano w tych studniach konie i wielbłądy i wziąwszy z sobą w skórzane torby (bursuki) zapas wody na drogę, ruszyliśmy dalej na Ust-Urt.

Kawałek ten ziemi bardzo od niejakiego czasu zajmuje uczonych. Ponieważ wysokość powierzchni Kaspijskiego i Aralskiego morza różni się między sobą dość znacznie, a napomknienia starożytnych pisarzy o wielkiem morzu w tych stronach świadczą, więc dla ludzi zajmujących się nauką, ciekawą było rzeczą poznać dokładnie te miejsca. Dotychczas nikt ich nie zwiedził i rozmaite tworzono sobie teorye o geologicznej historyi tej strony. Zdaje się jednak, że kto tylko na własne oczy widział te miejsca, temu już żadna nie pozostaje wątpliwość, że przestrzeń, dzieląca dzisiaj morze Kaspijskie od Aralskiego, wodami niegdyś zalaną była.

Ust-Urt, po kirgizku Cziuk zwany, jest płaską zupełnie wyniosłością, której brzegi widocznie falami wymyte, jak strome brzegi wielu rzek, pionowo zupełnie spadają na równą płaszczyznę. Płaszczyzna ta składa się z białej a raczej żółtawej gliny, raz twardej jak tok [1] a w drugich znowu miejscach tak sypkiej, że konie i wielbłądy tonęły w niej jak w piaskach prawie po kolana.

Po tylu wiekach płaszczyzna ta ma jeszcze teraz postać dna stawu albo jeziora, z którego woda ubiegła; ił tylko po sobie zostawiwszy, popękana od skwaru, z wszelkiej prawie zieloności ogołocona, bo tylko gdzieniegdzie rośnie na niej piołun i to już nie zeschły, ale jakby zamarynowany, taki nędzny, suchy i szary bez wyraźnego koloru. Wody nigdzie żadnej, opuściwszy Bil-Kuduk na przestrzeni 24 wiorst, spotkaliśmy tylko jedno łożysko strumienia, zwanego Mali-Saj, ale i w tym ani kropli wody nie było.

Wyniosłość sama tworzy półkola jakby zatoki falami tej płaszczyzny powymywane, na końcach ich przylądki wysuwają się daleko w step. Pierwszy z nich zwie się Ak-diur-kul (dosłownie 4 białe kąty), drugi brat jego rodzony Kos-ak-diurt-kul, i tak dalej jeden za drugim, wszystkie do siebie podobne. Wszystkie jak cała ta strona Ust-Urtu, złożone ze stwardniałej gliny zmieszanej z piaskiem a w niektórych miejscach z gipsem; podobne kształtem do wału miejskiego albo strzechy naszej stodoły, najczęściej zupełnie z wszelkiej roślinności ogołocone, żółtawo-białe, albo drobniutkimi kamyczkami usiane. Formacya Ust-Urtu zupełnie ta sama co na Mangiszłaku, dalej już miał być muszlowiec, a tu te same pokłady piaskowca a dalej marglu i białej gliny, jakie tam widzieliśmy. U podnóża ich wije się rzeczka Czegan, tak ją przynajmniej nazywają, i obiecywano nam, że tam znajdziemy wodę; jednakże trafiliśmy tylko na wyschłe łożysko i w niem gdzieniegdzie nie wielkie jamy, napełnione wodą, gęstą jak mleko i żółtawo-białą jak glina, po której ściekała.

Wszedłszy na samą wyniosłość zobaczyliśmy znowu równiutką jak stół płaszczyznę, której granice aż o widnokrąg się opierały i tam nic nie rosło, prócz rzadkich bardzo krzaczków Singiru i kilku jeszcze stepowych krzewów; a ci co cały Ust-Urt przebiegli, utrzymywali, że taka równina ciągnie się aż do

[1] W Galicyi nazywa się to: boisko, gdzieindziej klepisko. *Przyp. Red.*

Aralskiego morza, tak że od jego brzegów poprowadziwszy w horyzontalnym kierunku prostą linię a potem pionowo spuściwszy się na dół o sążni trzydzieści, żeby dalej biedz znowu horyzontalnie, można cały profil tej strony odrysować. Na tej równinie spotkaliśmy znowu oazę podobną do Bil-Kuduku, tylko piękniejszą, bo tu obok trzciny rósł ogromnemi kępami Czij i śliczne kity swoje rozwiewał, młody oczeret szumiał swymi liśćmi, a lukrecya jasnym wiankiem otaczała to wszystko, i ptaszki tu świegotały i cały rój malutkich pąsowych żuków znaleźliśmy nad studnią; to też kilka godzin mile spędziliśmy z temi ptaszkami i zielonością. Co wiorst kilkadziesiąt podobne studnie, jak mi powiadano, na Ust-Urcie spotykać można; kto je wykopał, nie wiadomo, ale są prawdziwem dla tych miejsc dobrodziejstwem. Opuściwszy tę oazę i jej skowronki, jeszcze kilkanaście wiorst dalej grzbietem Ust-Urtu pojechaliśmy, nie spotkawszy nic zgoła żyjącego; ale z końmi, których mieliśmy niemało, nie podobna było zapuszczać się daleko w tę pustynię nie mając z sobą karmu; to, cośmy z Jaman wzięli, już było zjedzone, więc radzi nie radzi musieliśmy się zatrzymać i nazad zwrócić.

Spuściwszy się znowu z grzbietu Ust-Urtu na płaszczyznę, stanęliśmy na przeciw Aral-baja, także przylądka, ale piękniejszego od innych. Może tu dłużej niż w innych miejscach woda została, bo i nazwisko Aral-baj (po kirgizku Aralska zatoka) domyślać się tego każe, i grunt ziemi iłowaty zdaje się o tem świadczyć, ale woda w piękniejsze kształty powymywała te brzegi; mają postać gmachów i baszt dawniejszych, nawet kopuły dosyć foremne tam spotkasz i przypomniały mi piękne Ak-tan na Mangiszlaku, tylko że tu formy bardziej zaokrąglone, bo materyał miększy.

Życia zawsze żadnego, tylko nowe jaszczurki znaleźliśmy, malutkie i płaskie, szare po wierzchu, a zupełnie pod spodem białe, zwinne niezmiernie i nieszkodliwe; roślinę także, której nigdzie nie spotykaliśmy dotychczas; nazywa się po kirgizku Irtezek, a składa się z pnia grubego na dwa i trzy palce, wysokiego na kilka cali, na którego wierzchu duża zielona kula z liści długich i cienkich, okrągłych jak ołówki i mięsistych, a prosto z pnia jak promienie wyrastających. Nie służy ona do niczego i Czahun, który nieraz sam znosił mi rośliny, szczególniej te, któremi barany karmić się lubią, mój Irtezek wyrzucał z pogardą, bo słonych jego liści i wiel-

błądy nie jedzą; ale niezmiernie oryginalne ma kształty: kiedy liście rozrosną się gęsto, to tworzą zupełnie foremną kulę, kiedy zaś rzadkie, to roślina podobna do gwiazdki zielonej. Na białej i pustej przestrzeni były to jedyne zielone punkciki.

Obóz nasz stał o wiorstę lub więcej od Aral-baja, część tylko jego widzieliśmy z boku; ale nad rankiem słońce oświeciło go ślicznie, przypomniały mi się ruiny zamku w Nowogródku, w Wilnie, a kiedy karawana poszła dalej, ja z teką i ołówkami kilka godzin przemarzyłem wśród tych ścian ręką natury zbudowanych, a wywołujących tyle pamiątek w duszy.

Kiedy porzuciliśmy Ust-Urt, chcąc znowu zwrócić się ku Mugodżarskim górom i obejść je drugą stroną, długo jeszcze podobnąż pustynią wędrować nam przyszło. Nic i nikogo nie spotykaliśmy w drodze, step pusty i niebo nawet było puste. Ktoś nazwał obłoki fantastycznemi myślami ziemi, tu, jakby ziemia żadnej już myśli posłać do nieba nie miała i jego sklepienie najmniejszym nawet nie przesłoniło się obłokiem. Wszędzie pusto, tęskno, marno. A jednak i tutaj step miał swoje godziny czarodziejstwa; nieraz około południa (a upały w tym roku dochodziły tu 39° Reaumura) przemieniał się cały, nagle na horyzoncie powstawały góry, z płaskiego stepu wyrastały gmachy, złudne jeziora rozlewały się po jego łonie, na ich falach zdawały się pływać czarowne wyspy i lasy; wszystko w dziwne kolory strojne, światłem oblane, wabiące ku sobie i uciekające ciągle, jak czarodziejską laską wywołane, otaczało nas zewsząd, albo w jakiś jeden koniec widnokręgu nęciło, trwało czas jakiś zmieniając się razy kilka, a potem rozpierzchało się, nikło w powietrzu i świetle, z którego powstawało. Miraże to stepowe, najpiękniejszy widok, jaki w pustyniach tych mieć można.

Ale i to nie codzień się zdarza i trwa niedługo, zapełnić dni nie mogło i wśród monotonnej podróży szukałem znowu rozrywki u naszych Kirgizów. Kuzumbaj mówił mi, że jeden z tych, co byli u nas dla posyłek, umiał wiele powieści, Irtegie, jak oni je nazywają; nalegałem, żeby i mnie cokolwiek z nich opowiedział; dał się namówić, bo jużeśmy wszyscy dobrze byli znajomi i nieraz w drodze wyjeżdżałem naprzód z tłumaczem, a on opowiadał. W takich powieściach zawiera się miejscowa kirgizka literatura, dzieci to ich ducha i choć teraźniejsze ich życie bardzo od tego odbiegło, zawsze

wydały mi się ciekawe i zajmujące. Murkazaj, bo tak się mój Kirgiz nazywał, wyuczył się ich u starców jak on opowiadających. Biedny był bardzo i powieściami temi dorobił się, nie majątku, bo go i teraz nie miał, ale kilku koni i trzódki baranów, co dla Kirgizów już pewnego rodzaju dostatek stanowi; jednem słowem, z pogardzanego bajgusza stał się porządnym człowiekiem, bo i między Kirgizami szacunek ludzki najczęściej od ilości mienia zawisł. Jeszcze nie stary, czoło miał wyniosłe i jakiś dobry uśmiech w twarzy; musiał być lubiany od swoich, bo oni wszelkie opowiadania namiętnie lubią, a on takich powieści miał zapas niemały i niejedną ucztę, niejedno zgromadzenie rozweselać niemi musiał. Żeby zupełnie charakter swój zachowały, trzeba je słyszeć z ust Kirgiza, w jego rodzinnym stepie, przy ruchach, jakie opowiadaniu towarzyszą, a nadewszystko trzeba rozumieć ich język, mnie tłumacz każde prawie słowo przekładać musiał, dla tego wiele na przebraniu się w polską mowę straciłby musiały.

. . . . . .

. . . . . .

Kończyły się powieści Murkuzaja i my w kraj inny wchodziliśmy. Mieliśmy jeszcze zobaczyć piaski stepowe. Bardzo ich wiele, a wszystkie mają osobne nazwania, największe Kara-Kum (tj. Czarne piaski) zajmują przestrzeń wiorst 200 do 300, leżą między Irgizem i morzem Aralskiem; inne znowu zwane Barsukami, między tymże morzem i Mugodżarami, sławne są u Kirgizów rosnącą na nich trzciną, która koniom pokarmu zimą dostarcza. Te, które my widzieć mieliśmy, nazywały się Kok kum i Ak-kum, Kum-dzargan i t. d. Wszystkie niewielkie nad Embą i Temirem rozsypane, każde z nich zajmowały zaledwie przestrzeń około 30 wiorst wzdłuż a 8 w szerz, ale miały wszystkie charaktery stepowych piasków. Złożone po większej części z kwarcu, miałkie i sypkie, ciągle przerzucane są wiatrem, który postać ich zmienia ustawnie, coraz nowe usypuje kopce rozmiatając dawne, wygrzebując jamy i zapełniając je znowu. Widziane zdaleka pod promieniami słońca mają osobną swą piękność; jeżeli cienie obłoków rozwiodą po nich niebieskie i czerwone pasy, wtenczas oryginalnie i świetnie wygląda między niemi szereg jasnych piasczystych, żółtych wzgórzy, świadczących formą swoją, że je wiatr niedawno wysypał, żeby rozwiać znowu.

Ale kiedy wejdziesz w te piaski, wrażenie pustyni obejmuje cię dokoła, stanie na myśli Sahara i wszystko, coś kiedy o niej czytał, lub słyszał. Wzgórza jedne za drugiemi, wszystkie do siebie podobne; w każdem z nich toniesz głęboko, a dokoła, jak oko sięgnie, nic więcej nie widzisz nad takie kopce i wydmy. Powierzchnia cała od wiatru skarbowana w drobne prążki, pokryta w wielu miejscach to kręgami, to figurami dziwnej formy, które każda miotana wiatrem roślinka na niej kreśli, a z wierzchu kopców wiatr piasek tak znosi jak śnieg sumiotów wśród zamieci. Czujesz wyraźnie, że gdyby powstał huragan, to zasypałby ciebie.

A jednak więcej tam życia, niż na Ust-Urcie nieruchomym wcale; nietylko jaszczurek mnóstwo, ładnych bardzo i zwinnych, które w piasku nie chować się, lecz nurzać się zdają, ale nieraz tropy zająca i wilka na tych wydmach widziałem, a śladów ptastwa bardzo wiele. Bo piaski, choć wiatr nimi przesypuje, nie są ogołocone z roślin, owszem, dostały ich kilka na wyłączną własność, tak np.: oba gatunki dżauzgunu w piaskach tylko spotkałem, Kizilcza z pąsowemi jagodami tam najwięcej rośnie, Kum, Arszek, z którego nasion Kirgizi krupę robią, do piasczystych też roślin należy, a kilka innych, stepom w ogólności właściwych, tu bujniej się rozrasta. Dziwnie wyglądają te rośliny piasków w ustawnej walce z wiatrem, wyrosłe na ruchomym gruncie, musiały się jak najmocniej czepiać umykającej im ziemi; to też korzenie mają zwyczajnie niepomiernie długie i silne; to co w stepie było łodygą, tu już się prawie pniem staje, a i tak bardzo często wywrócone i na jednym korzonku zawisłe, lub do połowy i więcej przysypane piaskiem spotykałem, a ileż ich pod nowo usypanemi kurhanami spoczywać musi? Wiatr grzebie je i odkopuje, ale niszcząc stare, najczęściej nowe zasiewa, bo jest tutaj jedynym rolnikiem i oraczem; a natura, nasiona tych roślin tak po większej części urządziła, że najłatwiej wiatrem uniesione być mogą; on je więc chwyta, roznosi, zasiewa i piaskiem znowu przysypuje. Dlatego pomimo ciągłego wywracania już rosnących roślin, piaski te coraz więcej zarastać zaczynają. Żyjący teraz Kirgizi utrzymują, że za ich pamięci roślinność na piaskach się wzmogła, przy mnie po krzakach dżauzgunu i łozy wiatr szumiał, jak po lesie sosnowym, a za jakich lat 200

lub 300 może już całkiem porosną i wtenczas wiatry będą musiały zaprzestać swych harców.

U wybrzeży tych piasków najczęściej mnóstwo jest źródeł, tamto i roślinność najbujniejsza. Tak w jednem miejscu przy piaskach Ak-kum zatrzymaliśmy się koło źródeł Dżaga-bułak, i znaleźliśmy ich niezmierne mnóstwo, jedne sączyły się zaledwo, drugie szumiały wyraźnie, a wszystkie zmierzały ku Embie; tam to wśród wielkich krzaków wierzby (łozy), drobnych brzezinek, bujnej trzciny różnego gatunku, której szyszki chmiel często okręcał, widziałem jeszcze jedno śliczne stepowe drzewko, dżigda albo dzida zwane, z bardzo ciemną gładką korą, ogromnymi kolcami, wązkim i z jednej strony srebrnym liściem i niewielkiemi jagodami. W takich zaroślach, i tam gdzie są źródła, a jeszcze lepiej trzęsawiska, chowają się dzikie kabany, których ogromne stada zaludniają i okolice Emby i dalej brzegi morza Aralskiego i w ogólności wiele miejsc w stepie.

Emba prawdziwą jest rzeką pustyni, różna tem od innych stepowych rzeczek, że płynie jednem nieprzerywanem korytem, i dosyć bystro nawet, ma brzegi zupełnie płaskie, najczęściej piaskami otoczona, dno także ma przejrzyste i wyspy z piasku pośrodku, wodę trochę słonawą, płytka bardzo, w wielu miejscach zaledwo kilka lub kilkanaście cali ma głębokości, a prawie wszędzie w bród przejechać ją można. Po pustyni Ust-Urcie z wielką przyjemnością zobaczyliśmy wielką massę wody, bo spotkaliśmy Embę właśnie w tem miejscu, gdzie rzeczka Akty-dżaksy do niej wpada i gdzie ona szerokiem zwierciadłem rozściela się po stepie; dalej szliśmy jej brzegiem aż do samych źródeł i ciągle ożywiała okolicę, która bez niej okropnie byłaby pusta. Tu znowu całe sejmy ptasie znaleźliśmy, gęsi ogromne stada, kaczek różnego rodzaju, czarne kuliki i śliczne białe i stalowe czaple. Dziwny gwar nieraz, i nasza gęś z nad Irgizu tu nas odleciała; posłyszawszy cały chór swych rodzonych braci, opuściła nas i już nie wróciła więcej. W rzece ryb mnóstwo, bo ich nikt nie łowi; karpie ogromnej wielkości, sądaki, okunie, nawet i soswy, które tu z Kaspijskiego morza zapływać muszą.

Za rzeką i łąki pojawiać się zaczęły, a przy nich auły kirgizkie; na Ust-Urcie nie widzieliśmy żadnych, między nim i Embą jeden tylko auł nad rzeką Dżuindy spotkaliśmy i ten tak biedny, że widziałem dzieci kirgizkie podstawiające usta pod wymię wiel-

błądzicy i dojące w nie krople gęstego jej mleka. Nie było tam ani klaczy, ani owcy nawet, któraby im kumysu lub ajranu dostarczyć mogła; wielbłąd żył tylko, bo temu najmniej pokarmu potrzeba. Ale nad Embą koczowali Kirgizi w stepie i im dalej szliśmy, tym więcej napotykaliśmy aułów. Raz spotkał się z nami sułtan Hali, przenoszący się z całą familią z nad Irgizu w okolice Orska; 16 naładowanych wielbłądów niosło jego kibitki. Na czele karawany jechała jego ulubiona żona, konno na ogromnie szerokiem siodle, zasłanem czerwonem suknem, z pistoletami za pasem, za nią druga w pstrym jedwabnym chałacie, dalej córki na siodłach, także pąsowemi kapami pokrytych. Słudzy prowadzili wielbłądy i pędzili barany i konie; na jednym z wielbłądów jechała trzecia żona, która była chorą, a czwarta szła przy karawanie piechotą i zalewała się łzami, dosyć jeszcze młoda, niosła dziecko na ręku; powiedzieli nam, że sułtan jej nie lubił i dlatego była w pogardzie. Kilka dni na dowód przyjaźni sułtan podróżował razem z nami, a nic mu o żonie mówić nie mogliśmy; uważałoby się to za największą niedelikatność, a niby biednej nie pomogło. Jak tylko się zatrzymywaliśmy i on swój obóz rozstawiał, co znaczy, że rozstawiały go jego kobiety. Kibitka nadto była wielka, żeby ją prędko postawić było można, więc w drodze rozwieszał się tylko namiot w rozmaite floresy i kwiaty, w guście wschodnim wymalowany i tam cała rodzina odpoczywała. Były u sułtana i lustra i samowar i wszystkie do herbaty przybory, kucharz nawet najęty gdzieś w Orenburgu, bo długo będąc w stosunkach z Rosyanami, wiele zwyczajów ich przejął i tem się rad chełpił, w stosunkach tylko z żonami i rodziną pozostał dawnym Kirgizem. Sam do niczego się nie mięszał, koło karawany jechał na pięknym Argamaku (rasa Chiwińskich koni) i tylko zrzadka rozkazy wydawał. Wielu jest sułtanów w hordzie i jedni przed drugimi ubiegają się o zarząd Kirgizami, zmieniają się też często, bo zwyczajnie nadużywają władzy i zdzierstwa się dopuszczają. I Halego rząd oddalił na prośbę Kirgizów.

Ale drugie spotkanie daleko było ciekawsze. Oddawna w stepie słyszeliśmy o Batyrze Isecie i bardzo chcieliśmy go widzieć; udało się nam spotkać jego aul i posłaliśmy uwiadomić, że przyjedziemy w gościnę. Odpowiedział, że czekać będzie, a więc ruszyliśmy do niego. Nazwanie Batyr w kirgizkim języku odpowiada na-

szemu bohaterowi. Z powieści Murkuzaja poznałem, jakie dawniej miało znaczenie, mięszało się z niem koniecznie pojęcie wielkich czynów, a Kirgiz chętnie nawet cudowność do nich przymieszał. I dzisiaj dają je Kirgizi tylko tym, którzy innych siłą i przytomnością przewyższają; ale zdaje się, że już koniecznym warunkiem Batyrstwa jest teraz i bogactwo. Iset Kutiurbaren był głową całego rodu czyli pokolenia, nie chciał poddawać się Rosyi i przez lat kilkanaście daremnie różne oddziały szukały go po stepie, zawsze wymknąć się umiał; aż przekonawszy się o pożytku rządowej opieki sam dobrowolnie przyłączył się do podwładnych Rosyi Kirgizów, przywiódł za sobą całe pokolenie i odtąd niejedną już okazał rządowi usługę. Stopnia żadnego przyjąć nie chciał, mówiąc, że woli zostać Batyrem; ale jest zawsze głową swego pokolenia, podatek wybiera, spory rozstrzyga i sądzi. Przyjechawszy do niego znaleźliśmy pąsowy namiot już na nasze przyjęcie przygotowany, ale gospodarz nie wyjechał na nasze spotkanie, owszem, dość długo kazał nam czekać na siebie, aż póki z kibitek swoich nie przyszedł zwolna, poważnie, otoczony braćmi i krewnymi, wtenczas podał nam ręce i usiadłszy obyczajem wschodnim zaczął rozmowę. Ślicznie zbudowany, wiele miał szlachetności w twarzy, nos orli, wąs czarny, i długi, usta uśmiechające się przyjemnie. Oko tylko maleńkie zdradzało pochodzenie mongolskie, nosił bardzo wysoki biały kapelusz z wielkiemi skrzydłami, w którym mu bardzo było do twarzy. Mówiąc, używał metafor wschodnich, tak np. powiedział nam, że człowiek jest jak skrzynia zamknięta; patrząc na nią, nie wiesz co zawiera, mogą tam być łachmany i bogata odzież, dopiero jak ją otworzysz, obaczysz co warta, tak i człowiek, — wtenczas tylko wiesz co w sercu i głowie nosi, kiedy mowę jego usłyszysz, bo mowa u człowieka to, co klucz u skrzyni. Przyjaciół znowu na kilka dzielił rodzajów, takich co podchlebiają, żeby ich częstować i karmić, takich co upatrują, jakby co sobie przywłaszczyć, i jeszcze takich, którzy wszystko dobre radzi są dzielić z nami, a jak bieda i nieszczęście, to porzucają nas, i nareszcie takich, którzy i duszę za nas oddać są gotowi; tych, dodał, wprawdzie nie ma na ziemi, ale taki przyjaciel to skarb najdroższy. Te i tym podobne sentencye mówił nam zawsze przez tłumacza, bo ani słowa po rusku nie umiał, czy też udawał, że nie umie; bo Kirgiz choćby znał inny język, przy

pierwszej znajomości nigdy się z tym nie wyda i choć gadać bardzo lubi, woli czas cały przemilczyć, byle tylko powadze swojej nie ubliżyć. Pierwej innego jeszcze Batyra widziałem, ten nazywał się Baba, kilka godzin spędziliśmy razem, a choć broń naszą i odzież opatrywał ciekawie, nic prawie nie przemówił, siedział milczący i brwi marszczył, a jeśli się przy nas i do jakiego Kirgiza odezwał, to zawsze monosylabami, grubym i urywanym głosem. Iset nie był wcale tak chłodny, powoli ze sentencyi przeszedł do potocznej rozmowy, a kiedyśmy jemu podarunki ofiarowali dla zawarcia przyjaźni, bo to taki zwyczaj, on tak się rozochocił, że prosił żebyśmy konia z jego stadniny wybierali, a myśląc że tego mało, wielbłąda nam ofiarował. Nic, rozumie się nie przyjęliśmy, aleśmy prosili, żeby nas z rodziną swoją zaznajomił. Nasłuchawszy się w stepie dziwów o nim i jego bogactwie, myśleliśmy, że w życiu całem jaką odmianę znajdziemy, ale kiedy nas do kibitki wprowadził, znaleźliśmy zupełnie zwyczajne sprzęty kirgizkie i nieczystość nawet zwyczajną, kobiety brudno ubrane, dzieci nagie biegały jak wszędzie, kumysu i baraniny był dostatek, przestronniej tylko w kibitce, kilka sztuk pięknie oprawnej broni świeciło się w niej. Zaprosiliśmy Iseta na obiad do siebie. Przyjechał nazajutrz z całą czeredą braci, powinowatych i sług, sam na przodzie jak rządzca i głowa rodu; ciągle był poważny i nie mogliśmy poznać, czy mu się nasz europejski obiad podobał, czy nie, zdziwienia także nie okazywał żadnego; ale później, kiedy kozacy śpiewać i tańcować zaczęli, kiedy się odezwała niestrojna skrzypka, nie mógł już być panem siebie, — razem z całem swem towarzystwem śmiał się na całe gardło i sypał oklaski, albo każdemu tonowi skrzypki przysłuchiwał się. Odjechał żegnając się z nami bardzo serdecznie. Radzi byliśmy, żeśmy go ugościli, choć czuliśmy, że duszy nam swojej nie otworzył wcale, nieufności się w gruncie nie pozbył, a nawet i o korzyści swojej nie zapomniał na chwilę. Kiedy prosiliśmy, żeby nam konia dobrego przedał, mówiąc, że się z tem do niego udajemy, bo jesteśmy pewni, że jako nasz Kunak (przyjaciel) oszukać nas nie zechce, on posłał umyślnych do stadniny, żeby ją naszym kozakom pokazali i wybrać pozwolili, ale najlepsze schować kazał, a za te, które przyprowadzili, tak niesłychanych żądał pieniędzy, żeśmy i słuchać o tych cenach nie śmieli, a ureczał, że te konie to jego faworyty

i że je tylko nam przedaje, bo wielki jest nasz Tamer (przyjaciel).

Taka to mięszanina w człowieku wschodu i ledwo nie zawsze chytrości i obłudy a chęci zysku tam dopatrzeć; może to z resztą w stosunkach z chrześcijanami tylko, albo w ogólności z innowiercami, bo talmudyczna wyłączność jest i w ich obyczajach.

Opuściwszy Embę w połowie sierpnia przeszliśmy ku źródłom Oru i wypadło nam zatrzymać się przy jeziorze Kos-kul, zarosłem trzciną gęstą jak las a wysoką na stóp 10, kwitła wtenczas a piękne kity szumiały przy wietrze na jej wierzchołkach. U spodu rosła bujnie pietruszka, z zapachem naszej ogrodowej, i rumianek, a obok nich kilka zwykłych stepowych słonych roślin. Tu czekał nas jeden z pięknych stepowych widoków. Przez cały dzień widzieliśmy zdaleka dym gęsty, kłębił się ciągle i szerzył w jednym kierunku. Przy zachodzie słońca ozłocony jego promieniami wyjaśniał i odbijał pięknie od ciemnej ściany obłoków, nareszcie wieczorem stał się zupełnie czerwony i ruchomemi falami płynął ku nam. To step się palił, obłoki zakrwawiły się w górze a pożar przybliżał się do nas. Chcąc w pełni doznać widoku puściliśmy ogień i koło siebie za rzeką, długo step rozpalić się nie mógł, ale jak raz rozgorzał, było na co patrzeć. Ogromna jasna łuna unosiła się nad płaszczyzną, niebo pociemniało i księżyc trupio blady z za czarnych chmur wyglądał, a po czarnym stepie jak wężyk wił się ogień, czasem wysokiem buchał płomieniem, to znowu do ziemi przypadał i zblizka żółty a czerwony dalej świecił i biegł ciągle; wiatr dym zwiewał i w jedną wielką zbijał chmurę ruchliwą i jasną. Tak trwało noc całą; pożar to przygasał, to wzmagał się znowu, stosownie do tego, na jaką napadł trawę, dobiegł do rzeki i zatrzymał się, ale zwrócił się w stronę i znowu dalej popędził. Tymczasem ogień, który widzieliśmy od ranka, doszedł do miejsca podpalonego przez nas, i kiedy nazajutrz pojechałem na to zgliszcze, step palił się jeszcze. Tu nowy zupełnie przedstawił się oczom obraz, ogień trafił był na przestrzeń kilkadziesiąt kwadratowych sążni porosłą bujną trawą i wzmógł się wściekle; zakręciwszy się w półkole z dziwną szybkością pędził buchając jasnym płomieniem w postaci języków, czy żmij jaskrawych, to znowu wpijał się w maleńkie trawki, pełznął po nich dla nabrania nowej siły; przed tem ognistem półkolem step

od słońca wyżółkły jak ściernisko przygotowane mu na pastwę, a za nim przestrzeń czarna, spalona na węgiel; po niej wił się w różnych miejscach zrywany wiatrem i przypadający do ziemi dym błękitny, który z boku w gęste kłęby zbity, przy ogniu zaczerwieniony, dalej brunatny, fioletowy, niebieski, zalewał step cały, linie horyzontu jakby gazą zakrywał. Tymczasem po drugiej stronie step niedawno weszłem słońcem oświecony, uśmiechał się różowymi tonami, zalewał się miłą słoneczną jasnością.

Ścisnęło mi się serce i smutek duszę ogarnął. Pożoga może mieć piękność i wspaniałość nawet przy całej okropności swojej; ale prawdziwie piękne jest tylko życie, i ono jedno cieszyć, radować i do nieba wznieść może. W nocy wielki ogień zachwyca, choć i on niszczy; ależ bo wśród ciemności światło jest głównym przedmiotem; siła to ognia, ruch jego, i jeżeli tak można powiedzieć życie, zachwyca nas; wypalone miejsce staje się czarnem jak całe tło obrazu i nie widzimy zniszczenia; uderza oko i wyobraźnię tylko ogień i fale dymu ciągle żyjące, ciągle podnoszące się w górę, z nową siłą jasności i okazałości swojej. Przeciwnie w dzień, ogień pozbawiony jasnych kłębów dymu, jakby aureoli swojej, już nie zjawia się przed nami w sile i potędze nocnej; miejsca kędy przeszedł nie są tłem obrazu ale chyba trupiemi plamami na obliczu ziemi, zdają się tylko mówić: „Tu nigdy nic nie będzie“. I zniszczenie staje się głównym przedmiotem, ono jedno wielkie, niszczyciel pokazuje się mały i dlatego żal jakiś duszę zalewa, i stają przed nią rozmaite klęski i zniszczenia.

Podobny pożar w stepie nie ma granic, chyba łożysko rzeki go zatrzyma, albo grunt solą przesiąkły; tam rośliny nadto są wilgotne, żeby palić się mogły. Podłożony przez nas ogień wiorst 10 ubiegł przez noc, bo trawa tam była nie wielka; ale utrzymują, że gdzie Czij rośnie albo wyschła trzcina, tam i na koniu ledwo od ognia uciec można. Cały następny dzień po wypalonym czarnym stepie iść nam przyszło, najczęściej ogień szedł pasami i tylko na stepie czarne plamy po sobie zostawiał; ale nieraz, gdzie zapewnie trawa była bujniejsza, w szerokie rozszerzał się koła i wtenczas cała przestrzeń jak okiem zasięgnąć, była pogorzeliskiem. Gdzieniegdzie po tym zgliszczu pełzał biedny odymiony żuk, albo zwijała się jaszczurka, która w jamie swojej znalazła schronienie do

ognia; czasem na wypalonem miejscu zostało kilka nietkniętych badyli, zapewne nie dość wyschłych, żeby je ogień w prędkim pochodzie swoim mógł pochłonąć, a raz spotkałem tam i mrowisko; wieczne robotnice na nowo rozpoczynały pracę swoję na popiołach.

Kiedy zbliżaliśmy się do rzeki, step za nią rozwijał się płowy, pełen trzód i kibitek kirgizkich, i ten ożywiony widok jeszcze smutniejszą zdaje się robił wypaloną przestrzeń, którą przebiegliśmy. Odtąd już brzegiem Oru szliśmy aż do samego Orska, coraz więcej po drodze spotykając aułów i nawet lepianek złożonych z darniny, które Kirgizi sklecili sobie na zimę. Trzody baranów, wielbłądów i koni ożywiały step, a kawałki pola zasianego jęczmieniem lub pszenicą spotykaliśmy coraz częściej; na nich Kirgizki pracowały z sierpami jak u nas, a dokoła ruch ciągły, tu młócą zboże, pędząc po niem w kółko konie lub wielbłądy, tam ziarno przesiewają, tu mały Kirgizek wiezie wołami wóz naładowany snopami, sam w kożuszku podpasany, jak ruski chłopak, twarz tylko pyzata i malutkie czarne oczy, i głowa wygolona z wystającemi kościami policzków zdradzają pochodzenie małego rolnika. Kopy zboża i siana dokoła, anibyś pomyślał, że to step kirgizki. To pierwsze kroki Kirgizów do życia osiadłego i rolniczego. Nad Orem udać się to może, bo ziemia wyborna, jeszcze może w niektórych miejscach, nad rzeką Ilekiem naprzykład, ale cały step nigdy krainą uprawną nie będzie. Natura sama już go inaczej stworzyła i większa część Kirgizów pozostanie pasterzami na zawsze.

Doszedłszy do Orska pożegnaliśmy przewodników naszych; obaj stęsknieni za aułem i rodzinami swemi, natychmiast puścili się w drogę. Kuzumbaj odebrał był w stepie wiadomość, że jego pszenica nad Ilekiem urodziła wybornie, to w nim skłonności rolnicze jeszcze bardziej rozwinęło. Prosił, żeby mu wyrobić pozwolenie przeniesienia się nad rzeczkę Akty-Kiendy, gdzie miejsce sobie upatrzył, i postawienia tam lepianki. Żegnał nas wszystkich bardzo serdecznie, obiecał odwiedzić w Orenburgu.

Na tem się podróż nasza skończyła.

Zbyt długą może była opowieść moja, a nadewszystko tak rozerwana, bezładna, ale kiedy na ułożenie jakiejkolwiek całości,

czasu mi żadnym sposobem nie staje, daruje Pani, że tylko z kilku zarysami dziś do Niej przychodzę. Niech własna Jej wyobraźnia dopełni reszty i z rozpierzchłych a nieskładnych rysów cały obrazek odtworzy i Kirgiza i jego stepów rodzinnych. Warto i nad nim zamyślić się — i on dziecię Boże — i jego życie jest także ogniwem w niezbadanym łańcuchu dziejów ludzkich.

Kwiecień 1853 roku
z Orenburga.

DARWINIZM
w obec nauki i rozumu[1].

III. Kontynuatorowie darwinizmu.

1. Embryologia nie popiera darwinizmu. — Haeckel ucieka się do fałszerstwa. — Śmieszne wywody darwinistów o ogonie. — Nieuzasadniona ontogenia prowadzi do błędnej phylogenii. — 2. Teorya komórek. Pangeneza Darwina nie jest poparta żadnymi dowodami. — Haeckel prześciga Okena w „fantastycznych“ zestawieniach komórek z obywatelami jakiegoś państwa; nielogiczne wysnuwa stąd wnioski. — Darwiniści dochodzą do zaprzeczenia indywidualności. — 3. Teorya moner, oparta na samorodztwie, nie wytrzymuje żadnej zdrowej krytyki i powszechnie odrzuconą została. — Zabawna historya Bathybiusa. — Świadectwa profesorów uniwersytetu berlińskiego.

Naruszenie stałości gatunku, zaprowadzenie rozwoju naturalnego istot żyjących, umieszczenie człowieka w ich łańcuchu genealogicznym, było zadaniem Darwina i przedmiotem rozbioru w pracach naszych poprzednich.

Teorye te uważane same w sobie, obrane z wycieczek sięgających poza granice ścisłej umiejętności, ochronione stosownemi zastrzeżeniami, nie potrzebowały nikogo zaniepokajać, nie mogły być odrzuconemi *à priori* przez nikogo. Filozof francuski Naville w taki sposób zestawia pojęcia ewolucyi i twórczości[2]: „Ewolucya nie wyklucza twórczości, jedna nie może zastąpić drugiej, należą one do porządków całkiem odmiennych i nie stosują się do tego samego przedmiotu. Ewolucya wyraża prawo w następstwie zdarzeń, twór-

[1] Ob. „Przegl. powsz.“ r. 1884, t. IV., str. 177, 396; r. 1885. t. VI., str. 211, 321, t. VII., str. 15.

[2] La physique moderne. Paris 1884.

czość stwierdza przyczynę. Przypuszczenie, że prawo zastępuje przyczynę, jest błędem metafizycznym. Teorya ewolucyi nietylko nie zastępuje teoryi twórczości, nietylko nie jest z nią sprzeczną, lecz nadto daje jej silną podstawę. W istocie doprowadza ona naszą myśl do punktu wyjścia, który wymaga różnej przyczyny od zdarzenia poprzedniego, podległego ewolucyi". Można tedy być ewolucyonistą, a przytem katolikiem, i dziś jeszcze jeden z głęboko przekonanych ewolucyonistów (Mivart) jest profesorem w uniwersytecie katolickim.

Lecz nie w ten sposób Darwin, a szczególniej jego kontynuatorowie pojmowali i pojmują ewolucyę; nie chodziło im o zdobycze naukowe, lecz o przeprowadzenie swego planu bezwyznaniowego. Haeckel na zebraniu stowarzyszenia przyrodników niemieckich[1] wygłosił rzeczywisty cel słynnej teoryi: „Darwinizm właściwy, mówi on, w istotnem znaczeniu tego wyrazu, tj. teorya doboru, pomimo wszystkich napaści, zachowuje znakomitą wartość, i dostarcza rozwiązania największych zagadnień. Daje on mianowicie zupełną odpowiedź na pytanie: Jakim sposobem kształty ustrojowe, odpowiadające pewnemu celowi, mogą się rozwijać bez udziału przyczyny kierującej ku temu celowi? Jakim sposobem może powstać gmach wykończony bez planu i budowniczego"... — innemi słowami: jakim sposobem świat ten powstał i utrzymuje się bez Boga. Darwin wykazywał, w jaki sposób istoty ustrojowe mogły się rozwijać bez udziału siły nadnaturalnej, kontynuatorom pozostawało wytłumaczyć powstanie naturalne życia na ziemi.

Zadanie nie było łatwe, lecz ominąć go nie można było. Kiedy się rozchodzi o początek materyi, świata i ruchu, mogli materyaliści, odrzucający metafizykę, to jest wyniki zdrowego myślenia i rozumowania, odwoływać się na odwieczność; lecz skoro idzie o życie, luźne pojęcia nieskończoności nie wystarczają, ani na nic się nie przydadzą. Był początek życia na ziemi: teorya kosmiczna dowodzi, iż życie nie mogło być odwieczne; geologia i paleontologia wskazują peryod, w którym to życie powstało. Jak wytłumaczyć początek życia bez przyczyny pierwszej, bez udziału siły twórczej,

[1] Revue scient du 2 dec. 1882.

Haeckel wziął na siebie, i to stanowi jego teoryę moner, która ma uzupełniać darwinizm.

Zanim przystąpimy do rozbioru tej nowej teoryi, musimy pobieżnie wspomnieć o embryologii i komórkach, które z jednej strony dość ściśle wiążą się z teoryą moner, z drugiej zaś miały podpierać darwinizm, według uroszczeń materyalistów.

1. Embryologia. Transformiści szukali poparcia swej teoryi w różnych gałęziach nauk przyrodniczych; embryologia, nauka o zarodkach, nie została też pominiętą. Tem skwapliwiej rzucono się do niej, że była jeszcze początkującą, że spostrzeżenia mogły się tylko dokonywać zapomocą mikroskopu, w warunkach nader trudnych, całkiem niepewnych; stąd i wyobraźnia miała szerokie pole do swej działalności[1]. Darwin w dziele swojem: O początku gatunków, kładzie już wielki nacisk na wyniki z embryologii i uważa ją „za przedmiot najważniejszy ze wszystkich nauk przyrodniczych".

Darwiniści utrzymujący „postęp nagły" pierwsi usiłowali podeprzeć grożącą upadkiem teoryę wnioskami czerpanymi w embryologii, lecz i szkoła przeciwna starała się ją dla siebie wyzyskać; zastanowimy się tu pokrótce nad prawdami, do jakich doszła umiejętność i nad zastosowaniami, jakie z nich wysnuli transformiści.

Zarodek jestestwa organicznego w pierwszem swem stadyum życiowem nie okazuje całokształtu przyszłej istoty; pod najsilniejszym mikroskopem przedstawia się jako drobina, kształtu kulistego lub owalnego ($\frac{1}{50}$ mil. u ssawców), żadnych nieposiadająca narządów — daje się zaledwie rozeznać jąderko otoczone cieczą, owiniętą w błonę. W tem tedy stadyum wszystkie prawie zarodki są do siebie podobne. „Rzeczywista różnica, mówi Haeckel[2], między jajeczkiem ssawców a jajeczkiem ludzkiem nie polega na zewnętrznych znamionach, leży ona w składzie chemicznym, w układzie molekularnym materyi węglowo-białkowej, która jest treścią rzeczywistą jajeczka. Te drobne różnice osobnikowe jajeczek, zależące od

[1] Wybornie charakteryzuje ich Martin: „Il ne faut pas faire comme certains sceptiques, qui, pour nier ce qu'il ne tient qu'à eux de connaître, cherchent des prétextes dans ce qu'ils ignorent". (Phil. spir. de la Nature. p. H. Martin, Doyen de la Facul. de let. de Renn[illegible]. p. 355).

[2] Hist. de la creat. nat. p. 216.

adaptacyi ubocznej albo potęgowej, a szczególniej i najprawdopodobniej od adaptacyi osobowej, te różnice, mówię, nie uwydatniają się pod naszymi przyrządami, służącymi do spostrzeżeń, i nie podpadają wprost pod nasze zmysły". Powoli dopiero następuje rozwój i różniczkowanie: po niejakim czasie można rozpoznać, iż zarodek należy do jakiegoś głównego typu, a następnie wybitnie znamionuje klasę, rodzaj i gatunek. Doświadczenie okazało nadto, iż warunki zewnętrzne wielki wywierają wpływ na wewnętrzny rozwój zarodka, mianowicie zaś pewne anormalne okoliczności sprawiają zboczenia i są powodem monstrualności.

Tyle mówi nauka pozytywna; z tego zaś transformiści wnioskują, że zarodek, należący do typu wyższego, przechodzi w swym rozwoju przez wszystkie kształty ustrojów niższych, a te przeobrażenia mają być dowodem analogicznym przeobrażenia gatunków i genetycznego ich pochodzenia. Aby nadać pozór naukowy swym przypuszczeniom, Haeckel nazwał rozwój osobnika w embryologii Ontogenią, rozwój zaś gatunków Phylogenią. Otóż Ontogenia w znaczeniu Haecklowskiem, tj. że „każdy zarodek wyższego ustroju przechodzi przez wszystkie kształty ustrojów niższych", jest przypuszczeniem niczem nieuzasadnionem i jako takie odrzuconem zostało przez uczonych przyrodników.

Haeckel twierdzi, że w stadyum początkowem „wszystkie ssawce, nie wyłączając człowieka, wszystkie kręgowce, ptaki, płazy, gady lub ryby są do siebie podobne; nie ma sposobu do ich rozpoznania [1]". W następnem stadyum zarodki się różniczkują, „mózg ssawców różni się wybitnie od mózgu ptaków i gadów... jednakże mózg ptaków zaledwie rozróżnić można w tej chwili od mózgu żółwia, a mózg psi prawie jest identycznie podobny do mózgu człowieka" [2]. W dalszym rozwoju różnice bardziej się uwydatniają, a Haeckla najbardziej uderza, że „w czwartym tygodniu zarodki psa i człowieka są zupełnie podobne" [3], czego dowodzi, powołując się na drzeworyty umieszczone w swej księdze.

To jest wszystko, co Haeckel i inni przywodzą na udowodnienie powyżej przytoczonego twierdzenia. Czy to dowodzi? Bynajmniej.

---

[1] L. c. p. 218. [2] Ibid. [3] Ibid.

Najprzód, rysunki podawane w dziełach Haeckla straciły wiarogodność od czasu, jak został on schwytanym na podrabianiu dokumentów [1]. Dalej, z luźnego podobieństwa nie można wnioskować o rzeczywistem podobieństwie. Mający się wykształcić z zarodka osobnik będzie miał głowę, nogi, skrzydła i inne członki; otóż, że w pewnem stadyum głowy różnych zarodków będą miały jakieś mgliste podobieństwo, że poczynające narządy ruchowe okazywać będą jakieś kształty podobne, do tego nie potrzeba było żadnych spostrzeżeń; sam rozum z góry dyktuje, że tak być musi, lecz brak wybitnych różnic nie stanowi jeszcze znamion wymaganych do podobieństwa. Czyż stąd, że podczas ciemnej nocy nie można rozróżnić człowieka od drzewa, wolno logicznie wyprowadzić, że człowiek do drzewa podobny! Wreszcie niedostrzegalność różnic nie jest jeszcze dowodem ich braku. Gołem okiem nie dostrzegamy różnic w dwóch różnych rodzajowo zarodkach, które się znajdują w wyższem stadyum rozwojowem, oko dopiero uzbrojone mikroskopem niektóre z nich rozpoznaje; otóż, kto może nas zapewnić, że silniejsza soczewka, lub inny jaki przyrząd, nie uwidoczni nam różnic, zakrytych dzisiaj w stadyum pierwotnem! Nie mają tedy prawa materyaliści twierdzić, że te różnice nie istnieją i wyzyskiwać tym sposobem embryologii dla swej teoryi. Jeżeliby jednak te różnice w pierwotnem stadyum rzeczywiście nie istniały, czyby dlatego wygrali? Całkiem przeciwnie. Jeżeli materya tak jednego jak drugiego jajeczka, rodzajowo różnego, jest identyczną tożsamością, jeżeli nie istnieją w niej żadne różnice, któreby były przyczyną dalszego różniczkowania w ich rozwoju, czyż nie należy przypuścić istnienia w niej, oprócz materyalnego, innego pierwiastku? A wówczas, cóż się stanie z monizmem! Haeckel pojmuje trudności, usiłuje coś powiedzieć i wytłumaczyć, mówi wiele, lecz nic nie tłumaczy. Według niego istnieją jakieś różnice w zarodkach, nie są jednak dostrzegalne, a rozwój i dalsze jego różniczko-

[1] Profesor z Jeny *jeden i ten sam drzeworyt*, mający przedstawiać jakiś zarodek, polecił odbić w swem dziele w *dwóch różnych miejscach*, dając im różny podpis: Jedno odbicie nosiło tytuł „zarodek człowieka", drugie „zarodek psa". (Ob. *Periodische Blätter zur wissenschaftlichen Besprechung etc;* polemikę między Haecklem a Hissem). Porównywając następnie Haeckel te wrzekomo różne zarodki, woła z naiwnem zadziwieniem: „Podczas gdy plazy i ptaki różniczkują się wybitnie od ssawców, pies i człowiek są prawie identycznymi!" (p. 225).

wanie uważa za rzecz „nadzwyczajną", „cudowną [1]"; wreszcie ni stąd ni zowąd kończy argumentem o ogonie.

Trzeba wiedzieć, że ogon wielką gra rolę u darwinistów. „Nie ulega wątpliwości, mówi Darwin [2], że pierwsi przodkowie człowieka obdarzeni byli ogonem". Gdzież on jest? Długie czasy marzyli zwolennicy bydlęcego pochodzenia o wynalezieniu w lasach afrykańskich i kochinchińskich człowieka ogoniastego, starannie badali i pilnie liczyli kręgi *coccyx'u* w człowieku kopalnym — ogona ani śladu! Ten brak ogona do rozpaczy doprowadził Darwina; tłumaczy się przed zaniepokojonymi uczniami, iż ogon jest, ale n i e w i d z i a l n y [3]. To ich nie zadawalnia. „Ależ został zatracony przez n i e u ż y w a n i e, woła Darwin, jako nieużyteczny"! Nieużyteczny! zarzucają gorliwsi, a przecież słynny socyolog francuski utrzymywał, iż człowiekowi do doskonałości brak tylko chwytnego ogona, opatrzonego okiem! Jedyna została Darwinowi odpowiedź: „ogon został zatracony przez t a r c i e; śmiejcie się jak chcecie (sic), ale to jest moje ostatnie słowo" [4]. Haeckel uważał za stosowne wstąpić w szranki bojowe. „Wielu monistów — prawi Haeckel z katedry [5] — trwożliwą oddawna żywi nadzieję, iż jako dowód pokrewieństwa między człowiekiem i niższymi ssawcami, da się odnaleźć człowiek z ogonem; ich przeciwnicy, dualiści, zapominając, iż przecie wiele jest ssawców bezogonowych, głośno tryumfują, iż najmocniejszym dowodem, że człowiek nie pochodzi od zwierzęcia, jest ten brak ogona". Otóż na pocieszenie pierwszych a zawstydzenie drugich, przywodzi Haeckel w swem dziele pyszne drzeworyty, przedstawiające potężny ogon w zarodku ludzkim. W ten to sposób ogon wmięszał się nam w kwestyę embryologii. Lecz pomijając już podejrzany charakter drzeworytów Haeckla, cały jego ustęp w tem miejscu o ogonie, jest tylko niezgrabną, a zarazem pocieszną wycieczką odwodzącą od przedmiotu.

---

[1] L. c. p. 225.

[2] De la descend. de l'hom., p. 175.

[3] Oto autentyczne słowa Darwina: „Chociaż niewidzialny na zewnątrz ogon, jednak istnieje tak u człowieka jak i u małp antropomorficznych". De la desc. de l'hom., p. 59.

[4] On a souvent tourné en ridicule, et on le fera sans doute encore l'hypothèse en vertu de laquelle la friction a joué un rôle dans la disparition de la partie exterieure de la queue... (De la desc. de l'hom. p. 60).

[5] Hist. de la creat. nat., p. 224.

Ontogenia odrzuconą została przez uczonych przyrodników [1], a pierwszorzędna powaga fizyologiczna, Klaudyusz Bernard, streszcza swe badania embryologiczne tym rozstrzygającym wynikiem: „Kiedy badamy ten rozwój istoty żyjącej w jajku, wyraźnie spostrzegamy, że jej układ jest następstwem prawa organo-genicznego, które tam istnieje wedle myśli przewodniej, a przekazane jest organizmem dziedzicznie jednej istocie od drugiej. Goethe porównywa przyrodę do wielkiego artysty. W istocie, przyroda i artysta jednakowo postępują co do objawów myśli twórczej w swych dziełach. W rozwoju zarodka widzimy najprzód ogólny szkic istoty... Lecz te rysy życiowe zawierają już zamiar idealny przyszłego ustroju, który jakkolwiek niewidzialny jeszcze dla nas, wskazuje już każdemu elementowi właściwe miejsce, stosowny układ i odnośne własności. Tam, gdzie mają powstać naczynia krwionośne, nerwy, muszkuły, kości i t. d., komórki zarodkowe przemieniają się w kuleczki krwi, w tętnice, żyły, w tkanki mięsne, nerwowe i kostne. Ustrój, mglisty z początku i zaledwie wskazany, doskonali się coraz widoczniej w urabianiu szczegółów. Ta siła twórcza (puissance génératrice) istnieje nietylko w zaraniu życia, lecz działa również w istocie dojrzałej, dokonywając objawów i zjawisk życiowych...

Skoro rozchodzi się o rozwój ustrojowy na przyszłość, nie

[1] Die Darwinisten neuerer Zeit behaupten die Ausbildung eines höheren Organismus durchlaufe in ihrer individuellen Entwickelung rasch die Bildung der früheren Formen, welche die Entwickelung eines Individuums nicht die Thierreiche durchläuft, sondern von den allgemeineren Charakteren einer grösseren Gruppe zu den specielleren und speciellsten übergeht... Erst später zeigt sich am Embryo, ob er ein Reptil, ein Vogel oder Säugethier werden soll, und noch später zeigt sich die Ordnung, die Familie, die Sippe und die Art... Wie soll die Entwickelung eines höheren Thieres die Reihe der ausgebildeten Lebensformen einer niederen Classe durchwandern? Wie kann ein Wirbelthier aus einem Arthapoden (Gliederthiere) werden, da das letztere die Nervencentra an der Bauchseite, das Wirbelthier sie an der Rückenseite hat?... Wenn man hinzufügt, dass auch die Lage aller Organe die umgekehrte ist, dass im Gliederthiere Darm und Herz über dem nervösen Bauchstrange liegen, mehr nach dem Rücken zu, im Wirbelthiere aber unter der Wirbelsäule und dem Rückenmark mehr nach der Bauchseite, wie soll es nun zu gehen, dass das eine Lagerungsverhältniss in das andere übergeht?... Auch von dem Molluskentypus kann ich mir keinen Uebergang denken, denn hier bildet sich die grade Linie gar nicht, welche den Aufbau der Wirbelthiere und der Arthapaden regelt. (C. E. de Baer. Studien aus d. Gebiet der Naturw. tom 2. p. 426—429 Cfr. ibid., p. 243 sqq.)

pojmujemy materyi mającej własność działania w odległym czasie (propriété de la matière à longue portée),... jajeczko, komórka zarodkowa ma dopiero być (est in fieri); otóż, jakże można zrozumieć, aby materya posiadała przymiot, któryby zawierał własności i działania mechaniczne rzeczy nieistniejącej jeszcze?... Nie można pojąć, aby komórka, która miała powstać samorodnie, bez rodziców, zdolną była do rozwoju; nie ma ona bowiem kierunku początkowego, tej formułki ustrojowej, która streszcza w sobie warunki rozwojowe istoty oznaczonej"[1].

Ontogenia miała wyjaśniać phylogenią i podpierać tym sposobem teoryę darwinistowską. „Rozwój embryologiczny zarodka, pisze Haeckel[2], każdego zwierzęcia, każdej rośliny, więcej nas poucza aniżeli wszystkie szczątki kopalne o rozwoju paleontologicznym, i o początku istot ustrojowych wielo-komórkowych". Otóż „wart Pac pałaca i pałac Paca", ponieważ ontogenia jest błędnem przypuszczeniem, phylogenia zatem musi być odrzuconą; czystej wody darwinista Perrier pisze[3]: „Począwszy od Bonnet'a aż do F. Müllera, usiłowali napróżno przyrodnicy dowieść, za pomocą dociekań zbyt ogólnikowych, a stąd nieścisłych, że rozwój osobnika jest tylko skróconem powtórzeniem rozwoju gatunku".

Wreszcie ostatnia jeszcze uwaga, by zakończyć z uroszczeniami embryologicznemi, jakie wyroiły się w głowach darwinistów. Zwolennicy „nagłego rozwoju" nie mają żadnego prawa do uważania się za zwycięzców. Spostrzeżenia embryologiczne stwierdzają wprawdzie, że warunki zewnętrzne wpływają na zboczenia zarodka, lecz wykazują zarazem, iż stąd powstałe monstra są bezpłodne. Geoffroy i Koelliker, najwybitniejsi przedstawiciele tej szkoły, pomimo wysileń przeprowadzenia możebności swej hypotezy, „nie mogą się powołać ani na doświadczenie ani na spostrzeżenie", jak im dowiódł de Quatrefages[4]. Rzeczywista umiejętność nie podtrzymuje teoryi darwinistowskiej.

2. Teorya Komórek. Z embryologią łączy się ściśle inna gałąź umiejętności przyrodniczej, nauka o Komórkach.

[1] Probl. de la phisiol. génér., pp. 177, 156, 148.
[2] L. c. str. 302.
[3] La phil. zool., p. 265.
[4] Charl. Darw., p. 350.

W naszem stuleciu fizyologia znaczne zrobiła postępy. Anatomiczne badania narządów, śledzenie ich czynności i przeznaczenia w końcu zeszłego wieku uczyniły krok naprzód. Znakomity anatom Bichat wprowadził nowy czynnik do nauki, tkankę; w naszym zaś wieku dzięki pracom Schleiden'a, Schwann'a, Kölliker'a, Virchow'a, samą tkankę rozłożono na komórki. Odtąd fizyologowie zwrócili się pilnie do badania istoty i czynności tych elementów ustrojowych, a chociaż nowa umiejętność jest jeszcze w kolebce, wyjaśniono i sprostowano wiele kwestyj ciemnych dotąd i wątpliwych [1]. Faktem stwierdzonym przez naukę jest dziś, iż komórka żyje, odkarmia się i mnoży — lecz oto wszystko, albo prawie wszystko. Otworzyło się nowe pole do badań, biologia nowe pozyskała podstawy; lecz potrzeba dalszych dociekań, potrzeba jeszcze czasu i pracy a szczególniej nowych odkryć, aby naukę o komórkach powiązać z prawdami zdobytemi przez inne umiejętności, aby wyprowadzić z niej wnioski, mogące podpierać jakie hypotezy. Darwin był pod tym względem chwalebnie oględnym, rzucił tylko główną myśl swej p a n g e n e z y, i wbrew swemu zwyczajowi nie broni jej bezwzględnie. Według Darwina, każdy narząd, każda cząstka ustrojowego jestestwa posiada sobie właściwe p ą c z k i; wszystkie te pączki znajdują się w zarodku i są nasieniem narządów i składowych części osobnika. Będziemy naśladować oględność Darwina, nie odrzucamy bezwzględnie jego pangenezy, lecz nie kwapimy się również z jej przyjęciem — zaczekamy na dowody.

Wszelako nie wszyscy uczniowie poszli za przykładem mistrza, Haeckel nie zadowalnia się takim wynikiem, bądź co bądź stosuje wszystko do swej myśli przewodniej: nauka o komórkach wykazuje według niego, że niema Stwórcy po za jestestwami, że nie widać w tychże jestestwach żadnego planu z góry powziętego. Przytaczamy cały ten ustęp, jako najlepszy dowód powierzchowności, nieścisłości logicznej i powiemy śmiało, złej woli, z jaką słynny profesor Jeński przedmiot i słuchaczy traktuje.

[1] W uniwersytecie katolickim w Lowanium istnieje specyalny wykład „Biologii ogólnej". W sali 25 m. długiej, znajduje się 75 mikroskopów; 150 uczniów, pod kierunkiem profesora ks. Carnoy, autora „Biologii komórkowej", dokonywa tam spostrzeżeń.

„Te komórki pierwotne, mówi Haeckel [1], przeznaczone do zbudowania ciała ustrojowego urządzają się nakształt obywateli mających na celu założenie nowego państwa. Pomiędzy tymi obywatelami, jedni podejmują się tej roboty, inni innej, i spełniają swe powinności jak najlepiej dla dobra ogółu. Dzięki temu podziałowi pracy, tym różniczkowaniom i korzyściom nierozłącznym, państwo może spełnić prace, które byłyby niemożebne dla każdego pojedyńczego człowieka. Otóż ciało każdego kręgowca, każdego organizmu wielokomórkowego, jest stowarzyszeniem republikańskiem komórek; stąd też mogą spełniać czynności, do jakich nie byłyby zdolne komórki żyjące w stanie odosobnionym. Czyż człowiek rozumny może przypuścić działanie osobiste nadprzyrodzonego Stwórcy w instytucyach politycznych, które działają dla dobra tak ogółu, jak i pojedyńczego członka? Wiadomo wszystkim, że każda instytucya polityczna, w jakimbądź celu urządzona, jest wypływem działalności każdego członka, rządu, a również okoliczności zależnych od warunków zewnętrznych. W ten sam sposób należy się zapatrywać na urządzenie każdego ciała wielokomórkowego. Tutaj również każde działanie odpowiadające celowi jest tylko wypływem naturalnym i koniecznym współudziału, różniczkowania i doskonałości każdego poszczególnego obywatela, to jest komórki, nie zaś dziełem obmyślonem i sztucznem Stworzyciela. Kto zrozumie dobrze to porównanie i wszystkie jego następstwa, łatwo zrozumie błędność pojęcia dualistycznego przyrody i tej zgodności organizacyi z celem zamierzonym nie będzie przypisywał twórczości wedle planu z góry powziętego".

Pośród mnóstwa niedokładności, przesad i fałszów, jest w tem wszystkiem co Haeckel powiedział coś prawdy, a to właśnie przeciwko niemu najoczywiściej się obraca. Prawdą jest mianowicie, że między organizmem komórkowem a uspołecznieniem ludzkiem jest podobieństwo w tem, że tu i tam objawia się *l'idée directrice*, jak mówi Claude Bernard, myśl przewodnia, rozum rozkładający pracę ku wspólnemu celowi; w społeczeństwie ludzkiem ten rozum świadomy celu istnieje w każdym osobniku a głównie w centralnej władzy, która za wszystkich obmyśla; i dlatego przyczyny danego

[1] Hist. de la créat. nat., p. 219, 220.

ustroju społecznego nie potrzeba odnosić do Stwórcy. Ale komórki nie myślą, nie znają celu — i dlatego przyczyny ich rozumnego zestrojenia i rozłożenia między niemi pracy odpowiednio do wspólnego celu trzeba szukać poza niemi, w rozumie Stwórcy. *Mentita est iniquitas sibi.*

Teorya komórek dała jeszcze darwinistom sposobność do wniosków, które znamionują dążności ich systemu: zaprzeczają oni indywidualności. Według nich, roślina, zwierzę, człowiek nie stanowią indywiduów, lecz tylko k o l o n i e, coś nakształt korali lub gąbek. Człowiek byłby tylko jakąś osadą bardzo ludną, stosownie bowiem do obliczeń Vierordt'a i Welcker'a składa się on z sześćdziesięciu miliardów (60 000 000 000) komórek! Te zaś komórki są dopiero indywiduami czyli osobnikami. Łatwo zrozumieć następstwa tej hypotezy: z zaprzeczeniem indywidualności znika pojęcie odpowiedzialności, chwieją się wszystkie posady nauk moralnych i filozofii. Ale cała ta hypoteza polega na illuzorycznej analogii. Korale żyją gromadnie, inne może polipy przyrośnięte do jednego polipnika okazują jakiś ślad podziału pracy między osobnikami — zdaje się komuś, że stąd przejście nieznaczne do ustroju i podziału pracy, jaki jest u komórek żyjącego organizmu. Lecz w gruncie rzeczy różnica jest ogromna, radykalna. Osobniki, zrośnięte na wspólnym polipniku, żyją życiem własnem i umierają śmiercią własną. I jeśli o zbiorowym polipniku mówimy, acz niewłaściwie, że żyje lub umarł, to jedynie odnosi się to do życia kilku jego jednostek lub do wymarcia wszystkich. Tu przeciwnie, fizycznie, jedno jest życie, będące racyą i podstawą tak zwanego życia komórek; i przeto wprzódy umiera organizm, a następnie tracą swe życie komórki. Ostatecznie mało na tem zależy, czy to lub owo żyjątko, które mamy za jeden osobnik, jest może tylko agregatem, byleby pewnem i niezachwianem było, że są wyższe ustroje, do których i my należymy, które w ścisłem znaczeniu są osobnikami. A na to mamy najoczywistszy dowód i fakt w jedności wnętrznej świadomości.

Pozostawała jeszcze największa trudność. Komórka rodzi komórkę, lecz p i e r w s z a k o m ó r k a życia sobie nie dała, a pierwszą komórkę przypuszcza Haeckel; jaka tedy jest przyczyna powstania tego pierwszego objawu życia na ziemi? To właśnie stanowi teoryę moner.

3. Teorya moner. Teorya moner leży właściwie po za granicami wytkniętemi przez Darwina; lecz ponieważ twórca tej hypotezy uważany jest ogólnie za „kontynuatora“ darwinizmu, ponieważ sam mistrz w przedmowie do swego dzieła „O pochodzeniu człowieka“, pisze się na wszystkie wywody Haeckla, stąd i teoryę moner musimy wciągnąć do naszej pracy o darwinizmie.

Haeckel usiłując przeprowadzić swoją „teoryę moner“ był tylko konsekwentnym materyalistą. Darwin twierdził, że wszystkie ustrojowe istoty pochodzą od kilku, a nawet od jednego tylko typu pierwotnego; otóż jeżeli ten pierwotny typ nie powstał skutkiem jedynie mechanicznym sił fizycznych, system materyalistyczny nie ma podstawy. Nie mogą też materyaliści pomijać milczeniem tej kwestyi, nie mogą zasłaniać się niewiadomością ci, którzy dlatego przyjmują mechanizm, iż on naturalnym sposobem tłumaczy wszystkie objawy i zjawiska. Słynne wyrzeczenie Du Bois-Reymond'a na zjeździe lipskim (1872) *„Ignorabimus“*, podkopywało materyalizm; zrozumiał to Haeckel i dlatego tak gorąco wystąpił przeciw temu wyrażeniu, w obronie swych „plastydul i moner“; teorya moner miała odsłonić tajemnicze pojawienie się życia na ziemi.

Profesor z Jeny okazał się godnym spadkobiorcą katedry Okena; porysowany gmach „Filozofów natury“ stara się ucementować nowymi nabytkami naukowymi, nadać mu pokost umiejętności. Poprzednik jego przypuszczał istnienie pierwotnej materyi organicznej (Urschleim), urobionej samodzielnie w toniach oceanu z materyi nieorganicznej; z tej „galarety“ miały powstać „pęcherzyki“, które są składowemi częściami ciał ustrojowych. Ta „wielka myśl, mówi Haeckel[1], potępiona w swoim czasie przez wielu... stała się jedną z wielkich teoryj biologicznych naszego wieku“. Ta „wielka myśl“ jest punktem wyjścia dla Haeckla i podstawą dla jego teoryi moner. Profesor Jeński pojmuje jednakże trudności swego zadania; przyznaje, że największa część przyrodników-filozofów, nie mogąc wytłumaczyć naturalnym sposobem objawów życia na ziemi, ucieka się do stworzenia „niezrozumiałego“[2]; godzi on się na to,

[1] Hist. de la créat. nat. p. 70.

[2] Aujourd'hui encore la plupart des naturalistes, une fois parvenus à ce point, sont tentés de renoncer à toute explication naturelle et de chercher un refuge dans le miracle d'une création incompréhensible. (Ibid. p. 238).

że „przyczyny pierwsze“ są dla nas ukryte [1], pomimo to nie traci odwagi, jak mówi [2], a raczej wbrew zdrowemu rozsądkowi nawięzuje swoją hypotezę z „ideami błędnemi, nieprzypuszczalnemi, fantastycznemi“ [3] swego poprzednika. Gdyby Haeckel przy swej nauce nie był stronniczym, gdyby stawiając hypotezy brał w rachunek ujemne ich strony, gdyby logicznie rozumował, nie zaś po sekciarsku dogmatyzował, nie byłby wystawił swej teoryi, a tem mniej swej osoby na publiczne urągania swych uczonych kolegów; przebieżymy treściwie całą tę rzecz.

Haeckel bierze ziemię w chwili kiedy okryła się wodami. Istniały podówczas jestestwa nieorganiczne w trzech swych stanach: stałym, ciekłym i lotnym; stan czwarty „skrzepło ciekły“, charakteryzujący jestestwa organiczne, nie miał jeszcze swych przedstawicieli. „Węgiel“ jest nietylko głównym składnikiem istot ustrojowych, lecz zarazem głównym czynnikiem życia. Połączenia węgla z tlenem, wodorem i azotem, do których należy dodać siarkę i fosfor, stanowią *substratum* objawów życiowych. Jakim to więc sposobem powstało życie? „Dzięki jedynie, odpowiada Haeckel [4], własnościom szczególnym chemiczno-fizycznym węgla, a szczególniej dzięki skrzeplopłynności i niestałości związków węglowo-białkowatych, powstały przyczyny mechaniczne zjawisk i ruchów szczególnych, którymi się różniczkują organizmy i nieorganizmy, a które w znaczeniu ściślejszem zowią się życiem“.

Całą tedy przyczyną powstania życia przypisuje Haeckel „szczególnym własnościom węgla“. Ale o takich szczególnych własnościach nic a nic nie wiemy; przypisywać tedy skutek przyczynie nieznanej jest po prostu przyznaniem się do niewiadomości, jest to właśnie *Ignoramus;* jest to wniosek konieczny, lecz na niego Haeckel się nie godzi. Dla zabałamucenia przedmiotu autor „teoryi moner“ zagłębia wzrok swój w zamierzchłej przeszłości i w swem

[1] Certainement, dans un cas comme dans l'autre, les causes premières nous sont également cachées (Ibid. p. 241).

[2] Pour nous, avant de perdre ainsi courage, avant de faire ce pas décisif, avant de désespérer d'avoir jamais une notion claire sur ce fait capital, nous voulons du moins essayer de l'expliquer. (Ibid. p. 238).

[3] Ibid. p. 70.

[4] Ibid. p. 243.

„wieszczem widzeniu“ maluje nam obraz powstającego życia na ziemi. Rzecz zdumiewająca, że filozof innej szkoły, autor „Nieświadomego“, miał zupełnie podobne „widzenie“ i niemal tymi samymi wyrazami rzucił szkic natury budzącej się do życia.

Hartmann opowiada, jak atomy ciał pojedynczych pod wpływem wilgoci, ciepła, światła i elektryczności biedzą się n i e ś w i a d o m i e a koniecznie nad tworzeniem coraz nowych związków. Nie wszystkim zarówno dobrze się udaje, bo działają nieświadomie; ale ponieważ mają czas nieskończony, w nieskończonej tedy ilości związków będzie wreszcie i taki, który w stopniu najniższym wprawdzie, ale już będzie miał coś z organizmu. To było najtrudniejsze, jeszcze trochę czasu, jeszcze trochę przypadku, ba — a oto nowe związki już kształtem i własnościami zbliżyły się do nieświadomego sobie organizmu, nie wszystkie jednakże z tem samem powodzeniem i napięciem. Pięć było tych pierwotnych kształtów, ani mniej, ani więcej. Pierwszy najliczniejszy, pomimo wysileń nie nabył własności chemicznych i fizycznych, któreby go zbliżyły do organizmu i został nieorganicznym; drugi w mniejszej liczbie, posiadał zasadnicze dane, zbliżał się już do organizmu, ale nie miał wytrwałości, zabrakło mu siły zachowawczej; trzeci kształt nabył tę własność przez przyswajanie sobie obcych materyj, ale tylko dla siebie i na krótki czas; czwarty miał wszystko co trzeci, a nawet co tamtemu brakowało, zdolność rodzenia sobie podobnych; ale piąty dopiero nabył nadto możność przeobrażania swych organów. I oto mamy ż y c i e na ziemi.

Haeckel nie dzieli związków na pięć kategoryj. Dzięki węgłowi powstała najprzód d r o b i n a b i a ł k o w a, pogrążona w w o d z i e r o d z i c i e l c e wyrosła z czasem na bezkształtną jeszcze m o n e r ę, ale która już była cząsteczką p l a s m y. Ta monera „z powodu łatwej rozprężliwości dąży ciągle do unicestwienia poczynającej się dopiero swej indywidualności, jednakże zdobywa się na zachowanie w sobie życia za pomocą przyswajania materyi; stąd przy*właszczanie nowej substancyi*, na mocy odkarmiania, góruje ciągle i przeważa dążność rozkładową. Osobnik organiczny, dotąd jednolity, powiększa się dalej przez i n t u s s u s c e p c y ę, dopóki siła przyciągająca środka czyli ogniska wystarcza do utrzymania w skupieniu całości. Teraz zaczyna się wytwarzać w plasmie jednolitej, skutkiem

rozstrzelonego ruchu, jaki panuje w drobinach, dwa lub więcej ognisk przyciągających, które, każde w swej sferze przyciągając drobiny, rozczepiają jednolitość i z jednego osobnika tworzą dwa lub więcej. I znowu odbywa się odwieczne przyciąganie i odpychanie... i t. d.".

Co może znaczyć ta czcza gadanina, ten szereg ciągłych przypuszczeń opierających się na sile, której przyczynę należało wywieść? gdzie jest ten moment, w którym element z porządku martwego przechodzi do porządku życiowego? gdzie jest przyczyna tego przejścia? Odpowiedzi na te pytania nie znajdzie nikt u żadnego materyalisty, lecz Haeckel, jako uczony przyrodnik usiłuje nadać uczony pozór swym wywodom. Przedewszystkiem przemienia nazwy dotąd używane na inne i dodaje wielki poczet nowych.

Aby udowodnić powstanie naturalne życia na ziemi Haeckel ucieka się do samorodztwa. Nie odstraszają go doświadczenia Pasteur'a, powszechnie dziś przyjęte, nawet przez takich jak Tyndall; jednakże aby nie zrażać swych słuchaczy zbytniem lekceważeniem prawd ustalonych, zastępuje wyraz samorodztwo innym, nowym, ciemnnym, ciężko uczonym: archigonią autogoniczną! Dowodzić, że samorodztwo jest dziś możebne, że niegdyś dokonywało się na ziemi, zbyt śmiałą i ryzykowną wydawać się mogło rzeczą, lecz że archigonia autogoniczna była możliwą, że pierwszym jej objawem był archiplasson bezustrojowy, nikogo jeszcze nie razi. A skoro już mamy tę monerę albo monerulę, reszta idzie jak z płatka. Monera przechodzi w cytulę, po niej następują: morula, planula v. blastula, potem gastula... et caetera. Czy cała ta nomenklatura grecka nie zakrawa na makaronizm lekarza z komedyi Moliera!

Profesorowie uniwersytetu berlińskiego wystąpili przecież z protestacyą przeciw tym chorobliwym objawom rozumu: w imieniu nauki i zdrowego rozsądku daje Virchow w swej mowie[1] odprawę tym filozofom z nietajonem szyderstwem. „Łatwo jest powiedzieć — są słowa Virchow'a — komórka złożona jest z cząsteczek które się zowią plastydule; plastydule są utworzone z węgla, wodoru

[1] Mowa miana w Mnichowie na zgromadzeniu przyrodników niemieckich w r. 1877. Ob. Revue scient. du 8 decem. 1877.

tlenu i azotu, i są ożywione jakąś duszą, ta dusza zaś jest wynikiem, albo zbiorem sił, jakie posiadają atomy chemiczne. To być może; nic o tem dokładnie nie mógłbym powiedzieć. Jednakże to winienem powiedzieć: Zanim nie będą określone i oznaczone własności węgla, wodoru, tlenu i azotu tak, iż pojąć będzie można, że z nich może powstać dusza, sądzę, że nie mamy prawa wprowadzania do nauki i wykładu duszy — plastyduli, nie możemy nawet żądać, aby nasza hypoteza przyjętą została przez jakiegobądź wykształconego człowieka, któryby z tego wnioskował o pochodzeniu świata. Tego żądać nie możemy. Przeciwnie, według mnie, zanim podobne przypuszczania przyodziejemy szatą i nazwą umiejętności, zanim wypowiemy, iż one są nabytkiem nowożytnej umiejętności, długim jeszcze studyom i badaniom winniśmy się poświęcić... Wraz z darwinizmem pojawiła się na nowo teorya samorodztwa. Nie przeczę, iż ta teorya jest bardzo nęcącą, wieńczy bowiem całą teoryę descendencyi: descendencya sprzęgłszy w jeden łańcuch wszystkie jestestwa ożywione, od pierwotniaków począwszy aż do człowieka, nawiązuje go obecnie samorodztwem z tworami martwymi... Czujemy potrzebę nieodłączania się od świata nieorganiczonego i zaznaczenia całości. Z tego powodu łatwo dajemy się skusić do przyjęcia myśli, że pewna grupa atomów, Węgiel i Spółka — wyrażenie może zbyt zwięzłe, ale dokładne, jeżeli węgiel główny w czynności bierze udział — oddzieliła się razu pewnego od zwykłego węgla, i w sprzyjających okolicznościach, wyrodziła pierwszą plastydulę... Wprawdzie nie mamy ani jednego faktu potwierdzającego przypuszczenie, iż samorodztwo jest możebne, że jakaś masa nieorganiczna, choćby nawet należała do stowarzyszenia Węgiel i Spółka, przedzierzgnęła się naraz w masę organiczną; jednakże przyznaję, że jeżeli chcemy odpowiedzieć na pytanie, jakim sposobem utworzyła się pierwsza istota organiczna, należy koniecznie przypuścić samorodztwo. To rzecz jest widoczna. Jeżeli nie chcę przyjąć teoryi stworzenia, jeżeli nie chcę wierzyć, że jest Stwórca, który tchem ożywił gródkę ziemi, jeżeli mam wyjść z tego bezładu, muszę się uciec do samorodztwa. *Tertium non datur.* Lecz należy wyznać, że samorodztwo nie jest dowiedzione. Skoro będą dowody, uchylimy czoła nasze. Ale i wówczas potrzeba będzie wytknąć granice samorodztwu. Wówczas jeszcze potrzeba będzie robić spokojnie

studya i badania; nikt bowiem nie przypuszcza, że samorodztwo zastosować można do całości wszystkich jestestw ożywionych; przeciwnie, samorodztwo jest tylko możebne w zastosowaniu do małej bardzo ilości istot. Lecz sądzę, iż upłynie jeszcze dosyć czasu, zanim zdobędziemy się na dowody. Kiedy sobie przypomnimy w jaki to sposób, godny pożałowania, w tych właśnie ostatnich czasach, spełzły na niczem usiłowania, mające na celu wykazanie samorodztwa i rzekomego przejścia najniższych kształtów nieorganicznych w organiczne, byłoby rzeczą niebezpieczną wymagać, aby teorya tak niepewna miała służyć za podstawę do pojęć ludzkich o życiu".

A Virchow nie był jedynym przeciwnikiem Haeckla, najgorliwsi darwiniści, najbliżsi nawet jego przyjaciele, jak Oskar Schmidt[1], odstąpili go na tym punkcie. Sam twórca teoryi znał słabą jej stronę: polegała ona na samorodztwie, które dowiedzione nie jest. „Przyznaję, mówi on[2], że ten objaw (samorodztwo) dopóki nie nabędzie pewności, opartej na doświadczeniu, jest i zostanie tylko prostem przypuszczeniem; ale powtarzam, to przypuszczenie jest niezbędne do powiązania całej historyi stworzenia (naturalnego)..." i wreszcie kończy: „należy wybierać albo samorodztwo, albo twórczość, *tertium non datur*". Zgoda na dilemat, lecz same przesłanki Haeckla prowadzą do potępienia jego teoryi. Ponieważ samorodztwo jest tylko przypuszczeniem, które po pracach Pasteur'a, jak wszyscy przyznają, ma przeciw sobie doświadczenie, a więc sprzeczne jest z dzisiejszą nauką, dzisiaj zatem samorodztwa przyjąć nie możemy, a tem samem zmuszeni jesteśmy do przyjęcia Stwórcy.

Ostatni ustęp wyżej przytoczonej mowy Virchowa wymaga objaśnień. Jest to jedna z kwestyj najdrażliwszych dla profesora z Jeny, musimy o niej wspomnić, maluje bowiem dobrze wartość jego hypotezy.

W r. 1868 Huxley spostrzegł w błocie, czerpanem w głębi oceanu, istnienie organizmu klejowatego, bezkształtnego, podlegającego, zdawało się, ruchom automatycznym, nazwał go *Bathybius Haecklii*. Bathybius jest pierwoszczą życia, w całem znaczeniu tego

[1] A ces fantaisies et à d'autres semblables, qui sont plus ou moins séduisantes, nous n'attachons aucune valeur particulière... (Descend. et Darwin. Paris, 1880, p. 141, 142).

[2] Hist. de la créat. nat., p. 252.

wyrazu, jestestwem przejściowem między bezustrojowemi a ustrojowemi. Była to woda na młyn profesora z Jeny. Haeckel dla honoru swego imiennika, na poparcie teoryi swych moner, oddał się badaniom Bathybiusa i w parę lat napisał jego monografię; dopomagali mu w tem i inni gorliwi przyjaciele. Niebawem jednak rozwiały się marzenia. Buchanan i Murray, przyrodnicy wyprawy naukowej z okrętu *Challenger*, po trzechletnich badaniach mułu oceanowego, ogłosili następujące wnioski: 1) że muł po wydobyciu z głębi morza nie przedstawia nigdy i nigdzie organizmu kleistego, zwanego Bathybiusem; 2) że muł ten wodnisty po wyparowaniu i wystawieniu na wysoką temperaturę, nie okazuje nigdy materyi zwęglonej; wreszcie 3) że organizm klejowaty tworzy się dopiero w naczyniu, w którem się przechowuje ten muł z nadmiarem wyskoku, a stąd powstałe strącenie jest po prostu siarczanem wapna, czyli gipsem.

Bathybius znalazł grób tam, gdzie miała być jego kolebka, utonął bezpowrotnie. Huxley, w mowie mianej w Scheffield [1], z humorem iście angielskim przyznał to otwarcie; uczeni przyrodnicy złożyli Bathybiusa *ad acta*, lecz Haeckel nie dał za wygraną. Utracić jedynego przedstawiciela moner, rozstać się z przybranem dziecięciem, tylu trudami i tyle lat niańczonem w rozmaitych czasopismach, stanąć w obec grobowego napisu: *hic jacet Bathybius Haeckelii* — to było nad siły. Pozostał jeden tylko środek utrzymania tego jestestwa myślnego *(ens logicum)* i tego też Haeckel

[1] Oto wyjątek z mowy Huxley'a: „Prezydujący w pierwszej części swej mowy zrobił wzmiankę o czemś... nie wiem właściwie, jak to nazwać, czy coś, czy inaczej (śmiech), wymienił nazwę Bathybius i dodał, co jest zupełną prawdą, że ja pierwszy podałem go do wiadomości publicznej. Pewną jest rzeczą, że ja go tak przechrzciłem (śmiech) i pod pewnym względem, jestem jego najstarszym przyjacielem (długi śmiech). Kiedy ten interesujący Bathybius ukazał się już na widowni świata, wielu z jego wielbicieli wzięło tę małą rzecz w opiekę i zrobili z niej wielki rozgłos (śmiech). Ci panowie potwierdzili to wszystko co o nim powiedziałem, i był czas, iż sądziłem, że ten Bathybius przyniesie mi wielki zaszczyt (przeciągły śmiech). Lecz z przykrością wyznać muszę, że zawiódł naszą nadzieję, nie odpowiedział oczekiwaniom, jakie budziły młode jego lata (przeciągły śmiech). A najprzód, nie znajdowano go tam, gdzieby był winien się znajdować; to niegrzecznie z jego strony (śmiech): co więcej, skoro go znaleziono, dziwne rzeczy o nim opowiadano. Prawdziwie ze smutkiem wyznać muszę, iż niektóre złośliwe osoby śmią utrzymywać, że wrzekomy Bathybius jest tylko strąceniem klejowatem gipsu! (śmiech)..." (Ob. Sheffield Dailly Telegraph. 21 sierp. 1879 r.)

chwycił się oburącz. We wszystkich swych dziełach mówi o niem, załącza przepyszne drzeworyty, mające wyobrażać jego... portret, a przeciwników gromi wyrazami, w których nie przebiera swego nawet dawnego profesora Virchow'a nazywa nieukiem i zdrajcą [1]. Virchow ugodził w samo sedno, lecz to dopiero był pierwszy strzał. Niebawem wystąpił inny profesor uniwersytetu berlińskiego i nie obwijając już w bawełnę, z kretesem potępił wszystkich „kontynuatorów" Darwina. Oto, co pisze Adolf Bastian [2] „Kilku słowami rozjaśnił Virchow ciężką i burzliwą atmosferę, brzemienną straszydłem descendencyi. Uwolnił tą razą jeszcze, spodziewać się może, że na zawsze, nauki przyrodnicze od tej zmory, która tak długo, za długo według wielu, je przygniatała. Tę nawałnicę można było od wielu lat przewidzieć, pochód jej był całkiem normalny. Skoro rzucone przez Darwina ziarno, po którem tyle oczekiwano, dostało się do cieplarni, tak podwyższano tam temperaturę, iż wydało chwasty całkiem nieobiecujące. Kiedy bałwany, pod wpływem epidemii psychicznej, biją wysoko, nie należy czynić usiłowań do ich odparcia; głosy pojedyncze nie dochodzą wówczas uszu. Lepiej jest dozwolić, by rzeczy szły zwykłym trybem, dozwolić im pogrążać się coraz bardziej w bagnisku, które właśnie samo je pochłonie. Prawda jest, że: *Quos Deus perdere vult, dementat prius*. Tak było i tą razą. Skoro wybryki descendencyi, podniecane zaraźliwie, dosięgnęły najwyższego szczebla w „deliramentach" wygłoszonych w Monachium (mowa Haeckla), niedorzeczności te upadły same przez się, skutkiem samej przesady i od razu pozbyliśmy się ich. Dzisiaj tedy skończyliśmy już z descendencyą czy ascendencyą; zyskują na tem nauki przyrodnicze, albowiem pomiędzy zwolennikami tej teoryi wielu było znakomitych przyrodników. Mężowie ci nie będą potrzebowali marnować swego czasu na bajeczne powieści i całkowicie użyć go będą mogli do zgłębiania umiejętności i poszukiwań naukowych".

Tak przemawiają dziś o darwinizmie pierwszorzędne powagi naukowe; ale kiedy tę hipotezę z wyższych sfer umiejętności, jako przeżytą, wyrzucają, to właśnie chwila, żeby ją *shallow thinkers* z ziemi podnieśli i nią paradowali. Tak zawsze bywało w dziejach myśli ludzkiej — nie dziwmy się, że i u nas tacy się znajdują.

[1] Ob. Preuves du transformisme.

[2] Ob. Dziennik etnologiczny, t. X., 1878. p. 66.

Dziwić się jednak możemy, że w naszych wyższych uczelniach znajdują się tacy, którzy nie mają względu na powagę nauki i hygienę umysłową słuchaczy. Może to uchodzi i dobrze jest widzianem gdzieindziej... ale nie w naszym katolickim kraju. Najdziwniejszym zaś, a oraz najsmutniejszym jest ten świeży fakt, że na uroczystem otwarciu uniwersytetu lwowskiego, w obecności zaproszonych trzech Arcypasterzy, profesor zoologii odczytał apoteozę darwinizmu z wycieczkami przeciwko dogmatowi katolickiemu. Część lekkomyślna obecnej młodzieży frenetycznie przyklasnęła. Te oklaski były już rzeczywiście pierwszą karą dla mówcy, były dowodem nie naukowej wartości wykładu (cóż o tem taka młodzież sądzić może?), były dowodem skuteczności i rozkładowego wpływu takiego nauczania na umysły i serca młodzieży. Nazajutrz wszystkie niemal organa wszelkich odcieni prasy naszej, z wyjątkiem „prasy rewolwerowej", dały wyraz słusznemu oburzeniu na ten niesłychany brak taktu i przyzwoitości, jaki popełniono zapraszając książąt Kościoła na deklamacye i przyklaskiwania deklamacyom przeciwko wierze katolickiej. Ten jednomyślny protest organów opinii jest drugą karą mowy p. Dybowskiego i rehabilitacyą naszego społeczeństwa, któremu taki obchód uniwersytecki ubliżył i czci ujął.

Ale dodamy po trzecie, co może w protestacyach gazet nie dosyć było uwydatnionem, że pomijając nawet nieodpowiedniość tego wystąpienia z punktu nauki, i niewłaściwość jego, z punktu przyzwoitości, w obec zaproszonych przez Uniwersytet biskupów — już samo takie postawienie Darwinizmu w jaskrawej sprzeczności z zasadami wiary, jak je postawił p. Dybowski na takim publicznym i poniekąd narodowym obchodzie, jest publicznem ubliżeniem katolickiej religii, ubliżeniem, którego jeśli odnośne władze nie ukróciły, społeczeństwo nasze obojętnie brać nie powinno.

Tysiąc takich darwinizmów przeżyła ta religia, której ubliżył p. Dybowski i tysiąc innych przeżyje. „Zoologiczna teorya" choć wczoraj wylęgła, już przewiędła i chyli się ku ziemi. Wnukowie nasi odnajdując jej szczątki w pyle bibliotek, uśmiechać się będą nad naiwnością pokolenia, które znalazło dla niej obrońców, podobnie jak my dziś wstrząsamy ramionami nad „walką własności przeciwnych" i „epicyklami" naszych dziadów. A prawda

katolicka jak była i jest, tak i będzie, zawsze żywa, jednaka, zwycięska. Kto nie dochodzi do uznania w niej prawdy, niech przynajmniej szanuje w niej świętość narodu i ludzkości, i niechaj nie będzie jak ci, o których mówi Pismo: *quaecumque ignorant blasphemant, quaecumque autem naturaliter... norunt, in his corrumpuntur.*

Pomówimy jeszcze o tem. (Dok. nast.)

X. W. Zaborski.

KORESPONDENCYA POUFNA

ex-agenta dyplomatycznego

z damą dworu i wyjątki z jej dziennika od r. 1813—1819 [1].

Dwoje ludzi wykształconych z umysłem spostrzegawczym, a do tego pełnych dowcipu, zwierza się sobie listownie z wrażeń, których im dostarcza sowicie pobyt w dwóch stolicach rosyjskich, a to w początkach bieżącego stulecia. W listach ich zawarte rysy pojedyńczych osób i rzeczy, są tam i wypadki o większej doniosłości i drobne zdarzenia z owych czasów. A czasy to były ciekawe, a choć „chore“, jak się wyraża Szekspir, to pokolenia współczesne wierzyły mocno w ich uzdrowienie. Echa 89 roku nie przebrzmiały jeszcze wśród europejskiego chaosu, a duch Napoleona nie przestał był jeszcze nad nim się unosić. Co raz to się zmieniały krwawe pola bitew, a kampanie dyplomatyczne szły nieprzerwanym prawie szeregiem. Dwie potęgi historyczne ścierały się z sobą w Europie starej, a od czasu do czasu buchały z jej wnętrza płomienie czerwone, gaszone skwapliwie ze stron wszystkich. W Rosyi, jak zwykle, pod powierzchnią nurtowały prądy przeróżne; warstwy głębsze zbywszy się obcych napływów z Zachodu, zastygły przynajmniej po wierzchu. Dziwnie prędko żyły wówczas pokolenia, stanowiące górną warstwę

[1] Na podstawie materyałów, wydrukowanych p. t.: „Ferdinand Christin et la princesse Tourkestanow. Lettres écrites de Pétersbourg et de Moscou“. 1813—1819. „Archives Russes“. Moscou 1882, oraz: „Journal tenu par la princesse Barbe Tourkestanow Demoiselle d'honneur de Sa Majesté l'Impératrice Maria Fedorowna 1818. (Lettres adressés au comte et à la comtesse de Litta). Moscou 1884“ (w dodatku do czasopisma „Russkij Archiw“ (Русскій Архивъ) 1882—1884.

narodu rosyjskiego. Dziesiątek lat wykopywał przepaść nieprzebytą pomiędzy ludźmi tej samej sfery, tego samego koła towarzyskiego. Zasady filozoficzne, któremi się kierowało społeczeństwo za czasów Katarzyny, zacierały się, ginęły szybko za panowania jej wnuka. W ich miejsce zaczynały przyświecać jakieś światła mistyczne, spływające z „Górnego Syonu". Wiek rozumu ustępował z drogi przed wiekiem uczucia; ród wolteryański znikał z ziemi przed zwycięskiemi drużynami Martinistów, boehmistów, kruedenerzystów. Tajemnicze słowa mieli ci ludzie na ustach, wizye przed oczyma, a cuda w odwodzie. Znaleźli w Rosyi, która tyle sekt wydała, grunt bardzo żyzny, musieli jednak część jego odstąpić przedstawicielom kierunku racyonalnego, tak pokrewnego doktrynom protestanckim. W tymto zwłaszcza duchu poczęło działać energicznie towarzystwo biblijne. Przemykali się też czasem Kwakrowie, Purytanie. Wolnomularze stanowili coś pośredniego i to nietylko pomiędzy sektami religijnemi, lecz także polityczno-społecznemi sferami.

W pojęciach tej ostatniej kategoryi panował zamęt niemały. Chociaż we własnem poczuciu dumy narodowej, po świetnych zwycięstwach nad Napoleonem, górowali Rosyanie nad całą Europą, przecież nie przestała im ona imponować swoją cywilizacyą i wyższością pod niejednym względem. Patryotyzm rozbudzony nie zaślepiał ich zupełnie. Ogół postępował w ten sam sposób, jak księżna Golicyn, co wieńcząc się laurami, tłumaczyła się z tego francuskim frazesem: „parce que j'ai l'honneur d'être russe", pomimo to jednak nie ubierała się w strój narodowy, ściśle obserwując mody ówczesne.

Uważając się za dobrodziejów Paryża, Rosyanie przejmowali się pomimo to do pewnego stopnia jego duchem; niektórzy nawet wywieźli z niego owoc zakazany pojęć nieswojskich, i próbowali przesadzić go na grunt ojczysty w pamiętnym roku 1825. Wielu zwłaszcza młodych oficerów zmieniło całkowicie pobyt w Paryżu w r. 1814. Do liczby ich należał między innymi Rylejew.

Korespondencya, o której mówimy, wspomina też o oficerze Kriwcowie, który świeżo powraca z Paryża, jako człowiek zasad nader skrajnych, wybiegających daleko poza konstytucyonalizm. Christin, ex-dyplomata, autor listów, pisanych z Moskwy, wielki zresztą legitymista, nazywa go: „mon cher Jacobin". Przypomina mi to, powiada w jednym z listów „jak jeden z zabójców króla

szwedzkiego“ (Gustawa III.), zdaje mi się Lilienhorn, uciekłszy szukał przytułku w Coppet[1] i był tam jak najlepiej przyjęty, pielęgnowany, podejmowany, *etc. etc.*, a *pani de* Staël nazywała go „mon beau régicide“, Benjamin Constant zaś „notre cher régicide“. Pomiędzy paniami rosyjskiemi nie brakło także zwolenniczek jakobinizmu.

Legitymizm miał również swoich hołdowników, chociaż nie wielu pociągały do siebie niesympatyczne i nieimponujące niczem osobistości reprezentantów domu Burbońskiego, z wyjątkiem chyba księżnej d'Angouléme, żony najstarszego syna hrabiego d'Artois, (późniejszego Karola X., a córki Ludwika XVI.). Jednakże ludzie starsi lub z odległych prowincyj pochodzący nie mogli zrozumieć doniosłości wypadków świeżo ubiegłych, ani też obecnych. Tacy znajomili się tylko z restauracyami francuskiemi lub korzystali z bardzo podwyższonych pensyj do zawojowania powabnych a niezbyt surowej cnoty paryżanek. Niektórzy żyli we Francyi tak samo, jak u siebie w domu: kazali „dieńszczykom“ przyrządzać kwas rosyjski, piec bliny, a nawet w mieszkaniach obok pieców murować „leżanki“. Nic też dziwnego, że pewnej pułkownikowej kozackiej ubiegły trzy lata pobytu we Francyi jak dzień jeden, nie nauczyła się niczego nad to, co wyniosła z sobą ze stepów dnńskich. Zdziwiła się więc niezmiernie, gdy w trzecim roku swego pobytu w Paryżu dowiedziała się, że na placu *de la Concorde* giliotynowany był król francuski. „To niepodobna — zawołała oburzona — cara swego zabili? Jakżeż się na to odważyli, kanalie!“[2] W przeciwstawieniu do Burbonów, których nie widziano na polach bitew, co się kryli za tymi, którzy na ich korzyść działali, cesarz Aleksander, w oczach Rosyan, wyrastał na bohatera, a natura jego zmienna jak i mowa trzymały poddanych w ciągłem oczekiwaniu, w zawieszeniu — zdawało się im, że są na drodze do nowych zasad życia, chociaż długo jeszcze trzeba było na nie czekać. Kwestya włościańska wisiała nad głowami współczesnych, gromkie odezwy margrabiego Paulucci, gener. gubern. prowincyj nadbałtyckich, wzywającego w imieniu cesarza szlachtę niemiecką do obdarzenia swobodą chłopów, odbijały się

[1] Majątek p. de Staël.
[2] Wiguel, pamiętniki.

echem złowrogiem, gdzieniegdzie tylko radośnie witane w Rosyi. „W Moskwie (pisze Christin w lutym 1817 r.) nie mówią o niczem więcej; jak tylko o proklamacyi margrabiego Paulucci do Kurlandczyków i o wnioskach, które z niej wyciągają dla reszty Rosyan. Twierdzą, że szlachta kurlandzka odpowiedziała na to, że jeżeli cywilizacya postąpiła o tyle, że pozwala na uwolnienie chłopów, tembardziej postąpiła ona wśród klasy wyższej i daje jej prawo żądać konstytucyi pisanej i odpowiedniej ideom liberalnym, panującym w tym czasie. Czy ta odpowiedź prawdziwą, czy też fałszywą, w każdym razie odpowiada przekonaniom ogólnym tutejszych ludzi umiarkowanych, — co do przekonań innych — te są daleko niebezpieczniejsze".

W Petersburgu, znając bliżej Aleksandra, lżej rzeczy te traktowano: „O proklamacyi Paullucci'ego odpowiada na to dama dworu, księżniczka Turkiestanów, myślą tu tyle, co o potopie Deukaliona". Całkiem inaczej jak Paulucci, działał w okolicznościach podobnych Nowosilców w Wilnie, — nie wiedziano więc czego się trzymać. Opowiadano też sobie o tajemniczym projekcie republikanina La Harpe, ex-wychowawcy cesarskiego, dotyczącym uwolnienia włościan. Przeraził się nim tak między innymi Christin, szwajcar z urodzenia, a republikanin z zasad, że chciał natychmiast uciekać z Rosyi, skoroby tylko przyszło do jego wykonania; uspokoił się dopiero wtedy, kiedy się w nim bliżej rozglądnął i przekonał, na jak długie lata był rozłożonym i że mało się tyczył poddanych obywatelskich, troszcząc się tylko o włościan rządowych. Wieści wszelkie od Zachodu chwytano w Rosyi skwapliwie; postępowanie Aleksandra w Warszawie, mowy sejmowe, ulegały komentowaniu najrozmaitszemu, a niemałą senzacyę sprawiła wiadomość o rozmowie jego za granicą z generałem Maison (w jesieni 1818). „Czy czytałaś pani rozmowę cesarza (pisze Christin) z generałem Maison w Akwizgranie? Gazeta zakomunikowała nam ją dosłownie i w ciągu dwóch tygodni o niczem więcej nie mówiono. Rozmowa ta sprawiła takie same wrażenie, jak przemówienie cesarza na sejmie warszawskim. Cesarz powiedział generałowi, iż potrzeba narody wyzwolić wszędzie od władzy despotycznej, i że uczyni dla swoich krajów to, co zdziałał dla Polski. Ale miły Boże, jak się też załatwią z uwolnieniem narodu rosyjskiego od despotyzmu gubernatorów, trybunałów, a na

wet despotyzmu bogatych, kupujących sprawiedliwość na wagę złota? Żeby te stajnie Augiaszowe oczyścić, potrzeba będzie nowego Herkulesa". W innem miejscu (w styczniu 1819 r.) pisze znowu: „umysły tak są wzburzone, iż życzyć sobie należy, aby je można było uspokoić; nigdy wzburzenie nie przybrało takich rozmiarów. Oczekiwanie tak długie, zmian zapowiedzianych drogą uboczną wywołuje ogólny stan fermentacyi i fakt spełniony, chociażby nawet bardzo fałszywy, pociągnie jednak za sobą mniej opłakane rezultaty, aniżeli przedłużanie tej mglistej niepewności. Sądzę, że ludzie obowiązani zaznajamiać cesarza ze stanem rzeczy, nie tają przed nim tego rozdrażnienia umysłów. Jakieś chmury złowrogie rozpościerają się coraz to szerzej i przerażają tych, którzy jak ja naprzykład spokój i ciszę przenoszą nadewszystko. Wszystko to między nami, droga księżniczko". Księżniczka obojętniej traktowała te rzeczy.

„Qu'on se batte, qu'on se déchire,
Peu m'importe: c'est un délire".

powiada w odpowiedzi na troski polityczne swego przyjaciela. Ale czy rzeczywiście miał pojęcie cesarz o usposobieniu umysłów pewnej części jego poddanych — jakie wrażenie sprawiło to na nim?

— „Czy myślisz pan, że to tajemnicą (mowa o cesarzu) co myślą w ogóle o traktacie (dzieło Prandt'a) mówi księżniczka, o mój Boże, jest tu z pewnością ktoś, którego baczności nic a nic nie uchodzi. Pozwalają mówić, nie zmieniając jednak w skutek tego planu wytkniętego oto, czegom się dowiedziała od osoby samej", pisze ostrożnie księżniczka, wyrażając się umyślnie niejasno. A jednak plany te aż nazbyt często ulegały zmianom. Ku końcowi drugiego dziesiątka b. w. Aleksander traci coraz bardziej zdolność inicyatywy, oddaje się na wolę opatrzności i losów, a właściwie wiotka jego postać tonie w żelaznem objęciu Arakczejewa. O Arakczejewie nie dowiadujemy się niczego prawie z cytowanej przez nas korespondencyi; w ogóle niewiele nowych podaje ona faktów, pomimo to jednak stanowi ilustracyę, tak żywą obyczajów i całego życia wyższego społeczeństwa rosyjskiego za czasów Aleksandra, że Archiwum rosyjskie (Русскій Архивъ) oddało prawdziwą przysługę nauce, nie skąpiąc im miejsca i zostawiając je w oryginalnej ich szacie francuskiej. Ponieważ zaś od czasu do czasu i o nas tam wspomniano, nie zawadzi nam bliżej się zaznajomić z nowym tym

materyałem. Różnobarwne społeczeństwo rosyjskie przesuwa się tu ze wszech stron przed naszemi oczyma; subtelniejsza i wyrafinowana arystokracya petersburska miesza się z bojarstwem moskiewskiem bardziej domorosłego zakroju, a wśród tego tłumu, ruszającego się na gruncie ojczystym, wiją się postacie o nazwiskach obcych a głośnych, Polignac'owie, Noailles'owie i dobrze nam znani Czartoryscy, Potoccy, Zajączkowie i inni. Wszyscy krążą koło jednego ogniska, źródło szczęścia i nieszczęścia — dworu, koło jednego słońca — „Cezara Aleksandra".

Wprawdzie sarkastyczny, chociaż wiernopoddańczy Christin z trudnością wyobraża sobie „Cezara" w furażerce (w „furazce"), ale w czasie onym tyle wieńców laurowych spoczęło na jego głowie, urok zaś osobisty tak silnie działał na społeczeństwo zdenerwowane i poruszane prądami rozmaitymi, że Aleksander dla niego był z pewnością wyższy nad owego rzymianina z głową obnażoną. W oczach kobiet żadna komparacya nie miała miejsca i mieć nie mogła. Zdanie to podzieliłaby z pewnością autorka listów petersburskich, księżniczka Turkiestanów, panna dworu (Frejlina) zrazu młodej cesarzowej Elżbiety, później zaś cesarzowej matki Maryi Teodorównej. Wykształcenie jej, usposobienie towarzyskie i wdzięk rozmowy, w połączeniu z urokiem kobiet pochodzenia wschodniego (w żyłach jej ze strony ojca płynęła krew perska), zwróciły na nią uwagę cesarza. Zapragnął poznać ją bliżej, a wiedziony sympatyą odwiedzał ją dość często, spędzając po kilka godzin na poufnej gawędce. Przedmiotem rozmów tych były nieraz najdonioślejsze wypadki polityczne, nowiny bieżące, usposobienie umysłów, plany reform państwowych. Na nieszczęście z urywanych słówek tylko można mieć o nich pojęcie, gdyż treść ich obawiano się powierzać pocztom; szczegóły bliższe zostawiała księżniczka do osobistego widzenia się z przyjacielem, podczas przyjazdów swych do Moskwy. Przyjaciel ten, śledząc z daleka stosunki cesarza z księżniczką, marzył już dla niej o roli drugiej pani de Maintenont, usunąwszy z niej jednak wszelki element miłośny, widział w niej przyszłą wpływową przyjaciółkę monarchy z prawdą zawsze na ustach. Losy jednak rozrządziły nią całkiem inaczej, gdyż wtenczas właśnie, kiedy przychylność cesarza na szacunku oparta zdawała się coraz to bardziej wzrastać, śmierć tragiczna przecięła dni księżniczki. Przyczyną jej śmierci był znany z luźnych obycza-

jów młody oficer ks. Włodzimierz Golicyn. Od kilku lat starał się on pozyskać względy niezbyt młodej, lecz zawsze prawdziwej ozdoby salonów petersburskich, nie miał jednak zamiaru wprowadzić ją jako żonę do łona dumnej swej rodziny. Jest nawet pogłoska, że spełniając jakiś zakład, przekupił służbę i tak dostał się do jej pokojów w pałacu zimowym. Nieszczęśliwa kobieta wydawszy na świat córkę, zadała sobie śmierć trucizną. Aż do ostatnich dni życia prawie trwała korespondencya pomiędzy nią a zamieszkałym w Moskwie cudzoziemcem, przyglądającym się z ustronia temu, co się w świecie działo. Dzięki przyjaźni księżniczki i licznym znajomościom wielkoświatowym, jest on ciągle *au courant* w nowinach politycznych i społecznych Rosyi i całej Europie. Przytem znał osobiście wielu czynną rolę wówczas odgrywających, to też nie pomija sposobności do komentarzy i uwag mniej więcej trafnych, lubo najczęściej stronniczych. Punktem wyjścia jego w sądzeniu ludzi i rzeczy politycznych jest legitymizm; hasłem sztandar biały Ludwika XVIII.; w przekonaniach religijnych katolicyzm spokojny i ile można godzący się z ziemią; moralność katechizmowa, w połączeniu z wyrozumiałością dla ludzi, pamiętających wesołe czasy Paryża i Petersburga za Katarzyny II.; ideałem życia wreszcie — spokój w kącie własnym wygodnie i estetycznie urządzonym! Dążenie to do spokoju całkiem było naturalne w człowieku blisko sześćdziesięcioletnim, po takich kolejach życia, jakie przeszedł, kiedy unosiła go fala historyczna to w górę, to na dół, trzymając go jednak blisko wiru głównego olbrzymich przewrotów w końcu XVIII. i z początkiem XIX. wieku.

Szwajcar z rodu, Ferdynand Christin, w młodym jeszcze wieku udaje się do Francyi i zostaje tam sekretarzem głośnego ministra finansów de Calonne'a, a kiedy prądy nowe wyniosły na to miejsce Necker'a, ostatni minister przedrewolucyjny musiał opuścić Paryż i Francyą, a z nim i młody jego sekretarz. W kilka lat później, gdy znakomitsi jeszcze wędrowce rozpierzchli się po wszystkich gościńcach Europy, znajdujemy Christin'a w Anglii, dokąd go pociągnęły sympatye burbońskie; to też znalazł się wkrótce w liczbie zaufanych i kilka razy, z polecenia książąt, przekradał się do Paryża z wieściami pocieszającemi dla uwięzionej rodziny królewskiej, i dzięki przebraniu, znajdował sposobność do widzenia się i do rozmowy z nią. Dalsze koleje losu zaprowadziły go do Rosyi, w czasie

rozwiniętej już nienawiści ku wszelkim ideom liberalnym i odwrócenia się jej zupełnego od niedawnych przyjaciół. Człowiek tego autoramentu co Christin, był wszędzie *le bien venu.* Zbliżył się wkrótce do hrabiego Markowa, grającego wówczas rolę główną (wobec nieudolności faworyta Zubowa), w ministeryum spraw zewnętrznych, i odtąd już dwaj ci ludzie pozostali wiernymi sobie do końca życia. Dzięki protekcyi nowego swego patrona, został on zaliczony (w 1796 r.) do liczby urzędników tegoż ministeryum, i wkrótce potem wysłany do Szwecyi w charakterze tajemnego agenta dyplomatycznego Rosyi. W owym czasie, powiada baron Budberg, były ambasador rosyjski w Paryżu, w biografii Christin'a, agenci sekretni pełnili funkcye dzisiejszej prasy codziennej, omawiając, z polecenia dyplomatów, kwestye przygotowywane do wprowadzenia na porządek dzienny. Każdą ambasadę, każdą kancelaryę dyplomatyczną starej daty, oblegali zwykle kandydaci tego rodzaju, a znajdowali się nieraz pomiędzy nimi ludzie, idący tylko za głosem przekonań.

Zadaniem nowego agenta dyplomatycznego w Szwecyi, było przygotować zamierzone przez Katarzynę II. połączenie się z dworem sztokholmskim zapomocą węzła rodzinnego, przez wydanie za mąż wnuczki jej, Aleksandry Pawłównej, za niepełnoletniego jeszcze króla Gustawa. Lecz regent, książe Sudermanii, wrogo względem Rosyi i jej planów usposobiony, odgadł rolę istotną, quasi podróżnika szwajcarskiego, i zmusił go do ucieczki. Cesarzowa przyjęła go na audyencyi sekretnej i dała mu w nagrodę 400 „dusz" na Podolu.

Śmierć Katarzyny była dla hrabiego Markowa, a więc i dla jego protegowanego i przyjaciela początkiem nieszczęść. Przez cały czas panowania Pawła musieli pozostawać zdala od stolicy, zamieszkując w Latyczewie, na Podolu, majątku hr. Markowa. Aleksander powołał znowu exdostojnika do życia politycznego, mianując go ambasadorem swoim w Paryżu, gdzie miał grać rolę pośrednika pomiędzy Francyą, ulegającą coraz to bardziej przemocy swego pierwszego konsula a innemi mocarstwami, dbającymi o zachowanie pokoju. Christin towarzyszył naturalnie swemu pryncypałowi, zamianowany przez cesarza, rozkazem tajemnym, na *attaché* ambasady ze znaczną pensyą na owe czasy. Nowy ambasador nie podołał trudnemu zadaniu, naraził sobie piewszego konsula, który

przypisał mu bawienie się intrygą na korzyść Anglii, i udział w spisku Cadondal'a i Pichegru. Osobistość też zręcznego Christin'a, grającego rolę wpływową, chociaż nieoficyalną i nieokreśloną w ambasadzie rosyjskiej, zwróciła na siebie pilną uwagę władzy francuskiej i postawiła go w pozycyi tem bardziej fałszywej, że cesarz Aleksander zdawna źle o nim uprzedzony, nie chciał go zamianować oficyalnie członkiem swej ambasady. Zmuszony opuścić Paryż, udał się Christin do rodzinnej swej Szwajcaryi. Tu, chociaż przestał mieszać się czynnie do spraw politycznych, był jednak dobrze informowany o tem, co się działo w świecie, przebywając często w znakomitym Coppett, jako dobry znajomy pani de Staël. Nieraz też przekraczał granicę francuską i podczas jednej z takich wycieczek został aresztowany przez władze francuskie i zatrzymany w początku w Genewie, potem zaś w Paryżu. W tem to mieście przebył najcięższą epokę życia, ośmnaście miesięcy nadzwyczaj ostrego więzienia, z giliotyną w perspektywie. Pomimo to pozostał wiernym sprawie Burbonów, za których agenta był uważany, i ostatecznie za wstawieniem się papieża Piusa VII. odzyskał wolność w 1805 r. i udał się do Rosyi. W sferach urzędowych przyjęto go nadspodziewanie zimno i dano do zrozumienia, że karyera jego polityczna już skończoną. Podczas wielkiej wojny roku 1812 mieszkał w Moskwie, w domu przyjaciela swego Markowa, otoczony licznem kołem przyjaciół z wielkiego świata. Ci się poznali na rozumie i przymiotach towarzyskich Francuza, z dawnych wykwintnych czasów. Burzliwe dzieje jego żywota, stosunki z tylu znakomitościami, musiały obudzić niemałe zajęcie się aklimatyzowanym emigrantem; zajęły też szczególnie znaną w towarzystwie moskiewskiem ładną hrabinę de Broglie, primo voto księżnę Trubecką, a stosunek pomiędzy nimi trwał aż do śmierci Christin'a. Całkiem inny, czysto przyjacielski już stosunek łączył go z księżniczką Turkiestanów. Ten zawiązał się w roku 1813, wśród ruin i pogorzelisk moskiewskich, kiedy życie wykolejone, okoliczności niezwykłe zbliżały ludzi z większą, aniżeli zwykle łatwością, kiedy potrzebowano usług wzajemnych, gdyż wszystkim brakło czegoś, a nieraz nawet rzeczy niezbędnych. Odwiedzając ciotkę, żonę marszałka szlachty moskiewskiej Arsenjewa, poznała panna Turkiestanów odpoczywającego agenta dyplomatycznego, potrafiła ocenić nowego znajomego i zaraz po wyjeździe rozpoczęła

z nim korespondencyę bardzo ożywioną, prowadzoną na sposób dziennika. W kilka lat później po śmierci przyjaciółki, Christin przepisał ją własnoręcznie i przesłał hr. z Samojłowow Bobryńskiej, zobowiązując ją do zachowania jej w tajemnicy przez lat kilkadziesiąt. Osoby wspominane w listach tych żyły jeszcze po większej części, a że wyrażano się tam o nich z całą otwartością, trzeba je było zamknąć na długo do biórka *ad feliciora tempora.*

Przekonania księżniczki często sprzeczne były z przekonaniami Christin'a, tak samo jak i w ogóle idee petersburskie bardziej liberalne, z ideami moskiewskiemi. W listach, które mamy przed sobą, obie te stolice rosyjskie występują w podobnym stosunku wzajemnym, jaki egzystuje pomiędzy niemi w dniu dzisiejszym. Te same zarzuty i pochwały, które dziś kursują wśród patryotów miast obydwóch, napotykamy u Christin'a i jego korespondentki. Księżniczka jest do pewnego stopnia zwolenniczką konstytucyonalizmu, legitymizm francuski jest dla niej dość obojętny: *„où allez-vous chercher ces Bourbons, qui n'intéressent personne"?* zapytuje Christin'a. Ten zwalcza nieustannie jej herezye polityczne, a powołując się na przykład Francyi, zapytuje, czy jest szczęśliwszą od czasu jak odstąpiła swych panów? Potomków Ludwika świętego ma on ciągle na myśli, pomimo to, iż znając ich zbliska, nie miał iluzyj żadnych i nie był olśniony bynajmniej przymiotami ich moralnymi. O Ludwiku XVIII powiada naprzykład: „co do mnie, który znałem go zbliska i w jego życiu domowem, mam go za najegoistyczniejszego z ludzi, o zimnem nader i nieużytem sercu". W kilkanaście lat później, w liście do hrabiny Bobryńskiej, charakteryzuje jeszcze dosadniej książąt francuskich i ich działalność. „Od pierwszej chwili, kiedy zostałem przypuszczony do udziału w ich sprawach, zauważyłem mnóstwo rzeczy, obrażających uczucia moralne, w jakich się wychowałem. Zauważyłem bardzo prędko, że zwłaszcza u Ludwika XVIII. fałsz nosił miano roztropności, dobra wiara zaś i uczciwość były słowami bez znaczenia. Widziałem, że można było głaskać i obdarzać aż do ostatniej chwili względami swymi człowieka, którego zguba, albo przynajmniej wydalenie były już ostatecznie zdecydowane. Dowiedziałem się, że można było zmyślać zbrodnie, nigdy nieistniejące, skoro chodziło o usunięcie nieprzychylnego ministra (ambasadora) mocarstwa obcego. Przekonałem się, że w domu własnym

trzymano się zasady „*diviser pour gouverner*“, stosując ją też do ludzi najbardziej oddanych“. Autor jednak pochlebnej tej charakterystyki widział w książętach, tych zbawców Francyi i Europy i domagał się przywrócenia im władzy, bez najmniejszych ograniczeń. Jeżeli korespondenci różnili się w zapatrywaniach swoich co do formy rządu, zgadzali się jednak zupełnie w nienawiści do rozkazującego jeszcze Europie Napoleona z tą różnicą, że źródłem nienawiści Christin'a było pochodzenie Napoleona rewolucyjne i jego uzurpatorstwo, podczas gdy księżniczka nienawidziła go jako patryotka rosyjska. Listy wcześniejsze, pochodzące z roku 1813, 14, 15 przepełnione są „korsykańczykiem“. W ciągu lat kilkunastu ciężył on jak zmora nad społeczeństwem rosyjskiem. Pokój Tylżycki nie dawał rękojmij pewnych i nie był zdolny uspokoić dumy narodowej Rosyan; pomimo to jednak, gdy nadchodził rok 1812 i polityka rządu stawała się mimowoli bardziej militarną, wzbudzała obawy powszechne i ulegała surowym krytykom; perspektywa wojny przerażała wszystkich, mówiono nawet o ustępstwach. Znakomity patryota i historyk rosyjski, Karamzin, odzywa się do Christin'a w sierpniu 1812 roku: „Dlaczego nie ustępują Napoleonowi Litwy i innych prowincyj polskich, bez których możemy się obejść“? *(Que ne cède-t-on à Napoléon la Lithuanie et les autres provinces polonaises, dont nous pouvons nous passer“?* List z 16 lutego, 1814 r.) Zdanie ciekawe niezmiernie, ciekawe tak ze względu na tego, kto je wypowiedział, jak i na treść i ton jego, różniący się tak stanowczo od późniejszego memoryału Karamzina, który podał Cesarzowi Aleksandrowi I., gdzie to z takiem przekonaniem i namaszczeniem dowodzi nietykalności i rosyjskości tych samych właśnie ziem polskich.

Nadspodziewanie szczęśliwe kampanie 1812, 13 i 14 roku napełniły dumą serca przybranych rodaków Christin'a, a zatwardziałego legitymistę radością szaloną, rosnącą w miarę zbliżania się wojsk sprzymierzonych do Paryża. Iluminacyą wspaniałą święciły miasta przebycie Renu i wstąpienie zwycięskich szyków do Paryża. Hrabia Rostopczyn, gubernator wojenny moskiewski, wysilił się na transparent: pod płonącą cyfrą Cesarza stał następny napis: „*Dobrodietiel jewo zakon. Pried nim pal Napoléon*“. To jest: Cnota jest jego prawem, upadł przed nim Napoleon. W Rosyi jednak długo nie

wiedziano o istotnym stanie rzeczy. „*Le monstre*“ nie tracił jeszcze nadziei, i dla uspokojenia umysłów ukazywał się często w loży swej w teatrach i na ulicach Paryża. W Petersburgu, w sferach dworskich nawet, głucho było o Burbonach i panowało przekonanie, że nowy traktat pokojowy zawarty zostanie z Napoleonem, „żadnego Ludwika XVIII.; Bonaparte zawrze pokój, choć zgubny niewątpliwie dla siebie, lecz jestem pewną, że on tu czynnie wystąpi, i że z nim rozpoczną układy a nie z kim innym. Załóżmy się o to“! powiada księżniczka w liście swym z 18 stycznia, 1814 roku. Ale wkrótce potem Aleksander donosił z Langres cesarzowej, że lud prosi, aby nie zawierano pokoju z Napoleonem, gdyż woli utrzymywać armie cudzoziemskie, aniżeli stosować się do wszystkich wymagań rządu. Cesarz dodawał w końcu, że nie wierzyłby temu, gdyby nie słyszał wszystkiego na własne swoje uszy. Za Ludwikiem XVIII. nie tęskniono też wcale. Zwycięstwo sprzymierzonych pod Brienne le Château zdecydowało prawie o losie Napoleona, a więc i Burbonów. „Wczoraj, pisze księżniczka 9 lutego 1814 roku, powieziono nas uroczyście do katedry kazańskiej, dla wysłuchania *Te Deum;* stojąca obok mnie księżna Tarentu tak płakała, że nie była w stanie przemówić ani słowa do tych, co przychodzili jej winszować. Polignacowie są w upojeniu!!“ „W ciągu dnia tego, ciągnie dalej, mówiono, ściskano się i płakano jednocześnie. Co z Bonapartem się dzieje, gdzie się podziewa. „Widziałem bezbożnika na szczycie wielkości i wyniosłego jak cedr Libanu, przeszedłem mimo niego — i już go nie było, szukałem i nie zostało już śladu jego“. Oto co się wkrótce stanie, lub stało się nawet w chwili, gdy to piszę... Wszyscy Anglicy, jakich tu mamy, pośpieszyli do emigrantów, żeby im powinszować“. „List pani, pisze na to Christin napełnił mnie radością najwyższą, płakałem po nim, jak księżna Tarentu, z dnia na dzień oczekuję końca, a ten już niedaleki i niewątpliwy... czy Ludwik XVIII., czy Karol X., czy Ludwik XIX. osiędzie na tronie Francyi, w każdym razie niezawodnie Burbon“.

Po Brienne zadano cios ostatni u stóp Monmartre'u. 19 marca Aleksander wchodził do Paryża, 18 kwietnia Napoleon w Fontainebleau podpisywał abdykacyę, traktaty prowadzono z potomkami Ludwika Św. i poczta petersburska wiozła do Moskwy elegancki

porte-feuille z liliami białemi na tle złotem, jako dowód przegranego zakładu księżniczki Turkiestanów.

Wśród uniesień radości zapomniano prawie o więźniu na Elbie, zajmowano się trochę losem „konkubiny“ Maryi Louisy, „poślubionej za życia pierwszej żony“, przypominano sobie wszystkie upokorzenia dawniejsze, aby z tem większą rozkoszą czuć różnicę obecnej chwili. Nagle rozeszła się wieść, że *„le dróle a débarqué à Antibes“*... jest on wyjęty z pod prawa całej Europy... *(hors la loi)*... rozbójnik ten niewątpliwy, Cartouche najjaśniejszy... Pojmany zostanie i będzie rozstrzelany“, pisze Christin w Marcu 1815 roku.

„Wszyscy zajęci są tem, co się dzieje we Francyi i oczekują z przerażeniem rozpoczęcia się na nowo strasznej wojny. Wszystko to, co się stało w roku 1814 obecnie obraca się w niwecz... cała Europa wpada znowu w zamieszanie, czytamy w liście księżniczki. Żyjemy tu w niecierpliwości śmiertelnej“.

Szczęśliwy jednak dla wrogów Napoleona obrót rzeczy, powtórna kampania zwycięska, uspokoiła obawy państw europejskich, a pozbawiony Christin przyjemności dowiedzenia się o powieszeniu „Korsykańczyka“, pocieszał się przynajmniej tem, że nie uciekł do Ameryki, jak się tego obawiał, i że św. Helena nie będzie mu drugą Elbą. Karmił się też nadzieją, że zwycięzcy, nauczeni doświadczeniem, nie będą tak łaskawi jak pierwszym razem ze zdradzieckim narodem francuskim, nie będą go pytać o nic i obdarzać chartą... „dziś potrzeba Burbonów więcej niż kiedykolwiek, lecz potrzeba dać im środki do rządzenia, których nie otrzymali przed rokiem, pisze on po Waterloo. Precz z konstytucyą przebaczającą królobójstwo, precz z Bonapartem od bram Francyi, precz ze zdrajcami koło tronu!“.

A jednak na różowym horyzoncie politycznym przesuwały się plamki, niepokojące Christin'a.

Po skończonej walce orężnej zaczynała się, przerwana na czas pewien walka dyplomatów w Wiedniu. Pomiędzy wielu kwestyami które tam rozstrzygać miano, była niemiła kwestya polska. *Plus russe que les russes*, Christin nie lubił, nienawidził Polaków: *„je maudis la Pologne et les Polonais, qui font du mal partout, en masse et individuellement“*, powiada w jednym ze swych listów.

Tymczasem z zagranicy niepokojące dolatywały wieści, można się było spodziewać rzeczywiście ustępstw, wspominanych ongi przez Karamzina. Tak naprzykład 6 lipca 1814 r. pisze księżniczka: „opowiadają, że odmawiają nam Polski, t. j. Galicyi, wymaganej przez cesarza, w celu wskrzeszenia Polski, której on będzie królem".

Pocieszano się natomiast wiadomościami z Warszawy. „Książe Aleksander (Golicyn), pisze księżniczka w lutym 1815 roku, przyjechał tu z Warszawy, jako kuryer od wielkiego księcia. Opowiadał mi, że Polacy bardzo są zniechęceni, że ten, który ich musztruje od rana do nocy, postępuje z nimi po swojemu *(leś même haut à la main)* i że w ogóle bardzo spuścili obecnie z tonu. Przemawiałoby to przeciwko odbudowaniu królestwa, za co niech będą Bogu dzięki. Ale z innej strony, książe Czartoryski jest też na kongresie, co pozwala wnosić, iż odbudowanie to jest projektowane. Co pan myślisz o tem?". Życzenia Christin'a odgadnąć nietrudno, znając usposobienie jego dla nas. Nie zmienił go, i w kilka lat później śledząc trwożliwie zachowanie się Aleksandra w Warszawie i znaną mowę jego na sejmie 1818 r. Rozczytuje się w niej w kółku przyjaciół (były minister oświaty Dmitryjew i ks. Piotr Wiazemskij, poeta), i śpieszy podzielić się wrażeniami z przyjaciółką petersburską:

„Czy czytałaś pani, zapytuje ją w lutym 1819 roku w gazecie frankfurckiej z 1 lutego artykuł z Warszawy, zwiastujący, iż podczas najbliższego sejmu prowincye rusko-polskie zostaną przyłączone do królestwa polskiego? Przejście gazety tej przez cenzurę bez szczególnych trudności, każe wielu osobom wnosić, że nowina ta nie jest bezpodstawną. Jeżeli miałoby to być prawdą, Rosya po raz pierwszy uczyniłaby krok wsteczny; mówię to dlatego, że chociaż państwa te są pod berłem tego samego monarchy, bardzo są jednak różne, i że nikt nie może przewidzieć wypadków, mogących w przyszłości spowodować rozdział pomiędzy niemi — w takim razie Rosya straciłaby najpiękniejsze ze swoich prowincyj..... dziennikarz zwiastujący to połączenie, posługuje się przysłowiem łacińskiem: *suum cuique*, to jest: każdemu swoje, lecz gdyby przewidzenia te ziściły się, na jakich zasadach zachowanoby Finlandyę, Inflanty nawet?...

Odpowiedź brzmiała w sposób następujący:

„Daruj pan, że znowu zaczepię o twą naiwność. Jestem pewną, że żaden Polak nie wierzy w tę aneksyą prowincyj ruskich do Polski. Jeżeli cesarz artykuł ten czytał, uśmiech machiaweliczny musiał się błąkać na jego ustach. O kochany przyjacielu, możesz być spokojny — to co jest dobrem do wzięcia, dobrem jest też do zachowania. Niech mi pan wierzy, że jest to maxyma, przechodząca dziedzicznie z ojca na syna i że liberalizm najmniejszej nie czyni jej ujmy, zapewniam pana". „Rad jestem niezmiernie, odpowiada w kilka dni potem korespondent, że plan ten sprzeciwia się zasadom cesarstwa. Ale, ponieważ od lat trzydziestu dzieje się ciągle to, co się wcale nie powinno dziać i co obala wszelkie kombinacye ludzkiego umysłu, bardzo to naturalne, że ludzie mają prawo, by się nie dziwić niczemu i nie opierać się na prawdopodobieństwie w swoich sądach. Zresztą, czyż nie mieliśmy pewnych danych wstępnych, które pozwalały nam wierzyć w owo połączenie? Czyż nie orzeka stanowczo jeden z artykułów kongresu wiedeńskiego, że cesarz rosyjski, gwarantując Austryi i Prusom nietykalność ich terytoryów, pozostawia sobie możliwość powiększenia królestwa polskiego? A skądże wziąłby to powiększenie, jeżeli nie zagarnie ziemi swych sąsiadów? Po tym zaś paragrafie, czytanym przez całą Europę, czyż nie nastąpiło wycofanie z armii rosyjskiej wszystkich żołnierzy i rekrutów pochodzących z Litwy, Podola i Wołynia, w celu przeniesienia ich do armii polskiej? Czyż fakta te kochana księżniczko, mogą uledz zaprzeczeniu, i czy nie dają wiele do myślenia? Zgadzam się, że wszystko to, z artykułem gazety frankfurckiej włącznie, jest tylko środkiem łudzenia Polaków; tłumaczenie to przenoszę nad prawdę w tym razie, chociaż nie lubię oszukaństwa w polityce nawet, kiedy się nie jest do tego zmuszonym przez wszechwładne okoliczności. Piszę się na zdanie pani, że nic podobnego nie będzie miało miejsca, a piszę się z tem większą przyjemnością, że odpowiada ono w zupełności moim życzeniom w tym względzie. Pozostaje mi tylko życzyć, aby nie potrzebowano żałować nigdy schlebiania namiętnościom narodu, który nie zapomni tego wcale i który upomni się nieraz drogą uboczną o to, co mu się zdają obiecywać z taką szlachetnością. Myślę, że w ogóle igranie z masami narodowemi zawiera w sobie wiele stron niekorzystnych; pierwsza z nich, bez wątpienia, jest utrata bezpowrotna

całego zaufania, i to w bardzo krótkim czasie; monarcha zaś, pozbawiony zaufania narodu oświeconego, nie wychodzi na tem dobrze. W wypadku obecnym monarcha jest tak potężny, naród zaś tak mały, że będzie musiał ulegać przemocy i bojaźni, lecz w takim też razie nie uczyni nigdy nic wielkiego i będzie opierał się głucho wszelkim projektom swego pana. Zdaje mi się, że królowie tak samo jak i ludzie prywatni łapią się często na własną przebiegłość". (List z 6 marca 1819 r.) (Dok. nast.)

B.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Leon XIII. w obec nauki i cywilizacyi, napisał *Stanisław Smolka*. Kraków, 1885.

Kiedy się pojawił List Leona XIII. do kardyn. Wikaryusza o studyach klasycznych w seminaryach, p. Smolka napisał w *Czasie* pod natchnieniem chwili parę felietonów, których niepospolita wartość powszechną zwróciła na siebie uwagę. Czytając je, mówiłem sobie: szkoda, że tak piękna i cenna rzecz przepadnie w niepowrotnym nurcie gazety codziennej! Jakżeż więc miłą było dla mnie, jak i dla wielu innych niespodzianką, kiedy ta sama rzecz, uzupełniona i wykończona pod względem treści i formy, okazała się w postaci poważnej a ślicznie wydanej broszury.

Dwie główne myśli odrysowują się w tej pracy. Najprzód analizuje autor wnętrzny związek między tym ruchem naukowym, którego Leon XIII. jest inicyatorem, a potrzebami wieku. Z jednej strony w obec niefilozoficzności i zgubnego relatywizmu naszej epoki słowo papieskie rehabilituje filozofię, wskazując jej drogę w ślady św. Tomasza. Z drugiej strony, w obec historycznego znamienia dzisiejszej umysłowości, cały szereg czynów Leona XIII. nadaje studyom historycznym silny popęd chrześcijański. Tak obie te gałęzie wiedzy ludzkiej, których zadaniem „być probierzem Prawdy objawionej“ — filozofii, przez udowadnianie istnienia Boga, historyi, przez okazanie faktu Objawienia w łonie Kościoła — sprzęgnięte są do swego wzniosłego zadania. Wreszcie dla szerszego wpływu i zwycięstwa tej historycznej i filozoficznej prawdy, potrzeba formy

pięknej, literackiej: i dlatego obecnie Leon XIII. nawołuje do wzorów klasycznej sztuki.

Stąd przejście do drugiej głównej myśli tej broszury: o stosunku Kościoła do dwóch światów cywilizacyi: klasycznego i średniowiecznego. „Jeden, bogów swoich ściągnął na ziemię i wysilił „swego ducha na używanie życia z miarą i rozumnie; drugi wzniósł „się ku Bogu, uznając raj ziemski pierwszego świata za padół pła„czu". Duch ludzki szuka wiecznie pogodzenia tych dwóch ideałów; lecz one w dziejach ludzkości wieczny bój toczą. Po zupełnym tryumfie ideału nadziemskiego nad klasycznym w wiekach średnich, następuje odwet w epoce odrodzenia. I znów powstaje reformacya, na razie jako przeciwniczka odrodzenia, bo z hasłem wiary samej; ale wkrótce rozkładowym swym fermentem wiarę zatraca i w ziemskości się pogrąża. W naszych wreszcie czasach powrót do średniowiecznej i romantycznej sztuki i literatury, ten „renesans średniowiecza", nie wychodzi z katolickich narodów, ale „budzi się naj„rychlej tam, gdzie spragniona natura uczuła najbardziej jego po„trzebę: w protestanckich Niemczech i Anglii". Tymczasem Kościół katolicki „będący w powszechnem mniemaniu synonimem średniowiecznej reakcyi", zachował się dość obojętnie w obec wskrzeszenia średniowiecznych ideałów. Już w samych średnich wiekach ochraniał on skarby klasycznej cywilizacyi; bez niego tyleby po niej zostało, ile archeologowie znajdują szczątków kultury asyryjskiej. W epoce zaś odrodzenia zajął wiadome stanowisko, które „nie przestaje być kamieniem obrazy dla historycznej pruderyi". A to dlatego, że Kościół w świecie klasycznym, prócz elementu czysto pogańskiego, uznaje element prawdziwie ogólno-ludzki, a choć w łonie swojem przechował filozofię i wszystkie ideały średniowiecza, jednak o jednostronnej reakcyi średniowiecznej wcale nie myśli: „ale jak „w całym toku swej misyi cywilizacyjnej, tak i dzisiaj stoi na „straży jedynego ideału cywilizacyi, którym była i jest i na długo „pozostanie synteza świata klasycznego i chrześcijań„skiego". Dzieło tej syntezy dziś łatwiejszem się staje, bo historyczny kierunek dzisiejszego pokolenia prowadzi do gruntownego rozpoznania ducha i płodów każdej epoki. Potrzeba wreszcie tej syntezy, „żywotniejsza dziś niż kiedykolwiek, naglejsza niż w wiekach średnich, „kiedy Kościół dźwiękami piękna łagodził surowe instykta barba-

„rzyństwa... bo barbarzyństwo naszego wieku groźniejsze od średnio-„wiecznego, mając szersze pole w ustroju politycznym naszej epoki „i potężniejsze środki w zdobyczach kultury materyalnej... A w dziele „tej syntezy głównym czynnikiem będzie prąd cywilizacyjny, który „rozbudza Leon XIII, papież tomista i humanista w jednej osobie".

Taka jest osnowa broszury p. Smolki. Wiele w niej głębszych myśli pięknie wypowiedzianych — może aż za wiele na tak szczupłe ramy. I dlatego czytając ją żałuje się, że się te ramy nie rozprzestrzeniły, nie dały miejsca gęstszym skazówkom historycznym, które cisnęły się pod pióro autora, a niejedna piękna i prawdziwa jego myśl nie wydobyła się jeszcze z łupiny. Słowem ta broszura mieści wiele i wznieca chęć szukania jeszcze więcej.

X. M. M.

Wiara Słowian, ich byt domowy i społeczny, przed i po podboju Lechickim i Warago-ruskim, przez *Romualda Świerzbieńskiego*, kand. pr., Dra med., Warszawa, 1884, str. 111.

Niedawno Dr. K. Szulc obdarzył nas bardzo poważną pracą o mitologii słowiańskiej, zdaje się dotąd niedostatecznie ocenioną, a oto mamy nowy przyczynek do badań nad starą słowiańszczyzną, kand. pr. dr. med. p. Romualda Świerzbieńskiego. Niewielka to książeczka, bo zaledwo 111 str. zawierająca, a i z tych prawie połowa poświęcona rozważaniom o bycie domowym i społecznym przed i po podboju lechickim i warago-ruskim. Mówimy przyczynek, bo kwestya niewyczerpana, a ostatecznie i wyczerpaną być nie może, gdyż za mało jeszcze posiadamy studyów etnograficznych, za mało jednolitości w tych studyach; każdy badacz chce się odznaczyć i nowe drogi utorować, a za wielkie różnice zachodzą w objawach dawnego wierzenia, jakie przechowały się w podaniach, pieśniach, gusłach, zabobonach, obrzędach u rozmaitych szczepów słowiańskich. Właśnie ta różnorodność często bałamuci badaczów, nie pozwala im skupić się, nasuwa dowolne tłumaczenia, dowolne zastosowanie tego rodzaju objawów u jednego szczepu do innych; nie mamy ścisłych krytycznych badań, któreby pozwalały objąć całą słowiańszczyznę i do pewnych rezultatów doprowadzić, a nie mamy do tego i materyałów dostatecznych. Cóż dopiero, gdy do tego dodamy bujną wyobraźnię badaczów, tworzących coraz to nowych bo-

gów, rzucających na lada czem oparte domysły, nowe idee, nawet teorye. Niewolni od tego ani nasz Nowosielski, ani Afanasjew, najpłodniejszy ze wszystkich, ani nawet skrzętny i bardziej krytyczny Hanusz czeski. Możeby najwięcej zasługiwali na uwzględnienie Potebnia i Kotlarewski, ale tych obu zdaje się nie zna autor.

Nie wolny od tych zapędów fantazyjnych i p. Dr. Świerzbieński. I on usiłuje tworzyć nowe teorye, nowych bogów, przekształcać innych, a opierając się na jednem źródle, pomija inne daleko ważniejsze. Erudycya wielka, praca mozolna, pomimo to, nie wszystkie twierdzenia autora trafiają do przekonania, nie wszystkie poparte dowodami, lub też osnute na cząstkowych objawach, gdy te same gdzieindziej inne mają znaczenie. Wiadomo dobrze, że bodaj najwięcej ocalało do dziś dnia śladów dawnego wierzenia u Serbów i Bułgarów, a niezawodnie najwięcej u Białorusinów. Autor jednak jak się zdaje, mało jest z tem oznajomiony.

Nie podobna nam tu obalać wszystkich twierdzeń autora, z któremi godzić się nie możemy, wypadłoby chyba napisać całe dzieło; dotkniemy tylko niektórych.

Autor przedewszystkiem potrąca o starą, jak się zdawało, ostatecznie rozwiązaną kwestyę, a w ostatnich czasach wzbudzającą coraz to nowe wątpliwości, mianowicie o wywód Słowian od Aryów. Nie tak dawno jeszcze podług tablicy (Müllera) ras ludzkich wedle poglądu monogenistycznego, Słowianom przypisywano pochodzenie Indoeuropejskie, z śródziemnej, czyli dolno-azyatyckiej miękkowłosej rasy. Autor nie godzi się z tą teoryą. Na poparcie zaś swoich domniemań przytacza zdania Szafarzyka, Lelewela, Tereszczenki i innych. Szafarzyk mówi, że „cały łańcuch jasnych i pewnych świadectw dowodzi tej prawdy dziejowej, iż Wenedzi, przodkowie Słowian, znani pod tem imieniem Rzymianom, Grekom, Niemcom, Finom i Skandynawom, od wieków zamieszkiwali obszerną krainę; że w czasach dziejowych nie przyszli z Azyi do Europy i że aż do V. w. po Chr. nie byli przez przybłędów wypędzeni ze swej ojczyzny“. Surowiecki twierdzi, „że na kilka wieków przed Chr., praojcowie nasi mieszkali w Europie“. Lelewel już za czasów Aleksandra W. znajduje Słowian w Europie i dowodzi, „że ród słowiański od wieków miejscowy“. Tereszczenko znów powiada, że „wygląd Słowian zadaje kłam tym wszystkim, którzy ich ciągną z głębin

Azyi". Maciejowski ze stanowczością twierdzi: „niemasz żadnego w dziejach śladu, ażeby tu skąd przybyć mieli Słowianie, bo wszystko wskazuje na to, że tu mieszkali odwiecznie".

Na tem głównie opiera się autor i ma zupełną słuszność. Ale możnaby jeszcze przytoczyć niejedno zdanie uczonych, stwierdzające powyższe zdanie, że wspomnimy tu tylko sumiennego badacza Karola Sienkiewicza [1], który najmocniej przekonany o pierwotności Słowian, albo ks. Stanisława Kleczewskiego Reformata, który w dziele swym o języku polskim, tak o przodkach naszych mówi: „o tym kraju, gdzie dziś jest Ruś i Polska, bezpieczniej twierdzić możemy, że tu wkrótce po potopie osiadłszy, zawsze jednego pokolenia mieszkali ludzie" [2].

Nie zapominajmy, jak ważnem jest świadectwo Jornandesa, który mówiąc o Słowianach, uważa ich za autochtonów, za rodzimych mieszkańców swej ziemi. W końcu już Lelewel dowodził, że Dakowie i Gotowie byli Słowianami. Dziś zaś badania archeologiczne udowadniają, że Scytowie byli przodkami Słowian, a nader ważną jest pod tym względem ostatnia praca prof. Samokwasowa [3] i przytoczone przez niego udowodnienia.

W ogóle wszystko, co mówi szanowny autor o pochodzeniu Słowian, ma doniosłe znaczenie i znamionuje sumienną pracę. Godzimy się z nim zupełnie, a żądalibyśmy tylko głębszego i troskliwszego opracowania. Pod tym względem autor na dobrej drodze.

Ale nie godzimy się z autorem, gdy daje nam nowego boga słowiańskiego, *Roka*. Rok ten podług autora miał być bogiem najwyższym, siłą nadprzyrodzoną, rządzącą dolą śmiertelników. Na dowód przytacza autor, że Rosyanie wołają do niego: „o Roku, o sądzie rokowy, o godzino rokow!" Mówi, że życząc „dosiego roku", wzywamy go jako boga. Przytacza Afanasjewa, który wspomina przysłowie: „na koho rok, na toho i dobryje ludi". Powiada autor, że imieniem Roka nazywano u nas zimę, wiosnę, lato i jesień, gdyż

---

[1] Słowiańszczyzna, Skarbiec Historyi Polskiej, Paryż, t. II., str. 187, 515 i inne.

[2] U Sienkiewicza, str. 564.

[3] Исторія русскаго права, выпускъ II., происхожденіе Славянъ. Warszawa 1884.

na początku każdej z nich przypadała jedna z czterech uroczystości Roka.

Oto najważniejsze dowody, na których autor opiera swe twierdzenie.

Rok to samo co *los, przeznaczenie, sud'ba* (судьба). Nic więc dziwnego, że gdy mówią o losie, uważają go za siłę nadprzyrodzoną, bo niepojętą, niewidomą, której ulegać muszą. W przenośnem znaczeniu, rok, los, przeznaczenie, w pojęciu ludów pierwotnych mógł pochodzić od boga; ale żeby tego boga Słowianie nazywali *Rokiem*, zgoła niemamy gruntownych dowodów. Były sądy rokowe, były roczki — ależ to były sądy ludzkie. Lud mógł o nich mówić, jako o sile tajemniczej, bo przecie nie wiedział, jaki zapadnie wyrok, więc go bał się, ale nazwy te wcale nie pochodziły od domniemanej najwyższej istoty.

Rzeczywiście w całej Słowiańszczyznie, w każdej porze roku przypadała jedna z uroczystości pogańskich, lecz te miały właściwe nazwy i były przeznaczone dla uczczenia oddzielonych bogów i bogiń, a nie jednego Roka.

Zgadzamy się, że Słowianie bałwochwalcy mieli pojęcie o najwyższym bogu, bogu bogów, opatrzności, która rządziła bogami, światem całym i *rokiem*, t j. losem wszystkich ludzi. Ale tego boga nazywali Słowianie rozmaicie, każdy szczep inaczej: *Bel, Biel, Bielun, Bilej, Bielbog, Bielyboh, Dij* (ojciec nieba), *Tryhław, Swarag*. W latopisach spotykamy jeszcze czasami nazwę *Prabog*. *Roku* zaś nigdzie nie spotykamy. Biały bóg, jak go powszechnie nazywano, a którego Białorusini i dziś zowią *Bielunem*, przez wszystkie szczepy słowiańskie był uważany jako *pan nieba*, a żoną jego była *Diwa*, ziemia, *matka-ziemia*. Użycie wyrazu *matka ziemia* (ulubione przez ś. p. W. Pola), jest i dziś powszechne u wszystkich Słowian. *Klnę się matką ziemią*, najwyższa klątwa u Słowianina. Serb zaprzysięga, stojąc w wykopanym dole, mając ponad głową darninę z trawą, bo to są włosy *matki ziemi*, a przysięga na *matkę ziemię*.

Pan panów, bóg bogów, albo Biały bóg mieszkał w niebiosach, ale miał podręcznych, którzy podług jego woli rządzili światem. A więc było czterech głównych bogów, o których przechowały się legendy, o których się wspomina w prastarych pieśniach: *Piorun*, król nieba i ziemi (Perkun, Perkunas, Światowit); jego małżonka

Gromownica, królowa błyskawica, pani lata *(Żiwa, Siwa, Simargla)*; *Strybog*, król wód i wiatrów; *Swarożycz (Radegost*, u Białorusów *Zyżal)*, król ognia; *Nij (Karaczun, Mróz, Ziuzia, Sitiwrat)*, król podziemny, a jego małżonka *Morana*, śmierć. Takie są główne, dotąd wyśledzone bogi słowiańskie, a od nich dopiero idą podrzędniejsze, wszakże spowinowacone, pokrewne. Tak *Dażbog, (Dadzbóg, Chors, Wsiewied-Złotowłosy)*, syn Pioruna, słońce; jego małżonka *Łada (Lada, Dodola, Didilia, Preperuha, Sapucha)*, bogini wiosny, obfitości, opiekunka kobiet.

U Białorusinów wszystkie cztery pory roku mają swoich panów, albo królów. Panem zimy jest *Ziuzia*, jesieni *Zycień*, wiosny *Lola*, albo *Lala*, lata *Ciocia*. Zastosowane one najsilniej do przygodnych bóstw u innych szczepów słowiańskich. Pieśni, podania, obrzędy stwierdzają tożsamość tych bóstw.

Największą i najważniejszą uroczystością zimową w całej Słowiańszczyźnie były *Kolady*. Mówi o nich autor dość szczegółowo, ale stosując to święto do uroczystości *Roku*, traci grunt, nie jest wyczerpującym. Cytuje autor Lelewela i Surowieckiego, a nie chce przyznać, że mieli oni zupełną słuszność, zaliczając Koladę do oddzielnych bogów każdej pory roku. Jest to przesilenie zimowe, święto *Gromownicy* (Żiwy, Siwy), walka z *Ziuzią* (Sytywratem), który przeszkadza narodzeniu się *Bożycza* (Dażboga, słońca) [1]. Nie wspomina nawet o głośnej pieśni o *Kozie*, znanej i dziś na Polesiu, a do której wszyscy mitologowie słowiańscy przywiązują wielkie znaczenie.

Bogini wiosny *Lala, Lola* u Białorusinów niezawodnie to samo co Łada. Święto jej nazywa się *Lalnik* i przypada 22 kwietnia, a nazajutrz święto *Jaryły*, które w całej Słowiańszczyźnie odegrywało ważną rolę. Mylnie dowodzi autor, że święto Jaryły obchodzono 24 marca.

Dopiero zaczyna się panowanie bogini lata *Żiwy, Siwy, Cioci*. Wiele uroczystości wiąże się z nią, że wspomimy tylko o *Rusałkach*, (Świteziankach, Goplankach) na Zielone święta, o *Semiku* (sejmik)

[1] O Koladzie i w ogóle o mitologicznych zabytkach na Białej Rusi mówiliśmy obszernie w opisaniu Litwy i Białej Rusi w *Malowniczej Rossyi*, wyd. M. Wolffa, po rossyjsku 1882, t. III., str. 251—276, a jeszcze przedtem, w r. 1875 „O pierwotnej Słowiańszczyźnie“ w *Niwie*, po polsku, ob. str. 250.

i połączonych z nim obrzędach *kustowych*, *Koźmy* i *Damiana*, *Borysa* i *Hleba* (Aswinow), Mikołaja Morskiego (9 maja); najważniejszą zaś uroczystością bogini lata — *Sobotki*, czyli *Iwana Kupały*, następnie *Welesa* — księżyca, *Pioruna* (Eliasza proroka) 20 lipca. Nakoniec jesienne święto na Białej Rusi, *Życień*.

Autor uważa Ladę za jedno z Koladą (bardzo słusznie), ale jako boga najwyższego, stwórcę świata. Przytacza nawet kilka urywków z pieśni i przypowieści, w których sama płeć bóstwa niejasno określona, gdy w innych pieśniach wyraźnie mowa o Ładzie, jako królowej-bogini. Białorusini śpiewają:

Da siadzić Kupała na płocie
U niaje hołońka usia u złocie!

Z wprowadzeniem chrześcijaństwa Kupała przeistacza się w *Maryę*, a kult pogański pozostaje ten sam. Na przykład:

Iwan da Marja
Na hore kupalisia,
Hdzie Iwan Kupaŭsia
Biereh kołychaŭsia,
Hdzie Marja kupałaś
Trawa razciłałaś.

Mitologowie widzą w tem Dażboga, t. j. słońce i jego żonę Ładę [1].

Nie ma więc Łada nic wspólnego z *Rokiem*, jak chce autor, stworzycielem świata, który siedzi w niebiosach, a żaden szczep słowiański nie sprowadza go na ziemię i nie każe mu kąpać się. Mógł cytowany przez autora archimandryta pieczerski nazywać Kupałę bogiem, bo też rzeczywiście należała ona do bóstw słowiańskich, ależ nie mianuje jej *Rokiem*, nie przypisuje jej przymiotów boga bogów. Dodać tu jeszcze musimy, że w podaniach nawpół chrześcijańskich, miejsce Łady, Lady (Dodoli) zastąpiła św. Piatnica, czyli Paraskewija. Świątynie wschodniego obrządku, wzniesione na tych miejscach, gdzie były jej ołtarze, prawie wszystkie są pod wezwaniem św. Paraskewii.

Autor powołując się na Afanasjewa powiada, że Białorusini

[1] Afanasjew, Kwasznin-Samarin, Bezsonow. Pieśni kupalskie w Zbiorze pieśni białoruskich Piotra Bezsonowa, Moskwa, 1871, str. 29 i dalsze. U mnie o Kupale. Pierw. Słow.. str. 354 i dalsze.

topią śmierć w *przewodnią niedzielę* i „onę nazywają *Nawskij welik deń*“. Topienie bałwana na Białejrusi dziś prawie już nieznane, a o Nawskim dniu nie mają tu pojęcia, ale i nigdzie nie miał on nic wspólnego z topieniem bałwana. Wykazałem już gdzieindziej [1], że *Nawski*, to samo, co *Rachmański wiałyk deń*. Święcą go nie w przewodnią niedzielę, ale dwudziestego dnia po Wielkiej nocy na Podolu, na Pokuciu, na Ukrainie. U Huculów święcą we środę przed Zielonemi Świątkami. Święto Rachmańskie nic nie ma wspólnego z chrześcijańskiemi uroczystościami, tak dalece jednak rozpowszechnione, że dawniej (do r. 1859) nawet kalendarze wileńskie i berdyczowskie zaznaczały jarmarki na *Rachmański wiałyk deń*. Na Wołyniu tylko i w niektórych miejscach południowej Rossyi, ta sama uroczystość ludowa nazywa się *Nawskim* dniem [2], nie ulega wszakże wątpliwości, że Rachmański, czy Nawski jedno i to samo. Profesor Gregor Krek dokładnie określił znaczenie wyrazu Nawski [3]. *Naw, Nawie*, jest to kraina oddzielona od mieszkania żyjących ludzi wielką wodą. Żeby się tam dostać, trzeba było niebiańską wodą, prądem powietrznym przeżeglować, albo przejść po moście, którym to mostem była tęcza, lub droga mleczna. Żałować należy, że autor nie opracował staranniej i nie wykazał nam swego poglądu o tym zawsze jeszcze zagadkowym Rachmańskim, czy Nawskim w. dniu.

Potrąca autor o kilku innych bogów, mówi o *gadach*, *gospodarczykach*, *deduszkach*, *domownikach* i t. d. Wszystko to jednak dorywczo, niewyczerpująco, często fantazyjnie, a wszędzie ten domniemany *Rok* krzyżuje drogę tak, że czasami tworzy się coś chaotycznego, bezpodstawnego i to w kwestyach, dla których możnaby już dziś znaleść bardziej określone, pewniejsze materyały.

Urywkowie przytacza autor niektóre legendy, klechdy stwierdzające istnienie w pojęciu Słowian *Czarnego boga*. Nie możemy się zgodzić w zupełności z teoryą autora o tym bogu. Legendy o nim, znane nam [4], nie we wszystkiem się zgadzają z temi, które

[1] Pokucie, pod względem archeologicznym, t. IV. Rozpraw i Spraw. Akad. um. II. Wydziału. — Osobna odbitka, 48.

[2] Rulikowski, opis. powiatu Wasilkowskiego.

[3] Einleitung in die slavische Literaturgeschiete und Darstellung ihrer älteren Perioden, 1874, str. 121.

[4] Moja.: O pierwotnej Słowiańszczyznie.

podaje autor. Tak np. o stworzeniu świata, o ulepieniu ciała człowieka przez białego boga, które czarny bóg przekupiwszy psa stojącego na straży, oplwał, a przez to utwor boski zniweczył, co spowodowało, że biały bóg o tyle tylko mógł złe naprawić, że wywrócił ciało na lewą stronę i tchnął w nie duszę. Powiada autor, że czarny bóg chcąc mieć część ziemi na własny użytek, schował do gęby, a później nie mogąc odpowiedzieć na zapytanie białego boga: czy ładny kraj stworzył? — począł uciekać i gdzie upadł z ziemi wypadłej z gęby powstało wzgórze, a gdzie podskoczył góra. Inna klechda inaczej o tym wypadku opowiada. Czarny bóg oddając białemu ziemię z dna morskiego wydobytą, zatrzymał jej trochę w gębie. Biały bóg posiał przyniesioną ziemię na wszystkie strony i pobłogosławił mówiąc: „twórz się ziemio i rośnij trawo na wszystkie strony świata“, a w tejże chwili wody opadać zaczęły, ziemia się ukazała i bujna trawa wzrastać poczęła, lecz trawa róść zaczęła i w pysku czarnego boga ból niezmierny przyczyniając; jak opętany miotał się więc i rzucał na wszystkie strony, plując ciągle, ażeby pozbyć się tej ziemi, a gdzie tylko splunął, tam się góra ukazała. Klechd, przypowieści takich jest mnóstwo, a wszystkie ciekawe. Podług autora czarny bóg nie jest złym bezwzględnie, tak samo biały bóg nie posiada wszechmocy nieskończonej. Z tem się zgodzić niepodobna — ale autorowi chodziło o to, ażeby wydźwignąć i postawić na czele swojego *Roka* domniemanego. Mniejsza o to. To tylko pewna, że Słowianie wierzyli w najwyższe bóstwo na niebie, dualizm zaś nie był odwiecznym utworem Słowian pierwotnych. Niektóre tradycye sięgające najodleglejszych czasów przekonywają, że z początku Słowianie wierzyli w jedynego tylko dobrego boga, a świat cały powstał z postaci Stworzyciela, mianowicie, słońce z jego oblicza; zorza poranna z jego ust; księżyc z jego piersi; deszcz, z łez boskich; niebo, z czaszki jego głowy; kamienie, z jego kości; ziemia, z ciała; woda, ze krwi; lasy i trawy z jego włosów; chmury z jego mózgu; wiatr, z jego oddechu; grzmot, z jego słowa; błyskawica i gwiazdy, z jego wzroku. Są i inne tradycye w tym rodzaju. Pojęcie o dwoistości, t. j. początku dobrego i złego, wyrodziło się w późniejszych czasach. Helmold mówiąc o Słowianach nadbałtyckich, wspomina, że Słowianie odwołują się nietylko do białego, ale i czarnego boga. Przesądy te gdzieniegdzie i dziś istnieją, bo w pojęciu ludu czar-

nego boga zastąpił czart, djabeł. Autor przytacza kilka przysłów, właśnie stwierdzających, że lud chce ułaskawić tego djabła, czyli czarnego boga. Naprz. „Bogu świeczkę, czartu ożog“. Rusini mówią jeszcze dobitniej: „I Bohu świeczka i czortu dwie“. Na Polesiu pińskiem i dziś bodaj można słyszeć śpiew:

„Byń na Rusi Czornyj boh,
Pred nim stajań turow roh i t. d.“

Albo:

„Panie kruku, panie kruku,
Czorna boha starszyj wnuku“.

Leszy, Licho, Liszke podług autora są tylko *gadami* Czarnoboga, gdy przeciwnie Leszy występuje sam oddzielnie, a szczególnie u Białorusów gra wielką rolę, jak i wiele innych sił nadprzyrodzonych.

Rzecz o *Swiatowicie* opracowana dość wyczerpująco. Niegodzimy się wszakże na pisownię autora. Pisze on Swiatowi*d*, a nie Swiatowi*t*, dlatego, że patrzał na cztery strony świata, że był *widzem*, a nie *wieszczem*. Nam się zdaje, że wywód Hilferdinga [1] daleko trafniejszy, że wyraz Swiatowit składa się z dwóch pierwiastków: *swante* — święty i *wit* — światło, a więc święte światło, albo święty światły. Tak samo znakomity czeski uczony I. I. Hanuš pisze — „Swiatowit“ i stąd wyprowadza wyraz *witati*, z czem się zgadza uczony ks. Leszczyński i sądzi, że nasze *witać* powstało z tegoż źródła. Rzecz dziwna, że autor mówiąc o Swiatowicie nie wspomina o nader ważnej kwestyi, mianowicie, że tam, gdzie stały świątynie bałwochwalcze Swiatowita, wzniesiono kościoły ś. Wita, a na Rusi cerkwie ś. Mikołaja. Nie wspomina o ciekawym obyczaju dawnych czasów, że w Pradze czeskiej, jeszcze pod koniec przeszłego stulecia, jak niegdyś do świątyni Swiatowita, tak następnie do kościoła ś. Wita, w dniu tego świętego znoszono w ofierze kołacze i koguty, bo kogut gdy zapiał, przepędzał czarną siłę, z którą walczył co noc Swiatowit. Tak samo w Liczkowcach na Podolu galicyjskiem, nad Zbruczem, niedaleko miejsca znalezienia posągu Swiatowita, i dotąd w dzień ś. Mikołaja, do starożytnej cerkwi ś. Mikołaja znoszą kogutów w ofierze.

[1] Hist. Nadb. slow. t. I, 226. — Hanuš: Bájeslovny kalendar (1860) str. 24, 54, 96, 174, 230. — Moje o Swiatowicie: Pamiętnik kom. arch. wil. 1858., str. 8., Przegląd arch. we Lwowie 1876.

Mówiąc o znanym *Czurze* (praszczur), plącze go autor z domniemanym *gospodarczykiem*, gdy kult Czura jasny i wybitny w całej Słowiańszczyźnie, a szczególnie na Rusiach, jako penata rodzin, opiekuna ich domu, stróża granic ich posiadłości i t. d. Białorusin i dziś często wzywa Czura w każdym wypadku. „Czur mianie“, mówi dziewczyna, gdy ją kto napastuje. „Czur tabie na jazyk“ i wiele innych przysłów. Pieśń jedna mówi:

„Handziu duszko, *nieczurajsia*,
Taj na Bożu wolu zdajsia“ i t. d.

Zanadto już ubliża autor powadze i znaczeniu *Lela i Polela*, uważając ich za uosobienie deszczu, *co to leje i polewa*. Żartując sobie z uczonych, którzy im przypisują donioślejsze przymioty, bierze za podstawę parę piosnek, w których mowa o tych braciach, jak naprz. „Ej rozlijsia Polelu po boru, po kureniu! i. t. d.“, albo serbska: „Tekla woda, wojno le... Lado le mile! de le Lelo le...“ Dodaje jeszcze, że Stryjkowski mówi o współczesnej mu szlachcie, która popjanemu wołała: *„Lelum polelum“, widocznie, mówi autor, z odwiecznego zwyczaju „lej i dolewaj.“* Oto i wszystkie dowody. Tego za mało. Żeby autor zechciał przysłuchać się wielu innym pieśniom ludowym u rozmaitych szczepów słowiańskich, musiałby zgodzić się, że Lel — i Polel, jak mniema niejeden Miechowita, ale i wielu innych, byli synami Dażboga i Lady, że ich uważano jako opiekunów małżeństwa i pszczolnictwa, a byli zarazem kowalami, kując przędzę życia człowieka. Piosnki białoruskie i dziś błagają ich, aby ukuli szczęśliwe połączenie kochających się; że na cześć ich d. 1 lutego zarzynają koguta, jako symbol małżeństwa, a dlatego i sam ten dzień nazywają imieninami koguta. Te ich wszechstronne przymioty spowodowały, że po zaprowadzeniu chrześcijaństwa uroczystość Lela i Polela zastosowano aż do sześciu świętych, jako opiekunów pszczolnictwa do Zosima i Sabbatego (8 sierpnia); jako kujących przędzę życia człowieka do Kosmy i Damijana (1 listopada); nakoniec oni to kuli pierwszy pług do orania, a więc zastosowano ich także do Borysa i Hleba (24 lipca).

Nie potrącamy tu o wiele jeszcze nieuzasadnionych domniemań autora, z któremi zgodzić się niemożemy. Za wieleby to miejsca i czasu zajęło. Ale zarzuty nasze bynajmniej nie ujmują wartości pracy p. Dra Świerzbieńskiego, mającej wiele i stron dodatnich, erudycyę

wielką, pracę mozolną, a cele zapewne najszlachetniejsze. Jest to zawsze nabytek dla mitologów słowiańskich, a niejednego może pobudzić do głębszych studyów, czego z duszy życzymy i szanownemu autorowi, bo jesteśmy najmocniej przekonani, że skoro da za wygranę swojemu chorobliwemu Rokowi, skoro odrzuci to wszystko, co mu wyobraźnia podyktowała, a oprze się wyłącznie na źródłach etnologicznych, skoro zaznajomi się dostateczniej z materyałami, jakie się dotąd nagromadziły u rozmaitych Słowian, przy znanem już zamiłowaniu do mitologii słowiańskiej, przyszłe jego prace mogą się stać cennym nabytkiem dla nauki.

A. H. Kirkor.

Historya Reformacyi XVI. wieku napisał Dr. J. H. Merle d'Aubigné, z francuskiego przełożył *ks.* (sic) *Licenciat* teologii Jan Pindor, tom I. Cieszyn, nakładem Ewangielickiego towarzystwa oświaty ludowej. W 8, str. 352. 1 złr. 50 kr.

Jeżeli wspominamy o tej książce, to jedynie dlatego, aby przestrzedz czytającą publiczność polską przed trucizną, która się w niej zręcznie a w wielkiej dozie ukrywa. Kalwiński pastor i profesor „historycznej teologii“ (może historyi kościelnej) w Genewie, Dr. I. H. Merle d'Aubigné, napisał przed wielu laty „historyę reformacyi XVI. wieku“, która tłumaczona na różne języki, polskiej publiczności mało znaną była. Dopiero „ewangielickie Towarzystwo oświaty ludowej“ w Cieszynie postarało się o polski przekład. Dokonał go cieszyński pastor Jan Pindor, i oto tom I. leży przed nami. Na okładce i w tytule czytam ks. (ksiądz) Pindor. Niewłaściwie i nieprawnie użyto tu tytułu ksiądz, słowo bowiem polskie „ksiądz“, niemieckie Priester, oznacza kapłana sprawującego ofiarę na mocy otrzymanej sakry kapłańskiej. Protestanci i kalwini nie znają ofiary mszy św.; Luter nazwał ją „obrzydliwem bałwochwalstwem“; nie mają też sakramentu kapłaństwa, a tem samem kapłanów, mają tylko predykantów czyli kaznodziei, których pastorami zwykle nazywamy. Nadanie więc tytułu ksiądz pastorowi jest niewłaściwe i nielegalne; ale w Polsce i na Szląsku pastorowie chętnie się księżami mianują, bo w opinii ludu stawia ich to na równi z katolickimi kapłanami, których ten lud szanuje i miłuje. W pewnem mieście w Galicyi wynikły nawet zajścia w kasynie miejskiem z tego powodu, że miejscowy pastor w książce członków kasyna podpisał się księdzem. Nie rozumiemy też, co znaczy „historyczna teologia“, wyrażenie użyte przez p. Pindora w przedmiowie. Znamy historyę teologii tak, jak znamy historyę filozofii; znamy historyę kościoła katolickiego, protestanckiego, prawosławnego i t. d., ale historycznej teologii nie rozumiemy wcale. Pan Pindor nierzadko używa wyrazów i zwrotów niezgodnych z naturą i gramatyką języka polskiego, jak n. p. bole ku porodzeniu, str. 13, ornat papieski, str. 13, żyć w stanie swobodnym, zamiast bezżennym, str. 14 i t. d.; w ogóle jednak jego przekład polski jest dosyć poprawny, zważywszy zwłaszcza trudności, z jakiemi na Szląsku budzący się duch polskości walczyć i łamać się musi, i nie myślimy

mu z tego powodu robić wielkiego zarzutu. Co innego co do samej treści książki. Zasługi i winy jej nie spadają już na p. Pindora, ale na p. d'Aubigné. Zaletą książki, że napisana przyzwoicie bez wyzwisk i namiętnych wycieczek na kościół i wszystko co katolickie, że styl jej lekki, swobodny, czyta się ją jak powieść bez znużenia. Winy czy wady książki wynikają z protestanckiego założenia całej naracyi. Profesor i pastor genewski niczego się nie nauczył i niczego nie zapomniał, nic nowego, ani inaczej nie powiedział, jak jego poprzednicy w XVII. i XIII. wieku. Wszelkie prace apologetyczne z obozu katolickiego zdaje się jak gdyby nie istniały dla niego; baśń o Joannie papieżycy, o niemoralności Aleksandra VI. wszystko to znalazło się w jego książce; nie ma też dosyć słów do napiętnowania upadku duchowieństwa w XIV. i XV. wieku, a przemilcza o takich postaciach jak, Benedykt św, Bernard św. Franciszek z Asyżu, Dominik i o zakonach, przez nich założonych albo odnowionych (str. 28—32). Zręcznie a nader powierzchownie przedstawia on instytucyę kościoła katolickiego i papiestwa jako owoc ambicyi i nienasyconej żądzy światowładczej samychże papieży i kleru w ogóle, i kończy: „Tak tedy w łonie Kościoła wszystko się zmieniło. Na początku był Kościół narodem braci, teraz (z końcem XI. wieku od Grzegorza VII począwszy) wytworzyła się w nim nieograniczona samowładza. Wszyscy chrześcijanie byli królewskiem kapłańskiem (I. Piotr 2, 9.), pokorni pasterze przewodniczyli im... Znikła ona pierwotna równość każdej duszy w obec Boga. Na słowo jednego człowieka (papieża) rozdzieliło się chrześcijaństwo na dwa nierówne obozy: po jednej stronie stanęła kasta duchowieństwa, przywłaszczając sobie wyłącznie (?) nazwę Kościoła i chełpiąc się z wielkich przywilejów, którymi od Boga wyszczególniona być utrzymywała; po drugiej zaś stronie stały tłumy niewolnicze, stał lud ujęty więzami, dźwigający kajdany, wydany na pastwę zarozumiałej kasty duchowieństwa. Wszystkie szczepy, języki i narody chrześcijaństwa uległy samowładzy duchownego króla, który jej dopiął w drodze zwycięstwa“ (sic.) (str. 17)... „Powstanie papiestwa tłumaczy się tem, iż przyjęto kastę, mającą pośredniczyć między Bogiem a ludźmi i przez uczynki, przez pokuty i za pieniądze pozwalano dokupywać się zbawienia, które Bóg dał za darmo... Papiestwo stało się potężnym murem stanowiącym przedział między Bogiem a człowiekiem; koło wzniesienia jego pracowano przez kilkanaście wieków... Papiestwo postawiło między Bogiem a człowiekiem Kościół... reformacya postawiła Boga i człowieka wprost przeciwko sobie (sic)... Kościołowi średniowiecznemu jednak... oddajmy sprawiedliwość. Został on, lubo w upadku i niewoli będąc, zawsze jeszcze Kościołem i najpotężniejszym przyjacielem ludzkości... Kościół katolicki i papiestwo nie była to jedna i ta sama rzecz; papiestwo było pogromcą, Kościół niewolnikiem... A nawet i papiestwo było czasowo narzędziem w ręku Boga, który złego ku dobrym używa celom. Stanowiło ono bowiem niejako równowagę przeciwko władzy i zachciankom książąt świeckich (str 23). Osobne rozdziały II. i III, poświęcone wykładowi, powierzchownemu zresztą, protestanckiej teologii o łasce, o wierze, o bezsilności dobrych uczynków, o pokucie, odpustach i t. d., a wszystko to przyprawione okrasą słodko nudnego pietyzmu, z którym na ambonie równie jak w książkach pastorowie popisywać się zwykli. Za to teologia scholastyczna nazwana „chaosem różnorodnych zdań... mieszaniną niepewnych twierdzeń. Dwór (bowiem) papieski miał swą osobną naukę, osobną też miał Kościół; inna była wiara stolicy, inna zasię

na prowincyach; tu znowu także było mnóstwo różnic. Inną wiarę mieli królowie, inną narody, inną zakony klasztorne; rozróżniano między zdaniami klasztorów, powiatów (sic), doktorów i mnichów“ (str. 51.) Kiedyż to tak bywało? Co do dogmatu, nauka zawsze i dla wszystkich jedna i ta sama była i jest po dziś dzień. W kwestyach naukowo-teologicznych, jak n. p. o sposobie pogodzenia wolnej woli z wpływem łaski bożej skutecznej, tu były zawsze i są różne systemy i szkoły, podobnie jak w kazuistyce moralnej zastosowanie fundamentalnych zasad moralnych opiera się na osobistej powadze doktorów i teologów. „Reformatora“ Lutra maluje autor z zamiłowaniem, nie troszczy się nawet wcale o zbicie zarzutów, które podstawę mają w własnych pismach Lutra. Pisma te, zwłaszcza listy Lutra, niemniej jak biografia Lutra przez Melanchtona, Adama, Schlüsselburga, akta Lutra przez Kochlera (Cochlaeus), są tutaj głównem, niemal wyłącznem źródłem. Na równego Lutrowi bohatera wyśrubowany tu generalny wikaryusz augustyniański, zrazu protektor a potem zwolennik Lutra, Staupitz. Pomimo tych uwielbień i wśród nich czytamy: „Luter nie postępował według pewnego z góry obmyślonego planu... sam nieraz, nie spostrzegając tego nawet, stawał z sobą w sprzeczności“ str. 336. Arcy-zabawny jest ustęp, usprawiedliwiający ucieczkę Lutra z Augsburga, z obawy dostania się do więzienia, z rozkazu legata papieskiego kardynała de Vio za swoją wrzekomą ewanielią (str. 337—341). Na tej ucieczce i na apelacyi Lutra od papieża do powszechnego soboru, kończy się tom I. Autor wcale nie zadał sobie pracy wytłumaczyć, choćby najtreściwiej powody, dla których taki książę saski Friedrich, lub inne pany niemieckie, faworyzowali opór Lutra przeciw Rzymowi; dlaczego mieszczaństwo niemieckie w ogóle, już w pierwszych chwilach apostazyi Lutra stanęło wyraźnie po jego stronie. Prawda, dzieło to przeznaczone dla szerszego koła czytelników, którzy znów nie mają zwyczaju brać rzeczy głębiej, i zadowolnią się płytkiem, byle potoczystem opowiadaniem. Przypominamy, że główna reguła Indeksu zabrania katolikom czytania książek treści religijnej napisanych przez akatolików; książka więc powyższa w domach katolickich żadną miarą znaleść się nie powinna. *S. Z.*

Sprawozdanie komisyi językowej Akademii Umiejętności T. III. W Krakowie. 8⁰, str. 448.

Rozprawy w tym tomie zawarte są dwojakiego rodzaju: jedne są pracami gramatycznemi lub leksykalnemi, drugie zaś podają nam zabytki piśmiennictwa polskiego z XV. lub XVI. wieku, dotąd nieznane. Do pierwszych należy: 1. Wykaz form przypadkowych, zawartych w zabytku z wieku XV., pod tyt.: „Głossa super epistolas per annum dominicales“, wydanym przez Dr. Wł. Wisłockiego, opracował Roman Zawiliński. 2. Wykaz form przypadkowych w książeczce Nawojki, opracował Jan Hanusz. 3. Wykaz form przypadkowych, zawartych w kilku mniejszych zabytkach języka polskiego z wieku XV. opr. Jan Hanusz. 4. Archaizmy w języku Jana Kochanowskiego, zebrał i opracował Gustaw Blatt. 5. Materyały do morfologii języka polskiego z początku XV. wieku, na podstawie zapisków sądowych w księdze ziemi Czerskiej, zebrał i opr. Gustaw Blatt. 6. Instrumentalis i Locativus pluralis deklinacyi rzeczownikowej w dziele Mikołaja Reja z Nagłowic: Apocalypsis z 1565 roku, opracował Bolesław Szomek. 7. Dwa przyczynki do starożytnego słownictwa

polskiego, podał Teodor Wierzbowski. 8. Spis wyrazów podhalskich, podał August Wrześniowski.

Wyłączając prace p. Wierzbowskiego i Wrześniowskiego, których wartość już przez to jest wielka, że podają nowe fakta, treść wszystkich innych, jakkolwiek zajmują 144 stron „bitego druku", można było na kilku lub kilkunastu stronach pomieścić, a wartość ich byłaby ta sama. Celem tych prac jest dostarczenie potrzebnych materyałów dla przyszłego gramatyka polskiego z zakresu form językowych. Takie materyały są bardzo pożądane, ale powinny też one być w istocie materyałami. Już kiedy p. Hanusz ogłosił swoje „Materyały" z „Psałterza floryańskiego", pracę uwieńczoną nagrodą Akademii Umiej., a zajmującą cały tom II. jej „Sprawozdań" (460 str.), uczeni, jak Brückner w „Archiv für slavische Philologie, jak Appel w „Filologicznym Wiestniku", zarzucili temu wydawnictwu brak wyboru między tem, co potrzebne, a tem, co się na nic przydać nie może. P. Appel wyraził wprost zdziwienie, że Akademia rzecz w ten sposób podaną drukuje, ba nawet nagradza. Co wtedy o owej pracy powiedziano, to w zupełności i do tych, które omawiamy, zastosować można. Przeglądając je, odbiera się wrażenie, jakieby się odebrać musiało, gdyby ktoś podjął się dostarczyć drzewa na budowę domu, a zwoził nieskończoną ilość próchna, które nawet na opał przydać się nie może. Aby nas kto nie posądził o przesadę, przytoczmy choć kilka faktów.

Wiadomo nam, że rzeczowniki, jak: człowiek, chłop, proso, koło i t. d. brzmiały w pierwszym przypadku l. p. od wieków tak, jak brzmią dzisiaj. Wystarczyłoby tedy zupełnie, gdy ktoś, co jakiś staropolski zabytek przegląda, podał parę przykładów i oświadczył, że żadnych zresztą różnic między dzisiejszym językiem, a dawnym nie znalazł, a jeżeliby jakie archaizmy spotkał, te szczegółowo wynotował. Na to zgodzi się chyba każdy. Tymczasem nasi autorowie rzeczami najzwyklejszemi zapełniają całe arkusze druku.

Jeżeli się wie, że rzeczowniki jak: *pole, pisanie, czytanie,* w polskim języku od wieków na *e* się kończyły, a poszukujący materyału nie znajdzie w jakimś zabytku innego, tylko to zakończenie, to pocóż nam przytacza całemi stronnicami i arkuszami materyał, który tego tylko dowodzi, że poszukiwania jego nie przyniosły żadnego owocu, bo żadnego nowego faktu językowego. Wiadomo, że rzeczowniki, jak: *pisanie, czytanie* i t. p. miały w 2-gim przyp. l. p. od wieków końcówkę *a* (pierwotnie *a* długie, potem ścieśnione, wreszcie otwarte), autorowie nie znaleźli w zabytkach żadnego innego faktu, ale mimo to przytaczają znowu nieskończoną ilość „materyału". To samo powtarza się przy odmianie przymiotników, to samo przy odmianie zaimków i liczebników, tak wszędzie i na każdym kroku. Jeżeli taki materyał niczego niedowodzący ma w istocie wartość dla gramatyka, to pocóż szukać starych zabytków, wszak każdy z nas może napisać z „głowy" ogromną ilość form, zanieść do Akademii i prosić o wydrukowanie.

Jak autorowie nie umieli oddzielić tego, co potrzebne, od tego, co zbyteczne, tak też i w objaśnieniu form (choć objaśnienia te są tak rzadkie, iż trzeba ich chyba ze świecą szukać) powtarzają za drugimi często bezmyślnie rzeczy, które nie mają naukowej podstawy. P. Zawiliński np. mówi sobie o długości samogłosek w XV. w., jak za dobrych czasów, nie wiedząc chyba o tem, że uczeni gramatycy dawno już pożegnali się z tą myślą na podstawie niezbitych faktów językowych. Mieliśmy w polskim języku samogł. długie, ale

daleko przed XV. w., a może nawet XIV., gdyż na podstawie naszych zabytków piśmiennych nic stanowczego o tem powiedzieć nie można. Ztąd to prof. Miklosich w rozprawie swej: „Über die langen Vocale in slavischen Sprachen". Wien 1879, nie mówi o długich samogł. w pol. jęz., ale o ścieśnionych (pochylonych), które zastępują w naszym języku samogł. długie. „Die Einbeziehung" — mówi Mikl. na str. 7 tego pisma, — der polnischen Vocale á, é, ó in dieser den langen Vocalen gewidmeten Schrift beruht darauf, dass dieselben Nachfolger, Vertreter langer Vocale sind". Poucza on nas na innem miejscu, że formy 2-go przyp. l. p., jak. *Maryjej, pracej* i t. d, znane w staropol. jęz., powstały pod wpływem analogii przymiotników. Powtarza za drugimi znaną „śpiewkę" od dawna, nie przeczuwając nawet, że śpiewka ta pozbawiona jest najważniejszej zwrotki, bez której taka analogia ze stanowiska psychicznego, a więc i językowego, bo język jest objawem duszy, zgoła jest niemożebną. Nie mogę się tu wdawać w rozjaśnienie zakresu działania analogii na podstawie psychologicznej; ale muszę się zapytać autora, dlaczego w dziejach języka pol. niema faktu, aby się kiedykolwiek mówiło: *chłopiego, człowiekiego*, pod wpływem *dobrego, taniego*, kiedy pod wpływem *dobréj*, taniej miały powstać formy *Maryjej, pracej?* Otóż dlatego niema takiego faktu, bo i formy *Maryjej, pracej* zam. Maryi, pracy, nie powstały pod wpływem przymiotników, ale rzeczowników. Rzeczowniki, jak: królowa, cesarzowa, wójtowa i t. p., będąc pochodzenia przymiotnikowego, brzmiały w 2-gim przyp. l. p. i tych, które są z nim identyczne, dla znanych przyczyn dwojako: *królowy* lub *królowéj, césarzowy* lub *césarzowéj* i pod wpływem tych to ostatnich form, co do znaczenia rzeczowników a nie przymiotników, powstały formy *Maryjej, pracej*, inaczej analogia byłaby tu niemożebna.

Nielepiej p. Hanusz postępuje. Spodziewałby się kto, że znając nowsze teorye gramatyki indoeuropejskiej, jeżeli nie napisze jakiego znakomitego dzieła, to przynajmniej zbierze materyały dla jakiegoś przyszłego gramatyka, stosownie do tych teoryj ułoży w odpowiednie grupy swój materyał. Ale gdzież tam! On strzeże się nawet wszelkich wyjaśnień i całemi stosami drukuje materyał bez wartości.

Z pomiędzy rozpraw gramatycznych najlepiej jeszcze przedstawiają się rozprawy p. Szomka i p. Blatta, chociaż i tu, zwłaszcza w jednej z rozpraw p. Blatta (zob. pod 5) niemało jest „materyału na spalenie", choć i tu nie brak powtarzania cudzych teoryj, w dobrej wierze, ale bez zastanowienia, bez śladu własnych badań. P. Blatt twierdzi, że formy, jak *źrzódło, srzebro*, powstały przez asymilacyę spółgł. *r* do *e*, formy zaś *źródło, srebro* przez dyssymilacyę. Jakim sposobem przychodzi do skutku miękczenie spółgłosek, tj. jak pojąć przejście *r* na *rz*, *k* na *c* lub *cz* i t. p. Bóg raczy wiedzieć, nikt przynajmniej nie znalazł się tak mądry, ktoby na to pytanie dał zadowalniającą odpowiedź. Przyznaje to na jednem miejscu i Miklosich, choć może ze wszystkich najbardziej zbliżył się do prawdy. Dla niektórych uczonych, zwłaszcza niemieckich, wszystko jest jasne, nic też dziwnego, że i człowieka z małpy wyprowadzili, widocznie przez dyssymilacyę, i w miękczeniu samogłosek stanowczo asymilacyę znaleźli. Asymilacyę tę w wypadku, który tu mamy przed sobą, można tylko poniekąd tak rozumieć, że *r* zmiękczyło się przed *e* miękkiem w ten sposób w pierwszym stopniu, iż między obydwoma dźwiękami pojawił się dźwięk *j*, który następnie zmienił się na *ź*

i *sz*, a więc: źredło = źrjedło = źrżedło = źrszedło = źrzedło = źrzódło. Tak to pojmuje rzecz tę prof. Miklosich, powołując się na pewne, dość przemawiające do przekonania fakta, pytanie jednak, jakim sposobem *j* przechodzi na *ź*, pozostaje nadal tajemnicą. Co do pytania, dlaczego obecnie mówimy *źródło, srebro,* kiedy niegdyś mówiliśmy *źrzódło, srzebro,* to o dyssymilacyi nawet mowy być nie może.

Mamy w staropolskim języku wyraz *szcie* = *sście*, co znaczy l'allure, le tour. W tłumaczeniu np. „Praw Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły" z r. 1449, dokonanem przez Świętosława z Wocieszyna, czytamy na str. 20: „Opuściwszy (rzeka) pirzwe łożysko, obróci swe *szcie* alibo płynienie[1]" etc. Od tego to wyrazu mamy pochodne: *wyjście, zejście, odejście* i t. d. po staropolsku: *zeszcie, wyszcie, odeszcie,* potem: *zeście, wyście, odeście.* Ten wyraz *sście*, jak wykazał prof. Miklosich odpowiada starosłowieńskiemu *sъstije*, gdzie *s* stoi na miejscu *d* na mocy tego samego prawa, na mocy którego mamy *s*, zamiast *d*, *t* w wyrazach: *wieść wiodę, pleść plotę* i t. p. Źródłosłów bowiem wyrazu szcie = sście (sъstije) jest *szed*, który też mamy w wyrazie *szedł* i pochodnych od niego. P. Blatt jednak twierdzi, że w wyrazie *sście* = *szcieście* spółgł. *d* wypadła: świadczy to o braku dostatecznego przygotowania naukowego. Niemniej rażąco występuje ten brak i w objaśnieniu wyrazu staropolskiego *wspomionąć* i nowopolskiego *wspomnieć*. Wyraz *wspomionąć* odpowiada starosłow. *vъspomęnąti*, co po polsku powinno brzmieć *wspomięnąć* lub *wspomiąnąć*. Prof. Miklosich objawił przypuszczenie, że w wyrazie *wspomięnąć* znikł rynizm, potem *e* przeszło na *o* i w ten sposób powstało *wspomionąć* z *wspomięnąć*[2]. Wyjaśnienie to mylnie p. Blatt przypisuje prof. Malinowskiemu, ale mniejsza o to, okropnem jest dopiero to, co dalej o tem wyrazie mówi. Twierdzi on, że słowo *wspomionąć*, co znaczy na dzisiejszy język *wspomnieć*, pomieszało się ze słowem *miąć* — mnę (np. suknię) i tym sposobem z wyrazu *wspomionę* powstało *wspomnę*. Pod wpływem zaś słów, jak *czynić, chwalić*, miało z *wspomnę*, powstać używane w staropolszczyznie *wspomnię*, *wspomnisz* i t. d.

Nasamprzód mam ochotę zapytać się szan. autora, co to spowodowało takie zmieszanie wyrazu *miąć-mnę* z wyrazem *wspomionąć-wspomionę*, dlaczego np. nie pomięszało się *giąć-gnę* z wyrazem *ginąć-ginę* i niestworzyło jakiegoś nowego dziwoląga? Posłyszano u nas, że na Zachodzie ludzie przez analogię objaśniają wiele zjawisk językowych i nuże tedy wszystko na to kopyto objaśniać, naturalnie bez zgłębienia i ocenienia należytego rzeczy: jeżeli wielkie rzeczy wolno porównywać z małemi, to jest w tem coś podobieństwa z owemi „nowinkami" XVI. wieku. Nowe teorye językowe powstałe na Zachodzie, które niemało zawdzięczają i naszemu rodakowi prof. Baudouin'owi de Courtenay, są ważne i każdy badacz języka z niemi się rachuje, ale i rachować się trzeba umiejętnie.

Gdyby p. Blatt przestudyował był teorye Zachodu, byłby się dowiedział, że pomieszanie dwu wyrazów jest tylko wtedy możliwe, gdy co do strony zewnętrznej są one podobne, a znaczenie ich do siebie zbliżone albo jednego z nich zatarte, niewyraźne. Jest to zjawisko psychiczne, a co się dzieje

[1] Tekst podajemy w pisowni dzisiejszej.
[2] Zob. Mikl. Über die langen Vocale, str. 56.

w duszy, pojawia się i w języku, bo język jest objawem duszy. My jednej osoby nie możemy brać za drugą, choćby one były nie wiedzieć jak do siebie podobne, jeżeli tylko mamy w duszy doskonałe pojęcie jednej i drugiej; mieszamy je zaś, tj. bierzemy jednę za drugą, gdy cechy, odróżniając je, zatrą się w naszem wyobrażeniu: dzieje się to zwłaszcza wtedy, gdy patrzymy na nie z pewnej odległości, bo wtedy właśnie cech odróżniających je dostrzedz nie możemy. Ztąd też pochodzi, że chociaż w każdym języku świata jest niesłychana ilość wyrazów podobnie brzmiących, przecież ludzie nie mieszają ich ze sobą w mowie: z Polaków nikt nie powie, że „bok stworzył świat", ale „Bóg stworzył świat", chociaż bok i Bóg są wyrazami podobnie brzmiącymi; nikt nie powie: „zgiąłem zupełnie", zamiast: „zginąłem zupełnie", chociaż *zginąć* i *zgiąć* co do formy są do siebie zbliżone; nikt nie pomyśli, że w zdaniu „Bug płynie", jest mowa o Bogu, ale o rzece Bugu. (Dok. nast.)

Szymon Matusiak.

Bułgarya, jej przeszłość dziejowa i jej obecne narodowe i religijne odrodzenie, przez *Ks. Józefa Hołubowicza*. Kraków, 1885, w 8-ce str. 564, z 34 drzeworytami i mapą. Cena 2 złr.

Na źródłowych dziełach i dokumentach oparta, w sposób powieściowy wdzięcznie i zajmująco napisana książeczka, czyta się tchem jednym. Rozpada się na dwa działy: Bułgarya do roku 1878 i Bułgarya po kongresie berlińskim. Dawniejsze dzieje Bułgaryi (str. 11—23) wydają się nam za nadto streszczone, za to bardziej zajmujące są rozdziały religijno-obyczajowej treści, a najciekawsze o „języku bułgarskim i stanie naukowym Bułgaryi" (str. 38—60). Turcy uiszczyli nieszczęśliwą tę ludność materyalnie, a Grecy pracowali nad jej wynarodowieniem, za pomocą cerkwi greckiej, usiłując ich „zgreczyć" do szczętu. Już z końcem X. wieku Bułgarya swobodna jeszcze i silna, ma swój język piśmienny i swoją wcale poważną literaturę. Nietylko podbój turecki, ale wandalizm grecki i to w tym wieku dokonał jej zniszczenia: „Wzdryga się serce na szczegóły podane w historyi o onem niesłychanem barbarzyństwie niszczycieli ksiąg i pamiątek bułgarskich... W klasztorze św. Jerzego na górze Athos spalono (przed laty 40) cały stos manuskryptów... w Ksepolu wielkie mnóstwo foliantów wrzócono do morza. We Valopedi palono w piecu pargaminami starosławiańskimi. Podobnie działo się w wielu innych klasztorach. Między innymi igumen klasztoru św. Nauma spalić kazał całą klasztorną bibliotekę słowiańską. W klasztorze Menikeon, gdy pokazywano pewnemu podróżnemu bibliotekę grecką, a ten pytał się o książki słowiańskie, odpowiedziano mu, że te już dawno stały się pastwą płomieni" (str. 51). Drobne tylko szczątki ocalonych starobułgarskich pamiątek piśmiennych przechowują się w niektórych klasztorach Macedonii i Tracyi i w bibliotekach Belgradu, Agramu, Pragi, Berlina, Wiednia, Rzymu; więcej nieco znajduje się w Petersburgu, Moskwie i Kijowie.

Szkół w Bułgaryi do r. 1833 nie było prawie żadnych. Turcy obdzierali podatkami ludność bułgarską, ale na szkoły nie dali feniga. Istniały tu i owdzie szkółki, ale w nich uczono po grecku: „pomiędzy ludem ledwie kto umiał czytać lub pisać, a gospodarze nawet zamożni, rachowali zapłacone Turkom podatki karbami na drewienkach, dając jeden taki rachunek karbo-

wany poborcy podatkowemu, a drugi zachowując u siebie" (str. 45). Dopiero 1833 r. staraniem Bułgarów kupców odeskich założono pierwszą bułgarską szkołę w Gabrowie; r. 1871 było już w temże mieście sześć szkół męzkich, dwie żeńskie, razem 1.500 uczniów. Roku 1885 liczono 53 szkół bułgarskich, a w obecnej dobie założono koło 400 szkół ludowych, brak tylko wielki nauczycieli uzdolnionych. Arcyciekawy jest opis szkoły katolickiej w Adryanopolu (str. 47—51).

Nieznośny ucisk Greków obudził w Bułgarach chęć oderwania się od patryarchatu carogrodzkiego, skłaniali się do jedności z kościołem rzymskim. Przeszkodziły temu zabiegi greckie i inne postronne; Bułgarya ma dzisiaj swój osobny eksarchat, o unii nie myśli, garstka Bułgarów katolickich walczyć musi z wielu przeciwnościami i dlatego wzrasta bardzo powoli.

Kongres berliński podzielił Bułgaryę na dwie części: udzielne księstwo bułgarskie, urządzone na stopę monarchiczno-konstytucyjnego państwa; Rumelię hołdowniczą Turcyi, ale obdarzoną autonomicznym rządem i prowincyę bułgarską, stanowiącą po dawnemu część integralną tureckiego państwa.

S. Z.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Cursus Scripturae Sacrae auctoribus R. Cornely, *J. Knabenbauer* F. de Hummelauer aliisque Soc. Jesu presbyteris. Vol. I. Introductio generalis in utriusque Testamenti libros. Parisiis Lethielleux 1885. pag. 742.

Na naukowej niwie protestantyzmu w Niemczech nieledwie z dniem każdym nowe się ukazują dzieła biblijne o większych rozmiarach. I nie dziw. Oni, co nie mają tradycyi koncyliów, nauczycielstwa, ani najwyższej głowy o powadze nieomylnej, muszą mieć coś, coby im te luki zastępowało. Mają biblię, a to jest dla nich i koncylium i papieżem i kościołem, słowem — wszystkiem.

Dla katolików studyum biblijne nie jest takiej doniosłości. Tu tradycya prym dzierży i jak uczyli Ojcowie św., choćby pisma nie było, wiaraby istniała, krzewiła się, trwała. Mimo to wielkiej powagi zażywało po wszytkie czasy pismo św. w Kościele katolickim jako „list Boży do stworzenia". Nigdy też nie brakło mu tłumaczy, jak świadczy o tem kolekcya komentatorów u Migne'a z 1839 r.

Atoli w nowszych czasach na niewłaściwe, nawet trochę fałszywe tory weszła ta nauka. Autorowie katoliccy, olśnieni erudycyą protestantów, zbytnie im ufać poczęli, czego dowodem np. takie dzieło Bipinga: „*Objaśnienia do nowego Testamentu*".

Aby temu zaradzić, kilku Ojców Towarzystwa Jezusowego, długoletnich pracowników na tem polu, postanowiło wydać wspólnemi siłami cały kurs biblijny. Na ich czele stoją tacy egzegeci, jak OO. Cornely, Knabenbauer i Hummelauer, znani zaszczytnie z gruntownych wykładów i artykułów w „*Stimmen aus Maria Laach*". A że dziś nauki cieszą się niezwykłym postępem, gdy wiele zdobyczy liczymy na polu archeologii, filologii starożytnej, historyi i geografii dawnych ludów i t. p. umiejętności, postanowili oni z tego wszystkiego skorzystać, opierając to na niewzruszonym gruncie objawienia i tradycyi. Ma to więc być podręcznik, zamykający wszystko, co egzegecie a to XIX. wieku może być konieczne, pomocne lub pożyteczne do zrozumienia wykładu i objaśnienia pisma św. Całe to wydanie ma obejmować przeszło 30 sporych tomów *in magno* 8. Prócz przedwstępnych nocyj, prócz komentarzy pojedyńczych ksiąg, ma zawierać i gramatyki i słowniki języków biblijnych i wszelkie pomocnicze studya. Dwa tomy mają co rok się ukazać w porządku nieoznaczonym z góry, ale wedle tego, który komentarz wprzód będzie ukończony.

Dotychczas dwa już tomy mamy przed sobą: *Introductio generalis in utriusque Testamenti libros, auctore R. Cornely*, i *Commentarius in librum Job, auct. J. Knabenbauer*. Obecnie zajmiemy się pierwszym z tych tomów.

Introdukcya jestto zbiór wszystkich wiadomości odnoszących się do zewnętrznej niejako strony ksiąg świętych, gdyż tekst sam i jego znaczenie należą do egzegety. Z tego ogólnego już określenia wynika, że zakres tej nauki odpowiednio do czasu, o rozmaitych będzie granicach. Tak n. p. bez wątpienia jaśniejsze być musiały listy apostolskie dla pierwotnych ich odbiorców, aniżeli się stały później w skutek zmian języka i stosunków społecznych. Stąd też nauka ta od początku swego istnienia różne przechodziła koleje. W wiekach średnich zaniedbano ją prawie zupełnie, aż dopiero w XVI. stuleciu Sykstus ze Sienny, Dominikanin, a po nim Ryszard Simon Oratoryanin, wskrzesili ją, owszem od nich rzec można ta nauka się poczęła, bo oni odnaleźli jej właściwe pole, oni ją ograniczyli, nadali jej kierunek odpowiedni celowi.

Właściwie bowiem do introdukcyi biblijnej należałoby wszystko co się przyczynić może do dokładnego zrozumienia ksiąg śś., i do

utworzenia pojęcia o ich autentyczności, wiarogodności, celu, użytku, wartości literackiej, kolejach, jakie przechodziły. W skład więc introdukcyi wchodziłyby: biblijna filologia, archeologia, geografia, krytyka, nauka o natchnieniu i kanonie ksiąg śś. itd. Gdy jednak każda z tych nauk osobną tworzy gałąź, zadanie introdukcyi ograniczyło się do kwestyj historyczno-krytycznych a zarazem apologetycznych, odnoszących się do biblii. Wprawdzie wielu autorów nie zgadza się na to; O. Kornely jednak idzie za większością, i wedle niego pochodzenie, utrzymanie i wyjaśnienie, czyli innemi słowy, treść tekstu, autentyczność i modła wykładu, stanowią przedmiot tej nauki. I trudno mu w tem słuszności nie przyznać. Bo nie do komentatora, ale do dogmatyka należy zgłębiać istotę i badać rozciągłość inspiracyi; dla egzegety zaś, do którego właśnie ten ogólny wstęp się odnosi, prawidła wykładu niezbędnie są potrzebne. Z tych to powodów dzieli autor niniejszy tom na trzy części: pierwsza zawiera historyę kanonu, druga, dzieje i dowody autentyczności pierwotnych tekstów, oraz przekładów starożytnych, trzecia, sposób wykładu pisma św. Każdej z tych części poświęćmy chwilę uwagi. Dwojaką drogą można przebiegać dzieje kanonu: albo zbadawszy początek i wszystkie koleje każdej księgi z osobna, z poszczególnych tych rezultatów wysnuć historyę całego zbioru, albo też zbiór ten odrazu jako całość uważać, uwzględniając dzieje pojedyńczych ksiąg tylko o tyle, o ile przyłączenie ich do ogólnej całości tego wymaga. Tę ostatnią drogę obiera autor w niniejszym tomie; w dwu następnych tomach dopiero zamierza historyę pojedyńczych ksiąg śś. przeprowadzać.

Pracę swą rozpoczyna O. Cornely kwestyą, jak się zwać mają księgi ŚŚ., jak je dzielić i w jakim porządku po sobie następować mają. Chrystus Pan nazywał Stary Testament po prostu „pismem“ lub „pismami“ (γραφή-γραφαί); nazwy tej za przykładem ŚŚ. Piotra i Pawła, używali Ojcowie śś. i na oznaczenie Nowego Testamentu, dodając tylko odróżniający przymiotnik: „święte“ lub „boże“. Również wyraz „księga, księgi“ przyjęty u Żydów, zaczęto powszechnie używać po wieku Orygenesa i św. Chryzostoma na oznaczenie pism Nowego Testamentu, tak jak wyraz *biblia* zyskał prawo obywatelstwa u Rzymian. *Podział* na Stary i Nowy Testament (ἡ παλαιὰ καὶ καινὴ διαθήκη) sięga również najdawniejszej starożytności. Że zaś „Testament“ w języku łacińskim inne ma znaczenie, jak odpo-

wiedni wyraz hebrajski ברית (Berith), już więc św. Augustyn i św. Hieronim zwracali na to uwagę, że *testamentum* w tem zastósowaniu nie różni się od *foedus*. To też wyjaśnia autor inne mniej rozpowszechnione nazwy, oraz wyraz *canon* (prawidło wiary i postępków), oznaczający za czasów dopiero co wymienionych Doktorów Kościoła, zbiór ksiąg, które publicznie, jako święte i natchnione, w kościołach odczytywano. W tem też miejscu znajdujemy wyjaśnienie podziału ksiąg na proto- i deutero-kanoniczne, która to nazwa pochodzi od Sykstusa ze Sienny. Porządek ksiąg (historyczne, pouczające i prorockie) podany jest podług Soboru Trydenckiego, poczem następuje krótko streszczony podział Starego Testamentu.

Ułatwiwszy się z tem, przechodzi autor do dziejów kanonu u Żydów. Mojżesz, dając rozkaz Izraelitom, aby co 7 lat jego pięcioksiąg czytali i przechowywali obok Arki przymierza, założył jakby skarb biblijny, opromieniony powagą prawidła wiary i obyczajów. Vosen w owym wstępie zaznacza poszczególnie każdy przyrost ksiąg nowych do pierwotnego kanonu; autor zaś uzasadnia tylko ten fakt ogólny, że już przed wygnaniem (niewolą babilońską)? liczba ksiąg kanonu wzrosła stopniowo, tworząc obszerniejszy zbiór. Ale za to następnie obszerniej i dokładniej roztrząsa kwestyę sporną o twórcy Palestyńskiego kanonu. Zdania uczonych niezgodne są na tym punkcie. Wprawdzie nie różnią się w przyznaniu owemu kanonowi nazwy Palestyńskiego (ponieważ przyjęty był przez Żydów palestyńskich), w przeciwstawieniu do kanonu Aleksandryjskiego, będącego normą wiary Żydów po grecku mówiących. Dawniej odnoszono powszechnie zbiór tych ksiąg świętych do czasów a nawet do osoby Ezdrasza. Autor występuje w obronie tego mniemania, jakkolwiek bardzo nielicznych ma za sobą stronników wśród nowszych pisarzy. Zgodnem jest wprawdzie świadectwo talmudu *(Baba bathra, fol. 14 b* i *15 a)*, zgodnem zdanie Józefa, ale, by opinii tej przyznać jakąkolwiek wyższość, na to potrzeba jeszcze świadectw Ojców śś. Dopiero przed trzema wiekami poruszono kwestyę, czy kanon Ezdrasza różnym jest w swem pochodzeniu od Aleksandryjskiego kanonu. Potakującą odpowiedź dają, oprócz wielu katolickich pisarzy, także i racyonaliści, chcąc przez to zaprzeczyć istnienie wszelkich obowiązujących prawideł u Żydów. Oczywiście, nie można też wykazać zupełnej pewności, ale sąd przeciwny tak błahe przytacza dowody, że prawie

uważaćby je można za poparcie pierwszego twierdzenia, i sądem nie lekkomyślnym, lecz na na słusznej podstawie opartym, przyznać greckiemu kanonowi, obok protokanonicznych, także deuterokanoniczne księgi. Na drugiem miejscu stawia autor pytanie, jakiem prawem postąpili Żydzi w ten sposób? To łatwo sobie wytłumaczyć, zważywszy, jakie stanowisko zajęli Apostołowie względem tego kanonu. Następnie wykazuje autor: 1. że Chrystus Pan i Apostołowie kanon Aleksandryjski, łączący w sobie protokanoniczne i deuterokanoniczne księgi, potwierdzili i Kościołowi przekazali (str. 60—68). 2. Że tradycyę wiernie przez trzy wieki strzeżoną, następne pokolenia w całości odziedziczyły. 3. A lubo już w czwartym wieku kilku Ojców śś., a nawet niektóre kościoły wschodnie, tradycye ubiegłych wieków mniej jasno podają, choć dziś słyszeć się dają nawet teoretyczne wątpliwości, dotąd niepraktykowane, jednak następujące twierdzenia jako pewnik nieomylny postawić możemy: a) Między znakomitszymi Ojcami Kościoła owych wieków niema ani jednego, któryby nawet w swych dogmatycznych, polemicznych i naukowych pismach kilkakrotnie nie przytaczał deuterokanonicznych ksiąg, jako prawdziwie kanonicznych, boskich — jakiekolwiek zresztą mogło być jego zdanie co do objętości i podziału pisma. b) Niektórzy z najznakomitszych Ojców Kościoła określili objętość kanonu zupełnie tak samo, jak później Sobór Trydencki. (Sobór Nicejski — cf. Hieron. Praef. lib. i Cassiod. De inst. div. litt. 14. — Conc. Hipp. 393. Carthag. 397 i 419. — Św. Augustyn, Innocenty I., prawdopodobnie i Damazus. Przekonanie greckiego kościoła w tym względzie jasno wykazują *codices*).

Z pośród Ojców Kościoła nie wyłączając nawet Hieronima św., którego sąd trudno uwidocznić — niepodobna przytoczyć ani jednego, któryby wyraźnie stawiał lub potwierdzał milczeniem protestancką zasadę, przyjmującą sam tylko Palestyński kanon. Chociaż więc niektórzy z ojców liczbę ksiąg kanonicznych do mniejszej ilości ograniczają, przyczyną tego nie jest powyższa zasada, ale zupełnie inne powody. Żałujemy, że O. Cornely już na początku nie zapuścił się głębiej w dochodzeniu tej kwestyi, czy kanon Aleksandryjski przyjęty był przez Żydów palestyńskich (w czem Kaulen n. p. zbyt może daleko się posunął); jednak powyższej części tę zaletę przyznać należy, że widać w niej zwrot do oryginalnych źródeł. Lubo na

mocy dowodów, dotąd przytoczonych, z wszelką pewnością orzec już można, że w IV. i V. stuleciu apostolska tradycya o Aleksandryjskim kanonie nie była przerwana; mylnym jednak był wniosek, że Kościół ostatecznie już rozstrzygnął i zawyrokował dogmatycznie, które księgi wchodzą w skład kanonu. Jak cała ta kwestya, tak i wyrok Kościoła był bezpośrednio, tylko dyscyplinarny, pouczający, które z pism jako boskie publicznie w Kościele głoszone być winny; pośrednio zaś, przez nazwę tych pism, jako też przez ciągłe używanie ich w dogmatycznych i polemicznych kwestyach, wyjawił Kościół swój sąd o ich pochodzeniu, wartości i powadze. Dlatego też mówi Augustyn św.: „Wszyscy, którzy się powoływali na te księgi, przekonani byli o boskości ich świadectw". *(De praed. Sanct.* 14, 28). Takich świadków mnóstwo spotykamy aż do X. w., tak w zachodnich, jak i we wschodnich kościołach. W czasie gdy w Greckim kościele przyjęciem Kartagińskiego kanonu na soborze Trullańskim, spór ten się zakończył, przedmowy św. Hieronima dołączane zwykle do wydań Vulgaty, obudziły u wielu wątpliwość, czy, i w jaki sposób przedmowy te pogodzić się dadzą z dekretami Rzymskich biskupów i Afrykańskiego kościoła, oraz z niezmienną praktyką liturgiczną nie robiącą żadnej różnicy między proto- i deutero-kanonicznemi księgami. Zarówno lękano się sprzeciwiać św. Hieronimowi „*Doctor doctorum*", zwanemu jak i Kościołowi. Niepewność ta ustała dopiero wtedy, gdy Trydenccy Ojcowie dogmatycznym dekretem sankcyonowali kanon, pozostawiony Kościołowi przez Apostołów i tradycyę, której wiernymi stróżami byli Ojcowie śś. i najznakomitsi scholastycy, jak Albert W. i Tomasz z Akwinu. 6. W XVI. w. na kilka lat przed Kajetanem, Karlstadt wystąpił przeciw powadza ksiąg deuterokanonicznych a Luter poważył się nawet obrzucać je szyderstwem i pogardą. Tak więc zmuszony był Kościół częścią w skutek nieświadomości, lub zbyt subtelnych odróżniań swych podwładnych, częścią w skutek otwartej zaczepki nieprzyjaciół, naukę katolicką jasno i dobitnie określić. Koncylium więc Sieneńskie 1528 r. orzekło: „Kto w wyliczaniu ksiąg kanonicznych nie stosuje się do przepisu, zwyczaju i powagi Kościoła świętego i katalog na 3-cim Soborze Kartagińskim przez Innocentego i Gelazyusza ułożony a przez Ojców św. przyjęty, odrzuca, temu, jako odszczepieńcowi, niech własny bezwstyd starczy za karę". 7. Ale sobór Sie-

neński, jako prowincyonalny, nie mógł ostatecznie i bezwarunkowo zakończyć tego sporu. Z tej przyczyny Sobór Trydencki na 4-tej sesyi uchwalił, aby na sesyi następnej wydać dekreta odnośnie do ksiąg kanonicznych. Po długich naradach, d. 8 kwietnia 1546 rzucono *Anathema* na każdego, ktoby „*integros cum omnibus suis partibus prout in catholica Ecclesia legi consueverunt et in veteri vulgata latina editione habentur, pro sacris et canonicis non receperit*". Dawny spór był więc rozstrzygnięty, ale tylko na krótką chwilę. Już bowiem w r. 1556 Sykstus ze Sieny znalazł wyjście, twierdząc, że Sobór Trydencki w powyższym dekrecie miał na myśli tylko niektóre „łataniny" *(pannosa additamenta)* ksiąg świętych. Dalej jeszcze posunięto się w XVIII. w. we Francyi a w XIX. w Niemczech, gdzie uznawano wprawdzie połączenie ksiąg na mocy dekretu, lecz odmawiano temuż dekretowi zamiaru równouprawnienia protokanonicznych z deuterokanonicznemi. Że tłumaczenie takie nie jest po myśli Soboru, wykazuje O. Cornely cytatami Aktów trydenckich. Do usunięcia zaś wszelkich wątpliwości w tym względzie posłużyć może wyrok Soboru Watykańskiego *(Const. dogm. De fide, Can. 4)*: „*Si quis libros integros cum omnibus suis partibus, prout illa S. Synodus Tridentina recensuit, pro sacris et canonicis non receperit, aut eos divinitus inspiratos esse neget, anathema sit*".

W dziejach kanonu Nowego Przymierza autor odróżnia dwa główne okresy: Od czasów apostolskich do IV. w. i od w. IV. aż do naszych czasów. Pierwszy okres dzieli się znów na dwie epoki, z których pierwsza sięga połowy pierwszego, druga połowy trzeciego wieku.

Apostołowie wielu gminom przesyłali naraz swe listy (II. Cor. I. 1, Jac I. 1, I. Petr. I. 1, Apoc. I. 1, Cf. Act. XV. 23); prócz tego zwyczajem było u pierwszych gmin chrześcijańskich zbierać listy znakomitszych mężów. Stąd listy św. Pawła już Piotr św. w drugim swym liście (III. 15) zbiorem nazywa, a list pierwszy do Tymoteusza (V. 18) zdaniem św. Chryzostoma dowodzi, że jak inne pisma apostolskie, tak też i Ewangelia św. Łukasza powszechnie uważaną była za słowo od Boskiego pochodzące źródła. Jeśli, jak uczą Ojcowie Kościoła, zamiarem Jana św. było uzupełnić pisma innych Ewangelistów, to w takim razie już przed jego śmiercią istniałby zbiór Ewangelij. To pewna, że uczniowie Apostołów pi-

smom ich boską przyznawali powagę. Liczne cytaty dosłowne i widoczne alluzye u św. Barnaby, Polikarpa, Klemensa Rzymskiego i heretyka Bazylidesa, oraz sam sposób cytowania, np. u św. Ignacego, nie dadzą się w żaden sposób wytłumaczyć jakiemś przypomnieniem ustnej nauki, lecz owszem, nieraz wyraźnie udowadniają uznanie wyższej powagi pism apostolskich, jak np. Klemens Rzymski, zowiący list Piotra od Boga natchnionym. W II. w. Justyn Męczennik, Teofil Antyocheński i przedstawiciele prawie wszystkich kościołów, przytaczają wyjątki nietylko z Ewangelij, ale i z listów apostolskich. Na szczególniejszą uwagę zasługuje fragment Muratoryański, do którego O. Cornely uważa za konieczne dołączyć nowe poprawki i sprostowania. Fakt to niewątpliwy, że autor fragmentu żył przed końcem II. wieku i że zamierzał spisać kanon Rzymskiego kościoła. Ponieważ z całej epoki starożytnej nie mamy ani jednego dokumentu, któryby w podobny sposób podejmował obronę wszystkich ksiąg N. T. i zarazem taką miał powagę, więc też nie dziw, że wielu już komentatorów pracowało nad wyjaśnieniem tego fragmentu. Amelioracyjne wnioski autora opierają się ogólnie na gruntownych podstawach, w szczegóły jednak wchodzić tu nie możemy. Wystarczy tu wspomnieć o różnicy, jaką wówczas już robiono między księgami świętemi — a pożytecznemi pismami takich mężów, jak np. Hermas. Według podziału autora fragmentu, odróżniano cztery kategorye ksiąg: *a)* Te, którym powszechnie przyznawano boską inspiracyę i publicznie czytano; *b)* Pisma, które wprawdzie odczytywano publicznie, lecz których boskie pochodzenie nie miało jeszcze zupełnie pewnych dowodów; *c)* Księgi choć pożyteczne, lecz niepochodzące od Apostołów i w skutek tego nie czytywane publicznie; *d)* Wreszcie takie, których ani publicznie, ani prywatnie czytać nie było dozwolonem, jak np. pisma heretyckie (str. 82).

W pierwszej kategoryi znajdujemy wszystkie księgi dziś do kanonicznych zaliczone, z wyjątkiem listu do Żydów i drugiego listu św. Piotra. O tych listach, oraz o liście św. Jakóba, ani Tertulian, ani Cypryan nie wspominają wcale, tak, iż stąd wnosićby można, że listy te na schyłku II. wieku w swym pierwotnym łacińskim przekładzie jeszcze nie istniały. Taki sam był skład kanonu kościoła Gallów. W Kościele wschodnim pierwszy Orygenes zestawił

pierwowzór kanonu Trydenckiego (str. 179). Z III. wieku szczególniejszą ma wartość świadectwo Euzebiusza z Cezarei, który wszystko co tylko znalazł u starożytnych pisarzy zbadał i uporządkował (Hist. Eccl. III. 25). W ogóle odróżnia on dwie kategorye ksiąg, mających związek z Kościołem. Jedne, które Kościół otaczał czcią i szacunkiem, drugie, które bezwzględnie odrzucał. Ale pierwszą kategoryę klasyfikuje Euzebiusz na dwa działy: do pierwszego zalicza księgi jednozgodnie w całym Kościele publicznie używane (τὰ ὁμολογούμενα); do drugiego zaś takie, których boska powaga była kwestyą sporną (τὰ ἀντιλεγόμενα). Między temi znów są stopnie ksiąg, mających za sobą uznanie większości (τὰ γνώριμα τοῖς πολλοῖς) i ksiąg, których autentyczność niewielu mając obrońców bardzo jest podejrzaną.

Czternaście listów św. Pawła przyjmuje Euzebiusz bez wahania, jakkolwiek poprzednio wyłączali niektórzy list do Żydów, wrzekomo niemający uznania od kościoła Rzymskiego. Inaczej już ocenia on Apokalypsę, o której autentyczności do połowy III. w. nikt nie powątpiewał, później jednak powaga Dyonizyusza W. pewność tę choć w części zachwiała. Euzebiusz nic nie orzeka, pozostawiając wolny sąd każdemu, czy objawienie św. Jana zgodnie ze starodawną tradycyą do pierwszej (ὁμολογούμενα), czy też do drugiej kategoryi (ἀντιλεγόμενα) zaliczyć należy. Teraz kolej na apokryfy, jaka ich wartość? Apokryf u Ojców śś. znaczy tyle co falsyfikat. Vulgata zawiera oprócz III. i IV. księgi Ezdrasza, także modlitwę Manassesa. Cała trzecia księga Ezdrasza, oprócz dwóch rozdziałów jest tylko wolnym przekładem księgi II. Paral. Czwarta zaś jest zarażona dogmatycznemi błędami, szczególnie o duszach zmarłych, a nawet napotkać tam można i rabińskie niedorzeczności. (Dok. nast.)

X. A. Arndt.

Monographie du Temple de Salomon par le *Père Pailloux S. J.* Paris. Roger et Chernovis.

Badania naukowe spółczesne kochają się w odbudowywaniu domysłowem pomników przeszłości. Niemało się już tego rodzaju prób i publikacyj namnożyło, ale prawie żadna nie wytrzyma porównania z monografią Salomonowej świątyni, tak jak ów gmach potężny wspaniałością i wielkością wszelkie inne dzieła rąk ludzkich przechodził. Samemi rozmiarami już budowa Salomona górowała nad wszystkiemi innemi, skoro wedle świadectwa Józefa Żydowina, z wyjątkiem obelisków i kilku posągów kolosalnych, żaden z kamieni użytych do wznie-

sienia piramid lub świątyń pogańskich nie przybliżał się nawet do dziesięćkroć większych głazów, które stanowiły podmurowanie Jerozolimskiej świątyni. Salomon użył 200,000 robotników do budowy kościoła, wzniesionego po siedmioletniej pracy, na dziesięć wieków przed erą chrześcijańską. Sława tego gmachu, która zaćmiła wszystkie inne starożytności budowy, tem bardziej rozciekawiała potomnych, iż wedle proroctwa nie został kamień na kamieniu z olbrzymiego dzieła. Wiedziano tylko, że fundamenta przenosiły o wiele poczwórny kwadrat wielkiej piramidy, że boki liczyły do 600 metrów na długość a w przecięciu 200 m. wysokości.

Składając autentyczne, choć nieco mętne szczegóły, zamieszczone w historyi Żydowina, z zachowanemi w Piśmie św. opisami, uzupełniając je badaniami uczonego Jezuity hiszpańskiego Villolpand'a i odkryciami nowoczesnej nauki, Ojciec Pailloux wywołał z pomroku plan Salomonowej budowy, i przedstawia nam w szeregu wspaniałych rysunków, domniemane a matematycznie udowodnione, kształty świątyni okolonej trzypiętrowymi portykami. Już w XVII. wieku namnożyło się ciekawych dociekań tej kwestyi, która osobnym urokiem nęciła zawsze teologów, archeologów i artystów. Ojciec Pailloux streścił owoc ich domysłów, sam zaś ściśle zbadał wszystkie pomniki starożytności w czterech częściach świata rozsiane, asyryjskie i egipskie zabytki, fenickie gruzy, Faraonowe odłamy, mnożąc w tym celu wycieczki i wędrówki uciążliwe. Po długich latach pracy, w których nagromadził olbrzymi zapas wiadomości i materyału, Ojciec Pailloux wydał nareszcie w wspaniałym formacie wynik swych trudów. Tekst wypełnia przeszło 400 stronnic in folio, czterdzieści wspaniałych drzeworytów ujawniają przed zdumionym wzrokiem niezrównany zarys Salomonowej budowy.

Słusznie powtórzyć można za francuskimi krytykami, iż to piękne dzieło, natchnione zarówno wiarą, jak miłością nauki, wznowić może uczone spory, wywołać dyskusye; ale niemniej przyznać trzeba autorowi, iż pracę swą oparł na podstawach najpewniejszej archeologicznej i teologicznej erudycyi. Pailloux zna dokładnie sztukę budowniczą, w archeologii mało ma równych sobie spółzawodników, a Pismem św. przesiąkł na wskróś, przez ustawiczne wertowanie onego. Przy tym trojakim zasobie, nie dziw, że całość wypadła pod każdym względem znakomicie, i ogólne w świecie uczonym budzi zajęcie. *M.*

Katholischer Missions-Atlas. Neuzehn Karten in Farbendruck mit begleitendem Text, von *O. Werner S. J.* Zweite verbesserte Auflage. Freiburg in Breisgau 1885. Preis broschirt M. 4. gebunden in Halbleinwand M. 5.

We wszystkich niemal językach europejskich wychodzi czasopismo pod tytułem „Misye katolickie", donoszące o wzroście Kościoła św. i o pracach, trudach a nawet męczeństwach tak tych, co wszystko opuścili dla Chrystusa, by nieść Jego imię pomiędzy narody, jak i tych, co tę wiarę przyjęli i z ewangeliczną prostotą zachowują. W każdym niemal domu katolickim można się z niemi spotkać, a i w kraju naszym cieszą się wzięciem niemałem. Ale samo czytanie nie dawało jasnego pojęcia o tym rozroście królestwa Chrystusowego na ziemi, pożądanym był atlas, któryby tę lekturę poparł, uwidocznił, scientyficzną uczynił. Temu brakowi zaradzić postanowił O. Werner T. J. i z rzadką

sumiennością wywiązał się ze swego zadania. Dwa lata prześlęczał w archiwach Propagandy i spożytkował jej bogate materyały do swego celu. Zasługą wielką O. Wernera, że oznaczył ściśle geograficznie zakres każdej dyecezyi i wikaryatów apostolskich, o co się jeszcze nikt przed nim nie pokusił. Karty te, a jest 19, wykonane są nader starannie i wykwintnie. Do kart dodał objaśnienia o stanie Kościoła w poszczególnych dyecezyach, podając dokładne daty o liczbie kościołów, kaplic, kapłanów, katechistów i wiernych zakładów i szkółek katolickich. Ciekawa to praca i pouczająca a do tego pierwsza w tym rodzaju. Pierwotnie wydany był ten atlas dla czytelników Misyj katolickich, a jak dogodził im, najlepszy dowód, że pierwsze wydanie w parę tygodni zupełnie wyczerpano. Niniejsze, znacznie pomnożone i ulepszone znajdzie bez wątpienia uznanie, na które w pełności zasługuje. Dostać go można po księgarniach za cenę wyżej oznaczoną. *Z. B.*

Z pism peryodycznych.

VI. „Muzeum“, czasopismo „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych“.

Podobnie jak u schyłku XVIII., tak też u schyłku naszego wieku, sprawa nauki i wychowania żywe i powszechne budzi zajęcie. Żwawszy ruch, potęgując się coraz bardziej, zapanował z najściem ery konstytucyjnej i, jak się spodziewać należało, wychowanie w szkole ludowej na pierwszy plan wysunięte zostało. Sejm i najwyższa magistratura szkolna, pracując z godnym wszelkiego uznania wysiłkiem około podniesienia wychowania ludowego, znajduje niepoślednią pomoc w pracy Towarzystwa pedagogicznego, które w swym organie „Szkoła“ stara się w obec całego społeczeństwa zastępować interes szkolnictwa, a dla wszystkich pojmujących ważność sprawy i pracujących dla jej dobra i pomyślnego rozwoju, stać się głównem ogniskiem wymiany myśli. Zamiar jak najpomyślniejszym skutkiem został uwieńczony. Towarzystwo i jego organ w stosunkowo bardzo krótkim czasie zyskały mir i poszanowanie nie tylko u społeczeństwa, lecz także u najwyższej Władzy. Byt jego należy uważać za zupełnie ubezpieczony, podstawa bowiem, na jakiej się opiera, bardzo szeroka, zatem pewna i trwała.

Do Towarzystwa pedagogicznego należało niemal w całości także nauczycielstwo szkół średnich i wielu z pośród mężów stojących na świecznikach nauki w uniwersytetach, żywym swym udziałem

popierając cele Towarzystwa, skierowane w przeważnej części ku pomyślnemu rozwojowi szkoły ludowej.

Wybiła jednak godzina stanowcza także dla szkolnictwa wyższego. Żądanie reform pod względem pedagogicznym i dydaktycznym coraz głośniej i natarczywiej odzywać się zaczęło, znajdując odbicie nawet w najwyższych sferach. Szkoła średnia zanadto po za swoim czasem została.

Pomyślano przeto i u nas o podniesieniu sprawy szkół wyższych do znaczenia ogólnego i zamierzono w tym celu w łonie Towarzystwa pedagogicznego utworzyć sekcyę osobną dla spraw szkół wyższych. Jednak najwyższa Władza dla względów czysto formalnych na to nie zezwoliła; przeto zawiązało się osobne Towarzystwo szkół wyższych, które uzyskawszy zatwierdzenie statutów, na pierwszem walnem zgromadzeniu we Lwowie dnia 4 kwietnia 1884 r. się ukonstytuowało i wydział wybrało, na którego czele jako Prezes stanął i dotąd stoi czcigodny prof. Radziszewski.

Najważniejszą czynnością zawiązanego Towarzystwa była organizacya kółek we wszystkich ważniejszych miejscowościach kraju, co się też, rzec można, nadspodziewanie udało. W Krakowie, w Przemyślu, w Drohobyczu i t. d. nauczycielstwo szkół wyższych połączyło się w koła stanowiące razem jedno towarzystwo, reprezentowane na zewnątrz przez wydział wyszły z wyboru walnego zgromadzenia we Lwowie. Dzisiaj, z wyjątkiem nielicznych — których pewnie bardzo ważne wstrzymują przyczyny, jakich poznanie Towarzystwu na nic przydać się nie może — całe nauczycielstwo szkół wyższych do towarzystwa należy i wyraz swych dążności w czasopiśmie miesięcznem „Muzeum“ znajduje, którego obecnie dziesiąty już wyszedł zeszyt.

Redakcya zgodnie z ostatecznym celem, jaki stowarzyszeni osiągnąć zamierzyli, wysunęła „Sprawy Towarzystwa szkół wyższych“ na pierwszy plan. Rezultaty narad w poszczególnych kółkach, dochodząc za pomocą czasopisma do powszechnej wiadomości, stanowią najbardziej pożądaną podstawę dla zbiorowego działania w kierunku pedagogicznego i dydaktycznego rozwoju. Tą drogą jedynie można dojść do rozpoznania istotnych potrzeb, myśli i dążności całego nauczycielstwa, i stworzyć z czasem dla pomyślnego rozwoju

szkolnictwa tyle pożądaną jednolitość postępywania w rzeczach nauki i wychowania.

Żywo w poszczególnych kołach poruszane i omawiane kwestye, jakie „Muzeum“ w każdym zeszycie podaje, znalazły wyraz tak co do ogólnych dążności, jak też co do szczegółowych zagadnień, w świetnem przemówieniu czcigodnego Prezesa Towarzystwa prof. Radziszewskiego i w referatach, przedłożonych walnemu zgromadzeniu w d. 24 i 25 maja b. r., które w Nr. 7 i 8 miesięcznika wraz z dyskusyą zostały pomieszczone. To też wymienione zeszyty przed wszystkimi innymi na największą zasługują uwagę, gdyż zawartość ich w obecnej chwili najdokładniej wyraża dążność i życzenia stowarzyszonego nauczycielstwa. Lojalność w obec władzy, męska szczerość oparta na głębokiej rozwadze, miłości prawdy i dobra ogólnego, rzetelna i gruntowna nauka, gwarantująca szkolnictwu stateczny postęp, dążenie do pozyskania domu dla interesów szkoły — oto hasło, jakie przez usta zacnego Prezesa zszeregowane w jeden zastęp nauczycielstwo wygłosiło i za normę swego postępywania przyjęło.

Poszczególne życzenia odnoszą się w pierwszej linii do nauki języka polskiego, jako głównej podstawy wychowawczej i dydaktycznej w naszych szkołach. Dwaj referenci, prof. Próchnicki i Sędzimir w gruntownem, jasnem i, o ile sądzić mi wolno, przekonywującem przedstawieniu (str. 321—362) skreślili obecny stan nauki języka polskiego, i z godną tak ważnej sprawy otwartością wytknęli wszystkie ujemne strony, jakie pod względem rozkładu przedmiotu, metody nauczania i środków dydaktycznych dostrzeżone zostały. Wykazawszy dowodnie, że nauka języka polskiego dla braku szczegółowej instrukcyi, którąby powszechnie obowiązywała, w rozmaitych zakładach rozmaicie bywa traktowana, wypowiadają na pierwszem miejscu życzenie, ażeby temu co prędzej zaradzono i ogólnie obowiązywać mającą instrukcyę wydano [1]. Naturalnym porządkiem wynika z tego, że tak ważny przedmiot należy powierzać tylko siłom do tego uzdolnionym i udzielać go na podstawie podręczników

[1] Żądanie czyn wyprzedził. Staraniem Towarzystwa wydane zostało dzieło: „Wskazówki do nauki języka polskiego, na podstawie obrad komisyi, wybranej przez Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, opracował Franciszek Próchnicki. Lwów 1885, str. 91.

odpowiedniejszych od istniejących, i w większej ilości godzin. Każde z tych życzeń, jako wszechstronnie obmyślane i niezbitymi dowodami poparte, jest uprawnione. Zdaje się jednak, że życzenie ostatnie, domagające się pomnożenia liczby godzin dla nauki tego przedmiotu, najtrudniej przez decydujące koła zostanie uwzględnione w obec ogólnie bardzo wysokiej liczby godzin szkolnych.

Następne dwa referaty, przedłożone przez prof. Dziwińskiego i Rottera, odnoszą się do sprawy szkół realnych. Pierwszy domaga się reorganizacyi tej kategoryi szkół w naszym kraju, które dotychczas polegają na planie przejściowym z r. 1872, podczas gdy w innych prowincyach państwa Austryackiego obowiązuje nowy a ulepszony plan z r. 1879. Drugi wyłuszcza przyczyny tak nagłego upadku szkół realnych, a wskazując środki zaradcze, doradza ostatecznie na razie przyjęcie *en bloc* planu normalnego z r. 1879 z dołączeniem języka niemieckiego, jako przedmiotu obowiązkowego, który jednak racyonalniejszą od dotychczasowej powinien być udzielany metodą. Obok słusznych i treściwych, najlepszemi chęciami ożywionych wywodów wspomnianych referentów, zdaje mi się na baczną uwagę zasługiwać zdanie, wypowiedziane podczas szczegółowej dyskusyi, przez prof. Bobrzyńskiego: „U nas wzięto się do zakładania szkół realnych przedwcześnie i to sprowadziło najpierw zawód, a potem ich upadek, bośmy chcieli pierwej wytworzyć techników-kierowników, niż robotników. Staje więc na porządku sprawa szkół przemysłowych, które dotąd wzoru nie mają, a są dla Galicyi najważniejszym punktem na drodze do rozwoju przemysłu. Tych nam brak, a stąd mamy zdolnych inżynierów i kierowników fabryk, a nie mamy podmajstrzych samoistnych".

Dr. Samolewicz (str. 380—392) omawia naukę poszczególnych przedmiotów w gimnazyach, na podstawie „Instrukcyj", wydanych przez Ministerstwo Wyzn. i Ośw. w maju r. 1884, które stopniowo w miejsce dawniejszego „Zarysu organizacyjnego" wprowadzone być mają. Referent uważa, ogółem rzecz biorąc, skazówki podane w instrukcyach za cenne i nader pożądane, przeto zastósować się do nich należy, jednak nie bez pewnych zmian, wymaganych koniecznie stosunkami u nas panującymi. Gdyby bowiem instrukcye bez pewnych restrykcyj zostały przyjęte, znosząc zupełnie odrębność szkół naszych, chybiłyby celu w jakim głównie wydane zostały. Wywo-

łane skargą na przeciążenie, zwiększyłyby je tylko, gdyby u nas bez żadnych zmian zaprowadzone zostały. Pewne modyfikacye są przeto konieczne, ponieważ instrukcye ułożone zostały z wyłącznem uwzględnieniem prowincyj niemieckich państwa Austryackiego i nie są uważane ani przez p. Ministra, wzywającego nauczycielstwo do gruntownego ich rozbioru ani też przez samychże autorów, za doskonałe. Mogą przeto obok nich istnieć inne równie dobre, chociaż odmienne poglądy. Co w tym względzie dr. Samolewicz wypowiada, należy uważać za rzecz nie tylko trafną, lecz konieczną. Wyraźnie bowiem z całego wywodu jego wynika, że nie o przepisy Mu chodzi, lecz o dobro naszych zakładów, o pomyślny ich rozwój w przyszłości. Zdrowa krytyka, wynik głębokiego wniknięcia w ducha instrukcyi, rozróżnia dokładnie, co przyjąć a co koniecznie zmienić należy. Wszystko co o części piśmiennej instrukcyi a następnie o lekturze autorów klasycznych powiada, na zupełne zasługuje uwzględnienie. Nie mniej uzasadnione jest żądanie zmian co do nauki historyi i geografii. Instrukcya uwydatnia głównie i na pierwszy plan wysuwa daty dla Niemców mające znaczenie. Co dla nas ważniejsze Alpy, czy Karpaty? dzieje Rusi, czy walki książątek niemieckich? Otóż w innych znajdując się warunkach winniśmy na pierwszym planie postawić nas przedewszystkiem obchodzące sprawy [1], gdyż obce sprawy poznać jest rzeczą piękną, ale własne konieczną, co nadto kardynalną jest zasadą pedagogiki postępowej. Instrukcye przez Ministerstwo wydane powinny przeto, przez dodatkowe rozporządzenia, do naszych stosunków być dostrojone. „Jeżeli instrukcye“, kończy referent, rozpatrzywszy się we wszystkich ich momentach gruntownie, „ w całej rozciągłości nas obowiązywać będą — nie nasza będzie, jak sądzę, wina, że ich z pożytkiem dla kraju i młodzieży wypełnić nie zdołamy“. Łącznie z zaleceniem wprowadzenia zmodyfikowanej instrukcyi, żąda nadto referent zupełnie odrębnej instrukcyi dla nauki języka niemieckiego jako obowiązkowego, tudzież zmiany obecnych podręczników na takie, któreby rozkładem materyału i tegoż przedstawieniem w zupełnej harmonii z instrukcyą zostawały. Sprawę ostatnią w osobnym referacie (str. 412—424)

[1] W ogólności zastanowić się kiedyś rzetelnie należy, czy ciągłe oglądanie się na Niemców i zbyteczne uwzględnianie postępu ich kultury nie odbywa się ze szkodą naszych własnych zadań.

przedstawia prof. Ćwikliński, podając jako najskuteczniejszy środek do pozyskania dobrych książek naukowych, kilkakrotnie już wznawiany wniosek, o rozpisanie konkursu.

Bardzo ważną sprawę pod względem społecznym a w pierwszym rzędzie także pod względem wychowawczym rozwija (str. 392 – 402) prof. Radziszewski. Jest to sprawa suplentów, przez publicystykę kilkakrotnie wertowana, lecz bez tej dokładności i gruntowności, jaką się odznacza wywód wymienionego referenta. Nie o łaskę tu chodzi, lecz o wymiar prostej sprawiedliwości w obec rzetelnych pracowników, którzy po dopełnieniu wszelkich warunków, jakich państwo i społeczeństwo domagać się ma prawo, niemal za wyjętych z pod prawa uchodzić muszą. Referent, opierając się na wymownych datach statystycznych, żąda wymiaru sprawiedliwości przez: 1) założenie szkół średnich w liczbie odpowiadającej zaludnieniu i obszarowi Galicyi; 2) utworzenie potrzebnej liczby stałych posad nauczycielskich nadetatowych; 3) zniesienie interkalaryów i szybsze posuwanie zastępców na opróżnione posady; 4) zupełne zaniechanie mianowania ułamkowych suplentów (których płaca o wiele niższą od płacy stróża szkolnego); 5) przyznanie nadetatowym przynajmniej XI. klasy rangi stałych urzędników państwa. Referat jak najszerszemu kołu publiczności zalecić musimy, ponieważ zapoznanie się gruntowne z tą sprawą szkolnictwa naszego dla wszystkich, którzy ważność szkół uznają i pomyślnego ich rozwoju pragną, szczególnie w tak świetnem przedstawieniu, jak to prof. Radziszewski uczynił, tylko pożądanem być może. Albowiem z metodą, podręcznikami i taktem pedagogicznym same nauczycielstwo da sobie radę, lecz krzywdzie, jaką najniesłuszniej pewna jego część ponosi, tylko wpływowe koła po za obrębem szkoły zostające, jeżeli już nie dla samej słuszności sprawy, to z egoistycznych względów, mając dobro swych dzieci na oku, zadość uczynić mogą, pomni prawdy, że rdza noża ostrzejszym nie czyni [1].

[1] To zagadkowe zdanie szan. recenzenta o „egoistycznych względach rodziców“ i „dobru dzieci“, w kwestyi płacy suplentów, inaczej zrozumieć nie możemy, jak tylko w tem znaczeniu, że ci suplenci bądź co bądź żyć muszą, często i z żoną i z dziećmi; jeśli się im więc pensyi dostatecznej odmówi, doprowadzi ich się do radzenia sobie inaczej: czy szukając zarobku dodatkowego

Sprawy wielkiej doniosłości dotyka także referat prof. Palmsteina (str. 402—412), traktujący o hygienie i o fizycznem wychowaniu młodzieży. Gimnazyum bez gimnastyki, wygląda jak *lucus a non lucendo*, a wychowawca bez pewnej znajomości zasad hygieny i somatologii musi koniecznie być jednostronnym. Pod względem ćwiczeń gimnastycznych, jakie cały świat ucywilizowany za najskuteczniejszy reagens przeciw ubytkowi sił fizycznych przez pracę umysłową uznaje, nasze szkolnictwo najniżej stoi. Gimnastyka nie jest przedmiotem obowiązkowym, a nawet istnieje kilka zakładów, gdzie gimnastyka wcale nie bywa udzielaną, zaś w innych udziela się pod tak opłakanymi warunkami, że o błogich jej skutkach nietylko mówić nie można, lecz raczej Bogu dziękować należy, jeżeli nie okażą się wybitne znamiona skutków przeciwnych. Referat prof. Palmsteina, wykazujący dosadnie konieczność ćwiczeń gimnastycznych i spełnienia pewnych wymogów hygienicznych, tchnie nadto szczerą dbałością o dobro młodego pokolenia i zasługuje w zupełności na uwzględnienie dobrze myślących.

Poruszone na walnem zgromadzeniu sprawy, jako wyraz życzeń i prac całego Towarzystwa dają oraz dostateczne wyobrażenie o tendencyach, jakim czasopismo *Muzeum* służy. Dobro szkoły i pomyślniejszy jej rozwój w przyszłości jest celem naszych zabiegów, do którego wszyscy „zestrzeliwszy ducha w jedno ognisko“, podążać mamy. Redakcya postąpiła przeto bardzo rozważnie, wysuwając sprawy Towarzystwa na naczelny plan a jednostronność, jakąby jej w tym względzie zarzucić można, przestaje być ujemną stroną, gdy się zważy, że w początkowej dobie istnienia Towarzystwa, wyrozumienie ogólnych życzeń i poglądów na sprawy nauki i wychowania i ustalenie porozumienia się w tego rodzaju zagadnieniach tylko do urzeczywistnienia dobrych chęci i do rychłego podjęcia skutecznej pracy organicznej doprowadzić może. Obok referatów o sprawach Towarzystwa szkół wyższych, zawiera *Muzeum* także artykuły dłuższe treści pedagogicznej, dydaktycznej i naukowej, a oraz recenzye, notatki bibliograficzne, rozmaitości z zakresu szkoły i nauki, jakoteż rozporządzenia władz.

---

po za szkołą, czy zmuszając do korepetycyj (jedni u drugich), czy innymi sposoby — zawsze ze szkodą dzieci, a często i kieszeni rodziców.

(Przypisek Redakcyi).

W artykule: „Kilka uwag o stosunku szkoły średniej do domu rodzicielskiego“ (str. 228—237) naszkicował autor, prof. German, najważniejsze zarzuty, jakie przeciw szkole i odwrotnie bywają podnoszone. Obraz to ponury i smutny i przyznać należy, w istotnych swych konturach prawdziwy. Pozyskanie ogółu dla rozumnego spółdziałania ze szkołą, jest bodaj czy nie najważniejszym, chociaż najtrudniejszym do urzeczywistnienia momentem w pomyślnym rozwoju szkoły. Towarzystwo powinno się starać pozyskać ogół dla swoich spraw. Skoro ojcowie rodzin do Towarzystwa należeć zechcą, w bezpośredniem zetknięciu się z reprezentantami szkoły nabiorą rozleglejszego wyobrażenia o dążności i zadaniu szkoły, a uznawszy ich słuszność zdołają dom uczynić dalszym jednolitym ciągiem szkoły. Życzyć zatem należy, ażeby *Muzeum* jak najwięcej szczegółów z dziedziny praktycznej pedagogii i kazuistyki szkolnej, któreby szczerszą publiczność zainteresować mogły, zamieszczało.

Następne dwa traktaty treści pedagogicznej, jako to prof. Stodolaka: „Jaki nauczyciel, taka szkoła“ (str. 449—462) i prof. Tomaszewskiego: „O uroczystych odprawach szkolnych i nagrodach“ (497—506), zostają w pewnem duchowem pokrewieństwie do siebie. Obydwa stają na gruncie idealnym i domagają się nieco więcej serdecznego ciepła w szkole, któreby było zdolne zrównoważyć urzędową sztywność, jaka się w szkołach naszych rozwielmożniła.

Z pomiędzy artykułów treści dydaktycznej zasługuje na szczególne uwzględnienie rzecz Dra. Samolewicza, pod tytułem: „Kilka uwag nad instrukcyami do nauki języka łacińskiego i greckiego“ (str. 13—22 i 75—81). Autor porównuje żądania, zawarte w nowej instrukcyi w zakresie języka łacińskiego i greckiego z zarysem organizacyjnym i rozporządzeniem W. Rady szkolnej z dnia 9 lipca 1872 r. Objektywne porównanie doprowadza autora do pewnych, zdaniem naszem, jak najbardziej uzasadnionych wątpliwości, które w *Muzeum* sumiennej rozwadze kolegów porucza. Przedewszystkiem uderza w nowej instrukcyi, która przecież miała przynieść ulgę w pracy pozaszkolnej, nadmiar zajęć piśmiennych, z których jedne są niepotrzebne, inne zaś wprost niewykonalne. Praktyka, zdaje się, aż zanadto potwierdzi podniesione wątpliwości, a p. Samolewiczowi należy się wdzięczność od wszystkich, którym na zupełnem usunięciu czczego formalizmu zależy.

Prof. Tomaszewski w rozprawie: „Czego potrzeba do racyonalnej nauki fizyki“ (str. 81—87) wyłuszcza warunki, pod jakimi wymaganiom nowej instrukcyi w zakresie nauki fizyki zadość stać się może.

W rozprawie: „O zakresie i porządku lektury łacińskiej i greckiej w gimnazyum wyższem“ (474—477) podaje prof. Winkowski kanon lektury łacińskiej i greckiej, starając się równocześnie uzasadnić swoje żądania.

Rozpraw naukowych podało „Muzeum“ dotychczas dwie, mianowicie: „Długosz, jako badacz przeszłości przez Dra. A Semkowicza“ (Nr. 4, 5, 6) i: „O rymie w poezyi polskiej do J. Kochanowskiego“, napisał Wilhelm Bruchnalski (Nr. 9, 10 c. d. n.) Obydwie prace cechuje sumienność i znajomość rzeczy.

Obfita kronika naukowa i często bardzo szczegółowe recenzye świadczą pięknie o pracy duchowej i podążaniu za ogólnym postępem śród nauczycielstwa. Zauważyć tylko muszę, że miejscami w recenzyach razi nieco za szorstki ton, czemu Redakcya łatwo zaradzić może; zresztą należy je uważać za sumienne i gruntownie uskutecznione relacye z ruchu literackiego.

Zdawszy sprawę z dotychczasowej zawartości czasopisma „Muzeum“, o ile na to czas i miejsce pozwalały i zaznajomiwszy czytelników „Przeglądu“ z dotychczasową działalnością nie spełna rok jeden istniejącego czasopisma, utrzymywanego li tylko z moralnych i materyalnych zasobów nauczycielstwa samego, uważamy sobie za miły obowiązek wyrazić Redakcyi uznanie i wdzięczność nie wątpiąc bynajmniej, że służąc uczciwie i wytrwale jednej z najważniejszych spraw obecnej chwili, coraz szersze koło czytelników i poważanie powszechne sobie zdobędzie. Nie podnosząc drobnych braków, jakie bez wątpienia sama Redakcya dostrzegła i usunąć w najbliższej przyszłości nie omieszka, życzymy, ażeby sprawy wielkie, z Bogiem, prawdą i pracą podjęte, jak najrychlej pomyślnego urzeczywistnienia doczekać się mogły.

Dr. K. Petelenz.

Rozmaitości.

Pamiętna odpowiedź rządu Pruskiego. Dnia 17 października w odpowiedzi na interpelacyę p. Grocholskiego w sprawie wydalań z Prus — tak dosłownie donosi bióro korespondencyjne — odpowiedział prezes ministrów: Rząd tutejszy udał się zaraz do rządu Pruskiego głównie, aby zasięgnąć wiadomości co do podstaw i rozciągłości wydalań. Rząd Pruski odpowiedział, że uważa te wydalania, za czysto wewnętrzne rozporządzenie, spowodowane niedogodnymi **stosunkami wyznaniowymi i językowymi.**

Nie widzimy w tej odpowiedzi rządu Pruskiego żadnej właściwie odpowiedzi na odwołanie się Austryackiego rządu do prawa „międzynarodowego i do traktatu handlowego z 20 maja 1881 r.“, ale zapisujemy te pamiętne słowa odpowiedzi pruskiej, urzędowo stwierdzające religijny charakter tego prześladowania Polaków; zapisujemy jako potwierdzenie tego, cośmy w przeszłym numerze *Przeglądu* pisali (str. 1), jako pociechę dla nas i rękojmię, że cierpimy dla dobrej i niezwyciężonej sprawy.

Otwarty konkurs przeciw Jansenowi. Gazety angielskie i *Moniteur de Rome* ogłaszają list niejakiego p. Williama Fromanna, który podajemy jako cenny okaz tej pracy wewnętrznej, którą dzieła Jansena w duszach protestantów dobrej wiary i dobrej woli wywołują.

Jestem Niemcem i protestantem, styczności z katolikami nie miałem żadnej, ale przyznaję poprostu, że w sumieniu swojem czuję się zaniepokojonym i wiadomości historyczne jakich nabyłem, zdają mi się mylnemi od chwili, kiedy przeczytałem dzieło Jansena Historya ludu niemieckiego. Śledziłem polemikę z powodu tego dzieła prowadzoną, rozważyłem wszystko cokolwiek za niem i przeciw niemu napisano, a w końcu wyniosłem to wrażenie, że zarzuty, któremi obrzucono Jansena, mają tylko cechę paszkwilu, podczas kiedy autor na wszystko odpowiedział z bezstronnością i wyższym na rzeczy poglądem. W marcu roku bieżącego zgłosiłem się do jednego z uniwersytetów niemieckich z gotowością ofiarowa-

nia pięciu tysięcy dolarów nagrody temu, ktoby napisał gruntowną refutacyę dzieła Jansena, z przytoczeniem źródeł i dokumentów, a uniwersytet miał naznaczyć komisyę, któraby rzecz osądziła. Ale mimo wszelkich nalegań moich i poparcia osoby, zajmującej wysokie stanowisko w hierarchii Anglikańskiego kościoła, żadnej nie otrzymałem odpowiedzi. Tymczasem ukazał się czwarty tom, który, jak mi się zdaje, bardziej jeszcze druzgoce Protestantyzm. Ustanawiam zatem nagrodę na refutacyę tego ostatniego tomu, i w tym celu chcę się porozumieć z uniwersytetem Berlińskim. Mianowicie 6 zagadnień szczególnie mię obchodzi:

1) Czy wyznanie protestanckie uległo rzeczywiście tylu zmianom, ile Jansen wykazuje?

2) Czy obelgi i klątwy, jakiemi się mieli wzajemnie obrzucać teologowie i predykanci protestanccy, mogą być historycznie udowodnione, jak to uczynił Jansen?

3) Czy owa tyrania książąt protestanckich, ich nietolerancya i zmuszanie podwładnych do protestanckiego wyznania, owa przedajność książąt, którzy mieli być tylko płatnem narzędziem w rękach wrogiej Cesarstwu potęgi, zdrajcami cesarza i kraju, czy to wszystko jest prawdziwe? Serce każdego Niemca zawrzeć powinnoby szlachetnem oburzeniem, czytając u Jansena postępki Elektora saskiego, Fryderyka III., którego nam dotąd jako luminarza protestantyzmu przedstawiano.

4) Czy książęta i ich doradcy rzeczywiście nie dochowali przysięgi, złożonej w Augsburgu? Jansen przywodzi okrucieństwa, jakich się dopuszczał książe Wirtemberski na zakonnicach. Wstręt i oburzenie przejmuje na widok jego czynów.

5) Czy można na podstawie dokumentów zwalczyć twierdzenie Jansena, że upadek i demoralizacyę ludu sprowadziły spory i kłutnie religijne.

6) Co odpowiada nauka protestancka na skreślony przez Jansena obraz umoralnienia ludu przez pracę Jezuitów.

Autor kończy wezwaniem, że odpowiedź na te pytania leżeć powinna na sercu każdemu protestantowi. Przemilczenie ich byłoby udowodnieniem, że Protestantyzm uległ pod oskarżeniami Jansena, tj. że fałszował dotąd historyę, i że cały polega na kłamstwie.

List powyższy jest najpiękniejszym hołdem oddanym kato-

lickiemu historykowi. P. Fromann najwidoczniej szczerze szuka prawdy, inaczej Amerykanin nie ofiarowałby 6000 dol. P. Fromann jest przytem człowiekiem wykształconym i głębiej myślącym kiedy potrafił tak dosadnie sformułować ten szereg głównych zagadnień. Odezwa p. Fromanna jest objawem tego ruchu, który dziś resztę wykształceńszych i szlachetniejszych dusz od Protestantyzmu odrywa i zanosi częścią na rafy ateizmu, częścią do przystani Kościoła katolickiego. Ufamy, że autor tego listu, jak każdy szczerze szukający prawdy, do tej przystani niezawodnie trafi.

Niedawno wyszły z druku następujące książki, na które zwracamy uwagę.

Medale polskie lub do Polski się odnoszące, tudzież medale znakomitych Polaków i ludzi Polsce zasłużonych, w zbiorze *Piotra Umińskiego*, Sekretarza Komitetu Akademii Umiejętności. Kraków 1885. — P. Umiński, badacz i miłośnik świetnej ongi naszej przeszłości, zebrawszy z niemałym trudem i kosztem liczny zbiór medali polskich lub jej się tyczących, a którego część już mieliśmy sposobność oglądać przed dwoma laty na Wystawie zabytków z czasów króla Jana III., podaje nam dziś katalog całej swej cennej kolekcyi. Składa ją 1144 najróżniejszych medali, a to z czasów królewskich, głównie od Zygmunta I., pojedyńczych krajów niegdyś hołdownych Polsce, jak Kurlandyi i Szląska, i w końcu z czasów porozbiorowych ze wszystkich trzech dzielnic dawnej naszej ojczyzny. Są tam i medale bite na cześć prywatnych osób w liczbie 294. W katalogu podana wielkość i materyał, z którego medal został wykonany. Szczegółowy opis, tylko przy tych medalach dołączony, które dotąd nie były nigdzie opisane, a jest ich 215. Przy wszystkich innych podane źródło, gdzie o nim bliższej wiadomości zaczerpnąć można. W końcu cztery karty z prześlicznie litografowanemi podobiznami ciekawszych medali. Dziełko to wielkiej wagi dla numizmatyków nader starannie i wykwintnie wydane.

Bibliotheca Mariana de la Compagnie de Jésus, par *Carlos Sommervogel*. Strasbourgeois, de la même Compagnie. Paris, Picard 1885, str. 142. — Autor tejże bibliografii, zrazu tłumacz wielu dzieł, przeważnie treści religijnej na francuskie, później redaktor czasopisma francuzkich Jezuitów: *Etudes religieuses, historiques et litteraires*, kiedy to ustało z wypędzeniem zakonu z kraju, oddał się z całym zapałem studyom bibliograficznym i obrał sobie specyalnie dzieła, wydane przez członków Towarzystwa Jezusowego. Jego staraniem wyszło drugie wydanie olbrzymiego dzieła braci Backer: *Les ecrivains de la Compagnie de Jésus*; dalej wydał sam: *Dictionnaire des ouvrages anonymes et pseudonymes publiés par des religieux de la Compagnie de Jésus*,

i inne tym podobne. Niniejsza bibliografia obejmuje dzieła ku czci Najśw. Panny wydane, wykazuje poważną liczbę 2.207. Tu i owdzie pewne braki się spostrzegają. I tak polskich wspomina tylko 75, które pomieścił O. Brown w swej bibliografii, nowsze są pominięte. Podobnie i co do niemieckich. Na dziesięć działów rozpada się cała bibliografia, wyliczając osobno dzieła teologiczne, liturgiczne, kaznodziejskie i t. d. Na końcu załączony spis tak pojedyńczych materyj, jak i autorów. Mozolna praca O. Sommervogel pięknym jest dowodem miłości Towarzystwa Jezusowego, ku Tej, którą ono od początku swego założenia uważa i nazywa: *Regina Societatis Jesu.*

Monumenta musices sacrae in Polonia. Kompozycye kościelne wzorowych mistrzów muzycznych z epoki klasycznej w Polsce, zebrał *ks. Józef Surzyński.* Poznań 1885. — Tę pracę, prawdziwie monumentalną, której dopiero pierwszy zeszyt opuścił prasę, wypadnie nam obszerniej omówić w *Przeglądzie.*

Śpiewnik kościelny dla użytku parafij rzymsko-katolickich. Część pierwsza *Laudate Dominum*, zawierająca msze choralne, nabożeństwo nieszporne i kompletę. Wydał *ks. Józef Surzyński.* Poznań 1886. — Ten podręcznik odznacza się nietylko poprawnością wydania i układem wyjątkowo praktycznym, ale też doborem melodyj i tekstów prawdziwie liturgicznych, z wiernem zastosowaniem przepisów kościelnych względem śpiewu, tak często u nas zapoznawanych.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pośrednictwo Papieża. — Zapatrywania różnych sfer na tę sprawę. — Stosunek Francyi do Kościoła. — Katolicka sprawa w Niemczech. — Salisbury o wychowaniu chrześcijańskim.

„Śmiem twierdzić — powiada de Maistre w swem znakomitem „dziele *Du Pape* — że gdyby przyznano Papieżowi tytuł pośrednika „z urzędu między chrześcijańskimi władcami, byłby to najnaturalniej„szy, najwspanialszy i najświętszy z tytułów". Ale kreśląc te słowa nie przypuszczał pewnie wielki ten pisarz, że pod koniec wieku owa historyczną tradycyą uświęcona rola, zwróconą Papiestwu zostanie, a to za sprawą najpotężniejszego i najzawistniejszego Kościołowi protestanckiego państwa. I ten przecież widok bogate w niespodzianki dzieje końca XIX. wieku zdumionej zgotowały Europie. A zdumienie było tem większe, że *Kulturkampf* dotąd nieukończony, stosunki między Watykanem a Prusami, choć nieco złagodzone, zawsze wszakże naprężone, a wreszcie nie przebrzmiało jeszcze echo wymownych głosów na zebraniu monasterskiem, przedstawiające w tak wyraźnem a smutnem świetle położenie Kościoła katolickiego w Niemczech. To też wieść o medyacyi papieskiej w sprawie Karolińskiego zatargu lotem błyskawicy się po całej Europie rozeszła, i posypały się od razu stosy komentarzy dziennikarskich, malujących wrażenie, jakie ta nowina w pojedyńczych krajach i obozach wywarła. Oficyalna prasa niemiecka podała suchy fakt, a tylko bardziej wojownicze organa z *National Zeitung* na czele nie omie-

szkały powtórzyć tyle razy użytego i zużytego twierdzenia, że ofiarowanie medyacyi papieżowi po monasterskiem zebraniu jest jeszcze jednym dowodem więcej, jak chętnie sobie rząd Pruski życzy ukończenia kulturnej walki, do której zawsze tylko rzekoma zaciekłość katolickiego Centrum nowego dodaje zarzewia. Protestanci dotkliwiej tę sprawę uczuli, a śmielsze głosy, jak n. p. pastorski *Reichsbote*, otwarcie wymawiał rządowi, że się sprzeniewierza wielkiej zasadzie i tradycyi prusko-protestanckiej, kiedy głowa reformowanego kościoła po tyloletniem szczęśliwem zwalczaniu wpływów rzymskiej kuryi, we własnej się nagle sprawie do tejże odwołuje i przed katolicką korzy powagą.

Najbardziej atoli dotknięty został tym niespodziewanym krokiem rząd włoski. Napróżno starała się liberalna prasa włoska w siebie i w świat wmówić, że krok ks. Bismarka jeszcze raz więcej dowodzi, ile papiestwo na utracie władzy świeckiej zyskało, bo tylko do moralnej powagi Ojca św. obce mocarstwa apelować mogły, za co, jak pisze *Riforma*, papież rząd włoski błogosławić winien; pod temi sofismatami kryło się źle tajone niezadowolenie graniczące z przerażeniem, a to zakłopotanie wzmagało się oczywiście w obec głosów prasy niemieckiej, która znów, jak półoficyalna *Kreuzzeitung*, z wyznaniowego wychodząc zapatrywania, w wybranym pośredniku tylko panującego, a nie głowę Kościoła widzieć chciała.

Wszystkie przecież w tej mierze podniesione głosy i wyjawione zdania jednomyślnie niemal przyznają, że fakt ten jest bądź co bądź w każdym razie pierwszorzędnej doniosłości, bo podnosi majestat i znaczenie powagi papieskiej. Katolicy zaś, pomni znanego *timeo Danaos*, ilekroć ks. Bismark jakikolwiek krok obchodzący bliżej Kościół przedsiębierze, nie tają sobie trudności połączonych z delikatną misyą owego pośrednictwa. Przecież, ufni w mądrość i doświadczenie Leona XIII. zapisują ten fakt jako ważny a dodatni, bo on odtwarza dawne, średniowieczne posłannictwo papieży, urzeczywistnia ustanowieniem najwyższego trybunału nad rządami świata najszczytniejszy ideał prawa międzynarodowego, a wreszcie na dziś stwierdza dobitnie raz więcej żywotność kwestyi rzymskiej.

Właśnie ten ostatni wzgląd najbardziej niepokoi liberalne Włochy. Gdy bowiem w Niemczech, pomimo trwania walki kulturnej,

czuć się daje niezaprzeczenie pewna dążność pokojowa, choć nie od rządu wychodząca, gdy w Belgii za walnem zwycięztwem konserwatystów upada gabinet Frêre-Orban'a, w Holandyi wzrasta znaczenie elementu zachowawczego, w Hiszpanii ministeryum Pidala u steru, w Anglii Torysi przychodzą do władzy, a w ostatnich dniach nawet we Francyi zwiększa się pomyślnemi wyborami zastęp konserwatywny w Izbach, — w jednych Włoszech rozwielmożnia się coraz bardziej rewolucya, a rząd zająwszy raz nieprawowite stanowisko w obec piewszej władzy konserwatywnej świata, nie ma ani sił, ani sposobów ich wichrzące żywioły odeprzeć. A przy wewnętrznym rozstroju każdy fakt, stawiający na świeczniku kwestyę rzymską, dyskredytuje go w obec Europy. Trudności zaś tego rodzaju mnożą się z dniem każdym, tak w ważniejszych sprawach, kiedy chodzi o medyacyę papieską, jak w pomniejszych, kiedy n. p. świeżo przy Kwirynale mianowany poseł hiszpański już przez to samo jest *persona ingrata*, że się kiedyś za władzą świecką oświadczył. Tymczasem ciągłych napaści gazet, wychodzących w samym Rzymie, na Papieża i Papiestwo, bezsilny w obec liberałów rząd ani chce, ani może skarcić. I nowe ministeryum konserwatywniejszego odcienia, z hr. Robilant na czele, nie zdoła złagodzić tych stosunków, bo kwestya rzymska zawsze jak upiór przed rządem włoskim stawać będzie, pchając go w objęcia rewolucyi.

O ile we Francyi reakcya konserwatywna na szali polityki wewnętrznej zaważy, to się okaże dopiero po ukonstytuowaniu Izby. To pewna, że chwila jest bardzo ważna, bo rząd gotował właśnie gwałtowną napaść przeciw Kościołowi. Na kilka dni przed wyborami, prezes rady ministów, p. Brisson, a wkrótce po nim minister wyznań, p. Goblet, w publicznych mowach oświadczyli się wyraźnie za rozdzieleniem państwa od Kościoła, względnie za zniesieniem konkordatu, a już po wyborach, prezes Izby deputowanych Floquet na uczcie masońskiej dla nowych posłów paryzkich, kategorycznie ten sam program sformułował i dążenia rządu w tej mierze oznaczył. Organa republikańskie wymawiają tymczasem ostro duchowieństwu udział w ruchu wyborczym i znaczny mu wpływ w tem przypisują, a grożą za to środkami represyi. To pewna, że na zdwojenie energii w obozie konserwatywnym, i na pomyślny ztąd wynik wyborów niepomiernie wpłynęło prześladowanie Kościoła, niemniej chyba,

jak niektóre dzienniki mówią, co sprawa tonkińska. Tej ostatniej zaś ponurym epilogiem jest świeżo nadesłana do Europy wieść o wymordowaniu 24 tysięcy chrześcian w Kochinchinie.

W Prusiech tymczasem oczekiwane za każdym powrotem p. Schlözera do Rzymu załatwienie sporu kościelnego, i tym razem zawiodło. Tymczasem w obec wspaniałych i mężnych oświadczeń katolików zgromadzonych w Monasterze, których wierne echo odezwało się na zebraniu Szlązaków w Gliwicach, *Pius-vereinu* w Akwizgranie i w całej prasie katolickiej, dziwnie uderzają głosy protestanckie omawiające ten sam przedmiot. I tak np. *Kreuzzeitung* pisze otwarcie, że póki walka kulturna, zatruwająca rdzennie wszelkie stosunki wewnętrzne, nie ustanie, póty o rzeczywistym pomyślnym rozwoju w Prusiech mowy być nie może. A ciekawem również i cennem jest wyznanie półurzędowej *Post*, która stanowczo sprzeciwia się rewizyi praw majowych w izbach, boby to osłabiło stanowisko rządu w obec Rzymu. W każdym razie nowe wybory przedstawiają w tym względzie mało interesu, bo bądź co bądź kwestya kulturna w najważniejszych punktach tylko wprost między Kuryą a Berlinem załatwioną będzie. Centrum traci jednego z najwybitniejszych swoich członków. Na zebraniu nadreńskich katolików w Kolonii, gdzie przywódcy partyi katolickiej roztrząsali przyszłą taktykę wyborczą, długoletni a znakomity szermierz tegoż stronnictwa August Reichensperger, który już od 48 r. zasiadł w izbie, oświadczył, że dla wieku i sił nadwątlonych mandatu przyjąc nie może. Kreśląc jakoby testament polityczny w ostatniej swej przemowie sędziwy weteran walk parlamentarnych zalecił raz jeszcze „zgodę i skupienie wszystkich sił w obronie wiary i Kościoła.“ Na tem samem zebraniu postanowiono głosować wszędzie przeciw kandydatom narodowo-liberalnego stronnictwa, a natomiast popierać wybór postępowców i konserwatywnych, którzy się zobowiążą dążyć zgodnie z Centrum do ukończenia walki kulturnej.

W Anglii wreszcie naczelnik obecnego rządu lord Salisbury w programowem przemówieniu w Newport oświadczył się stanowczo przeciw nauczaniu przymusowemu i zarewindykował wymownie prawo wychowywania po chrześcijańsku młodzieży chrześcijańskiej. „Pragnę tego, mówił, nietylko dla Anglików, ale i dla niekonformistów z kraju Walii i dla katolików irlandzkich.“ Prawie jednocześnie ukazały się

takie rezolucye biskupów irlandzkich, zgromadzonych w Holy Cross Conliffe, protestujące przeciw dotychczasowemu systemowi edukacyjnemu szkół tamtejszych i potępiające ostro gwałty burzliwego stronnictwa w Irlandyi.

K.

Z Poznania.

Jeszcze o wydalaniach.

Żądacie odgłosów z dzielnicy naszej coraz boleśniejszymi nawiedzanej ciosami; kronikarzowi nie wypada zapuszczać się w wywody i domysły, a jednak trudno, pisząc o wydalaniach, nie wspomnieć o domniemanej przyczynie tak niebywałego w rocznikach cywilizowanego świata kroku. Wszyscy w nim upatrują bezpośredni skutek osobistej ks. Bismarka do Polaków niechęci. Wrodzone to u niego uczucie: już młody junkier pomerański, w pierwszych latach konstytucyjnego w Prusach życia, przy każdej sposobności kolegom swym, posłującym z księstwa, dawał poznać skłonność swą do kruszenia i deptania opornych a słabych. Dziś to uczucie spotęgowało się przegraną na polu walki kulturnej. Niezwyciężony Kościół nie wstrząsł się w swych posadach, piętnaście lat prześladowania wzmocniło owszem jedność religijną, z konieczności wypadło pozornie załatać sprawę, niebacznie rozpoczętą. Ale w tem dziele szkopuł obsadzenia archikatedry Poznańskiej, ustawicznie rozbija rzekome usiłowania do jakiegobądź *modus vivendi* dążące. Kanclerz, radby zniemczyć stolicę św. Wojciecha, Rzym stawa w obronie sierocej trzody, niema możliwej ugody na tym spornym punkcie. Rozżalenie ks. Bismarka mści się na Polakach, a w tym kierunku dochodzi on niemal do monomanii. On tak potężny i wszechwładny, lęka się niby, garstki słabych i zwyciężonych, przypisuje im moc, żywotność i wpływy, o jakich sami niemal zwątpili. Jakby zmorą ścigany, wszędzie ich widzi, wszędzie szuka, a więc i wszędzie zgnieść pragnie.

Od początku bieżącego roku pojawiały się zrazu dość niejasne denuncyacye mniemanej polonizacyi Szląska, Prus Zachodnich i księstwa Poznańskiego. Zniemczenie szkół, nazw miejscowych, ba

nawet i rodowych, których ortografię dowolnie germanizowano, nie dość skutkowało. Mnożne plemię Lechowe statystycznie się wzmagało, a więcej jeszcze rozwijała się świadomość praw swych i powinności u masy prostego ludu. Jak tu przerzedzić zwarte, a niezawodnie liczebnie rosnące szeregi? Uczynni donosiciele zmiarkowali, iż głównie nad granicami prowincyj polskich, do zaboru pruskiego należących, pełno jest napływowej ludności, którą możnaby jednym zamachem pióra usunąć. Pokazało się, iż samych poddanych rosyjskich doliczyćby się można 30.000. A więc tych nasamprzód pozbyć się należało. Niebawem rozszerzono ukaz do wszystkich obcych poddanych, władających językiem polskim. Poufna bowiem instrukcya dosłownie *polnische Zunge* stawia za warunek konieczny, aby być objętym wyrokiem banicyjnym. Zaczem rozpoczęło się na wielką skalę wprowadzenie w życie edyktu proskrypcyjnego. Tu cyfry najwymowniej świadczą, a choć je czasopisma codzienne podawać nie przestają, ustalić je może wypada w poważnym miesięczniku. I tak z powiatu Inowrocławskiego postanowiono wydalić 6000 osób, zatem 10 procent ogólnej roboczej ludności, z małego nadgranicznego miasteczka Kempna wypędzono 62 rodziu, z pewnej miejscowości w Prusach Zachodnich, liczącej 850 mieszkańców, 350 osób wyrok banicyjny dotknął bezpośrednio. Tamże pewnemu właścicielowi ziemskiemu po wydaleniu obcokrajowców, zostało zaledwie sześciu parobków do dalszego prowadzenia robót gospodarskich. Z Katowic wypędzono przeszło 200 osób, z Wrocławia do tysiąca, Gdańsk utracił jedną z sprężyn międzynarodowego handlu, wydaleniem kupców i urzędników polskich w bankach i składach portowych, władających rosyjskim językiem. Oczywiście, coraz bezwzględniej zastosowywano wyrok, zrazu przeciw poddanym rosyjskim wyłącznie wymierzony. A więc w pierwszym rzędzie mnóstwo poddanych austryackich objęto nowym dekretem, ale jednocześnie i wszystkie inne państwa Europy podobnież obrażonemi zostały. Drażliwa niegdyś pod tym względem Anglia, spokojniej dziś znosi, dawniej wojną pachnące urazy. Przytoczmy imię p. Rolla-Bartochowskiego, który po r. 1831 naturalizował się w Anglii i posiada legalny przez hr. Clarendona w 1855 r. podpisany paszport, ostatnich lat trzydzieści spędził w gościnnym domu wielkopolskim, a dziś zniewolony innego szukać schronienia. Poddany i wojskowy francuski, hr.

Władysław Zamoyski, wraz z matką i siostrą otrzymał rozkaz wyjazdu. Niepokoją już szwedzkiego poddanego, hr. Engeströma, a ks. Bismark i amerykańskich obywateli dościga dekretem banicyjnym. Najrozmaitsze warstwy społeczne dotknięte są nowem postanowieniem: ale jak zwykle, najwięcej zawsze ofiar ubogich, z pośród robotników i rzemieślników. *Ce sont toujours les mêmes qui se font tuer!* mawiał marszałek Bugeaud o prostych żołnierzach. W każdej klęsce społecznej zawsze też jedni przeważnie padają, słabi, biedni, bezbronni; wybitniejszych obywateli nie tak hurtownie i śmiało banicya dosięga. Ale ów ogół biedaków, przepędzanych, wyściganych z jednej dzielnicy do drugiej, z tej przyczyny, że się tu nie urodzili, a po polsku nie zapomnieli, najsmutniejszego dostarcza pocztu ofiar dzisiejszemu prześladowaniu. Kto ich raz spotka wyjeżdżających z okolic oddawna przez się zamieszkałych, nie wyrwie już z duszy tak bolesnego wspomnienia! Są to po większej części ludzie, których stały zarobek lub rodzinne stosunki tu do osiedlenia się zniewoliły. Nagle grunt się z pod ich nóg usuwa, chleb im się z rąk wymyka, wszystko się wokoło rozrywa. Straszną stroną tych proskrypcyj jest jeszcze i to, iż obejmują one i dzieci i kobiety. Są wdowy, które dla samego faktu, iż ich małżonkowie byli obcymi poddanymi, dziś otrzymują dekret banicyjny. Dzieci temu samemu ulegają prawu, a przy odmowie naturalizacyi, która w Prusach od pewnego czasu była w obec Polaków systematem, nie brak znacznej liczby małoletnich ofiar bezwzględnego edyktu. Długi pobyt w Prusach, a nawet służba wojskowa nie pociąga za sobą wyjątków. Przytoczmy znany fakt Wrocławskiego feldfebla, któremu po dwunastoletniej służbie wojskowej, gdy zapragnął przejść w służbę cywilną, udowodniono, że jako urodzony w królestwie, nie ma prawa dłużej tu pozostać. Naprędce nową ukuto zasadę, iż paszport służy tylko do wjazdu, nie uprawnia do pobytu dłuższego. Niema się tedy zgoła ani na czem oprzeć, ani czem zasłonić. Podania o przedłużenie pobytu zalegają, samąż ich liczbą, a po trochu i złą wolą urzędników, zwłaszcza karyerowiczów, rozwijających na tem polu osobną gorliwość. Minister, do którego udała się deputacya Inowrocławska, zastrzegł się, iż w kwestyę zasadniczą wydalania wejść nie może, i tylko dwa punkta rozpatrzeć przyrzekł, mianowicie ubytek robotnika w rzeczonym powiecie i wzgląd na trudności, jakie sta-

wia rząd rosyjski w przyjmowaniu nieobecnych od lat dziesięciu poddanych swoich. Tu bowiem nowa na nieszczęśliwych spadła klęska. Władze nadgraniczne tysiącznych żądają legitymacyj, dowodów, korespondencyj. Nie jedna ofiara dekretu, odrzucana przez ościenne państwa, koczuje na pasie granicznym, w ostateczności nędzy i opuszczenia, bo jedni ich wypędzają, drudzy przyjąć nie chcą. Trudno o boleśniejsze zastosowanie słynnego wiersza:

Dziki gołąb ma gniazdo, robak ziemi bryłę,
Każdy naród ojczyznę, a Polak — mogiłę!

Nawet w własnym kraju niemasz już dla nas miejsca! a czy to koniec? Pewien życzliwie usposobiony Radca ziemiański, Landrat, oddawna w księstwie osiadły, z nieudaną boleścią odzywał się niedawno do obywateli swego powiatu, że to tylko początek i krok pierwszy na drodze gwałtowniejszego i coraz mniej kuszącego się o legalne pozory ucisku...

Strona religijna oczywiście i w tej nowej fazie prześladowania zadrgała: przypomnijmy fakt drukarza, któremu proponowano zmianę religii jako rękojmię dalszego pobytu. A znów kalwińskie wyznanie najwidoczniejszą jest osłoną przed zastosowaniem edyktu proskrypcyjnego.

Niewytłumaczonym w obec tego jest hurtowne wydalenie Żydów polskich. Ale w każdym tak sprzecznym z prawami nowoczesnej cywilizacyi kroku, sprzeczności obfitować muszą. *Aliance israëlite* ratuje już swych spółwyznawców, spieszących przeważnie do Ameryki lub Holandyi.

A nasi biedacy tymczasem chronią się w innych kraju dzielnicach, choć także pewien procent spieszy za morze, gdzie przynajmniej Polakowi za grzech mowy jego ojczystej nie poczytują. Do 1.go Października Komitet poznański wyprawił i zaopatrzył 240 rodzin, ogółem tysiąc osób. Przy tej okazyi ujawniła się bezwzględność wykonywania wyroków. Pewna kobieta w drodze powiła niemowlę. Jeden z wygnańców w obłędzie rozpaczy się powiesił, zanim mu przyszło z żoną i dziećmi dotychczasowe opuszczać stanowisko. Nagła wyprzedaż chudoby rujnuje tych nieszczęśliwych. Materyalnie kraj cały jest dotknięty. W pewnych powiatach, zwłaszcza nadgranicznych, brak robotnika dał się już we znaki przy wybieraniu ziemniaków. Już i tak zaostrzone agronomiczne

stosunki, nowy ztąd cios otrzymały. Handel oczywiście jeszcze bardziej odczuwa fatalne skutki wydalenia tylu rzemieślników. Zewsząd podnoszą się głosy niemieckie, wyrzekające na krok tak niepolityczny a hańbiący sumienie narodowe. I z Francyi i z Anglii dochodzą echa powszechnego oburzenia, z najpoważniejszych płynące źródeł. Przypuszczać niepodobna, aby one zmieniły postanowienie rządu Pruskiego, a zwłaszcza zamiary ks. Kanclerza. Pośredni odwet Rosyi, rusyfikacya nadbałtyckich prowincyj, więcej może oddziaływa na obrót sprawy. Tyle pewnego, że dzień 1 października nie pociągnął za sobą spodziewanego i zapowiedzianego egzodu wielotysięcznych tłumów. Czy się spostrzeżono, iż przeprowadzenie takiej pospiesznej banicyi *en masse* jest rzeczą niemożliwą? czy też chciano jej odjąć w części sromotną dla Prus cechę, rozdrabniając w mniej liczne, i mniejsze wrażenie robiące oddziały wygnańcze? Dość, że nastąpił niespodziany w przeprowadzeniu dekretu zastój. Znaczna część wydalonych nareszcie otrzymała zapóźnione odroczenie do 1 stycznia, lub nawet 1 kwietnia, parobków wiejskich pozwolono do końca ich roku, czyli do św. Marcina, w niektórych stronach zatrzymać; przestano nagabywać chorych, paralityków po szpitalach, nie aby cofnąć doręczony im wyrok, ale tymczasowo (*vorläufig*) zostawić ich w spokoju. Kto jednak zna politykę pruską, nie da się tym manewrem omamić. Zwrotu nie ma, a tem mniej cofnięcia się spodziewać wolno. Powoli, wszyscy objęci edyktem proskrypcyi, prędzej czy później granice Pruskie opuścić będą zmuszeni. Ale tymczasem uciszy się wzburzona opinia europejska, o faktach pojedyńczych mniej będzie hałasu i rozgłosu aniżeli o hurtownych wypędzaniach. A tak i wilk będzie syty i koza cała, dla sumienia i honoru Pruskiego.

Jednocześnie spustoszenie okropne dokonanem na polskiej niwie zostanie. Co ruin osobistych materyalnych i serdecznych zarazem! co łez i krwi serca utoczonej żelazną prawicą tego, który przyjmuje składki swych ziomków, aby się bogacić i liczne przykupywać włości, a z zimną krwią niszczy byt i los tysięcy rodzin, z jego woli tracących chleb i niezależne stanowisko. Ofiary prywatne nie wyrównają tu poniesionej krzywdy, ale słusznie nieść mogą balsam pociechy zbolałym sercom polskim. Gdy się zważy, iż tyloma klęskami dotknięte Poznańskie już zebrało groszami ubogich do

16.000 marek dobrowolnej na wygnańców składki, gdy się widzi iż głównie z pośród ludu wyszła inicyatywa tych jałmużn bratnich, gdy się oceni i zmierzy rosnącą i rozbudzoną świadomość i węzła i zobopólnych powinności, zaiste można odważniej spojrzeć w przyszłość, a mężniej znieść ucisk chwili obecnej. Broń używana przez ks. Kanclerza nieraz się w jego ręku zawodną być okazuje. Prześladowaniem Kościoła wzmocnił rzymskiego ducha, ścieśnił i rozbudził spójnię Katolików niemieckich z Namiestnikiem Chrystusowym, a obecnym wydaleniem Polaków, wywołał niebywałą solidarność nieszczęścia i spółczucia, niedorównaną świadomość spólności bratniej w granicach całej Polski.

Z republik Ameryki południowej.

Rzut oka na rzeczypospolite Ameryki południowej. — Kulturkampf w Argentynie. — Wypędzenie Delegata apostolskiego Matera. — Prześladowanie religii i zakonów w Urugwaju. — Kongres katolicki a działanie wolnomularzy w Chili. — Reforma konstytucyi. — Wojna domowa w Peru. — Skutki Encykliki *Humanum genus*. — Szereg rewolucyj w Ekwadorze. — Katolicki dekret rządu prowizorycznego. — Rozprawy w parlamencie o wystawienie bazyliki Najśw. Serca Jez. — Prezydent Caamano. — List Rektora uwniwersytetu z Quito do Papieża. — List Prezydenta Rady miejskiej do Arcybiskupa z Quito. — Memoryał IV. synodu prowincyonalnego w kwestyi dziesięcin. — Rozwój prasy katolickiej. — Sprawa Santos'a. — Stosunek Stanów Zjednoczonych do rzeczypospolitych Ameryki południowej.

Dość już znaczny przeciąg czasu upłynął, jak dawne hiszpańkie kolonie Ameryki południowej wypowiedziały posłuszeństwo katolickim monarchom i utworzyły cały szereg nowych niezawisłych rzeczpospolitych; a przecież po dziś dzień wydaje się, jakby różne te państwa wczoraj dopiero zrzuciły zamorskie jarzmo, a dziś, pod narkotycznym wpływem otrzymanej wolności, bawiły się w coraz nowe rewolucye, i jak dzieci cieszyły się widokiem coraz nowego prezydenta i w coraz nowe paragrafy ujętej konstytucyi. Obok wyuzdanej wolności pióra i słowa, kulturkampf gorzej niż Bismarkowski; obok wojen i groźnych manifestacyj w obec sąsiadów, zaszczepiona przez Blaine'a, a rozszerzająca się w cichości, myśl zjednoczenia wszystkich republik w jeden południowo-amerykański kongres; obok

ulicznego i dziennikarskiego patryotyzmu, panująca żydowsko-niemiecka masonerya; obok publicznego wyznania wiary, publiczne świętokradztwa; obok wzajemnych waśni, strach przed waszyngtońskim olbrzymem, który nie tai się z chęcią połknięcia nowego smacznego jakiegoś kąska — oto ogólne ramy obrazu, jaki dziś przedstawiają hiszpańskie rzeczypospolite Ameryki południowej. Młode to społeczeństwo: dobre i złe prądy nurtują w niem, zwalczają się wzajemnie; gdzie i które ostatecznie górę wezmą, to dopiero przyszłość okaże.

Śmieszną byłaby, gdyby nie była tak bolesną w następstwach walka wypowiedziana Kościołowi, przez zmieniających się jak maryonetki prezydentów i parlamenta rzeczypospolitej Argentyńskiej, Chilijskiej i Urugwajskiej. W ostatnich tygodniach r. 1884 odebrał rząd Argentyński katedrę ekonomii politycznej na wszechnicy w Buenos-Ayres zasłużonemu profesorowi Lamarca, ponieważ tenże zasłynął jako znakomity mowca katolicki. Biskup ze Salta, Bonaventura Risso Patrón, przez śmierć tylko uniknął grożącego mu już dekretu wygnania; natomiast odmówił rząd zatwierdzenia nowo wybranemu Wikaremu kapitularnemu. Ale bezprawia te maleją w obec bezczelnego listu, napisanego z rozkazu Prezydenta Roca do delegata apostolskiego Matera z końca września roku przeszłego: „Ponieważ W. E. zająłeś stanowisko niezgodne z zapatrywaniami rządu, przeto pan Prezydent nakazał mi przysłać paszporty W. E., naznaczając 24 godzin, jako ostateczny termin odjazdu". Delegat założył protest, ale sile ustąpić musiał; udał się więc do Urugwaju, a ztąd w czerwcu b. r. niespodzianie odpłynął do Rzymu. Nagły ten wyjazd wzbudził niemały podziw, tem bardziej, że w Rzymie zachowano Materze dawny jego tytuł, nie uwzględniając niejako barbarzyńskiego, niczem nie umotywowanego dekretu Prezydenta Roca.

A przecież, jeśli gdzie, to właśnie w rzeczypospolitej Argentyńskiej rząd na klęczkach powinienby błagać o pomoc Kościoła, przeciw rosnącemu coraz bardziej, zwłaszcza po większych miastach, zdziczeniu obyczajów. Dzienniki miejscowe przerażające w tym względzie podają szczegóły. *Figaro* z Buenos-Ayres, opisawszy straszną zbrodnię, popełnioną niemal na ulicy, a której względy przyzwoitości nie dozwalają tu opisywać, kończy swój artykuł wezwaniem

do całej prasy europejskiej, „aby w imię moralności stawiała tamy emigracyi do tego muzeum zepsutych obyczajów i społecznych występków". Podobną przestrogę daje pismo peryodyczne, wychodzące w Montevideo: *Hiszpania i Urugwaj;* prawda, że i w Urugwaju równie, a może bardziej, niż w sąsiedniej rzeczypospolitej, sroży się walka kulturna. . .

Walka ta, jak tyle innych jej podobnych, rozpoczęła się w Urugwaju, prawem o małżeństwie cywilnem, faworyzowaniem rozwodów i gnębieniem zakonów. Kiedy w początkach kwietnia b. r. gorliwy kapłan Maryan Soler wystąpił na ambonie przeciw małżeństwom cywilnym, rząd ostrzegł Biskupa Yerequi z Montevideo, iż każe katedrę otoczyć policyą i uwięzić pierwszego kaznodzieję który odważy się krytykować z ambony prawa państwowe, religii przeciwne. W skutek tego ostrzeżenia, Biskup zakazał mówić kazania w czasie Wielkiego Tygodnia. Prawdziwie — zauważył słusznie *El Bien público* — lamentacye proroka Jeremiasza, najodpowiedniejszem były w tym roku kazaniem dla katolickiego Montevideo". Nietylko jednak kazań, ale i rekolekcyj nie lubi widocznie rząd Urugwajski. W liście, pisanym do Biskupa z Montevideo w pierwszych miesiącach b. r., tłumaczy Minister wyznań a zarazem sprawiedliwości i oświaty, że „Ćwiczenia duchowne" niezgodnemi są z postępem, ponieważ duch wieku potępia życie kontemplatywne, jako przeciwne prawom moralnym i społecznym. Tego rodzaju rzeczy, wykłada dalej urzędowo i z całą powagą p. minister, są owocem fanatyzmu i nietolerancyi, a nie prawdziwej religii; wszak św. Paweł nie wiedział i nie znał zupełnie klasztorów i domów przeznaczonych na rekolekcye".

Prezydent Santos i parlament Urugwajski wzięli sobie widocznie za cel oczyścić Kościół z owych naleciałości „nieznanych św. Pawłowi". Olbrzymi krok na tej drodze stanowi ostatnie drakońskie prawo, sankcyonowane już przez prezydenta, a będące widoczną kopią uchwał rzeczypospolitej Francuzkiej przeciw zakonom. Prawo to, przygotowane mądrze skierowanemi rozruchami przeciw klasztorom, zakazuje tak męzkim, jak i żeńskim zakonom przyjmować nowicyuszów, lub uczyć w szkołach; poddaje je pod bezpośredni nadzór władzy świeckiej; rozwiązuje wszystkie klasztory i domy przeznaczone na rekolekcye, otwarte bez wyraźnego pozwolenia władzy wykonawczej; zezwala wreszcie, aby Siostry miłosierdzia służyły

nadal w szpitalach, a Benedyktynki uczyły w swych szkołach, ale pod warunkiem, iż liczba zakonnic ograniczoną będzie w miarę niezbędnej konieczności. W ten sposób za jednym zamachem, jak uważa *Diario catolico* z Montevideo, zniszczył rząd Santosa owoce piętnastoletniej wytrwałej pracy tylu rodzin, które nie szczędziły zabiegów i pieniędzy, aby swym dzieciom zapewnić katolickie wychowanie. Pomimo protestów, rząd zabrał się energicznie do wykonywania barbarzyńskich uchwał; w klasztorach w Montevideo odbyto urzędowe rewizye; zaczęto się nawet zastanawiać, czy w ogóle nie byłoby lepiej wypędzić wszystkie Siostry miłosierdzia. Biskup Yerequi udał się przed paru tygodniami do Rzymu, aby osobiście porozumieć się ze Stolicą św., jakie stanowisko zająć winno duchowieństwo i szczerzy katolicy w obec tych jawnych a niekończących się gwałtów.

Identycznych niemal gwałtów dopuszcza się masoński rząd Chilijski. Na wielkim kongresie katolickim w listopadzie 1884, postanowili zgromadzeni chwycić się wszelkich legalnych środków, aby wymódz na rządzie większe poszanowanie dla najświętszych prawd religii i sumienia. Jednocześnie episkopat chilijski wydał zbiorowy list pasterski o stosunku państwa do Kościoła. Energia katolików zaniepokoiła sektę; przy spisywaniu list wyborczych odpędzano, a gdy to nie pomogło, raniono kilku katolików, silnie obstawających przy swych prawach. Tak wybrany nowy parlament rozpoczął swą działalność od zniesienia katedry teologii w stołecznym uniwersytecie. Ze swej strony rząd odmówił dalszej subwencyi dla domu sierot, zwanego „Przytułkiem Ojczyzny“, ponieważ znalazło w niem schronienie około 130 dzieci osieroconych w czasie ostatniej wojny. Pod hasłem „Kler niech się nie miesza do polityki“ rozpoczęła bezpośrednio przed zebraniem się kongresu cała antykatolicka prasa z San-Jago formalną kampanię przeciw wpływowi duchowieństwa na wybory i prawodawstwo. Dokąd zdążała cała ta agitacya, okazało orędzie prezydenta Santa-Maria, którem dnia pierwszego czerwca b. r. otworzył uroczyście kongres. Warto zacytować tu ustęp, odnoszący się do otwierającego się w całej pełni kulturkampfu chilijskiego:

„Pomiędzy projektami praw, przedłożonymi Waszej uwadze, na pierwszem miejscu stoi wniosek, odnoszący się do reformy kon-

stytucyi. Wniosek to wielkiej wagi ponieważ zmierza do wzmocnienia i zatwierdzenia panowania prawa wspólnego, owej prawdziwej podstawy sprawiedliwości i wolności ludzkiej".

„Nowa reforma uznaje jak najobszerniejszą wolność sumienia, zapewnia i zatwierdza wolność wyznania wszystkim kultom. Łamie ona przeszkody, wystawione przez konieczne warunki, przesądy, czy tradycye minionej epoki, przeszkody, niedozwalające należycie rozwinąć się równości i wolności społecznej; a zarazem zatrzymuje dobroczynny a niezbędny wpływ państwa, ów wyraz naszego zwierzchnictwa, na pewną instytucyę, która ze względu na swój charakter, czy też pod jakimkolwiek bądź innym pretekstem, wyłamuje się z pod panowania prawa wspólnego, i zajmuje stanowisko odrębne i uprzywilejowane".

Trudno było jaśniej powiedzieć: „Pokój wszystkim sektom, wszystkim doktrynom; wojna i nietolerancya względem jednego Kościoła katolickiego! W dalszym ciągu swego orędzia zapowiada prezydent przybycie pięciu niemieckich profesorów i dwunastu profesorek, mających zaprowadzić w szkołach Chilijskich „różne pożyteczne" reformy. Czy prócz tych reform, mają jeszcze owi niemieccy profesorowie wyuczyć dokładniej P. Prezydenta, jakich sposobów używał Bismark do zgnębienia Kościoła, i jak zwolna coraz większą władzę w swe ręce zagarniał? Takby się przynajmniej zdawało z całego postępowania Santa-Marii, na którego despotyzm głośno sarkają w stolicy i na prowincyi. Nie załatwiony jeszcze konflikt między radą stanu, dążącą do zagarnięcia dla siebie jak największej władzy, a parlamentem, niemyślącym bynajmniej z swej władzy abdykować, daje również niemało do myślenia. W Ameryce południowowej niewiele potrzeba do zmienienia konstytucyi; mniej jeszcze do przeniesienia prezydenta w stan spoczynku; być też bardzo może, iż zanim jeszcze zrobicie użytek z tego pisma, prezydent Santa-Maria i panowanie jego kliki przejdzie do historyi czasów minionych.

Masonom w Peru nie zbywa z pewnością na dobrych chęciach do prześladowania Kościoła, a jeśli kulturkampf peruański nie rozszalał się tak dalece, jak chilijski, przyczyną tego jedynie bratobójcza wojna, niedozwalająca na razie myśleć i mówić o czem innem, jak o tem, kto zwycięży: generał Iglesias, czy generał Car-

ceres? W chwili, gdy to piszę, szala przechyla się na stronę Carceresa, a Iglesias uciec się podobno zamyśla pod protektorat Chilijski, czemu znów energicznie sprzeciwia się konsul Angielski. Przed paru miesiącami sprawa przedstawiała zupełnie inny widok tak dalece, że Carceres nie widział ratunku, jak tylko w pokoju. Nieszczęściem, uniesiony powodzeniem nieprzyjaciel stawił zbyt twarde warunki i zażądał od Carceresa zdania się na dyskrecyę. Obecnie zwycięzca domaga się usunięcia całego rządu, złożonego przez Iglesias'a. Kraj przedstawia okropny widok: wszędzie walki i bunty; a co najlepiej cechuje tutejsze stosunki, nie tak łatwo rozstrzygnąć, po której stronie stoi prawo, a po której stoi czy stała, sama tylko siła. Dzienniki niezależne, jak np. *El Pais*, wychodzący w Limie, zaprzeczają organom rządowym prawa nazywania Carceresa buntownikiem. General Carceres, argumentuje *El Pais*, jest dowódcą wojsk skonfederowanych w osobnej partyi, ale nie jest ani powstańcem, ani buntownikiem przeciw rządowi Iglesias'a, ponieważ nie powstał i nie zbuntował się przeciw niemu. Carceres był i istniał, zanim Iglesias dostał się na szczebel, na którym dziś stoi". „Źle więc robi Carceres, kończy wymieniony dziennik, że dla dobra kraju nie poświęca własnego prawa, czy bezprawia, ale przyznać należy, że nie mniejsze przysługuje mu prawo — jeśli o prawie może tu być mowa — jak jego przeciwnikowi".

Ktokolwiek ostatecznie zwycięży, obawiać się można, czy z chwilą podpisania pokoju, nie rozpocznie się nowa walka już nietylko bratobójcza, ale matkobójcza — przeciw Kościołowi. Wprawdzie rząd Iglesias'a nawiązał na nowo stosunki z Watykanem, ale choćby sam Iglesias lub Carceres osobiście dobrze byli usposobieni, wielkie pytanie czy potrafią się oprzeć prądowi pchającemu ich naprzód. Encyklika „Humanum genus" zdemaskowała peruańskich wolnomularzy, pozujących dotychczas na prawowiernych katolików, a tak wzbudziła nietajone niechęci. Loże ogłosiły solenny protest przeciw encyklice: do tego, o co papież ich oskarża, nie poczuwają się, ani poczuwać się nie mogą. Pomimo tego protestu, wskazującego jak dotkliwy cios zadał Papież Masoneryi, encyklika, wyłożona w żarliwych listach pasterskich, przyniosła już dzisiaj bardzo obfite owoce. Da Bóg! że budzący się duch katolicki w Peru, widoczny zwłaszcza w wielu nowo postawionych kościołach, wyrwie

nieszczęśliwy ten kraj z pożerającej go zarazy masońskiej, i odwróci groźną chmurę powszechnego buntu Indyan, która przed paru miesiącami o mało co nie zatopiła całego kraju w morzu krwi i płomieni.

Oko, strudzone widokiem ciągłych prześladowań, wojen i bezprawiów, odpocząć może choć chwilę, spoglądając na Ekwador. Wprawdzie i tu zmiany po zmianach, pierwiastek dobry walczy wciąż ze złym; ale ta przynajmniej pociecha, że biorąc przecięciowo, pierwiastek dobry bierze górę. Po zdradzieckiem zamordowaniu Garcii Moreno (6 sierpnia 1875) przeszedł Ekwador kilka, z kolei coraz radykalniejszych rewolucyj. Najęci zabójcy nie szczędzili ofiar wybranych tak między duchowieństwem, jak i świeckimi; zamęt doszedł do najwyższego stopnia w chwili zatrucia Arcybiskupa Checa, z Quito i biskupa Lizarzaburu, z Guayaquil. Mnożące się bezprawia spowodowały oryginalną koalicyę skrajnych radykałów z gorliwymi katolikami, której wynikiem, po zupełnem zwyciężeniu tak zwanej „republiki Wrześniowej", był rząd ustanowiony pod prezydenturą Franciszka Salazara. Poprzednio już, w samej chwili przełamania radykalnej rewolucyi, wydał rząd prowizoryczny następujący dekret:

Rząd prowizoryczny Rzeczypospolitej zważając:

Że ostatnie tryumfy tak pełne chwały dla ojczyzny, zawdzięczamy wyraźnej opiece Wszechmogącego, któremu słuszną jest rzeczą poświęcić pomnik, mający przez wszystkie wieki głosić wdzięczność ludów Ekwadoru,

Uchwala:

Art. 1. Wybudować na koszt państwa i z pomocą prywatnych darów wspaniałą bazylikę, poświęconą N. Sercu Jezusowemu, któremu już poprzednio oddaną została w opiekę cała Rzeczpospolita.

Art. 2. Nowa świątynia stanie w pośrodku tej stolicy i zajmie miejsce wyznaczone, za wspólną zgodą, przez rząd i władzę duchowną.

Art. 3. Dnia 10 sierpnia b. r., jako w szczęśliwą rocznicę ogłoszenia niezależności Ekwadoru, położonym zostanie z największą uroczystością kamień węgielny wymienionej bazyliki.

Dan w Quito, stolicy Rzeczypospolitej, 23 czerwca 1883.

Augustyn Querrero. Ludwik Cordero. Rafael Pareja. Pawel Herrera. Minister spraw wewnętrznych, J. Modesto Espinoza.

Na posiedzeniach sejmu w lutym 1884, otwartego już pod prezydenturą Salazara, wszczęła się zacięta dyskusya, czy i o ile należy zatwierdzić dekret rządu prowizorycznego, wznawiającego najpiękniejsze tradycye Garcii Moreno. Najzaciętsi nawet przeciwnicy projektu nie śmieli wprost go zwalczać, ale zasłaniali się ubóstwem skarbu narodowego i niewielką korzyścią z wystawienia nowego kościoła. Zarzuty te odparł w prześlicznej mowie ksiądz Matovelle, redaktor czasopisma: „*La republica del Sagrado Corazon de Jesus*“.

„Nie rozchodzi się tu bynajmniej o wybudowanie jednej świątyni więcej w Quito, ale rozchodzi się o zamanifestowanie publiczne, uroczyste, narodowe, wiary katolickiej, tak silnie zakorzenionej w rządzie i ludzie Ekwadoru. W celu wykazania tego twierdzenia, użyć muszę dowodów zaczerpniętych z porządku nadprzyrodzonego, owego najwyższego porządku mieszczącego w sobie racyę wszechrzeczy, porządku, wzgardzonego przez wielu polityków dzisiejszych, nie dlatego ponieważ go nie rozumieją, lecz ponieważ go nie znają“.

„Wielką zbrodnią współczesnej historyi, panie Prezydencie, jest niecna apostazya wszystkich narodów ziemi. Wszystkie rządy, właśnie o ile są rządami, sprzysięgły się przeciw Chrystusowi i jego Kościołowi, a jeśli jeszcze nie bluźnią samej Osobie boskiego Zbawcy, to przynajmniej protestują i zaklinają się, że Go nie znają. Otóż właśnie w dekrecie przedłożonym do sankcyi, rząd Ekwadoru zamierza głośno wyznać, w obec świata całego, że uznaje Pana naszego Jezusa Chrystusa za swego Boga i Króla, że przyjmuje i uwielbia najwyższą władzę, przynależną naszemu Zbawcy nad wszystkimi narodami, jako Królowi królów i Panu panów“.

„Teraz zwłaszcza — ciągnął dalej mowca — gdy z otwarciem Panamy zaleje nas potop niewiary, teraz zwłaszcza jasno i wyraźnie stwierdzić należy nasze przekonania. „Bazylika N. Serca Jezusowego będzie palladyum Ekwadoru... Bazylika N. Serca Jezusowego, wzniesiona na szczytach Pinchinchy, będzie niejako symbolem wiary całego narodu; będzie to prawdziwa latarnia morska, oświecająca wody Oceanu Spokojnego. Dlaczegoż-bo, rozprawiając o polityce, mie-

libyśmy zapatrywać się na wszystkie sprawy z punktu widzenia wyłącznie ziemskiego? Podnieśmy oczy do nieba: tam zapisane są wielkie, a ukryte tajemnice naszej przyszłości. Busola kierująca narodami, to busola wiary; idźmy za przeznaczeniem wskazanem nam tajemniczą tą igłą, a przyszłość będzie naszą".

Możliwość wypowiedzenia podobnej mowy, szacunek, z jakim o niej wspominali najzagorzalsi nawet przeciwnicy całego projektu, przynosi prawdziwy zaszczyt parlamentowi Ekwadorskiemu. Po długich a gorących debatach zabrał głos Prezydent generał Salazar:

„Nie myślę obrzucać zniewagami pp. posłów, sprzeciwiających się podanemu projektowi; nazywają nas oni fanatykami, ponieważ chcemy wznieść Bogu pomnik naszej wdzięczności. Mniejsza o to — nie dzisiaj czas przenosić tę kwestyę na teren filozoficzny. Mówić będę pozytywistycznym językiem czasów naszych. Widziałem pomniki wystawione poetom, artystom, i innym ludziom słynnym, a żaden z nas nie podniósł głosu, by zaprotestować przeciw wystawieniu posągu Boliwarowi. W Guyaquil stoi posąg Rocafuerte'a, w Limie Kolumba; wszyscy temu przyklaskują. A teraz tego, co przyznajemy ludziom, chcemy zaprzeczyć Stwórcy, który natchnął Kolumba do odkrycia Ameryki, Bolivara do przywrócenia wolności Kolumbii? Nie będziemy więc fanatykami, choć widocznym pomnikiem zaświadczymy wdzięczność naszą dla Boga, ponieważ uwolnił nas od nieszczęść, które wczoraj jeszcze nas przygniatały".

Przy głosowaniu trzy czwarte posłów, pod przewodnictwem prezydenta i wiceprezydenta, oświadczyło się za potwierdzeniem dekretu rządu prowizorycznego. Na budowę przeznaczono ze skarbu państwa 12.000 pesos złota, licząc prócz tego na składki prywatne. Wielu deputowanych odnowiło wspólnie uroczyste poświęcenie siebie, swych rodzin i całej rzeczypospolitej N. Sercu P. Jezusa. W stolicy, w Cuenca, na prowincyi urządzono manifestacye i nabożeństwa na podziękowanie Bogu za tak katolicką uchwałę zgromadzenia narodowego. Kamień węgielny pod nową bazylikę założyć miano w rocznicę zabójstwa Garcii Moreno, ale niespodziewane przeszkody odwlekły tę uroczystość aż do 5 października 1884. W miesiąc później zwalczył rząd wybuchłą niespodzianie rewolucyę radykałów, a w parę miesięcy rozproszył ostatecznie błąkające się tu i owdzie bandy komunistów.

Nowy prezydent Józef Maria Placido Caamano, idzie dalej, jeśli może nie z tą samą energią, to przynajmniej w tym samym kierunku, co nieśmiertelnej pamięci Garcia Moreno. Radykalni usiłowali poróżnić ministeryum z prezydentem; szczęściem zamiary te spełzły na niczem. Naturalnie dziwić się nie można tym gniewom, gdyż życie katolickie, nietamowane ani żelaznymi, ani biurokratycznemi łańcuchami, rozwija się w całej pełni. Dość powiedzieć, że Rektor uniwersytetu z Quito, Eliasz Lasso, w liście do Papieża, datowanym dnia 1 września 1884, zatwierdziwszy wierność i przywiązanie całego Ekwadoru do Stolicy Piotrowej, zamieścić mógł następujący ustęp:

„W imieniu wszystkich dziekanów i profesorów, przyobiecuję Waszej Świątobliwości, jako Rektor tutejszego uniwersytetu, iż młodzieży, nam powierzonej, żadnej innej nauki w materyach filozoficznych, moralnych i teologicznych, wykładać nie będziemy, jak tylko zaleconą nam w przemądrych Encyklikach W. Świątobliwości naukę św. Tomasza z Akwinu".

Słowa te nie są czczym frazesem, gdyż rząd pragnąc zadośćuczynić życzeniom papieskim, zreorganizował wydział filozofii i literatury, umyślnie w tym celu, aby módz katedrę filozofii poruczyć uczonemu Dominikaninowi, O. Jackowi Lacamera. Gimnazya i szkoły normalne oddane są przeważnie w ręce Jezuitów, Lazarystów i Braci szkół chrześcijańskich. Przed rozpoczęciem obrad czwartego synodu prowincyonalnego w Quito, przesłał prezydent stołecznej rady miejskiej następny list do prezesa synodu Arcybiskupa z Quito:

Quito 25 maja 1885 r.

„Najprzewielebniejszy Księże Arcybiskupie!

„Z niemałą pociechą udaję się do Ciebie N. Księże Arcybiskupie z oficyalną prośbą, abyś raczył wyjednać u Ojców czwartego synodu prowincyonalnego, rezolucyę, na mocy której wszyscy proboszcze ściśle-by byli obowiązani do wizytowania szkół względnych swych parafij i do wykładania w tychże szkołach katechizmu, historyi świętej i kościelnej".

„Słowo Proboszcza katolickiego, jak sam wiesz najlepiej Naj-

przew. Księże Arcybiskupie, zawiera skarby prawdziwej mądrości, której tak bardzo potrzebują dzieci naszych wiosek".

„Niech Bóg ma Cię w swej opiece, N. księże Arcybiskupie".

J. M. Batallas.

Nie ma potrzeby mówić, z jakiem uznaniem i wdzięcznością przyjął Arcybiskup i synod tego rodzaju wezwanie. W obradach synodu, rozpoczętego w dzień N. Serca Jezusowego, 12 czerwca b. r. brało udział siedmiu prałatów, zarządzających dyecezyami Ekwadoru. Synod uchwalił różne dekreta, odnoszące się do obrony wiary, seminaryów i misyj; wypracował również, stosownie do życzenia Ojca św., obszerny memoryał w kwestyi dziesięcin. Biskupi Ekwadoru opierając się na usposobieniu ludności i uchwałach samegoż rządu, wręcz przeciwni są przemienieniu dziesięcin w inny rodzaj podatku poddanego i zależnego od władzy świeckiej. Tegoż samego zdania zdaje się być minister handlu, o ile przynajmniej sądzić można ze słów, zamieszczonych w memoryale przedłożonym parlamentowi:

„Przed zadekretowaniem zniesienia dziesięcin, należałoby koniecznie wymyślić środki, zabezpieczające Kościołowi utrzymanie wygodne, przyzwoite i odpowiednie. Dziesięciny są własnością Kościoła, a przeto nietykalności ich strzeże najświętsze prawo".

Rzecz prosta, że przy ogólnym tak pięknym rozkwicie katolickiego życia, prasa katolicka Ekwadoru niemniej pięknie się rozwija. Prócz wydawanych poprzednio *„El progreso"*, *„El Deber"*, *„La Republica del Sagrado Corazon de Jezus"*, w ostatnich paru miesiącach powstały trzy nowe pisma: *„El Porvenir"*, *„El Germen"*, i *„La Defensa"*. Pisma to katolickie formą i treścią; wszystkie choć w odmiennych zwrotach podają następne słowa programatu, zamieszczonego w pierwszym numerze *„El Germen"*, z 10 czerwca r. b.:

„Raz na zawsze oświadczamy, iż *„El Germen"*, choćby miał być naznaczony nazwą nietolerancyjnego, nie przyjmie nigdy do swych łamów wolnomyślnych teoryj, stojących w przeciwieństwie do religijnego *Credo* swych redaktorów, którzy będąc duszą i ciałem katolikami, uważają sobie za sławę i zaszczyt stać w szeregach chrześcijańskiej demokracyi".

Największe niebezpieczeństwo grozi w tej chwili niezależności i wolności Ekwadoru, ze strony Stanów Zjednoczonych. Od dość dawnego już czasu Stany Zjednoczone chwytają każdą nastręczającą się sposobność dozwalającą im wmieszać się do spraw hiszpańsko-amerykańskich państewek; zasadę *Monroe'go*: „Ameryka dla Amerykanów", zmienili oni obecnie w nieco inaczej brzmiącą: „Ameryka dla północnych Amerykanów i stosownie do niej nie tają się z chęcią pomnożenia dotychczasowej liczby stanów. Na chwilę zdawało się, że pożądany pretekst się znalazł. W lecie b. r. uwięził rząd Ekwadorski jakiegoś awanturnika a jawnego spiskowca Juliusza Santos. Uwięziony wykazał się, że jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, a minister waszyngtoński spraw zagranicznych Bayard zagroził, choć w nieurzędowej drodze, najenergiczniejszymi środkami, jeźli Santos natychmiast nie zostanie na wolność wypuszczony. Sprawa zaogniła się i kto wie, jakieby miała skutki, gdyby prezydent Caamano nie chwycił się bardzo zręcznie dyplomatycznego wybiegu. Niespodzianie dziennik urzędowy ogłosił powszechną amnestyę dla wszystkich politycznych więźniów, a ponieważ i Santos do tej kategoryi należał, mógł więc bez dalszej zwłoki opuścić niegościnne brzegi Ekwadoru. Pan Bayard niechętnie prawdopodobnie dowiedział się o tej wspaniałomyślności prezydenta; ale jeśli Stany Zjednoczone zamierzają istotnie i na seryo rozciągnąć swój protektorat na Ekwador, znajdą niechybnie nowych Santos'ów na swe usługi, a w braku tychże drogą faktu zawsze zakończyć mogą, z mogącym pokój im mieszać sąsiadem.

Biorąc ogólnie, niewesoły obraz przedstawiają nam hiszpańskie kolonie Ameryki południowej. Dzieje ich obecne streścić można jednem słowem: niestałość i zamęt. Obecnie w Chili panuje kulturkampf, w Ekwadorze era pomyślności i rozwoju religijnego; czy za miesięcy kilka, czy może zanim te wiersze doczekają się honoru druku, stosunki te wręcz się nie zmienią, tego w tej chwili przewidzieć nie można, ale zastanowiwszy się nad historyą południowej Ameryki w bieżącym wieku, nie można i nie należałoby zbyt się temu dziwić.

L.

„Schronisko“ ks. Lubomirskiego i zakłady księdza Dom Bosco.

W obec skromnych środków ekonomicznych naszego społeczeństwa nie możemy się skarżyć na brak prywatnych fundacyj. Zakłady dobroczynne, w głównych przynajmniej miastach naszych, wzmagają się i kwitną, stypendya szkolne tak się mnożą, że nie brak głosów wołających, że już ich za wiele, a raz po raz pojawiają się, z dumą i radością kraju, prawdziwie królewskie fundacye, jak Skarbka, pani Helclowej i teraz księcia Aleksandra Lubomirskiego. Dodać trzeba na chlubę naszego społeczeństwa, że te fundacye nie miewają celów niskich, dziwacznych, luksusowych, jak się to często w innych krajach, zwłaszcza w Anglii i Ameryce przytrafia, ale poświęcone są zawsze najszlachetniejszym interesom kraju: nauce, wychowaniu młodzieży, wspieraniu ubogich i cierpiących. Ten ostatni cel w szczególności na cześć zasługuje, bo jest nawskróś chrześcijański, dowód wiary w społeczeństwie naszem żyjącej i zadatek błogosławieństwa Bożego nad niem. Kiedy bogacze pogańskiego świata fundowali cyrki, teatra, łaźnie, a nędzarzom pozwalali konać w gemoniach i na wyspie Eskulapa — dziś panowie nasi fundują szpitale, ochrony i schroniska. To samo już jest miarą odległości tych dwóch cywilizacyj.

Ale niedosyć że mamy wspaniałe fundacye i szlachetne dla nich cele, trzeba jeszcze, żeby te fundacye w najpełniejszej mierze i w najlepszy sposób dosięgały tych celów. I nad tem warto się zastanowić w chwili, kiedy nowa i tak żywo cały kraj obchodząca powstaje fundacya.

Są ludzie którzy w takich razach myślą najprzód o tem co właściwie jest najpodrzędniejszą kwestyą: w jakim guście postawić wspaniały gmach? jakie miejsce dla niego dobrać?... Od tych warunków pomyślność i urodzajność fundacyi bardzo mało zależą. Owszem, jak się zacznie wiele myśleć o wspaniałym gmachu, trzeba będzie wspaniałego placu pod ten gmach — i wspaniałych w gmachu apartamentów dla dyrektora, wice-dyrektora, nadzorców i t. d. i również wspaniałych pensyj dla tych wszystkich panów — i łatwo do tego przyjdzie, że z tych dwóch milionów tylko okruchy do-

staną się biednym a właściwym ich dziedzicom. Wspaniałość miłosiernego dzieła na tem zależy, żeby jaknajwięcej niedoli najskuteczniej poratować. Otóż, to zależy przedewszystkiem od dyrekcyi, od jej ducha i sposobu prowadzenia zakładu. I o tem trzeba głównie myśleć.

Rozmaite instytucye publiczne, rozmaitych wymagają kierowników: biblioteki i muzea powierzają się uczonym, galerye obrazów znawcom sztuki, ale dzieła i zakłady miłosierne żądają rąk i serc chrześcijańską miłością natchnionych, i z wyższego powołania uczynkom tej miłości oddanych. Jest to faktem, o którym cała historya świadczy, i który najnowsze próby w Niemczech i we Francyi coraz więcej potwierdzają, że miłosierdzie nie daje się sekularyzować. Miłosierdzie, nieznane w pogańskim świecie, przyszło na świat na łonie Kościoła i po dziś dzień zostaje Kościoła specyalnością, w której mu nikt inny dorównać nie może: ciepłem, skutecznością i nawet ekonomią[1]. A nie szukając dalej, w samym Krakowie znam ten i ów zakład dobroczynny, na małe rozmiary, z zarządem świeckim i płatnym, gdzie opiekunowie, najzacniejsi ludzie, w głowę zachodzą, nie mogąc dać rady nieładowi, waśniom i nadużyciom wszelkiego rodzaju. Z tem zestawić trzeba głośne dziś lamenta szpitalów i ochronek we Francyi i Niemczech, po wygnaniu Sióstr Miłosierdzia; a przeciwstawić temu cudne obrazy, które p. Maxime du Camp w *Revue des deux Mondes* kreślił przed rokiem „O miłosierdziu prywatnem w Paryżu".

Ale łatwiej jeszcze się obejdzie bez tego religijnego elementu tam, gdzie jak w szpitalach, miłosierdzie nad ciałem jest pierwszem i bezpośredniem zadaniem, nierównie trudniej bez niego się obejść, gdzie leczenie duszy stoi na pierwszym planie. A takim właśnie jest zakład od ks. Lubomirskiego zamierzony. Celem jego, podług fundacyi, jak donoszą gazety, ma być „religijne i moralne wychowanie opuszczonych lub źle prowadzących się chłopców". Takiemu zadaniu, które z natury rzeczy i według tenoru samejże fundacyi jest zadaniem religijnem, odpowiadają normalnie wycho-

[1] Przez Kościół nie rozumiem tu tylko kleru i zgromadzeń zakonnych, ale też wszystkie stowarzyszenia świeckich i nawet indywidualne dzieła na podstawie religijnej i katolickiej oparte, w przeciwstawieniu do urzędowych i płatnych zarządów.

wawcy religijni, tj. nietylko ludzie religię mający, ale z pobudek religijnych, dla miłości Bożej i z wyższego powołania temu dziełu się poświęcający.

Wiem, że pod Warszawą kwitną „Osady rolnicze i przytułki rzemieślnicze“ w podobnym celu założone; ale zauważyć trzeba, że ta instytucya ma charakter czysto prywatny, wciąż kierowana jest przez ludzi z poświęcenia nią się opiekujących a po drugie że, gdzie niemożebne są zakłady z charakterem religijnym, tam błogosławieństwo Boże, im właściwe, inną drogą spływa. A jeśli jeszcze indziej podobny zakład w takich warunkach prosperuje, i tam, nie wątpię, podobne wyjątkowe istnieją powody.

Ale ponad te pojedyńcze fakta patrzyć trzeba na ogół dzieł miłosiernych w świecie, zestawić ich rezultaty moralne z wynikami filantropii urzędowej, obrachować oszczędność pensyi i mieszkania, a więc i materyalną korzyść, jakąby przyniosło prowadzenie zakładu przez zgromadzenie zakonne, obliczyć nadewszystko szanse moralnych i religijnych korzyści, które są wyraźnym zakładu celem — i na tej podstawie powziąść decyzyę.

Nie do nas ta decyzya należy, wolno nam jednak poddać, co nam na myśl przychodzi.

Kościół miał w każdym wieku, z daru Bożego, nadzwyczajnych ludzi, wykonujących nadzwyczajne dzieła, nacechowane znamieniem „Palca Bożego“. I nasz wiek — niemniej godny litości Bożej od innych — posiada takich ludzi. Między nimi jest Dom Bosco.

Dom Bosco, jak każdy człowiek przerastający współczesnych, ma już swoją legendę. Za życia otoczono go cudownością, nie zawsze nawet poważną i godną. Ale dzieła jego, całemu światu wiadome, lepiej niż ta legenda dowodzą, że jest prawdziwie mężem bożym — do miary dawnych wielkich sług bożych. W naszym jednak kraju, którego nie dosięgła jeszcze jego działalność, warto parę słów o nim powiedzieć.

Roku 1840, w zakrystyi ubogiego kościółka w Turynie, młody i ubogi księżyna uczył katechizmu znalezionego na ulicy podrostka, który się nawet przeżegnać nie umiał. Nazajutrz ten ulicznik, Garelli imieniem, sprowadzał do księdza Bosco kilku kolegów, po miesiącu było ich 20. Z tego zawiązku miała się w kilku dziesiąt-

kach lat rozwinąć olbrzymia instytucya, która dziś rozgałęziona jest na obu półkulach, kształci sto tysięcy młodzieży w rzemiosłach, w sztukach, w umiejętnościach; z opuszczonych przeważnie i na moralne zatracenie skazanych dzieci, wykształciła już tysiące kapłanów i setki tysięcy rzemieślników, rolników i porządnych ludzi wszelkiego zawodu; wytworzyła dla utrzymania i krzewienia tego dzieła wspaniałe zgromadzenie religijne, liczące dziś 6000 członków, a obsługujące 150 zakładów, we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, Ameryce południowej i aż pośród dzikich Patagończyków.

Jakim sposobem z ziarnka gorczycznego wyrosło tak prędko to olbrzymie dzieło? takim, jakim zwyczajnie powstają i wzmagają się dzieła Boże: poświęceniem i przeciwnościami. Zaledwo Dom Bosco z przyjacielem swoim Dom Borelli urządził sobie szkółkę i kapliczkę w pożyczonych z miłosierdzia dwóch pokoikach, a już go z tych izdebek wyrzucają. Gromadzi więc dziatwę na publicznym placu, katechizuje i zabawy wspólne urządza, ale i stąd Magistrat wypędza jego zbyt hałaśliwych słuchaczy, *fiore di canaglia*. Ks. Bosko najmuje łąkę, pod gołem niebem spowiada starszych, bawi młodszych — nabożeństwo dla dzieci w niedzielę rano a zabawa wieczorem, są w każdem miejscu początkiem jego działalności — i na tej łączce ubogi apostoł snuje plany o wielkich gmachach, szkołach rzemieślniczych, warsztatach, kościołach... Tymczasem i z tego schronienia spędza go właściciel o trawę troskliwy; aż do tego w końcu przychodzi, że go podejrzywają o pomięszanie zmysłów i razu jednego już wiozą do zakładu obłąkanych.

Wszelako ku spełnieniu „szalonych marzeń“ księdza Bosko coraz więcej się miało. Nie mogąc nastarczyć liczbie wzrastającej uczniów, Dom Bosko kształcił osobno najzdolniejszych, uczył ich włoskiego i francuskiego języka, arytmetyki, nawet trochę łaciny; ci mali *maestrini* wyręczali go już w robocie, a dziś ci sami przewodniczą najwspanialszym zakładom we Włoszech, Francyi i Ameryce. W braku odpowiednich książek, mistrz sam po nocach pisał podręczniki. A gdy w mnóstwie dochodzącej dziatwy znajdowali się raz po raz tacy, których nie było dokąd po nauce odesłać, namówił starą matkę swoją do sprzedania winnicy po ojcu, sprowadził ją do Turynu i z tym kapitalikiem, przy pomocy takiej gospodyni, otworzył pierwszy internat. Zrazu ci interni, póki nie było domowych warsztatów, wy-

chodzili na dzienną robotę do fabryk i rzemieślników, w południe wracali na „polentę“, którą z nimi dzielił Dom Bosko, wieczorem czekała ich rozrywka; niebawem przybyła gimnastyka, kształcenie w śpiewie, muzyka instrumentalna. Dzieci księdza Bosko (jak je nazywano) odznaczały się pobożnością w kościele, pilnością i wykształceniem w pracowniach, moralnością w całem postępowaniu i czemś więcej jeszcze. W czasie srogiej cholery 1854 roku, gdy co żyło w Turynie pierzchało przed epidemią, młodzież z zakładu Boski z heroiczną odwagą oddała się na usługi bliźnich, obsługiwała chorych po szpitalach i domach prywatnych, a przy staraniach o ciało pamiętała zawsze i o duszach, zachęcając i przygotowując do Sakramentów św.

Ta próba ogniowa przechyliła szalę opinii na stronę księdza Bosko. Miasto Turyn powierzyło mu własny internat, powstała większa kaplica, panie turyńskie rozebrały między sobą opieranie i naprawę bielizny dziatek. Sława czarodziejskiego wpływu Dom Boski na młodzież i daru opanowywania najtrudniejszych charakterów tak się szerzyła po świecie, że mu z najdalszych stron, aż z Afryki, przysyłano najgorszych i najtrudniejszych do wychowania chłopców. W pierwszych dniach bywały gwałtowne sceny, rzucania się do oczu i t. d., ale pod czarem tego zaklinacza tygrysięta zmieniały się niebawem w jagniątka, a raczej w prawych i zawsze silnego hartu młodzieńców. W prowadzeniu księdza Bosko objawia się dziwny dar odkrywania i wyzyskiwania dobrych stron każdej jednostki. Nigdy on natury nie łamie, tylko ją prostuje i uszlachetnia. Między swą dziatwą ustanawia mnóstwo urzędów zaufania, by dać pole do inicyatywy i rozwoju charakteru. Mistrzowskiem okiem odgaduje w nich rozmaite talenta i stosownie do tego rozmaicie ich prowadzi; co już w pierwszych czasach, o których mówimy, dało powód do rozgałęzienia jego zakładów wychowawczych na przeróżne kategorye. Z początku, jak wspomniałem, słał swoich chłopców na zarobek do obcych fabryk. Wkrótce pozakładał u siebie dla jednych warsztaty rzemieślnicze, dla drugich rolnicze kolonie. Niebawem postrzegając u wielu z tych chłopców zdolności do nauk, kształcił ich sam i z pomocą dobranych nauczycieli w językach klasycznych, urządzał licea i gimnazya rządowym równe. Wreszcie między tymi uczniami upatrując zarodki kapłańskiego powołania

pielęgnował je z doborem; i powstały w jego „Oratorium“ (tak bowiem swój instytut nazywał) gruntowne studya filozoficzne i teologiczne. Przyrodnicze też nauki szczególną otoczył troskliwością, rozumiejąc ich przeważne w naszym wieku znaczenie. Niema zawodu w społeczeństwie, do któregoby ten duch prawdziwie szeroki nie gotował dobranych ludzi — z dziatwy z rynsztoku pozbieranej. Niedawno temu w Rzymie na ulicy rzucił mu się do nóg poważny pułkownik; a gdy się ks. Bosko dziwił, „Ojcze, powiedział mu, ja jestem tym Jankiem urwiszem, któregoś przed laty w błocie nadybał. Dzięki twemu wychowaniu, awansowałem w wojsku i wyszedłem na człowieka. Przyjdź teraz pobłogosławić mojej żonie i dzieciom“.

W końcu, pięknym pomysłem dobrze zrozumianej ekonomii, te wszystkie działy „przemysłu“ księdza Bosko wzajemnie sobie służą i wszystkie niemal potrzeby swoje opędzają: nietylko bowiem własne drukarnie wytłaczają książki, któremi Dom Bosko i jego uczniowie zalewają lud włoski, ale jest też własna lejarnia czcionek, i świeżo własna papiernia powstała.

Przyszła wreszcie chwila pomyślenia o utrwaleniu wzrastającego i już błogie owoce przynoszącego dzieła. Trzeba było dobrać pomocników, natchnąć ich duchem założyciela, ukształcić w towarzystwo przeżyć mogące człowieka. I — dziwne są drogi Boże — myśl ta nie wyszła od ks. Dom Bosko, ani od żadnego z pobożnych jego przyjaciół, ale od tego, który przyłożył był co dopiero rękę do zniesienia wszystkich klasztorów w Piemoncie, od wspólnika i powiernika Cavour'a — ministra Ratazzi'ego. Już wprzódy ks. Bosko zetknął się był z Ratazzi(m w sprawie więzień. Ażeby go przekonać, że można młodych zbrodniarzy moralnymi środkami prowadzić i naprawiać, podjął się był 300 takich więźniów na całodzienny spacer za miasto wyprowadzić, bez żadnego strażnika — i wszystkich do jednego napowrót, do kaźni odprowadził. Teraz minister, patrząc na społeczne owoce dzieła ks. Bosko, a lękając się nurtującej Włochy rewolucyi, sam go zawezwał i wręcz mu zaproponował założenie odpowiedniej kongregacyi. Pokorny ksiądz zrazu się wahał i ociągał, ale gdy go minister zapewnił, że byleby w swym statucie zastosował się do nowożytnego prawodawstwa, rząd udzieli mu wszelkiej opieki, a pobożni i światli przyjaciele jednozgodnie tę myśl

popierali, zabrał się do dzieła. Konstytucya, którą napisał, jest krótka, jędrna, szeroka, jak jego umysł: wszelkie stopnie i rodzaje wychowywania i kształcenia młodzieży wchodzą w zakres działalności kongregacyi; zwykłe trzy śluby zakonne wiążą jej członków, z tą różnicą, że ślub ubóstwa nie wzbrania im posiadania własności, tylko użytek dochodów każe przełożonym pozostawić. We wszystkiem zaś wieje słodki i łagodny duch św. Franciszka Salezego, którego kongregacya za patrona i mistrza duchownego życia uznaje i od którego się zowie „Towarzystem Salezyanów".

Tę konstytucyę po długich naradach potwierdził Pius IX. r. 1870. Jak dziwnie prędko od tej chwili nowa kongregacya rozwijać się poczęła, jakie we Włoszech, Francyi i Hiszpanii przynosi owoce, jak doborowymi ludźmi zapełnia wszystkie zawody, jak silnym wałem odpiera rosnącą falę socyalnej rewolucyi i przewrotnych doktryn, jak wreszcie sięgnęła już drugiej półkuli, i w Brazylii, w Paragwaju, w rzeczypospolitej Argentyńskiej, nawet w Patagonii między dzikimi szerzy ewangelię i zarazem wznosi swe wzorowe pracownie i rolnicze kolonie... tego w krótkim artykule opowiedzieć nie mogę i nie potrzebuję. Powyższych kilka rysów o samym założycielu dotąd żyjącym i o pierwszych jego pracach, wystarcza do naszego celu.

Do czegóż więc tem opowiadaniem zmierzamy? do tego oczywiście, że zgromadzenie księdza Bosko dało za naszych czasów dowody najwyższego uzdolnienia do prowadzenia takich właśnie zakładów, o jakim ks. Lubomirski pomyślał. Zawezwanie przeto tej kongregacyi do prowadzenia tego zakładu zdaje się najwyraźniej wskazanem. I nie przeszkadza temu bynajmniej oddanie fundacyi w ręce rządu, gdyż właśnie specyalnością tej kongregacyi jest, że stosuje się najzupełniej do nowożytnego prawodawstwa i godzi się nawet z takim rządem, jakim jest włoski, *a fortiori* więc z naszym zgodzić się potrafi.

Słyszałem już mówiących że niepraktycznem byłoby do obcej udawać się kongregacyi, że dosyć już mamy klasztorów w Krakowie... W gruncie, to mało znaczące argumenta. Dziś ta kongregacya może nie posiada jeszcze Polaków, ale nie pierwszy to kraj, w którymby miała z nowa zacząć, a wszędzie umiała trafić od razu do dzieci ludu i wkrótce wyrobić sobie odpowiedne krajowe narzędzia.

Dużo już jest klasztorów, ale wiek po wieku przynosi nowe potrzeby, dla których Bóg nowe wznieca instytucye. Kto zaś zaprzeczy nasuwającej się myśli, że przeciwko wzmagającemu się dziś socyalizmowi i zepsuciu najniższych warstw, ta właśnie kongregacya, naprawiająca i kształcąca z takiem powodzeniem wyrzutki społeczeństwa, jest prawdziwem i właściwem lekarstwem Bożem?

Ale jeśli koniecznie w kraju i w mieście naszem trzeba szukać kierowników dla tej fundacyi, mamy i tu podobnie wskazanych i czynem, choć na mniejsze rozmiary, do tego dzieła ukwalifikowanych. Podobnie, jak oratoryum ks. Bosko w Turynie, rozwija się w Krakowie na Kleparzu skromne przytulisko dla zebranych z ulicy dzieci. Przed trzema laty, pełen poświęcenia Ks. Siemaszko Misyonarz począł gromadzić opuszczonych chłopców, zbierał na nich od drzwi do drzwi, katechizował ich, raz nakarmiał, drugi raz na noc przytulał. Dziś ma ich 50, w ubogim przytułku; najmłodszych posyła na dzień do ochrony, starszych do terminu, kilku do szkoły, a wszystkich uczy, bawi, moralnie kształci i zupełnie utrzymuje, bez innego grosza, prócz tego jaki mu Opatrzność z dnia na dzień przez ręce miłosiernych osób przysyła. Taka próba, powtarzamy, jest lepszą od wszelkich egzaminów i godności urzędowych do podobnego dzieła kwalifikacyą. A chociaż nie pytaliśmy się o zdanie ks. Siemaszki, przypuszczamy, że nietylko on osobiście, ale i zgromadzenie XX. Misyonarzy jako takie, podjęłoby się chętnie pracy w schronisku ks. Lubomirskiego, tak odpowiedniej ich powołaniu — byleby z nich nie robić urzędowych pionów, pod zarządem komitetów i podkomitetów, ale pozwolić Zgromadzeniu rozwinąć po swojemu chrześcijańską działalność, pod ogólną kontrolą zwykłych władz państwowych.

Wreszcie — tą uwagą kończymy — cokolwiekbądź się postanowi, jeśli się ma wysłać komisyę do zbadania zakładów tego rodzaju za granicą, na pierwszem miejscu wypadałoby ją posłać do Turynu.

Podajemy te wszystkie uwagi na własną rękę, w nadziei, że ci, którzy wpłynąć mogą na postanowienie rządu o tym zakładzie, zechcą je o tyle uwzględnić, o ile w nich coś prawdy przedmiotowej znajdą. *Ks. M. Morawski.*

ENCYKLIKA „IMMORTALE DEI“

I LIBERALIZM.

Wiek upływa od ogłoszenia sławnych „Zasad 1789 r.“ Francya rewolucyjna już przygotowuje wyjątkowo wspaniały obchód tego jubileuszu narodzin idei panującej. Sto lat, to młody wiek dla światowładnej doktryny. Chrystyanizm dziewiętnaste liczy stulecie, a jeszcze zmarszczków nie ma. Lecz idea „nowego prawa“, liberalizm, wylęgły przed wiekiem z Wolteryańskiej filozofii, wprowadzony w świat z łyskaniem i grzmotami rewolucyi, dziś już widoczne zdradza symptomy marazmu: we wszystkich niemal kierunkach, w życiu parlamentarnem, w publicystyce, w wychowaniu, w ekonomii politycznej, w nauce społecznej już się przeżył, już własne jego potomstwo urąga jego bezsilności; a głębsze umysły, nawet z pomiędzy synów rewolucyi, zapowiadają, że obchód rocznicy 1789 roku będzie zarazem datą pogrzebu liberalizmu. Świat, który jeszcze przed pół wiekiem tak gorąco, tak młodzieńczo wierzył w zasady wielkiej rewolucyi, dzisiaj znajduje się bez doktryny, bez wiary żadnej — kuszony z jednej strony szałem socyalizmu, z drugiej pesymizmu rozpaczą.

Otóż, nim ta stuletnia rocznica wybije, odzywa się głos, przypominający światu, że po za doktryną liberalizmu, którą on jedynie zna — po za zmorą socyalizmu, która go dręczy mówiąc mu: nie ma już nic dla ciebie, prócz mnie — jest jeszcze inna nauka, którą on znał za młodu, pod której ożywczym wpływem nabrał sił i wyrósł na męża, o której zapomniawszy w dojrzałym wieku, przyszedł właśnie do takiego zrospaczenia o sobie i o wszystkiem. Głos ten przemówił z tej ambony jedynej w świecie, tak wysoko postawionej,

że i mędrcy co o własnym rozumie silą się zagadkę świata rozwiązać, i ludy w używaniu życia zatopione, i władzcy ludów władzy Boga nad sobą nie znający, muszą prawdę z niej głoszoną usłyszeć — z tej ambony, nad którą wiecznie unosi się Duch św. a z której nigdy słowo fałszu nie padło.

Wszystkie pisma katolickie uwielbiają piękność i głębokość Encykliki *Immortale Dei*; pisma nawet liberalne oddają hołd roztropności, mierze, duchowi pokoju, który z niej wionie. My, nie kusząc się o pomnożenie tych pochwał Encykliki, powiemy tylko o prawdziwości nauki w niej zawartej.

Od pół roku przeszło słyszeliśmy powtarzane po gazetach wieści, że Papież przygotowuje Encyklikę o liberalizmie. Różne przypuszczenia i uczucia wzbudzało to oczekiwanie. Myślano, że Papież będzie zwalczał „zdobycze nowożytnej cywilizacyi“, że potępi liberalne formy rządu, pytano się, nawet między katolikami, z pewnym niepokojem: jak też Papież określi liberalizm? jak ujmie tego Proteusza, który codzień inne przybiera postacie, który przed pół wiekiem uwodził najszlachetniejszych synów Kościoła hasłem wolności religii i wolności wychowania, a dziś z niepohamowaną zaciekłością miota się przeciw tym wszystkim wolnościom?

Ojciec św. uczynił to, czego się może nikt nie spodziewał. Już rozmaite hasła, w jakie liberalizm stroił swe doktryny: najwyższa władza ludu, prawo do buntu, równość wyznań, wolność prasy... bywały od poprzednich papieży Grzegorza XVI. i Piusa IX. raz po raz potępiane. Ale tych negatywnych orzeczeń świat nie dosyć zrozumiał. Kościół walczył za ludzkością i prawem — a myślano, że walczy za absolutyzmem, Kościół potępiał gwałt — a myślano, że potępia wolność... Otóż Leon XIII. spojrzał w głąb mętnego nurtu, z którego te wszystkie fałsze i nieporozumienia pochodziły, upatrzył, że cały ten nowożytny liberalizm, ze wszystkiemi swemi teoryami i czynami, wypływa z błędnej idei państwowej społeczności — i nie poprzestając na anatematyzowaniu błędu, przeciwstawił mu prawdziwą, całkowitą o społeczeństwie naukę — aby kto ma oczy, mógł widzieć, kto ma rozsądek, mógł porównywać[1].

[1] „Sądzimy więc, że rzecz jest bardzo wielkiej doniosłości i zupełnie z naszym Apostolskim urzędem zgodna, zestawić nowe opinie o państwie z nauką chrześcijańską, bo tym sposobem, ufamy, usuną się przyczyny błędów i wątpli-

Encyklika: *De civitatum constitutione christiana*, jest najtrafniejszym ugodzeniem w samo serce liberalizmu.

Nie jest tajno Ojcu św., że z tą nauką występuje wbrew przesądom i pojęciom dziś panującym, uważanym przez nasz wiek za najchlubniejsze jego zdobycze, przyjętym za podstawę nauk i prawa publicznego. Nie odstrasza go to, ale raczej nagli, aby okazał prawdę tym, którzy ją zgubili i tak ciężkiemi tę zgubę przypłacają klęskami. „Najwyższy i najświętszy nasz obowiązek, mówi, t. j. Apostolskie „poselstwo, jakie mamy do wszech narodów, w sumieniu Nas nagli „do wypowiedzenia prawdy z wszelką wolnością. Nie znaczy to, „żebyśmy nie rozumieli naszych czasów, albo żebyśmy prawe „i korzystne obecnego wieku postępy odpychali; ale że pragniemy „dla spraw publicznych bezpieczniejszych dróg i trwalszych pod„walin — przy zachowaniu prawdziwej wolności ludów; albowiem „matką i orędowniczką najlepszą wolności ludzi jest prawda. *Ve„ritas liberabit vos*".

Cóż więc naucza Papież?

Dwa są pojęcia uspołecznienia ludzkiego, a względnie państwa: jedno oparte na prawie z dołu, od ludzi, drugie na prawie z góry, od Boga.

Pierwsze, wyrażone w znanej teoryi kontraktu socyalnego, suponuje że człowiek nie ma nad sobą Pana — a więc ani prawa — a więc, że wszelkie prawo człowiek sobie dowolnie tworzy i dowolnie zmienia. Ludzie, wprzódy w dzikiej niezawisłości zostający, mieli się zmówić i prawa swe osobiste przelać na ogół; z tej zmowy ma pochodzić uspołecznienie ludzkie, władza państwowa i wszelkie prawa i obowiązki, jakie wiążą ludzi w społeczeństwie. W tak pojętem uspołecznieniu, „jak gdyby Bóg nie istniał, albo nie władał światem", władza może wszystkiego żądać od poddanych — bo wszelkie prawo w jej ręku spoczywa, nie ma absolutnie granic jej dowolności — a poddani mogą każdej chwili władzę obalić, bo sami ją stworzyli. W takiem państwie konsekwentnie żadnych się nie uznaje obowiązków społecznych względem Boga: państwo jest bezwyznaniowe, *la loi est athée* — co w złagodzonej formie brzmi: ró-

wości, gdy prawda na jaw wyjdzie i każdy łatwo będzie mógł poznać owe najwyższe przepisy życia, za któremi iść i których się trzymać należy". — Słowa z Encykliki, którą też w następujących przypiskach przytaczać będziemy.

wnouprawnienie wyznań, wolność sumienia. Tak pojęte państwo nie uznaje żadnego zakonu moralności, od opinii ludzkiej niezależnego — co eufemicznie się zowie: wolnością opinii, wolnością prasy [1].

Wolność! tym słowem wiecznie szermuje fałszywa doktryna — od niego się zowie liberalizmem, nim przynęca i zwodzi szlachetne dusze, które instynktowo brzydzą się ujarzmieniem — ale jakżeż gorzko ich zawodzi! Ci którzy r. 1830 z młodzieńczym zapałem — zapatrzeni w przyszłość, a przeszłości niepomni — pisali gazetę *l'Avenir*, pewni byli, że za wolnością ludzkości walczą, pytali naiwnie: czemuż nie mamy dać innym tych wolności religii i prasy, których dla siebie żądamy? Nie postrzegali, że w ich żądaniu tkwi zaprzeczenie zasady, za którąby wszyscy byli życie dali: że Bóg jest Panem najwyższym, a nie człowiek; nie domyślali się, że skoro się odejmie państwu obowiązki względem Boga, to tem samem zostawi się je w ręku dowolności ludzkiej, i że mocą i logiką tej samej zasady, doprowadzi ta ludzka dowolność do takiego gwałcenia wszystkich praw człowieka, do takiej tyranii su-

---

[1] „Z tych zasad ta jest główna, że wszyscy ludzie, jak widocznie są do siebie podobni rodzajem i przyrodą, tak też są w życiu rzeczywiście równi: każdy taką ma niezawisłość, że niczyjej zgoła nie podlega powadze... W opartej na takiej zasadzie społeczności, jedyną władzą jest wola narodu, który, sobie tylko samemu podlegając, sam też jeden tylko może sobie rozkazywać. Wybiera zaś komu powierzyć władzę nad sobą; tej jednak nie nadaje jako prawo istotne, ale jako prosty urząd, mający być piastowany w jego imieniu. W zapomnienie idzie imię Boskie, zupełnie, jak gdyby Boga wcale nie było, albo jak gdyby Bóg zgoła nie dbał o społeczeństwo ludzkie, albo jakby ludzie, pojedyńczo czy połączeni, żadnych nie mieli względem Boga obowiązków, albo wreszcie jak gdyby pojąć można zwierzchność, którejby cała siła i powaga nie wypływała z Boga. W ten sposób oczywiście państwo niczem innem już nie jest, jeno tłumem, co sam się oświeca i rządzi. A ponieważ naród w sobie rzekomo zawiera źródło wszelkiego prawa i wszelkiej władzy, zatem wynika, że państwo nie powinno się poczuwać do żadnych obowiązków względem Boga, że nie powinno żadnej religii wyznawać publicznie, że nie ma obowiązku ani szukać wiary jedynie między wszystkiemi prawdziwej, ani jednej nad inne przenosić, ani sprzyjać którejkolwiek więcej niż innym; ale ma każdej przyznać równe prawo, w takich jedynie granicach, żeby porządek państwowy nie poniósł szwanku... Ztąd zaiste wynikają: żadnych praw nieznająca wolność sumienia, najdowolniejsze zdania, czy czcić Boga czy nie, nieograniczona niczem swywola myśli i wyglaszania swych myśli".

mień, jakich lękać się nie mogli ze strony najzapamiętalszych szermierzy prawdy[1].

Liberalizm, który Kościół potępia — zrozummy to raz na zawsze — nie zależy na tej wolności, do której z przyrodzenia tęskni serce ludzkie; nie jest on wcale zwolnieniem jarzma ludzkiego nad ludźmi — bo do tego zwolnienia nikt tyle co Kościół się nie przyczynił — ale jest tylko zdjęciem wędzidła prawa Bożego, ideą państwa bez Boga, emancypacyą społeczności ludzkiej względem Stwórcy i zakonu przyrodzonego — a przez to samo oddaniem społeczności, bez granic i zastrzeżeń kaprysowi ludzi, którzy nią zawładną. Przeciwna zaś nauka społeczna, którą Papież zatwierdza, osadzając w prawie Bożem niezmienny fundament wszelkich praw i wszelkiej władzy, daje jedyny grunt, na którym godność człowieka, nietykalność jego praw i wolność prawdziwa oprzeć się i zakwitnąć mogą.

Na czemże więc ta nauka zależy? Wychodzi ona, jak się powiedziało, nie z woli ludzkiej, ale z prawa Bożego. Wszelako nie jest tu mowa o żadnym prawie objawionem, ani o osobnem ustanowieniu Bożem — jakiemu np. Kościół swe istnienie zawdzięcza — ale po prostu o przyrodzonem prawie natury ludzkiej, które jak wszystkie prawa przyrody, jest zakonem i dziełem

---

[1] Gdy jednak młody Montalambert, pod gromem Encykliki Grzegorza XVI. potępiającej gazetę *l'Avenir*, poczynał się chwiać i rozpaczać, wzniosła dusza Lacordaira odgadła prawdę i dała jej gorący i genialny wyraz:

Connais-tu les destinées de l'Europe? Sais-tu si, de ce libéralisme qui te plaît tant, il ne doit pas sortir le plus épouvantable esclavage qui ait jamais pesé sur la race humaine? Sais-tu si la servitude antique ne sera pas rétablie par lui, si tes fils ne gémiront point sous le fouet impie du républicain victorieux? Ah! tu blasphémes peut-être ce qui sauve tes enfants de l'opprobre et de la misère! Sur des persuasions d'un jour, dont tu auras peut-être pitié dans dix ans, tu t'élèves contre la plus haute autorité qui soit au monde, contre le vase de l'Esprit-Saint!... List do Montalamberta z 2. grudnia 1853.

...Es-tu bien persuadé que la liberté de la presse n'est pas l'oppresion des intelligences faibles par les intelligences fortes, et que Dieu, en courbant tous les esprits sous l'autorité de l'Eglise, n'a pas plus fait pour la liberté réelle de l'humanité que les écrits de Luther, de Calvain, de Hobbes, de Voltaire, que le ***Constitutionel*** *ou la la* ***Tribune du mouvement?*** *Est-il bien démontré pour toi que la liberté de la presse ne sera pas la ruine de la liberté européene et de la littérature?* List z 14 grudnia do Montalemberta.

Stwórcy. W naturze człowieka tkwi potrzeba, skłonność i zakon kojarzenia się w społeczność. Dążność ta wrodzona zaczyna od wytwarzania rodziny, ale kończy dopiero na społeczeństwie politycznem czyli państwie, bo w niem dopiero człowiek znajduje pełnię swych społecznych aspiracyj. Stan społeczny więc i rodzina i nawet państwo, nie jest żadnym wymysłem ludzkim, ale stanem człowiekowi naturalnym, dziełem natury [1].

Z uspołecznienia znów naturalnie wynika potrzeba władzy: jestto przyrodzonem, a więc także Bożem społeczeństwa prawem [2].

Ztąd wypływa, że władza zwierzchnicza państwa *(la souveraineté)*, będąc z prawa natury, jest od Boga, Stwórcy natury. Postać jednak tej władzy, tj. oznaczenie, kto ma ją piastować — czy jeden, jak w monarchii, czy wszyscy zarówno, jak w rzeczypospolitej, czy ma ją naród z monarchą dzielić, jak w państwach konstytucyjnych — to rzecz względna, od rozmaitych ludzkich warunków, nieraz i od woli obywateli zawisła, zawsze od kwestyi istoty i pochodzenia władzy odrębna [3].

Ztąd znowu następuje, że objętość władzy zwierzchniczej i sposób jej wykonywania nie są wcale dowolne, ale podlegają absolutnym prawom, z istoty i zadania tej władzy wynikającym. Piastunowie zaś tej władzy trzymani są w tych karbach nietylko bojaźnią ludu, ale też sumieniem i odpowiedzialnością przed Bogiem. Żadna

---

[1] „Wrodzonem jest naturze człowieka, aby żył w społeczeństwie politycznem; skoro bowiem zaspokojenia potrzeb i wymagań życia, i doskonałego rozwoju umysłu i ducha w odosobnieniu osiągnąć nie może, Opatrzność Boska zrządziła, że rodzi się dla łączenia się i jednoczenia z ludźmi, tak w rodzinie, jak i w państwie, a w tem jedynie zjednoczeniu otrzymać może zupełne zaopatrzenie życia *(vitae sufficientiam perfectam)*".

[2] „Ponieważ zaś nie może żadne społeczeństwo istnieć, jeżeli ktoś nie przewodniczy wszystkim, nakłaniając skutecznie pojedynczych ku dążeniu do wspólnego celu, wynika, że społeczeństwom ludzkim koniecznie potrzebna jest władza niemi rządząca, niemniej jak samoż społeczeństwo z natury, a więc temsamem z ustawy Boskiej pochodząca".

[3] „Z tego dalej wynika, że władza publiczna, sama w sobie, istnieje jedynie od Boga, tak że którzykolwiek mają władzę rozkazywania, nie mają jej znikąd, jeno od onego najwyższego wszystkich władcy, Boga. *Non est potestas nisi a Deo.* Władza zaś rozkazywania niekoniecznie łączy się z takim lub owakim ustrojem państwa; jakikolwiek ustrój obrać sobie może, byle rzeczywiście służył pospolitemu dobru i pożytkowi".

ratio status nie uniewinnia niesprawiedliwości, ani despotyzmu, ani wyzyskiwania władzy na osobistą korzyść rządzących [1].

Konsekwentnie i podwładni w sumieniu obowiązani są do uległości dla władzy, w czyimkolwiek ona ręku spoczywa, byle prawowicie. A nic ich do tej uległości tak skutecznie nie skłoni, jak właśnie ustalenie religijnego przekonania, że władza jest od Boga i że kto się sprzeciwia zwierzchności, boskiemu postanowieniu się sprzeciwia [2].

Tak pojęte państwo nie może być oczywiście bezwyznaniowem, ale winno czcić Boga religią publiczną, państwową, tak samo jak każdy prywatny winien go czcić religią prywatną. — Dla czego? — Dlatego, że Bóg jest twórcą społeczeństwa, niemniej jak jednostki — dlatego, że jest panem i dobroczyńcą osoby moralnej państwa i ma prawo do jej czci, nie mniej jak jest panem osoby prywatnej i jej czci wymaga — dla tego, że bezwyznaniowość państwa jest zaprzeczeniem Boga, równie i więcej mu ubliżającem, niż bezwyzna-

[1] „Ktoby dzierżył zwierzchność, ten też ma przedstawiać obraz Boskiej władzy i opatrzności nad rodem ludzkim. Władza więc ma być sprawiedliwa, nie despotyczna, ale jakby ojcowska, bo i władanie Boże nad ludźmi jest najsprawiedliwsze i z ojcowską połączone dobrocią. A piastować należy władzę dla pożytku obywateli, bo kto innym przewodzi, tylko dlatego przewodzi, żeby przestrzegał pożytku rzeczypospolitej. I żadną też miarą nie godzi się, żeby władza w państwie miała służyć jednego tylko albo kilku ludzi pożytkom, bo jest ustanowiona dla pospolitego dobra wszystkich. Jeśliby zaś ci, co sprawują rządy, dopuścili się niesprawiedliwości, samowoli, grzeszyli popędliwością lub dumą, albo źle kierowali poddanymi, niech wiedzą, że kiedyś mają zdać sprawę Panu Bogu, a to tem ściślejszą, im na świętszem stanowisku zostawali, albo im na wyższym stopniu dostojeństw stanęli. *Potentes potenter tormenta patientur*".

[2] „Tak, niechybnie majestat władzy otoczy uszanowanie obywateli uczciwe i chętne. Albowiem skoro raz przejmą się tem przekonaniem, że którzy rozkazują, dzierżą władzę daną im od Boga, to poznają też, że to słuszne i należyte obowiązki: być posłusznym władcom i oddawać im poddaństwo i wierność z uczciwością podobną do tej, z jaką bywają dzieci względem rodziców. „Wszelaka dusza niechaj będzie poddana wyższym zwierzchnościom" (Rom XIII. 1). Bo pogardzić prawowitą władzą, w czyjejkolwiek ona osobie pozostaje, nie godzi się tak samo, jak nie wolno sprzeciwiać się woli Boskiej, której kto się opiera, w zatracenie dobrowolne rzuca się. Przeto kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. Wypowiedzieć tedy posłuszeństwo i za pomocą tłumów podnosić rokosz, jest obrazą majestatu nietylko ludzkiego, ale i Boskiego".

niowość pojedynczych ludzi [1]. Dla tego wreszcie, że i poddanych interes tego wymaga: bo choć państwo ma bezpośrednio tylko doczesne dobro na celu, jednak tak do niego podwładnych kierować powinno, żeby im nie przeszkadzać, lecz owszem torować drogę do celu ich wiecznego [2].

Lecz jakaż to ma być religia państwowa? czy wrócić mamy znowu do nieszczęsnego hasła trzydziestoletniej wojny: *cujus regio ejus religio?* Bynajmniej; hasło pomienione zawiera najprzód ideę supremacyi państwa w rzeczach religijnych, a po drugie postawienie na równi różnych religij — dwie zasady protestantyzmowi właściwe, przeciwko którym katolicyzm zawsze walczył. Państwo nie ma wcale wybierać religii podług swego widzimisię, ani wszystkich religij na równi stawiać — co w gruncie na bezreligijność wychodzi — lecz powinno taką religię mieć, jaką Bóg chce być czczony, tę religię powinno za swoją uznać i wszelką opieką prawa otoczyć, wszelką pomocą władzy popierać, którą Bóg objawił i widocznemi prawdy odznaczył znamionami [3].

---

[1] „Społeczność tak urządzona, powinna oczywiście publiczną czcią zadość czynić wielkim i licznym obowiązkom, które ją z Bogiem łączą. Natura i rozum, jak obowiązuje każdego w szczególności do świętej i religijnej czci Boga, bo od Niego pochodzimy, do Niego dążymy, w Jego ręku jesteśmy, tak ten sam obowiązek kładzie na ludzkie społeczności. Albowiem ludzie w wspólne złączeni towarzystwo, nie mniej niż każdy z osobna, w Boskiej są mocy; więc niemniejszą też wdzięczność, jak każdy w szczególności, winno społeczeństwo Bogu, któremu zawdzięcza swój początek, pod którego opieką trwa i niezliczone dobra za jego łaską ustawicznie odbiera".

[2] „Winni to i swym poddanym; bo wszyscy ludzie zrodziliśmy się dla osiągnięcia najwyższego i ostatecznego dobra, w niebie, po za nędzą i znikomością tego życia doczesnego; do którego to dobra wszystkie nasze sprawy odnosić należy. A ponieważ od osiągnięcia tego celu zależy doskonałe i zupełne szczęście ludzkie, zatem nic bardziej każdego z nas nie może obchodzić. A przeto świecka społeczność, ustanowiona dla wspólnej korzyści, tak powinna radzić o doczesnej pomyślności swych obywateli, aby nietylko w niczem nie stawała na przeszkodzie do dopięcia owego największego i niezmiennego dobra, którego każdy szczerze pragnie, ale nawet do tego, o ile to możliwe, dopomagała. Do takiej pomocy głównie należy staranie o święte i nienaruszone zachowanie religii, której obowiązki łączą człowieka z Bogiem"

[3] „Podobnież i państwa nie mogą bez zbrodni tak sobie postępować, jak gdyby Boga zupełnie nie było, lub odrzucać od siebie troskę o religię, jako niepotrzebną i do niczego nieprzydatną, lub wreszcie obojętnie dobierać sobie

Ale wszystkie religie za prawdziwe i objawione chcą uchodzić— każdy swoją za najlepszą uważa — kto ma tu prawo rozstrzygnąć? Otóż w tym właśnie punkcie katolicyzm i liberalizm niemogą się nawzajem zrozumieć. Liberalizm, będąc teoryą społeczności bez Boga, wychodzi zawsze mimowoli z przypuszczenia, że wątpliwą jest rzeczą, która jest i w ogóle czy jest religia prawdziwa. Na takiem stanowisku, legalny indiferentyzm względem wyznań byłby istotnie racyonalny — tak samo jak racyonalnem byłoby zrównanie ceny złota i rozmaitych fałszowań złota, gdyby nie było probierza do rozpoznania prawdziwego złota od udanego, albo gdyby prawdziwego złota wcale nie było na świecie. Ale kto się zbliska przypatrzył złotu i ma w ręku probierz, ten ramionamiby wstrząsnął na projekt podobnego zrównania. Może się wielu ludzi na fałszywem złocie oszukiwać, ale swoją drogą, prawdziwe złoto jest czemś innem niż fałszywe i daje się od niego odróżnić.

I w religii jest prawdziwe i fałszowane złoto. Jak pewnie jest Bóg, tak pewnie podał ludziom prawdę o sobie i o stosunku ich do siebie, t. j. prawdziwą religię; tak pewnie też dał tej religii znamiona, po których by ją ludzie mogli od fałszywych religij rozeznać. Ludzie urodzeni i wychowani w atmosferze fałszywych wyznań, lub bez wyznania, mogą do pewnego stopnia o tem nie wiedzieć i wszystkie wyznania mieć poniekąd na równi. Ale katolik, który posiada ten skarb prawdy, zna jego boże znamiona, nie może — bez kłamania sobie samemu i prawdzie, która mu w oczach stoi — postawić się w przypuszczeniu, że nie wiadomo która jest prawdziwa religia. On i temu co innej wierzy religii i temu co wszystkie na równi waży, musi powiedzieć z Papieżem: Niestety! błądzicie, a sposoby przekonania się o tem macie na podorędziu [1].

---

taką, jaka się podoba; lecz mają ścisły obowiązek w ten sposób Boga czcić, w jaki sam Bóg nauczył, iż chce być czczony. A przeto święte powinno być u władzców Imię Boże, i jest to jednym z najpierwszych ich obowiązków religię otaczać opieką, przychylnością zasłaniać, powagą swą i prawami bronić, a nic nie ustanawiać i nie zarządzać nic takiego, coby jej nietykalność naruszało".

[1] „A która religia prawdziwa, nie trudno to wiedzieć temu, co zastanowi się roztropnie i szczerze; bo wiele jasnych dowodów —jak spełnione proroctwa, liczne cuda, dziwnie szybkie, nawet pomimo trudności i wbrew nieprzyjaciołom, rozkrzewienie wiary, świadectwa męczenników i inne podobne dowody — pokazują, iż to jedynie prawdziwa religia, którą Jezus Chrystus sam ustanowił i Kościołowi swemu strzedz i rozszerzać polecił"

Jestto nietolerancya, ale nietolerancya w sferze teoryi, właściwa prawdzie, która każdemu co inaczej trzyma, mówi w oczy: błądzisz. I w tej mierze — rzecz uwagi godna — żadne wyznanie nie jest tak bezwzględne w swej wyłącznej afirmacyi, jak Katolicyzm. Wszelako ta nietolerancya w teoryi godzi się z najzupełniejszą tolerancyą w praktyce. Katolik cieszący się pełnią prawdy, tem większą powinien mieć wyrozumiałość i litość dla tych, co jej nie posiadają. I tylko namiętność ludzka, a nie religia katolicka, mogła czasem doprowadzić do narzucania przemocą prawdy. Ojciec św. stawia wyraźnie, za św. Augustynem, zasadę: „że nikt przeciwko swej woli nie powinien być zmuszanym do przyjęcia wiary katolickiej". Więc i uznanie katolicyzmu za religię państwa nie wiąże się, w myśl Kościoła, z prześladowaniem innych wyznań, ale z ich tolerancyą. Co więcej, postawiwszy absolutnie prawdziwą zasadę: że państwo powinno mieć państwową religię, i to nie inną, tylko katolicką, sam Ojciec św. naucza w końcu Encykliki, że w wielu okolicznościach, dla uniknienia większego zła, z legalnem spółuznaniem innych wyznań godzić się można [1].

W jakichże to okolicznościach? Oczywiście, kiedy wielka część poddanych nie chce przyjąć prawdziwej religii, zwierzchność nie może takowej narzucić jako religię państwową; kiedy znów zwierzchność upośledza prawdziwą religię, poddani katolicy mogą i powinni się domagać równej wolności wyznań — nie jako zasady, jako stanu rzeczy absolutnie dobrego, ale jako *minus malum*, lub raczej jako części praw należących się prawdzie. Podobnie też, chociaż wolność druku, wolność nauczania i podobne wolności, w absolutnem i nieograniczonem znaczeniu, są fałszywemi i zgubnemi zasadami, jednak w państwie niechrześcijańskiem — jakich dziś wiele — gdzie ograniczenia rządowe, zamiast bronić prawdy i cnoty, obracałyby się tylko na korzyść fałszu, godzi się i nieraz trzeba tych wolności się domagać. I nie ma w tem sprzeczności ze sobą ni dwulicowości: bo prawda, mająca najwyższe prawo, a krzywdę

[1] „Jakkolwiek Kościół uważa za niedozwolone stawianie na równi z prawdziwą religią rozmaitych wyznań; przeto nie potępia jeszcze owych kierowników państw, którzy dla dopięcia wielkiego dobra, albo w celu przeszkodzenia większemu złemu pozwalają, by te wyznania swoje miejsce w państwie miały".

ponosząca, może śmiało powiedzieć: dajcie mi choć tyle z moich praw, ile błędowi dajecie. Nie uznajecie mię za prawdę — traktujcież mię przynajmniej według waszej zasady na równi z innemi doktrynami i wyznaniami.

Wszelako, by dokładnie określić stosunek państwa do religii, trzeba jeszcze bliżej tej ostatniej się przypatrzyć. Religia katolicka nie jest tylko zbiorem nauk, wyznaniem — jak tyle innych wyznań — ale ukonstytuowana jest w organizm społeczny, który Kościołem katolickim nazywamy; ztąd, stosunek państwa do religii przechodzi w stosunek państwa do Kościoła. Jestto postać religii w pewnem znaczeniu zewnętrzna, ale istotna i od samego wyznania absolutnie nierozdzielna. Ten sam, który religię nam podał, Zbawiciel nasz Jezus Chrystus, nadał jej postać społeczności: bo ustanowił jedną, hierarchiczną zwierzchność, z posłannictwem nauczania o prawdzie i sprawiedliwości wszystkich narodów, prywatnych i państwa, oraz z władzą stanowienia praw i rządzenia w sferze interesów religijnych; a wszystkich ludzi obowiązał do podlegania tej zwierzchności i przyjmowania jej nauk i duchownych rządów[1].

Z tej boskiej, w ewanielii zakreślonej konstytucyi Kościoła wynika najprzód, że cel jego nie jest wcale podporządkowany celowi państwa, ale jest wyższego rzędu i rodzaju — bo zbawienie wieczne, do którego Kościół prowadzi ludzkość, stoi ponad doczesnem szczęściem, do którego państwo zmierza. Nadto, że zwierzchnicza władza kościelna nie jest podrzędną i nie może być

---

[1] „Albowiem jednorodzony Syn Boży ustanowił na ziemi stowaszyszenie, które Kościołem się zowie, któremu poruczył poselstwo, po wszystkie wieki trwać mające, jakie i sam otrzymał od Ojca: *Jako mię posłał Ojciec, tak i ja was posyłam. Oto ja jestem z Wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata.* Jako więc Jezus Chrystus przybył na ziemię, aby ludzie *żywot mieli i obfity mieli*, tak też i Kościół ma za zadanie i cel, zbawienie dusz wieczne. Dla tej przyczyny z przyrodzenia swego jest takim, że obejmuje cały rodzaj ludzki, i żadnemi granicami, ani miejsc ani czasów krępować się nie daje. *Opowiadajcie Ewangelię wszemu stworzeniu.* Dla tej niezmiernej ilości ludzi Bóg sam naznaczył przewódców, którzyby władzę dzierżyli, i chciał, aby jeden był wszystkich głową, i największym i najpewniejszym nauczycielem prawdy, któremu klucze królestwa Niebios powierzył: *Tobie dam klucze Królestwa Niebieskiego — Paś baranki... paś owce. — Jam prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja*“.

podległą władzy państwowej, ale jest z istoty swojej samoistną i najwyższą — bo zwierzchności tych społeczeństw są w takim do siebie stosunku jak ich cele[1]. Wreszcie że Kościół jest społecznością, wprawdzie innego rodzaju niż państwo — bo z celem duchowym i nadprzyrodzonem pochodzeniem — ale tak samo jak państwo, społecznością całkowitą, samoistną, niezawisłą, według wyrazu szkoły: *societas perfecta.* Legiści jozefińscy i teologowie z szkoły Febroniusza uczyli, że Kościół jest w państwie *(Ecclesia in statu)*, podobnie jak gminy, cechy, towarzystwa handlowe i naukowe są w państwie, jako człony w całości i społeczności niecałkowite *(societates imperfectae)* w uspółecznieniu najwyższem; i opierali się na wrzekomej zasadzie: że nie mogą być dwie najwyższe władze nad jednym materyałem społecznym. Otóż tę doktrynę zwalcza Ojciec św., przeciwstawiając jej zasadę absolutnej Kościoła niezawisłości i najwyższej zwierzchności w rzeczach do religii należących - zasadę w ewanielii najwyraźniej zawartą, czynami Kościoła od czasów katakumbowych aż do dni naszych zatwierdzaną, postępowaniem władzców i państw względem zwierzchności kościelnej zawsze uznawaną [2].

---

[1] „Jak cel, do którego dąży Kościół, o wiele jest wznioślejszy, tak też władza jego nad inne celuje, i nie może być poczytaną za niższą od władzy państwowej, ani w jakikolwiek sposób być od niej zawisłą".

[2] „Rzeczywiście dał Jezus Chrystus Apostołom swoim nieograniczony mandat w rzeczach świętych, nadając im już to władzę prawodawczą w ścisłem tego słowa znaczeniu, już to władze, które z pierwszej wypływają, sądzenia i karania: *Dana mi jest wszystka władza na Niebie i na ziemi. Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody... Nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał.* A na innem miejscu: *A jeśliby ich nie usłuchał, powiedz Kościołowi.* I znów: *Abym surowiej nie postępował według władzy, którą mi dał Pan na zbudowanie, a nie na zepsowanie.* Więc przewodniczyć ludziom do nieba, nie państwa, lecz Kościoła jest rzeczą; jemu dał Bog prawo i obowiązek żeby sądził i orzekał o tem, co należy do wiary, żeby nauczał wszystkie narody, żeby rozszerzał panowanie Chrystusowe jak najdalej, słowem, żeby wolno i swobodnie sprawował rzeczpospolitą chrześcijańską, według własnego rozumienia. — Nigdy też nie przestawał Kościół przypisywać sobie tej zupełnej i niezawisłej zwierzchności i wykonywać jej w obec całego świata, chociaż oddawna prześladuje ją pochlebiająca władcom filozofia. Apostołowie pierwsi broniąc tej zwierzchności odpowiadali, że *więcej trzeba słuchać Boga, aniż ludzi*, kiedy książęta synagogi zabraniali im Ewangelię rozsiewać. W miarę potrzeby dziełami swemi za tąże zwierzchnością obstawali święci Ojcowie Kościoła, a papieże nigdy nie zaniedbywali z nieugiętą wytrwałością bronić jej

Zatem nie jedna, ale „dwie są, mówi Papież, najwyższe władze, między któremi rozdzielił Bóg rządy ludzkości“. Ludzie, celem uchronienia się od tyranii, dzielą na różne sposoby zwierzchniczą władzę: innemu dają moc prawodawczą, innym sądowniczą i wykonawczą; Bóg zostawił te szczegóły *disputationibus eorum*, ale sam postanowił rozdział między władzą świecką a duchowną — główny kamień węgielny konstytucyi ludzkości, najistotniejszą warownię wolności i godności człowieka.

Jakiż więc ma być stosunek między temi dwiema zwierzchnościami? Czy walka? czy układ, konkordatem zwany? — Właściwie, ani jedno ani drugie. Walka między państwem i Kościołem tylko z ułomności ludzi wyniknąć może — jest chorobą w ciele ludzkości — konkordat jest lekarstwem na przypadek tej choroby, sztucznym środkiem do usunięcia anormalnych kolizyj; normalnym zaś stanem, zdrowiem społecznego organizmu jest naturalne zestrojenie, związek z natury rzeczy wynikający między kościelną a państwową społecznością.

Wszystko co Boże, jest harmonijne i porządne. Bóg, który nawet w przyrodzie, nierównie niższej od ludzkości sferze, wszystkie siły i żywioły tak harmonijnie skojarzył i stosownie do celu świata urządził, jakżeżby miał w społeczności ludzkiej naturalną utworzyć sprzeczność? Musi więc być w myśli bożej i leżeć w naturze rzeczy jakiś przyrodzony, harmonijny stosunek tych dwóch bożych utworów: państwa i Kościoła. I w istocie, cele obu społeczności są centrami, z których, jak pięknie się wyraża Papież, zakreślają się właściwe sfery praw i działania obu władz; ci sami poddani należą do obu zwierzchności, te same nieraz przedmioty leżą w obu sferach — ale pod innym względem; tak dalece, że w każdym przypadku, z natury rzeczy, z właściwych zadań Kościoła i państwa wypływa,

---

przeciw napastnikom. Owszem, sami monarchowie i rządcy państw i słowem i czynem uznawali tę władzę, gdyż mieli zwyczaj odnosić się do Kościoła, jak do najwyższej władzy, zawierając z nią umowy, układając sprawy, śląc posłów i przyjmując ich nawzajem, i innymi wzajemnymi stosunkami. A zaprawdę trzeba przyznać, że nie bez szczególnego zrządzenia Boskiej Opatrzności, ta władza uzyskała też świeckie panowanie, jako najbezpieczniejszą swej wolności tarczę“.

co się należy jednemu, a co drugiemu, co trzeba oddać Bogu, a co Cezarowi: słowem prawa obu władz są do siebie jak cele. Ztąd wynika, że obie społeczności, Kościół i państwo, naturalnie spojone są harmonijnym związkiem — *ordinata colligatione* — podobnym do również naturalnego, harmonijnego i z ręki bożej pochodzącego związku między ciałem i duszą [1].

Dopiero gdy ten ład się zamąca, gdy to zdrowie organizmu społecznego szwankuje, potrzebnem bywa i pożądanem lek konkordatów. W których to układach, mówi Ojciec św., Kościół po macierzyńsku postępuje, bo nie żąda niczego od państwa, czegoby i bez konkordatu nie miał prawa żądać, a ze swoich praw ustępuje zwykle państwu co tylko może — byleby zaciemnione granice obu władz jawnie zostały określone, a powody niesnasek i zguby dusz usunięte [2].

---

[1] „Więc Bóg rozdzielił rządy nad rodem ludzkim pomiędzy dwie władze — duchowną i świecką; pierwszą przełożoną nad sprawami boskiemi, drugą nad ludzkiemi. Każda z nich jest w swoim obrębie najwyższa: każda ma pewne swoje granice, a to istotą rzeczy i właściwemi każdej przyczynami zakreślone; ma opisany sobie jakby obręb, w którym każda władza właściwą sobie działalność wykonywa. Ale ponieważ obie władze mają tychsamych poddanych, zdarzyć się może, że rzecz jedna i tasama, chociaż w inny sposób i pod innym względem, podpada pod prawa i sąd obu władz razem. Dlatego musiała najwyższa Opatrzność Boska wyznaczyć właściwe i porządne postępowanie obu tych władz, które sama ustanowiła. Inaczej powstawałyby często powody do zgubnych sporów i wątpliwości... takie zaś przypuszczenie zupełnie się sprzeciwia mądrości i dobroci Boga, który nawet w materyalnych zjawiskach, choć te o wiele niższego są rzędu, pogodził siły i wzajemne działania w cudowną harmonię, tak że jedno nie przeszkadza drugiemu, a wszystko stosownie służy do końca, do którego świat dąży. Więc między obydwiema władzami musi zachodzić związek wzajemny, który słusznie porównać można do połączenia, jakie jednoczy w człowieku duszę z ciałem. Jaki zaś jest ten związek, osądzić tego inaczej nie można, jak tylko przez zbadanie istoty obu władz, jakoteż doniosłości i zacności każdej z nich. Jedna przedewszystkiem zmierza do opatrzenia wygód doczesnego bytu, druga stara się o dobra niebieskie i wieczne. Więc cokolwiek w rzeczach ludzkich jest z jakiegobądź względu świętem, cokolwiek tyczy się zbawienia dusz, albo służby Bożej, czy to z istoty swojej, czy z przyczyny, do jakiej się odnoszą, to wszystko podpada władzy i sądowi Kościoła; a wszystko inne, co zawarte w obrębie spraw świeckich i politycznych, słusznie zależy od świeckiej zwierzchności; bo Jezus Chrystus rozkazał oddawać cesarzowi co cesarskiego, a co Boskiego Bogu".

[2] „Zdarzają się zaś niekiedy czasy, gdy inny jeszcze sposób pogodzenia rzeczy daje bezpieczną swobodę, to jest, gdy władcy państw i Papież rzymski

Tak omówiwszy prawidłowy stosunek między państwem a Kościołem, Leon XIII kreśli wspaniały obraz społeczeństwa żyjącego pod błogim wpływem „tej harmonii rzeczy boskich i ludzkich". Wszystko w takiem społeczeństwie żyje i rozwija się zdrowo i wzorowo — rodzina i praca, działalność władz i obowiązki poddanych względem zwierzchności — dla tej jednej, głębokiej i niezmiernie doniosłej przyczyny, że w takich stosunkach wszystkie czynniki dobra godzą się w sercu ludzkiem, potęgują się wzajemnie i do jednego zmierzają: religia i powinność obywatelska, bojaźń boża i poszanowanie ustaw, sumienie i przymus, prawo i siła — i nie ma wówczas tej fatalnej rozterki, w której dusze tracą równowagę, Kościół traci środki zbawiania narodów, a państwo traci sankcyę sumienia i majestat bożego zakonu.

Przechodząc następnie z teoryi do dziejów, Leon XIII kreśli wielkiemi pociągami, już epokę, w której „filozofia ewanielii" okazała swą dzielność, z barbarzyńskiego materyału wytwarzając chlubę historyi, „rzeczpospolitą chrześcijańską" — już peryod rozstroju i upadku, poczynający się od buntu religijnego reformacyi, a dochodzący do swego zenitu w rewolucyi francuzkiej. Tu idea uspołecznienia bez Boga formułuje się w doktrynę, zwaną „nowem prawem", „zasadami r. 1789". Papież wykłada ją, w przeciwstawieniu do prawdziwej, dopiero rozwiniętej nauki, i jeden z niej płat po drugim odrzuca i rozgramia:

Zasada, że absolutny początek władzy jest w ludzie, nie w Bogu, jest nieracyonalna i dla społecznego porządku zgubna [1].

---

zawrą ugodę na jednakowe postanowienia o jakimś poszczególnym wypadku. W takich razach Kościół daje szczytne dowody macierzyńskiego swego usposobienia, gdyż nieraz do możliwie najdalszych kresów posuwa swoją wyrozumiałość i pobłażliwość".

[1] „Samo wrodzone światło rozumu przekonuje, że takie zasady o rządzeniu państwami dalekie są od prawdy. Bo gdziekolwiek jakabądź istnieje władza, świadczy o tem przyroda że pochodzi z Boga, jako z najwyższego źródła. Władza zaś ludowa, która, jak mówią, z pominięciem Boga spoczywa z przyrodzenia w mnóstwie, choć doskonale nadaje się do tego, aby schlebiać rozmaitym żądzom, jednak ani się nie opiera na żadnej rozsądnej podstawie, ani nie zdoła utrzymać bezpieczeństwa powszechnego i trwałego porządku. Zaiste, przez tę naukę rzeczy doszły do tego, że już niejeden zawarł w dziełach o prawie, zdanie o godziwości podnoszenia rokoszów. Przyjęto bowiem zdanie, że władcy niczem nie są więcej, jak wybrańcami ludu, co wy-

Zasada równości wyznań jest ateizmem [1].

Zasada nieograniczonej wolności słowa i druku jest niemoralną [2].

Zasada wykluczenia Kościoła od wychowania, od prawodawstwa, od wpływu na rodzinę, jest wielkim i zgubnym błędem [3].

Moralność cywilna, czyli od religii oderwana, jest niemożliwą [4].

---

konywać mają jego wolę; ztąd wynika, że wszystko się musi zmieniać razem z zachciankami ludu, i zawsze musi grozić pewna obawa zawichrzeń".

[1] „Utrzymywać zaś o religii, że nie ma istotnej różnicy pomiędzy rozmaitemi i sprzecznemi między sobą wyznaniami, wychodzi na to samo, co nie chcieć zgoła żadnej przyjąć wiary, ani w sercu ani w życiu. To zaś w rzeczy samej nie różni się rzeczą od ateizmu, choć różni się w słowach. Bo kto jest przekonany, że Bóg istnieje, ten, jeżeli nie chce sam sobie zaprzeczyć i popaść w niedorzeczność, koniecznie rozumie, że nie mogą być równo uzasadnione, równo dobre, równo Bogu miłe wszystkie w używaniu będące sposoby czci boskiej, kiedy tyle zachodzi między nimi różnic i w najważniejszych kwestyach sprzeczności".

[2] „Tak więc ona wolność zdania i wolność mowy i prasy nieograniczona nie jest żadnem istotnem dobrodziejstwem, z któregoby społeczeństwo ludzkie słusznie mogło się cieszyć, lecz źródłem i początkiem wiela złego. — Wolność, jako przymiot doskonalący człowieka, powinna odnosić się do tego, co prawda, co dobre; prawda zaś i dobro nie zmienia się według widzimisię człowieka, ale zostaje zawsze tem samem, nieodmiennem, jak nieodmienną jest istota rzeczy. Jeżeli rozum zgadza się na błędne poglądy, jeżeli wola obiera i skłania się do tego, co złe, to obie tem nie doskonalą się, ale tracą swoją przyrodzoną godność i psują się. Więc cokolwiek sprzeciwia się cnocie i prawdzie, tego nie godzi się wyjawiać i oczom ludzkim przedstawiać, a tem mniej osłaniać to względami i powagą prawa. Tylko cnotliwie spędzone życie jest drogą do nieba, do którego wszyscy dążymy, i dlatego państwo odstępuje od zasad i przepisów prawa przyrodzonego, ilekroć zezwala na tak wyuzdaną swobodę zdań i czynów niemoralnych, iż można bezkarnie dusze od prawdy, serca od cnoty odwodzić".

[3] „Kościół zaś od Boga samego ustanowiony wykluczać od swobody życia, od praw, od wychowania młodzieży, od wpływu na rodzinę, jest błędem wielkim i zgubnym. Nie może bowiem pomyślnym cieszyć się stanem państwo pozbawione religii".

[4] „Już może więcej niżby potrzeba przekonano się, co to jest i dokąd zmierza owa cywilna czyli sekularyzowana filozofia życia i obyczajów. Mistrzem prawdziwym cnoty i stróżem obyczajów jest Kościół Chrystusowy; onto broni onych nietykalnych zasad, z jakich wypływają obowiązki, a przedstawiając pobudki najskuteczniejsze do uczciwego prowadzenia życia, każe nietylko unikać czynów złych, ale także na wodzy trzymać wszelkie poruszenia ducha rozumowi przeciwne, nawet do czynu nie dochodzące".

Poddanie Kościoła państwu. jest źródłem waśni wszelkich i nieszczęść dla społeczeństwa [1].

Z drugiej strony wypowiada Papież, czego w postępie i zdobyczach naszego wieku Kościół nie potępia:

Nie gani Kościół żadnej z rozmaitych form rządu — od monarchii aż do demokratycznej rzeczypospolitej — byleby społeczeństwo uszczęśliwiały [2].

Nie potępia bynajmniej Kościół udziału ludu w prawodawstwie [3].

Nie gani nawet, jak się powiedziało, legalnego uznania innych wyznań, gdzie prawdziwa religia nie może być bez przymusu powszechnie zaprowadzoną [4].

Nie gani, owszem pochwala i całem sercem popiera ustawy i ubezpieczenia przeciw samowoli władców i przeciwko wkraczaniu rządu w sferę gminy, rodziny i osobistych praw człowieka [5].

Nie lęka się Kościół postępu nauki, owszem wita go z radością i niechybnie po nim oczekuje nowych zatwierdzeń dla bożej prawdy, której jest piastunem [6].

---

[1] „Chcieć zaś, aby Kościół w wykonaniu swych powinności władzy świeckiej był podległym, wielką jest krzywdą i nieroztropnością. Takiem postępowaniem narusza się porządek, bo przenoszą się rzeczy przyrodzone nad nadprzyrodzone, niszczy się, albo co najmniej umniejsza obfitość dobra, jakąby Kościół, nie będąc krępowanym, opatrywał wspólne potrzeby, a nadto najpewniejsza ściele się droga do waśni i sporów, które ile szkody przyniosły obu społecznościom, aż nadto często okazało doświadczenie".

[2] „Te wszakże nauki i postanowienia, byle je zdrowo rozumieć, nie ganią żadnej z rozmaitych form rządu; boć te nie mają w sobie nic nauce katolickiej przeciwnego, ale owszem roztropnie zastosowane, mogą państwo w kwitnącym i pomyślnym zachować stanie".

[3] „Owszem, i tego się nie potępia, że lud mniej lub więcej uczestniczy w sprawowaniu rządu; bo to w pewnych okolicznościach i warunkach może być nietylko korzyścią, ale nawet i obowiązkiem obywateli".

[4] Obacz przypisek (I.) na stronie XVIII.

[5] „Rzeczywiście też cokolwiek jest szczególnie pożytecznego dla dobra pospolitego, cokolwiek dla ukrócenia samowoli Książąt niedbałych o dobro swych ludów, mądrze postanowiono, co zabrania najwyższej władzy natrętnego wtrącania się w sprawy miejskie i rodzinne, co zdoła zachować godność i osobiste prawa człowieka i słuszny podział praw i obowiązków pomiędzy obywatelami — to wszystko, jak świadczą wieki ubiegłe, Kościół katolicki albo wynalazł, albo popierał, albo wytrwale bronił".

[6] „Ponieważ, cokolwiek jest prawdą, to od Boga musi pochodzić, więc wszelki wynik badań ludzkich zgodny z prawdą, Kościół uznaje za ślad

Chętnie patrzy Kościół na rozwój sztuki, przemysłu i na wszelkie postępy, nawet w sferze materyalnego dobrobytu — przestrzegając tylko, że cel człowieka w wyższych leży sferach [1].

Kończy Ojciec św. najwspanialszem orzeczeniem prawdziwej wolności, którą Kościół uznaje i którą wedle możności ludy obdarza: wolności w życiu wewnętrznem, wypierającej niewolę błędu i tyranię namiętności — wolności w życiu cywilnem, dającej obywatelom najszerszą swobodę działania w sferze dobra — wolności w życiu narodowem, uchylającej obce jarzmo [2].

Taka jest w swym ostatnim wyrazie nauka Kościoła o państwie. Jakież są w obec niej obowiązki katolików?

Obowiązki te — naucza Papież — dotyczą najprzód przekonania. W tym wieku zamąconych pojęć i doktryn, gdzie co chwilę błąd najzgubniejszy graniczy z prawdą, katolicy powinni pilniej i wierniej niż kiedykolwiek stać u stóp ambony Piotrowej, znać jej naukę, brać ją za kierownicę swych umysłów i mianowicie względem tych nowożytnych zdobyczy, które już tylu katolików nieszczęśliwie uwiodły, a tak przewrotnemi okazały się w skutkach, trzymać się niewzruszenie wszystkich jej orzeczeń.

Bożej mądrości. A że nie ma nic w zakresie prawdy przyrodzonej, coby ujmowało wierze w objawienie, niejedno zaś ją popiera, wszelkie zaś odkrycie prawdy zachęcić może do poznania lub uwielbiania Boga, przeto cokolwiek do rozszerzenia zakresu wiedzy przyczynić się może temu zawsze sprzyja Kościół św. i podobnie, jak inne nauki, tak i te, które za cel mają wytłumaczenie przyrody, pielęgnować będzie i popierać".

[1] „W naukach tedy, kiedy umysł coś nowego wynajdzie, Kościół się nie sprzeciwia, i nie zabrania szukania nowych sposobów dla zabezpieczania wygód i przyjemności życia — owszem, jako wróg gnuśności pragnie, by ludzkie umysły ćwiczeniem i wyrabianiem się jak najobfitsze przynosiły owoce; dodaje on zachęty wszelkiego rodzaju sztukom i dziełom — a kierując wszelkie tego rodzaju usiłowania ku temu, co uczciwe i zbawienne — stara się tylko wpływem swoim przeszkodzić, by przemyślność człowieka nie odwodziła go od Boga i dóbr wiecznych".

[2] „Prawdziwą i pożądania godną jest taka wolność, co w stosunkach prywatnych broni człowieka od służenia błędom i namiętnościom, tym naszym tyranom najgorszym, w życiu zaś publicznem obywatelom mądrze przewodniczy i daje szeroką możność w nabywaniu wszelkiej pomyślności, a zarazem broni państwa od obcej przemocy. Taką więc wolność, godną człowieka, Kościół przedewszystkiem pochwala i nigdy nie ustawał w staraniach i zabiegach, aby ją narodom trwale zabezpieczyć i zachować".

Są także obowiązki czynu, dotyczące publicznego i prywatnego życia. Tu stawia nam Papież przed oczyma bohaterskie postacie starych chrześcijan, którzy wśród cięższych od dzisiejszej walki zapasów, pośród przegniłej cywilizacyi pogańskiej Romy, świecili życiem bez skazy, tworzyli wzorowe rodziny, i państwu które ich prześladowało po obywatelsku służyli. Tym przykładem wzywa Ojciec św. katolików, żeby znowu wśród chylącego się ku pogaństwu społeczeństwa, jaśnieli wzorem nieskalanego życia — bo świat nie uwierzy nauce, której czyny kłamią — żeby po katolicku rządzili swymi domami i o wychowaniu dziatek w miłości wiary i Kościoła dbali — żeby w końcu wedle możności brali udział w życiu publicznem i chociaż organizm społeczny zakażony jest fałszywemi zasadami, żeby się starali osobistym udziałem wlać we wszystkie jego żyły choć trochę zdrowej krwi: sumienności, prawych zasad, chrześcijańskiego poświęcenia.

Trudno w jedną wiązkę ścisnąć te wszystkie przestrogi, wskazówki, rozstrzygnienia, dotyczące publicznego życia, które Ojciec św. z niezrównaną wymową i siłą na jednej karcie streścił. Miłość synowska Kościoła w duszy, na ustach i w czynie życia publicznego — zgoda serc i umysłów, z uległością dla Pasterzy — strzeżenie się doktryn cuchnących naturalizmem — w dziennikach mianowicie uchylenie stronniczych waśni i podejrzliwości, a łączność w obronie praw bożych i najwyższych społeczeństwa interesów: oto są główne środki, jakimi katolicy najlepiej się przysłużą dwom społecznościom, których są członkami: Kościołowi, pomagając mu do krzewienia bożej prawdy, i państwu, zwalczając błędy i namiętności, jego bytowi grożące.

Taki jest całokształt tej Encykliki *De civitatum constitutione christiana*, która jest i pozostanie jednym z największych pomników XIX. wieku, jasnem, całkowitem i z najwyżej upoważnionego źródła pochodzącem orzeczeniem chrześcijańskiego prawa publicznego. Następujące pokolenie synów Kościoła mniejsze będzie miało pole do dyskutowania, niż miało przeszłe, ale jaśniejszą drogę do czynu. Encyklika Leona jest pomyślniejszą jutrzenką dla XX-go wieku, niż był kontrakt społeczny Rouss'a dla XIX-go.

XXVIII

Chcąc odrazu dać pogląd na całość tego aktu papieskiego, musieliśmy tylko pobieżnie najważniejszych dotykać kwestyj. Ale w istocie rzecz wymaga studyów głębszych i wykładów obszernych. Świat katolicki o te studya się postara. Każdy ustęp Encykliki wywoła książkę. A w Bogu nadzieja, że i *Przegląd* nasz, w latach następnych, pełnię nauki społecznej w Encyklice zawartej skromnym strumykiem po naszej ziemi rozniesie.

X. M. Morawski.

SZUJSKI JAKO POETA.

Wydawnictwo zupełne dzieł Józefa Szujskiego już się rozpoczęło. Ci, którzy ochotnie dopomogli do tego pomnikowego przedsięwzięcia, mają już przed sobą trzy tomy: pierwszy z Poezyami, tom piąty, mieszczący pierwszą seryę Opowiadań i Roztrząsań historycznych i tom pierwszy III. seryi zawierającej Pisma polityczne. A więc są to właśnie rzeczy, w których może najwięcej uwydatnia się artystyczna strona autora, w których Szujski jest nie tylko głębokim myślicielem, gruntownym badaczem, twórcą nowej szkoły historycznej, przezornym politykiem i moralistą, ale także i mistrzem formy.

Kładziemy nacisk na te ostatnie słowa, dlatego właśnie, że możemy się spotkać z niedowierzaniem. Forma — ale to właśnie, czego jedynie brakowało Szujskiemu! powiedzą nam ci, co znają tylko jego Dzieje Polski i pisma, które powstały wśród zmudnej a tak wielostronnej pracy. Szujski zbyt wiele naraz chwytał przedmiotów, ogarniał całe przestwory wiedzy i myśli a rwał się do czynu, wszystko poruszał potęgą swej inicyatywy, wielu najważniejszym zadaniom i sprawom sterował, w ciągłej ducha i myśli postaci rozdawał się swej braci, a spieszył się żeby podać społeczności najwyższe prawdy, zdobyte w mozole i walkach wewnętrznych, aby zapełnić sobą liczne braki, odeprzeć napastników i szkodników, poruszyć to, co najpotrzebniejsze, najżywotniejsze, a wszystko przytem zgruntować, i ściśle, wielostronnie określić. Ta właśnie mozoła, ten nadmiar, ta gorączka odbiła się w jego stylu, w jego wykładzie. Ztąd też bogactwo treści rozsadza niekiedy formę, ścisłość przeszkadza jasności, a obfitość poglądów, streszczanie ostatecznych rezultatów sprawia, że rzeczy poczęte wśród mozoły ducha z mozołą się też czytają.

Ale to nie zawsze i nie we wszystkiem. Szujski był poetą i artystą, tylko zbyt często poświęcał piękno dla prawdy. Zdobył on sobie sławę jako przywódca na polu historyi, a wpływ — życiem, działaniem, czynem, walką. Zapomniano więc że był za młodu, że był do końca poetą. Wiersze jego drukowane za młodu rozproszyły się w czasopismach; późniejsze utwory poetyczne rzadko kiedy drukował, z wyjątkiem dramatów. Dziś dopiero, mając przed sobą całość jego poetycznej kreacyi, krytyka i historya literatury może naznaczyć miejsce, jakie Szujskiemu na Parnasie polskim należy. Lubo nie stworzył jednego arcydzieła, w hierarchii poetycznych duchów, w łańcuchu wielkich natchnień on staje w pośród najwyższych i podaje ostatnie ogniwo. On stoi u podwoi świątyni poezyi, odczuwa i streszcza to, co ona wypowiedziała, i jej kluczem otwiera drugą świątynię, świątynię historyi. Szujski rzucił pomost między jedną a drugą epoką, między światem wyobraźni a światem niemniej idealnym prawd zawartych w księdze przeszłości a przekazanych przyszłości. Jego imieniem zaznaczy się osobna epoka w literaturze i umysłowości polskiej, również jak w życiu politycznem społeczeństwa naszego.

Olbrzymi w tej duszy odbył się proces, a gdy cały żywot był twardą służbą, jedynie z poetycznych utworów możemy wyśledzić dzieje wewnętrzne.

Otwórzmy więc tom poezyi, na którego czele umieszczony portret Szujskiego, z doskonałej fotografii, co w szczęśliwej chwili zdołała uchwycić ten niedający się określić wyraz, kiedy Szujski mówił rzeczy najgłębsze. Wszystko z tego portretu wyczytać można: poezyę obok badawczej przenikliwości, tytaniczną siłę ducha i hart niezłomny z nerwowym nastrojem połączony, wyraz wielkiej miłości dla idei, obok odcienia szyderstwa w uśmiechu. Gdyby nie ściśle znane daty, gdybyśmy autografu nie mieli wielokrotnie w rękach, trudno byłoby uwierzyć, że wiersz pierwszy: W noc przedświtną, napisał pacholęciem dziesięcioletniem. Data krwawa 18 lutego 1846 r. Z tego samego roku ale już po katastrofie, są trzy błogosławieństwa dla tych, „co łzy bolu leją, co prawdy pragną, co prześladowani“. Niemniej zadziwiającym jest wiersz *Confessione* z r. 1853, a więc młodzieńca 17-letniego, który już zmierzył całą krainę zwątpień, a poetycznie określa wszystkie pokusy doktryn

niewiary. Od Kanta do Darwina, wszystkiego już pytał, doświadczał — i wrócił do ołtarzy, katechizmu i konfesyonału.

Mówią włoskie kroniki o owym Pico de Mirandola, co w czternastu latach został mistrzem wszystkich umiejętności. Fenomen to mnemoniczny; u Szujskiego większy fenomen psychologiczny; łatwiej było w XV. stuleciu posiąść całą wiedzę, niż w XIX. wieku przepłynąć wszystkie Scylle i Charybdy, a w młodocianych latach zwycięsko przebyć wszystkie burze, i powrócić do ostoi.

Wiersz ten, to ważna data w życiu Szujskiego do której nieraz w listach i rozmowach powracał, ilekroć spotykał ludzi wątpiących i błądzących po manowcach. On do krzyża tak wcześnie powrócił, i skarb wiary, który zdobył samodzielnie, dochował do końca.

Powraca też młodociana pogoda, rojenia idealnej miłości, studenckie uniesienia i poloty dziwnie lekkie, promienne, czyste. Tu księżyca obiera za powiernika (na wiejską nutę), tam gwiazdom się zwierza, tu młody Otello maluje sobie postać urojonego rywala, ówdzie kreśli zakon miłosny; szkoda że w tym dziale ominięto pełen siły wiersz do Aurelii.

O Zosieńce sierotce śpiewa Szujski tak rzewnie, jak Lenartowicz na swej lirence; ale w tej sielance jest wyznanie własnej boleści po zgonie matki. Lecz łzy strąca z powiek i budzi się do życia, aby w grobie łzami swemi nie zamącić spokoju zmarłej.

Wręcz odmiennego nastroju jest wiersz Prometejska modlitwa. Wszystkie struny narodowej lutni były już ograne, stargane, kiedy Szujski zaczął pisać; wszystkich już użyto zaklęć, wszelkich wzywano już bożyszcz, ale najwięcej palono kadzideł na ołtarzu nieznanego starożytnym bóstwa, mitycznej potęgi, która miała łamać czego rozum nie złamie i, nie zamiary mierzyć według sił, ale siły według zamiarów. Młody poeta zamiast parafrazować, jak czynili wszyscy inni, Odę do młodości i wzniecać słomiany ogień zapału:

Ze wszystkich bogiń z Olimpu szczytu
Jednę wybieram sobie.
Alke *potężna, boginio siły*,
Nie z mgły niebieskiej, ale z granitu,
Chcę żyć i umrzeć przy tobie.

A nie jest to cześć siły odtąd bardzo rozpowszechniona którą on głosi, ani wezwanie siły büchnerowskiej od materyi nierozdzielnej, lecz siły ducha.

Ty mię ochraniaj rycerską stalą,
Bądź towarzyszką mego żywota.
Gdy Prometeja w twarde kują pęta
Nie daj mi jęku wydrzeć z piersi hardej,
Ale stać niemy z pojrzeniem pogardy
Alke ty święta!

Potrzebie niech ugną się mali,
Niech karły do nóg się jej walą;
Nie mogąc płynąć za falą
Ja niechaj płynę wbrew fali.

Wezwaniu temu pozostał Szujski wierny, a główną cechą odróżniającą go od idealizmu poprzedników a materyalizmu następców, że on z siłą się rachuje, jej wymogów nie pomiata, siłę w sobie i w drugich budzi, serca tętna żelazną osłania zbroją i czoła nie zdobi w pióra, lecz w żelazną przyłbicę, a nigdy sile materyalnej nie ulega, nigdy powodzeniu nie hołduje.

W ostatnich czasach, kiedy Szujski rzadko do spracowanej brał lutnię ręki, zjawili się wieszczkowie, co zbierali kwiatki zapomniane na niwie romantyzmu, aby je złożyć na ołtarzu nowych bóstw pozytywnych. Płynęli oni zawsze z falą, omijając skrzętnie przybytki wiary, tradycyi, wszystkiego, co z ducha poczęte; Prometeusza wywoływali także postać, ale inaczej brzmiała ich pieśń, dostrojona do akordu ulicznej gawiedzi i nowej doktrynki, co szczepić chciała Darwina, Maleschotta i Büchnera na szczepkach mrzonek rodzimych. Szujski jest w plejadzie poetów, podobno ostatnim, co silnie stoi przy sztandarze duchowym a stąpa pewnym krokiem po gruncie rzeczywistości:

Bo w głuszy zimowej ze śniegu płatami
Myśli mi płyną obficie:
I pokój się cały napełnia duchami
Co błyszczą tam, w niebios błękicie.
. . . . . .
Witają mię, garną, Chrystusa czeladka
Sługy świętego Kościoła...

I jak w „Przedświcie“, przesuwają się duchy przeszłości wśród zimowej głuszy.

W czasach, gdy parafrazowanie Krasińskiego i przerabianie Słowackiego tworzyło szkołę epigonów mistyczno-romantycznej poezyi, lub też Heine i Musset znajdowali u nas mnogich naśladowców, Szujski rozrzuca w „Czytelni dla młodzieży“, „Niewieście“ i „Dzienniku literackim“ wiersze może mniej od innych wymuskane, ale pełne jędrności, zdrowia i siły. Niedowiarkom dowodzi on nieśmiertelności duszy: „uciśnionych krzykiem“ i zbrodni tryumfem:

Gdy nie chcą wierzyć w niebiosów istnienie,
Niech w nieśmiertelność uwierzą przez piekło.

W przeczuciu burz nadciągających rzuca ostrzeżenia:

Niechaj was głosy syren nie łudzą,
Co będą nęcić was ciałem;
Nadzieją gardząc zdradliwą, cudzą,
Stójcie pod skrzydłem jej białem.

Nie obcą poecie była ogólna pokusa mesyanizmu; zwyciężył on ją i odtrącił, gdy pisał młodzieniaszkiem wiersz *Confessione;* teraz pociesza się, może nie tyle za siebie, ile za mistrzów, co jej ulegli, i pokolenie co ją odczuło:

Kiedy pokusy bolem kołatan,
Rozważam grzech mój wszelaki,
Nieraz mi szepce anioł czy szatan:
Nie jesteś znowu zły taki!

bo nie było w tobie sobkowstwa i brudu, jeśliś złorzeczył imieniu Boga, lub wstrząsał dłonią kolumny Kościoła.

Tyś za Chrystusem chodził po duchu,
Chociażeś przeczył Go w czynach.

Pokorą tylko i poznaniem Zakonu dźwiga się grzesznik.

I każdy dumny i każdy sławny
Co świata dzierżył koleje:
Padnie mu na pierś syn marnotrawny
I w miłość jedną stopnieje.

Inwokacyą postaci dziejowych w „Świąteczną Godzinę“, kończy się ten dział wierszy, których ulotnymi nazwać trudno, każdy z nich ma jakąś tezę głębszą i tylko w skrzydła poetyczne przybraną.

Przyszły tłumacz Eschylesa, zagląda za młodu do Anakreonta i daje kilka prób swego dla klasyków starych pociągu. Klasycznego w nim jednak nie ma spokoju; on także dzieckiem wieku, dusza

jego pełna rozdźwięku, rozstroju w żądzy czynu, w nerwowych drganiach i konwulsyjnych rzutach.

Światy w nią rzucić, ona się roztworzy,
Jak kwiatu kielich po rosy dar Boży,
Wypije chciwie kroplę ros promienną
I schnie na nowo w pragnienia upale,
Światy w nią rzucić, ona je wspaniale
Jako świat większy, zasklepi w swem łonie,
I patrzy pragnąc w inne światów tonie.
. . . . . .

To obraz własny, który kreśli Szujski w antytezie do wizerunku duszy o niezmąconej ciszy, pogodzie i jasności.

Wiersz „Maksyma“ godny naznaczenia; poeta nie chce się pytać, „co niesie czas, jaki będzie los, gdzie spotka nas zgon“, ale wie, że trzeba

Stać, gdzie stał dziad, gdzie stanie twój syn.
Stój, kiedy obydwa ci każą
. . . . . .
Gdzieś się rodził, żyj, — gdzieś się rodził, służ,
Gdzieś się rodził, tam konać waszeci.

Nie zatrzymujemy się, przerzucając te karty, nad rozsianymi kwiatami, chcemy tylko wydobyć ziarno; ale tego ziarna tak tu obficie, tak ono jędrne, źrałe a pokrzepiające, że wiele pominąć musimy.

Przeważa strona religijna, odniesienie wszystkich zagadnień, potrzeb, pragnień, walk do prawd bezwzględnych. Szujski jako historyk nie od razu trafił na tory ściśle katolickie; w wcześniejszej atoli epoce, jako poeta, ukazuje nam głębię swej wiary, oczyszczonej z wszelkich przymieszek idealizmu który często, nie brakiem ale nadmiarem rozmija się u innych z tem co poprostu Kościół do wierzenia podaje.

W dwóch hymnach Szujski, na ton Psalmów Krasińskiego, daje odpowiedź na to, co w Krasińskim jest owym nadmiarem i zboczeniem.

Nie powiadaj, żeś na krzyżu,
Jak twój święty Pan!
Łotrem raczej bądź w pobliżu
Krwawych Jego ran!
. . . . . .
I zagłębion w toń sumienia
Czytaj Pańskie przeznaczenia,

Uznaj świętą dłoń!
A odrodzon w łez topieli
Wydrzesz biały jak anieli,
Mściwą niebu broń.

Dzieje wewnętrzne duszy skreślił Szujski pod pseudonimem Jerzego Prawdzica w zbiorze poezyi: „Poważne chwile“ 1860 r., drukowane w dodatku do *Czasu*.

Dumałem długo, czy te duszy dzieje
Samotne z Bogiem sumienia rozmowy,
Zatopię w piersi, jak w konsze perłowej
Czy w świat, jak czarę ofiarną wyleję.

Jak godło z pierwszej księgi Danta wyjęte wskazuje, jest to pielgrzymka w podziemia piekielnych zwątpień i niebieskie zaświaty wiary po najwyższe tajemnice. Zamiast Beatryczy, duch matki zmarłej wyprowadza poetę ze światów ciemności i stawia go przed majestatem Boga. Rękopism tego poematu zdobiły rysunki ręki autora: godła śmierci, trupie głowy, katafalk ze zwłokami matki i godła odkupienia i zmartwychwstania: krzyż otoczony aniołów wieńcem, wizerunek Częstochowskiej...

Znać, że każdy tu wiersz był wypłakany i wymodlony, że autor pisał, gdy przebywał najcięższą życia boleść i najwyższe ducha zdobywał skarby.

. . . . . .
Ale bez łaski Twojej, o mój Boże,
Lecz, gdy nie świecą mu Anieli Stróże,
Kiedy mu uśmiech Maryi nie przyświeca,
Ducha szarpanie i jego tęsknica,
Jego podloty, skrzydeł szamotanie,
To tylko nicość, słabość i konanie.
To duma tylko, to grzeszne zachcenia
A jego bole Panie — nie cierpienia.
. . . . . .
Lecz gdy mu łaską przyświecisz niebieską,
Gdy go ustroisz w suknie pomazania
Wtedy powstanie wspaniale, królewsko,
Duch, władca śmierci i pan zmartwychwstania.

A odkąd ten zbawczy promień łaski pokornem przyjmował sercem, odtąd gorczyczne ziarno prawdy Chrystusowej rozrastało się w jego piersi w drzewo chrześcijańskiej mądrości, a duch potężniał, lubo zawsze cierpieniem, walką z pokusami myśli, prężył się po zdobycz najwyższych prawd, najgłębszych tajemnic, w ich zwią-

zku doczesnym z historyą i wszystkiemi sferami żywota ludzkości i w ich abstrakcyi najwyższej, wiekuistej, pozaświatowej.

Prawd Twoich Panie misterna budowa,
Jako cudowny tum dawnych stuleci
W duchu człowieczym stoi lazurowa
Jaśnieje słońcem i gwiazdami świeci...
. . . . . .
Lecz grzeszna dusza inaczej zobaczy
Prawd Twoich świętych misterną budowę:
Kiedy na serce drgające w rozpaczy,
Gdy na płonącą od męczarni głowę
Świątynia duszy z grzmiącym hukiem pada,
I każdy kamień, i każda arkada
Serce okrwawi i mózg jej oznaczy.

W tych dziejach wewnętrznych duszy lotnej, wrażliwej, umysłu badawczego, wyobraźni, która igra światłocieniem, i serca miłującego, ale pozbawionego ciszy, dręczonego niepokojem, jest jedna scena takiego zakroju, że przypomina Fausta, a bardziej jeszcze Dziady. O duszę młodzieńca wydają tu walkę dwa wpływy, matki i mistrza.

Wielki i sławny? co ci się roi po głowie,
Bądź poczciwy, to dosyć, jak twoi dziadowie.—

mówi pobożna matka — a gdy syn odczuwa dziwną wonność słów macierzyńskich, ale odtrąca „spokój i mierność“,

Nie zrozumią się plemiona więcej,
Które kilka dziesiątek lat dzielił
Świat w szalonej swej topieli
Dusi dawne, stawia nowe,
A szyk dzieci pacholęcy
Musi iść przez ojców głowę.

Na to matka:

Synu, synu, szatan z ciebie gada.
Chryste Panie!

A mistrz dorzuca podnietę tej dumy, co najprzystępniejsza dla młodej wyobraźni, w słowach:

Piękny jesteś — w twem czole ból świata —
Oto darzę cię uściskiem brata.

Kto znał Szujskiego, ten wie, że i on nie był wolny od choroby „weltschmerzu“; ale ta epidemia, która miękkie wole zwykła była roztapiać na wosk marzycielstwa, bajronizmu, wieczystej pozy

bez czynu i siły, u Szujskiego zapaliła jakąś wewnętrzną pochodnię, więcej: otwarła krater wulkanu, co się palił pragnieniem prawdy, namiętnością ogarnienia wszystkiego, co wielkie piękne, w czem ratunek i przyszłość.

I przedsięwziąłem wszystko badać skrzętnie,
Co się pod słońcem od stuleci stało;
Gorsza nie wrzała żądza w serca tętnie,
Straszniejszej chęci niebo nam nie dało.

Tą glossą z księgi Eklesiasta naznacza poeta nowe przejście w dziejach duszy, które się kończy słowem: Zwyciężyłeś Panie!

Prześliczny jest wiersz następny: „Drogi Zbawienia“, przypominający rytm Kochanowskiego w „Psalmach Dawidowych“:

Kto raz Cię odbieżał, o Panie na niebie,
Ten zaraz, o Panie! nie trafi do Ciebie
Lecz długo, boleśnie, w ciemności obłędzie
Szukać Cię będzie.
. . . . . .
Jerozolimskie u stóp miasto leży,
Krew z ramion krzyża strumieniami bieży,
Na tle zórz jasnych ramiona skrwawione
Ku mnie zwrócone.

Chcąc analizować, trzebaby wszystko przepisać i rozbierać strofkę po strofce, słowo po słowie.

Przyszły historyk szuka najpierw dróg bożych w dziejach:

Panie! Ty w wieków chaotycznej toni,
Często ukrywasz jasność swojej skroni,
I w twej prawicy straszliwa moc ginie
W człowieczych mózgów bezładnej ruinie.
. . . . . .
Lecz która dusza na cal wyższa jeszcze,
To ona czuje Twe gromy złowieszcze;
To ona nocą ze strachem się zrywa,
Bo nad nią wisi Twa głowa sędziwa.

Pomijamy straszne widzenia, jakie widok pogrzebnego orszaku budzi w poecie, który walkę życia z śmiercią upatruje, patrząc na tłuste uśmiechnięte twarze przechodniów, poddając je w wyobraźni rozkładowi ciał, goniąc duszę na szlakach nieśmiertelności; pomijamy wiersz o „samotności“ i „westchnieniu“.

Czemu to życie podarte na szmaty,
Jako płaszcz błazna pstrokaty?

Czemu szydercza godziny potęga
Wieczność na drobne chwile rozprzęga?

Wiara Szujskiego ma tę potęgę, co ponad mgłą poetycznego mistycyzmu przebija się do światła, do słońca, do ostatecznej jasności, przed tron Jehowy, pod krzyż Chrystusa, i nigdy nie tonie w jakichś eterycznych sferach, ale jego wyobraźnia lubi przewiercieć do dna tajemnice życia. Jako polityk w przyszłości nie zatrzyma on się przed najbardziej czarnymi problematami, nie zawaha się dotknąć najboleśniejszych ran; jako psycholog przenikać będzie swym bystrym wzrokiem ludzi, których spotka na swej drodze i dojrzy zawsze ich słabości i nędze; jako poeta nie odwróci się od obrazów ponurych, rozpaczliwych, choć nigdy jego wiara, nadzieja i jego miłość nie dozna w tem uszczerbku.

Wyborną daje odpowiedź egzaltowanym, których ród dziś bardzo się przerzedził, ale wówczas był dość licznym:

Słabe duchy! co w bolu kochając się pięknie,
Pierś męczycie, dopóki fałszywie nie jęknie
Urojonem cierpieniem, wymarzoną stratą,
Żalem, czemu ta ziemia nie jest popielatą,
Lecz zieloną, lub czemu niebo nie jest złote,
Pielgrzymy na zrobioną z papieru Golgotę!

W innym wierszu dawne wezwanie do bogini siły, owej świętej Alke, z klasycznej na chrześcijańską tłumaczy mowę:

Nie chciej o Panie! bym lampą kamienną
Lśniał Twoich myśli oliwą promienną,
A sam był ciemny, słabiuchny i kruchy
Jak grzeszne duchy.

I broni się od tego, aby patrzał na tryumfy Boga, a sam nie ruszył do drogi, aby „spoczywał dumny, wsparty na lutni“, aby „patrzał w świata konieczność, a stracił wieczność“; lecz błaga o chwałę „miast liścia wawrzynów, dobrego czynu“, aby „usta co wieki sądziły, pacierz mówiły“, i kończy: „Niechaj me światło nad głową po zgonie — cnotą mi płonie“.

Cały cykl takich poważnych, takich męskich, takich cnotliwych, chrześcijańskich myśli wysnuł Szujski, mając lat 24, to wyznawał, to sobie w życiu zakreślił, na tej wiary stanął opoce. Zbyt liczne cytaty nie dozwalają nam zatrzymywać się dłużej przy tych wyznaniach młodzieńca, choć piękności tam wiele jeszcze, i wiele

strzelistych, serdecznych, prostych aktów do Boga, wiele łez uronionych i wieńców złożonych na grobie matki.

Jeszcze jedno wspomnijmy Misteryum piękności, bo wiadomo jak to różnie piękności tajemnica, jej źródło i cel pojmowanym bywa. Jedni ją stawiają samoistnie, piękno dla piękna, i w pogańskim klasycyzmie szukają jej genezy; inni czynią ją niewolnicą natury, realizmu wskazując jej szlaki; wreszcie są i tacy, co zdołali w tę złotą czarę piękna wsączyć trucizny piekielne, demoniczność biorąc za piękność.

Nie! piękność nie jest szatanem na ziemi,
Ale wygnanym na ziemię aniołem,
I mieszka między ludźmi śmiertelnymi
Jak nieśmiertelna gwiazda z smutnym czołem.

I nie dla dumy Pan ją wygnał z nieba
Lecz, że się w toni błękitów ujrzała.
I w swojej własnej twarzy zakochała,
Kiedy jej Boga kochać było trzeba.

Kończy zaś tem, że tej wygnance z nieba, piękności ziemskiej, braknie chrztu świętości, braknie poświęcenia, aby wróciła zdobić tron Jehowy.

Misteryum wiedzy niemniej wzniosłe, po chrześcijańsku pojęte:

Danaid pracą mędrcy się męczą,
A wiedza wisi nad nimi tęczą.

Syzyfa męką drżą ziemi dzieci,
A wiedza gwiazdą nad nimi świeci.

Tantala głodem świat ludzki kona,
A jabłkiem nad nim wiedza zwieszona.

W ziemi jej grzebią, w piekle ją gonią,
Ona im niebem świeci nad skronią.

Kamieni łona tłuką namiętnie,
A wiedza bije w duszy ich tętnie.
. . . . . .
Skąd umierają, u wiedzy progu?
Nie wyszli z Boga — nie spoczną w Bogu.

Wreszcie Misteryum życia, pokornem poddaniem się wyrokom bożym, dążeniem do zjednoczenia swej woli z wolą Boga, zamyka tę spowiedź młodego poety, którą zaliczyć musimy do rzeczy najwyższych, jakie złożono w skarbnicy poezyi polskiej.

Nie lubimy nadużywania słów, czczych tytułów wieszcza, ani też tych porównań, kto wyższy w hierarchii duchów, ale to pewna, że Szujski należał do tych, co cierpią za miliony, za miliony myślą i czują. On we własnej piersi i w własnej głowie przetrawił wszystkie pytania, jakie czas naszej postawił społeczności, przebył ów proces wewnętrzny całego pokolenia, całą obejmując skalę od tajemnic wiary do prawd historycznych i życiowych dla społeczeństwa.

Pokolenia, co po nim następują, jeśli uznają w Szujskim mistrza w historyi, niech nie pominą tego co on przebył, co wyznał z cichych z Bogiem rozmów. Młodzież niech odczytuje te poważne chwile Jerzego Prawdzica, a może uchroni się od niejednej pokusy ducha, niejedno odpędzi zwątpienie.

Już z większym pośpiechem przejdziemy utwory poetyczne Szujskiego z późniejszej epoki, lub odmiennego rodzaju.

Dział drugi stanowią drobne poezye z owych lat, kiedy w życiu poety zaczynał się okres nowych przesileń, jasne chwile wyboru towarzyszki życia i przeczucia nadchodzącej w narodzie zawieruchy, kiedy wreszcie wśród burz wyrabiał się zwolna historyk i mąż polityczny. Już poezya nie miała być celem, ale przegrywką tylko do pracowitego zawodu. Pragnął on być dramaturgiem historycznym, w Szekspirowskie szaty przyodziać dzieje ojczyste, i dlatego, jakby dla przygotowania, uprawiał równocześnie obie niwy: poezyi i historyi.

Mniej też znaczące są utwory tego okresu przejściowego i mają cechę dorywczą. Na liryka miał za wiele siły i męskości, myśliciel więcej niż artysta, gdy tworzył postacie epiczne lub dramatyczne, obciążał je zbytecznie ładunkiem swych idei.

Właściwa Szujskiemu wszechstronność objawia się także i w jego poezyach: są tam wszystkie miary wiersza, najrozmaitsze nastroje i różnorodne formy. Przeciwnik zawzięty maniery, co się ciągle w jednym tonie powtarza, nie bywa on zawsze samodzielnym, ale spotkać w nim można odbicie po kolei całego cyklu poetów poprzedniego okresu.

Rzućmy pobieżnie okiem na tę mozaikę.

Tu poeta wzdycha do swojej panienki, „czemu nie żyje za dni Racławic, Dubienki“, i ma rycerskie zapędy „wyjścia z książek kom-

paturki"; tam odzywa się jak Zygmunt Krasiński do swej Beatryczy lub Gabryela Żmichowska:

Czemu nam smutno? dzieweczko moja
W szczęścia się pytasz godzinie;

i daje tę samą co tamci odpowiedź.

Jest i chwila gorączki, niemal szału, w r. 1861, gdy woła:

Stań się! stań wielki rozbracie
Piekła i niebios, światła i cieni.
. . . . . .
Kto święty — niech świętszym będzie,
Przeklęci — niech w klątwach się mnożą...

to odbicie chorobliwego mistycyzmu politycznego, z czasów demonstracyj religijnych.

Potoczystym wierszem, jakąś ludową legendą odzywa się niebawem w Spotkaniu kobiety wiejskiej, co wraca z Częstochowy i opowiada straszne, świeże dzieje.

Wiersz Obłąkani nosi datę 1863 r. i przedstawia trzy typy, szlachcica niedowierzającego, rzemieślnika i spiskowca, a kończy się wezwaniem do Boga:

Chroń od szaleństwa pychy, chroń od szaleństwa rozumu,
Chroń od szaleństwa wiary...

Od obłąkań nadziei, najtrudniejszym bywa powrót do rezygnacyi, i to może najcięższa próba, na której wiele rozbiło się serc wierzących.

Na Wielkanoc 1863 r. poeta przebył zwycięsko tę próbę — i głos dzwonów ogłaszających święto Zmartwychwstania takie w nim wywołuje echo:

Dzwoń! wszystko obejm spiżu krawędziami,
Serce o twarde rozhukaj krawędzie,
Leć w dźwięków twoich niewstrzymanym pędzie
Z boleści naszych i chwały pieśniami.
A poruszywszy tam niebieskie trony,
Zawołaj hymnem, roztrąciwszy chmury:
— O Jezu Chryste nasz! bądź pochwalony.

Wierzymy Chryste, że błogosławieni
Cierpiący tutaj w Twym ducha zakonie.
Wierzymy Chryste, że nas opromieni
Światłość — w światłości wystąpim koronie.
Wierzymy Chryste, że jest policzony
Włos każdy, który spadnie z naszej głowy,

Że wiesz o każdej łzie matki i wdowy —
O Jezu Chryste nasz! bądź pochwalony.

Już po tem tylko piękny przekład Psalmu: *Super flumina Babylonis*, i pieśni Izajaszowej: „Biada krnąbrnemu ludowi“.

Legendą tatrzańską o Królu Chrobrym zaczyna się dział poezyi, którąbyśmy nazwali historyozoficzną; zanim idzie mądry, ale trochę zbyt ciężki Stańczyk, wiersz napisany na obchód jubileuszu Kopernika. Toast Kochajmy się, na uczcie w r. 1878 dla Dra Majera, wywołał silne wrażenie, choć należał do tych rzeczy twardych, które sławie Szujskiego przynosiły zaszczyt, ale popularności nie jednały wcale. Tezą tego wiersza jest uderzenie na tę miłość tradycyjną przy kielichu:

Nie! zdrowy i silny, gniew święty ma w oku,
Gdy krnąbrni zuchwale zrywają się w troku,
Gdy pycha i głupstwo publiczną rzecz kazi,
Gdy z słówek złoconych prywata wyłazi,
Gdy z mózgów zwietrzonych trucizna pociecze
Kochajmy się! tak zdrowy, tak silny nie rzecze.

On nad siebie i brata, umiłował myśl wyższą, umiłował prawdę.

Kochajmy się wzajem! kochajmy zarazem
To wszystko co myśli, co pracy żelazem
Ten zagon ojczysty uprawia poczciwie,
To wszystko, co kocha, a kocha prawdziwie,
To wszystko, co dzielnie drogę sobie prości
Nie z swaru — ale z zgody — w świat miłości.

W „Ziarnie“ dla dotkniętych powodzią napisał Szujski piękny wiersz, zakończony wezwaniem:

Trzymajcie się wy krzyża — w krzyżu zwyciężycie!

Wreszcie ten dział wierszy okolicznościowych zamyka pamiętny „Głos z Polski na cześć ŚŚ. Cyryla i Metodego“, który odczytał Stanisław Tarnowski w Watykanie przed Leonem XIII.

W ostatnich latach życia, wielkiego rozgoryczenia, ale także pełni prawd, Szujski zaniedbaną od czasów Krasickiego i Naruszewicza podjął satyrę.

Fizyognomista w skomplikowanym i ruchliwym wyrazie twarzy Szujskiego mógł dostrzedz obok poezyi, zapału i dobroci rozlanej w obliczu i pociągającej za pierwszem zbliżeniem, pewien połysk ironii w spojrzeniu i gorycz w uśmiechu. Nie był to zwykły dowcip,

co podchwytuje słabości ludzkie dla prostej igraszki, nie była to chłodna ironia, właściwość sceptyków, ale coś potężniejszego, przenikającego za pierwszem spojrzeniem, był to dowcip tragiczny, bolesny, nazywający się podobno szyderstwem. Z tego pociągu w listach do przyjaciela młodzieńcem oskarżał się poeta, jakby z grzechu, mężem umiał on z niego zrobić cnotę. Hogarthowski ten dar zużytkować umiał, jak wszystkie dary bogatej swej natury na pożytek przekonań i sprawy, której poświęcił wszystkie siły duszy. Dobywał wyostrzoną klingę, jak żołnierz idący do szturmu, lub jak operator swe narzędzia. Są ludzie, którzy chcą tylko leczyć balsamami; Szujski nie wzdrygał się w danych razach użyć noża operatora, aby raka w zarodzie zniszczyć, wyrznąć gangrenę i bolesną raną ratować życie. Taka jest psychologiczna geneza Teki Stańczyka, taki powód owych satyr z ostatnich lat poety.

Pierwsza Rozmowa z Quidamem jest po prostu artykułem polemicznym, wierszowanym, druga Dobroć serca sięga głębiej do tej miękkości i dobroci, która wszystko rozgrzesza, która zamienia częstokroć nasze życie polityczne i społeczne w rodzaj towarzystwa dobroczynności. Dosadne, z życia wzięte, schwytane na uczynku, są przykłady i obrazy tej satyry. Ale sens jej moralny wymaga małego zastrzeżenia; Szujski pragnął zbroić tych co szli z nim i za nim w męskość, w siłę, a jeśli nie oszczędzał ani społeczeństwa, ani nawet najbliższych, miał dla jednego i dla drugich wielką miłość, a nawet ową dobroć serca, którą wyszydzał, ale wyżej pojętą. Wielu biorąc ową satyrę i cały pod tym względem kierunek Szujskiego literalnie, mniema że dobroć jest słabością, niemal synonimem głupoty, a serce organem niebezpiecznym, którego tętna tłumić należy, aby nie wiodło na manowce. Błędne tłumaczenie i szkodliwy zaiste kierunek. Dobre serce jest przymiotem przyrodzonym, które staje się przy pracy woli cnotą — a uzupełnione rozumem, staje się potęgą. Wykluczmy ten czynnik uczucia i ten magnes serca z życia politycznego, a dojdziemy albo do materyalnych czysto zapasów walki o byt, do bezwzględności indywidualnej i stronniczej, albo do skostniałości. Do tego nie chciał prowadzić Szujski, gdy wydawał walkę jednostronności uczucia nad wolą i rozumem. Zdrowie społeczne i skuteczność pracy zawisła od równo-

wagi tych psychicznych pierwiastków. Kto chce być silnym, ten winien być dobrym; kto chce prowadzić ludzi na drogę rozumu, ten winien chwytać ich za serca. Podobna teza do poprzedniej satyry służy następnej: Naród Pacyent.

Tu walczy autor z owym faryzeizmem, co się lęka wypowiedzenia prawdy, bo naród jest chory, co powtarza *noli me tangere*, ilekroć narusza się któryś z komunałów opinii w dogmat zamieniony. Słabe duchy, niepomne słów Skargi: „powiedzieć prawdę, niechaj boli jako chce".

Niedokończoną jest satyra p. t. Miara, ale bo też najtrudniejsza do postawienia przez tego, który był nietylko wielkim pracownikiem, ale zarazem wielkim bojownikiem. W pracach swych naukowych i politycznych rozumiał on wybornie miarę, trzymając wagi krytyki; umiał mierzać siły do zamiarów i celu możebności; w walce atoli cóż dziwnego, że zagrzany rycerskim animuszem, gdy szedł na przebój, wskazując nowe tory pod gradem pocisków od swoich, nie zawsze miary przestrzegał.

Jedną z najświetniejszych rzeczy, która wyszła z pod pióra Szujskiego, jedna z najsilniejszych rzeczy, jaką nam dała poezya w ogóle w ostatnich poromantycznych czasach, jest niedokończona satyra My i Oni.

Poeta daje obraz narodów współczesnych. Myśli tu taki nawał, taka ich jędrność i trafność, że nietylko w każdym wierszu ale niemal w każdem słowie, jest jakiś rys sięgający do dna duszy narodów współczesnych. Jak głęboko szkicuje n. p. Germanów.

. . . . . .

Z wiary poszedł na pismo, z pisma rozum czysty,
Z rozumu władzy państwa wyszedł smok ognisty,
Teroryzmem gniotący wolność i natchnienie,
Sile prawo, wszechpysze poddając sumienie.
Odtąd co lepsze w duszy narodu umiera,
Niebotyczność Göthego, serdeczność Schillera,
Filozoficznej myśli mglista idealność
Leci w cynizmy Vogta, w Hartmanna fatalność,
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
Pozbieraćby za tobą stare twoje cnoty
Wzgardzonym: zapał pracy, dokładność roboty,
Spokój sądu, rzetelność poczciwa i prawość

Sprzedajesz je jak Ezaw za jedno: jaskrawość!...
Pycha ślepi, trucizna toczy duszy cnoty.
Posłuch trzyma się jeszcze żelaznemi sploty,
Karność przed arcypychą dumne kroki zgina;
Lecz gdy pęknięcia ogniw nadejdzie godzina,
Gdy cyniczny egoizm ojczyźnie zabluzni,
Gdy w obronie praw ludzkich połączą się luźni,
Szlachetni, spotwornionej wrogowie budowy,
Wrócisz Ty pod strych Boga i uchylisz głowy...

Niemniej surowy i głęboki sąd o Albionie:

Wszystko przejrzał, przewidział, dla życia wygody,
W karby praw ujął klęski, nieszczęścia i głody,
Aż robotę skończywszy wszechstronną i twardą,
Na reszcie ludów ziemi spoczywa z pogardą,
O! ten, co w Tobie nigdy nie miał przyjaciela,
Przy politycznym *God save!* wspomni miecz Kromwella,
Królewskość na nicości uwiązaną włosie,
Wspomni wolność wyznania paloną na stosie,
Teologię tyrana przez naród przyjętą,
Tłum nędzarzy fabrycznych podobnych bydlętom,
Tłumy w konwulsyach głodu jęczących w zaciszy,
Których nie znalazł szpital a serce nie słyszy.
Przypomni, że twa wielkość wiekami wzniesiona
Duszą wieszcza drugiego nie wstrząsa Byrona,
Że odepchnął niewdzięcznej brzeg twej wyspy nogą.
Nieco podziwiać muszą, kochać cię nie mogą.

Z spółczuciem znów przemawia poeta o upadku „Francuza współgrzesznika, dziś oniemiałego". A jakżeż silną i rzewną jest ta odezwa o dawnej wielkości ludów romańskich!

Jeśli władza, to władza Wielkiego Karola,
Jeśli bój, to z Hunami — Katalońskie pola —
Jeśli myśl, to Kopernik w niebiosa wpatrzony,
Jeśli pieśń, to Dantejskiej, wielkiej lutni tony,
Jeśli pędzel, to Rafał — Michał, jeśli dłuto,
Jeśli służba Bogu, to z dłonią przekłutą
Stygmatem, Assyzkiego piętnem zakonnika,
To szturmujące niebo słowo męczennika —
Ha! obcięciem tych skrzydeł, natchnień tych przeczeniem,
Patrz, jak romańskie szczepy świecą — lecz skarleniem.

Był to jeden z ostatnich, przedzgonnych utworów poety, którego nie zdołał jeszcze oddać do druku, bo niedopisana część druga — My — miała stanąć. Ta synteza cywilizacyi zachodniej tak wzniośle tu ujęta napełniała jego ducha. Nieraz on pytał, co wart człowiek, który odepchnął jedną ręką katechizm, a drugą nie sięgnął po tę

spuściznę geniuszów, nie wcielił w siebie tego, co spuścizną cywilizacyi od starych klasyków aż do Danta, Szekspira, Calderowa, Goethego, i Schillera? co on ma, ten mędrkujący syn dzisiejszej inteligencyi, zakuty w swoim ciasnym specyalizmie, wpatrzony w robaka lub żyjący nędzną strawą dziennikarstwa i belletrystyki dzisiejszej? Wielki pochód ducha ludzkości naznaczał on zawsze tymi drogowskazami, które z Grecyi, przez Rzym, prowadzą do nowożytnej cywilizacyi, wyrosłej pod cieniem Kościoła. W tę także stronę zachodnią zwracał się on zawsze w swych przekonaniach i sympatyach politycznych, lubo w kombinacyach doraźnych im nie dowierzał.

Rodzajami poezyi wydawcy podzielili książki; wracamy się więc znów do wcześniejszej epoki. Śmierć Proroka jest elegią w biblijnym stylu i w przenośniach biblijnych na wieść o zgonie Adama Mickiewicza.

Następuje dział epiczny. Tu najpierw fragmenta z niedokończonego młodocianego poematu: „Tajemnica śmierci hetmańskiej". Nie jest bez znaczenia wybór przedmiotu na próbę epopei i tragiczny zgon hetmana pod Cecorą, co padł ofiarą zawiści możnowładców, anarchii szlacheckiej i politycznego sykofantyzmu. Wyższej poetycznej wartości nie ma ten fragment, w którym monologi i dyalogi służą poecie do wypowiadania historycznych i politycznych poglądów, do jakich Szujski mógł się w ostatnich latach życia przyznać.

Pan Rożnowa za duży na balladę, za mały na poemat, jest rycerskiem podaniem, zebranem na wycieczce sąsiedzkiej do ruin starego zamczyska w Sądeczyźnie nad falami Dunajca. Jest w tym poemacie więcej warunków opisowości i pewna woń średniowieczna.

Sługa grobów, to liryzm polityczny czasów porozbiorowych, pełen pięknych i rzewnych ustępów, a ważny z tego względu, że odsłania jeden pierwiastek, który w duszy Szujskiego był tak silny i wpływowy na cały dalszy kierunek. Generacya, do której należał Szujski, z której wyszedł Matejko, miała wielką miłość pamiątek dziejowych; młodzież owej warstwy nie chwytała się krzykliwych demonstracyj, ale zdolną była całe godziny spędzać w zadumie w katedrze na Wawelu, w królewskich sklepach grobowych i innych świątyń krakowskich. Młodzież też znała każdy kamień i każdą chwytała legendę; to też Szujski cały ich szereg wysnuł z opo-

wiadań dziada kościelnego, sługi grobów, o królu Chrobrym, co się kiedyś konno z mieczem w ręku zjawi, i o św. Stanisławie, który co roku obchodzi całą Polskę błogosławiąc.

Z wszystkich epicznych utworów Szujskiego najpiękniejszym niewątpliwie jest legendowe opowiadanie Obrony świętej Częstochowy przez Jacka Brzuchańskiego, mieszczanina częstochowskiego, którego, jak wiemy, jenerał Miller brał na męki. Nie mamy czasu po tak długiem sprawozdaniu zatrzymywać się nad powabem tej powieści, odznaczającej się prostotą, przezroczystością, uczuciem religijnem i narodowem i prawdziwem natchnieniem.

Rok polski przypomina *Szene Katarynkę* Wincentego Pola. Oryginalną jest Historya szlachcica na bruku; rzecz współczesna, nowa, historya jakich wiele, i coraz więcej za dni naszych. Przedmiot z natury swojej niezbyt poetyczny, bo szlachcic co się zadłużył, nad którego wioską wisi licytacya, który kryje przed żoną stan interesów, daremnie udaje się do przyjaciół, znajduje chwilową pomoc tego, który go w przepaść pcha, faktora żyda, i owe przenosiny z dworu wiejskiego do dworku w mieście — to zdawałoby się, że zaledwie wystarczyć może na powieść współczesną o zakroju realistycznym. Poeta zdołał z tego tematu wysnuć wiele piękności. Co za urocza postać babuni i wnuków, z jakim artyzmem odmalowany każdy szczegół umeblowania, że zdaje nam się patrzeć na obraz holenderskiej szkoły.

A przytem i tendencyi i rezonowania dosyć — ale jędrnego i zdrowego zawsze:

Znacie to szczęście pozorne, udane,
Ten spokój, który chcąc oszukać troski,
Maże zuchwale Baltazara głoski
Na rysującą piszące się ścianę,
Co się im mocniej z piersi jęk dobywa,
Tem głośniej mówi, śmieje się i śpiewa?
Ten spokój, udział dusz słabych pragnących;
Dzień jeden jeszcze wyżebrać od losów,
Zamiast dłoń podnieść do groźnych niebiosów,
Stanąć do walki, spojrzeć oko w oko
Burz, piorunami w męzką pierś godzących;
Spokój tak inny od tego spokoju,
Z którym waleczny idzie w tuman boju,
Ścisnąwszy usta, pięść ścisnąwszy męzką,
By zginąć z chwałą, lub umrzeć zwycięzko...

. . . . . .
Wszyscy Ikara ustrojeni pierzem
Myśl bierzem za czyn, chęć za siłę bierzem
A twardym losem tych ziemi padołów
Znużeni, hufców czekamy aniołów
Coby złamały dolę naszą twardą.
Toż, gdy nas ciemną rozsądku pogodą
Odepchną ludzie, gdy na rusztowaniu
Świat z swoich ustaw wyrok nam przeczyta,
Każdy z nas niebios o odpowiedź pyta.
. . . . . .
Próżno cierpienia ogrom nie przedświtem
Szczęścia, co samo rajskim ptakiem zlata;
Cierpienia ogrom jest Bożym dzirytem
Którym Pan w serce człowiecze kołata,
Aby krzemieniem wytrwałym się stały
I zamiast jęku skrę niebios wydały;
Dopusty Boże nie szczęścia zadatkiem
Które cudownie moce złego kruszy,
To głosy nieba, co chce podostatkiem
Olbrzymiej siły wyczarować z duszy,
Aby czyn boży z Bożej wzięła ręki
Tryumfatorką z długiej wstała męki.

Jeszcze w dodatku wiązanka poezyj sielskich, lirycznych widocznie z dawniejszych czasów, zebrana w ostatniej chwili przez wydawców.

Zamykamy już ten przegląd nie ocenę, relacyę nie krytykę. Niedawne to czasy, kiedy chcąc wywrzeć wpływ, wstrząsnąć społeczeństwem, pobudzić go do czynu, albo wstrzymywać w zgubnych zapędach, rzucić myśl, aby wywołała echo, przemówić do serc, rozumów, sumień — chwytano za lutnie; tezy filozoficzne obwijano w zwoje kwiatów, poeta tylko, wieszcz znajdował posłuch, dawał popęd i hasło. Tak Zygmunt Krasiński w wiązaną przekładał mowę to co nieraz silniej jeszcze, jaśniej i dobitniej rozwijał w listach do przyjaciół; Szujski przeciwnie, przyszedł w czasach znużenia poezyą, zdobył sobie wpływ i sławę jako historyk, myśliciel, polityczny publicysta, dramata jego mało cenione, mimo wielkich w nich piękności, księga poezyi prawie nieznaną; a jednak zawarł on w niej wiele tajemnic najbardziej wewnętrznych, wiele prawd najwyżej sięgających, wiele wyznań najgłębszych.

Ludwik Dębicki.

WALKA O BÓSTWO CHRYSTUSOWE

W V. WIEKU.

(Dokończenie).

II.

Wystąpienie pojednawcze papieża. — Cyryl i Nestoryusz przybywają do Efezu. — Pierwsze posiedzenie soboru. — Wyklęcie i złożenie Nestoryusza. — Komes Kandydyan unieważnia uchwały soboru. — Rozruchy ludowe w Efezie. — Koncyliabulum Antyocheńczyków. — Kandydyan i Teodozyusz biorą ich w opiekę. — Intrygi i gwałty Antyocheńczyków. — Protestacya ludu konstantynopolitańskiego przeciw tym gwałtom. — Niefortunne starania Teodozyusza o przywrócenie pokoju. — Niegodne postępowanie cesarskiego namiestnika. — Uwięzienie Cyryla. — Cesarz przywołuje deputowanych obu stron do Chalcedonu. — Antyocheńczycy przegrywają sprawę. — Papież Celestyn winszuje soborowi. — Antyocheńczycy uznają prawdę. — Smutny koniec Nestoryusza i jego herezyi.

Kiedy na Wschodzie wrzała walka w całej sile, w Rzymie nie tracono nadziei że spór da się jeszcze pokojowo załagodzić. W pierwszych więc dniach maja 431 r., na miesiąc przed zebraniem się soboru, papież Celestyn zawezwał listownie Cyryla, aby wszelkimi sposobami starał się pozyskać Nestoryusza dla prawdy, gdyż Bóg nie chce śmierci grzesznika, ale aby nawrócił się a żył. Gdyby jednak Nestoryusz trwał w uporze, to niechaj zbiera, co posiał z pomocą djabelską [1]. W liście do Teodozyusza uwiadamiał go Papież, że sam na sobór nie przybędzie, ale wyszle swoich legatów. Niech cesarz broni dogmatu i pamięta, iż wyżej należy cenić nienaruszalność wiary, aniżeli nawet dobro i całość państwa [2]. Legatami swymi za-

[1] Mansi. Collectio Conciliorum t. IV., p. 1292.

[2] Mansi. t. IV., p. 1291.

mianował papież biskupów: Arkadyusza, Projekta i dyakona Filipa. Legaci mieli, wedle danych sobie instrukcyj stanąć po stronie Cyryla, przy tem jednak powinni byli uważać, aby, pamiętając na godność stolicy apostolskiej, występowali jako sędziowie, nie jako szermierze [1]. Obaj cesarze, Teodozyusz II. i Walentynian III. nie mieli również osobiście przybyć do Efezu, ale wyznaczyli natomiast jako Protektora soboru dowódcę przybocznej swej straży, komesa Kandydyana. W edykcie, udzielonym soborowi zastrzegali się cesarze, że Kandydyan nie powinien bynajmniej mieszać się do samych obrad soboru, ale obowiązkiem jego jest strzedz publicznego porządku w Efezie. Dlatego powinien wypędzić z miasta mnichów i ludzi świeckich, których niepotrzebna ciekawość tam-by nagromadziła. Powinien dalej przestrzegać aby obrady soborowe odbywały się porządnie, bez głośnych hałasów i zwady; aby żaden z członków soboru nie opuścił Efezu przed ukończeniem obrad, i aby przed załatwieniem kwestyj dogmatycznych, sobór nie zastanawiał się nad żadnem innem pytaniem [2]. Komes Ireneusz, przyjaciel Nestoryusza, który z polecenia cesarzy konwojował go do Efezu, nie miał żadnego udziału w władzy, zleconej Kandydyanowi.

Nestoryusz z 16-stu sufraganami przybył jeden z pierwszych do Efezu. Na kilka dni przed Zielonymi Świątkami, które w tym roku przypadały na 7 czerwca, stanął tu i Cyryl w otoczeniu pięćdziesięciu biskupów. „Jesteśmy już w Efezie, pisał Cyryl do kleru i ludu Aleksandryjskiego, i z niecierpliwością oczekujemy rozpoczęcia soboru. Spodziewamy się, że Zbawiciel nasz Chrystus oczyści swój Kościół z nauk przewrotnych i prawdziwą wiarę mu objawi. Owa zła a czujna bestya, która zazdrości Chrystusowej chwale, kręci się tędy i owędy, ale nic zdziałać nie potrafi, boć nie walczy przeciw człowiekowi nam podobnemu, jako głoszą owi wynalazcy nowej wiary, ale przeciw samemu wszechmocnemu Bogu“ [3]. W parę dni po Zielonych Świątkach przybyli: Juwenal, patryarcha Jerozolimski i Flawian Tesalonicki ze swymi sufraganami. Arcybiskup Efeski Memnon zgromadził koło siebie czterdziestu sufraga-

[1] Mansi. t. IV., p. 556.
[2] Mansi. t. IV., p. 1118.
[3] Cyrilli Alex. Opera t. X., p. 129.

nów i dwunastu biskupów z Pamfilii. Czekając na uroczyste otworzenie soboru, zbierało się wielu z zgromadzonych Ojców na prywatne posiedzenia, na których zaznajamiali się z właściwym stanem rzeczy. Na jednem z takich posiedzeń Nestoryusz odkrył jasno cały jad swej herezyi którą ukrywał dotychczas pod dwuznacznymi frazesami: „Nigdy, rzekł, dwu lub trzymiesięcznego dziecka Bogiem mym nie nazwę“ [1]. W słowach tych streszczała się główna podstawa herezyi Nestoryusza, według której człowiek Jezus nie był Bogiem, ale tylko w człowieku Jezusie Bóg przemieszkiwał.

Pomimo że otwarcie soboru nastąpić miało w same Zielone Świątki, nie rozpoczęto go jednak w dzień oznaczony, z powodu nieobecności Jana Antyocheńskiego i jego sufraganów. W sam dzień Zielonych Świątek wyprawił Jan Antyocheński grzeczny list do Cyryla [2], w którym donosił, że już od trzydziestu dni znajduje się w podróży i że spodziewa się za pięć lub sześć dni stanąć w Efezie. Przeczekano dni szesnaście, ale Jan się nie zjawił. Wielu, i nie bez słuszności podejrzywało w tem coś niedobrego. „Jan, mówiono powszechnie, obawia się potępienia Nestoryusza, ponieważ tenże mieszkał w Antyochii przed wyniesieniem swem na biskupstwo konstantynopolitańskie, a tak hańba Nestoryusza spadłaby poniekąd i na Antyochię“ [3]. Nakoniec przyjechali do Efezu dwaj biskupi z otoczenia Jana.: Aleksander Apamejski i Aleksander Hierapolitański i prosili z polecenia swego patryarchy, aby nie czekano nań dłużej z otworzeniem soboru.

Jaki właściwie miał cel Jan Antyocheński opóźniając umyślnie przybycie swe do Efezu? Niektórzy sądzą, że chciał dać czas zwolennikom swoim do przysposobienia umysłów na swoją korzyść i spodziewał się otrzymać przewodnictwo soboru. Inni, zgodniej z następującymi wypadkami, przypuszczają że przewidując nieochybne potępienie Nestoryusza, nie chciał sam brać w niem udziału, aby ułatwić sobie dalsze kroki na korzyść przyjaciela [4] Jeśli to ostatnie

---

[1] Socrates VII., 34.

[2] Inter Cyrilli Al. opera. t. X., p. 131.

[3] Cyrilli op. t. X. Epistola Cyrilli ad quosdam de clero Constantinopolitano, p. 131 sq.

[4] Tak np. Garnerius w „Historia Theodoreti ep. Cyrensis. Opera Theodoreti t. I.

przypuszczenie było prawdziwem, to myśli Jana nie zrozumieli, czy zrozumieć nie chcieli sami jego wysłańcy. Sześćdziesięciu ośmiu biskupów azyatyckich, a pomiędzy nimi Aleksander Apamejski, Aleksander Hierapolitański i Teodoret Cyrejski wnieśli prośbę do Cyryla i Juwenala, aby z otwarciem soboru zaczekać na przyjazd patryarchy Jana [1]. Ale większa część biskupów sprzeciwiła się tym nigdy niekończącym się zwłokom; dzień 22 czerwca naznaczono na uroczyste rozpoczęcie obrad w katedralnym kościele efeskim, noszącym dość stosowną nazwę, kościoła „Bogarodzicy".

W przeddzień otwarcia soboru udało się kilku biskupów do Nestoryusza z zaproszeniem, aby stawił się przed soborem i wytłumaczył się ze swej nauki. „Pomyślę i zobaczę", odparł Nestoryusz. Nazajutrz rano stanęła nowa deputacya przed bramą domu, w którym zamieszkał Nestoryusz, ale tutaj zastali żołnierzy, postawionych na straży przez Kandydyana. Żołnierze uzbrojeni w kije wzbronili przybyłym biskupom wstępu. Sam Nestoryusz kazał im powiedzieć, że wtedy dopiero stanie przed soborem, kiedy wszyscy biskupi się zgromadzą. Pomimo tego wysłał sobór jeszcze trzecią deputacyę, ale i tę odepchnęli żołnierze pogróżkami i kijmi. Ze swej strony Kandydyan stanął w sali soborowej a odczytawszy dekreta cesarskie, zażądał aby zgromadzeni poczekali jeszcze dni cztery z otwarciem soboru, na przybycie Jana Antyocheńskiego. W obec oświadczeń samego Jana przez swych wysłańców, wniosek ten był śmiesznym i nadto w najwyższym stopniu niewygodnym dla zgromadzonych. Odrzucono go też, a Cyryl jako zastępca Papieża, otworzył pierwsze uroczyste posiedzenie. Brało w niem udział 160 biskupów; niebawem połączyło się z soborem 20 biskupów azyatyckich, a ostatecznie liczba biskupów, którzy brali udział w obradach prawowitego soboru Efeskiego, wzrosła do 198 [2].

Najobfitszem w skutki i najważniejszem było pierwsze posiedzenie soboru. Po załatwieniu wstępnych formalności, zażądał patryarcha Jerozolimski Juwenal, aby sobór przystąpił natychmiast do roztrząśnienia dogmatycznego pytania o osobistej jedności Chrystusa. Odczytano symbol wiary nicejski a następnie drugi list Cy-

[1] Mansi t. V., p. 765.
[2] Hefele. Conciliengeschichte III., 168.

ryla do Nestoryusza, w którym Cyryl jasno wykładał całą naukę o osobistem zjednoczeniu natury ludzkiej i Boskiej w Chrystusie. Na zapytanie Cyryla, czy nauka jego zgadza się z treścią nicejskiego symbolu, wszyscy obecni biskupi odpowiedzieli twierdząco [1]. Z kolei odczytano odpowiedź, którą Nestoryusz dał Cyrylowi, a gdy 34 biskupów zawotowało, że nauka Nestoryusza nie zgadza się z symbolem nicejskim, powstali jednomyślnie wszyscy inni biskupi i zawołali: „Kto Nestoryusza nie wyklina, ten niech sam będzie wyklęty; prawdziwa wiara wyklina go; święty sobór wyklina go. Kto trzyma z Nestoryuszem, ten niech będzie wyklęty. Wszyscy potępiamy list i naukę Nestoryusza“ [2].

Wszelako pomimo tego jednomyślnego wyroku, postanowił sobór rzecz całą głębiej roztrząsnąć. Odczytano listy papieża Celestyna, listy rzymskiego i aleksandryjskiego synodu do Nestoryusza. Biskup Flawian wniósł, aby odczytano ustępy dawnych Ojców o sposobie, w jaki natura ludzka i Boża w Chrystusie się zjednoczyła. W przeciwieństwie do nauki tych Ojców przytoczono około dwadzieścia mniejszych lub większych wyjątków z pism Nestoryusza. Nie można było dłużej wątpić, Nestoryusz wprowadzał do Kościoła naukę nową, przeciwną nauce Pisma i całej kościelnej tradycyi. Czyż można było dłużej znosić błąd, którego logicznem następstwem było zaprzeczenie prawdziwości Odkupienia rodu ludzkiego, a tem samem zaprzeczenie wszystkich skutków tego Odkupienia? To też nie wahając się dłużej, przystąpił sobór do uroczystego wyroku: „Święty sobór orzeka: Ponieważ bezbożny Nestoryusz (nie mówiąc o innych przewinieniach) wezwania naszego nie posłuchał i świętych biskupów od nas do niego wysłanych nie przyjął, musieliśmy sami bezbożne jego nauki zbadać. Odkryliśmy, że w pismach swych, listach i mowach, które w tej stolicy miewał (jako wiemy od wiarogodnych świadków), bezbożne nauki popierał i ogłaszał. Zmuszeni przez kanony i list najświętszego naszego Ojca i towarzysza, Rzymskiego biskupa Celestyna, wydaliśmy ze łzami następny wyrok: Spotwarzony przezeń Pan nasz Jezus Chrystus orzeka przez

[1] Przechowało się 126 krótkich przemówień, w których każdy z kolei biskup składał swe *wotum*. Mansi t. IV., p. 1139—1170.

[2] Mansi t. IV., 1170—1178; Hefele t. II., p. 169.

ten święty sobór złożenie Nestoryusza z biskupiej godności i wykluczenie go od sprawowania urzędów kapłańskich“ [1].

Posiedzenie przeciągnęło się od rana aż do późnej nocy. Tłumy ludu gromadziły się dzień cały przed kościołem z niecierpliwością oczekując ostatecznego wyroku. Ogłoszono go nakoniec. Zebrany lud przyjął uchwałę soboru okrzykami radości: „wszyscy jednogłośnie chwalili sobór i wysławiali Bogarodzicę“. Zapalono pochodnie i latarnie, i tysiączne tłumy odprowadziły w tryumfie członków soboru do ich pomieszkań. Procesyę biskupów poprzedzały niewiasty z kadzielnicami w ręku. Po wielu domach zapalono jarzące światła na znak radości“ [2].

Nazajutrz zawiadomił sobór Nestoryusza o zapadłej uchwale. Dekret ten, zaadresowany do: „Nowego Judasza“, brzmiał bardzo lakonicznie: „Ponieważ rozsiewałeś bezbożne nauki i nieposłuszny byłeś kanonom, przeto św. sobór z twej godności cię złożył i z rzędu duchowieństwa wykreślił [3]. W dwóch krótkich pismach uwiadomił sobór zebrany lud i kler konstantynopolitański o swem postanowieniu. Kandydyan wysłał czemprędzej sprawozdanie do cesarza, obwiniając sobór o pośpiech, iż nie zaczekał na przybycie Jana Antyocheńskiego. Dowiedziawszy się o tem Cyryl, wysłał także z swej strony obszerny memoryał o wszystkiem do swych przyjaciół w Konstantynopolu, prosząc ich, aby starali się uchylić fałszywe pogłoski. „Uchwał odnoszących się do Nestoryusza, jeszcze nie spisano, ale nie zadługo wyszle je sobór do Konstantynopola. Gdyby jednak komentarze i relacye do cesarzy zbyt się spóźniały, to wiedzcie, że nieprzyjaciele nasi przeszkadzają nam je wysłać [4].

Istotnie, przyjaciele Nestoryusza postanowili użyć wszystkich środków, aby przeszkodzić natychmiastowemu wykonaniu wydanego wyroku, a dwór cesarski nieprzychylnie dla Cyryla usposobić. Kandydyan rozkazał pozrywać z murów uchwałę soboru, a woźnym którzy uchwałę tę po ulicach ogłaszali, nakazał milczenie. Co więcej, w osobnym edykcie ogłosił wyrok soboru za nieważny, ponieważ

---

[1] Mansi t. IV., p. 1211; Hefele II., 172.

[2] Opera Cyrilli Al. t. X. Epistola ad clerum populumque Alexandrinum, p. 137.

[3] Mansi IV., p. 1227.

[4] Opera Cyrilli t. X., p. 131—137.

nie potwierdzili go biskupi łacińscy i antyocheńscy [1]. Sam Nestoryusz zwrócił się ze skargami do Konstantynopola. „Egipcyanie i Azyaci, pisał do cesarzy, odbyli posiedzenie na własną rękę, a tak sprzeciwili się wyraźnie cesarskim rozkazom, które powszechną radę wszystkich biskupów powołały. Nadto biskup Efezki Memnon podburzył lud swój do gwałtownych kroków przeciw Nestoryuszowi i jego przyjaciołom. Lud wpadł do mieszkania Nestoryusza, zagroził jemu i obecnym jego stronnikom śmiercią. Chcieli ratować się ucieczką do kościoła św. Jana, lub do jakiej kaplicy męczenników i tam odbywać swe narady, ale Memnon kazał zamknąć przed nimi wszystkie bramy. Niechaj więc cesarz dozwoli rozjechać się im do domów, albo też niech weźmie ich w Efezie pod swą opiekę i zwoła prawdziwy sobór, w którym nie uczestniczyliby mnisi i klerycy, ale sami biskupi i to tylko ci, którzy osobiście zostaną wezwani. W tym celu wystarczy, jeśli z każdej prowincyi przybędzie metropolita i dwóch biskupów“ [2]. Memoryał ten, zdający Kościół na łaskę i niełaskę cesarską, podpisało oprócz Nestoryusza dziesięciu biskupów.

Dla pouczenia ludu o ważności i znaczeniu powziętej przez sobór uchwały, Cyryl i kilku innych biskupów przemawiali po kościołach o błędach Nestoryusza. Niebawem też wygotował sobór sprawozdanie do cesarzy. W sprawozdaniu tem powołuje się sobór na poprzednie już potępienie Nestoryusza przez papieża Celestyna, a opowiedziawszy cały przebieg wypadków prosi cesarzy, aby przyłożyli się do zupełnego wytępienia powstającej herezyi i rozkazali spalić heretyckie pisma Nestoryusza [3].

Tak stały rzeczy, kiedy w cztery, czy pięć dni po pierwszem uroczystem posiedzeniu soboru (a więc 26 albo 27 czerwca), przywlókł się nakoniec do Efezu Jan Antyocheński ze swymi sufraganami. Sobór wysłał natychmiast do Jana deputacyę, złożoną z biskupów i kleryków, którzy mieli go przywitać w imieniu zgromadzonych Ojców i uwiadomić o potępieniu Nestoryusza. Ale żołnierze postawieni przez Ireneusza, nie dozwolili deputowanym zbliżyć się do samego Jana. Nie tracąc otuchy, deputowani udali się przed dom, w którym zamieszkać miał Antyocheński patryarcha. I tu już stali

[1] Mansi, t. IV., p. 1263; Hefele II., 174.
[2] Mansi, t. IV., p. 1234; Hefele II., 174 sq.
[3] Mansi IV., p. 1235 sq.

żołnierze wzbraniając wysłańcom soboru wejścia. Wśród szyderstw żołdactwa czekali wysłańcy soboru godzin kilka przed bramą domu, a gdy wreszcie zdołali spełnić dane sobie polecenie, żołnierze okryli ich razami i ranami. Obelga ta, wyrządzona całemu soborowi, wywołała słuszne i głębokie oburzenie, zwłaszcza gdy haniebnie odpędzeni biskupi, okazali publicznie zadane sobie rany. Ale wysocy urzędnicy bizantyjscy, którzy mieli być „protektorami“ soboru, nie na tem jednem bezprawiu się ograniczyli. Kandydyan rozkazał swym żołnierzom, aby na wszelkie sposoby dokuczali i prześladowali członków soboru, a powstrzymując dowóz żywności, ogładzał ich w ścisłem tego słowa znaczeniu. Za to przed domem Nestoryusza postawił straż honorową.

Kiedy deputowani soboru wyczekiwali sromotnie przed drzwiami patryarchy Antyocheńskiego, ten naradzał się z swymi stronnikami, co dalej przedsięwziąść należy. Komes Kandydyan, opowiedziawszy wypadki, zaszłe przed pierwszem posiedzeniem soboru, zapewniał że Nestoryusz został nielegalnie potępiony. „Święta to prawda, odparł na to Jan Antyocheński, wszak i teraz członkowie soboru zamiast wyjść przyjaźnie na nasze spotkanie, o mało co nie rzucili się na nas. Ale święty sobór, około mnie obecnie zebrany, rzecz całą dokładniej roztrząśnie“. Trudno było bardziej przekręcać oczywistą prawdę, a obłudne te słowa Jana Antyocheńskiego smutne o nim wydają świadectwo.

„Święty sobór“, a właściwie k o n c i l i a b u l u m, zebrane pod przewodnictwem Jana Antyocheńskiego, składało się z 43 członków, kiedy sobór prawdziwy liczył przeszło 198 biskupów. Ale Jan, ufny w protektorat Kandydyana i Ireneusza, zapytał wprost zgromadzonych, jak należy sobie postąpić z Cyrylem i jego zwolennikami. Kilku nestoryańskich biskupów wniosło skargi na Cyryla i Memnona: Memnon nie dozwolił im odprawiać mszy św., w sam nawet dzień Zielonych Świątek; w pismach Cyryla ukrywają się błędy Aryanów, Eunomianów i Apolinarystów. Obowiązkiem przeto patryarchy Jana jest, aby przykładnie ukarał tych kacerzy (Cyryla i Memnona), a biskupów którzy dali im się uwieść, skarcił.

Jan Antyocheński odpowiedział z udaną słodyczą, że najgorętszem wprawdzie jego życzeniem byłoby, nikogo z Kościoła św. nie wykluczać, że jednak niezdrowe członki muszą być odcięte dla ura-

towania całego ciała. I dlatego Cyryl i Memnon winni być z godności swych złożeni; wszyscy zaś przez nich uwiedzeni tak długo pozostaną pod klątwą, pokąd nie potępią kacerskiej nauki Cyryla, a trzymając się jedynie dekretów soboru Nicejskiego, z prawdziwym soborem się nie połączą. Naturalnie całe koncyliabulum zgodziło się jednomyślnie na tę propozycyę. Odpowiedni dekret podpisało 43 biskupów, między innymi Teodoret, biskup Cyru[1]. W osobnem piśmie napominało konciliabulum „prawowiernych biskupów“, aby odłączyli się od Cyryla i Memnona, gdyż inaczej ciężko odpokutują swój nierozum. Co prędzej też popędzili gońcy z listami do cesarza, do Pulcheryi, Eudoksyi, do kleru i ludu konstantynopolitańskiego z uwiadomieniem o zaszłych wypadkach.

W sobotę wieczór (27 czerwca) zaniosło konciliabulum prośbę do Kandydyana, aby nie dozwolił odprawiać nazajutrz uroczystego nabożeństwa żadnemu z wyklętych członków soboru, a przedewszystkiem Cyrylowi i Memnonowi. Z tej przyczyny przyszło do rozruchów; mieszkańcy Efezu, obruszeni jawną niesprawiedliwością, pod przewodnictwem papieskiego Legata, stanęli po stronie Cyryla i przeprowadzili siłą, że tenże odprawił nabożeństwo. Gorzej powodziło się dobrej sprawie w Konstantynopolu. Całe miasto dowiedziało się wprawdzie z radością o złożeniu Nestoryusza, cesarz też Teodozyusz wyraził się w pierwszej chwili przychylnie o soborze, ale po nadejściu raportu od Kandydyana zmienił swe zdanie, i natychmiast wysłał do Efezu niejakiego Palladyusza z groźnem pismem, wyrażając swe głębokie niezadowolenie, że sobór nie poczekał na przyjazd Jana Antyocheńskiego, unieważniał zapadły wyrok i zapowiadał przybycie swego podkomorzego dla zbadania sprawy; tymczasem, nie wolno żadnemu z biskupów opuścić Efezu i udać się bądź do domu, bądź na dwór cesarski. Zresztą, niechaj wiedzą, że cesarz nie bierze w obronę ani Nestoryusza, ani żadnego innego człowieka, ale jedynie prawdę i dogmat[2].

Pomimo pozorów neutralności widocznem było, że Teodozyusz staje po stronie „partyi rządowej“ Jana Antyocheńskiego i jego konciliabulum. To też po odczytaniu cesarskiego pisma chciał Jan

[1] Mansi IV., 1259 sq.; Hefele II., 177 sq.

[2] Mansi t. IV. p. 1378 sq.; Hefele II., 180. List cesarski nosi datę 29 czerwca.

odprawić uroczyste dziękczynne nabożeństwo, ale lud zamknął bramy kościelne i rozpędził „Antyochianów". Natomiast wysłało konciliabulum dziękczynny list do cesarzy: „Jakże świat jest szczęśliwy, mając takich panów! Złożyliśmy Cyryla i Memnona oprócz innych powodów i dla tego, że śmieli powstawać przeciw biskupowi cesarskiego stołecznego miasta, i nie byli posłuszni cesarskim rozkazom" [1]. W drugiem piśmie prosili Antyochianie, aby cesarz przeniósł sobór bliżej Konstantynopola; w ten sposób łatwiej będzie można dowieść Cyrylowi jego błędów, z własnych jego pism.

Cyryl i sobór przesłali również przez Palladyusza krótkie sprawozdanie do cesarza. Sobór nie prosił o łaski, ale żądał sprawiedliwości. Słusznie i gorzko uskarżał się na komesa Kandydyana, który przyjaźń Nestoryusza przekładał nad wiarę i pobożność. Jan Antyocheński oświadczył się za Nestoryuszem, bądź z przyjaźni, bądź dlatego, że i sam błędy jego podziela. Ponieważ Kandydyan nie dozwala soborowi zdać cesarzowi dokładniejszej relacyi, niechaj więc cesarz powoła do siebie samego Kandydyana i pięciu członków soboru, a z ust ich dowie się prawdy. W ostatnich dniach przeszło znowu kilku biskupów na stronę prawdziwego soboru, a tak liczba stronników Jana i Nestoryusza zmalała do 37, którzy po większej części są nieponiami lub Pelagianami [2]. Jakże cesarz może słuchać takich ludzi, a mieć w poniewierce wszystkich biskupów katolickich?.

Dziesiątego lipca odbyło się w pomieszkaniu Memnona drugie uroczyste posiedzenie soboru z powodu przybycia legatów papieskich. Odczytano list Celestyna do soboru. Papież wspominał, że już potępił Nestoryusza, i że nie wątpi, że zgromadzeni biskupi na wyrok jego się zgodzą. Słowa te przyjęto okrzykami radości: „Otóż sąd sprawiedliwy! Dzięki nowemu Piotrowi Celestynowi, nowemu Pawłowi Cyrylowi! Dzięki wiernemu stróżowi wiary Celestynowi!" Arcybiskup Cezarejski Firmus oświadczył, że sobór potępiając Nestoryusza, zapatrywał się, jako na normę swego postępowania, na poprzednie pismo papieskie do Cyryla. Filip, jeden z papieskich legatów, podziękował soborowi, „że święte członki połączyły się ze świętą głową, wiedząc dobrze, że Piotr jest

[1] Mansi IV., p. 1379 sq.; Hefele II. 181.
[2] Mansi IV., 1422 sq.; Hefele II., 182.

głową całej wiary i wszystkich apostołów“ i prosił, aby sobór przedłożył legatom papieskim dotychczasowe swe uchwały do przejrzenia i potwierdzenia. Zgromadzeni bez trudności zgodzili się na ten wniosek [1].

Na trzeciem posiedzeniu, które odbyło się nazajutrz (11 lipca), odczytano uchwały pierwszego posiedzenia w obecności legatów papieskich, a ci podpisali je w imieniu Papieża i całego Zachodniego Kościoła. Ostatni wybieg, ostatnia deska ratunku usuwała się z pod nóg Nestoryusza. Ponieważ Nestoryusz, pisali ojcowie soboru do cesarzy, stanowczo został potępiony, niechaj więc cesarz usunie go z stolicy konstantynopolitańskiej i niech dozwoli biskupom rozjechać się do domów. Dłuższy pobyt w kraju obcym jest dla niejednego z nich nadzwyczaj uciążliwym: wielu zachorowało, kilku umarło [2].

Ale obok prawowitego soboru istniało dalej i obradowało na swą rękę konciliabulum Antyochianów. Przemilczeć o niem nie było podobna; to też na czwartem posiedzeniu, 16 lipca zażądali Cyryl i Memnon, aby bezzwłocznie powołać Jana Antyocheńskiego i jego stronników przed sąd soboru [3]. Sobór zgodził się na wniosek i wydelegował trzech biskupów z zaproszeniem do Jana. Patryarcha nie przyjął wysłańców soboru, a natomiast straż, która otaczała dom Jana, obsypała ich pogróżkami i obelgami. Wysłani biskupi zdali natychmiast sprawę soborowi z tego, jak ich przyjęto, a Cyryl zażądał, aby sobór unieważnił wyrok, wydany przez Jana Antyocheńskiego przeciw samemuż Cyrylowi i Memnonowi, i aby ustanowił należytą karę na Jana. Na wniosek Juwenala trzech biskupów zaprosiło ponownie Jana na posiedzenie, ale patryarcha Antyocheński dał dumną odpowiedź: że „nie ma nic do czynienia ze złożonymi i wyklętymi“.

Niedosyć na tem — tego samego dnia rozkazał Jan poprzybijać na murach i rozrzucić między lud stanowczy dekret przeciw Memnonowi i Cyrylowi. W dekrecie tym obwiniało konciliabulum Memnona i Cyryla o szerzenie Apolinaryzmu, Eunomianizmu

[1] Mansi t. IV., p. 1287 sq.

[2] Mansi t. IV., p. 1302; Hefele II., 185.

[3] Mansi t. IV., p. 1306 sq. Posiedzenie to soboru, podobnie jak pierwsze, miało miejsce w kościele N. Panny.

i Aryanizmu, i składało ich z biskupiego urzędu. Sam Cyryl doniósł soborowi o tych śmiesznych i fałszywych oskarżeniach; sobór, 17 lipca wysłał trzech biskupów z wezwaniem do Jana, z groźbą kar kanonicznych, gdyby i tego trzeciego pozwu nie posłuchał. Jan nie chciał widzieć biskupów. Natomiast archidyakon Jana usiłował napróżno wręczyć im jakiś dokument, najprawdopodobniej wyrok przeciw Cyrylowi i Memnonowi. Archidyakon udał się teraz do swego pana i wnet wrócił z stanowczą odpowiedzią, że ponieważ rzecz cała toczy się obecnie przed cesarzem, należy się powstrzymać z dalszymi krokami i czekać na wskazówki z Konstantynopola.

Trudno było o odpowiedź dokładniej cechującą zapatrywania i usposobienie Antyochianów. Podczas gdy prawdziwy sobór, wezwawszy na pomoc Ducha św., Bożem oświeceniem się rządził i za nieomylnem, przyrzeczonem mu z góry natchnieniem, wykładał naukę wiary: Antyochianie nie zważając na niepodlegającą wątpliwości prawowitość zebranego soboru, szukali poparcia u władzy świeckiej, i przed jej sąd wytaczali sprawę wiary. W obec takiego usposobienia Antyochian, w obec uporu Jana dalsze rokowania byłyby śmieszne i zbyteczne. Zważając na to, sobór rzucił klątwę na Jana Antyocheńskiego i jego stronników, i zawiesił ich od sprawowania urzędów kapłańskich. O wyroku tym uwiadomił sobór papieża i cesarzy. Któż kiedy słyszał, pisał sobór, aby kilkudziesięciu biskupów, których liczba zmalała już teraz do trzydziestu, śmiało unieważniać uchwały powzięte przez 210 biskupów, z którymi zresztą łączy się duchownie cały zachodni episkopat. A nadto pomiędzy owymi trzydziestu biskupami znajduje się wielu Nestoryanów i Pelagianów, wielu biskupów wypędzonych ze swych dyecezyj [1].

Siódme i ostatnie posiedzenie soboru odbyło się 31 lipca. Sobór ułożył i rozesłał okólnik o wyklęciu Jana z Antyochii i jego stronników a zarazem zatwierdził sześć bardzo ważnych kanonów karnych, których celem było powstrzymać szerzenie się Nestoryanizmu i Pelagianizmu. Korzystając może z naprężonych stosunków z Janem z Antyochii, chciał Juwenal, biskup Jerozolimski, wyłamać

[1] Mansi IV., 1326 sq.; Hefele II., 188 sq.

się z pod wszelkiej zależności od Antyochii. Żądaniu temu sprzeciwił się sam Cyryl a sobór przychylił się do zdania Cyryla.

Na każdem posiedzeniu uchwalał sobór, aby wszystkie akta i postanowienia wysyłane były natychmiast do Konstantynopola, rozumie się, nie do potwierdzenia, ale tylko do zakomunikowaniu cesarzom. Nestoryanie ze swej strony przeszkadzali na wszelkie sposoby komunikacyi soboru z cesarzami. Żołnierze strzegli pilnie głównych dróg i bram miasta, rewidowano starannie przybywające okręty, czy nie przywożą jakiego pisma od soboru. Nakoniec udało się jakiemuś żebrakowi przenieść w wydrążonym kiju listy Cyryla do mnichów i kleru konstantynopolitańskiego. Cyryl skreślał w żywych barwach prześladowanie, jakie sobór ponosi od Kandydyana i biskupów wschodnich i prosił, aby duchowieństwo stolicy wyjednało u cesarzy pozwolenie przybycia do Konstantynopola dla deputacyi soboru. Listy te sprawiły niezmierne wrażenie. Olbrzymia procesya mnichów konstantynopolitańskich pod przewodnictwem swych archimandrytów, pociągnęła pod pałac cesarski, śpiewając święte hymny i psalmy. Tłumy ludu kupiły się zwłaszcza koło archimandryty Dalmacyusza, który od lat 48 nie opuszczał swego klasztoru a teraz wezwany, jak sądził, głosem Bożym, śpieszył z innymi ratować Kościół. Cesarz rozkazał przywołać do siebie archimandrytów; lud i mnisi zalegli przyległe place. Archimandryci odczytali cesarzowi pisma otrzymane z Efezu. „Czyż wolisz słuchać, zapytał Dalmacyusz, jednego bezbożnika (Nestoryusza), aniżeli 6000 prawowiernych biskupów?“. Cesarz przyrzekł, że dozwoli wysłańcom soboru przybyć wolno do Konstantynopola, i prosił zebranych archimandrytów o modlitwy. Teraz lud i mnisi udali się procesyonalnie do kościoła św. Mocyusza męczennika, podziękować Bogu, że dawna katolicka wiara nie będzie narażoną na prześladowanie. Dalmacyusz powtórzył z ambony przyrzeczenie cesarskie a wszyscy obecni zawołali jednogłośnie: „Przekleństwo Nestoryuszowi“ [1].

Korzystając z udzielonego pozwolenia wysłał sobór dwóch egipskich biskupów w poselstwie do Konstantynopola. Jan z Antyochii uprosił komesa Ireneusza (w połowie lipca), aby on sam pojechał do cesarza i wniósł skargi na Cyryla i sobór. W drodze do-

[1] Mansi IV., 1427 sq., Hefele II., 197 sq.

gnali Ireneusza gońcy z nowymi listami od konciliabulum. Antyochianie donosili o przebiegu czwartego i piątego posiedzenia soboru, i skarżyli się na prześladowanie ze strony efeskiego ludu. Niechaj cesarz zwoła nowy sobór do Konstantynopola lub Nikomedyi, który bezstronnie rozstrząsnąłby ich skargi. Niech nadto rozkaże cesarz, aby wszyscy ściśle i jedynie trzymali się nicejskiego wyznania wiary, aby nikt nie ośmielił się dodawać coś nowego, nikt nie nazywał Chrystusa samym tylko człowiekiem (jak Nestoryusz) i nikt nie śmiał twierdzić, że Bóstwo Chrystusowe cierpieć mogło, bo jak jedno tak drugie twierdzenie równie jest bezbożnem [1].

Biskupi egipscy przybyli do Konstantynopola na trzy dni przed Ireneuszem. Po wielu rozprawach i umowach zgodzono się wreszcie, że tak Ireneusz, jak i wysłańcy soboru staną jednocześnie przed cesarzem w obecności najwyższych dostojników państwa. Lud tak był rozjątrzony przeciw Nestoryanom, że Ireneusza o mało na drodze do pałacu nie pochwycił i nie wrzucił do morza Cesarz (przynajmniej wedle relacyi Ireneusza) przechylił się na stronę Antyochian i postanowił złożyć Cyryla. Wkrótce jednak przybył wysłany od Cyryla sekretarz jego i doktór Jan, jasno przedstawiwszy prawdę, zburzył po części mozolną pracę Ireneusza. Doradzcy cesarscy rozdzielili się obecnie na trzy stronnictwa, z których każde podawało odmienny sposób załatwienia sporów powstałych w Efezie. Teodozyusz przechylił się do zdania, radzących, wysłać pełnomocników cesarskich do Efezu, którzyby zbadawszy rzecz na miejscu, pokój przywrócili. Zarazem jednak uwzględnił o tyle zdania dwóch pierwszych stronnictw, że potwierdził wyrok, wydany przez sobór, składający Nestoryusza, — i wyrok konciliabulum, składający Cyryla i Memnona.

Ogłoszenie tego wyroku i jego przeprowadzenie zlecił Teodozyusz jednemu z najwyższych urzędników, podskarbiemu państwa Janowi. Styl edyktu cesarskiego był zręczny, ale podstępny. Ignoruje on dyplomatycznie istnienie dwóch przeciwnych sobie soborów w Efezie, i rzeczy przedstawia tak, jakoby jeden i tenże sam sobór zarówno złożył Nestoryusza, jak Cyryla i Memnona, i jakoby obecnie

[1] Mansi IV., 1371 sq. Drugie twierdzenie przypisywano, choć najzupełniej fałszywie, Cyrylowi.

nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak załatwienie paru drobnych niesnasek. Dowiedziawszy się o tem cesarz, zachęca sobór do zgody.

Komisarz cesarski Jan przybył do Efezu na początku sierpnia. Przyjazd jego nie wróżył nic dobrego dla prawowiernych biskupów; to też Cyryl uspakajając swych współbraci w przemowie mianej do soboru, pocieszał ich tą tylko uwagą, że wszystkie cierpienia i prześladowania wychodzą sprawiedliwym na pożytek. Natychmiast po swem przybyciu zażądał Jan, aby wszyscy biskupi zgromadzili się nazajutrz w jego pomieszkaniu. Nestoryusz i Jan z Antyochii stawili się bardzo rano, prawie o brzasku jutrzenki; nieco później nadszedł Cyryl z prawowiernymi biskupami, jednego tylko Memnona nie było widać. Prawowierni biskupi zażądali, aby Nestoryusz oddalił się jako wyklęty; przeciwnie Antyocheni twierdzili, że ponieważ Cyryl został wyklęty, nie można więc odczytać listów cesarskich w jego obecności. Przyszło do gwałtownej sprzeczki; na rozkaz komisarza Jana, tak Cyryl, jak i Nestoryusz musieli ustąpić. Komes Kandydyan uwięził Nestoryusza i objął nad nim straż; komes Jakub uwięził Cyryla i Memnona[1]. Tymczasem odczytywał Jan zgromadzonym biskupom cesarskie pismo i zachęcał ich do wzajemnej miłości i jedności. Była to prawdziwie bizantyjska sprawiedliwość: winny i niewinny został skarcony, a następnie zalecono im zgodę.

W śmiałym liście do cesarzy zaprotestował sobór przeciw bezprawiom popełnionym w imieniu cesarskiem: Edykt cesarski opiera się na fałszywem mniemaniu, jakoby zarówno Cyryl, jak i Nestoryusz zbłądzili w wierze; a przecież przeciwnie, sobór powszechny, zjednoczony z Rzymską, apostolską stolicą, z całym Zachodem, z Afryką i z Illiryą, podziwia jednomyślnie Cyryla i Memnona, z powodu ich żarliwości dla utrzymania prawdziwej wiary, i sądzi że zasłużyli na nagrodę od Chrystusa P.; Nestoryusza zaś i tylko jednego Nestoryusza złożyli z jego godności, jako herolda nowego kacerstwa; co się tyczy zajść między soborem a Antyochenami, to

[1] Mansi t. IV., 1397 sq., Hefele II., 203 sq. Według sprawozdania do cesarzy komisarza Jana.

niech cesarze wyślą swych pełnomocników, ludzi wiernych i godnych, dla należytego zbadania całej sprawy [1].

Cyryl z więzienia użalał się również na niegodne postępowanie komesa Jana. Doniósł on niewiernie wiele rzeczy, ale sobór sam siebie oczerniać nie myśli. „Biskupi wschodni (Antyocheńczycy) sami nie wiedzą, czego się trzymać. Niektórzy z nich przyznają N. Pannie nazwę Bogarodzicielki, ale żądają, aby zarazem nazywać ją rodzicielką człowieka; inni zaś nazwy Bogarodzicielki zupełnie jej zaprzeczają i mówią, że raczej gotowi dać sobie ręce odciąć, niż na tę nazwę się zgodzić... Tutaj bardzo święci biskupi, którzy nigdy mię przedtem nie widzieli, gotowi są za łaską Zbawiciela naszego życie swe za mię oddać; przychodzą do nas ze łzami i mówią, że pragną i wygnanie i śmierć razem z nami ponieść. Wszyscy zaś ciężko jesteśmy strapieni, bo i żołnierze nas ustawicznie strzegą i śpią nawet przed naszemi celkami. Mnie to bardzo dokucza, ale i wszyscy inni Ojcowie chorzy i zmęczeni. I wielu już umarło, a inni ogołoceni z pieniędzy, co jeszcze im zostało, sprzedają“ [2]. Podobnej treści listy wyprawił sobór i jego najznakomitsi członkowie. Jednocześnie Antyochianie agitowali głównie na Wschodzie, a do cesarza wysłali swe wyznanie wiary, dobre i prawdziwe, ale na które w gruncie wielu z nich się nie zgadzało.

Nakoniec w pierwszych dniach września nadeszły do Efezu stanowcze rozkazy cesarskie. Tak sobór, jak i Antyochianie, mieli wysłać do Konstantynopola po ośmiu rzeczników, których sam cesarz chciał przesłuchać i sprzeczkę ich bezstronnie roztrząsnąć. Nestoryusz otrzymał nakaz bezzwłocznie opuścić Efez i wrócić do swego klasztoru. Odpowiedni edykt, wydany przez prefekta pretoryum Antyocha, był nie wiedzieć, grzeczny, czy ironiczny [3], ale w każdym razie stanowczy. „Ponieważ sam Nestoryusz, brzmiał nakaz, wyraził był dawniej życzenie wrócenia do swego klasztoru św. Euprepiusza koło Antyochii, — przeto dla bezpieczeństwa i posługi prefekt przydaje mu straż, która ma go odprowadzić aż do tego

[1] Mansi IV., 1434; Hefele II., 205.
[2] Opera Cyrilli Al. t. X., p. 141 sq.
[3] Mansi t. V., p. 792; Hefele II., 218.

miejsca". Nestoryusz odpowiedział, że z wdzięcznością przyjmuje to wygnanie za całość w wierze; prosi tylko, aby we wszystkich kościołach ogłoszono edykta cesarskie przeciw gadaninie Cyryla, która prostaczków mogłaby w błąd wprowadzić [1].

Pierwszą myślą cesarza było przywołać wygnańców soboru i Antyochianów do Konstantynopola; namyśliwszy się jednak lepiej i obawiając się prawdopodobnie rozruchów w stolicy, nakazał im zatrzymać się w Chalcedonie naprzeciw Konstantynopola. 11 września odbyło się pierwsze posiedzenie w obecności cesarza. Wysłańcy soboru odwoływać się mieli [2] na Cyryla i żądali jego przybycia. Cesarz i obecni senatorowie przechylili się wyraźnie na stronę Antyochianów, mówiąc, że zrozumieć nie mogą, jak można twierdzić o Bogu, iż jest podległym cierpieniom. Uradowani Antyochianie zawołali, iż raczej umrą, niż zgodzą się na jakie heretyckie zdanie Cyryla; a niebawem przesłali dziękczynne pismo do cesarza, wstawiając się w niem zarazem za Nestoryuszem. Ale tryumf ten trwał krótko. Po czterech jeszcze posiedzeniach, cesarz zmienił zdanie i zabrawszy ze sobą deputowanych soboru, wrócił niespodzianie do Konstantynopola. Jakie pobudki nakłoniły cesarza do zmienienia zdania? Czy poznał wreszcie, że sprzeciwiając się prawowitemu soborowi, walczy z Bogiem? Czy ustąpił naleganiom św. Pulcheryi? Bądź co bądź, opatrznościowa ta zmiana w umyśle cesarskim, uchroniła Kościół od nowej, długiej może walki z cezaryzmem, zwycięzkiej ostatecznie bezwątpienia dla Kościoła, ale w której utraciłby może niejednego z swych członków. Przerażeni Antyochianie czemprędzej wysłali memoryał do cesarza z obelgami na Cyryla i z prośbą o jedną jeszcze dysputę w obec cesarza, najlepiej piśmiennie, dla uniknienia kłótni. „Wiadomo, pisali [3], czego chcą Cyrylczycy. Juwenal ma chętkę na Arabię i Fenicyę. Jeśli nowa dysputa nie jest możliwą, to niechaj cesarz dozwoli nam rozjechać się do domu".

W drugim memoryale skarżyli się Antyochianie na gwałty, jakich doświadczają. Cesarz, mówią, wyklętych biskupów przywołał

---

[1] Mansi V., 793; Hefele II., 218.

[2] Tak przynajmniej donosili Antyochianie w tryumfalnym liście do conciliabulum. Mansi IV., 184.

[3] Mansi V., 802; Hefele II., 223.

do Konstantynopola i dozwolił im odprawiać nabożeństwo, a tymczasem pachołcy, przebrani za mnichów, rzucali na Antyochian kamieniami. Niechże przynajmniej cesarz nie dozwoli wyświęcić nowego biskupa dla Konstantynopola, dopóki sporne kwestye, tyczące się wiary, stanowczo nie zostaną rozstrzygnięte [1].

W odpowiedzi na ten memoryał, rozkazał cesarz wszystkim członkom Efezkiego soboru rozjechać się do domów. Na biskupa konstantynopolitańskiego wyznaczył tamtejszego kapłana Maksymiliana, który zresztą używał najlepszej sławy. Taki wynik rzeczy oburzył Antyochian do najwyższego stopnia. „Własna skromność i uległość nasza najbardziej nam zaszkodziła, pisali do cesarza [2]. Tak długo trzymano nas w Chalcedonie a teraz rozsyłają ze wstydem do domów. A przecież Teodozyusz nie jest tylko cesarzem Cyrylianów, ale i Antyochianów, boć Wschód niemałą część jego cesarstwa stanowi. Bóg będzie się opiekował cesarzem, jeśli cesarz będzie się opiekował prawdziwą wiarą i nie dozwoli rozdzierać Kościoła". Raz jeszcze zapewniają, że Cyrylianie wznawiają błędy Aryusza, Apolinaryusza i Eunomiusza. Ale jeśli mimo ich zaklęć cesarz nie zechce ująć się za prawdziwą wiarą, natenczas otrząsną proch z nóg swoich, wołając z Apostołem Pawłem: Niewinni jesteśmy krwi waszej.

Ale czasy pomyślne dla Antyochian minęły bezpowrotnie. Teodozyusz, choć mocno niezadowolony, że jego pacyfikacyjne plany nie odniosły skutku, przechylił się jednak stanowczo na stronę prawowitego soboru. Niezadowolenie cesarza przebija się w zirytowanym tonie edyktu, którym rozpuszczał sobór: „Jeśli chcecie się jeszcze pojednać z biskupami wschodnimi, donieście mi o tem natychmiast; jeśli nie, pomyślcie o wyjeździe z Efezu. Nie nasza wina, że się zgodzić nie chcecie; ale Bóg zna winowajców" [3].

Jeszcze przed nadejściem tego dekretu do Efezu wypuszczono Cyryla na wolność. 30 października stanął on w Aleksandryi, gdzie lud przyjmował go z nadzwyczajnym weselem, jako prawdziwego obrońcę wiary. Za takiego uważali go i inni biskupi, a zwłaszcza nowy biskup konstantynopolitański Maksymian. „Nie tylkoś uwie-

[1] Mansi IV., 1403; Hefele II., 225.
[2] Mansi IV., 1405; Hefele II., 226.
[3] Mansi IV., 1465; Hefele II., 227.

rzył w Chrystusa, pisał do Cyryla[1], aleś i cierpiał za Niego". Wyznałeś Go przed ludźmi i dlatego zasłużyłeś, aby i On przyznał się do ciebie przed Ojcem w obliczu aniołów swych świętych. Teraz racz nas modlitwami swemi wspomagać, a módl się za nami do Chrystusa". Odpowiedź Cyryla jest rodzajem hymnu pochwalnego, na cześć zwycięzkiej prawdy. „Niech cieszą się ziemia i niebiosa, bo zwyciężyła chwała Zbawiciela Pana naszego. Nie kto inny bowiem był Synem odwiecznym Boga Ojca, przez którego wszystkie rzeczy stworzone są, a kto inny, który w naszym czasie z N. Panny wedle ciała się zrodził, ale jeden i tenże sam, który (wedle słów św. Pawła) wziął nasienie Abrahamowe i stawszy się uczestnikiem ciała i krwi naszej, we wszystkiem stał się nam podobnym, wyjąwszy jednego grzechu. Ale zarazem wyznajemy, że ciało Jego ożywione było i prawdziwie złączone z duszą rozumną. Nie przyjmujemy bowiem zmyśleń szalonego Apolinaryusza, ale trzymając się się prawdziwej wiary: Apolinaryusza i Aryusza i Eunomiusza, a wespół z nimi i Nestoryusza wyklinamy" [2].

Aby oczyścić się zupełnie przed cesarzem z uczynionych sobie zarzutów i wytłumaczyć mu, dlaczego podjął się walki z Nestoryuszem i później z Janem Antyocheńskim, ułożył Cyryl swą apologię, którą przesłał Teodozyuszowi [3]. „Wezwałem twej pomocy i pomocy królowych; był to bowiem mój obowiązek, jako wiernego strażnika, który jeśli na czas o nieprzyjacielu nie ostrzeże, śmierci jest godzien. Groziła nam zaguba naszej wiary; czyż mając prawdę w ręku, nie mieliśmy się bronić? Choć władcy ziemscy popierali Aryusza, przecież przodkowie nasi powstali przeciw niemu; a cóż mię miało powstrzymać od koniecznej walki? Myślałem: zacny cesarz, pobożne królowe — walcząc za dobrą sprawę obawiać się ich nie mogę. Chciałeś aby Nestoryusz był dobrym biskupem; ja sam ucieszyłem się z jego wyboru. Ale pokazało się, że to wilk, nie pasterz. Napominano go, nie posłuchał. To też, jak twoi wodzowie broniliby twej sławy, — tak biskupi bronili sławy Chrystusa".

„Ale i z innej strony pożytecznem było twemu państwu, aby Nestoryusz był potępiony. Nie wprzód Ezechiasz ofiarował Bogu,

[1] Cyrilli Al. Opera. T. X., p. 147 sq.
[2] Cyrilli Opera, t. X., p. 149 sq.
[3] Cyrilli Opera t. IX., p. 453—488.

aż oczyszczono świątynię: tak i Ty, nimbyś się chojną ręką przyczynił do wspomożenia Kościoła, rozkazałeś, aby go wprzód oczyścili kapłani. A oto niektórzy byli temu niechętni. Biskup Antyocheński zwłóczył umyślnie z przybyciem. Sobór potępia Nestoryusza, a na tę wiadomość Jan Antyocheński odzyskuje dawną siłę i życie. Ledwie przyjechał, jeszcze okryty prochem, oskarżył mię o Apolinaryzm. A przecież dopiero co pisał do mnie słodkie listy, zwał mię przyjacielem. Cały sobór wykluczył go od wspólności z sobą. Więc chyba nie wie, co jest i co znaczy hierarchia, która i w tem państwie panuje. Czemuż mię nie oskarżył przed soborem, a tylko tajemne czynił zasadzki, pisząc na mię fałszywą skargę do Ciebie? Dowiedziawszy się o tem, wiarę mą przed synodem stwierdziłem. Prosiłem, aby poparł jakimi dowodami swe oskarżenie; on zaś nie śmiał ani do mnie przyjść, ani nawet na sobór popatrzeć, i z domu nie wychodził. Czyż podobna, aby sobór bardziej mnie się miał obawiać, niż Boga"?

„Znajdą się tacy, którzy powiedzą, że słusznie Jan się rozgniewał, ponieważ bez niego rozpoczęliśmy sobór. On zwłóczył; więc jego wina. Czemuż tych, którzy oznajmili, że już nie przybędzie, nie skarcił, ale zalicza ich do grona swych przyjaciół? A choćbyśmy w tym względzie zawinili, czyż dlatego miał kłamać, fałszywie nas przed tobą oskarżać, czyż miał dlatego pomagać bluźniercy Chrystusa?".

Gromy wymierzone przeciw Antyochianom były w tej chwili zbyteczne, gdyż i tak znajdowali się oni w bardzo smutnem położeniu. Opuszczeni od cesarza, na którym opierały się wszystkie ich nadzieje, zmuszeni opuścić Konstantynopol, wylali żółć swą w pożegnalnych mowach, wypowiedzianych przez Jana Antyocheńskiego i Teodoreta. Nie trzymali oni z Nestoryuszem, wyklinali Cyryla, ale nieokreślona pośrednia droga, którą iść zamierzali, nie prowadziła ostatecznie do niczego. Wszyscy obracali się przeciw nim. Papież Celestyn w liście z 15 marca 432 r. winszował soborowi Efezkiemu, że udało mu się przytłumić powstającą herezyę. Maksymian zwrócił się najwyraźniej przeciw Antyochianom; w przejeździe przez Ancyrę traktowano ich jako wyklętych. Pomimo tego Antyochianie nie chcieli dać za wygraną. Na konciliabulum w Tarsie i na konciliabulum w Antyochii potępili ponownie Cyryla. Teodoret z Cyru, Andrzej Samosateński, Eleuteryusz z Thyany wystąpili prze-

ciw Cyrylowi z polemicznemi dziełkami. Nadto udało się Antyochianom przeciągnąć zupełnie na swą stronę starego Akacyusza z Berei, na którego wpływ i znaczenie nie mało rachowali.

Zaledwie więc zdołano zwalczyć Nestoryusza, zaledwie choć w części zażegnano grożące niebezpieczeństwo, już znowu trzeba było stawać do walki z nowym, poniekąd może jeszcze trudniejszym do przezwyciężenia wrogiem. Antyochianie, jak dzisiejsi starokatolicy, stawali jako wrzekomi obrońcy starożytnej wiary, żądali, aby nic nie odejmować i nic nie przydawać do nicejskiego wyznania wiary, nie rozumiejąc, że właściwy i pod kierownictwem Ducha św. przeprowadzony „rozwój wiary" w świadomości wiernych, nietylko nie mąci i nie zabija dogmatu, ale owszem, jest jednym z świadectw jego boskości. Nowy papież Sykstus III., pragnął szczerze [1] przyprowadzić Antyochian do zdrowszych pojęć. Cesarz Teodozyusz ze swej strony zebrał (w połowie 432 r.) rodzaj synodu, na którym zastanawiano się nad pojednaniem patryarchy Antyocheńskiego z Aleksandryjskim. Cesarz napominał listownie Jana do zgody i wyznaczył Nikomedyę na miejsce zjazdu z Cyrylem. Ale synod prowincyonalny zwołany przez Jana, a w skład którego wchodzili: Andrzej Samosateński, Teodoret z Cyru i Akacyusz z Berei, oświadczył się ponownie za ścisłem trzymaniem się symbolu nicejskiego, bez wszelkich jakichbądź objaśnień lub dodatków.

Wnet jednak, jak zawsze i wszędzie między tymi, co od Kościoła się oddalają, pomiędzy samymi Antyochianami powstała niezgoda. Cyryl w liście do Akacyusza [2] jasno i wyraźnie streścił raz jeszcze całą swą naukę i wręcz zaprzeczył, jakoby dał się usidlić Apolinaryanizmowi lub Aryanizmowi. Usprawiedliwienia te najzupełniej zadowolniły Akacyusza a po części i Teodoreta. Przeciwnie Aleksander z Hierapolis w całem dziele pojednania widział tylko szatańską pokusę, a Helladyusz z Tarsu krzyczał na zdradę ze strony Antyochian i natarczywie domagał się przywrócenia Nestoryusza. Szczęściem Jan z Antyochii był tą razą na seryo za zgodą. Po pewnych pertraktacyach Jan podpisał i przysłał do Cyryla katolickie wyznanie wiary i wyrzekł się wszelkiej styczności z błędną nauką Nestoryusza.

---

[1] Mansi, t. IV., p. 374 sq.

[2] Cyrilli Opera t. X. p. 157 sq.

List Jana uwieńczył długoletnią i ciężką pracę patryarchy Aleksandryjskiego. Przejęty weselem, obwieścił Cyryl szczęśliwą tę nowinę swemu ludowi w kazaniu (w kwietniu 433), którego ułamek przechował się do naszych czasów [1]). Ale nie wszyscy, nawet z pomiędzy najlepszych katolików, zadowoleni byli z zawartej unii między Cyrylem a Janem. Słynny Izydor Peluzyota a z nim wielu innych, zarzucali Cyrylowi, że dla miłej zgody poświęcił dogmat, i że w wyznaniu wiary, podpisanem przez Jana, znajduje się wiele wyrażeń czysto nestoryańskich. W zapale walki przeciw Nestoryuszowi nie spostrzegli się niektórzy z tych nowych przeciwników Cyryla (tak np. Akacyusz z Meliteny), że opierają się na zasadach Monofizytów i że zaprzeczają nietylko dwom Osobom ale i dwom naturom w Chrystusie. Cyryl w listach do swych przyjaciół [2], a szczególniej w głęboko obmyślanym liście do Akacyusza z Meliteny, bronił świetnie zawartej unii, dowodząc, że Antyochianie, choć używają czasem nie dość ścisłych wyrażeń, w gruncie trzymają się ściśle katolickiego dogmatu.

Teodoret z Cyru zawarł wprawdzie unię z Cyrylem, ale zarazem domagał się przywrócenia na swój urząd złożonych biskupów, a w szczególności Nestoryusza. Tegoż samego żądali biskupi zwołani przez Teodoreta na synod prowincyonalny w Zeugma. Synod w Anazarbus posunął się krok dalej: unię ogłosił za nieważną a Cyryla za heretyka. Ostatecznie Teodoret przystąpił do unii, ale pod warunkiem, że nie podpisze złożenia Nestoryusza. Aleksander z Hierapolis i wielu innych upartych biskupów opuścić musiało swe stolice.

Od r. 432 przebywał Nestoryusz w dawnym swym klasztorze w Antyochii. Widocznie jednak pobyt jego w tem mieście źle musiał wpływać na tamecznych mieszkańców i stać się przyczyną nowych zamieszek, gdyż w trzy lata później (r. 435) dekret cesarski oddalał go do Petry w Arabii. W skutek nowego rozkazu musiał znów Nestoryusz opuścić Petrę i przenieść się do Oazys w Egipcie. W czasie napadu dzikich, rozbójniczych pokoleń ratował się ucieczką do Tebajdy, skąd odesłał go czemprędzej cesarski namiestnik do Panopolis. Niewiadomo gdzie i kiedy umarł. Cesarz kazał wszyst

[1] Mansi t. V., p. 289.; Hefele II, 252.
[2] Mansi. t. V., 309 sq.

kle pisma Nestoryusza spalić, a jego zwolennikom nadał hańbiącą nazwę Symonistów. Nie mogąc opierać się na zabronionych pismach Nestoryusza, poczęli „Symoniści“ używać i rozpowszechniać pisma Teodora z Mopsuestu, ale Cyryl i jego przyjaciele, a zwłaszcza Rabulas, biskup Edessy, otworzyli formalną kampanię przeciw nauce tego ojca Nestoryanizmu, a tak podcięli złe w samym korzeniu.

Ostatnim przytułkiem Nestoryanizmu była szkoła edeseńka. Z zamknięciem tej szkoły przez cesarza Zenona r. 489, rozproszyli się Nestoryanie po Persyi, skąd w przeciągu wieków udało im się nieco rozszerzyć po innych azyatyckich krajach. Straszny Tamerlan sprawił pomiędzy nimi okropną rzeź. Pewna część pozostałych Nestoryanów połączyła się później z Kościołem; inni, około 100 tysięcy, mają do dziś dnia osobnego swego patryarchę, który rezyduje w jednej z niemal niedostępnych dolin na granicy persko-tureckiej.

Cyryl opierał się na prawdzie i bronił prawdy a przeto owoc pracy jego trwa. Dziś każde dziecko katolickie wie o tem, że w Chrystusie dwie są natury Boża i ludzka, ale jedna Osoba; że dlatego właśnie, iż tenże sam Chrystus był Bogiem i był zarazem człowiekiem; mógł On cierpieć, bo był człowiekiem, a cierpienie Jego miało znaczenie nieskończone, bo był Bogiem. Ale prawda ta, na której opiera się całe dzieło naszego Odkupienia a pośrednio długi szereg katolickich dogmatów, nie stałaby nam dziś tak jasno przed oczyma, gdyby nie opatrznościowa pod kierunkiem Ducha św. przeprowadzona i rozstrzygnięta walka Cyryla Aleksandryjskiego z Nestoryuszem.

Ks. J. Badeni.

REFORMA MUZYKI KOŚCIELNEJ
W XIX. WIEKU.

Jałowe wyrzekania na chwilę obecną są dziś przewodnią nótą publicystyki i piśmiennictwa spółczesnego. Zewsząd podnoszą się pesymistyczne głosy, gorzkie skargi i żale, z których chyba potomność wnosić będzie mogła, iż nigdy ciemniej, ani gorzej na świecie nie było. Niebezpieczny to zaiste kierunek, wiodący co najmniej do zwątpienia i zniechęcenia, do zakładania rąk bezczynnie i pogrążenia się w wschodnim fatalizmie. Czyż nie należałoby raczej dodawać sobie otuchy i męstwa, zachwytywaniem dodatnich odgłosów i objawów, śledzeniem na spienionych nurtach potoku czasu srebrzącej się fali widocznego dla głębiej patrzących oczu postępu? Czyż nie lepiej byłoby iść za radą wieszcza naszego narodowego, i z nim razem

> w złych myśli nacisku,
> Szukać dobrej, jak w mrowisku
> Szukają ziarnek kadzidła.

A zadanie to nie byłoby tak trudnem jak się zrazu wydaje. Owszem, wśród ciemni dni naszych, co chwila błyskają zorze lepszych nadziei. Jednem z takich pocieszających objawów jest niezawodnie ogólny zwrot ku dawnym wzorom nieśmiertelnego piękna. Po wieloletniem zepsuciu smaku i niemal dwuwiekowem obłąkaniu sądu i zmysłu piękna, nastąpiło w tej chwili stanowcze opamiętanie; zewsząd uwidoczniają się usiłowania, aby odzyskać zatracone nici artystycznej tradycyi, nawiązać ponownie zerwany w XVIII. stuleciu jej wątek; stare gmachy oczyszczają się powoli z oszpeca-

jących je ozdób i dodatków, zaniedbane dzieła pędzla budzą troskliwość ogólną, i otarte z długoletniego pyłu, wabią świetnością kolorytu; dawne pomniki myśli ludzkiej i ręki ludzkiej ogólnym dziś bywają przedmiotem czci i uszanowania. Na wszystkich drogach i torach umysłowości i estetyki, znaczy się w tej chwili powrót do klasycznych wzorów i prawideł. Warto się bliżej zastanowić nad doniosłością tego nowego prądu, który w ostatnich latach powiał nad światem. W wiekach wiary, pełność posiadanej prawdy wiodła ku zdobyciu i osiągnięciu piękna. Dość przypomnieć imiona Giotta, Palestryny, Dantego, Donattella, Michała Anioła, Fra Angelico... Wiadomo, z jakich źródeł czerpali oni natchnienie, z jakich krynic pili piękno; dzieła ich były odzwierciedleniem nieba, przeglądającego się w ich duszy, światło ku nim z góry płynęło. Dziś, odwrotnym kierunkiem powtarzać się gotów ów proces duchowy. Niegdyś przodkowie nasi doszli do piękna przez prawdę, — alboż zbyt śmiałem będzie twierdzenie, iż dziś wnukowie ich wrócą do prawdy za pomocą odnalezionego, odzyskanego i uczczonego piękna? Iskra to Boża, gotowa rozniecić dawne płomienie w zakrzepłych chłodem niewiary duszach...

Nie będziem się tu rozwodzić nad owym pomyślnym zwrotem w innych sztukach, nad badaniami archeologicznemi i historycznemi, które są chlubą dni naszych, a powracają prawdzie dziejowej i pięknu artystycznemu właściwe ich stanowisko. Pragniemy tylko wskazać jeden dział tej szlachetnej roboty, jedną stronę błogiego prądu, o ile ten obejmuje reformę muzyki kościelnej, owego najwyższego kwiatu sztuki, zwiędłego pod zimnym powiewem minionego stulecia.

Nie idziemy za własnym instynktem i skłonnością, stawiając muzykę na szczycie sztuk pięknych. Montalembert, który nietylko jako przyjaciel pobitych i nieszczęśliwych, ale jako głęboki znawca piękna, osobną jest dla nas powagą, zwykł był słusznie powtarzać, iż im sztuka lotniejszą, bardziej przemijającą obleka formę, tem wyżej się ona podnosi. Nad budownictwo, o stałych głazach i podwalinach, rzeźbiarstwo i malarstwo wybiega. Muzyka jeszcze podnioślejsze zajmuje miejsce, a najwyżej kłaść wypada krasomówstwo, potęgę słowa drgającego zaledwie przez chwilę, aby w duszach nieśmiertelne pozostawiać ślady!...

Wysokie, wyjątkowe znaczenie muzyki, ludzkość od samego

początku swego istnienia ocenić umiała. Jedyna to z sztuk pięknych, którą wiara zamieszcza w niebiosach, którą przez całą wieczność wybrani cieszyć się będą, łącząc swe głosy z chórami aniołów wielbiących Wszechmocnego. Dzieje starego zakonu nierzadkie zawierają wzmianki o potędze muzyki. Walą się mury Jerycha na odgłos trąb Jozuego, łagodzi się szał Saula pod wpływem dźwięków Dawidowej arfy, coby służyć powinno za wskazówkę, iż najskuteczniejszy byłby to środek harmonizowania starganych władz i zdolności ludzkich, najpewniejsza droga leczenia obłąkanych, za pomocą łagodnej i łagodzącej muzyki, czego zresztą już w jednym z szpitali paryskich z najlepszym spróbowano skutkiem; każdy wypadek znaczniejszy w Starym Testamencie święci się pieśnią, — Mojżesz, Debora, Judyt, Anna, Tobiasz, z pełności serca zawodzą hymny natchnione, a co mówić o nieśmiertelnych psalmach Dawida, które przez całe wieki pozostaną głosem cierpiącej ludzkości, jękiem wygnańców, tęskniących sobie w dolinie cieniów śmierci, a krzepiących się nadzieją oglądania Boga i chwalenia Go w wieczności. Cztery tysiące Lewitów spólnie zawodziło w świątyni Jerozolimskiej owe psalmy hebrajskie, będące pierwowzorem choralnej, religijnej muzyki. Pojęcie chwalenia Boga pieśnią trysnęło od razu z dusz nastrojonych boleścią, wdzięcznością lub miłością. *Cantat amor,* mówi Augustyn św., a że miłość Boża najwyższem uczuciem człowieka, nie dziw, że stąd też najszczytniejsze wypłynęły natchnienia. Skalę tę uplastycznił wspaniale Rafael w nieśmiertelnym obrazie, przedstawiającym św. Cecylię, a znajdującym się w Bononii. Cała filozofia muzyki streszcza się w tem płótnie, wzbudzającem zachwyt całych pokoleń. U stóp świętej leżą w nieładzie narzędzia świeckiej muzyki, w ręku trzyma organy, przedstawiające muzykę religijną, ale zasłuchana w śpiewie unoszących się w górze aniołów, pije w słodkiem uniesieniu dźwięki niebiańskiej harmonii. Wszystkie tedy postępy sztuki ujęte są w tem arcydziele. Połamane u stóp świętej narzędzia muzyczne, wskazują zwycięstwo duszy nad świecką muzyką, która tylko zmysły pieści. Organki piastowane w jej ręku przedstawiają pojęcie muzyki religijnej, która oświeca i uskrzydla duszę. Wzniesione w niebo oczy ku śpiewającym aniołom dają miarę zachwytu rozkochanej w Bożej piękności duszy, i niebiańską uprzytomniają muzykę.

Już Plato posługiwał się pięknem doczesnem, aby stopniowo ducha podnosić aż do absolutnego, rodzimego i istotnego piękna, które się w Bogu znajduje. O wiele wieków później uczony Newton mówił o harmonii ciał niebieskich, upatrując rzekomy koncert nieśmiertelny, na chwałę Bożą śpiewany, w zgodzie i ładzie gwiazd krążących w przestworzu. Przed nim zaś św. Augustyn widział w wszechświecie niby chór olbrzymi niedorównanej harmonii, *Magnum carmen ineffabilis modulatoris*, i stosując do dźwięków to, co uczeń Sokratesa do linij stosował, w pysznej karcie malował zachwyt duszy, płynącej na skrzydłach muzyki ku osiągnięciu nieśmiertelnego, wiekuistego piękna.

Ale święta Cecylia nie sama jedna z obrazu Rafaela się wychyla. Stoją obok niej święte postacie, z jednej strony Pawła apostoła i Jana umiłowanego ucznia, z drugiej Magdaleny i św. Augustyna. Ugrupowanie to głębszą ma doniosłość. Nie zwycięży doczesnych dźwięków, nie zrozumie niebieskich, ten, który się nie podniesie na wyżyny prawdy i miłości, uosobionych w św. Pawle i św. Janie, lub ich nie odzyska za pomocą szczerej pokuty, na wzór Augustyna i Magdaleny.

Zboczyliśmy nieco z wytkniętego zakresu, aby się przypatrzyć historyozofii muzyki, pędzlem Rafaela skreślonej. Wielcy mistrzowie z epoki klasycznej, w prawdzie i miłości znajdowali natchnienie; nam przypadło je odnaleźć w pokucie, wiodącej na też same wyżyny, odbieżane powszechnie za dni naszych.

Na dowód, że szczytem muzyki jest muzyka kościelna, śpiew religijny, wystarczy przypomnieć, iż tylko takowy przetrwał wieki. Usnęła pieśń grecka na morzu Hellady, zgłuchły niepowrotnie hymny egipskich kapłanów i asyryjskich hierofantów, umilkły śpiewy rzymskie. Żadne echo pogańskich dźwięków na fali czasu do nas nie dopłynęło. Daremnie spróbowano za dni naszych odtworzyć nótę greckich chórów, domysłową melodyę opierając na rytmicznym szkielecie. Nie udało się to sztuczne wskrzeszenie zamarłych niepowrotnie odgłosów. Natomiast Izrael przechował tradycyjne dźwięki pieśni, nuconych ongi *super flumina Babylonis*, a pieśń chrześcijańska już z katakumbowych wyłania się podziemi, aby jedną nicią liturgiczną snuć się przez blisko dwa tysiące lat, i w cieniu kościoła zachowywać swą pierwotną prostotę i podniosłość.

Od początku jedność katolicka była dogmatem wiary, a jedności tej chrześcijaństwo, zaraz w pierwszych swego istnienia wiekach, na wszystkich torach i kierunkach przestrzegało i szukało. Stąd śpiew *uni-sono* był charakterystyczną cechą obrządków pierwotnego kościoła. Już św. Paweł na kilku miejscach: w liście pierwszym do Koryntyan (XIV. 26), do Efezów (V. 19) i Kolosan (III. 16) wspomina o śpiewaniu psalmów i pieśni. Uczony Żyd z Aleksandryi Filon, opisując obyczaje pierwszych chrześcijan, dokładnie nam uprzytomnia pojedyńcze recytacye psalmów, przegradzane chórami całego zgromadzenia. Już w drugim wieku chrześcijaństwa znajdują się wzmianki o osobnej w kościele godności śpiewaków *(cantores)*, otrzymujących niższe święcenia. A w IV. wieku papież Sylwester, za panowania którego śpiew kościelny miał wyjść z katakumb i rozlać się po świecie, ustanawia w Rzymie szkołę poprawnego śpiewu i religijnej muzyki.

Śpiew ten *uni-sono* nazwano słusznie *cantus fortis*, śpiewem potężnym, on bowiem czarem swoim świat zawojował. Podstawa to niezmienna liturgicznej muzyki, należąca do rzędu tych w kościele rzeczy, *quae Ecclesia instituit*, a więc niewzruszonych, nakazanych i zarządzonych.

Przez kilka wieków śpiew potężny *cantus fortis* rozlegał się w swej pierwotnej prostocie po wszystkich nowo zdobytych prawdziwej wierze dzierżawach. Pierś ludzka, mieszkanie duszy, uważaną była za jedyny instrument, godzien sławić Boga; żadne muzyczne narzędzie nie wkraczało w atrybucye wyłącznie człowiekowi przyznawane. Kościół przyjmował te tylko nowe formy pieśni, które trysnęły z piersi natchnionych i namaszczonych świętych lub biskupów. Św. Atanazy i św. Bazyli Wielki, głównie się opiekowali śpiewem kościoła na wschodzie, zachód podobnych opiekunów znajdował w ŚŚ. Ambrożym i Augustynie. Razem, w chwili chrztu tego ostatniego, zawodzili oni wiekopomny hymn: *Te Deum laudamus*, ów najwyższy wyraz w melodyi i słowie, czci i miłości stworzenia dla Stworzyciela. Katedra medyolańska przez długie lata była przystanią najczystszej kościelnej muzyki. Tam powstała znaczna część pieśni liturgicznych, po dziś dzień używanych. Podczas jednej z często powtarzających się w owej epoce zamieszek ludowych, część mieszkańców Medyolanu uciekła się pod opiekę swego biskupa

i schroniła w katedrze. Św. Ambroży skracał dla swych owieczek długie godziny rzekomego oblężenia układem przeróżnych hymnów, które niebawem w całym upowszechniły się kościele (Conf. *Vie de St. Ambroise,* par l'abbé Baunard).

Atoli im różniejsze plemiona zaciągały się pod sztandar krzyża i wiary, tem szerzej rozbiegiwały się też nóty potężnego śpiewu kościoła, owego *cantus fortis* liturgii chrześcijańskiej. I oto papież Grzegorz Wielki w szóstym po Chrystusie wieku naznaczył jednolite prawidła muzyce kościelnej, ujął ją w karby ustaw właściwych; tradycyjnie dziedziczone dźwięki rozkazał spisać w jednym kancyonale, który odtąd stał się własnością całego Kościoła, i doprowadził śpiew liturgiczny do niebywałej przedtem doskonałości. Pieśni gregoryańskie nie należy wyłącznie przypisywać św. Papieżowi. Zebrał on raczej wszystkie używane za jego czasów melodye kościelne, oczyścił i poprawił takowe, dodał nieco własnych, to wszystko zamieścił w sławnym *Antiphonarium cantorum,* i tenże łańcuchem rozkazał przymocować do grobu Piotra św., jednocząc przez to jednolitość śpiewu z jednością katolickiego Kościoła. Jak św. Grzegorz ważył sobie posłannictwo muzyki wśród wiernych, dowodem żarliwość, z jaką zakładał w Rzymie wielką szkołę śpiewu, sam w niej lekcyj udzielał, i do ostatniej chwili życia umiłowaną przez się zajmował się sprawą, na łożu śmierci wołając jeszcze do siebie młodych chłopców, aby w nich zasady liturgicznego wpajać śpiewu.

Ósmy wiek przynosi z sobą wielki rozkwit gregoryańskich pieni, pod opieką Karola Wielkiego cesarza, któremu nawet przypisują układ hymnu: *Veni Creator.* W owym to czasie pierwsze pojawiają się organy; wszakże, do wieku XI. śpiew gregoryański żadnego nie znosi towarzyszenia. Chorały naprzemian z organami alternowały, dopiero od XII. wieku razem odzywać się zaczynają, i w miejsce śpiewu *uni-sono* niebawem kilkogłosowy śpiew się pojawia, przewodni, *cantus firmus,* podszywając konsonancyę trzech innych dobranych głosów. Aż do XV. wieku trwa epoka przejściowa, z prostoty liturgicznej gregoryańskich pieni do t. zw. „śpiewu polifonowego", który miał być nowym kwiatem na rodzajnej zawsze niwie Kościoła. I oto ruch ten pierwotnie, nie w melodyjnej powstaje Italii, nie dojrzewa pod słońcem południa, lecz głównie pły-

nie z północy, ustawicznym ciągiem mistrzów niderlandzkich ku Rzymowi. W całej Europie, oni przeważnie są dyrektorami muzyki, przodują na polu utworów muzyki figurycznej czyli kościelnego kontrapunktu. Szkoła niderlandzka dostarcza pocztu trzystu sławnych kompozytorów, a do XVI. wieku, oni to prawie wyłącznie kierują szkołami śpiewu w Niemczech, Włoszech i Francyi.

Gwido z Arezzo udoskonaleniem systematu liniowego i podłożeniem nut w miejsce neumów pod śpiew gregoryański, ułatwił był ów wielki w średnich wiekach rozwój muzyki kościelnej. Atoli sam ów nadzwyczajny rozkwit nabawiał Kościół pewnego kłopotu. Alboż polifonia nie zagłuszy zbytecznie gregoryańskiej, liturgicznej nóty? czy godzi się tylu harmonijnemi przysłaniać ją ozdobami? czy rozbrat z pierwotną prostotą nie pociągnie za sobą zerwania jedności? Rygoryści przypuszczali konieczność odrzucenia muzyki figurycznej, z powrotem do czysto liturgicznego śpiewu uni-sono. Rzadkie to szczęście, gdy wielki, wyjątkowy geniusz w danej chwili zstępuje w Boże szranki, aby potęgą swą, wielką rozstrzygnąć kwestyę. Zgromadzenie kardynałów wstrzymało ferowanie wyroku w obec pojawiających się właśnie arcydzieł Palestryny. Nie zadowalniając się wszelako oderwanemi utworami, polecono mistrzowi przez usta kardynała Boromeusza, aby całą mszę napisał w duchu kościelnej harmonii, snując ozdoby kontrapunktu na poważnem tle gregoryańskiej liturgii. Palestryna zwycięsko wyszedł z zadania, nie jedną lecz trzy msze przedłożył uczonemu gronu, i wraz zakwestyonowaną wygrał sprawę, a muzyka figuryczna, kontrapunkt kościelny, polifonia z gregoryańskim zaślubiona śpiewem, weszła tryumfalnie do świątyń katolickich, — wprawdzie nie w charakterze rzeczy ustanowionych przez Kościół, *quae Ecclesia instituit*, ale w rzędzie rzeczy dozwolonych i uprawnionych, *quae Ecclesia concessit*. Palestryna jest założycielem wielkiego rzymskiego stylu *a Capella*. Urodzony w r. 1524, umarł w 1594 r. piastując z kolei dyrekcyę muzyki przy bazylice Lateraneńskiej i św. Maryi Większej, dwukrotnie zaś i najdłużej, przy kościele św. Piotra na Watykanie, jakoby zapowiedzią szerokiego wpływu, który wywrzeć miał stąd na cały święty Kościół powszechny. Duch Palestryny promieniejący od opoki Piotrowej uwidoczniał coraz więcej wiekuistą Kościoła rodzajność. Szedł on wiernie za liryką pierwotnego kościoła, gregoryań-

skich nie zaniedbywał prawideł, owszem, z polecenia papieża Grzegorza XIII. podjął się przejrzenia i zregulowania gregoryańskiego chorału, ale obok tego, jak słusznie powiedziano, „rozkrył nieznurtowane głębie chrześcijańskiego ducha, dotąd chyba tylko w modlitwie przeczuwane". Na partycyach jego znajdował się napis, świadczący wymownie z jakiego czerpał źródła: *Domine illustra oculos meos*. Natchnienie odpowiadało tej kornej prośbie, a jedna tylko msza *Papae Marcelli*, ogłoszona w r. 1565, jużby wystarczyła, aby nową dla muzyki kościelnej epokę otworzyć. Wiek XVI. słusznie nazwać się godzi wiekiem Palestryny, grupując w około niego pokrewne mu duchem postacie: Orlanda de Lasso, Hiszpana Da Victoria, Gariellego, Hastera, Lotti'ego i Pittoni'ego, który napisaniem choćby jednego tylko *Dies irae* zasłużył sobie na miano arcymistrza w dziedzinie liryki kościelnej.

Humaniści wywiedli stopniowo muzykę za progi kościoła. Dotąd boska ta sztuka służyła niemal wyłącznie ku chwale Najwyższego. Pogaństwo późnego renesansu dwojako oddziałało na muzykę, raz wyprowadzeniem jej na światowe szlaki, a następnie zarażeniem kościelnych pieni blichtrem świeckich naleciałości. Muzyka wyszła z kościoła, natomiast światowe doń weszły dźwięki. Powoli, już w XVII. wieku, rdzenna w muzyce następuje przemiana. „Dotąd harmonia była celem, melodya tylko środkiem, teraz melodya staje się celem, a harmonia służy tylko" jako środek do podniesienia melodyi, (conf. Ks. Dr. Surzyński: Przyczyny rozwoju i upadku muzyki kościelnej). Dziwnym objawem, ojczyzna Palestryny pierwsza daje przykład upadku smaku, zdrowego zmysłu i czystości natchnienia w muzyce kościelnej. Jak słusznie uważa co dopiero zacytowany autor. „Włoch z natury swej śpiewny i do śpiewnych skłonny aryj, wnet sobie w nowym kierunku upodobał i nawet w świątyniach słyszeć go zapragnął". Początek złego dał chór śpiewaków weneckiej św. Marka katedry, niegdyś na świat cały wsławiony, który pod wpływem przepychu mozaik i złoceń, blasków i błysków wspaniałej świątyni, jął dawne wzory odbiegać, aby natomiast dramatycznymi efektami olśniewać i porywać słuchaczów, z krzywdą chwały Bożej i uszczerbkiem tradycyi piękna. Kapelmistrz przy kościele św. Marka, Klaudyusz Monteverde, dokonał zgubnego dzieła w r. 1649, a Florencya hołdowaniem domysłowym

zasadom śpiewu greckiego uzupełniła dzieło zniszczenia, rozpoczęciem nowej ery bolesnego upadku muzyki kościelnej. Wiek XVIII. wystudzeniem zapałów dawnych, straceniem dawnych ideałów, do reszty zepsuł czysty smak minionych stuleci. Namiętne, czysto światowe pieśni wkradły się stopniowo do kościoła, — nowożytne języki wyparły nawet z chórów liturgiczne słowa łacińskie, i ten smutny okres powszechnego upadku dotrwał aż do dni naszych, wraz z przypuszczeniem zagłuszających instrumentów muzycznych, brzmiących orkiestr i teatralnych solów. Najgorzej działo się pod tym względem we Włoszech, ale i w innych krajach niemniej smutnym był stan muzyki kościelnej. Powszechne zaniechanie gregoryańskiego śpiewu uważać można za główny powód ogólnego obniżenia smaku i czystych tradycyj.

Nareszcie w połowie bieżącego stulecia pomyślniejsza dla muzyki kościelnej wybiła godzina. Wśród dodatnich objawów naszego wieku wspomnieć zaiste należy to widoczne u wszystkich wiernych dążenie do coraz ściślejszego jednoczenia się z Kościołem, z jego Głową, z katolickiemi prawidłami i tradycyami. Część ludzkości, wierząca wśród ogólnej niestałości i rozstroju, znużone serca oprzeć pragnie na niewzruszonej Piotrowej opoce. Mnogie pielgrzymki nawiązują coraz silniejszą spójnię między najwyższym Pasterzem a owcami jego trzody, po wszech szlakach ducha uwidocznia się żądza jak największej katolickiej jedności. Im bardziej się wszystko w około wstrząsa, rozpada i kruszy, tem bardziej wierni łakną owej stałej podstawy, którą jeden tylko rzymski Kościół zapewnić jest w stanie. A więc i w dziedzinie sztuki tam należy szukać dróg zwrotnych ku odzyskaniu zatraconego piękna. Jak niegdyś polifonia od północy ku południowi zaszła, tak dziś reforma muzyki kościelnej rozpoczęła się nie w Rzymie, nie we Francyi, ale w niemieckiem mieście Ratyzbonie. Wprawdzie już w r. 1842 pojawiło się rozporządzenie Wikaryatu papieskiego, nawołujące do naprawy w tej mierze, powtórzyło się podobnież pismo z końcem r. 1856, a rozpoczęte i we Francyi usiłowania w tymże samym roku, zachęcone zostały listem Piusa IX. do Biskupa z Arras; niemniej jednak główny ruch ześrodkował się w bawarskiem mieście, skąd właściwie wyszła upowszechniająca się dziś ogólnie reforma muzyki kościelnej. Uczeni i biegli muzycy, jak Dr. Proske, Mettenleiter, Szrems, dali hasło

ruchowi, wydającemu już dziś tak błogie owoce. Jęli oni rozkrzewiać śpiew gregoryański i wykonywać po kościołach Ratyzbony klasyczne utwory w duchu Palestryny. Prace ich i zabiegi znalazły odpowiednie poparcie w osobie ówczesnego biskupa Ratyzbońskiego, ks. Walentego Riedl'a Choć sam wielkim był on miłośnikiem muzyki instrumentalnej, zniósł ją natychmiast, skoro się przekonał, że innym jest czysty duch kościelnej muzyki. Kiedy się kanonicy na tę odmianę żalili, twierdząc, iż dawniejsza orkiestralna muzyka była efektowniejszą, biskup odpowiadał: „I mnie się ona bardziej podobała, ale skoro poznałem, iż obecna muzyka bardziej odpowiada przepisom katolickiego Kościoła, i więcej podnosi ducha niż tamta, to przy niej zostanę, i póki żyć będę, innej nie zaprowadzę". W kwietniu 1857 r. biskup Riedl wydał okólnik który słusznie uważanym być może za katechizm muzyki kościelnej. Z pięknego tego listu wszystko przytoczyćby się należało. Wystarczy następne określenie muzyki religijnej: „Podobnie jak liturgia bierze swój początek z wewnętrznej istoty Kościoła, tak i muzyka liturgiczna wypływa z serca Kościoła. Kościół posiada muzykę, bo posiada ofiarę. Ofiara i modlitwa łączą człowieka z Bogiem i dlatego wznoszą go po nad poziom codziennego życia; najdoskonalszym zewnętrznym objawem tego stosunku, jest muzyka będąca najczulszą i najwznioślejszą, jakoby do wieczności zbliżoną rozmową duszy z Bogiem. Same słowa nie wystarczają na wyrażenie wszystkich uczuć i miłosnych poruszeń jakiemi przejęty jest Kościół przy sprawowaniu swoich obrzędów: słowa tedy zamieniają się w święty śpiew, w którym najskrytsze i najniewymowniejsze uczucia wyraz znajdują i do nieba się unoszą. Przez muzykę zbliża się nabożeństwo kościoła wojującego do czci i chwały, jaką bezustannie Bogu oddaje Kościół tryumfujący". Dalsze ustępy listu w niemniej wzniosły sposób zalecają powrót do muzyki ściśle liturgicznej za pomocą śpiewu gregoryańskiego, łączącego poważną jednostajność z rozmaitością odpowiednio do tekstu dobranych tonów, „kto zaś raz pozna i zrozumie śpiew liturgiczny, ten go także pokocha, podobnie jak liturgia sama każdego co wniknął w jej znaczenie, świętem napełnia uniesieniem Któżby bowiem nie kochał tego, co wypływa ze serca kościoła, co przez największych papieży i świętych było pielęgnowanem, co przez tyle wieków ściśle z liturgią było złączonem, co

na tylu soborach bywało poleconem, i czego wreszcie Kościół po tysiącu przeszło lat mocno się trzyma".

Następują wskazówki praktyczne, jak należy się wziąść do rzeczy, aby wznowić święte gregoryańskie pienia wśród współcześnie żyjących katolików. Wrócimy w toku naszej pracy do tego przedmiotu, ponieważ wszystkie niemal następnie zawiązane towarzystwa muzyki kościelnej czerpały wzory dla ustaw swoich w mądrych przepisach biskupa Ratyzbońskiego.

Rozniecony przez światłego pasterza i tylu znakomitych mężów płomień, nie miał już przygasnąć, lecz owszem rozszerzył się, aby ogarnąć stopniowo całe Niemcy. Ratyzbona pozostała głównem ogniskiem potęgującego się ruchu. Założono tam niebawem, przed jedenastu laty, wyższą szkołę muzyczną, ułatwiającą w bardzo przystępnych warunkach wykształcenie w śpiewie gregoryańskim i kontrapunkcie kościelnym. Jednocześnie jęły się wszędzie zawiązywać stowarzyszenia mające na celu podniesienie muzyki kościelnej. Zasłużony w tej sprawie i uczony kanonik Dr. Witt, żyjący obecnie w Landshucie, założył niemieckie towarzystwo św. Cecylii, które już ośmnaście lat istnienia dolicza, a w przeszłym roku dziesiątem swem walnem zebraniem w Moguncyi zaimponowało światu doniosłością prac swoich i wpływów. Około 1200 osób zbiegło się do nadreńskiego miasta, aby się zagrzać wspólnie gorącem słowem i arcydziełami dawnych mistrzów, wspaniale wykonanemi pod kierownictwem Ks. Webera. Najprzedniejsze współczesne powagi muzyczne spotkały się wówczas w Moguncyi, a Ks. kanonik Haffner w mowie powitalnej złożył hołd pamięci biskupa Kettelera, który i w dziedzinie muzyki kościelnej dzielnie się zasłużył, popierając całą duszą reformę w Ratyzbonie poczętą. Mówca z wielką wymową zakreśliwszy dzieje śpiewu kościelnego przez długie wieki, zakończył smutnym obrazem spustoszeń, wywołanych kulturkampfem: „W smutnych czasach obecnych sprawia nam święty śpiew wielką pociechę. Kościół moguncki w grubej pogrążony żałobie, kler przerzedzony, klerycy rozproszeni, parafie osierocone. Jedna tylko pieśń święta stoi razem z wieczną lampką na straży przed Najświętszym Sakramentem!". Domówienie wielkim naznaczone wruszeniem, brzmiało jak następuje: „Niechżeż i przy tej sposobności pieśń święta swą misyę apostolską wypełni, i niech w szerokich kołach objawi wspa-

niałość naszej religii! Niech wszędzie głosi, że Kościół nasz święty razem z naukami ścisłemi i sztukami pięknemi, i muzykę pielęgnuje, i do wyższego życia ją podnosi, a niech przy tem bezustannie wskazuje na owo nadprzyrodzone źródło, z którego Kościół święty swą ożywczą siłę czerpie! Boże, pobłogosław tej naszej pięknej uroczystości muzycznej; niechżeż się ona równie dobrze uda, jak owa najpiękniejsza, najwznioślejsza i najświętsza uroczystość Aniołów, śpiewających nad żłobem Syna Twego Jednorodzonego: Chwała na wysokości Bogu a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Prawie jednocześnie podobny wiec uroczysty gromadził w Bernie morawskiem, słowiańskie towarzystwo św. Cyryla, mające na celu pielęgnowanie czystej muzyki kościelnej w Czechach, na Morawie i w Szląsku austryackim, pod kierownictwem Ks. Lehnera w Pradze, wydającego tamże pismo muzyczne, p. t. *Cyrill.* Organami zaś niemieckiego towarzystwa św. Cecylii, są dwa czasopisma: jedno p. t.: *Musica sacra,* drugie zatytułowane: *Fliegende Blätter für Kath. Kirchenmusik,* wychodzące od r. 1866. Nie brak i pomnikowych wydawnictw, wśród których przodują usiłowania zasłużonego ks. Haberl, który u Breitkopfa i Haertla w Lipsku prowadzi publikacyę całych dzieł Palestryny z zamiarem dokonania wspaniałego przedsięwzięcia na rok 1894, jako trzechsetletnią rocznicę zgonu mistrza, słusznie *princeps musicae* nazwanego. Już Baini wielkie w tej mierzo położył był zasługi odszukiwaniem i wydaniem tych nieśmiertelnych wzorów natchnienia, p. t.: *Opere di Giovanni Pierluigi da Palestrina.* Dalej, w poczcie najprzedniejszych wydawców dawnych arcydzieł wymienić nam trzeba Proske'go *(Musica divina)* i Maldeghem'a *(Trésor musical).* Przedewszystkiem czystej muzyki szukać nam należy w wieku XVI., gdy geniusz idąc w parze z gorącą wiarą i wyższem życiem duchowem, zachwytywał poniekąd coś z niebieskich odgłosów. Główną zasługę w rozkrzewianiu za dni naszych zamiłowania czystego ducha kościelnej muzyki położyli mianowicie: biskup Donelly w Dublinie, Ks. Amelli, wicekustosz biblioteki Ambrozyańskiej w Medyolanie, który dotąd przewodniczył włoskiemu towarzystwu św. Cecylii i onego siedzibę świeżo przeniósł do Rzymu, Ks. Witt w Landshucie, Ks. Haberl w Ratyzbonie, Ks. Kune w Tuluzie, p. Singenberger w Ameryce północnej. Za ich powodem pieśń gregoryańska ponownie w świą-

tyniach Pańskich rozbrzmiewa, arcydzieła polifonii kościelnej się odzywają, aby rozstrojone wpływem czasów obecnych dusze, napowrót dostrajać do zgody wewnętrznej harmonii i ścisłej z Kościołem jedności. Prawie wszędzie powstające w tym celu stowarzyszenia muzyczne uciekają się pod opiekę i wezwanie św. Cecylii. Uznaną ona jest powszechnie za patronkę muzyki, choć właściwie trudno odszukać powodów, które zniewoliły świat katolicki do przyznania jej takowej godności. Ani w jej aktach męczeńskich, ani też w żadnych spółczesnych pomnikach i pamiątkach nie znalazła się najmniejsza poszlaka, dowodząca, że córa patrycyuszów rzymskich na jakimkolwiek grać miała istrumencie. Dopiero w XV. wieku występuje ona po raz pierwszy, jako patronka muzyki. Co dało właściwie pohop mistrzom harmonii do obrania sobie tej właśnie opiekunki? Czy w jej wdzięcznej postaci i pełnej poezyi historyi znaleźli żywe uosobienie prawdziwego piękna i harmonii? Czy też dali się uwieść fałszywej interpretacyi wiersza, od którego się zaczyna oficyum św. Cecylii: *Cantantibus organis*, *Caecilia Domino decantabat.* Zapewne organa, o jakich tu mowa, znaczyć mają duchową pieśń, wewnętrzny koncert. W aktach męczeńskich czytamy, iż Cecylia w duszy chwaliła Pana, słowa Psalmisty rozpamiętywając. Ale jakiekolwiek były początki tego tkliwego poświęcenia najidealniejszej z sztuk pięknych świętej męczenniczce, nie mamy powodu się na nią uskarżać, skoro stąd zawdzięczamy jej tyle pięknych natchnień i zacnych usiłowań, a pod jej patronatem widzimy następujący pomyślny zwrot w poważniejszem pojmowaniu prawdziwej harmonii. Zresztą, jakkolwiek nie wiemy, czy św. Cecylia usprawiedliwiała materyalnie za życia tytuł, jaki jej później przydano, niemniej twierdzić można, iż nań zasłużyła zupełnie, w ścisłem pojęciu rzeczywistego zadania muzyki. Muzyka głównie ma na celu chwalenie Boga, a w takim razie św. Cecylia i życiem i śmiercią najdoskonalej Go chwaliła. Zaiste, wedle pięknych słów hiszpańskiego poety: *Cantaba por la boca de su herida*, śpiewała głosem otwartych ran, które dla Chrystusa poniosła.

Protektorem towarzystwa św. Cecylii jest obecnie kardynał Bertolini, którego list prywatny do profesora Amelli niedawno wielkiej w świecie muzycznym narobił wrzawy. Zdawało się bowiem, iż dostojny purpurat chciał raczej popierać nowsze kompozycye Mo-

zarta, Haydn'a i Cherubini'ego, oratorya i utwory składane z orkiestry i głosów, bez ściśle liturgicznej cechy i słów, bez gregoryańskiej podstawy, które Kościół z trudnością tylko znosi i przepuszcza. Podobna z góry płynąca zachęta, przyniosłaby nowy uszczerbek zamierzonej renowacyi muzyki kościelnej, opóźniłaby dzieło reformy, i znów ducha Palestryny wycofała z świątyń Pańskich. Zapewne, utwory Bacha, Mozarta i Beethovena należą do pięknych i poważnych głosów, nie mogą jednak być uważane i przyjęte za liturgiczne pieśni, ponieważ zrywają z ścisłą gregoryańską tradycyą. Sam Mozart czuł to dobrze z całą pokorą prawdziwego geniuszu, mawiając, iż wszystkie swoje nieśmiertelne utwory gotówby oddać za jedną prefacyę! Ks. Haberl pospieszył do Rzymu w obronie zagrożonego umiłowanego przez się mistrza i kierunku, a obszerniejsza rozmowa z kardynałem protektorem, usunęła chwilowo powstałe nieporozumienie, i zapewniła przewagę zwycięzką gregoryańskim śpiewom i stylowi Palestryny.

Wszelako wszystkie te usiłowania pojedyńczych ludzi i poszczególnych stowarzyszeń nie odniosłyby odpowiedniego swym zamiarom skutku, gdyby od Stolicy Piotrowej najwyższe nie było spłynęło błogosławieństwo, zatwierdzenie i zachęta. Wielki panujący nam obecnie papież Leon XIII., nietylko duszą, ale i duchem swej trzody żywo się zajmuje: prostuje kierunki myśli, podnosi miarę pojęć piękna. Z końcem ubiegłego roku św. Kongregacya obrządków wydała regulamin w 23 artykułach dla muzyki kościelnej, stanowiący o wyparciu z Bożych przybytków wszelkiej muzyki hałaśliwej lub świeckiej, instrumentalnej lub wokalnej, któraby miała sprawiać roztargnienie, zamiast wiernych skupiać i do Boga podnosić. Język łaciński wyłącznie ma być podczas nabożeństwa używany. Zabronione są reminiscencye teatralne lub świeckie, hymny narodowe, melodye skoczne, i t. p. Nie godzi się improwizować na organach tym, co nie znają prawdziwych reguł muzycznych. Innych utworów nie wolno też wykonywać, jedno potwierdzone przez towarzystwo, lub komisyę św. Cecylii. Nareszcie pożądanem jest zakładanie szkół dla wykształcenia młodzieży w śpiewie gregoryańskim i muzyce figuralnej. Oto główne punkta tego rozporządzenia Kogregacyi obrządków, które nową erę rozpocznie dla muzyki kościelnej, wyrzuceniem z kościołów wszystkich szpetnych naleciałości, które kaziły świętość

i powagę domu Bożego. Regulamin ten wprawdzie tylko do biskupów włoskich został rozesłany, ale niemniej po całym rozszedł się już świecie, dając pohop ku nowym w tej mierze usiłowaniom i zabie gom. Nadchodzi bodaj szczęśliwa chwila, w której nietylko jedność obrządku i jedność języka liturgicznego, ale nadto i jedność grego·ryańskiej pieśni cały połączy Kościół święty powszechny w jedno-brzmiącym hymnie ku chwale Najwyższego. Myśl doniosła świętego Grzegorza papieża, gdy ongi przytwierdził łańcuchem swój Anty-fonarz do grobu Księcia Apostołów, jako do mistycznej opoki Pio-trowej, znajdzie w dzisiejszym prądzie i ruchu zwrotnym najwspa-nialsze, prawdziwie katolickie zastosowanie! (Dok. nast.)

M.

Z UKRAINY POŁABSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Społeczeństwo pozostawione samo sobie może w takim stanie przeżyć wieki całe, lecz zniewolone do częstego zetknięcia się z innymi ludami, nie zdoła utrzymać się w ciągu paru pokoleń, i albo stać się musi łupem obcego zdobywcy, albo wykazać dążność do zmiany. Że taka dążność przejawiała się między Zachodnimi Lechitami, świadczy kilkakrotne tworzenie się związków na poły państwowych, przedewszystkiem między plemionami obotryckiemi i lutyckiemi. Bieg dziejów politycznych wyjaśnia, o ile te związki były dostatecznymi lub niedostatecznymi. To pewna, że czas i sposób, w jaki się odbywa przejście „naturalnych gościńców“ w sztuczne, jest wyborną wskazówką tego lub owego postępu cywilizacyjnego odnośnej społeczności, i miarą potężnienia lub słabnięcia jej sił państwowych; lecz epokę taką wpierw poprzedzić musi skuteczna obrona, lub choćby tylko walka w obronie istniejących gościńców naturalnych. Jak dalece taka walka wypełnia sobą dzieje Zachodnich Lechitów, czy, i w jakiej mierze umożliwiła ona przejście im do epoki drugiej — nie stanowi również przedmiotu studyum niniejszego. Lecz i w ramach onego widocznem nam się okazało zrozumienie przez nich tego zadania. Jedne z tych ludów bardziej, drugie mniej świadomie lub instynktowo zrozumiały znaczenie rzeki Łaby dla utrzymania ich bytu.

Widocznem się okazywało, że Łaba stawała się Rubikonem dla ludów germańskich w posuwaniu się ich na Wschód, a zajęcie przez Lechitów lewego jej brzegu odpowiadało temu systemowi obrony, który oni przyjęli gwoli miejscowym warunkom etnogra-

ficznym i ustrojowi społecznemu dzielenia się na żupy samoistne. Nie mogąc w otwartem polu stawiać twierdz obronnych z ludnością stałą i będącą zawsze w pogotowiu do obrony, ograniczyć się nie mogli posiadaniem tylko prawego brzegu, lecz obsadziwszy również lewy, wzniesionymi tam grodami utrzymać mogli skuteczniej obronę tej linii i zabezpieczyć tak żeglugę wzdłuż jej biegu, jak przeprawę z jednej na drugą stronę. Widzieliśmy jak gęsto rozsiadły się tam po obu brzegach grody na przestrzeni między Bardewikiem (względnie Lauenburgiem) a Dziewinem i rozsiadły się tak, że prawie każdemu grodowi prawobrzeżnemu odpowiadał gród lewobrzeżny. Lecz wiemy również, że to wzajemne jednych względem drugich położenie nie mogło być zastosowane do woli, lecz do natury miejscowości: budowano, tam gdzie znaleziono miejsce odpowiednio bronione przez naturę. Grody przeto najczęściej nie znajdowały się u samych przepraw, jako miejsc otwartych i uczęszczanych, lecz opodal od nich, w miejscowościach zamkniętych. Tak, począwszy od północy, *Boitzenburg* leżał na prawem, *Radegast* na lewym brzegu, a przeprawa znajdować się musiała o $1^1/_2$ mili niżej, tam gdzie Delbąda wpadając do Łaby, tworzyła przystanek najdogodniejszy za pomocą utworzonej delty *Mezęrec* (Międzyrzec). Dalej, niemiecki, powstały później Hidsacker, niedaleko ujścia Jasny, odpowiadał prawobrzeżnej Łącznie, a jeszcze bardziej Koniewowi, a o $1^1/_2$ mili od pierwszego, o milę zaś od drugiego znajdowała się przeprawa w miejscu, gdzie później powstało miasteczko Dömitz (zesławiańszczone Damelice)[1]. *Gadij Gord* (gród gadzinowy) postawiono u ujścia Allandu, zapewne wśród nizinowych trzęsawisk tamtejszej okolicy, a przeprawa o pół mili niżej była. Takiż sam stosunek zachodził względem Niża i Hawelberga z prawej strony, a Werbny i Wallislewa z lewej. Dolina *Marscinerlandu* była tak grzązką, że o przeprawie trudno było myśleć przed przybyciem tu osadników holenderskich; to też grody Wisze i Stendal zbudowane później, leżały już u krańca bagnisk przed ich rozlaniem się na szerszą przestrzeń: pierwszy gród na północ, a drugi bardziej ku południowi już w *Białej Ziemi* (Beleziem), *Balsamerlandzie*. Lecz już za Stendalem znajdująca się *Tangermünde*, a naprzeciw *Kobylice* wzajem

[1] De Goeje w komentarzu do Al-Bekri i Perwolf Герм. Балт. Сл.

siebie kontrolowały ze względu na znajdującą się między niemi przeprawę; toż samo da się powiedzieć o *Czartowej* i *Burgu* z jednej, a *Ustiurze* (Wolmirstedt) z drugiej strony. W końcu Magdeburg stał u samej przeprawy na skrzyżowaniu się dwóch szerokich gościńców północno-południowego wzdłuż Łaby i zachodnio-wschodniego przez Łabę; to też naprzeciw niego biegł cały szereg grodów prawobrzeżnych, wysuniętych w kierunku linii wschodnio-północnej, jakby na przedłużeniu szlaku wschodniego, ale najbliższe z nich *Biedrzyce* (Biederitz) leżały w odległości dwóch mil od tego miejsca Łaby które przeciwstało brzegowi dziewińskiemu. Do przepraw tych w czasie wojny spieszyła ludność żup bliższych i dalszych wzbronić przystępu nieprzyjacielowi, przed którym w razie przewagi zawsze znajdowała bezpieczne schronienie pod osłoną licznych a niedalekich grodów; w czasie zaś pokoju dążyła z produktami pracy swojej w celu wymiany na towary kupców, dążących od lewego brzegu. Tam więc otwierały się bądź targowiska do ostatecznego załatwienia kupna i sprzedaży, bądź chwilowe tylko przestanki jako etapy do dalszej podróży rzecznej lub lądowej. W każdym razie dla targowisk takich musiano dbać o stosowne urządzenie i wznosić chwilowe budowle, coś zapewne w rodzaju ruchomych targowych grodów lub wików, które następnie rozbierano lub niszczono po skończonej czynności handlowej. Były to te same jarmarki, jakie i dziś się jeszcze u nas zachowały, a w pośpiesznem których urządzeniu celować musieli Zachodni Lechici tak samo, jak w doraźnem wznoszeniu przy nagłej okazyi grodów obronnych, prawie w oczach zbliżającego się nieprzyjaciela [1].

Stan taki nie mógł przypadać do gustu i planów cesarstwa niemieckiego, gdy to zbliżając się do Łaby zatykało na lewem jej wybrzeżu sztandar swej władzy państwowej. Z kierunkiem organizacyi silnie na zasadach rzymskich uorganizowanego państwa pogodzić się nie mogła myśl ruchomych, uchylających się z pod kontroli targowisk, tudzież przepraw rzecznych pozostawionych kaprysowi lub dowolności wolnych ludów lechickich Urządzając zamiast

[1] O pośpiechu tym wnosić można np. z wypadku, kiedy podczas wojny z Danami zdołano w ciągu wiosny wznieść u ujścia Swiny całe dwie twierdze, które się okazały do niezdobycia nieprzyjacielowi. (Saxo Gram. 953).

licznych targowisk i przepraw trzy tylko miejsca składowe dla handlu: w Bardewiku, Szezlu i Magdeburgu, Karol W. pragnął w ten sposób przyczynić się do ustalenia stosunków handlowych, zwrócenia ich li tylko w kierunku mogącym łatwo uledz kontroli państwa, i zarazem wzmocnić stanowisko swe polityczne; obdarzenie bowiem przywilejami trzech tylko miast, znakomicie przyczynić się z czasem musiało do rozwoju onych, a ze wzrostem ich uzasadniała się potrzeba baczniejszego opiekowania się niemi, utwierdzenie tem władztwa swego, już nietylko żelazem ale i złotem.

Kapitularz ten jednak mógł być tylko obowiązującym dla Niemców, których uległość urządzeniom cesarza obwarunkowywała się zawisłością polityczną Sasów od cesarstwa. Samo jednak wytknięcie wskazanych punktów składowych nie wystarczało; mimo rozkazu Sasi udawali się na dawniejsze punkta przeprawy i handlowali ze Słowianami. Włożono więc na nieposłusznych wędzidło fiskalizmu, który zawsze był dogodnem narzędziem władzy państwowej. Tenże kapitularz wspomina o zakazie sprzedawania broni [1]. Kto był pojmany na przewozie oręża do Lechitów, musiał się poddać konfiskacie całego towaru, którego jedna połowa szła na rzecz skarbu, a druga rozdzielaną bywała pomiędzy donosicielem a nadzorcą odnośnego punktu handlowego [2]. Zakaz ten musiał być bezwzględnym na miejsca składowe, jak jeszcze bardziej na punkta przepraw poza obrębem składów znajdujące się, i dowodzi, jak handel artykułem powyższym był ożywiony i jak broń była pożądaną i poszukiwaną przez Lechitów. Lecz zapewne i inne przedmioty handlu przewożone lub sprzedawane po za obrębem trzech punktów składowych ulegały odpowiednim przepisom surowym, w przeciwnym bowiem razie wyznaczenie składów nie miałoby racyi bytu, pozostając bezskutecznem.

Kapitularz, Słowian obowiązywać nie mógł o ile i dopóki nad nimi nie rozciągała się władza cesarstwa; poczytywać go oni musieli jako ważną przeszkodę stawianą rozwojowi ich stosunków handlowych i kierunkowi ich dróg. Nie przestawali więc dalej handlować podług własnej woli i interesów, ku czemu zawsze znajdowali

[1] Monum. Germ. L. I. 133. Capitulare Caroli Magni 805 r.
[2] Tamże.

chętnych i po stronie niemieckiej kupców, jako ludzi pragnących zysku, tembardziej że antagonizm między Sasami a cesarstwem nie utożsamiał interesów jednych a drugich. Zresztą w wymianie handlowej nad Łabą nie mieli Lechici na widoku samych li tylko Niemców, którzy jak dawniej, tak i teraz oprócz własnego handlu narzucać się zawsze usiłowali na pośredników. Kapitularz wyraźnie wspomina o urządzeniu trzech punktów składowych ze względu na kupców przybywających od Słowian i Awarów [1]. Urządzić w odwet cesarskim swoje własne punkta składowe dla towarów, Zach. Lechici nie chcieli, ani mogli, bo to przeczyło kierunkowi ich ekonomicznemu i duchowi urządzeń plemienno-społecznych; zaznaczona zaś w kapitularzach możność konfiskowania artykułów handlu wskazywała, iż władze cesarskie miały też możność, jeśli nie zawsze, to od czasu do czasu rozciągać straż celną ruchomą po za obrębem punktów składowych. Jeśli więc handel mimo to miał się odbywać, musiano mieć po stronie lechickiej odpowiednie urządzenia zabezpieczające kupców i ich przeprawy bądź to orężnie, bądź przez omylenie czujności straży cesarskiej swoją własną strażą graniczną. Straż taka była konieczną i z ogólnego względu na stosunki czasów owej epoki, kiedy bezpieczeństwo publiczne szanowanem nie było nietylko przez obcych, ale i przez swoich, w kraju niemającym jeszcze ani tak urządzonej służby publicznej jak dziś, ani dróg wyciętych śmiało i szeroko, dających szybkość bezpiecznego oryentowania się przed napastnikami i zajrzenia ich zdala, — lecz przeciwnie pustym zarosłym lasami lub sitowiem, zalanym wodą i zabagnionym licznemi bagniskami, ostępami, wśród których na każdym kroku czekała zasadzka pragnących z cudzego mienia korzystać. W miarę zbliżania się do samych wybrzeży Łaby, niebezpieczeństwo się zwiększało, bo tu oprócz prywatnych malkontentów czyhały władze cesarsko-niemieckie. Grody bezpośredniej stałej służby granicznej pełnić nie mogły ze względu na swe przeznaczenie i pozycyę topograficzną, która nadawała się do odpornej straży wojennej, już w samej chwili nadciągającego niebezpieczeństwa, lecz uprzedzić je, lub stałą dać ochronę handlowi nie mogły; nie mogła też tem się zająć

[1] De negotiationibus, qui partibus Sclavorum et Avarorum pergent.

ludność cała, jeśli zadania pokojowe rolnictwa, przemysłu i innych potrzeb życia trzymały ją u własnych ognisk wśród żupy.

Jak więc w obec takiego położenia mógł się odbywać handel, jak mogła być zabezpieczona przeprawa lub żegluga? Jakie organa czuwały nad wypełnieniem tego zadania?

Stawiamy tu hipotezę, którą uzasadnić może prawdopodobieństwo i te skąpe świadectwa, jakie wydobyć zdołamy ze współczesnych świadectw i badań późniejszych.

Dytmar mówiąc o wyprawach wojennych do Miśnii Bolesława Wielkiego użył wyrażenia, które jak duch błędny pokutuje dotychczas w pracowniach badaczy dziejów i komentatorów biskupa merzeburskiego. „Miasto Budyszyn, powiada on[1] z całą jego przynależytością dostał (Bolesław Chrobry) w moc swoją i ruszył na Strelę, gdzie Miśnijczyków starał się tajemnie pieniądzmi dla siebie skłonić. Ci do nowości pochopni, gdy dnia pewnego dostrzegli, iż wyszła z miasta większa część załogi po paszę dla koni, pod przewodnictwem Guncelina, szturmem przystąpili pod bramę, położoną na wschód ku stronie zamieszkiwanej przez czeladź strażniczą, zwaną po słowiańsku *Wetenikami*, a zaś w naszej mowie *Kukesburgami*".

Ten drugi wyraz wyprowadza komentator Dytmara *Ursinus*[2], ze staroniemieckiego *lugen*, (dojrzyć z daleka) jako synonim późniejszego *kucken* (a raczej vice versa).

Co do pierwszego wyrazu słowiańskiego, który nas tu głównie obchodzi, to Z. Komarnicki, polski tłumacz Dytmara, pisze go *wedenicy*[3]. Lappenberg, czyniąc tak samo, komentuje go po swojemu, dodając, że ma się go rozumieć tak jak „apud Polonos *wodnik*, *wodnicy* — castellanus". Nie od rzeczy będzie przy tej sposobności zauważyć, że owa brama wschodnia (przy palisadach), u której oni przebywali, *wodną* (Wasserthor) zwana, prowadziła ku Elbie[4]. Moraczewski widzi w nim zepsuty wyraz *woźnicy*. Wreszcie wspomniony Ursinus idąc za Dytmarem w tem, że *Wethenici* jest wyrazem wendyjskim, wyprowadza go od *Wedzeni-Wedzer*, jakoby przewodnicy albo stróże, dostrzegacze, nadzorcy graniczni. Sam

[1] Thietmari Chronicon V., 6.
[2] Einleitung.
[3] Str. 163.
[4] Z. Komarnicki w Dytmarze, str. 164.

Dytmar w innem miejscu używa o nich zamiast *Satelites*, wyrazu *Speculatores*.

Zatrzymując wyraz z brzmieniem *t*, W. Bogusławski nazywa ich *Wetenikami*, uważając ich za rycerzy, stojących nieco wyżej od zwyczajnych ludzi orężnych. Podług niego „Wetenicy po ujarzmieniu Serbów, zostając w służbie margrafa wiszowskiego, nie wchodzili do składu załogi grodzkiej, a mieszkali w oddzielnych częściach miasta dla stróżowania przedmieść i bram“ [1].

Szafarzyk [2] czyta ten wyraz *witnicy* (wietnicy), a w liczbie pojedyńczej *witnik* (wietnik), dając mu rdzeń *wit* (wiet = wiat) [3], skąd *wita* (wieta) (habitaculum), *powit* (= powiet = powiat) (pagus), *witati* (habitare), albo od *wititi*, *zawititi*, odpowiadające niemieckiemu *hagen* = ochraniać, bronić. Jeśli już mamy zwiększyć poczet odnośnych wyrazów i znaczenie onych, to dodajmy też, że jeśli w polskiem wyraz *witać*, oznacza pozdrowić kogoś przy ujrzeniu go, to w ukraińskiem *wytaty*, oznacza goszczenie (hospitari) [4]. Szafarzyk przy sposobności o której wnet będzie mowa, nie chce wiedzieć i stanowczo orzec, czy *Wethenici* byli oddzielnem plemieniem, lub też klasą (np. wojenną) ludu.

Przenieśmy się teraz od Miśnii, Streli i w ogóle brzegów górnej Łaby, na północ w okolice Lubeki. O dwie blisko mile od tego miasta w kierunku południowo-wschodnim znajduje się jeszcze dotychczas wioska *Boitin*. Jest to najwyraźniejsza pozostałość po jednej z żup połabsko-obotryckich tegoż samego nazwiska. Ziemia *Boitin* wraz z ziemiami *Darczowo*, *Klucz*, *Brežno*, jeszcze u schyłku XIII. wieku znana była jako taka, granicząc od południa z ziemią raciborską (Ratzeburg), a na północ rozciągała się aż do morza między Trawną a Wesmirem. Nazwa ta ograniczając się do coraz szczuplejszego zakątka, występuje jeszcze w 1288 r. (terra Butin, Boytin) poczem znika, a ostatni jej obszar zajmuje Vogtei Schönberg [5].

---

[1] Rys dziejów Serbo-łużyckich str. 17.

[2] Staroż. Slov. II. 3, 151, §. 44, str. 904.

[3] Cerk. bułgarsk. = ВѢТ.

[4] Porówn. Witanowice w starostwie wadowickiem i *Wytań* w starostwie rohatyńskiem. (Skorowidz Galicyi etc., ułożony przez Konrada Oksze Orzechowskiego. Kraków 1872).

[5] Perwolf 131, 143.

W lechickich narzeczach wyraz to dość zrozumiały: jest to polskie Bytyń, ściśle odpowiadający zachodnio-lechickiej [1] wymowie. Wróciwszy do ziemi raciborskiej i cofając się wciąż ku południowi, po prostej linii wzdłuż Delbądy, aż ku samej Łabie, natrafimy Lauenburg; stamtąd idąc za biegiem Łaby na wschód, znajdujemy o półtory mili miasteczko *Boitzenburg*. Zgodnie z innymi badaczami [2] wyraz ten odniesiemy do tego samego źródła z wyrazem *Boitin* i *Boitzenburg*, mimo niemieckiej końcówki okaże się *Byto-grodem*, będącym następstwem istnienia tych samych przyczyn, które wydobyły na jaw wieś i żupę *Boitin*. Z łatwością nam nawet przychodzi wykrycie bezpośrednie niemieckiej formacyi w nazwie tego grodu: znajduje się on bowiem u ujścia do Łaby rzeki, zowiącej się *Boize* (Boitze = Bytze = Byta = Byca) więc jako zbudowany nad nią, od niej wziął swą nazwę: gród to rzeki *Byty* = Bytogród = Boitzenburg.

Zajrzyjmy teraz do kronik. W jednej z nich [3] pod r. 811 zaznaczono: „Cesarz Karol posłał wojska Franków i Sasów za Łabę ku tym Słowianom, którzy się zowią Linai i *Bethenzr*“ (Mon. G. I, 309) — *Bechelenz* zaś podług innej redakcyi tejże kroniki (M. G. II, 259): „opustoszyły one kraje te etc.“ Znany geograf bawarski z tegoż samego IX. wieku podaje wiadomość, że: „*Linao* (Glinianie) jest to lud, który ma 7 miast. Obok nich przebywają zowiący się *Bethenici*, *Smeldingon* i *Morizani*, którzy 11 miast mają“ [4].

Jedni, na czele których stoi Szafarzyk, utrzymują nieśmiało, że *Bethenzr* i *Bethenici* są to prawdopodobnie ci sami Dytmarowscy *Vethenici*; nie wiedzą jednak, co począć z ich siedliskami, bo jeśli są oni *wetenikami* biskupa merzeburskiego, to odnośnie do charakteru swego jako strażnicy-rycerze, mogli być wszędzie, a więc nie w jednej oznaczonej ziemi lub grodzie; tymczasem kronika Moissiac. i Geograf Bawarski, wskazują mniej lub więcej miejsca specyalne ich pobytu. Szafarzyk więc omija tę kwestyę milczeniem.

---

[1] W starobułg. БЪІТИ, polsk. *być* = połabsk. *bait* (beyt, bayt, boit, beyt) p. Schleicher: Laut- und Formenlehre der Polabischen Sprache, str. 296.

[2] Jak z Hilferdingiem i Perwolfem.

[3] Chron. Moissiac.

[4] Linaa est populus qui habet civitates VII. Prope illis resident, quos vocant Betenici et Smeldingon et Morizani, qui habent civitates XI.

J. Papłoński jest śmielszym, a idąc za zdaniem Szafarzyka co do ich tożsamości z Wetenikami nazywa *Wietnikami* i umieszcza na południowym zachodzie jeziora Moryckiego [1].

Drudzy za przewodem Hilferdinga nazywają ich *Byteńcami*, i umieszczają tak: A. Pawiński przy ujściu Steknicy do Łaby, a więc w okolicy Lauenburga [2], Hilferding zaś rozszerza to siedlisko daleko na północ i wschód od Lauenburga.

Trzeci zaś, a na ich czele *Menke* [3], nie wdając się w analizę filologiczną, lecz trzymając się podanego wyrazu *Bethenici*, starają się jeno bliżej określić ich siedlisko, idąc za wskazówkami geograficznemi kroniki Moissiac. i Geografa Bawarskiego. I tak Menke oznacza ich siedlisko w żupie *Lisice* i na północ od niej graniczącej *Nieletycze*.

Zbadajmy bliżej położenie obu tych żup.

Król Otto I. urządzając w 946 r. biskupstwo hawelberskie, wylicza w takim porządku ziemie, obowiązane do składania dziesięciny: Zemzici, Liezici, Nielitizi, Desseri, Linagga, Murizzi [4]. *Lisice* [5] więc znajdowały się między żupą zemczycką a nieletycką. „W żupie Zemzici dajemy (tj. temuż biskupowi) dwie wioski w Malinga Buni (Bani) i Brogaviz (Dragowice)“ [6], powiada tenże Otto, a „w żupie Lisice gród Marienbarch (Kobylice) z temi przylegającemi doń wioskami: Priecipini (Prycepiny), Rozmoc, Cotini (Kociny), Virskroiz (Wierzkrzyce), Niecurini (Niekurzyne), Milcuni (Milkuny), Malizi Malice), Rabbuni, Priecipini, Podesal, Ludini“. Gdy z tych nadań ocalały dotychczas Böhne i Drogentz w zemczyckiej, a Vieritz (Wierzkrzyce), Melkow (Mickuny) i Mahlitz (Malice) w lisickiej

---

[1] Patrz mapę Jana Papłońskiego, Słowiańszczyzny lechickiej. Warszawa 1862 r.

[2] Полабскіе Словяне, str. 20.

[3] Spruner-Menke, historischer Handatlas.

[4] Cod. pomer. 6.

[5] Używamy nie *Leszyce*, jak chcą niektórzy od wyrazu *las, leśny*, lecz *Lisice* od *lis* (p. A. Brückner: Die Slavischen Ansiedelungen, 39) zgodnie z tem, co mówi Parum Szultze: „*leitzeis*, heisst soviel als Fuchs, es muss nothwendig ein Ort gewesen sein, da Fuchslöcher sind gewesen, oder das ist ein kalt Ortland, deswegen mag es wohl den Namen daran haben, weil es viel Mist bedarf ist“, str. 191.

[6] Porów. Hilferd. 101 i Brückner 3.

żupie — przeto tej ostatniej południową granicę między niemi tylko poprowadzić można, i biegłaby ona w takim razie równolegle niemal od południa do gościńca bitego (Chaussées), który prowadzi z Tangermünde do Jerichow (Jarychow); stąd linia graniczna zwracałaby się bardziej ku południowi [1], a mianowicie ku miejscu gdzie rzeka Ihle łączy się kanałem z odnogą Łaby. Z dalszych słów Ottona widać, że Hawelberg i Niż (*Nizem* podług wyrażenia się dyplomu) były w żupie nieletyckiej, a ponieważ o jedną tylko milkę na południe od Hawelberga oddalony *Sandow* należał już do żupy lisickiej (zapewne w podżupanacie Czoleno) [2], przeto między temi dwiema osadami tylko, musiała być granica między nieletycką a lisicką żupą. Na zachód żupa nieletycka graniczyła z ziemią Glinian prawobrzeżnych; gdy jednak ci ostatni stykali się z Doszanami tak, że gród Pochłustiny (t. z. Puttlitz nad Stepnicą), zaznaczony w dyplomie Ottona jako znajdujący się w żupie Doszan zaliczany bywa przez innych do żupy Glinian [3], gdy oprócz niego nadto Pritzwalk, Wysoka (Wittstock) i Chorycz (Kyritz) wraz z Płotem (Plot) były celniejszymi grodami Doszan [4], których ziemię rzeka Dosa musiała, jeśli nie przerzynać wewnątrz kraju, to przynajmniej obrzeżać go z jednej strony (*boć przecie inaczej* nie mogłaby była mu dać swej nazwy) — to doraźny jeno rzut oka na mapę przekona, że żupa Nieletycze mogła tylko szczupły i wązki pas ziemi pod samą Łabą zajmować, zwężony od północy zaklęsem Karthauny i Stepnicy a od wschodu wrzynającą się weń dolną Hawolą.

Obie te żupy, lisicka i nieletycka razem wzięte, począwszy od wzmiankowanego na południu kanału Ihle aż do zaklęsu Karthauny były rzekami: Iłem (Ihle), Strumieniem (Stremme), Hawolą i zaklęsem Korthauny i Stepnicy przyparte tak do Łaby, że tu już dla

---

[1] Do jerychowskiego okręgu Brückner zalicza jeszcze Driogaviz, p. str. 3.

[2] Porówn. Perwolf 80, gdzie ziemia czoleńska zaznaczona w kąciku przy ujściu Hawoli do Łaby.

[3] Porówn. Puttlitz u Hilferdinga 102, który Perwolf (83) czyta *Podleszcz* i zalicza również do Glinian.

[4] Zdaje się, że Hilferding myli się, poprawiając zaznaczony w dyplomie Ottonowym *Chorize* na *Moritze* i powiadając, że *Płot* znajdował się w ziemi Moryczan; dyplom musiał tu dobrze się wyrazić, jak to wskazuje istniejący też gród *Chorycz* (Kyritz); ziemia mieszcząca oba te grody musiała stanowić oddzielny podżupanat (p. Perwolf 83) jako część składową żupy Doszańskiej.

żadnej innej żupy miejsca nie było. Same one były tak maleńkiemi, że stanowiły trzeciorzędną formacyę etnograficzno-polityczną, wydzieliły się bowiem z ziemi Brzeżan (późniejszy Priegnitz), które znów stanowiły część tylko związku ludów stodorskich; wydzielić więc z siebie nie mogły żupy samoistnej, a tem bardziej plemienia ludu, jakiem być mieli *Bethenici*.

Gdy nie byli *Bethenici* ani z tej i z tamtej strony Stepnicy, ani też z tej strony Elby — bo przestrzeń między temi dwoma rzekami zajmowali Glinianie — wróćmy jeszcze raz na prawy brzeg Elby, ku miejscowościom, gdzie znajdowała się rzeka *Byta* (Boize), gród *Bytyń* (Boizenburg) i dalej jeszcze na północ osada *Bytyń* (Boitin). Całą tę przestrzeń aż do rzeki Bieliny (Bille) na zachodzie i Trawny na północy widzimy zajętą przez właściwych *Połabian*[1].

Hilferding w nader cennem swojem dziele: „Historya Słowian Bałtyckich“, zbijając Szafarzyka co do możliwej tożsamości nazw *Vethenici* i *Bethenici*[2] nie chce i nie może widzieć nic wspólnego między jednym a drugim wyrazem, a przypuszczając, że *wethenici* mogli sobie być strażą grodzką, sorabską, co do *Bethenici* utrzymuje stanowczo, że lud wzmiankowany pod tą nazwą przez kronikarzy (jak chr. Moissiac. i geografa bawarskiego), był takim samym ludem lub plemieniem zach. lechickim, jak inne i musiał się nazywać po słowiańsku *Byteńcami* (Byteńcy), a na dowód ich istnienia powołuje się na ślady pozostałe po nich w nazwie *Boitin, Boitzenburg*.

Idąc za wskazówkami kronikarzy, nazwanego przez nich ludu *Biegthenici*, nigdzie indziej szukać nie można było, jeno w żupach Lisice i Nieletycze, tj. w przestrzeni położonej na wschód od Glinian, tymczasem owe ślady *Boitin* i *Boitzenburg*, powołane przez Hilferdinga, każą nam go szukać na zachód od Glinian. Czy mógł lud taki istnieć na tak długiej linii rzecznej, i co znaczyłaby przerwa zajęta przez Glinian, przerwa nie dająca żadnej łączności między Byteńcami Menkego w Lisicko-nieletyckiej żupie, a Byteńcami Hil-

[1] Są to Helmolda *Połabi*, których odróżnić należy od ogólnej nazwy *Połabian*, dawanej od czasów Szafarzyka wszystkim ludom, zamieszkałym niegdyś między Łabą, Polską i Bałtykiem, a których my nazywamy *Zachodnimi Lechitami*.

[2] Str. 279 i 280, tekst i dopisek.

ferdinga w żupie Połabian? Lecz już przekonaliśmy się, że na wschód od Glinian między Lisiczanami a Nieletyczanami być ich nie mogło. Tak samo istnienie ludu Byteńców zakwestyonować musimy i na zachodzie. Ziemie bowiem, gdzie się znajdują *Boitin, Boitzenburg*, jak już zaznaczyliśmy, zajęte były przez lud *Połabian*, nie *Byteńców*. Hilferding sprzeczność taką tłumaczy w ten sposób: „W IX. i X. wieku, powiada on, nie napotykamy nazwy *Połabian*, w XI. zaś przeciwnie niema już wzmianek o Smolnianach (Smeldingen geografa bawarskiego) i *Byteńcach*, a *Połabianie* zjawiają się właśnie w tych miejscach, gdzie za czasów Karola znajdujemy te plemiona; zapewne więc, wnioskuje on w końcu, Smolnianie, Byteńcy i może inne jeszcze drobne ludki zlały się z czasem w jedno plemię i przyjęły wówczas nazwę *Połabian*".

Niepodobna się zgodzić z tem tłumaczeniem. Najpierw nazwa *Połabian*, jako ludu zamieszkałego na dolnej Łabie wcale obcą nie była i dawniej. Od chwili kiedy pojawiły się pierwsze wzmianki o etnograficznych różnicach między ludami tych okolic, już się pojawia też nazwa powyższa transponowana jeno inaczej, a mianowicie *Nordliudi, Nordulbingi*, tj. Połabianie północnego brzegu Łaby u jej ujścia. Odpowiedź na to, dlaczego w XI. w. znika już imię *Bethenici*, czytelnik znajdzie w dalszym ciągu tej pracy. Co zaś do zlania się ich i Smolnian w jedno plemię Połabian, to proces taki przeczy całemu charakterowi dziejów zachodnio-lechickich. Właśnie charakterystyczną cechą ich dążeń plemiennych była nie unifikacya, lecz coraz wzmagające się drobnienie plemion na cząstki jeszcze drobniejsze. Dzieliły się one z każdym wiekiem i wyosobniały się przy pierwszej sposobności. Były wprawdzie usiłowania centralizowania w łonie przedewszystkiem Obotrytów, lecz najpierw centralizacya to była czysto charakteru państwowego, a sama jej krótkotrwałość i bezpłodność wykazują, że nawet w tej formie państwowej ostać się nie mogła przeciw panującemu prądowi plemiennemu. Zresztą Hilferding sam sobie przeczy, bo na innem miejscu zaznacza właśnie nie zwiększanie się plemienia *Połabian*, lecz jego maluczkość. Tak, w jednem miejscu powiada on dosłownie: „stykające się z Niemcami plemiona Glinian, *Połabian*, Wagrów były tak *małemi* [1],

[1] Str. 141.

że oczywiście urządzić u siebie nie mogły istotnego granicznego łańcucha i straży", a w innem znów miejscu: „również nie mamy wiadomości o tem, czy, i jakie miało żupy *maluczkie* plemię *Połabian*" [1].

Sprzeczność taka tem bardziej staje się rażącą, gdy wspomnimy na znaczenie owych wrzekomych Byteńców, poważających się stawić opór wojskom Karola Wielkiego, i na przestrzeń jaką zajmować mieli już nietylko na wschodniej granicy Glinian, ale choćby tylko na zachodniej: ziemia *Boitin* znajdowała się na samej północy, tuż niedaleko Trawny i Bałtyku, a *Boitzenburg* u ujścia *Boizy* do Łaby, to znaczy na przestrzeni na każdy sposób nie mniejszej od tej, jaką zajmowali sami *Połabianie;* jakimże sposobem mogli się wcielić lub przeobrazić w nich?

Naszem więc zdaniem *Vethenici* i *Bethenici* jest jedno i toż samo. Nie byłto żaden naród, stanowiący wyosobnioną jednostkę polityczną w pewnych ściśle określonych granicach, lecz po prostu *lechicka straż nad Łabą,* ludzie kresowi i ukrainni z organizacyą i zadaniem podobnem do niemieckich Markomanów, lecz jako powołani do bronienia z. lechickich *Ukrain,* byli przeciwstawieniem interesów i dążności niemieckich *Marchij.*

Mniemamy dalej, że nie będąc narodem, ani też klasą jednego ludu, lecz strażą zawisłą lub niezawisłą od niego, a z drugiej strony instytucyą wspólną wszystkim ludom z. lechickim (a nawet i Serbo-Łużyczanom) znajdowali się w tem pośredniem na drodze swojego rozwoju stadyum, które mogło z nich uczynić silną dźwignię i ważny czynnik dla wytworzenia jedności państwowej plemion połabsko-bałtyckich, a jednocześnie sprzyjało powstawaniu z ich łona tu i owdzie oddzielnego ludu.

Dzieje słowiańskie dostarczają wymownych dowodów istnienia i rozwijania się tego rodzaju tworów społecznych. Ukraina wschodnio-lechicka, czyli rusko-polska była taką samą strażą kresową nad Dnieprem i morzem Czarnem, jak zachodnio-lechicka nad Łabą i Bałtykiem, i widzieliśmy, jak będąc pierwotnie instytucyą państwa trój-narodowego a zarazem odłamem jednego ludu, pochłonąwszy z czasem różnorodne, swoje i obce pierwiastki, przeobrażać się pó-

[2] Str. 106.

źniej zaczęła w państwo, mające się stać wyrazem potrzeb i dążeń jednego ludu Ruskiego. Analogiczny objaw tego samego zjawiska dostrzega się jeszcze bliżej krajów przez nas badanych, bo w tymże samym szczepie zachodnio-lechickim z odmianami w następstwach, odpowiedniemi innej sytuacyi dziejowej i odmienniejszym warunkom terytoryalnym, tudzież społecznym. Wagrowie, którzy występują na widownię dziejową jako lud samoistny, początkowo byli zapewne strażą kresową plemienia Obotryckiego, a prowadząc przez czas długi mniej lub więcej skuteczne boje z Teutonami (tak Germanami jak Normanami) zdołali nietylko przeobrazić się w naród odrębny, ale i przewodzić czas jakiś całemu związkowi ludów Obotryckich. Gdzieindziej traktując obszerniej tę kwestyę, poprzestajemy tu na zaznaczeniu tożsamości warunków genetycznych dla Wagrów i *Ukrów* (Wager = Ucker = Ukranie), pełniących pierwotnie służbę *ukraińną* a następnie występujących, pierwszy jako naród bardziej uorganizowany, drugi, jako małe plemię niedojrzałe do form państwowych.

Takimi właśnie ukraińcami, trzymającymi straż Łaby od północy i zachodu byli *Vethenici*, *Bethenici*. I taka tylko hipoteza usunąć jest zdolna wszelkie sprzeczności, przywiązane do istnienia samodzielnego o stałych granicach ludu, jako też rozwiązać wiele kwestyj w stosunkach zewnętrznych zachodniej Lechii, na innej drodze nierozwiązalnych. Łaba bez wątpienia odegrywała najważniejszą rolę w życiu ludów połabskich i należało się spodziewać, że zbrojna jej Ukraina wybitniej wystąpi w swym charakterze kresowym i wyraźniejszą przybierze organizacyę, niż jaką widzimy w luźnych a mętnych wzmiankach, przywiązanych do wyrazów *Bethenici* i *Vethenici;* badacz uprawnionym byćby mógł do dostrzeżenia w nich roli, organizacyi i rozgłosu Ukrainy naddnieprzańskiej. Lecz nie zapominajmy o tem, że mglistość wiadomości nietylko do nich odnieść należy; uczuwa się ona w całym przebiegu dziejów zachodnio-lechickich, pisanych przez Niemców i zakonników w ciszy klasztornej; nie zapomnijmy dalej, że Łaba była wprawdzie w IX w. granicą państwową między cesarstwem a Lechią, ale nie plemienną dla ludów lechickich, bo i na lewem wybrzeżu, jak widzieliśmy, mieszkali ich bracia; wskutek tego charakter ukrainizmu wiele stracić musiał na wyrazistości konturów, które gdzieindziej

jaskrawo zarysowując się sprzecznościami dwóch ras i dwóch prądów, tu musiały być łagodzone względami jednoplemienności mieszkańców obu wybrzeży. Wreszcie Ukraina ta powstała nie wolą jednego władcy, ani też z programu jednego uorganizowanego państwa, lecz jeno z mimowolnych jednakich warunków politycznych i etnograficznych ludów, mających różnice topograficzne i plemienne.

Różnice te mogły sprowadzać odmienność urządzeń tej straży u każdego z osobna ludu nadbrzeżnego. I tak w miejscach zabezpieczonych stałą linią fortyfikacyjną, jaką była np. od zachodu „limes Saxoniae", straż mieć musiała więcej stałe siedliska, a korzystając z gruntu nadającego się do uprawy, stanowiła straż rycerzy-rolników, zasiedziałych, *bytujących* na jednem miejscu, *byteńców;* w tych punktach nad Łabą, gdzie zabagnione brzegi zamykały przeprawy Niemcom lub usypiały ich czujność, gdzie jednak odszukać się dały brody lub przeprawy znane tylko graniczanom, tam powstawała straż *woźników,* przewoźników, czujnych, przebiegłych *wodników,* chodzących przez brody, a zdolnych jak *lis* do przemykania się manowcami, i tacy mogli być w żupach: Lisice i Zemczyce; J. Papłoński, jak już wiemy, umieszcza swoich *Wietników* na południowym zachodzie jeziora moryckiego; jakoż opuściwszy ziemie Zemczyców i Lisiczan w północno-wschodnim kierunku, wchodziło się w las dziewiczy, ciągnący się na 4 do 5 dni drogi, bujny, bogaty w drzewo czarne i iglicowe, smolne, nadające się wybornie do wszelkiego rodzaju przemysłu leśnego: wydobywania dziegciu, smoły i t. p., czem się trudnić musieli *Smolnianie,* owi *Smeldingon* Geografa Bawarskiego, nieodłącznie postawieni przez niego z Moryczanami obok *Bethenici,* z którymi razem zniknęli, jak zapewne razem przedzierzgając się w odważnych przewodników po tych ostępach leśnych, być mogli zarazem owymi *speculatores* Dytmara, stojącymi na straży dróg prowadzących tamtędy i na straży handlu tudzież przemysłu, rozwiniętego w tych stronach.

Wyszedłszy z lasów i pozapalawszy wicie smolne, *witnicy* dawali znać okolicznych żup mieszkańcom o zbliżającem się niebezpieczeństwie i nawoływać ich do obrony w grodach. Nie wszędzie jednak wystarczała służba piesza, — korzystniejszą od niej w pewnych okolicach i pewnych razach była konna, którą urządzić można było z łatwością tam, gdzie na koniach nie zbywało, a gdzie grunt

nadawał się ku temu. Obszerne przestrzenie Glinian i ich sąsiadów, obfitujące w wyborne łąki, zaliczały się do państwa Nakonowego, o którem Al-Bekri powiada, że posiada taką ilość koni, iż je do innych krajów zabierają [1]; toż samo było w Pomorzu [2], a dziś meklemburskie konie, chociaż zbyt opasłe, poszukiwane są jako rasowe. Tam to ciężko ubrojeni [3] *Satellites* wstępnym bojem bronili przed pościgiem niemiecko-cesarskich Markomanów wozy kupieckie naładowane bronią, lub w ogóle towarami załabskiemi; udając się w głąb krajów lechickich, lub na własną rękę stając się zbrojnymi kupcami, podobnymi odwagą do dzisiejszych granicznych szwarcerów, na dzielnych rumakach przekraczali z równą śmiałością granicę wodną, i lądową, w dalekich żupach na zawsze znikając wraz z towarem i imieniem własnem, przed wzrokiem nieprzyjaciół i potomności. Ich to mglisty obraz mógł spowodować Lelewela do nazwania *Veteników* (w chwili owego natchnienia historycznego, które tak ułatwia wykrycie prawdy dziejowej) *mercenaires* [4].

Przy nadaniu wyrazowi *Bethenici* pojęcia naszego, można tylko wytłumaczyć sobie znaczenie nazw ocalałych po nich w ziemi Połabian. Oprócz ziemi *Boitin*, rzeki *Boize* i grodu *Boitzenburg*, znajdujemy tam jeszcze *Bentin* [5] i osadę *Baudenitz* niedaleko Wirtenberga [6]. Gdyby to wszystko były resztki śladów odrębnego ludu *Byteńców*, musiałyby już istnieć przed czasem w którym się o nich wspomina lub jednocześnie z nim; tymczasem właśnie powstawały one znacznie później, już w epoce kiedy o nim żadnej wzmianki nie ma, bo o trzy wieki później, i później po Geografie Bawarskim; tak— *terra Boitin* pojawia się dopiero przy rozdziale ziem obotryckich pomiędzy potomkami *Niklota* [7] a *Boitzenburg* został zbudowany w połowie XIII. w. [8], więc jako wspomnienia przeciągającej lub bytującej tam straży ukrainnej.

[1] M. J. *Goeje;* Een belangzik arabisch bericht etc.

[2] Herb. II., III. Ebo III.

[3] „Obyvatele dobře yson vzbrojeni pancéři, helmy a meči". Tenże podług sprawozdania Jirečka.

[4] P. Geographie du Moyen-Age.

[5] Perwolf, 134.

[6] Patrz mapę kapitana F. Goerza: Generalliste von den Herzogthümern Schleswig etc.

[7] Perwolf.

[8] Tenże.

Przy czem zgodzić się nie możemy z Hilferdingiem co do niemożliwości utożsamienia pojęć *Bethenici* i *Vethenici* ze względu na właściwości filologiczne obu wyrazów. Nowsi badacze języka zachodnio-lechickiego zdają się zaprzeczać wątpliwości autora: („Остатки языка Древанъ"), przypuszczając tożsamość obu wyrazów[1]. Hilferding mniema, że dwa te wyrazy przypadkiem tylko zeszły się w jednym dźwięku, lecz natomiast różnią się początkowemi głoskami *b* i *v*, które podług niego rzadko zastępowały siebie u Niemców[2] (bo wyrazy te zostały podane potomności przez niemieckich kronikarzy). Jesteśmy jednak w możności postawić dowód, do wręcz przeciwnego prowadzący wniosku, i to dowód, niezaczerpnięty Bóg wie jak daleko w czasie i przestrzeni, lecz z tejże samej epoki i miejscowości, w której się znajdował przedmiot sporny (tj. tam, gdzie Boitzenburg, Boize, Boitin i t. p.), dowód, który i pod innymi względami w ścisłem zostawać może związku z podniesioną przez nas kwestyą *straży kresowej*.

Tuż za Lauenburgiem wpada do Łaby rzeka, która połączona będąc kanałem z wpadającą do Bałtyku Steknicą, sama przybrała u dzisiejszych geografów jej nazwę; właściwe jednak jej miano jest *Delvenau*, będące lechicką *Delbądą* (Delbanda, Delbende = Delvunde u Adama Bremeńskiego). Cała okolica nią obrzeżona nazywała się *Delbądziem*[3]. Nazwa ta widocznie składa się z dwóch wyrazów, złączonych w jeden, a mianowicie: *del* (połabs. dal = polsk. *dzieło*, lub *dül*, *dol* = dół, dolina) i *bande* (będę, będą), otóż *b* lechickie przeszło u Niemców w *v* („Delvunde u Ad. Bremeńskiego i „Delvenau" u dzisiejszych Niemców), wówczas gdy jednocześnie z drugiej strony tejże rzeki zatrzymało się ono i u nich, kraj bowiem za Delbądą nazywał się *Zadelbądziem*, *Sadelbandia*, pod tem ostatniem brzmieniem występująca w dokumentach niemieckich[4].

Pozostawiając przyszłości ostateczne rozstrzygnięcie co do formy, w jakiej mowa Zachodnich Lechitów wyrażać musiała pojęcie przywiązane do wyrazów *Bethenici* i *Vethenici*, my ze swojej

---

[1] P. Brückner: Die Slavischen Ansiedelungen, str. 85, gdzie autor zaleca porównanie wyrazów *vitati*, *vettnitz* z wyrazem *bethenici*.

[2] Иск. Балт., Слов. str. 280.

[3] Perwolf.

[4] Tenże.

strony, przy zastrzeżeniu tożsamości i jedności obu wyrażeń, używać wszakże tymczasem będziemy dwojakiej nazwy: tam gdzie pozostały wyraźne ślady brzmienia *b*, a więc na zachód od Glinian — *Bytnicy*; na wschód zaś od nich i w ogóle wszędzie indziej *Witnicy*.

Gdy cały ten bogaty materyał filologiczny, jaki przy tej sposobności nastręczają pierwiastki *by* i *wit* w językach słowiańskich, nie może być na tem miejscu zużytkowany, to jednak powstrzymać się nie można od zaznaczenia bodaj pobieżnego tej paraleli, jaka historyozoficznie nasuwa się sama przez się między zadaniem dziejowem zachodnio-lechickich *Witników*, a serbo-łużyckich *Witeźnych kubeł*[1]. Tak jedno jak drugie urządzenie było wypływem organicznych potrzeb ustroju odnośnego społeczeństwa, gdy jednak *witeźne kubła* oparte na żywiole stałym, nieruchomym i rolniczo-rycerskim, przywiązanym do gleby, potrafiły w sobie streścić całość prądów samodzielnych swego narodu i, jak słusznie mniema polski pisarz dziejów serbo-łużyckich, uchronić resztki jego od zagłady germańskiej — witnicy jako urządzenie oparte na żywiole ruchomym, lotnym i rycersko-handlowym, traciło na sile oporu o tyle, o ile było wyrazem łączności i jedności nie terytoryów, lecz interesów wymiennych między ludami; broniąc interesów tylu ludów i tak rozległego terytoryum jak zachodnio-lechickie, gdy te ludy zasymilowały się z żywiołami germańskimi, a terytorya weszły w skład cesarstwa, urządzenie owo stało się — jak mniemamy — podstawą i jednym z prototypowych czynników instytucyi, która objęła sobą cały świat cywilizowany Europy wieków średnich, i odegrała jedną z najważniejszych ról w dziejach rozwoju ekonomicznego ludów.

Zaznaczone w kapitularzu Karola W-go, jako punkta składowe dla handlu składowego Bordewik i Magdeburg miały odmienne pochodzenie i różniły się co do pierwotnego przeznaczenia. Bardewik miał za sobą tradycyę handlową bardzo dawną; jeszcze w XVI. wieku pamiętano o niej i wiedziano o mieście tem jako o punkcie składowym dla handlu jeszcze z czasów rzymskich[2]. I chociaż pi-

---

[1] W. Bogusławski.

[2] „Bardeovick sive Bardorum vicus, a Bardone Saxone ita vocatur, quadrante milliaris distat a Luneburgo, antiquitus fuit *insigne emporium*. Dicitur vicus extructus CCXXXV. annis ante Romam. Fuit antiquitus Episcopo

sarze wieku XVI. lubili początki miast odnosić do czasów rzymskich, to jednak miejsce, na którem stał Bardewik, nie mogło być obce w ówczesnym handlu. Znajdując się niedaleko drogi z Gallii prowadzącej, leżał o 2 mile na południe od Łaby, i w ten sposób nie był narażony na pierwszy impet różnych nieprzyjaznych ewentualności wielkiej granicznej wody, od której znów nie był tak daleko, aby nie mógł korzystać z dobrodziejstw onej. Zasłonięty od południa wielką puszczą Luneburską, miał dostęp tylko od północno-wschodniego jej skraju i tamtędy tylko szła droga dla każdego, kto się chciał dostać z południowych lub środkowych Niemiec do Hamburga i morza Północnego lub do Lubeki i Bałtyku[1]. Takie jego położenie przemawia za tem, że musiał być pierwotnie wikiem lechickim. Zamieniając go na wik germański, cesarstwo korzystało tylko z ustalonych już dogodności i pozycyi jego, których bronić, warownią tam zbudowaną nie potrzebowało, starając się tylko o obwarowanie dróg, prowadzących do niego od Łaby. Znajdująca się z tej samej strony Łaby osada Radegast, a z przeciwległego brzegu strażnica *Bytników* (tam gdzie gród Boitzenburg), wskazują, iż i Lechici do punktu tego przywiązywali niemałą wagę.

W Magdeburgu zbiegała się droga północno-południowa rzeczna handlu naddunajskiego z najkrótszą lądową zachodnio-wschodnią od Renu, która też miała wielką doniosłość strategiczną w posuwaniu się Niemców na wschód. Stojąc na straży późniejszej Marchii Brandeburskiej, był on też centralnym posterunkiem niemieckim dla strzeżenia interesów germańskich przeciw najdalej na południe wysuniętemu plemieniu Moraczańskiemu: na tym punkcie Niemcy gromadzić musieli swe siły przeciw związkowi Stodorskiemu. W skutek takiego znaczenia Magdeburga musiał on być silnie obwarowany sam przez się i stawał się zbrojną metropolią handlową pierwszorzędnej wagi.

Sposób wojowania Zachodnich Lechitów i siły ich polityczne

---

ornata a Carolo Magno, postea eodem privata, nunc est vicus" (Parvum theatrum urbium, sive: urbium praecipuarum totius orbis brevis et methodica descriptio autore Adriano Romano E. A. Francoforti A. M. D. X. C. V. str. 102—103).

[1] Helmolda II., 2, gdzie powiedziano, że na Cerkonę wzywano kapłana aż z Bardwiku, mimo że stacye misyonarskie były bliżej; widocznie więc droga ta była znaną i bardzo uczęszczaną.

nie pozwalały im kusić się o przełamanie tworzonych w ten sposób przeciw nim linij operacyjnych; walkę więc podjęli na przestrzeni pośredniej między tymi obu punktami, wzdłuż średniej Łaby, walkę dojazdową morderczą, rzadko kiedy przerywaną pokojem, a ciągnącą się nie rok, ani dziesiątek lat, lecz stulecia, a w tej walce *Bytnicy i Witnicy* podejmowali jej ciężar bądź sami, bądź jako straż przednia, używana przez siły lądowe nadciągające z wewnątrz Z. Lechii. (C. d. n.)

Jan Grzegorzewski.

DARWINIZM
w obec nauki i rozumu.

(Dokończenie) [1].

IV. Wykłady darwinizmu w szkołach.

Darwinizm nie powinien być wykładanym w uniwersytetach. — Zdanie Virchowa. — Klasyfikacya używana w naszych podręcznikach szkolnych jest błędną; antropologia nie należy do zoologii. — Świadectwa pierwszorzędnych uczonych. — Domówienie.

Z wywodów, jakieśmy dotąd przedstawili, wynika, że darwinizm tak w granicach, jakie mu sam założyciel nakreślił, jakoteż w szerszem znaczeniu Haecklowskiem, okazał się błędnym. Nasuwa się tu pytanie ważne, kwestya bardzo praktyczna, czy darwinizm powinien, a raczej, czy może być wykładany w szkołach? Umiejętność, która nie chce przekroczyć granic istotą swą nakreślonych, nie chce popaść w bezdroża i stracić swej cechy naukowej, nie powinna zakładać sobie celu niewłaściwego i kusić się o rozwiązanie zagadnień znajdujących się poza jej obrębem. Nauki przyrodnicze z istoty swej są naukami pozytywnemi, opartemi na doświadczeniu, darwinizm zaś nie leży w ich zakresie. Pasteur takie daje określenie tych nauk: „Umiejętność doświadczalna, mówi on, jest przedewszystkiem pozytywna w tem znaczeniu, że nie wprowadza do swych pojęć zagadnień o istocie rzeczy, o początku świata i jego przeznaczeniu“. Inna powaga naukowa wyraźniejsze jeszcze zakreśla im granice. „Umiejętność pozytywna według Berthelot'a, nie bada ani przy-

[1] Ob. Prz. Pow. t. VIII., str. 221.

czyn pierwszych, ani celu rzeczy, przywodzi jedynie fakta i wiąże je bezpośrednimi stosunkami... Doświadczeniem i spostrzeżeniem umysł ludzki stwierdza fakta, porównywa je i wywodzi wnioski, tj. fakta ogólniejsze, które muszą być, i to jest warunek konieczny ich prawdziwości, sprawdzone nowem doświadczeniem". Otóż pochodzenie gatunków lub pochodzenie człowieka, początek życia na ziemi lub początek świata, słowem, darwinizm w szerszem znaczeniu, leży najoczywiściej po za granicami umiejętności przyrodniczych. Stąd profesor botaniki, zoologii, czy fizyki, nie ma żadnego obowiązku do zajmowania się darwinizmem; nie wynika stąd jednak, aby ten przedmiot w uniwersytetach poruszanym być nie miał.

Całość każdej umiejętności trzy pierwiastki odrębne w sobie zawiera: 1. Prawa przyrodnicze, wynikające z doświadczenia; 2. Teoryę, odnoszącą się do tych zjawisk; 3. Zasadę, która kieruje myśl w stawianiu tych teoryj. Pierwszy z nich stanowi właściwą umiejętność pozytywną i ma za sobą całą pewność naukową; nie tak się rzecz ma z dwoma drugimi. Zasada, jako myśl przewodnicząca w badaniach naukowych, jest światłem i drogoskazem, wiodącym wśród gromadnie nasuwających się systemów; prawdziwość jej lub błędność pociąga za sobą odpowiedne przymioty systemu, któremu daje początek. Co się tyczy teoryi, hypotez, są one zależne od poprzednich dwóch pierwiastków. Teorya rodzi się z zasady, a stwierdza się prawami. Skoro zasada jest błędną, teorya jej błędność odziedzicza, nie każda jednak zasada prawdziwa wydaje prawdziwą teoryę; o pewności, a raczej o wielkiem prawdopodobieństwie hypotezy orzekają dopiero fakta, stwierdzone dokładnem doświadczeniem.

Hypotezy są potrzebne, dają popęd naukom i przyczyniają się do ich postępu; lecz, jak historya umiejętności stwierdza, są one zmienne, przechodzą, ścieląc lepszym od siebie drogę. Każda umiejętność posiada dość znaczny poczet tych teoryj złożonych *ad acta*. W uczelniach wyższych należy podać ten przebieg myśli ludzkiej; lecz wykłady naukowe na tych tylko hypotezach oprzeć można, które przeszły ogień probierczej krytyki i wielkie mają za sobą prawdopodobieństwo. Darwinizm nie posiada tych zalet.

Darwinizm polega na prawidłach całkiem niedowiedzionych, dochodzi do wyników wprost przeciwnych z zasadniczemi zdoby-

czami nauki, naraża zatem samą umiejętność na lekceważenie, a nadto bałamuci umysły powierzchowne i niedojrzałe, które biorą go za dobrą monetę. Skoro największe potęgi naukowe, niepodejrzane zupełnie o jakąkolwiek stronniczość, należące do tak zwanych „filozofów niezależnych“, a nawet do „głośnych materyalistów“, osądziły darwinizm za niezgodny z podstawami pozytywnej umiejętności, profesor, który ośmiela się głosić go swoim słuchaczom, nadużywa wolności katedry. Jesteśmy za swobodą, lecz nie za swawolą; pierwsza buduje, druga wywraca. Jeżeli jakie uniwersytety dbały o wolność w nauczaniu i rzeczywiście ją osiągnęły, to bezsprzecznie były nimi uniwersytety niemieckie, otóż właśnie z tych uniwersytetów odzywają się głosy poważne, miarkujące zbytni pohop, odróżniające swobodę nauczania od swawoli słowa, i w imieniu zdrowego rozsądku potępiają tę ostatnią. Virchow przed kilku laty wygłosił był mowę w Monachium; przytoczyliśmy z niej w naszej pracy kilka ustępów, przytaczamy tu jeszcze następny, odnoszący się do stanowiska, jakie winien zająć profesor uniwersytetu w kwestyi darwinizmu. „P. Haeckel żąda, mówi Virchow, aby zostawiono do woli pedagogów sąd, czy obecnie jest już stosownem opierać wykłady szkolne na teoryi descendencyi, i duszę plastyduli uważać za podstawę wszystkich pojęć o istocie duchowej; że oni winni orzekać, czy należy filogenię człowieka przeprowadzić aż do najniższych rzędów organicznych, a nawet do samorodztwa; otóż sądzę, że p. Haeckel sprowadza kwestyę z prawdziwej drogi. Skoro teorya descendencyi nabędzie znamion pewności, jaką jej przypisuje p. Haeckel, wówczas zażądamy koniecznie, aby była zaprowadzoną w wykładach szkolnych. Jakżeby to być mogło, żeby teorya takiej doniosłości, która w każdem sumieniu taki zasadniczy przewrot zdziałała, która wyrodziła rodzaj nowej religii, nie miała całkowicie wejść do programu szkolnego! Mieliżbyśmy pokryć milczeniem w szkołach, lub pozwolić nauczycielom na pominięcie największych, najważniejszych postępów, jakie w ciągu całego wieku wyrodziły się w naszych pojęciach? Byłoby to zaparciem zbyt trudnem dla nas, właściwie zaś, niepodobnem nawet. Każdy przekonany o tej prawdzie, chcąc nie chcąc, musiałby ją wykładać. Czyż mogłoby być inaczej? Czyż na każdym kroku nie musiałby być obłudnym, wyrzekać się swej wiedzy, udawać, że teoryę descendencyi uważa za

błędną, że nic nie wie o pochodzeniu i początku człowieka... Choćbyśmy nie żądali wprowadzania tej teoryi do programu szkolnego, zajęłaby ona w nim konieczne miejsce. Ale w dzisiejszym stanie wiedzy nie możemy nauczać, nie mamy żadnego naukowego dowodu na to, że człowiek pochodzi od małpy lub innego zwierzęcia, winniśmy powiedzieć nauczycielowi: Nie ucz tego... Winniśmy powściągnąć zbytni nasz zapał; nie przedstawiajmy kwestyj spornych jako udowodnione, choć one nam leżą bardzo na sercu; powtarzajmy stokrotnie: Nie chciejcie uważać za nieomylną prawdę teoryi bez dowodów; bądźcie raczej przygotowani, iż okaże się mylną... Usiłowanie, mające na celu podniesienie wniosków podejrzanej wartości do rzędu prawd stanowczych, stawianie naszych przypuszczeń za podstawy dla nauki i wykładu, wyrugowanie Kościoła i zamienienie jego dogmatu religią descendencyi, nie mogą mieć powodzenia, a przegrana nasza pod tym względem może wiele złego wyrządzić umiejętności ogólnej"...

Jeżeli wykłady uniwersyteckie nie powinny się opierać na podstawach darwinistowskich, to tembardziej darwinizm nie powinien być przyjętym, a nawet wzmiankowanym w podręcznikach dla szkół średnich. Dzieje się jednakże inaczej.

W podręcznikach zoologicznych znajdujemy układ (klasyfikacyę), przeprowadzony na podstawie darwinizmu [1], a opis człowieka umieszczany bywa nietylko w części ogólnej, ale nadto w części zwanej systematyczną; otóż, tak jedno jak drugie jest błędem naukowym.

Najprzód darwiniści, z istoty swej teoryi, nie mają prawa do dawania żadnej klasyfikacyi; powtóre, klasyfikacya, jaką dają, krasząc ją nazwą naturalnej, jest właściwie urojoną.

I tak, jeżeli jest prawdą, że jedyny typ pierwotny wydał

[1] Czytamy w jednym z nich: „Nowsi badacze wykazali liczne przejścia od jednych typów do drugich, i przyjmując powinowactwo zwierząt pomiędzy sobą, zmierzają od czasu Darwina (1859 r.) do ustanowienia naturalnego układu genealogicznego, w kształcie drzewa rodowego, jak obok dołączone, w których typy, gromady i reszta skupień systematycznych przedstawiałyby się jako konary, gałęzie, gałązki i gałązeczki pnia królestwa zwierzęcego". To jest prawda, lecz gdyby autor był bezstronnym, czyżby nie powinien był dodać: Inni jednak badacze, uważając powinowactwo zwierząt za hypotezę niedowiedzioną, nie ulegli tej zachciance i nie przyjmują drzewa rodowego!

z siebie kilka innych, każdy z nich wydawał również inne a odmienne, a to przez jakąś ogromną ilość wieków, wówczas w dzisiaj żyjących jestestwach znaleźlibyśmy nieład i chaos, którego żaden rozum ludzki nie byłby zdolny objąć, rozwikłać i uporządkować. Jeżeli gatunkowość nie jest cechą stałą, jak utrzymują darwiniści, jeżeli gatunek jest tylko „sztuczny", wówczas nie ma podstawy do klasyfikacyi, wszelka klasyfikacya jest niemożebną. Tak jednak nie jest.

Wszyscy przyrodnicy głębszego umysłu pojmowali jedność planu w jestestwach, podawali różne systemy układów, a tem samem przyznawali domyślnie rzeczywiste podstawy klasyfikacyi w przyrodzie. Skoro darwinizm wystąpił z przeczeniem, mężowie nauki podnieśli głos swój w obronie prawdy. Do najznakomitszych obrońców należą: de Quatrefages i Agassiz; pierwszy broni rzeczywistości gatunku, drugi przeważnie zajmuje się układem.

De Quatrefages dając dowody i odpierając zarzuty, wymierzone przeciw gatunkowi, tak kończy tę rzecz: „Weźmy skupienia tych osobników, które mają między sobą pewne podobieństwa, i które łącząc się w pary mogą wydać potomstwo płodne, wraz z p. Chevreul sięgnijmy myślą wstecz ku ich początkowi. Ujrzymy, iż one rozłączają się na r o d z i n y, z których każda pochodzi wprost lub ubocznie od jednego ojca i od jednej matki; przy k a ż d e j o d l e g l e j s z e j g e n e r a c y i liczba rodzin zmniejszać się będzie, a dążąc ciągle ku początkowi, przyjdziemy wreszcie do pierwszej p i e r w o t n e j p a r y. Czy tak było w istocie? Czy w początkach każdy gatunek miał tylko jedną, jedyną parę? Czy też kilka par, morfologicznie i fizyologicznie całkiem podobnych, zjawiło się naraz lub kolejno? To są fakta, których umiejętność ani może, ani nawet powinna dotykać, albowiem ani doświadczenie, ani spostrzeżenie nie dają jej żadnych danych do jej rozstrzygnięcia. Lecz umiejętność może bezsprzecznie stwierdzić, że rzeczy tak stoją, jak gdyby każdy gatunek miał za punkt jedną, jedyną parę"[1].

Agassiz idzie dalej, dowodzi nietylko, że klasyfikacya jest wyrazem rzeczywistości w przyrodzie, ale nadto wykazuje, iż objawy tego rodzaju nasuwają koniecznie myśl o istnieniu Stwórcy. „Oso-

[1] L'esp. hom., p. 61.

bniki, mówi on [1] są rzeczywistymi przedstawicielami gatunku, rodzaju, rodziny, rzędu, gromady i typu [2]. Układy, podane przez wielkich mężów naukowych, są tylko wyrażeniem w języku ludzkim myśli Stworzyciela... Wszystkie istoty ujawniły się stopniowo na ziemi w moc bezpośredniego aktu Stwórcy, nie zaś mocą działania ciągłego przyczyn fizycznych. Otoczenie czyli żywioły, tak zwane fizyczne, są wszędzie te same, na całej kuli ziemskiej i zawsze były takimi podczas peryodów geologicznych. Przeciwnie zaś istoty organiczne są wszędzie różne i zawsze się różniły w ciągu wieków. Pomiędzy dwoma seryami takich objawów, nie może być ani węzła przyczynowości, ani węzła pochodzenia... Jeżeli zatem można dowieść, że człowiek nie wymyślił, lecz tylko odkrył systematyczny układ przyrody; że stosunki, jakie istnieją we wszystkich częściach świata organicznego, mają wątek w umyśle Stworzyciela; że ten plan stworzenia, który jest podziwem dla największej mądrości ludzkiej, nie wynika z działań koniecznych praw przyrody, lecz przeciwnie dowolnie był obmyślany i urobiony we wszechmocnym umyśle, zanim począł w rzeczywistości istnieć; jeżeli wreszcie dowiedzie się, że myśl poprzedziła akt stworzenia, — należy raz na zawsze skończyć z temi niepoczesnemi teoryami, co nas odsyłają do praw materyi, dla wytłumaczenia najcudowniejszych zjawisk w świecie, a wykluczając Boga, stawiają nas w obec działania monotonnego i niezmiennego sił fizycznych, i wszystko nieuniknionemu poddają losowi... Szeregowanie w czasie i przestrzeni

---

[1] De l'esp. et de la clas., p. 269, 8, 10, 218.

[2] Dowodzi tego w ten sposób: „Jako przedstawiciele gatunku, osobniki utrzymują między sobą ścisłe związki, znajdują się w stosunkach określonych z otoczeniem, istnienie ich jest ograniczone czasem oznaczonym. Jako przedstawiciele rodzaju, te same osobniki posiadają niektóre szczegóły budowy określonej i specyficznej, identyczne z cechami, jakie mają przedstawiciele innych gatunków. Jako przedstawiciele rodziny, też same osobniki mają kształt określony formami podobnemi do form innych rodzajów, lub formą sobie tylko właściwą; jeżeli rodzina nie dzieli się na rodzaje, wyrażają wzór specyficzny. Jako przedstawiciele rzędu, osobniki te nie mieszczą się na szczeblu ściśle określonym, jeżeli się je porówna z przedstawicielami innych rodzin. Jako przedstawiciele gromady, te osobniki okazują plan swej budowy, mający właściwe cechy; budowa ta wykonaną została środkami i drogami szczególnemi. Jako przedstawiciele typu, wyróżniają się od innych typów właściwym sobie planem ogólnym“...

tych wszystkich, głęboko obmyślonych pojęć tworów, nietylko dowodzi rozumu, ale nadto okazuje moc, mądrość, wielkość, przewidywanie, wszechwiedzę, opatrzność. Jednem słowem, wszystkie te objawy i ich naturalny łańcuch głoszą jedynego Boga, któregoby człowiek miał poznawać, czcić i kochać. Historya naturalna będzie kiedyś tylko analizą myśli Stworzyciela świata".

Tak mówi ten uczony mąż i takie stanowisko zajął w obec tych pseudo-uczonych darwinistów, którzy wbrew swym zasadom, uznają domyślnie istotę rzeczywistości w układzie i zdobywają się na klasyfikacye; lecz jak ich punkt wyjścia jest urojonym, tak zastosowanie szczegółów niedorzeczne.

Twierdzą przedewszystkiem, że dawne klasyfikacye i układy były sztuczne. Jest to prawda, ale nie w tem znaczeniu, w jakiem ją pojmują darwiniści. Zanim jeszcze pojawił się Darwin, zoologowie rozróżniali układ sztuczny od układu naturalnego. Za podstawę pierwszego przyjmowało się dowolnie kilka cech zewnętrznych, z których wnosić nie można było nic, albo prawie nic, o całości organizmu każdego działu. Takim był system Lineusza i sposób dichotomiczny w botanice. Układ naturalny sięga głębiej, opiera się na cechach morfologicznych i fizyologicznych, które wybitnie mogą znamionować a zarazem wyróżniać dział dany. Cuvier w zoologii, Jussieu w botanice byli twórcami nowych systemów. Nowe odkrycia naukowe umożliwiły ich następcom udoskonalenie systemu i zaprowadzenie układu, który coraz więcej zbliżał się do rzeczywistego planu natury. Lecz nie tak pojmują darwiniści układ naturalny:

Według Haeckla układ dlatego był sztucznym, że, „nie układano, jak mówi, działów według powinowactwa morfologicznego, które wypływa z pokrewieństwa"...[1]. Otóż to, co żąda Haeckel, nie jest ani rozsądne, ani możebne. Nie jest rozsądne, albowiem na urojonych cechach nie zakłada się naturalnej klasyfikacyi; nie jest możebne, albowiem, skoro descendencya nie jest dowiedzioną, nikt nie wie, nawet sam Haeckel, jakie grupy dały początek innym: nie można tedy ich układać według genealogicznego porządku; podobieństwa zaś w organach i funk-

[1] Hist. de la créat., p. 360.

cyach nie są tego rodzaju, iżby dowodziły pokrewieństwa. Uczony amerykański pisze[1]: „Haeckel wprowadza do klasyfikacyi czynnik sztuczny, stronniczy, własnego pomysłu; czytelnik tylko niedoświadczony może uledz złudzeniu i uznać rzeczywistość węzła genealogicznego, który istnieje jedynie w wyobraźni autora... Stąd można wyprowadzić wniosek, że zastosowanie pochodnich myśli Darwina do klasyfikacyi nie jest uzasadnionem, jak i zresztą cała jego doktryna".

Haeckel podjął się pierwszy przeprowadzenia klasyfikacyi na podstawach powinowactwa; dopomina się stanowczo tego pierwszeństwa: „Darwin nie daje, pisze on[2], żadnej odpowiedzi na pytanie o teoryi genealogicznej... zadawalnia się ogólnikiem, iż prawdopodobnie wszystkie jestestwa organiczne powstały z jednego pierwotnego kształtu. Wszyscy zwolennicy Darwina w tem go naśladowali... Kilka lat temu podałem w mojej Morfologii przypuszczalne drzewo genealogiczne... to była pierwsza próba"... Próba się nie powiodła. Punkt wyjścia był błędnym, jak wyżej okazaliśmy, a skoro w przeprowadzeniu systemu autor, zamiast faktów, nagromadził przypuszczeń i węzłów luźnych bez końca, cały jego układ został odrzucony. Powagi naukowe, Wigand, de Baer, Broca[3] i tylu innych wykazali grube jego błędy, Agassiz całe dzieło o tem napisał. Nie mogąc wdawać się w szczegóły, przytoczymy tu tylko streszczenie wywodów tego ostatniego autora. „Jeżeliby podobne pomysły (Haeckla), mówi uczony Amerykanin[4], miały uchodzić za postęp prawdziwy, wówczas umiejętność musiałaby stracić wszelkie prawo do ufności, jaką w niej umysły poważne pokładały. Nadto, gdyby w nich wynaleść się dała jaka zasada, któraby dopomagała do udoskonalenia i pomnożenia naszych wiadomości, wówczas pomimo wszystkiego, czulibyśmy jakąś wdzięczność i sympatyę dla usiłowań dążących w tym kierunku. Lecz skoro przekręca się fakta, skoro na udowodnienie prawdy przytaczają się fakta, z których ona zupełnie nie wynika, skoro przypuszczenia całkowicie sprzeczne z rzeczywistością naukową ogła-

[1] Agassiz, ibid., p. 388, 391.
[2] Hist de la créat., p. 300.
[3] Ob. Stud. a. d. Geb. der Naturwissen. Der Darwinismus.
[4] De l'esp. et de la clas., p. 386, 387.

szają się za rzeczywiste fakta, uważamy za obowiązek oświadczenie się przeciw tym nadużyciom. Otóż głębsze zastanowienie się nad drzewem genealogicznem Haeckla dowodzi, że nie ma żadnej przesady w naszym surowym wyroku". Ten wyrok podpisali i inni przyrodnicy, Bois-Reymond oświadcza. „że „te drzewa genealogiczne taką samą mają wartość w oczach umiejętności, jaką mają w oczach krytyki historycznej drzewa genealogiczne bohaterów Homera". Gegenbaur, autor „Anatomii porównawczej", skreślonej na podstawach darwinistycznych, przyznaje, że anatomicznie nie da się wyprowadzić kształtów pochodnych [1]. Sam Haeckel uznawał poniekąd słuszność tych sądów. „Największa część zoologów i botaników, mówi on [2], była najprawdopodobniej bardzo mało zadowolnioną z tej pierwszej pracy... Lecz ani jeden przyrodnik nie wskazał lepszego drzewa, nie wskazał nawet żadnego". Jeżeli żaden przyrodnik nie podawał drzewa genealogicznego jestestw, świadczy to przeciw Haecklowi, na korzyść zdrowego rozumu, świadczy, że prawdziwa umiejętność przyrodnicza potępiła ostatecznie urojony układ Haekla.

Ten układ Haeckla wychodził z błędnego przypuszczenia, błędnie był zastosowanym w grupowaniu jestestw, a pomieszczenie człowieka w rzędzie zwierząt było koroną niedorzeczności. Jak się zapatrują przyrodnicy na tę ostatnią sprawę?

Głęboki i bystry umysł filozoficzny Arystotelesa, połączony z obszerną wiedzą i zmysłem spostrzegawczym, miał pojęcie gatunku, rozumiał potrzebę układu, lecz ani nie określił pierwszego, ani drugiego nie przedsiębrał. Umiejętność przyrodnicza zbyt jeszcze mało posiadała danych, granice wiedzy zbyt jeszcze były ścieśnione, aby mogły były skłonić Stagiritę do rzucenia zarysu, obejmującego całość przyrody. Podstawy jednak na których oparł naukę, tak były silne, że kilkunastowiekowe późniejsze badania i zdobycze naukowe ich nie nadwerężyły. Arystoteles rozumiał doskonale całą przepaść, jaka oddziela człowieka od zwierząt; wiedział, że małpa posiada cztery ręce a człowiek dwie ręce, znał dostatecznie różnice fizyologiczne i psychiczne i nigdy nie utrzymywał, jak to niektórzy

[1] Manuel d'Anatomie comparée. Paris, 1874.
[2] Hist. de la créat. p. 300.

radzi mu przypisują, że małpa stanowi przejście między człowiekiem a zwierzętami czworonożnemi [1].

Lineusz, który pierwszy podjął się klasyfikacyi jestestw żyjących, pierwszy umieścił człowieka w rzędzie zwierząt. W *Systema naturae* odróżnia go tylko jako r o d z a j, w *Mantissa plantarum* umieszcza *Homo sapiens* obok Dżibona, *Homo lar.* W tym podziale Lineusz wychodził tylko ze stanowiska anatomicznego, a doszedł do błędnego wniosku, mianowicie, że: „*Nullum characterem adhuc eruere potui, unde homo a simia internoscatur*". Arystoteles znał już te cechy [2], a poznali je jeszcze lepiej późniejsi przyrodnicy.

---

[1] Oto, co mówi z tego powodu Aggasiz: (De l'esp. et de la clas, p. 98) „Les animaux les plus voisins de l'homme, que connussent les Grecs, étaient le Patas, κῆβος; le Babouin, κονοκέφαλος, et le Magot commun, πίθηκος. Une traduction moderne d'Aristote lui fait dire, il est vrai, que les singes forment la transition entre l'homme et les quadrupedes (Aristoteles, Naturgeschichte der Thiere, traduction du docteur F. Strack, Francfort, sur le Mein, 1816, p. 65); mais l'original ne dit rien de semblable. Dans l'histoire des animaux, liv. 2, chap. V., on lit simplement: ἔνια δὲ τῶν ζώων ἐπαμφοτερίζει τὴν φύσιν τῷ τε ἀνθρώπῳ καὶ τοῖς τετράποσιν. Il y a une grande différence entre „participent à la fois de la nature de l'homme et de celle des quadrupèdes", et „forment la transition entre l'homme et les quadrupèdes". Le chapitre tout entier est consacré à l'enumération des analogies de structure, que ces trois singes présentent avec l'homme; mais l'idée d'une étroite affinité n'est pas même exprimée, et moins encore celle d'une transition entre l'homme et les quadrupèdes. L'écrivain, au contraire, insiste très fortement sur les différences marquées, qu'il y a entre eux, et il sait, aussi parfaitement que n'importe quel anatomiste moderne, que les singes ont quatres mains: ἔχει δὲ καὶ βρακίονας, ὥσπερ ἄνθρωπος.... ἰδίους δὲ τοὺς πόδας· εἰσί γὰρ οἷον χεῖρες μεγάλαι. Καὶ οἱ δάκτυλοι ὥσπερ οἱ τῶν χειρῶν, ὁ μέγας μακρότατος· καὶ τὸ κάτω τοῦ ποδὸς χειρὶ ὅμοιον πλὴν ἐπὶ τὸ μῆκος τὸ τῆς χειρὸς ἐπὶ τὰ ἔσχατα τεῖνον καθάπερ θέναρ. Τοῦτο δὲ ἐπ' ἄκρου σκληρότερον, κακῶς καὶ ἀμυδρῶς μεμούμενον πτέρνην".

[2] „Il est étrange que ces distinctions claires et précises fussent si complétement tombées en oubli, au temps de Linné, que ce grand réformateur de l'Histoire naturelle dût avouer, en 1746, qu'il ne connaissait pas de caractère par lequel on pût distinguer l'Homme du Singe (Fauna Suecica, praefatio, p. 2): „Nullum characterem adhuc eruere potui, unde homo a simia internoscatur". Mais ce n'est pas seulement du point de vue des analogies et des differences de la structure que les rapports entre les animaux et l'homme doivent être envisagés. L'histoire psychologiqne des animaux montre que, si l'homme se rapproche d'eux par le plan de sa structure, à leur tour les animaux se rapprochent de l'homme par le caractère de leurs facultés; seulement chez l'homme, celles-ci sont tellement transcendantes, qu'elles indiquent d'abord

Cechy zewnętrzne, odróżniające człowieka, od zwierzęcia są: postawa prostopadła, dwie ręce, układ systemu zębowego, bezwłosistość częściowa skóry, budowa mózgu i kształt ogólny głowy. Te cechy są charakterystyczne; sam Huxley przyznaje, że „każda kość Goryla nosi na sobie znamiona, wyróżniające ją od odnośnej kości ludzkiej; w dzisiejszej całości stworzeń, żadne jestestwo pośrednie nie zapełnia wyłomu, jaki istnieje między człowiekiem a Troglodytem". Fizyolog niemiecki Wagner mówi więcej: „Pomijając nawet objawy psychologiczne, człowiek i małpa są istotami zupełnie r ó ż n e m i... Tak anatomia jak i zoologia sprzeciwiają się tym metamorfozom i tym nieskończonym przeobrażeniom, które Darwin przypuszczał". Istnieją tedy tak anatomiczne, jak i fizyologiczne znamiona, wyróżniające człowieka od zwierzęcia; gdyby jednak człowiek nie posiadał innych właściwości, nie możnaby było brać za złe Lineuszowi, iż go policzył między zwierzęta. Lecz sam Lineusz rzecz tę inaczej pojmował. Jako filozof, to jest stając na stanowisku, z którego mógł objąć wszystkie zjawiska w człowieku, uznał godność ludzką, i człowiek, który już w *Systema naturae* jest dla niego: *Homo sapiens, creatorum operum perfectissimum, ultimum et summum...*, w *Imperium Naturae* jest jeszcze czemś więcej. „Tam, mówi de Quatrefages [1], przeciwstawia prawie człowieka wszystkim innym jestestwom, szczególniej zaś zwierzętom; a to w takich wyrazach, że pojęcie: K r ó l e s t w a c z ł o w i e k a, z nich płynie koniecznie". I nie mogło być inaczej.

Jeżeli klasyfikacya ma być n a t u r a l n ą, a nie sztuczną, nie urojoną, należy objąć całość wszystkich objawów. Niepodejrzany Buffon pisze [2]: „Utworzeni z ziemi i pyłu, z ziemią i pyłem mamy wspólne własności: rozciągłość, nieprzenikliwość, ciężkość... lecz te własności, które nas wiążą z materyą, nie stanowią jeszcze istoty..., organizacya, życie, dusza znamionują nasze jestestwo... Dla czego, mówiąc o człowieku, opuszczać w historyi naturalnej to, co stanowi najszlachetniejszą część jego istoty? Dlaczego umyślnie i na przekór prawdzie upośledzać go, i zmuszać nas, abyśmy widzieli

la nécessité de rejeter toute idée d'une parenté quelconque entre lui et le règne animal" (Agassiz, l. c.).

[1] Esp. hum., p. 17.

[2] Oeuvr. compl. Edit. Flour., t. II., p. 5.

w nim zwierzę, skoro naturą swą całkowicie się różni i wyszczególnia od niego; istota zaś jego tak jest wyższą od zwierzęcej, iż trzeba być chyba tak mało oświeconym, jak zwierzęta, aby nie dopatrzyć różnicy".

Znakomity myśliciel a oraz przyrodnik Le Play, pisze w swem dziele [1]: „Zajmować się człowiekiem ze stanowiska jego ustroju fizycznego, pomijając inne własności, byłoby błędem podobnym do tego, w jakiby popadł przyrodnik opisujący pszczołę, a któryby pominął wyrabianie przez nią miodu. Jakie wyobrażenie może mieć chemik o dzielności życia roślinnego, jeżeli po zmiażdżeniu rośliny, podda ją rozkładowi i znajdzie choćby jak najdokładniejsze części, tak co do jakości, jak i co do ilości, z których się ona składa! Otóż magistrowie uczonego sceptycyzmu ciężko wykraczają przeciw metodzie, świętokradzko krzywdzą prawdę, starając się usunąć z umiejętności ludzkiej podziwienia godne objawy religii, moralności, rozumu.., Wyłączenie Boga i religii ze świata społecznego dlatego jedynie, że się ich nie widzi w świecie fizycznym, byłoby równie nierozsądnem, jak odrzucanie odżywiania w istotach ustrojowych dlatego, że jego brak stwierdzony został w istotach martwych".

Od czasu Adanson'a, Jussieu i Cuvier'a uczeni przyrodnicy zaczęli gruntowniej zapatrywać się na całość jestestw, jako też i na prawdziwe stosunki między niemi istniejące. Pierwszy Geoffroy St.-Hillaire, któremu nauka zawdzięcza odkrycie jedności planu stworzeń, ustanowił dla człowieka osobne Królestwo. „W młodym jeszcze wieku, mówi Dumas [2], odłączył się on od tych uczonych, którzy uważając człowieka ze względu tylko fizycznego, nie biorą w rachubę własności jego duchowych i zaliczają go do zwierząt. Trzymał z Hallerem a nie z Lineuszem, który jakkolwiek nazwał człowieka istotą rozumną, *homo sapiens*, idąc za błędnym systemem, pomieścił go w dziale zwierząt. Nie mógł się godzić Geoffroy na bydlęcy początek człowieka, by mu bydlęcy cel i koniec przypisać; ta chwała należy się Niemcom, którzy są wynalazcami nowej teoryi".

Geoffroy St.-Hillaire w ten sposób uzasadnia dział, jaki przeznacza człowiekowi [3]: „Pomiędzy tworami żyjącymi znajdują się

[1] L'Organisation du travail. Tours, 1877, p. 256.

[2] Ob. La vie, p. Chauffard, p. 389.

[3] Hist. nat. génér. des règnes organ., v. II., p. 260.

trzy wielkie działy, trzy wielkie klasy, jak mówiono dawniej, trzy wielkie Królestwa w państwie organicznem, jak mówimy dzisiaj. Jest to tylko nowy kształt dany dawnemu pojęciu, staremu, jak i sama umiejętność, a które przetrwa tak długo jak i ona. Te trzy królestwa w taki sposób dadzą się uwydatnić: do pierwszego należą twory, które posiadają ogólne znamiona istot ustrojowych i żyjących. W drugiem znajdują się wszystkie ogólne znamiona pierwszych, nadto ruchliwość i czułość. W trzeciem, do którego należy sam człowiek, oprócz wszystkich cech działu drugiego, należy rozum. W pierwszym dziale życie jest tylko roślinne, w drugim, do życia roślinnego przyłącza się życie zwierzęce, w trzecim, życie roślinne i zwierzęce dopełnione jest życiem moralnem. Czyli, streszczając jeszcze więcej: roślina żyje, zwierzę żyje i czuje, człowiek żyje, czuje, myśli... Mogą być, są nawet różne stopnie rozwoju władz roślinnych, czuciowych i rozumnych; ale nie ma przejścia, środka, pomiędzy: żyć i nie żyć, czuć i nie czuć, myśleć i nie myśleć".

Pozostaje nam do przytoczenia jeszcze jedno świadectwo przyrodnika, najstarszego dziś i bezsprzecznie najuczeńszego fizyologa, twórcę właściwej antropologii, który półwiekową pracę poświęcił temu przedmiotowi. De Quatrefages dzieli wszystkie twory na pięć Królestw; kosmiczne *(sidéral)*, mineralne, roślinne, zwierzęce i człowiecze.

Objawem Królestwa kosmicznego jest ruch keplerowski; przyczyną, ciążenie.

Objawem Królestwa mineralnego: ruch keplerowski, działanie fizyczno-chemiczne; przyczyną, ciążenie i eterodynamia.

Objawem Królestwa roślinnego: ruch keplerowski, działanie fizyczno chemiczne i objawy życiowe; przyczyną, ciążenie, eterodynamia, życie.

Objawem Królestwa zwierzęcego: ruch keplerowski, działanie fizyczno-chemiczne, zjawiska życiowe, ruchy autonomiczne; przyczyną, ciążenie, eterodynamia, życie, dusza zwierzęca.

Objawem Królestwa człowieczego: ruch keplerowski, działanie fizyczno-chemiczne, zjawiska życiowe, ruchy autonomiczne, objawy religijności i moralności; przyczyną, ciążenie, eterodynomia, życie, dusza zwierzęca, dusza ludzka.

Autor objaśnia jeszcze swój podział następującemi uwagami: „1. Każde Królestwo jest znamionowane pewną ilością objawów, niezależnych od żadnej hypotezy, od żadnej teoryi. 2. Począwszy od Królestwa kosmicznego, objawy rosną liczebnie; każde Królestwo zawiera w sobie objawy pomieszczone w poprzedniem, a nadto nowy swój objaw charakterystyczny. 3. Każdy rodzaj objawów da się odnieść do jednej przyczyny. Wszystkie te przyczyny są nam nieznane, co do natury i sposobu działania, znamy je tylko z objawów; dając im nazwy, nic o nich nie przesądzamy, ani o stosunkach, w jakich z sobą zostają".

Podaliśmy rys całego podziału według uczonego autora, musimy jednak zauważyć, że w charakterystycznych znamionach człowieka de Quatrefages nie zamieścił objawów rozumu, chociaż w dziele swem „L'espèce humaine" cały rozdział (XXXIII. str. 319—338) temu znamieniu poświęca

Antropolog francuski we wszystkich swych dziełach — a wydał ich tyle — stara się udowodnić to swoje zapatrywanie; przytaczamy tu w dosłownem tłumaczeniu kilka ustępów, które przy całej bezstronności, ze stanowiska li tylko umiejętności pozytywnej, uzasadniają gruntowność i trzeźwość jego poglądów. „Czy człowiek, pisze on [1], jest tylko zwierzęciem rozumniejszem nieco od swych braci? Czy w nim nie dadzą się wyróżnić żadne cechy jemu właściwe, któreby go znamionowały i wyłączały z pośród zwierząt, na wzór tych, jakie istnieją w zwierzętach i oddzielają je od roślin? Od dawnego czasu (1838), nie znając nawet prac w tym kierunku, odpowiedziałem na te pytania: uważałem za stosowne oddzielić człowieka od zwierząt i ustanowić dlań osobne Królestwo. Długoletnie prace i badania utwierdziły to moje przekonanie, które podzielali znakomici uczeni, a między nimi p. Serres. Nie wychodziliśmy jednakże z tego samego punktu zapatrywania; mój uczony poprzednik opierał swe Królestwo człowieka na znamionach, odnoszących się do szczegółów ustroju; co do mnie, gdzieindziej upatrywałem podstawę do tego podziału.

„W istocie człowiek jest jedynem jestestwem w którem ujawniają się potrójne zasadnicze objawy: 1. pojęcie moralne dobrego

[1] Rapport sur les progrès de l'anthropologie. Paris, 1867, p. 76.

i złego; 2. wiara w życie przyszłe; 3. uznawanie istot wyższych. Dwa ostatnie, trudne często do odróżnienia między sobą, odnoszą się do ogólnej własności, którą nazywamy religijnością, pierwszy do moralności. Te dwie własności albo władze są w wyłącznym posiadaniu człowieka i charakteryzują królestwo człowieka.

„Postępując w ten sposób, czyż się oddaliłem od drogi wytkniętej w umiejętnościach przyrodniczych, kiedy naprzykład chodziło o oddzielenie zwierząt od roślin? — Nie. Nieśmiertelny autor *Systema naturae* za podstawę swego królestwa zwierząt wziął dwie własności: czucie i wolę. Nie tłumaczył ich, lecz okazawszy, iż są znamionami zasadniczemi dla pewnej grupy tworów, a nie znajdują się zupełnie w roślinach, uznał za rzecz słuszną oddzielić je od tych ostatnich i utworzyć dla nich osobny dział.

„Z moralności i religijności płynie cały szereg różnorodnych objawów działalności ludzkiej, są z nimi w związku obyczaje i różne instytucye; one tylko mogą być kluczem do rozwiązania zawiłych zagadnień, które w dziedzinie historyi wpłynęły na losy narodów i zmieniły postać świata. Ważność ich nie może być zaprzeczoną.

„Te dwa wielkie objawy przedstawiają się mniej lub więcej wybitnie u wszystkich ludzi, nie istnieją zaś całkiem u zwierząt. Słusznie tedy można je uważać za szczególne znamiona, odróżniające rodzaj ludzki, a ponieważ osobniki, które go składają, mają niezaprzeczoną i niezaprzeczalną wyższość nad zwierzętami, słusznie tedy moralność i religijność uważają się za objawy wyższe, a całe królestwo człowieka stoi ponad królestwem zwierząt".

Tak przemawiają pierwszorzędne powagi naukowe. Przed Darwinem człowiek zaliczany był do osobnego „królestwa", dzieło jego „o pochodzeniu człowieka" nie dokonało przewrotu w rzeczywistej dziedzinie naukowej; przeciwnie, utwierdziło tem bardziej przekonanie poważnych myślicieli o potrzebie osobnego „królestwa". Wreszcie, ponieważ wypadało darwinistom wejść w szczegóły, nawiązać człowieka do zwierząt, wskazać koniecznie wrzekomy łańcuch pochodny, — usiłowania ich pod tym względem odsłoniły jeszcze więcej niedorzeczności ich hypotezy.

Człowiek jest spokrewnionym z małpą — to jest pewnik darwinistów. „Ponieważ z punktu widzenia genealogicznego, pisze Dar-

win [1], człowiek należy do gromady wązkonosów, czyli gromady starego świata, musimy zawnioskować, jakkolwiek to ubliża naszej dumie, że nasi pierwsi przodkowie słusznie nosili nazwę małp"... Haeckel mówi to samo, prawie tymi samymi wyrazami[2]: „Jeżeli teraz, przyjmując teoryę genealogiczną, weźmiemy klasyfikacyę naturalną zwierząt za wskazówkę i postawimy ją jako podstawę dla drzewa genealogicznego człowieka, przychodzimy koniecznie (fatalement) do wniosku następującego: Ród ludzki jest odrośla gromady wązkonosów; rozwinął się w starym świecie i pochodzi od małp z dawien dawna wymarłych tejże gromady". To są dopiero ogólniki, zobaczymy, jak ci panowie przeprowadzają pokrewieństwo.

Musimy najprzód zaznaczyć, że darwiniści zgodni w ogólnym swym dogmacie, różnią się bardzo w poszczególnych swych zapatrywaniach. I tak Vogt jest polygenistą, utrzymuje, że różne gałęzie dawnych małp były praojcami różnych ras ludzkich; Wallace przypisuje przejście między zwierzęciem a człowiekiem rozumowi wyższemu (Intelligence supérieure); Naudin cały rozwój odnosi do przyczyny pierwszej — w ogóle nie wdają się szczegóły. Sam nawet Darwin ograniczył się na ogólnikach; Haeckel dopiero, jako twórca drzewa genealogicznego starał się wykazać ogniwa łańcuchowe.

Pod względem budowy ciała, małpa ze wszystkich zwierząt, najbardziej zbliżoną jest do człowieka; czy człowiek pochodzi od małpy?

Dwie są dzisiaj żyjące rodziny małp, wązkonose, czyli starego świata, i szerokonose, czyli nowego świata; różnią się między sobą ustrojem nosowym i uzębieniem: a ponieważ pod tymi dwoma względami te ostatnie różnią się również i od człowieka, stąd nie od tej drugiej grupy człowiek pochodzić może, — czy pochodzi od pierwszej?

Głównymi przedstawicielami pierwszych są: Goryl, Szympans, Orangutan i Dżibon; każdy z nich ma niektóre znamiona zbliżające go do człowieka, lecz żaden nie posiada takich, iżby można orzec, że od tego właśnie gatunku, a nie od innego, człowiek ród swój

[1] Descend. de l'hom., p. 169.
[2] Hist de la créat. nat., p. 491.

wiedzie. To mówi Haeckel [1]. Stąd człowiek i dzisiejsze małpy, tak zwane antropoidyczne mogą tylko mieć wspólnego przodka w małpach wymarłych, antropomorficzych. Lecz tu napotyka się trudność. Z całości budowy człowieka wynika, iż on jest przedstawicielem typu chodzącego (marcheur), małpy zaś tak antropoidyczne jak i antropomorficzne należą do typu łażącego (grimpeur); otóż na mocy prawidła upostaciowania stałego (caractérisation permanente), typ chodzący nie może pochodzić od typu łażącego; stąd po za małpami należy szukać wspólnego przodka. Według drzewa genealogicznego Haeckla ten wspólny przodek znalazłby się dopiero w dydelfach. „Od człowieka do Kangura, mówi de Quatrefages [2], odległość jest wielka. Otóż ani przyroda żyjąca, ani szczątki kopalne zwierząt wymarłych, nie przedstawiają kształtów przechodnich".

Zarzut ten nie zatrzymuje Haeckla na raz obranej drodze; tworzy on w swej wyobraźni typy i umieszcza je w drzewie genealogicznem, pocieszając czytelników, że z czasem nowe odkrycia potwierdzą jego przypuszczenia.

Typ wspólny dla małp i człowieka zowie Haeckel *Placentalia*, od *placenta*, organu łączącego i karmiącego płód. Placentalia rozchodzą się na *Deciduata* i *Indeciduata;* do pierwszych należy typ *Prosimiae*.

Prosimiae zajmują w drzewie genealogicznem 18 miejsce, na 19 są Wąskonose ogoniaste, na 20 Wąskonose bezogoniaste, w 21 człowiek pozbawiony słowa (Homo pithecanthropus v. Alalus), wreszcie w 22 człowiek obdarzony słowem. Nie będziemy tu wchodzić w rozbiór szczegółowy tych typów; mimochodem tylko wspomnimy, że ten *Alalus*, którego przedstawicielami w dzisiejszym stanie rzeczy mają być *idioci* i *kretyni* (sic), przechodzi wszystkie „niedorzeczności" szkoły Okena. Istnienie tego logicznego jestestwa jest przypuszczeniem, zapełniającem luki między typami postawionymi *à priori*. W drzewie genealogicznem Haeckla nie jest on jedynym. Na 14 miejscu stawia typ *Sozura*, a o nim mówi: „Dowód

---

[1] Aucun des quatre anthropoïdes actuels ne se rapproche de l'homme plus que les autres, on ne saurait dire que l'un d'eux soit, absolument, plus voisin de l'homme sous tous les rapports que les trois autres. L. c., p. 493.

[2] Esp. hum., p. 79.

jego istnienia wynika z konieczności kształtu pośredniego między 13 a 15 typem". I to ma się nazywać nauką pozytywną, zdobyczami XIX. wieku! Wracamy do typu wspólnego.

Prosimiae tedy, wspólna gałąź małp i człowieka, mają należeć do Deciduata; przedstawiciele jego w obecnym stanie są Małpiątka i Lemury. Otóż te Prosimiae zawiodły oczekiwania profesora z Jeny, jak go zawiódł dawniej tyle obiecujący Bathybius. Po badaniach anatomicznych Lemurów z Madagaskaru przez Milne Edwards'a i Grandidier'a okazało się, że Lemury należą do Indeciduata, a stąd nie mogą być praojcami małp i człowieka [1]. To wszystko stwierdzone zostało na publicznem posiedzeniu Akademii paryskiej [2]. Dziwić się nie można, że te niepowodzenia drażniły Haeckla i dał im wyraz nieco za szorstki w swej odpowiedzi, lecz koniec końców przyznaje w niej, że jego drzewo genealogiczne jest prostem przypuszczeniem.

„Dziesięć lat temu (1868 r.) [3] w mojej Historyi przyrodzonej stworzenia powiedziałem był: Drzewo genealogiczne człowieka, jak wszystkie drzewa genealogiczne roślin i ludzi, jest tylko, rozumie się w szczegółach, prostem przypuszczeniem genealogicznem, mniej albo więcej prawdopodobnem. To jednakże nie przeszkadza, abyśmy nie mieli go zastosować w sposób ogólny do człowieka (?)... Muszę tu dodać, że nie opuściłem żadnej sposobności do czynienia zastrzeżeń i wykazania, że jest różnica między pewnością bezwzględną ogólnej teoryi transformizmu a pewnością względną każdego drzewa genealogicznego. Stąd, kiedy Sem-

---

[1] Loin de pouvoir être les ancêtres des singes, d'apres les principes posés par Haeckel lui-même, ils ne peuvent pas même être regardés comme les ancêtres des mammifères zonoplacentaires, des carnassiers par exemple, et doivent être rattachés aux ongulés, aux édentés ou aux cétacés. Esp. hum. p. Quatr., p. 80.

[2] Broca mówi: „Ainsi, tout cet édifice généalogique est basé sur l'idée, que les lémuriens sont déciduates, c'est-à-dire qu'ils ont une membrane caduque et q'uils sont discoplacentaires. Voilà le point fondamental sur lequel l'auteur aurait dû prudemment concentrer toute son attention; mais il ne paraît pas qu'il ait pris la peine de le vérifier, car il résulte des rechérches de M. Alphonse Milne-Edwards, consignées dans le grand ouvrage sur les mammifères de Madagascar, qu'il publie en collaboration avec M. Grandidier, que les lémuriens n'ont pas de membrane caduque et que leur placenta est villeux et diffus". (Bul. de la Soc. anthr., t. XII.„ 2 ser., p. 267).

[3] Preuves du transf., p. 55, 56.

per i kilku innych moich przeciwników utrzymują, iż stawiam te genealogie jako dogmata nieomylne, tem samem kłamią (sic). Przeciwnie, nigdy nie zaniedbałem wskazać, iż uważam te genealogie jako przypuszczenia“... To świadectwo wynalazcy drzewa genealogicznego jest zupełnie wystarczające.

Skoro tedy, z jednej strony, ogólne pochodzenie człowieka od zwierząt jest przypuszczeniem bezpodstawnem, wywód zaś jego rodowy w drzewie genealogicznem jest przypuszczeniem urojonem, a z drugiej, skoro pierwszorzędne powagi naukowe piszą się bezwzględnie za osobnym działem dla człowieka, jak można w podręcznikach szkolnych umieszczać człowieka w rzędzie zwierząt i antropologię mieszać z zoologią?!

Jedna jeszcze uwaga przed zakończeniem tego rozbioru. Wspomnieliśmy wyżej, iż każda całość nauki ma swoją myśl przewodnią, otóż w darwinizmie tą myślą przewodnią była bezwyznaniowość.

Pierwsze dzieło Darwina obudziło już podejrzenia o ateizm, sami anglikańscy duchowni spostrzegali w niem zasady bezwyznaniowe. Wielu jednak przyrodników i filozofów dobrej woli dało się uwieść zręcznie oględnym wyrażeniom i sądzili w prostocie serca, że tu idzie tylko o kwestyę przyrodniczą.

Uczniowie Darwina nie zdołali zachować taktyki mistrza; nieostrożne słowa i za daleko posunięte wywody odkrywały plan ich kampanii; sam zresztą rozgłos, jaki usiłowali nadać sprawie i niezwykła gorliwość zdradzały ich zamysł. „Zgiełk, pisze Chauffard [1], jaki sprawia melodya doświadczalna, zachwyt, jaki wznieca, namiętne obrony jakie wywołuje, zdawałyby się wskazywać, iż to znakomite źródło wiedzy ludzkiej dopiero co zostało odkryte, że doniosłość jego jest zaprzeczoną, byt jego zagrożony. Nie, nie o to całkiem idzie. Czyż tedy — te wszystkie krzyki byłyby czcze i umyślnie wywołane? Sądzimy, że są umyślnie wywołane i nie są bez celu. Metoda doświadczalna dlatego tak głośno jest podnoszoną, aby swą powagą mogła pokryć niedorzeczności filozofii i umiejętności,

[1] La vie. Etudes et problèmes de Biologie générale, p. E. Chauffard, Membre de l'Académie de Médicine. Paris, 1878, p. 65. Ob. rów. Le matérialisme et la science, p. Caro.

które, w jej imieniu stawiane są jako wyniki wiedzy... Umiejętność nie idzie zawsze w parze z jasnością i bezstronnością, nie zawsze jej idzie o prawdy naukowe, które są niedostępne ogółowi i które nie mają związku ze stronnictwami skrajnemi. Przeciwnie, te stronnictwa zbyt wielki nacisk wywierają na umiejętność, podsuwają jej swe dążności, popychają na tory przez siebie wskazane, pobudzają do twierdzeń i wniosków, któreby, będąc wolną, odrzuciła... W tem właśnie leży niezwykła gorliwość, przyjmująca teorye wielkiej doniosłości społecznej, jako niewzruszone prawdy, pomimo że są niedowiedzione, że należą do rzędu przypuszczeń nieskończenie małej wartości"...

Po ukazaniu się pism Haeckla i innych „kontynuatorów", po wyjściu księgi „o pochodzeniu człowieka", przyłbica została odsłoniętą, w darwinizmie poznano ateizm scientyficzny.

Czy Darwin był ateuszem, nie o to tu idzie; lecz przecząca stanowczo celowość, moralność i religijność, wykluczająca wszelki udział Opatrzności w rozwoju i zachowywaniu istot żyjących teorya jego, jest ateistyczną. Wywody jakie daje Darwin w swych dziełach potwierdzają to mniemanie, skwapliwe i namiętne głoszenie darwinizmu przez apriorystycznych ateistów usuwa wszelką wątpliwość pod tym względem. Książe Argyll w mowie, mianej kilka miesięcy temu w Glasgowie, jasnemi wypowiedział to słowy[1]; wysokie stanowisko, niezaprze-

[1] My own strong impression is thah there are a great many scientific men in the world who are a great deal more Darwinian than Darwin himself was. I have seen some letters published in scientific journals, from which it was quite obvions that *the writers rejoiced in Darwin simply because they thought that Darwin had dispensend with God, and that he had discovered some process entirely independent of Design which eliminated altogether the idea of a personal Creator of the universe* .. In the last year of his life Mr. Darwin did me the honour of calling upon me in my house in London, and I had a long and very interesting conversation with that distinguished observer of nature. Darwin was above all things an observer. He did not profess to be a theologian or a metaphysician... In the course of that conversation I said to Mr. Darwin, with reference to same of his own remarkable works on the *Fertilisation of Orchids,* and upon *The Earthworms,* and various other observations he made of the wonderful contrivances for certain purposes in nature. I said it was impossible to look at these without seeing that they were the effect and the expression of Mind. I shall never forget Mr. Darwin's answer. He looked at me very hard and said, „Well, that often comes over me with overwhelming force; but at othes times", and he shook

czona wiedza i znana bezstronność czynią jego świadectwo zupełnie wiarogodnem. Sami zresztą do tego się przyznają. Hartmann z wielką siłą logiki zbija różne wywody Darwina, przyjmuje jednak jego teoryę i podaje taki powód: „Co do nas, dzieci czasów dzisiejszych, nie jesteśmy wolni do przyjęcia lub odrzucenia teoryi descendencyi; musimy ją przyjąć, albowiem nie możemy uznać dawniejszego pojęcia, pełnego tajemnicy, o stworzeniu z mułu, o boskiem tchnieniu“ [1]...

Tyndal, Vogt, Haeckel wprost już i bez ogródki głoszą ateizm. Cała plejada dojrzałych darwinistów, a szczególniej cały tłum niedojrzałych, wysławia ateizm słowem i pismem.

Bezwyznaniowość była tedy i jest przewodnią myślą darwinizmu; jakie z tego następstwa?

Pomijamy tu ogrom złego, jakie dla każdego pojedyńczego człowieka płynie z tego zatrutego źródła; nie należy to bowiem bezpośrednio do naszego przedmiotu, lecz nie możemy pominąć przewrotu społecznego, do którego doprowadza. Nie będziemy wchodzić w szczegółowe rozprawy z darwinistami, usiłującymi przekonać, że ich teorya da się pogodzić z moralnością i nie grozi przewrotem społecznym; rzecz ta wymagałaby całych traktatów; przywiedziemy tylko świadectwa mężów, znanych w obozie ultra-liberalnym i materyalistycznym.

Jeden z głębszych umysłów francuskich, niemający jednak wiary, jak sam wyznaje, w piśmie, które zwyczajnie nie krępuje się chrześcijańskimi poglądami, pisze[2]: „Nie należę do wierzących; ci, którzy wierzą, są szczęśliwi, zazdroszczę im tego szczęścia... Twierdzę, że tak dla narodów, jak i dla człowieka pojedyńczego, spirytualizm jest życiem, materyalizm śmiercią. Uposażać duszę przemijającem istnieniem, skazywać ją tylko na walki i zawody tego życia, niszczyć ją wraz z materyą, która jej służy za schronienie a którą uszlachetnia, pozbawiać ją nadziei nagrody, wyniszczać w niej bojaźń kary, obiecywać jej nicość, stawiać ją poniżej drobin fizycznych, które się przemieniają a nie znikają nigdy, jest to samo co wydzie-

his head vaguely, adding „it seems to go away“ (Ob. Good Words, z m. kwiet. 1885, str. 243).

[1] Le Darwinisme, pp. 3, 24.

[2] M. Du Camp. Revue des Deux-Mondes, I. avril 1883.

rać człowiekowi istnienie boskości, jest to skazywać go na konieczną bydlęcość.

„Znam tylko jedną wiarę i jedyną ucieczkę, wyrzekła była niegdyś George Sand, wiarę w Boga i w naszą nieśmiertelność“... Rzeczą jest smutną, bolesną nawet, że potrzebujemy bronić tych prawd, które stanowiły chwałę ludzkości... Bez nich ludy są tylko stadami walczącemi o istnienie, według formułki Darwina, pożerającemi się nawzajem; jedzą one, używają i zdychają, zamiast umierać“.

Virchow w mowie Monachijskiej wskazał na niebezpieczne następstwa teoryi darwinistycznej, nawięzując je z wypadkami, które zaszły podczas Komuny w Paryżu.

„Można sobie wyobrazić, mówił on, do czego dochodzi teorya descendencyi w głowie socyalisty! Tak panowie, to może wydać się śmiesznem dla wielu z was; jednak jest to rzeczą doniosłą, chociaż się spodziewam, że teorya descendencyi nie przyniesie nam tych złowrogich niepokojów, jakie teorya tegoż rodzaju sprowadziła w nasz kraj sąsiedni. Teorya ta, posunięta do swych granic ostatecznych, jest nadzwyczaj niebezpieczną, a okoliczność ta, że socyalizm tak przylgnął do tej teoryi, jest bardzo znaczącą[1]“...

---

[1] Autor dzieła „Biblia i natura“ *przedstawił znakomicie paralelizm między* Darwinizmem a Komuną: „Ten sam rok, jakby na stwierdzenie ścisłego związku między doktryną a życiem, zapisał do swych dziejów Komunę paryzką i dzieło Darwina O pochodzeniu człowieka. *Bezwątpienia między najohydniejszym* wybuchem rewolucyjnym a spokojnem dziełem naukowem nie ma dotykalnego, bezpośredniego związku, ale zaprzeczyć niepodobna, że pomiędzy dwoma tymi faktami zachodzi głęboki, wewnętrzny związek. Straszliwy *ten fakt życiowy*, równie jak ta teorya książkowa, są tylko różnymi, od dawna przygotowującymi się objawami jednego i tego samego ducha negacyi i zniszczenia. I dlatego nie pod jednym względem *daje się upatrzyć między nimi paralelizm. Stolica* świata ucywilizowanego, pod wpływem doktryn przewrotnych, pokazała nam przerażające zastępy ludzi zezwierzęconych. Człowiek pracy i nauki, dwoma tomami przekonać usiłuje, że człowiek *rozwinął się z jakiegoś zatraconego*, nieznanego nikomu gatunku zwierzęcia. Komuna pokazała, czem być może społeczeństwo ludzi zezwierzęconych; Darwin uczy, że człowiek jest tylko zwierzęciem i zwierzęcia potomkiem. Wyrazem praktycznym doktryn materyalistowskich była komuna paryska — wyrazem naukowym teorya Darwina. Gdyby Komuna została zwycięską, hypoteza Darwina byłaby jednym z jej artykułów wiary“.

Na tem kończymy nasz rozbiór.

W ciągu całej naszej pracy staliśmy zawsze na gruncie Darwina. Powoływaliśmy się tylko na świadectwa, czerpane z rozumu i umiejętności doświadczalnych, nie wkraczaliśmy w dziedziny innych nauk, broń nasza była równą. Jego rozumowania odpieraliśmy naszemi, przeciw kilku powagom naukowym, przez niego postawionym, wskazaliśmy poważny szereg uczonych pierwszorzędnych; sądzimy, iż z przebiegu całej sprawy słusznie zawnioskować możemy: Teorya Darwina podkopuje religię, poniewiera naukę, wywraca porządek społeczny; w zasadach jest błędną, w dowodach niedorzeczną, w następstwach przewrotną.

X. W. Zaborski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Synody prowincyonalne oraz czynności niektórych funkcyonaryuszów apostolskich w Polsce do r. 1357, przez X. *D-ra Tadeusza Gromnickiego*, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Krakowie w drukarni Uniwersyteckiej 1885 in 8°, str. 294 i XLI.

W literaturze zagranicznej gruntowna, rzetelna, sprawiedliwa krytyka i recenzya stanowczo wyrokuje o dziele naukowem, podnosząc albo też zniżając wartość onego. U nas sprawa ta bardzo jest niedostatecznie traktowaną; a lubo od czasu do czasu chlubi się literatura nasza niejedną pracą, nie jednem dziełem ściśle naukowem, ogół ani wie o tem, bo nie ma dosyć wyrobionych krytyków, którzyby gruntowne zdawali sprawozdanie z pojawiających się publikacyj, podnosząc znaczenie tychże, o ile na to zasługują, lub wytykając usterki i niedostatki dla nauki drugich. Owszem, gorzej się dzieje — nie jeden nowszej szkoły pisarz, dopadłszy w poważnej pracy omyłki jakiejś, lub niedostatku, pochodzących często z niemożności posiadania wyczerpujących źródeł, w żółci i namiętności maczanem piórem, napada na wydawcę, autora i pracę jego, która mogła kosztować wiele trudów i znoju i studyów głębokich — potępia swym apodyktycznym wyrokiem. Najgorsze jednakże zło wyrządzają ci, co o poważnej naukowej książce, ustnie lub piśmiennie, w ogólnikach, krótkie, szablonowe, ogłaszają zdania potępienia lub niewczesnej pochwały, — a jeszcze większe, gdy milczą o niej zupełnie.

To wszystko na bacznej mając uwadze, pilnie przeczytałem nowe dzieło X. Gromnickiego, zaszczytnie już przedtem znanego mi autora z wybornej pracy naukowej: Święci Cyryll i Metody.

W dziele naukowem a zwłaszcza historycznem, kiedy ono ukaże się światu, dwa główne stawiamy sobie pytania. Czy to jest rzecz nowa? nieznana zupełnie i niepublikowana dotąd? Czy też jest to powtórzenie tylko rzeczy znanych lecz w odmiennej nieco formie, a drugie, to metoda i tendencya, jakich się trzyma autor w publikacyi swej.

Na pierwsze odpowiadając pytanie co do dzieła X. Gromnickiego, sam spis zawarty w pracy jego, poucza nas dostatecznie, iż treść dzieła, ogólnie mówiąc, nie jest nam nieznana, metoda natomiast i ta szata zewnętrzna w którą nam okrył studya swe, łącząc szczegółowe wiadomości o synodach w Polsce, z całym ciągiem opowiadania historycznego, naszej kościelnej historyi, od chwili wejścia Polski do rzeszy ludów chrześcijańskich, przez całą niemal dynastyę Piastów, to — w tej formie i całości, podobnej publikacyi, wyznać godzi się, nie mieliśmy. Że u nas oddawna interesowano się ustawodawstwem kościelnem, a w tem szczegółami o synodach i statutami tychże, mamy dowody w niepoślednich publikacyach odnośnych materyałów. Starowolski w *Epitome conciliorum*, Załuski w *Synodykonie*, Janocki, Jakobson, Wiszniewski, w pracach swych nie jedne ciekawe podają wskazówki. X. Jabczyński i X. Fabisz w *Wiadomościach o synodach prowincyonalnych polskich*, opracowywują pilnie systematyczny spis tychże. X. Mętlewicz w roku 1854 kreśli wybornie monografie dziesięciu najdawniejszych synodów prowincyonalnych, odprawionych w Łęczycy. Helcel w *Ustawodawstwie kościoła Polskiego* po rok 1420 wylicza 39 odbytych synodów i tamże, co najważniejsza, podaje statuta, o ile się zebrać dały, ośmnastu najdawniejszych synodów; to samo jednocześnie w roku 1856 podejmuje senator Romuald Hube ogłaszając w Petersburgu *Antiquissimae constitutiones synodales*. Ostatnia w tym zakresie praca hr. Maurycego Dzieduszyckiego, drukowana była w Przeglądzie Lwowskim w roku 1880 i 1881 a obejmowała wiadomości historyczne o 114 synodach polskich, dodajmy do tego luźne rozprawy; jak Juliana Bartoszewicza i Cezarego Biernackiego, a wcale poważną będziemy mieli wiązankę ważnych materyałów, synodów polskich tyczącą się. Otóż, porównywając przytoczone źródła w których po rok 1357 znachodzą się wiadomości o synodach polskich, nasuwa się mimowoli pytanie czy X. Gromnicki podejmując nową w tym

przedmiocie publikacyę, zbadał krytycznie przytoczony materyał, sprostował co było do poprawienia i przydał rzeczy nowe, nieznane, czy też powtórzył dawniejsze w odmiennej nieco formie. Samo rozpatrzenie dzieła pokaże nam to dowodnie.

Zaczynam od tytułu. *Synody prowincyonalne.* Jeśli prowincyonalne, to nie powinny do nich liczyć się ani dyecezalny Płocki z 1218? (str. 33, 34) ani Poznański z 1253. (str. 75) a odprawiane przez nuncyuszów papieskich, powinny mieć także swe określenie. Dalszy tytuł jest taki: *Oraz czynności niektórych funkcyonaryuszów apostolskich w Polsce do r. 1357.* Według mego zdania, intytulacya taka jest nader niefortunna, dotychczas bowiem znaliśmy jedynie legatów i nuncyuszów i to nie apostolskich, lecz Stolicy apostolskiej, a więc na tę nową nazwę będzie nam jakoś bardzo trudno zgodzić się[1].

Z przedmowy, zamieszczonej na jednej tylko kartce, dowiadujemy się że materyał historyczny do synodów zwiększyły kodeksy dyplomatyczne w ostatnich czasach drukiem ogłoszone. Na ten materyał piszemy się jak najchętniej, tem więcej, iż z samego kodeksu Wielkopolskiego, oprócz nieznanego synodu Wolborskiego z 1215 Krakowskiego z 1285 i Gnieźnieńskiego z 1298, dokumentami autentycznymi potwierdzone mamy synody z lat: 1210, 1233, 1248, 1257, 1262, 1267, 1271, 1290, dwa z 1309, z 1326, i z 1357. Zamieszcza dalej szan. autor w przedmowie, że„ ci, którzy dotychczas pisali o synodach prowincyonalnych u nas, mało zagłębiali się w powody wydawania statutów na takowych"; mnie się zdaje, że przeciwnie, gdyż i Mętlewicz i Fabisz i Helcel i Dzieduszycki, prawie wszystkich synodów, o których pisali, kreślili jednocześnie powody, dla których zwoływane były. Idziemy teraz dalej w sprawozdaniu o dziele X. Gromnickiego.

Aż do roku 1233 wiadomości historyczne i ślady pewne że w Polsce odbywały się synody prowincyonalne, podaje nam X. Gromnicki te same, które znane są w autorach wyżej wspomnianych, oparte jedynie na dyplomatycznych wzmiankach o odprawianych synodach, przeważnie przez nuncyuszów papieskich, a których liczba

---

[1] Już się parę razy redakcya *Przeglądu* zastrzegła, że podając recenzye podpisane, zostawia recenzentom odpowiedzialność za ich szczegółowe poglądy. *(Przypisek Redakcyi).*

dochodzi 14. Czy to rzeczywiście były synody i to synody prowincyonalne, czy hypoteza X. Gromnickiego, że każdy z nuncyuszów papieskich zwoływał te synody, te zwłaszcza, których statutów zgoła nie mamy, na to musimy czekać lepszych dowodów. Do tych 14 pierwszych synodów, X. Gromnicki, opierając się na Regestach Grünhagena (II. Lieferung, pag. 105), przydaje synod odprawiony we Mstowie w r. 1212, a to z okazyi konsekracyi Pawła, biskupa poznańskiego. Ten w naszych źródłach dotąd nie był znany, ale w Grünhagenie *Regesta Episcopatus Vratislaviensis. Breslau 1864*, pag. 15, ja znajduję zanotowanie: „einer Versamlung polnischer Bischöfe", co nie dowodzi, żeby to był koniecznie synod. Pisze dalej X. Gromnicki (str. 33) o synodzie prowincyonalnym, odbytym w Wolborzu około r. 1215. Rzeczywiście, o synodzie tym nikt dotąd z naszych pisarzy nie wspomniał. X. Gromnicki ślad o tym synodzie znalazł w Kodeksie wielkopolskim (dok. 84) a to w wyrażeniu: „judices delegati a synodo provinciali habito in Woybor", a więc był synod w Wolborzu około r. 1215, zwołany przez arcybiskupa Henryka Kietlicza; co jednakże uradzono na nim, jakie powzięto uchwały, tego nam szanowny autor nie podaje. Do wzmianki o tym nieznanym synodzie w Wolborzu dołącza X. Gromnicki wiadomości, zaczerpnięte z listu Honoryusza III. papieża z r. 1218, ogłoszonego przez Theinera (I., p. 17) a powtórzonego przez wydawcę kodeksu wielkopolskiego (dok, 102), że Henryk Kietlicz, jako legat Stolicy apostolskiej, strofował na tym synodzie i ukarał biskupa płockiego. Czy do załatwienia tej sprawy potrzeba było zwołania synodu, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Mimo więc tylokrotnych wzmianek o synodach prowincyonalnych, odprawionych przed rokiem 1233, fakt jest, że do roku tegoż żadnego synodu odnośnych nie mamy uchwał. Wielkiej więc jest dla nas wartości synod Sieradzki Fulkona z r. 1233. Statuta tego synodu pierwszy ogłosił drukiem senator Hube w „Bibliotece warszawskiej" w r. 1851, tom 41, z bardzo ciekawym wstępem: *O dawnych statutach synodalnych polskich*, i z podaniem *in extenso* tekstu oryginalnego wraz z tłumaczeniem polskiem, też statuta przełożył potem w *Antiquissimae Constitutiones* r. 1856. Tegoż roku synod ten drukiem ogłosił Dr. Helcel, a w najnowszych czasach mamy takowe wydrukowane w kodeksie Wielkopolskim (dok. 150). X. Gromnicki podając wiadomość o tym synodzie, treść

uchwał tegoż dał nam tak pobieżnie (str. 38—42), że kto znać będzie ten tylko tekst, to ani pojęcia nie będzie miał o chwalebnych tego synodu uchwałach, a przecież cztery mając wydania łacińskie a piąte polskie, godziło się pełniejszy tekst zamieścić. Hube rozdzielił te uchwały na 15 rozdziałów, Helcel na 10 tylko; ztąd co u Hubego jest rozdziałem 2, 3, 4, to u Helcla drugim §.; co u Hubego 6, 7, 8, to u Helcla 4 §.; co u Hubego 12, 13, to u Helcla 8 §. X. Gromnicki poszedł za podziałem Helcla i w dziesięciu tylko paragrafach zawarł treść uchwał synodu Sieradzkiego.

O synodzie, zwołanym przez Wilhelma biskupa Modeny, legata stolicy apostolskiej w r. 1243 do Torunia, na którym obecni byli arcybiskup Fulko i biskupi: Płocki, Wrocławski, Kujawski, na którym uchwalono rozgraniczenie dyecezyi Chełmińskiej, a nowe urządzenie biskupstwa Warmińskiego, Sambińskiego i Pomerańskiego, co zatwierdził papież Innocenty IV. dekretem apostolskim dnia 29 lipca 1243 roku — X. Gromnicki mimochodem tylko i to w notce maleńkie podał zaznaczenie (str. 45), a przecież mając źródła i wskazówki, choćby tylko te, co przytacza X. Fabisz w obu dziełach swoich, i to co wspomina Dzieduszycki, godziłoby się coś więcej powiedzieć. Ale synod ten pominięty był przez Helcla, więc też i X. Gromnicki mało o nim napisał. Pomijając potem, dwa synody Łęczyckie: z roku 1240 i 1244, które X. Mętlewicz w „Pamiętniku Religijno-Moralnym“, t. XXII. i XXIV., krytycznie i uczenie opisał, mimo że nie przepomniał ich ani Helcel, ani Dzieduszycki — nie czyniąc wzmianki o synodzie w Inowrocławiu z r. 1233, na którym wskrzeszone zostały archidyakonaty: Kruszwicki i Włocławski, o czem pisze Damalewicz (181) i Dzieduszycki (XIX. 295); tak jak synodu Sieradzkiego z 1233 r., tak teraz synodu Wrocławskiego z 1248 r., daje nam autor po polsku treść jedynie uchwał tegoż synodu. Synod ten jest doniosłego znaczenia w prawodawstwie kościelnem, zwołany i odbyty przez legata stolicy apostolskiej Jakóba, archidyakona Leodyjskiego, późniejszego papieża Urbana IV., w obecności biskupów polskich w dniu 10 października r. 1248, byłby pozbawiony swych uchwał, tak jak inne synody, zwoływane przez nuncyuszów, gdyby na prośbę Anzelma legata Stolicy apostolskiej, w roku 1263 papież Urban IV. nie był przysłał takowych do Polski. Te uchwały, wprawdzie najważniejsze tylko, nadesłane z Rzymu,

według kodeksu Petersburskiego drukiem ogłosił Hube, a według kodeksu Wrocławskiego Helcel, a potem Zakrzewski w kodeksie Wielkopolskim (dok. 274). Ponieważ w publikacyach tych, ważne znachodzimy różnice, już to w porządku rozdziałów, już to w opuszczeniu niektórych, krytyka historyczna wymagała koniecznie skollacyonowania gruntownego, wykazania różnic zachodzących, a jeśli można i powodów niezgodności kodeksów. Dlaczego X. Gromnicki tak ważną rzecz pominął, trudno mi wytłumaczyć.

W trzeciej części daje nam ks. Gromnicki wiadomość o synodzie Poznańskim z roku 1253, który z rozkazu legata papieskiego kardynała Hugo de S. Caro odprawił Dominikanin Gerand (sic). Wiadomość o tym rzekomym synodzie mamy zapisaną w Roczniku Wielkopolskim (Monumenta hist. pol. tom III. p. 19), ale nie pod rokiem 1253, tylko pod 1252, zastępca legata zowie się nie Gerand, lecz Gerard; żeby to był w istocie synod i to synod prowincyonalny — wzmianki o tem w wskazanem źródle nie znachodzę: słowa bowiem... *venit in Posnaniam et convocato Bogufalo episcopo posnaniensi et clero civitatis et dioecesis totius... omnes manifestos concubinarios publice excomunicavit*, wcale nie wyrażają że to koniecznie był synod.

O synodzie Wrocławskim z r. 1253 zaznacza, co wszyscy wiemy z ubolewaniem, że nietylko statuta tego synodu znajdujące się niegdyś w archiwum kapituły Wrocławskiej, ale i odpis tychże z XVI. wieku zaginęły niestety. O dwóch synodach Łęczyckich z 1256 i 1257 r. doskonale opisanych przez ks. Mętlewicza, i o Sieradzkim z 1252, przy tak bogatym materyale jaki mamy, należałoby coś więcej powiedzieć. Nagradzając to autor, ponieważ w ostatnim synodzie toczyła się głównie sprawa dziesięcinna, zamieszcza pogląd swój, jaki sobie wyrobił w ogóle o dziesięcinie ówczesnej w Polsce; pogląd to ciekawy, ale niewyczerpujący jeszcze przedmiotu, mimo że w tej materyi tylu już pisało!

Co wspomniałem był o uchwałach synodu z r. 1248, to samo tyczy się i uchwał synodu z 1267 i z 1271; przy tak bogatym materyale koniecznie, ale to koniecznie należało wykazać krytycznie te różnice i waryanty, jakie zachodzą między publikacyą Hubego a publikacyą Helcla i obznajmić czytelnika, podług którego kodeksu autor podaje treść uchwał synodalnych. Przy pierwszym synodzie

z 1267 raził nas wyraz „b l i s k o c z e s n y rocznikarz“ (str. 114), przy drugim, że gdyby kapłani pełnili obowiązki chirurgów, to popadają w n i e p r a w i d ł o w o ś ć *(fiunt irregulares)*, (str. 145), a także i to, że: „gdyby padła przy ofierze Mszy św. kropla Krwi przenajświętszej na kamień, drzewo lub ziemię, ma kapłan w y s s a ć j ą“ (str. 176), gdy tymczasem w tekście łacińskim czytamy wyraźnie: *Si autem super lapidem, lignum, terramve ceciderit, lingendus et tergendus est locus ille.* I tego dotąd uczy teologia.

Ale już dosyć o synodach samych, słowo o metodzie, jaką ks. Gromnicki nadał dziełu swemu. W przedstawieniu chronologicznem synodów, przyjąwszy za zasadę, że legaci i nuncyusze Stolicy apostolskiej za główne zadanie czynności swych, zmierzających ku organizowaniu hierarchii duchownej, ku wprowadzeniu w życie ducha praw i postanowień Kościoła, ku poprawie duchowieństwa, — synody, to jest narady z biskupami, uważali za rzecz najważniejszą: stara się wykazać, że każdy niemal z nuncyuszów zwoływał i odprawiał synod. Z tymi synodami chciał połączyć cały ciąg historyi Kościoła w Polsce, od samego początku aż do roku 1357, i wyznać musimy na pochwałę autora, że to arcyumiejętnie przeprowadził. Ztąd dzieło jego nie czyta się, jako rzecz o synodach, ale jako historyę kościoła w Polsce z epoki najdawniejszej, piastowskiej. W tej historyi uwydatnione są szczególniej niektóre punkta. Prawa i postanowienia kościelne tyczące się Żydów, które nam niemałą dają wskazówkę o ich liczbie, o ich znaczeniu, i wpływach, które Kościół jedynie starał się ukrócić i na właściwe wprowadzić tory; uczą nas, że ich rozwielmożnienie się w Polsce, nie od Kazimierza Wielkiego, jak to mówią w ogóle, datuje się, ale od daleko wcześniejszych czasów. Drugi szczegół w dziele ks. Gromnickiego gruntownie zbadany i pięknie a patryotycznie wyświecony, to szkodliwa na każdym kroku falanga Germańskiego Narodu. Niemcy od początku chrześcijaństwa w Polsce wciskają się wszędzie, i zawładnąć chcą kościołem, klasztorami, szkołą, rządem, i gdyby nie ustawodawstwo kościelne, usuwające ten wrogi żywioł od kościoła, zakonów, szkoły i rządów, tak jak zniemczały Piasty Szląskie, zniemczałyby i inne ziemie polskie. Tę tendencyę autora, dla onych dwóch punktów szczególniej zaznaczamy, cenimy ją wysoce, a przez to dzieło jego uznajemy za arcypożyteczne. Dodany na końcu indeks osób

i rzeczy, pracowicie zebrany, wykonany umiejętnie, podnosi wartość książki, w której inaczej trudnoby nieraz było wyszukać szczegółu i przedmiotu pożądanego.

Ks. J. Polkowski.

Sprawozdanie komisyi językowej Akademii Umiejętności. T. III. W Krakowie. 8°, str. 448. (Dokończenie).

Jeżeli naszym przodkom pomieszało się *miąć-mnę* z *wspomionąć-wspomionę?* to jakże mogli przekazać nam myśl zdrową do tego stopnia, że my dziś wyrazów tych nie mieszamy, choć *mnę* podobniejsze jest do *wspomnę*, jak *mnę* do *wspomionę?* Ale poco tu długo rozprawiać? Wszak wszystkie języki słowiańskie posiadały, a po części do dziś dnia posiadają dwa odrębne wyrazy, odpowiadające starosłow. *vъspomęnęti* i *pomьnêti:* pierwszy odpowiada polskiemu **wspomięnę*, a drugi *pomnieć, wspomnieć.* Różnica między tymi obydwoma wyrazami była tylko taka, jaka jest między *klęknąć*, a *klęczeć*, tj. funkcyjna. Jak mamy: *klęknąć, klęczeć, klękać*, tak mieliśmy: *(ws)pomięnąć, pomnieć, (ws)pominać*, w starosłow. jęz.: *(vъs)pomęnąti, pomьnêti, pominati.* Pierwiastkiem tych wyrazów jest *mьn*, w staroindyjskim *man*, jak od *piąć pьn.* Na mocy praw głosowych powstają ztąd w pol. *mię*, starosł. *mę — min*, starosłow. *min — mie* lub *mia*, starosłow. *mê — mn*, starosłow. *mьn.* Pierwszy wypadek ma miejsce, jeżeli *mьn* łączy się z przyrostkiem, zaczynającym się od spółgłoski, jak w **wspomięnąć* = (vъs-po)-*mьn*-nąti, lub *pamięć* = pa-*mьn*-tь; drugie zjawisko jest wynikiem wydłużenia samogłoski pierwiastkowej, a więc: na-po-*min*-a-ć, jak *piąć* a za-*pin*-a-ć; trzecie znowu wynikiem stopniowania samogłoski *i* na *é*; stąd mamy: *miano, mienić*, a ostatnie zjawisko wynikiem zniknięcia pierwiastkowej samogłoski, stąd po-*mn*-ie-é = po-*mьn*-ê-ti, jak *pnę* = *pьn*-ę. Wyraz **wspomięnąć* składa się z przyimka *ws* = *wes* lub *wez*, co znaczy „hinauf", (cf. *wez-brać*), przyimka *po*, pierwiastku zmodyfikowanego *mię* i dwu przyrostków: *nę* i *ć*. Uważaliśmy za stosowne rozwinąć te sprawy, aby w tem wyraźniejszem świetle postawić to, co jeszcze zamierzamy powiedzieć.

Obok formy *vъspomęnęti* mamy już w jęz. starosłow. formę vъspomênęti, która w pol. jęz. powinna brzmieć wspomianąć i w istocie też formę tę napotykamy w Biblii szaroszpatackiej z XV. wieku, gdzie na str. 319. b czytamy: Tedy rozpomianaw się Tobias na aniołową rzecz (mowę)[1]. Widzimy tedy, że tak w starosłow. języku jak i polskim zaszła nasamprzód w wyrazie *wspomięnąć* ta zmiana, że zgłoskę *mięn* zastąpiono przez zgł. *mian*, czyli zrozumialej mówiąc, od wyrazu *mian, miano* utworzono wyraz *wspomianąć.* Polski język poszedł jeszcze dalej. Tu obok wyrazów *imię, miano*, powstał i wyraz *miono*, dziś jeszcze żyjący w języku ludowym, a ztąd i wyraz *pomienić*, nazwać po imieniu, nowosłowieńskie *poimenuvati*, znany nam dobrze z XVI. wieku.

Jak tedy pod wpływem rzeczownika *miano* powstało *wspomianąć*, tak znowu pod wpływem *miono* powstało *wspomionąć.* W jaki zresztą sposób od

[1] Tekst podajemy w pisowni obecnej.

**wspomięnąć* przyszło się do *wspomionąć*, mniejsza o to, faktem w każdym razie jest, że od najstarszych naszych pomników piśmiennych począwszy, aż do końca XVI. w., istnieją obok siebie wyrazy *wspomionąć* i *pomnieć*, nie mówiąc już nic o innych, jak *napominać, zapominać* t. t. p., które oczywiście od wieków są w użyciu. Jestto rzeczą tak znaną gramatykom, że wstrzymuję się nawet od cytat, któremi mógłbym zapełnić cały jeden zeszyt „Przeglądu". Ciekawych odsyłam tylko do słowniczka Nehringa, zamieszczonego przy wydaniu Psałterza floryańskiego, tego najznakomitszego piśmiennego zabytku naszego z XIV. wieku i Bibl. szaroszpateckiej z XV. w., gdzie znajdą znaczną obfitość przykładów na dowód tego, cośmy dopiero co wypowiedzieli. W Bibl. wspomnianej napotykamy nawet słowo *pomnieć* w formie pierwotnej, bo bez przyimka *po* n. p. *mnieć*, str. 167, mnisz, str. 266, 328 (2 r.) w znaczeniu tem samem, co w jęz. starosłowieńskim, lub nawet z przyimkiem *u:* umienił, str. 122, 266. Podczas kiedy *wspomionąć* odmieniało się jak *dźwignąć, klęknąć* i t. p.; odmiana wyrazu pomnieć jest następująca:

Inf.: pomnieć.
Particip. praet. act. I. pomniawszy
„ „ „ II. pomniał-a-o.
„ „ pass. napomniany-a-e.
Praeteritum: pomniałem-łeś-ł i t. d.
Praesens:

1. pomnię	1. pomnimy
2. pomnisz	2. pomnicie
3. *pomni*	3. pomnią.

Jak widzimy, odmiana tego wyrazu od czasów najdawniejszych do tej pory, o tyle tylko się zmieniła, że 1 osoba l. p. i 3 os. l. m. brzmią dzisiaj: *pomnę, pomną* a w XVI wieku jeszcze brzmiały one: *pomnię, pomnią,* zresztą zostało to samo. Takie zmiany w odmianie nie mogą nikogo dziwić, skoro wie, że jeszcze w XVI. w. mówiono np. grzebę-grzebą, zowę-zową i t. p., a dziś powszechnie mówią: grzebię-grzebią, zowię-zowią. W wypadku zaś, o którym tu mowa, zmiana ta była nieunikniona, jak to zaraz zobaczymy.

Różnica pomiędzy **pomięnąć*, a *pomnieć* (wyraz pomęnąti w starosłow. języku używał się i bez przyimka *ws*) niegdyś zupełnie taka, jak między *klęknąć* a *klęczeć* — z wiekami zupełnie się zatrzeć musiała, a to nie tyle z powodu zmian, jakich wyraz *pomęnąti* z czasem doznał, ile z powodu stosunku, jaki się wyrobił między tym wyrazem, a wyrazem *pomnieć*. Wyraz *pomnieć* oznaczał pierwotnie czynność poczynającą się, jak łacińskie (re)minisco, greckie μιμνήσκω, a w stosunku do *wspomionąć* czynność trwałą; pierwsza zatarła się tak samo, jak w grece i łacinie, druga stanowiła jego wybitny charakter i do dziś dnia się w nim uwydatnia. Przyimki w połączeniu z czasownikami ważną odgrywają rolę, bo zmieniają charakter ich czynności. Każdy czuje, że *bić* oznacza czynność trwałą, niedokonaną, ale *wbić* czynność dokonaną; ten sam stosunek zachodzi między *czerwienieć się*, a *zaczerwienieć się*, ten sam między *pomnieć*, a *zapomnieć*. Jakaż tedy mogła być funkcyjna różnica między *zapomionę* a *zapomnię*, między *przypomionę* a *przypomnię*, między *wypomionę* a *wypomnię* i t. p.? Otóż nie mogło być pomiędzy tymi wyrazami żadnej różnicy co do znaczenia, bo jedne i drugie oznaczały czynność dokonaną. Tym sposobem wyraz *pomnieć* zaczął się wdzierać w zakres czynności

słowa *wspomionąć*, wypierać go od pracy, którą spełniał w misternym mechanizmie języka, a obejmując jego rolę, skazywał go na zagładę. Trzeba bowiem wiedzieć, że gdzie w języku pojawią się dwa wyrazy o jednem znaczeniu i jednej funkcyi, tam śmierć jednego z nich niechybna. Mieliśmy w staropolskim języku wiele pięknych rodzimych wyrazów, które jednak zaginęły, skoro tylko zamiast nich zaczęliśmy używać obcych w tem samem znaczeniu: *motowęzy* zastąpiono przez *frędle*, *sąpierza* przez *adwokata*, *stolec* rzucono w pogardę, a postawiono sobie *tron*, *postać* wegetuje tylko w odmiennem znaczeniu obok wytwornego *kształtu* (= Gestalt), *strzelba* obok *gweru:* omal że rozumu za *Verstand* nie sprzedamy, jak *bystrość* (umysłu) za *spryt* sprzedajemy, jak ja dopiero co bezmyślnie piękne *życie* za nędzną *wegetacyę* oddałem[1]. Tak też i staropolskie *wspomionąć* obok *pomnieć* długo ostać się nie mogło. Już w starosłow. języku różnicy funkcyjnej pomiędzy tym wyrazem, a wyrazami złożonymi od *pomnieć* niepodobna się dopatrzeć, a tem mniej w jęz. staropolskim. Jest tylko *różnica formalna*, t. j. w odmianie i jeszcze jedna charakterystyczna strona pierwszego wyrazu, t. j. przyimek *ws, wes,* którego do wyrazu *pomnieć* tak w języku starosłow., jak i w najstarszych zabytkach polskich zgoła się nie dodaje. Te różnice są jakby ostatnią warownią życia wyrazu *wspomionąć*, lecz i ten stan rzeczy długo ostać się nie mógł. Już w języku starosłow. mamy obok *sъpomęnęti* formę *sъpomьnêti* równą naszemu ludowemu *spomnieć*, a w XVI. wieku wyraz *pomnieć* obdarza nieubłagana logika myśli przyimkiem *ws*. Zob. Dra Kaliny: „Historyę języka polskiego", str. 428, 2. 394, 395. Obok tedy *wspomionę*, wspomioniesz i t. d. występuje *wspomnię*, wspomnisz i t. d., i obydwa wyrazy co do funkcyi spełnianej w języku pokrywają się zupełnie.

Słowo *wspomnieć* weszło zupełnie w funkcyą słowa *wspomionąć*, czyli zamiast niego objęło na siebie czynność chwilową i weszło psychicznie do kategoryi słów, jak *dzwignąć, gwizdnąć, rąbnąć*, a różniło się od nich tylko stroną formalną, bo kiedy one brzmią w pierwszej osobie l. p. *dzwignę, gwizdnę*, a w trzeciej l. m.: *dźwigną, gwizdną*, ono brzmiało w tych osobach: *wspomnię, wspomnią*. Na mocy praw psychologicznych o języku przychodzi w takim razie do skutku i upodobnienie formalne, co też i w tym razie nastąpiło; tem bardziej, że w wyrazie *wspomnieć-wspomnię* zaczęto *wspom* poczuwać jako *rdzeń* wyrazu, a *n* jako dodatek właściwy słowom *dzwignąć, gwidznąć* i t. p. Powstały więc i formy: *wspomnę-wspomną*, a od tej chwili i *wspomnąć*, obok dawniejszego *wspomnieć* i *wspomniesz, wspomnie*, obok dawniejszych *wspomnisz* i *wspomni*. W obec tego wyraz *wspomionąć* stracił zupełnie podstawę bytu w mechanizmie języka i musiał wyjść z użycia, czyli zamrzeć. Zgasł on na samym początku XVII. wieku, a wyraz *pomnieć* odniósł najzupełniejsze zwycięztwo, jednakże nie bez dotkliwych strat i ofiar. Pierwotne znaczenie czynności poczynającej [(re)minisco] utracił prawie zupełnie, bo ono prześwieca zaledwo w formie *pomnę* (przypominam sobie), przybrał funkcyę słowa *wspomionę*, ale utracił swoją pierwotną formę w znacznej części. „Z dzisiejszego stanowiska uważamy język—wypowiada pięknie X. biskup Krasiński we wstępie swego cennego „Słownika synonimów polskich[2]" — nie

[1] Lud, zamiast wegetować, mówi „ledwo żyć".

[2] Słownik synonimów polskich, przez biskupa Adama Stanisława Krasińskiego. Tom I. Kraków, 1885.

jest to już prosty i dowolny zbiór wyrazów, ale organizm mający swoję budowę, swoje życie, swoje prawa, nareszcie swoję historyę i filozofię". Kto z badaczów języka nie będzie z tego stanowiska zapatrywał się na język, kto w tym języku nie będzie szukał tego życia, tych praw, tej historyi i tej filozofii, ten całe życie będzie się błąkał mimo swej uczoności koło tej „arki", w której uaród składa „broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty", ale wstęp do niej będzie mu wzbroniony: będzie jak rzemieślnik zeszywał *miąć* z *pomionąć*, *treść* z *stredź*, na *podorędziu*, z *orędziem*, *pąd* z *pęć*, ale nie zrozumie ani tych wyrazów z osobna, ani ich wzajemnego stosunku: nie wyrośnie na kapłana swej sztuki.

Pozostają nam jeszcze do omówienia trzy prace, a raczej trzy wydania zabytków staropolskich: Dra Wł. Wisłockiego „Modlitewnik siostry Konstancyi" z r. 1527; ks. Ignacego Polkowskiego: „Żywot ojca Amandusa (bł. Henr. Suso zakonu ś. Dominika)" z kodeksu XV. w., i Dra B. Ulanowskiego: a) Roty przysiąg krakowskich z lat 1399—1418, b) kilka aktów polskich z archiwum krajowego w Krakowie, c) Cennik wydany dla rzemieślników miasta Książa przez Piotra Kmitę, wojewodę krak., w r. 1538. Kto wie, jak szczupła jest nasza literatura przed Rejem, ten z radością wita, choćby najmniejszy ułamek dawnej polszczyzny, odszukany przez miłośnika rzeczy ojczystych, cóż dopiero, kiedy się spotka z tak poważnymi darami z przeszłości, jak zabytki wydane przez Dra Wisłockiego i ks. Polkowskiego. Dr. Wisłocki nie pierwszy raz darzy nas tak hojnie: dość wspomnieć „Glossam super epistolas", „Legendę o świętym Aleksym", „Pieśń bernardyńską". Rękopis wydanego obecnie pomnika znajduje się w bibliotece Jagiellońskiej, a w obecnem wydaniu obejmuje (wyszło i osobne odbicie) gęstym drukiem, str. 107, wyłączając wstęp i słowniczek. Z rękopisu dowiadujemy się, że był on napisany w r. 1527 przez jakiegoś mnicha dla jakiejś zakonnicy Konstancyi. Oryginał, z którego poszedł odpis (dzisiejszy rękopis), nie mógł prędzej powstać, jak przy końcu w. XV. lub na samym początku XVI. w. „Autor bowiem, mówi p. Wisłocki, a raczej kompilator „Modlitewnika", złożonego z samych tylko prawie modlitw i rozmyślań, w szczególności zaś wcale zgrabnie wykrojonego z „Objaśnień czyli Rewelacyj św. Brygidy", z dzieła „Malogranatum" Galusa, opata królo-dworskich Cystersów w Czechach z końca w. XV. i z innych dzieł, cytuje w jednem miejscu pisarza, który dopiero r. 1491 zeszedł z tego świata", t. j. Jakóba de Valencia czyli Jakóbą Perez, który właśnie w latach 1468—1491 był tytularnym biskupem w Neapolis albo Christopolis w Tracyi. „Czy zaś oryginał ów z końca w. XV. lub początku w. XVI., z którego powstał nasz „Modlitewnik", był polski, czy łaciński lub czeski i z tych dopiero na polski język przełożony", trudno rozstrzygnąć. Wiele zatem przemawia, że oryginał był czeski. Jakikolwiek zresztą jest początek tego zabytku, w każdym razie dobrze, że jest, bo staje się on cennem źródłem do dziejów naszego języka i literatury naszej. Pod względem języka jest on bardzo ciekawym, bo zawiera nietylko wiele form starych, ale prócz tego wiele zjawisk dyalektycznych; pod względem zaś literackim przekonywuje on nas obok innych zabytków, że przed Rejem proza nasza osiągnęła już znaczny stopień wydoskonalenia, jakkolwiek zadaniem jej podówczas najważniejszem było zadość uczynić niezbędnym tylko potrzebom. W Kościele ona wyrosła i wyrobiła się, zanim zaczęła stawiać pierwsze kroki w prawodawstwie (mam tu na myśli tłumaczenie praw z XV. w.) i codzien-

nem życiu. Niemniej znakomitym darem jest i zabytek, wydany przez czcigodnego Kanonika: ta sama objętość, co i poprzedniego i ta sama wartość. Właścicielem kodeksu jest sam ksiądz Polkowski. Jest on tłumaczeniem dzieła oryginalnie pisanego „w języku niemieckim, a w dyalekcie szwabskim, które mistrz brat Feliks Fabry zakonu kaznodziejskiego w Ulmie, żyjący (zmarł tamże 1502) między rokiem 1477 a 1480, na język łaciński przełożył". „Z tego to tłumaczenia Feliksa Fabry, z rękopisu a nie z druku, nieznany nam tłumacz polski, przekłada na język ojczysty książki żywota ojca Amandusa", Henryka Suso, zmarłego w Ulmie 25 stycznia 1365. I ten zabytek mieści w sobie wiele odcieni języka ludowego, a obydwa są wydane bardzo starannie i umiejętnie, tak że pod tym względem nie pozostaje nic do życzenia. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę księdza Kanonika na omyłkę, którą niepostrzeżenie popełnił w przedmowie, twierdząc, że „zamiast *o* pisze (pisarz kodeksu) niekiedy *y*, ztąd zamiast *go* jest w rękopiśmie *gy*". Wyrazu *gy* nie można tak czytać, ale *ji:* Znaku *g* zamiast *j* używano często w staropolskim języku, jak to czcigodnemu wydawcy lepiej ode mnie wiadomo, a forma *ji* zamiast *go* jest formą archaiczną 4 przypadku l. p. od zaimka *ji, ja, je,* znana księdzu Kanonikowi niewątpliwie tak ze wszystkich zabytków staropolskich, jak i z języka starosłowiańskiego. Ale to drobnostka.

Zabytki wydane przez p. Ulanowskiego są to cenne ułamki za staropolszczyzny, za które każdy badacz języka polskiego będzie niewątpliwie wdzięczny wydawcy.

Na tem kończymy swoje uwagi nad tem obfitem w materyał dziełem, życząc sobie gorąco, aby takich dzieł, mimo niektórych usterek coraz więcej się pojawiało.

Szymon Matusiak.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Cursus Scripturae Sacrae auctoribus *R. Cornely, J. Knabenbauer F. de Hummelauer* aliisque Soc. Jesu presbyteris. Vol. I. Introductio generalis in utriusque Testamenti libros. Parisiis Lethielleux 1885. pag. 742. (Dokończenie).

Upewniwszy się o liczbie i jakości ksiąg, wchodzących w skład kanonu, pozostaje nam jeszcze drugie zadanie do spełnienia, t. j. odnaleść pierwotne, autentyczne źródła tekstu. Chociaż bowiem rzecz to niezawodna, że sam Bóg strzegł świętych pisarzy od wszelkich błędów lub nieuwagi, ale potężna Jego Opatrzność nie czuwała już nad sumiennością i uwagą przepisywaczów, bo to już nie było koniecznem dla zbawienia ludzkości. Ztąd więc mogły tą drogą wkraść się pewne niedokładności i błędy. Aby i te niedostatki uzupełnić lub sprostować, tylu już po Orygenesie i Hieronimie trudziło się

głębokich badaczy, że dziś zestawienie i streszczenie rezultatów ich pracy wcale już nie jest trudnem zadaniem. Autor przystępuje najprzód do dziejów hebrajskiego i greckiego tekstu pierwotnego, wykazując ich prawdziwość, a następnie robi przegląd starożytnych przekładów, za pomocą których tekst pierwotny łatwiej sprostować lub wyjaśnić się daje. I tak na początku zapoznaje nas w krótkości z językiem i pismem hebrajskiem. Z wielką dokładnością komentuje O. Cornely zdanie Bellarmina, że punktacya [1] nie jest bezwarunkowo obowiązującą. W historyi hebrajskiego tekstu odróżnia on pięć okresów: *a)* Od napisania poszczególnych ksiąg, aż do zbioru palestyńskiego kanonu; *b)* od tego czasu do Talmudzistów; *c)* wiek Talmudzistów; *d)* wiek Mazoretów; *e)* okres ostatni aż do naszych czasów. Myślą przewodnią O. Cornelego, przeświecającą w każdym rozdziale, jest udowodnić, że żaden błąd istotny, naruszający znaczenie i myśl, nie mógł wkraść się do tekstu. Jak w pierwszej części tak i w tej autor nie spuszcza się na cudze zapatrywania, ale sumiennie bada ich podstawy i temu daje pierwszeństwo, kto na najsilniejszych opiera się dowodach. Niezgodność w tekstach istniała już po większej części przed dokonaniem zbioru ksiąg kanonicznych przez Ezdrasza, tak, że Ezdrasz musiał rozpocząć badanie tekstów na nowo; a dalszy ciąg zaczętej przezeń pracy podejmowało po nim wielu uczonych pismoznawców (od V. w. przed Chr. do II. po Chr.), spisując przedewszystkiem jak najdokładniej liczbę słów i liter, aby tym sposobem zabezpieczyć tekst od wszelkich samowolnych przeinaczeń. Księgi które posiadamy obecnie w wydaniu Mazoretów, są właśnie te same, które tak mozolnym sposobem przechowano w całości. Zrazu nie dostawało samogłosek, ale i te już w peryodzie talmudzistów (III.—IV. w. po Chr.) oznaczono i ustalono z uwzględnieniem najodpowiedniejszych sposobów czytania. Po ukończeniu talmudu, aż do IX. lub X. w. zbierali rabini krytyczne, gramatyczne i egzegetyczne pytania *(Massoreth)* i nadali taką niezmienność wokalizacyi, jaką w używaniu spółgłosek talmudzistom udało się wprowadzić. Odtąd jedną z najgłówniejszych dążności Żydów, było zachowanie przekazanego im tekstu w nienaruszonej tożsamości.

---

[1] Nie znaki pisarskie, ale system kropek dodany do pierwotnego tekstu jako samogłoski, których alfabet hebrajski właściwie nie posiada.

W XVII. i XVIII. stuleciu wrzał coraz gorętszy spór o nieskazitelność dzisiejszego hebrajskiego tekstu. Aby tem łatwiej zwalczać powagę Aleksandryjskiego przekładu i Wulgaty, głoszono najzupełniejszą zgodność wszystkich miejsc tekstu Mazoretów z pierwowzorami. Niektórzy katoliccy pisarze posunęli się w polemicznym zapale aż do twierdzenia, że tekst hebrajski tak jest zepsuty złą wolą i niedbalstwem Żydów, iż w niczem nie zasługuje na wiarę. Przeciw temu twierdzeniu stawia O. Cornely tezę, w której uznaje błędy w niektórych miejscach tekstu, ale nie tak wielkiej doniosłości, aby z tego powodu tekst pierwotny miał stracić wartość autentycznego źródła. Tezę Objawienia szerzej i dokładniej rozwinął już ks. Dr. Kopyciński w swem dziele: *De integritate textus hebraei (Tarnoviae 1880).*

Grecki tekst Nowego Testamentu omawia autor dość pobieżnie, aby tem głębiej wniknąć w dzieje kodeksów, najpowszechniej znanych. Dzieje skreślone są prawdziwie po mistrzowsku. Jak w starym, tak i w Nowym Testamencie rozmaite dziś mamy waryanty. Początek ich odnosi Orygenes do pierwotnych źródeł. Niedbalstwo księgarzy, na których też św. Hieronim się uskarżał (Ep. 106, 46), samowolne poprawki wydawców i lekkomyślność korrektorów dokazały tego, że już w III. wieku koniecznem się stało porównanie wydań. Od IV. stulecia datuje się już stała niezmienność tekstu. Stosy rękopisów po dziś dzień przechowane, (przeszło 2.000), nie dadzą się, według badań Tischendorfa i Tregellesa, odpowiednio rozgatunkować. Między wszystkimi pierwsze miejsce zajmuje rękopis Watykański 1209 *(B)*, drugie rękopis w r. 1859, przez Tischendorfa znaleziony (ℵ). Dalej idą: Aleksandryjski *(A)* i *Ephraem rescriptus (C).* Autor przytacza w przypisach rozmaite krytyczne prace, poczem przedkłada kwestyę, jakie znaczenie tekstowi greckiemu przyznać należy. Jeśli miał on rzeczywiście powagę u Ojców ŚŚ., to niezawodnie Pius IV., obok najstarszych łacińskich kodeksów, hebrajskie też i greckie źródła dla poprawy Wulgaty zużytkować rozkazał. Następnie przechodzi O. Cornely do przekładów St. i N. Testamentu. Lubo w istocie nic nie znajdujemy nowego w tem co mówi o LXX. tłumaczach, ale samo krytyczne zestawienie poglądów nadzwyczaj umiejętnie jest przeprowadzone.

Wyrazistrzem też światłem rozjaśnia autor szczupły zasób wia-

domości naszych o przekładach Akwili, Symmacha, Theodocyona i innych. Krytycznie pewnego wydania Septuaginty nie mamy, chociaż przekład ten, edycya staraniem Sykstusa V. dokonana, za autentyczny podaje. Wielu też z Ojców ŚŚ. przypisuje mu rzeczywistą inspiracyę. O. Cornely wykazuje bezzasadność tego mniemania.

Z tłumaczenia aleksandryjskiego powstał dawny, łaciński przekład, zwany *Itala*, a sięgający II. stulecia (Kaulen i inni odnoszą go nawet do I. w.) Miejscem jego pochodzenia, według autora, jest Afryka. W IV. wieku tekst tego przekładu tak już był zepsuty, że papież Damazy polecił św. Hieronimowi jego poprawę. W dzisiejszej Wulgacie tekst N. T. jest tylko przez św. Hieronima poprawiony, psałterz zaś sprostowany podług Orygenesowego wydania biblii, deuterokanoniczne księgi oprócz Tobiasza i Judyty i deuterokanonicznych części Estery i Daniela, stosują się zupełnie do przekładu *Itala*; protokanoniczne zaś księgi, tłumaczone na nowo przez św. Hieronima, od VI. już wieku, są w dzisiejszej formie powszechnie przyjęte. W podobnie krótki sposób omówione są inne przekłady Septuaginty, jak: egipski, koptyjski, etyopski, gocki, armeński, georgijski, syryjski *(Peschito)*, słowiański i arabski; poczem następuje pobieżny przegląd wschodnich przekładów i chaldejskich parafraz St. T., czerpanych już bezpośrednio z oryginalnych źródeł. Raz jeszcze wraca autor do *Peschito (Simplex)*, który powstał w I. lub II. w. a zawiera obydwa Testamenty. Przekład ten co do St. T. tylko od aleksandryjskiego niżej postawićby można, co do Nowego zaś, żadnemu nie ustępuje. Opracowany z niezwykłą staranności, cennym jest nabytkiem dla krytyki i egzegezy, jakkolwiek niektóre zmiany tekstu z VI. i VII. wieku pochodzące, wymagają w posługiwaniu się nim wielkiej oględności.

Tu już kolej na Wulgatę, której autor cały rozdział poświęca. Między tylu innymi tłumaczami, najodpowiedniejszym był św. Hieronim. Jego usterki językowe łatwo wytłumaczyć się dadzą: częścią bowiem przywykł on do nieokrzesanego stylu w dawnym przekładzie, częścią zaś obawiał się zrazić Chrześcijan doskonale z pismem św. obeznanych, i dlatego wolał zostawić niektóre utarte już barbaryzny (In Ezech. 40, 5). Przytem twardy język hebrajski stanowił niemałą przeszkodę do gładkiego przekładu (In Gal. I. i Prolog.); a prócz tego św. Doktor więcej zważał na wierne oddanie myśli niż

słów (Ad Paulam ep. 57, 5). Zresztą zmuszony był zbyt spiesznie wykonać swą pracę, więc oczywiście wszelkim wymaganiom doskonałego przekładu nie zdołał zadośćuczynić. Św. Augustyn dopiero w końcu swego życia przyjął to nowe wydanie do liturgicznego użytku, na wschodzie zaś już przedtem częściowo przełożył je Sofroniusz na język grecki, a kościół Galii bezzwłocznie używać go począł. Kościół rzymski nie odrazu się zgodził na zastąpienie dawnego przekładu Hieronimowem tłumaczeniem. Dopiero po VI. wieku dzisiejsza wulgata uzyskała tam gościnne przyjęcie. W modlitwach, przez chór śpiewanych, starodawne tłumaczenie dotychczas jeszcze w części się utrzymało. Tymczasem w skutek całowiekowego zaniedbania, tekst wulgaty niekorzystnym uległ zmianom, tak że Karol W. przez przyjaciela swego Alkuina musiał szukać wzorów w najlepszych rękopisach. Wkrótce znów słychać głośne skargi na błędy, i próby ich sprostowania (Petr. Dam. Lanfrank, S. Steph. 1134), aż w końcu ukazały się umyślnie w tym celu sprowadzone krytyczne aparaty dla korrektorów. Dominikanie i Franciszkanie otwierają własne *correctoria* lecz niedorównujące Sorbońskim. Między egzemplarzami, z korzyścią przez nich używanymi, dwa były najcenniejsze: Amitański (dziś znajdujący się we Florencyi) i Fuldajski, opatrzony przypisami św. Bonifacego. Zaledwie wynaleziono sztukę drukarską, wulgata była pierwszą książką, co wyszła z pod prasy; i przez cały wiek XV. Pismo św. ze wszystkich dzieł najczęściej było drukowane. Najlepsze ze starszych wydań wyszło r. 1540 u Roberta Stephana w Paryżu. Ze zjawieniem się Protestantyzmu, sekciarze odrzucili wulgatę, a katoliccy teologowie bądź zarażeni ich duchem, bądź z niewiadomości, samowolnie ją przerabiali. Z tej przyczyny długo obradowano o środkach zaradczych i w końcu uchwalono, aby ze wszystkich wydań łacińskich jedna tylko vulgata miała autentyczną powagę; przytem polecono drukarzom, aby na przyszłość jak najstaranniej i najdokładniej ją odbijali. Pierwszą część tego dekretu wielu katolików nawet, najdziwaczniej sobie tłumaczyło, jakby sama zajadłość protestantyzmu nie była dostatecznym dowodem jego konieczności. Jakąż więc była prawdziwa myśl dekretu? greckich, ani hebrajskich tekstów sobór nie odrzucił — mówi O. Cornely ze Salmeronem T. J., papieskim teologiem na soborze Trydenckim - nie odrzucił ich sobór, bo wyraźnie tylko o łacińskich przekładach wspo-

mina. Z drugiej zaś strony Kościół nie stawiał wulgaty tak wysoko, żeby zapomnieć miał różnicy *inter vatem et interpretem* (Hieron. praef. in prolog.), głosić inspiracyę św. Hieronima i zaprzeczać w jego przekładzie najdrobniejszych nawet błędów, niedotyczących wiary ni obyczajów. Myślą Kościoła było oznaczyć tylko wulgatę jako autentyczne źródło objawienia, wolne od błędów, przeciwnych wierze i obyczajom, wiernie odzwierciedlające istotę boskiej nauki. Druga część dekretu zajmowała się ulepszeniem samego wydania Pisma św., które w 30 lat po skończeniu soboru istotnie nastąpiło. Nowe wydanie wulgaty, rozpoczęte pod Piusem IV., ukończono pod Sykstusem V., a raczej po jego śmierci w r. 1590, dodając tylko ustawę przezeń ułożoną: „... *cam prius quidem universali S. Ecclesiae ac SS. Patrum confessione, deinde vero Generalis Concilii decreto, nunc demum Apostolica vobis a Domino tradita auctoritate comprobatam pro vera, legitima, authentica et indubitata in omnibus publicis privatisque disputationibus, lectionibus, praedicationibus et explanationibus recipiendam et tenendam esse*“. Normą następnych edycyj to właśnie wydanie być miało. Jednak nie zastosowanie się do reguł, przez samego Sykstusa postanowionych, lecz liczne błędy drukarskie obudziły niechęć przeciw tej edycyi, Grzegórz XIV. więc nakazał nową rewizyę i poprawę tekstu. Dopiero jednak Klemens VIII, staraniem szczególnie Toleta T. J., ukończył i podał do druku w r. 1592. prawdziwie już poprawne wydanie. W końcu podaje autor przegląd tłumaczeń wulgaty w rozmaitych językach, a między nimi nie pominął polskiego też przekładu Wujka i akatolickich przekładów z naszego stulecia.

Znając zawartość kanonu i upewniwszy się o prawdziwości tekstu, pozostaje tylko wskazać sposób wniknięcia w myśl jego i znaczenie. O. Cornely wyliczywszy różne sensów rodzaje, podaje reguły, służące do ich zrozumienia, poczem wykazuje, że Ojcowie ŚŚ. wysoko te reguły cenili, oraz że odstąpienie od nich jest właśnie bezpośrednią przyczyną błędów, tak żydowskich jak i protestanckich. I w istocie pierwszem źródłem reguł są dla autora przepisy kościelne o wykładzie Pisma św., następnie egzegetyczne i homiletyczne dzieła Ojców śś. a w końcu pisma tychże Ojców i teologów, zajmujących się badaniem biblii. Pierwsze miejsce między Ojcami zajmuje św. Augustyn, między teologami zaś św. Tomasz był pierwszym który skreślił

dokładniejszą teoryę o sensie Pisma św.; z nowszych autorów zasługują pod tym względem na szczególne uznanie Patrizzi S. J., Ramolder, Cohlgruber, Lamy, Danko, Reithmayr, Ubaldi. Sens Pisma św. zawiera w ogóle prawdy, pośrednio lub bezpośrednio wyrażone słowami, zgodnie z zamiarem Ducha św., jako pierwszego ich twórcy. Ztąd dwojakie jest znaczenie słów Pisma św. Tak zwany zaś *Sensus accomodatitius* nie jest egzegetyczny, ale ejsegetyczny, to znaczy nie z tekstu wysnuty, ale tekstowi nadany. Tak też objaśnia św. Tomasz znany ów wiersz:

Littera gesta docet, quid credas allegoria [1],
Moralis quid agas, quo tendas anagogia.

Powołuje się też doktor Anielski [2] w tym względzie na św. Augustyna. Przypuszczenie trojakiego znaczenia przez niektórych Ojców Kościoła (Orygenes, Hieronim) jest tylko pozorne. Znaczenie dosłowne jestto ta prawda, którą słowa Pisma bezpośrednio z natchnienia Ducha św. wyrażają. To jednak znaczenie, mówi Tomasz św., może w dwojaki sposób pod wpływem Ducha św. jakąś myśl wyrażać [3]: albo właściwością słów, albo podobieństwem *(secundum proprietatem locutionis vel secundum similitudinem)*, tak np. podobieństwo jest a nie właściwość gdy mówimy: uśmiechający się kwiatek, płacząca brzoza i t. p. Stosownie do sposobu zapatrywania się na przedmiot oznaczony, znaczenie dosłowne może być: historyczne, tropologiczne (etyczne), dogmatyczne, (allegoryczne) lub anagogiczne. Czy więc każde zdanie Pisma św. ma swe dosłowne znaczenie? Gdyby tak nie było, natenczas nie podobnaby z Pisma św. ani jednego nawet zaczerpnąć dowodu. Ale czy to dosłowne znaczenie może być wielorakiem? Na to pytanie trudniej już odpowiedzieć przychodzi, i dlatego też sądy uczonych w tem miejscu na rozstajne wstępują drogi. Odpowiedź przecząca, jaką daje O. Cornely, można dzisiaj bez przesady nazwać powszechnem mniemaniem.

Na podstawie dosłownego znaczenia opiera się znaczenie duchowe, czyli przedobrażające *(sensus typicus)*, czerpane z przed-

---

[1] Quodl. VIII. q. 6, a. 5, i Summ. theol. I., q. I., a. 10.
[2] Qu. I., a. 10, ad 2-m.
[3] In Gal. 4., lect. 7.

miotów słowami oznaczonych i również przez Ducha św. zamierzone [1]. Tak Adam jest przedobrażeniem drugiego Adama: Chrystusa. Protestanci dzisiejsi zaprzeczają istnienia prawdziwych figur czyli typów biblijnych, ale bezpodstawnie: bo i Ojcowie Kościoła i samo nawet Pismo św. wyraźnie nas o ich istnieniu poucza [2]. Trudniejszą jeszcze kwestyę podejmuje autor mianowicie: jakie należy zakreślić granice typom i jakie wybrać znaczenie, lecz w te szczegóły nie będziemy tu wchodzić. Po wykładzie *de sensu occomodatitio* podaje O. Cornely prawa, podług których znaczenie dosłowne znaleść można. Komentarz Pisma św. może być trojaki: autentyczny, dodany przez samego autora, naukowy i tradycyonalny. Że zaś Ojcowie ŚŚ. w tradycyonalnym komentarzu, albo osobiste tylko podają zapatrywania i nauki, na hermeneutycznych zasadach oparte, albo apostolską przekazują tradycyę, – te więc komentarze do jednej lub drugiej z poprzednich kategoryj zaliczyć się dadzą. Zatem rozpoczyna autor od pierwszych, jakby gramatycznych zasad egzegezy, po których następuje szereg szczegółowych przepisów, dla katolickiego egzegety z tego już faktu wynikających, że sam Bóg jest twórcą ksiąg Pisma św. Ponieważ przepisy są częścią ascetycznej, częścią zaś dogmatycznej natury, zachodzi najważniejsze pytanie, czy katolickiemu teologowi przez wzgląd na nieprzejednany opór ze strony dzisiejszych świeckich uczonych, wolno jest na swem polu zrobić ustępstwo, uznając, że wszystko, co nie dotyczy wiary lub obyczajów, ludzką tylko może mieć powagę? Zbytecznem byłoby udowadniać, że droga ta bezwarunkowo byłaby błędną. Pozostaje więc tylko pytanie, jakich środków chwycić się należy w obec historycznych, geologicznych i w ogóle naukowych trudności, aby powagi Pisma św. bronić przeciw pozornym lub rzeczywistym zarzutom uczonych. Pozytywną regułę katolickiego wykładu, tak jak i przy uzasadnieniu dogmatu, stanowi powaga Ojców ŚŚ.

Końcowe rozdziały opisują system żydów, katolików i protestantów, jakiego się trzymali w egzegezie. Jak wszędzie tak i tu znać staranne spożytkowanie źródeł i nadzwyczajną sumienność w ich przytaczaniu. Cała praca, dokonana z prawdziwie zadziwiającą, dro-

[1] S. Thom I., q. 1, a. 10.
[2] Exod. XII. 46 coll. Joan XIX. 36 et seq.

bnostkową nawet pilnością, odznacza się mimo to jasnością, siłą i ożywieniem. A lubo treść dzieła nie jest w ogóle nową, powinszować jednak należy autorowi, daru umiejętnego wyświecenia kwestyj spornych (np. w opisie poglądów św. Hieronima na kanon), zbierania cennego a obfitego materyału, zręczności we wtajemniczaniu czytelnika, szczególnie w ducha odnośnej literatury i obudzenia w nim żywego zajęcia. W końcu życzymy szan. Autorowi wydania następnych tomów w jak najkrótszym czasie, aby ten cenny zbiór egzegetyczny mógł już niezadługo stać się nabytkiem wszystkich kapłanów całego katolickiego świata. A jeśli wszystkie tomy podobne będą do pierwszego, literatura kościelna wzbogaci się dziełem, jakiego jeszcze nie posiada, dziełem, które dla wielu siedzących *in umbra mortis* stać.może gwiazdą przewodnią.

X. A. Arndt.

Z literatury rosyjskiej. Historya ościennych ludów niemałej jest dla nas wagi i doniosłości. Nie jedna rzecz dotąd nam niejasna, może być gruntowniej zbadaną za pomocą materyałów które inną drogą są dla nas niedostępne. W Rosyi ostatnimi czasy wiele się zajmowano historyą krajów, związanych pod względem politycznym bezpośrednio lnb pośrednio z naszą przeszłością dziejową i niemało publikowano źródeł z rządowych i prywatnych archiwów. U nas, tylko przeszłość i teraźniejszość Inflant polskich i Kurlandyi znalazła gorliwego badacza w osobie bar. Gustawa Manteufla, czego dowodem jego prace: „Inflanty polskie“, „Piltyn i archiwum piltyńskie“ i liczne artykuły w słowniku geograficznym. Z rozpatrzenia się bliższego w tamecznych wydawnictwach przybyłoby wiele danych do naszych dziejów. Na niektóre z nich jużeśmy zwrócili uwagę w „Przeglądzie“ zeszłego roku; obecnie inne niemniej ważne mamy do zaznaczenia.

Historya Rosyi. Praca *Dymitra Itowajskiego.* Okres moskiewsko-litewski, czyli zjednoczyciele Rusi. Str. 587. Moskwa. 1884 r.

Jako rezultat dwudziestoletniej wewnętrznej polityki, absorbującej Litwę i Ruś na rzecz plemienia wielkorosyjskiego, można uważać liczny poczet dzieł i artykułów, dotyczących dziejów litewsko-ruskich. Pomijając prace mniejszej wagi nad tym przedmiotem, wymienić jednak należy: „Dzieje państwa Litewskiego do końca w. XIV.“, przez prof. Włodz. Antonowicza, o której to pracy mówiłem obszerniej w „Przeglądzie Pol.“ z r. 1883. Wywołała ona cały szereg

krytycznych artykułów nad dziejami Litwy, pióra N. P. Daszkiewicza, umieszczonych w peters. „Uniwersyteckich Wiadomościach“ z r. 1882-84. Najnowszym zaś wyrazem tejże dążności politycznej, przeniesionej na grunt naukowy, jest dalszy ciąg dziejów Rosyi prof. Iłowajskiego, obejmujący dzieje Litwy i Wielkiego Księstwa moskiewskiego. Nowością w historyografii rosyjskiej jest nieustanne w tem dziele łączenie i przepłatanie dziejów obu państw, zostających częstokroć w bliskich i ożywionych stosunkach, jednak rozwijających się na odmiennym gruncie etnograficznym i pod tak różnym wpływem.

Autor poświęcił należytą uwagę rozwojowi wewnętrznemu i cywilizacyjnemu obu państw. Korzystał bezpośrednio z najpoważniejszego materyału historycznego, jak kroniki, akta i dokumenta, ale zarazem uwzględniał zdobycze naukowe, poczynione przez pisarzy polskich i rosyjskich w dziedzinie historyi i archeologii, o ile takowe nie kolidowały zasadniczo z przewodnią jego tendencyą. Na pięćdziesięciu ostatnich stronnicach swej pracy umieścił rozmaite uwagi lub starał się wyjaśnić krytycznie niektóre sporne kwestye z dziejów w. ks. Moskiewskiego, jak np. o herezyi t. zw. „żidowstwujuszczich“ (naśladujących Żydów), o której tak namiętnie rozprawiano na szóstym zjeździe archeologicznym w Odessie, gdzie sporna kwestya genezy sekty została podniesioną przez autora rozbieranego dzieła. Przeciwko niemu z taką gwałtownością wystąpił P. Pawłow, iż Iłowajski, czując się tem dotkniętym, natychmiast Odessę opuścił. Herezya „żidowstwujuszczich“ pojawiła się najpierw w Nowogrodzie, ale następnie znalazła silny grunt w Moskwie. Do najgorliwszych jej zwolenników należał archimandryta Zozym, później metropolita moskiewski. Protektorką zaś na dworze była synowa Iwana III. Helena, córka hospodara multańskiego Stefana. Sekciarze odrzucali dogmat św. Trójcy, Wcielenia, Bóstwa Chrystusa Pana i t. d. Ortodoksya odniosła jednak jeszcze za panowania Iwana III. zwycięstwo po złożeniu metropolity Zozyma z godności i soborze moskiewskim z r. 1504. Przedmiotem uczonej polemiki pomiędzy panami Iłowajskim i Pawłowem jest głównie geneza sekty i towarzysząca jej rozwojowi walka stronnictw dworskich.

Aby dać wyobrażenie, w jaki to przymusowy sposób zestawia autor dzieje Litwy i Wielkiego Księstwa moskiewskiego, podając w rozdziale 12 stosunki wewnętrzne litewskie pod rubryką Iwana III., jakby panowała tam dynastya Rurykowiczów, a nie Jagiellońska, — przytoczę tytuły 12 rozdziałów, z których się składa tom wyżej wymieniony. 1. Moskwa i Twer. Iwan Daniłowicz Kalita i jego synowie; 2. Giedymin, Olgierd i tory południowo-zachodniej Rusi (Ks. Halickie, Wołyń, Podole i Ks. Kijowskie); 3. Dymitr Doński i początki wyzwolenia się z pod panowania Tatarów; 4. Władysław Jagiełło i początki unii polsko-litewskiej; 5. Bazyli I. moskiewski i Witold litewski; 6. Bazyli II. Ciemny i Ruś wschodnia (W. Ks. moskiewskie); 7. Świdrygiełło i Kazimierz IV. Jagiellończyk; Początki carstwa Krymskiego; 8. Gminy wiecowe: Nowogród i Psków; 9. Uobyczajenie Rusi (W. Ks. Moskiewskiego) w okresie tatarskim; 10. Cerkiew i stan piśmiennictwa; 11. Tryumf unifikacyi i dążeń do niezależności za Iwana III.; 12. Stosunki wewnętrzne litewskie i ich rozwój za Iwana III. Pogląd zaś na stan wewnętrzny Rusi litewskiej w w. XV. i pierwszej połowie XVI. przeniósł autor do następnego tomu.

Rosyjska Biblioteka Historyczna, wydawana przez *Komisyę archeograficzną.* Tom ósmy. Petersburg. 1884.

Materyał, zawarty w świeżo wydanym tomie Ros. Bibl. Historycznej, został nagromadzony z archiwów i bibliotek weneckich, florenckich i rzymskich przez profesora Uniwersytetu odeskiego Uspeńskiego. Treść jego nader rozmaita. Najwięcej zajęcia mogą obudzić listy i raporta o pierwszym Samozwańcu i o stanie W. Księstwa moskiewskiego w tych czasach. Są tam także ważne dokumenta do dziejów Rusi Zadnieprskiej, wzięte z t. zw. „Prikazu" (urzędu) małoruskiego w Moskwie Do takich np. należy sprawa o zamordowaniu mieszczanina Iwana Moskalenka przez strzelca moskiewskiego Ostapka Kuźmina w sporze o podwody, żądane przez tego ostatniego. Oto, w jaki sposób żalą się tameczni mieszczanie i kozacy wraz ze swym setnikiem przed W. carem Fedorem, synem i następcą Aleksego: „Od licznych gońców i od wszelakiego rodzaju przejeżdżających ludzi rasy moskiewskiej nie znamy żadnego względu. Oni w swem zarozumieniu za nic nas mają, twych chłopów i sieroty, dworki nasze rujnują i nas samych; w mieście i na drodze, wziąwszy nas za przewodników, na śmierć mordują". Skarga powyższa wraz z nazwą, przyjętą od Wielkorosyan „chłopów carskich", to zupełnie inaczej się przedstawia, niż dawniejsze przesadne *gravamina,* zanoszone do sejmów polskich, a żądające równouprawnienia ze szlachtą.

Dowodem ciągłych zatargów pomiędzy kozakami a ludźmi „rasy moskiewskiej" może posłużyć sprawa wyżej wspomniana. Car nakazał wprawdzie ukarać mordercę, ale nie donosić o tem hetmanowi ukraińskiemu, aby się przekonać, co tenże uczyni i jak ukarze jakiegoś Rusina za zamordowanie poborcy moskiewskiego.

W tymże tomie Ros. Biblioteki Hist. znajduje się spis ruchomości hetmana Iwana Samojłowicza i jego jego dwóch synów, których mienie zostało skonfiskowane po złożeniu hetmana z godności, na mocy oskarżenia o zdradę państwa. Ze spisu tego dowiadujemy się, iż hetman odpadłej Ukrainy nie był jednak obcym literaturze polskiej, bo w liczbie 221 dzieł, znajdujących się w jego bibliotece, 89 było ruskich i cerkiewnych, a reszta w języku polskim i łacińskim.

Ostatnie zaś numera tegoż wydawnictwa zawierają akta poselskie carskiego dworzanina Iwana Żelabużskiego, wyprawionego w r. 1657 do ks. Siedmiogrodzkiego Jerzego II. Rakoczego i do pułkownika kozackiego Antoniego Zdanowicza. Rzucają one światło na ostatni rok życia i działalności Bohdana Chmielnickiego, na jego stosunki z ks. Siedmiogrodzkim i wspólne ich zamiary względem podziału Polski.

Przeszłość Rodzinna (Rodnaja Starina). Historya ojczysta w opowiadaniach i obrazach. (Wiek XVII). Ułożył *W. D. Sipowskij.* Zeszyt III. Petersburg. 1884 r.

Pod tym tytułem wychodzi szereg zeszytów, przedstawiających dzieje rosyjskie, opatrzonych licznymi rysunkami, a przeznaczonych głównie dla kształcącej się młodzieży i szerszej inteligentnej publiczności. Zeszyty są tak obszerne, iż możnaby je nazwać po prostu tomami. Ten ostatni, trzeci z kolei, poświęcony jest wyłącznie XVII. wiekowi. Dla nierosyjskich czytelników najbardziej zajmującymi byłyby rysunki (których w zeszycie III. jest 160), wzięte bądź ze

współczesnych wydawnictw zagranicznych, jak np. z Olearius a i Augustyna Mayerberga. *(Iter in Moscoviam)*, bądź ze źródeł rosyjskich.

Okres wojen kozackich traktuje autor w ten sposób, że pod pozorem budzenia uczuć rosyjskiego patryotyzmu wlewa nienawiść i socyalny ferment, w młode umysły, niezdolne jeszcze do wyrobienia samoistnego poglądu. Jakby niedosyć było samego opisu historycznego wypadków tej groźnej epoki, autor ucieka się jeszcze do dum i pieśni kozackich, czego nie czyni przy opowiadaniu innych wypadków. Oto jeden z ustępów, streszczających dumę, a przeznaczonych przez autora do kształcenia młodzieży w dziejach rosyjskich. (Mowa o klęsce pod Żółtemi Wodami): „Oto wam za to, panowie, żeście nie chcieli żyć w zgodzie z kozakami-mołojcami; dla was lepsi byli żydzi, jak zuchy-zaporożcy. A teraz za to sprobójcie tatarskiej „juszki". Nie po jednym Lachu pozostała wdowa, nie po jednym zapłakały dzieci-sieroty; wysypał się „Chmiel" z mieszka, narobił biedy panom, napili się oni żółtej wody, ale widać chmielu było w niej zawiele, nie utrzymali się na nogach".

Archiwum Sulimowskie. Papiery familijne rodzin ruskich: Sulimów, Skorupów i Wojciechowiczów, odnoszące się do w. XVII. i XVIII. Kijów. 1884, str. 316.

Jestto cenny zbiór materyałów historycznych, szczególniej do stanu wewnętrznego i obyczajowego Ukrainy Zadnieprskiej w w. XVII., i XVIII., dokonany przez Aleksandra Lazarewskiego, gruntownego znawcy dziejów i starożytności Rusi z w. XVII. i XVIII. Obok „Zapisek" Jakóba Markowicza i „Materyałów do historyi ojczystej" Sudienka, wymienione w nagłówku wydawnictwo zawiera najwięcej może wiadomości do poznania stosunków wewnętrznych Ukrainy rosyjskiej. Do „Archiwum Sulimowskiego" dołączył wydawca pięć portretów, tablice genealogiczne i indeksa imion własnych osób i miejscowości. We wstępie znajdujemy zajmujący pogląd na tory historyczne różnych archiwów ukraińskich, jakoteż historyę i genealogię rodzin, które dostarczyły materyału do tego zbornika. P. Lazarewski czerpał i z naszych wydawnictw, jak np. ze Stan. Przyłęckiego: „Sprawy Ukrainne". Lwów. 1842.

W przeszłość polską sięga tylko ród kozacki Sulimów, pochodzący od hetmana Zaporoża Iwana Sulimy (1628-35). Na Zadnieprzu rodzina ta zajęła bardzo wpływowe stanowisko, przyszła do wielkich bogactw, a następnie starała się u rządu o szlachectwo rosyjskie. Aby dowieść prawa do niego, wiąże swe nazwisko rodowe ze znanym herbem polskim „Sulimą", powołuje się potem na nobilitacyę sejmową z r. 1659, a nawet nie waha się przodka swego, hetmana Zaporoża, podnieść do godności Kanclerza koronnego za czasów Zygmunta III. Po wygaśnięciu Sulimów, archiwa familijne przeszły po nich do rodziny Wojciechowiczów. Również i ród Skorupów, pochodzenia białoruskiego, pragnąc w lewobrzeżnej Ukrainie otrzymać szlachectwo, robi długie, chociaż bezskuteczne, poszukiwania w aktach trybunału lubelskiego.

Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Inflantach. Petersb. 1884., str. 542, przez *Truwnana*. — **Walka o panowanie na morzu Bałtyckiem** w wiekach XV. i XVI., przez *Forstena*. Petersburg. 1884, str. 619.

Ostatnimi czasy ze strony rosyjskiej zaczęto coraz gorliwiej zajmować się przeszłością nadbałtyckich prowincyj, co dotychczas było prawie wyłącznie

rzeczą uczonych niemieckich. Łatwo się domyślić, że motywa natury narodowo-politycznej odegrywają w tym względzie niepoślednią rolę. W obznajomieniu społeczeństwa rosyjskiego z przeszłością tego kraju, przodują uczeni pochodzenia łotewskiego, wychowani w zakładach naukowych rosyjskich i przejęci częstokroć niechęcią do żywiołu niemieckiego.

Mamy z roku zeszłego do zanotowania dwie prace w języku rosyjskim, dotyczące przeszłości prowincyj nadbałtyckich, a wymienione powyżej. Obie oparte są na źródłach i na gruntownej znajomości swego przedmiotu, czego dowodem może być przegląd i ocena wydawnictw źródłowych, jakoteż i prac, mających związek z historyą ziem niegdyś zakonnych. P. Forsten („Walka o panowanie na morzu Bałtyckiem") zarówno w tekście, jak i w uwagach, umieszczonych na końcu dzieła, przytacza obszerne wyjątki ze źródeł historycznych. Zajmuje się głównie sprawami Hanzy i losem pobrzeży bałtyckich od czasów najdawniejszych do początków w. XVI, zatem nie doprowadza do właściwej walki o panowanie na Bałtyku, rozpoczynającej się, rzec można, wmieszaniem się Polski w sprawy inflanckie r. 1557.

P. Truwnan zaś w swej pracy („Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Inflantach") daje szczegółowy obraz etnografii i religii ludów grupy łotewskiej (Litwinów i Łotyszów) przed przyjęciem wiary Chrystusowej, ale nie pomija i fińskich Estów, autochtonów prowincyj nadbałtyckich. Opowiada następnie o stosunkach krajowców ze Wschodem i Zachodem do w. XIII., przybyciu Niemców nad dolną Dźwinę, rozwoju wewnętrznym i cywilizacyjnym ludności tamecznej pod wpływem chrześcijaństwa. Jako wyraz kierunku, nadanego przez autora swej pracy, może służyć znaczny ustęp, 33 str. części II., w którym z nadzwyczajnością, skrupulatnością traktuje się o stosunkach książąt ruskich z nadbałtyckiemi prowincyami, na czem później, w w. XVI., oparły się pretensye Wielkich Książąt moskiewskich do tych krajów.

Historya Uniwersytetu św. Włodzimierza. Ułożył prof. *M. Władimirskij-Budanów.* Tom I. Uniwersytet św. Włodzimierza pod panowaniem cesarza Mikołaja I. Kijów. 1884 r.

Obchód jubileuszowy Wszechnicy kijowskiej, głośny studenckiemi zaburzeniami, nie przeminął bez pewnego rezultatu dla nauki. Z pomiędzy licznych publikacyj okolicznościowych najpoważniejszą jest bez wątpienia wymieniona w tytule, pióra profesora tejże wszechnicy, a napisana z upoważnienia t. zw. Rady uniwersyteckiej (Senatu). Obok zmarłego prof. W. Szulgina (założyciela dziennika „Kijewlanin"), Uniwersytet kijowski posiada już drugiego historyka swej niezbyt dawnej przeszłości w osobie M. Władimirskiego-Budanowa.

Tom pierwszy tego dzieła obejmuje okres czasu od r. 1833 do 1855, tj. od założenia Uniwersytetu do śmierci cesarza Mikołaja. Autor nie rozpoczyna jednak jego dziejów od chwili założenia, ale sięga dalej w przeszłość i w pierwszych rozdziałach stara się dać obraz stanu oświaty na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, jak się on wytworzył pod wpływem odmiennych stosunków politycznych w latach od r. 1773-1793, a następnie w okresie czasu od drugiego rozbioru do r. 1831. Poprzedni okres, przedrozbiorowy, traktowany dosyć pobieżnie; następny (1793-1831) z większą pretensyą i pozorami gruntowności, ale z tem jaskrawszą anty-polską tendencyą. W celu poznania stanu szkół i oświaty w kra-

jach południowo-wschodnich dawnej Polski przed r. 1831, miał autor badać archiwa szkoły krzemienieckiej i wizytatorskie hr. Tadeusza Czackiego; nie zaszkodzi poznać w streszczeniu rezultat tych badań, niegrzeszących bynajmniej bezstronnością. Przy bliższem rozpatrzeniu się w owym okresie przedstawia się autorowi coś trudnego do uwierzenia, a jednak istniejącego niegdyś w rzeczywistości. Na całej przestrzeni „starodawnych ziem ruskich“, „odzyskanych“ przez Rosyą w r. 1793, działał bez żadnej z czyjejkolwiek strony przeszkody, jawnie i otwarcie, uznawany i popierany przez rząd rosyjski, system edukacyi polskiej zupełnie taki, jaki się tamże wytworzył w ostatnich latach istnienia rzeczypospolitej. System ten był nawskróś polskim, pod względem ducha i celów ostatecznych, języka wykładowego, całego charakteru nauczania i ustroju szkół, a przedewszystkiem ze względu na osoby głównych kierowników i podrzędnych wykonawców ich woli. Język rosyjski, jako nadobowiązkowy, był zaledwie tolerowany w zakładach naukowych tego czasu, którego nauczanie powierzano profesorom innych przedmiotów, najczęściej Polakom lub Unitom, a nawet w pewnym zakładzie żołnierzowi pruskiemu. Uczniowie wyznania prawosławnego uczyli się religii u księży katolickich; dzieci pochodzenia rosyjskiego nie mogły robić podań w innym, jak tylko polskim języku. Polonizacya kraju postępowała szybkim krokiem; odziedziczony po dawnej Polsce system wychowania, pod kierunkiem takich działaczy okresu Aleksandra I., jak ks. Adam Czartoryski i hr. Tadeusz Czacki, doszedł szczytu swego rozwoju przez założenie liceum Krzemienieckiego, które znalazło poparcie materyalne i moralne całego społeczeństwa polskiego, bez względu na granice polityczne.

Ostatecznym celem instrukcyi publicznej miało być, podług zdania autora, wskrzeszenie Polski w jej dawnych granicach i formach bytu niepodległego. Cel powyższy już był bliskim osiągnięcia. Ale powstanie roku 1831 wszystko zniweczyło. Uczniowie po największej części poszli do powstania, szkoły stanęły pustkami; rozporządzeniem rządu zostały zamknięte, a na ich miejsce powstały inne, oparte na odmiennych podstawach. Z liceum Krzemienieckiego powstał Uniwersytet kijowski... Tak nam przedstawia prof. Władimirskij-Budanów genezę zakładów, którego historyi poświęcony jest tom pierwszy.

A. Sulima.

Rozmaitości.

Wydanie zbiorowe dzieł Józefa Szujskiego. W półtrzecia roku po śmierci nieodżałowanego ś. p. Józefa Szujskiego, ukazały się nareszcie trzy tomy zbiorowej edycyi. Serya I. tom I. Poezye. Serya II. tom V. Opowiadania i roztrząsania. Serya III. tom I. Pisma polityczne. Komitet wydawniczy, złożony z profesorów Uniwersytetu Jagiel. pp.: Zolla, Smolki, Tarnowskiego i Bobrzyńskiego, dołożył wszelkich starań, aby wydanie to było

zupełne i poprawne. O Szujskim, jako poecie, podajemy osobny artykuł; z omówieniem jego prac historycznych i politycznych, poczekamy aż się cykl tych wydawnictw więcej zaokrągli. Tutaj mielibyśmy rzecz jedną do poruszenia. Profesor Tarnowski w przedmowie do Poezyj kładzie nacisk na ostatnią wolę ś. p. Szujskiego: „ta wola jego, pisze, była oczywiście obowiązującą dla wydawców". Otóż trzebaby to pochwały godne uszanowanie woli zmarłego zastosować i do seryi dzieł historycznych, mianowicie zaś w II. i III. tomie Dziejów narodu polskiego. Słyszeliśmy kilkakrotnie z ust ś. p. Szujskiego, powtórzył on to samo na kilka zawodów najbliższym osobom swego otoczenia, że w powtórnem wydaniu „Dziejów" wiele zmian uczynić zamierza i pragnie je całkiem przerobić. Tyczyło się to nietylko Jagiellonów, ale, i to przedewszyskiem, epoki Zygmunta III. i Władysława IV. Pisząc te Dzieje w bardzo młodym jeszcze wieku, ś. p. Szujski dał się nieco porwać liberalnym, a nie zawsze sprawiedliwym sądom o Zygmuncie III., o „reakcyi katolickiej" o zakonie Jezuitów, jak znów zbyt hojnym okazał się w pochwałach dla „liberalnego" Władysława IV. Zapatrywania te i sądy w późniejszym czasie zmieniły się znacznie na korzyść Zygmunta IV. i reakcyi katolickiej, jak tego dowodzi ostatnia większa historyczna praca ś. p. Szujskiego: Dwanaście lekcyj dziejów polskich i fragmenta pisemne jego wykładów uniwersyteckich, które mieliśmy sposobność przeczytania uważnie. Nie przesądzając wcale tego, co w tej mierze uczyni Komitet wydawniczy, zaznaczamy tylko, że cześć i poszanowanie ostatniej woli ś. p. Szujskiego i poczucie sprawiedliwości wymaga tego, aby czterotomowe Dzieje narodu polskiego nie zostały powtórnie wydane bez pewnych zmian, a przynajmniej bez licznych komentarzy, do których za wskazówkę posłużyć powinny: Dwanaście lekcyj i rękopisemne fragmenta wykładów.

Ks. St. Załęski.

Literaturę religijną wzbogaciły ostatnimi czasy dosyć liczne a użyteczne publikacye, mianowicie:

Credo. Chrześcijańskie prawdy wiary, które wykładał w Katedrze Lwowskiej w maju 1885 r. *Ks. Piotr Semenenko. C. R.* Lwów, 1885, nakładem Sajfartha

i Czajkowskiego, 8-vo, str. 331. Cena 2 złr. 50 kr. — Dzieło to obejmuje 14 nauk o najważniejszych dogmatach: o wierze, o Bogu w Trójcy jedynym, o stworzeniu, o wolnej woli, o Kościele i t. d. Autor, nieporównany mistrz słowa, wprowadza w niedostępne tajniki wiary i filozofii, wykładem oryginalnym, głębokim i zawsze świetnym. To jednak mielibyśmy do zastrzeżenia, że filozoficzne poglądy, autorowi właściwe, tak się splatają z nauką wiary, że czytelnikowi nieposiadającemu głębszej o tych rzeczach nauki, niełatwo jedno od drugiego odróżnić.

Konferencye duchowne, wypowiedziane u PP. Karmelitanek Bosych przy ul. Łobzowskiej w Krakowie, przez *ks. Stanisława Spisa,* Dra św. Teologii i. t. d. Kraków, 1885. — Konferencye, lubo do zakonnic zastósowane, służyć mogą także w świecie żyjącym pobożnym osobom za budującą lekturę.

Du Culte que l'Église rend a St. Terèse de Jésus, dans la Messe du 15 Octobre, par le chanoine *Stanislas Spis.* Lille, rue royale, 26, 1885. 16-o, str. 106. — Jest to egzegetyczny wykład mszy św. na dzień św. Teresy, wydany najprzód po polsku w Krakowie 1882 r. z okazyi 300-letniego jubileuszu tej świętej, p. t.: O czci, jaką Kościół oddaje św. Teresie od Jezusa we mszy świętej dnia 15 października a potem na francuskie przełożony. Arcyb. mechliński, kard. Dechamps poleca wiernym Francyi i Belgii gorąco to dziełko pobożnego i uczonego Kapłana.

Przewodnik prawdziwej pobożności, przez *O. Brunona Vercruysse T. J.* Tom I., wydanie drugie poprawione. Lwów, drukarnia Ludowa Gubrynowicza i Schmidta, 1886 r. Najlepszy to podręcznik medytacyj czyli rozmyślań na każdy dzień roku i na nowenny przed ważniejszemi świętami. Zmarły w Brukseli przed czterma laty O. Vercruysse ułożył te medytacye 1859 r. według metody św. Ignacego. Każde rozmyślanie ma swoje tak zwane *praeludia,* i dzieli się na 3 punka; każdy zaś punkt ma swoje rozważanie rozumowe prawdy ewanielicznej, zastosowanie tejże prawdy do praktycznego życia, uczucia i postanowienia dobre, z tej prawdy loicznie wypływające, a kończy się modlitwą czyli rozmową duszy. W francuskim języku Przewodnik doczekał się jeszcze za życia autora czterech wydań, i przekładu na angielski, flamandzki, niemiecki, włoski i polski język. Pierwsze polskie wydanie wyszło 1879 r. we Lwowie w 1.000 egzemplarzy i już od lat dwóch jest wyczerpane; spodziewać się należy, że i niniejsza edycya znajdzie licznych odbiorców.

Św. Ignacego Ćwiczenia duchowne czyli Rekolekcye, przez ks. Alojzego Belecyusza, przerobił *ks. Aleksander Jełowicki.* Wyd. 3, Poznań. Nakładem księgarni katolickiej, 1885. Cena 1 m. 50 fenig. — Jeden z lepszych podręczników rekolekcyjnych, dla zakonnych zarówno jak i świeckich osób, wydany najprzód w Berlinie u Behra 1851, potem w Warszawie 1872, obecnie w Poznaniu. Zanadto dobrze to znana książka, abyśmy się nad jej zaletami i użytecznością dłużej zatrzymywali.

Nowy sposób rozmyślania przez *ks. Jana Krassetta T. J.* Poznań, 1885. Nakładem księgarni kat. Cena 1 m. 50 fen. — Pierwszy polski przekład tego podręcznika medytacyj, dokonany przez ks. Radolińskiego, wyszedł w drukarni Jezuickiego kolegium w Kaliszu 1760 r. Niniejsze wydanie jest z rzędu drugie. Ks. Krasset dzieli swoje medytacye na cztery części, odpowiadające poczwórnej drodze ćwiczeń św. Ignacego; pierwsza część (1—52 rozmyślań) oczyszczająca człowieka z grzechów, druga (53—88 rozm.) oświecająca go na drodze doskonałości, trzecia (89—140 rozm.) o męce i śmierci Chrystusa Pana, czwarta (141—156 rozmyśl.) jednocząca go ściślej z Bogiem. Dla krótkości i zwięzłości swojej, medytacye ks. Krasseta nadają się bardziej dla osób, które mniej czasu codziennie rozmyślaniu poświęcić mogą.

Dogmat o piekle przez ks. Franciszka Schuppe T. J., z drugiego wydania oryginału francuskiego przełożył *Wł. M.* Kraków, nakładem księgarni Dra Wł. Miłkowskiego 1885. — Mała, ale zajmująca i pouczająca książeczka. Argumenta teologiczno-filozoficzne, poparte przykładami z historyi dawniejszych i najnowszych czasów. Przekład wierny, język poprawny.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika. — Głosy prasy liberalnej i gazet włoskich. — Stronnictwo konserwatywne we Francyi. — *Union catholique.* — Odwołanie p. de Mun i *Univers'a.* — Zbliżenie Watykanu z Chinami. — Rzezie katolików na Wschodzie. — List Ojca św. do cesarza japońskiego. — Sprawa misyj katolickich w Camerunie. — Wybory w Prusiech. — List pasterski biskupów angielskich.

Najdonioślejszym faktem dni ostatnich w dziedzinie świata katolickiego jest bez zaprzeczenia ukazanie się nowej encykliki papieskiej. Już zapowiedziany tytuł: *De civitatum constitutione christiana* obiecywał naprzód, że będą w niej dotknięte wszystkie najważniejsze, a powiedzmy, najdotkliwsze zagadnienia wieku. Ztąd też katolicy z upragnieniem, wszyscy z ciekawością oczekiwali papieskiego głosu, a odezwał się ten głos z taką wymową i prawdą, z taką powagą i majestatem, że encyklika *Immortale Dei* zostanie w historyi jako najwspanialszy z pewnością pomnik mądrości Leona XIII. W czasach niepokoju i zawikłań, niestatków i kontrastów socyalnych, ta ojcowska odezwa Namiestnika Chrystusowego, przypominająca rządcom świata ich odpowiedzialność i wzniosłe posłannictwo, narodom ich zadanie i powinności, a wszystkim ludziom dobrej woli obowiązki społeczne codziennego życia, stanowi niejako idealny zbiór ustaw prawdziwej chrześcijańskiej rzeczypospolitej, z którego każdy naukę i światło czerpać może. Wiedząc, że Redakcya Przeglądu ma zamiar szczegółowo o treści tego dokumentu papieskiego pisać, nie wdaję się w jego rozbiór.

Świat katolicki przyjął to orędzie z należytą czcią i wdzięcznością. Nawet i liberalna prasa nie szczędziła uznania dla mądrości papieża. Zaniepokoił ją wszakże ustęp końcowy, zachęcający wiernych do udziału w życiu politycznem, kiedy o obronę praw religii chodzi. Niektóre gazety liberalne zdają się nawet przypuszczać, że to nie, proste przypomnienie, ale stworzenie nowego obowiązku dla katolików, którzy dotąd tylko wbrew duchowi Kościoła prawa swe warowali. Dzwonienie to na alarm jest w tym wypadku tem mniej słuszne, że wywołane encykliką z której wieje przedewszystkiem właśnie duch miary i pojednania. W inny znów sposób włoskie dzienniki przekręcają słowa papieskie. Tam przyjęto ten dokument z udaną wdzięcznością, jakoby pierwszy krok do zbliżenia z rządem, kiedy katolikom przystęp do urzędów publicznych otwiera. A choć jest w encyklice ustęp przejrzyście do Włoch się odnoszący, i zalecający tam abstencyę od spraw publicznych, z powodu wyjątkowych okoliczności, — o nim żadne pismo nie wspomina.

Praktyczna doniosłość encykliki ukazuje się już dzisiaj w tem, że nietylko na przyszłość jasny we wszystkich społecznych kwestyach program stawia, ale zarazem rozstrzyga i normuje wszystkie bieżące sprawy chwili obecnej.

Nowo ukształcone i w trudnem położeniu znajdujące się stronnictwo zachowawcze w parlamencie francuskim znajdzie w tej encyklice stwierdzenie i dalsze wyjaśnienie listu papieskiego do kardynała paryskiego, któremu swe istnienie zawdzięcza. Wiadomo jak żywioły konserwatywne i nawet katolickie były dotychczas we Francyi rozbite z powodu walk rozmaitych partyj politycznych: legitymistów, orleanistów, bonapartystów trzymających z ks. Hieronimem i bonapartystów trzymających z ks. Wiktorem, republikanów konserwatywnych i t. d. Każdy myślał tylko o przeprowadzeniu swego ideału politycznego, a tymczasem najżywotniejsze interesa religii, wychowania i t. d. padały pod razami wrogów Kościoła i radykałów. Otóż Leon XIII. rozmaitemi wskazówkami i rozporządzeniami, których sławny list do kardynała paryskiego był ostatecznym wyrazem, nakazał milczenie waśniom politycznym między stronnictwami katolickiemi i zawezwał je do podania sobie ręki w obronie tego, czego absolutnie bronić trzeba, i co nierównie ważniejsze niż polityczne ideały stronnictw, względną tylko posiadające wartość a z religią

i moralnem życiem społeczeństwa koniecznego związku niemające. Pod wpływem tej odezwy papieskiej odbyły się francuskie wybory 4 i 18 października, i w ten sposób utworzyła się silna partya konserwatywna, licząca 204 członków. Naprzeciwko niej stoi wprawdzie 380 republikanów, ale jest między nimi 115 radykałów, najniebezpieczniejszych wrogów dzisiejszego porządku rzeczy we Francyi. W każdej więc kolizyi między tymi radykałami a partyą rządzącą, konserwatyści rozstrzygną. Wszelako stronnictwo konserwatywne o tyle tylko istnieć może, o ile wiernem pozostanie hasłu, którem powołane zostało do bytu, tj. wyrzeczeniu się ducha partyi i wszelkich zachcianek separatyzmu i działania na własną rękę.

To nam tłumaczy dlaczego prasa katolicka niemal jednomyślnie zganiła wystąpienie hr. de Mun z swoim programem unii katolickiej. Program ten jest sam w sobie najlepszym; hr. de Mun chce utworzenia „unii katolickiej“ w całym kraju, w celu bronienia Kościoła przed grożącem mu niebezpieczeństwem. Tym końcem domaga się: dla Kościoła, zupełnej wolności a w szczególności szczerego i sumiennego zastosowania konkordatu; dla rodziny, zupełnej wolności nauczania i ducha chrześcijańskiego w szkole, poszanowania małżeńskiego związku, a stąd cofnięcia ustaw o rozwodzie; wreszcie dla ludu, opiekowania się zarobkiem i obyczajami robotników. „Unia katolicka“, rozgałęziona po całym kraju, szerzyłaby odpowiednimi organami swe zasady i popierała idee. W tym programie, jak każdy widzi, wszystko jest uznania i pochwały godnem, wyjąwszy tego, że wyrywa się z nim na własną rękę hr. de Mun, jeden z dotychczasowych przywódców legitymizmu, i przez to dąży niejako do rozbicia utworzonej już nie bez mozołu unii katolików pod hasłem konserwatyzmu. Posypały się obfite komentarze, republikanie, ośmieleni niezawodnem w tych okolicznościach poparciem radykałów, odpowiedzieli groźbą najskrajniejszych środków odpornych, mianowicie rozdziału państwa od Kościoła i zerwania konkordatu; w obozie konserwatywnym, choć wszyscy w gruncie godzą się na obronę tego, co się w programie p. de Mun zawiera, jednak nie zgodzonoby się na przyjęcie programu od p. de Mun, ani też może na zszeregowanie się w rodzaj stowarzyszenia, jakie p. de Mun projektował; dlatego to, jak wspomnieliśmy, organa katolickie powszechnie ten krok zganiły a hr. de Mun dał bezzwłocznie piękny

przykład karności i wyrzeczenia się osobistości, oświadczając w gazetach, że cofa swój projekt. A jakby na zamknięcie drażliwej polemiki, odezwały się równocześnie słowa Encykliki papieskiej: *In hac quidem de rebus maximis contentione nihil est intestinis concertationibus, vel partium studiis relinquendum loci, sed conspirantibus animis studiisque id debent universi contendere, quod est commune omnium propositum, religionem remque publicam conservare.* Nawet najostrzej przedtem za projektem p. de Mun kruszące kopie gazety, ukorzyły się w obec takiego orzeczenia, a organ autora listu, znany z niewczesnych często, bo za gwałtownych porywów, ale także z posłuszeństwa dla Stolicy apostolskiej *Univers*, odwołał swoje zdanie w tej sprawie, zaznaczając wymownie, że kiedy się głos Namiestnika Chrystusowego odezwie, katolikom należy się tylko „wejść w siebie, pouczyć się i usłuchać". Co nowa sesya parlamentarna Francyi przyniesie, tego na pewno naprzód oznaczyć nie można. Tyle pewnego, że oportuniści ujęci jak w kluby przez konserwatystów z jednej, a radykałów z drugiej strony, na żaden krok bardziej stanowczy się nie odważą. Pouczeni wzrostem żywiołu zachowawczego, do czego ich prześladowanie Kościoła prowadzi, kwestyę rozdziału państwa od Kościoła i zerwania konkordatu na dalszy plan odłożą, co najwięcej przekażą wybranej *ad hoc* komisyi, która sprawę do zakończenia obecnej sesyi przechowa i pochowa. Przyszłość tedy w ręku konserwatystów leży. Działalność ich główna na pozasejmowe pola ograniczać się na razie powinna. Pracą w kraju należy im zwiększać stronnictwo, a miarą i spójnią w Izbie wyzyskiwać to, co już zdobyli.

Na zachowawczą politykę rządu powinienby także wpłynąć stan misyj francuskich na Wschodzie; najsmutniejsze stamtąd dochodzą dzień po dniu wiadomości: w Kochinchinie liczba chrześcijan temi czasy wymordowanych dochodzi 25.000, w Tonkinie zachodnim podobneż gwałty i formalne rzezie, a to wszystko się dzieje pod protektoratem francuskim i w pobliżu twierdz, nad któremi powiewa francuska flaga. Admirał Courbet, mający w ręku wszelkie środki do przeszkodzenia tym gwałtom, a powstrzymany jedynie bezwarunkowym zakazem rządu francuskiego, podaje się do dymisyi aby nie nosić dłużej odpowiedzialności za tak haniebne postępowanie swej ojczyzny. Rząd francuski zaś dlatego zakazywał dotychczas

bronienia chrześcijan w Tonkinie, że mu szło o zjednanie sobie przy wyborach partyi radykalnej, bezwarunkowo przeciwnej zamorskim wojnom. I dla tego nędznego interesu partyi dopuszczają się takie okropne rzezie, jakich, mówią *Les missions catholiques*, krwawe dzieje misyj katolickich dotychczas nie zapisały. Ale dziś następuje reakcya w opinii Francyi; wiadomości, które rząd dotychczas powstrzymywał, rozchodzą się po kraju, i hańba przez francuską flagę poniesiona, oburza najobojętniejszych.

Zresztą ten protektorat chrześcijaństwa na Wschodzie, który egoistyczne rządy Zachodu tak opieszale piastowały, wypada im coraz więcej z rąk, z niemałą oczywiście ich szkodą. Stolica św. objawia skłonność do porozumienia się bezpośrednio z pogańskimi monarchami i powierzenia im w imieniu ludzkości, opieki nad katolickiemi misyami, do której chrześcijańskie państwa niezdolnemi, czy niegodnemi się okazały; będzie to o tyle korzystniejszem, że nadal zatargi polityczne nie przerzucą się tak łatwo w prześladowania religijne. Już przed 2-ma miesiącami Ojciec św. pisał piękny list do cesarza Chińskiego, pouczając go o duchu i zbawiennych wpływach religii katolickiej i polecając jego pieczy jej kapłanów i wyznawców; na co cesarz bardzo uprzejmie odpisał i jest mowa o urządzeniu rodzaju nuncyatury w Pekinie. W tym miesiącu podobny list napisał Ojciec św. do cesarza Japońskiego, i również pomyślną otrzymał odpowiedź.

To zbliżenie się do dworów zamorskich mocarstw jest jednym dowodem więcej wiecznej żywotności cywilizacyjnego posłannictwa Kościoła. Kościół widzi jasno, że kwestya kolonizacyjna coraz większej dla Europy nabiera wagi, i ten nowy prąd w katolickim chce kierować duchu. Jeżeli rządy poznają doniosłość misyj katolickich, zbliżyć ich to do Rzymu musi, a tak krew męczeńska, na Wschodzie wylana, bogaty plon Zachodowi przyniesie.

Dodąd przecież rządy nie dosyć cywilizacyjną stronę Propagandy cenić umieją, a smutnym tego dowodem, oraz nową ilustracyą nietolerancyi pruskiej, jest sprawa misyi w Kamerunie. Niedawno jeszcze konferencya, dotycząca Conga postanowiła, że koloniom zupełna wolność religijna przyznaną będzie. Dziwną odpowiedzią na to oświadczenie konferencyi, odbytej w Berlinie pod opieką rządu pruskiego, jest stanowisko, jakie tenże rząd w sprawie misyj katoli-

ckich zajął, odmawiając misyonarzom Ducha Św. pozwolenia na założenie domu misyjnego w Kamerunie. Za powód tego kroku podano rzekome pokrewieństwo tego zakonu z zakonem Jezuitów, którzy ze względów politycznych, w Niemczech i koloniach niemieckich cierpiani być nie mogą. W całej tej sprawie rząd pruski jasno się oświadczyć nie chce. Raz niby zdaje się skłaniać do ustępstwa, i telegramy z Paryża donoszą o porozumieniu się ambasady niemieckiej z przełożonym OO. Misyonarzy, to znów na zapytanie pism katolickich, czy dozwolone będą misye katolickie w Angra Paquena, ze stron oficyalnych żadne, lub wymijające tylko nadchodzą odpowiedzi. W każdym razie powołanie się świeże na prawa majowe, złą jest dla przyszłej kadencyi pruskiego sejmu wróżbą. Wybory przysporzyły dwa nowe krzesła stronnictwu Centrum. Pod hasłem tego stronnictwa stanęli katolicy zwartym szeregiem do urn wyborczych, i świetnie swój obowiązek spełnili. Gdyby więc rząd chciał przystąpić do rewizyi praw majowych, rozporządzałby znowu znaczną większością w Izbie. Ale czy zechce, to rzecz inna i wątpliwa.

W Anglii ukazał się list pasterski biskupów katolickich, protestujących przeciwko obecnemu systemowi szkolnictwa. Pismo to, wystosowane w przededniu wyborów, zaleca wiernym, żeby swoje głosy tylko na tych kandydatów oddawali, którzy się zobowiążą do popierania szkół chrześcijańskich.

K.

Elementarne szkoły wielkopolskie pod opieką pruską.

Rząd pruski, zająwszy przeważną część Wielkopolski, Wielkiem Księstwem Poznańskiem zwanej, zastał w niej, jak na owe czasy dość wiele szkół elementarnych, także „parochialnemi“ zwanych. Przytuliły się te instytucye do klasztorów, a głównie do kościołów parochialnych. Były to zabytki o ile z starszej daty, świadczące o troskliwości duchowieństwa, dbałego o rozwój umysłowy dusz, jego pieczy powierzonych, a z świeższej daty szkoły, założone z polecenia komisyi edukacyjnej, która wziąwszy w swe ręce wychowanie narodu, przygarnęła do siebie wszystkie stany, wszystkie

warstwy, radząc o jego wykształceniu przez akademie, szkoły wydziałowe, a w dalszym szeregu przez szkoły elementarne. „Szkoły komisyi edukacyjnej, — mówi Józef Łukaszewicz w Historyi szkół w Koronie i w W. Ks. Litewskiem od najdawniejszych czasów aż do r. 1794, wydanej r. 1850 — należały wówczas do najlepszych w Europie, a przenosiły o wiele dzisisiejsze szkoły niemieckie". Klewitzowi, prezydującemu radcy w departamencie Prus południowych, rozpatrującemu się w szkołach naszych, w roku 1805, tak się ta organizacya spodobała, że polecając swemu rządowi (pruskiemu) „przedziwne prawa rządu polskiego w urządzeniu szkół", zawołał w swojem urzędowym raporcie, „który nowy rząd nie chciałby się chętnie do szkół tych przychylić"?

Wstrząśnienia polityczne, krwawe zapasy, jakie przechodziła Polska ku końcowi wieku zeszłego, a na początku bieżącego do ukończenia wojen napoleońskich, odwróciły uwagę narodu od szkół elementarnych; to też były one w zaniedbaniu; ale, skoro naród odetchnął po tych krwawych zapasach, znów się zabrano do szkół elementarnych: duchowieństwo i obywatele zajęli się niemi, nawołując młodzież do tych przybytków nauki. Obowiązywał wówczas wprawdzie Wielkie Ks. Poznańskie landrecht pruski, z d. 5 lutego 1794 r. z jego przymusem szkolnym w § 57 i 43. Cz. II. Tgl. 12; ale nie trzymano się w czasie tym przepisów ani w biurach administracyjnych, ani w szkołach i gminach. Monarchowie pruscy zrozumieli od dawna wielkie znaczenie szkoły w ustroju społecznym; nic też dziwnego, że przeświadczenie o korzyściach wykształcenia, obejmującego wszystkie warstwy, zakorzeniło się w całym narodzie. To też po ukończeniu wojen „za wolność" w historyi Niemiec, „Freiheitskriege zwanych, zaczął się naród dopominać o prawidłowe wykształcenie, aby przez to, jak mówi Eilers, podnieść siłę państwa i dobrobyt w kraju. „Inteligencya jest siłą, a im więcej inteligencyi ma państwo w sobie, tem jest silniejsze" — oto hasło które podawano sobie w wyższych sferach za rządów Fryderyka Wilhelma III. „Za żadną cenę nie chciałbym rządzić narodem niewykształconym i bezreligijnym", powtarzał ten monarcha, i aby z tym większym pożytkiem spełnić swoję i ludu wolę, mianował na dnia 5 listopada 1817 osobne ministerstwo dla spraw edukacyjnych i lekar-

skich, któremi dotychczas zarządzał minister spraw wewnętrznych, a szefem tego nowego wydziału został *Altenstein*.

Nie pierwsze to było wpływowe stanowisko tego ministra. Już w r. 1799 był on czynnym w ministerstwie pruskiem, gdzie był radcą referującym, a w r. 1808 został przez monarchę, ceniącego zdolności i zasługi Altensteina, mianowany ministrem skarbu. W r. 1813 został cywilnym gubernatorem Szląska, a w r. 1815 udał się wraz z Humboltem do Paryża, celem wyjednania zwrotu dzieł sztuki, wywiezionych z Prus przez Francuzów. Cieszył się więc Altenstein zaufaniem swego pana, zasługiwał też na nie, bo był mu wiernym, a wykształceniem, bystrością, zmysłem i poglądem politycznym przewyższał wszystkich swoich kolegów w ministerstwie i najbliższych króla dykasteryach urzędniczych. Jako minister oświecenia miał Altenstein niezmiernie trudne zadanie: pruscy pedagogowie i nauczyciele ze wszech stron stawiali żądania, dopominające się odeń przedewszystkiem ustawy edukacyjnej, któraby uregulowała stanowisko nauczycieli, ich dotacye i ujęła w regularne ramy całe wychowanie. Gorączkowy ten nacisk na kierownika wychowania publicznego podsycały obrady nad projektem rządowym do ustawy edukacyjnej, jakie się z polecenia ministerstwa odbywały w kraju, w rezydencyach biskupich i najwyższych prowincyonalnych biurach administracyjnych, żółwim atoli krokiem posuwając się naprzód. To niepokoiło ludzi stojących po za temi sferami obradującemi, a w zwłoce upatrujących winę ministra. Projekt ten i następne napotkały tymczasem na tyle trudności i opozycyi w kraju, że nietylko minister Altenstein, ale dotychczas żaden z jego następców nie zdołał rozwiązać tego pruskiego węzła gordyjskiego: Kościół kalwiński nie chciał zezwolić na to, aby mu odbierano lub *ad minimum* obniżano wpływ na wychowanie; tego wpływu żądali także prawowierni protestanci; udotowanie szkoły, które miało się przeprowadzić obciążeniem większych posiadłości, było drugą nieprzełamaną trudnością. To też sprawa ta, nad którą łamano sobie głowę przez lat kilka, została za ministerstwa Altensteina 14 września 1826 *ad acta* złożoną.

Ciekawą niewątpliwie będzie rzeczą dowiedzieć się, jakie już wówczas stanowisko zajmował rząd pruski w obec Katolicyzmu w kraju. Biskupi katoliccy, opierając się na prawie kanonicznem, na uchwałach soboru trydenckiego, na uchwałach pokoju westfalskiego

i na uchwale z r. 1803 dowodzili, że sprawa szkolna jest *causa ecclesiastica*. Biskupowi przysługuje przeto prawo przepisywania książek i podręczników dla szkół katolickich; do niego należy także mianowanie nauczycieli. Na takie żądania nie zgodził się rząd, trzymając się tradycyi Lutra; to też uznano, że „takie ustępstwo byłoby błędem politycznym. Państwo nie może szkoły odbierać władzom świeckim przez siebie ustanowionym, a oddawać jej obcej, zależnej od zagranicznego zwierzchnika". Rząd, w którego kołach tyle niechęci i uprzedzenia było dla Kościoła katolickiego; rząd, który biurokracyę swoją administracyjną stawia w szkole po nad instytucyą Boską, nie mógł i nie może mieć interesu w popieraniu katolicyzmu, czy to w szkole, czy po za szkołą. „Walka kulturna", poparta przez cały aparat urzędniczy, jest tylko logicznem następstwem tych zasad protestanckich, a że walka ta, wymierzona przeciw Kościołowi katolickiemu, a prowadzona i w kościele i w szkole, nie wybuchła już dawno w Prusiech, wywołana przez rząd, w tem chyba tylko zasługa stosunków politycznych. Za słabe czuły się do niej protestanckie Prusy za Altensteina i jego następców; do jej wypowiedzenia trzeba było zwalczenia dwóch sąsiadów katolickich, trzeba było: Sadowy i Sedanu. Biurografowie Altensteina przedstawiają go jako męża stanu głębokiej nauki i jasnego poglądu: To też taki bystry polityk umiał się liczyć z warunkami, jakie mu się nasuwały w Wielkopolskiej szkole; nie dotyka więc z razu niczego, coby Polaków ranić lub odstręczać od rządu mogło. W kronice szkoły Wielkopolskiej nie ma też w pierwszych latach urzędowania Altensteina ani jednego dekretu, ani jednego rozporządzenia, któreby dawało się we znaki szkolnictwu naszemu, któreby było szkodliwe dla naszej religii lub języka naszego. Zastał on reskrypt ministeryalny z dnia 15 marca 1817 r., zachęcający duchownych do gorliwego nadzoru nad szkołami miejscowemi, i do sumiennego zajęcia się niemi i nauczycielami, i na tem na razie poprzestał. Rejencye bydgoska i poznańska pospieszyły niebawem z rozporządzeniami uzupełniającemi lub przypominającemi dawniejsze, ale i te były tylko ogólnej natury. Rejencya bydgoska żąda w rozporządzeniu z dnia 23 marca 1818 r. corocznej statystyki szkół wraz z listą konduity nauczycieli. Z podobnem rozporządzeniem odezwała się rejencya poznańska dnia 12 czerwca 1818 r. Obie rejencye gorliwie pracowały

nad powiększeniem szkół elementarnych po powiatach i po miastach; to też pierwotna ich liczba 543 z r. 1815, ustawicznie wzrastała.

. . . . . .

Szkoły symultanne, przeciwko którym katolicy w całych Prusiech do dziś tak stanowczo występują, jako przeciw zakładom, szerzącym indyferentyzm religijny, budziły i u nas zawsze słuszną obawę. Za rządów Altensteina zaczęto tę latorośl wprowadzać do szkoły, ale tak monarcha, jako też minister, oparli się tej propagandzie stanowczo w reskrypcie z dnia 27 kwietnia 1822 r. twierdząc, że szkoły symultanne nie pielęgnują dostatecznie najgłówniejszego czynnika w wychowaniu, tj. religii, nie przyczyniają się do pogodzenia różnych wyznań; przeciwnie, wywołują spory między nauczycielami różnych wyznań, albo między nauczycielami a rodzicami, ztąd zaś wynikają zakłócenia religijne w gminach. Administracyjnym władzom pruskim u nas nie na rękę był ten reskrypt, biorący w osłonę Katolicyzm i Polonizm; to też ówczesny prezes naczelny Baumann zaremonstrował przeciw niemu, przywdziewając swój skrypt w niewinny na pozór płaszczyk życzliwości dla gmin. Twierdził on bowiem, że zwłaszcza w mniejszych miastach nie będzie można pourządzać szkół wyznaniowych, z powodu braku funduszów poszczególnych kontrybuentów. Takie przedstawienie rzeczy, zamotywowane niewątpliwie jeszcze innymi, głębiej sięgającymi wywodami, wywołało rozkaz gabinetowy z dnia 23 marca 1829 roku, otwierający ze względów „finansowych“ szerokie pole administracyi w zakładaniu szkół symultannych, lub w przeobrażaniu konfesyjnych szkół na symultanne. Do tego tematu przyjdzie nam jeszcze powrócić. Kończąc tu historyę ministerstwa Altensteina, w stosunku do szkół naszych, zaznaczamy, że za tego ministerstwa nakazano mocą ordynacyi separacyjnej z dnia 7 czerwca 1821 r. (§. 101), aby przy separacyi gruntów pamiętano i o szkole, i wyznaczaniu dla niej nieco ziemi na utrzymanie nauczyciela i jego rodziny. Przeznaczono też na ten cel po kilka morgów pruskiej miary. Od tego czasu datuje się uposażenie szkoły w rolę. Wyszło to na dobre i nauczycielowi i gminie: nauczyciel może wyżywić 1—3 krów, ma więc własny nabiał, a nadto zboże i paszę dla inwentarza; gminy skorzystały na tem o tyle, że nauczyciele przez szkółki owocowe i przez zaprowadzanie

nowych gatunków zboża i innych płodów, szerzyli między ludem postępowe gospodarstwo.

Z jakich pobudek Altenstein był w zasadzie za szkołami wyznaniowemi i jakimi powodowany względami nie występował z rozporządzeniami, mogącemi krzywdzić nasz język w szkole elementarnej, w to nie wchodźmy. Zaznaczmy nowy fakt, że tak u nas, jako też w całych Prusach, za jego czasów wzrastały wyższe zakłady naukowe, seminarya nauczycielskie i szkoły elementarne, których, umierając (14 maja 1840 r.) około 30.000 pozostawił w kraju. Już w 1835 r. minister francuski Cousin, zwiedzając Prusy, wyrzekł był owe słowa, które do dziś wspomina prasa pedagogiczna: „Prusy, mówił on, są klasycznym krajem koszar i szkół“ — szkół, celem wychowania narodu, a koszar, mających go bronić. Tej cały kraj ogarniającej organizacyi szkolnictwa zawdzięczają Prusy ożywioną ruchliwość i wzorowy porządek, przenikający wszystkie części tego z różnych cząstek złożonego państwa; zawdzięczają jej nadto wysoki stopień umysłowego rozwoju, jaki w tak krótkim czasie osięgły.

Następca Altensteina **Eichhorn**, objął rządy 18 października 1840 r., stojąc na czele wychowania przez blisko lat ośm. Liberalizm rozwielmożnił się za czasów Altensteina między nauczycielami wszystkich stopni, a z pomiędzy elementarnych — miejscy głowę podnosili, agitując za podniesieniem stanu nauczycielskiego, przez dostateczne udotowanie i odłączenie szkoły od kościoła. W tym ruchu nauczycieli pruskich nasi nauczyciele nie brali udziału; o ile chodziło o stosunek szkoły do kościoła, stali oni na stanowisku tradycyi, uznając szkołę jako córkę kościoła. Przeciwko tym dążeniom nauczycieli pruskich postanowił stanowczo wystąpić Eichhorn, do którego nominacyi na ministra oświecenia nauczyciele tyle słodkich nadziei przywiązywali. Personał biurowy z czasów Altensteina nie był Eichhornowi na rękę w przeprowadzeniu zamiarów, dążących szerokiem korytem do tak zwanej przez liberałów reakcyi; personału tego chciał się przeto pozbyć nowy minister, ale król oparł się temu. Nie mogąc na tej drodze nic wskórać, obejrzał się Eichhorn w kraju i przywołał do pomocy radcę rejencyjnego Eilersa, urzędującego w Koblencyi. Eilers czuł szczególną antypatyę do nauczycieli elementarnych: nie podobały mu się ich narady i zebrania, na których radzono, nad najżywotniejszemi kwestyami szkol-

nemi; ganił on odzywanie się nauczycieli w pismach publicznych, w broszurach i t. p., występował przeciw nauczycielom wydającym podręczniki szkolne; słowem, Eilers chciał mieć z nauczycieli potulne figury, któreby o szkoły i ludu potrzebach duchowych nie myślały, bo te do rządu należą. W tym kierunku zaczęły niebawem pracować niektóre rejencye: nauczycielowi westfalskiemu Rehmowi, który zaniósł do rejencyi w Arnsbergu prośbę, żądającą polepszenia szkół i wykształcenia nauczycieli, odpowiedziała rejencya, aby „się swoją szkołą zajmował, a nie wtrącał się do spraw, które go wcale nie obchodzą; królewska rejencya radzi dostatecznie o dobru i losie powierzonych jej nauczycieli".

O rozkładzie nauk, przepisanym dla seminaryów nauczycielskich przez Altensteina, niepochlebny wydał Eilers sąd, charakteryzujący dosadnie ową epokę Eichhorna i zapatrywanie ministerstwa jego na szkolnictwo. „Ci młodzi ludzie uczą się za wiele, to też potem na swych stanowiskach czują się nieszczęśliwymi; w miarę swego wykształcenia dopominają się dochodu i stawiają pretensye, których zrealizować nie można; odwodzą dzieci od chrześcijaństwa. Wykształcenie seminaryjne wzbudziło gorzkie uczucie niezadowolenia, wyrodziło dysharmonię między nauczycielami wiejskimi a ich gminami".

Za tą wskazówką, daną z góry, poszły niebawem władze prowincyonalne wyższe i niższe, wszędzie występowano przeciw lepszemu uposażeniu nauczycieli; niestety i u nas prąd ten zapanował w bardzo wielu miejscach, kopiąc coraz większą przepaść między nauczycielem a najbliższem jego otoczeniem. Znaczna część lokalnych inspektorów, którymi wówczas byli duchowni, szła tą drogą, wskazaną przez ministerstwo Eichhorna, a było to wielkim błędem politycznym, który jeśli w Prusiech złowrogie wydał owoce, to u nas tem boleśniej dał się nam we znaki. Do dziś jeszcze niezagojone te rany społeczne, zadane w owej epoce patryarchalnemu dawniejszemu pożyciu nauczyciela z swoim plebanem. Powinniby jednak nauczyciele zapomnieć o tych stosunkach, wywołanych nie przez nasze społeczeństwo.

W tej walce rządu z nauczycielami pruskimi, nie brakło też mężów, występujących w obronie szkoły i nauczycieli. Mianowicie Diesterweg, dyrektor seminaryjny w Berlinie i przemysłowiec Harkart z Westfalii należą do tych szermierzy.* Diesterwega usunięto z urzędu, głównie za wpływem Eilersa. Harkart przez długie jeszcze

lata w sejmie pruskim walczył za sprawą nauczycieli i szkoły. Na te głosy nie zważał atoli Eichhorn, obniżył pensum w seminaryach, a reskryptem z dn. 20 września 1841 r. zakazał wyznaczać w szkołach wiejskich osobnych lekcyj do geografii, historyi i nauk przyrodniczych, bo tych przedmiotów mieli nauczyciele uczyć przy nadarzającej się sposobności w czasie czytania.

Eichhorn, który podobnie jak doradca jego Eilers, nie mógł znieść nauczycieli wykształconych, chciał ich zastąpić podoficerami, przyzwyczajonymi w dwunastoletniej służbie wojskowej do rygoru i bezwzględnego posłuszeństwa. W tym też duchu wydano reskrypt minis. z dnia 12 stycznia 1845 r., oparty na rozkazie gabinetowym z dnia 16 maja 1844 r. W reskrypcie minis. z dnia 14 stycznia 1844 r. polecił Eichhorn inspektorom lokalnym, aby przeglądali szkolne i prywatne biblioteki nauczycieli. Oba te reskrypta o podoficerach i bibliotekach prywatnych, a zwłaszcza to ostatnie, wywołały niezmierne nieukontentowanie w kołach nauczycieli. Na pochwałę duchowieństwa naszego powiedzmy, że przyjęło ono ten reskrypt z zdumieniem, i nie robiło z niego użytku. Myślał także Eichhorn nad wydaniem prawa edukacyjnego, wygotował on projekt do niego, złożył go nawet 18 grudnia 1842 r. w ministerstwie, ale skończyło się i tym razem na projekcie. Zraził sobie Eichhorn znaczną część protestantów, ale natomiast zyskał zaufanie katolików, ustanawiając w ministeryum osobny wydział dla spraw katolickich. Kiedy wybuchły zawichrzenia polityczne w 1848 r., nie mógł się Eichhorn z swymi poglądami utrzymać przy tece, złożył ją też 19 marca, zaraz w pierwszej chwili ruchu politycznego. Ówczesny prąd polityczny w kraju był zupełnie przeciwny zasadom Eichhorna, dla którego najboleśniejszem mogło być to, że dawniejsi przyjaciele jego polityczni ościeniem przeciw niemu stanęli; nad czem Eilers słusznie ubolewa, zaznaczając nadto, że pożałowania godnem jest, iż mąż, znany powszechnie, jako człowiek honoru, musiał ustąpić z swego stanowiska, wśród ogólnych złorzeczeń, a imię jego przechodziło całe Niemcy, okryte jako postrach klątwą demoniczną.

Dla naszej szkoły pamiętne są rządy Eichhorna wydaniem reskryptów regulujących sprawę języka polskiego, jako przedmiotu naukowego i języka wykładowego. Rozkazem gabinetowym z dnia 20 maja 1842 r. nakazano bowiem wydanie instrukcyi dla wszystkich

szkół Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Instrukcya ta z dnia 24 maja 1842 r. przepisuje, aby przy szkołach wiejskich tylko takich nauczycieli ustanawiano, którzy umieją płynnie używać języka niemieckiego i polskiego. Każde dziecko miało pobierać naukę w swoim języku ojczystym. Językiem wykładowym miał być język polski w szkołach z przeważną liczbą dzieci polskich, a w szkołach z przewagą dzieci niemieckich, język niemiecki miał być wykładowym (§§. 1, 2 i 3). Języka niemieckiego miano uczyć we wszystkich szkołach, a w gminach przeważnie niemieckich nakazano nauczycielom uczyć języka polskiego, jeśli rodzice sobie tego życzą (§. 4).

Przy szkołach miejskich nakazywała instrukcya ile możności ustanawiać nauczycieli, znających oba języki, a język wykładowy miał się stosować do większości dzieci; w wyższych klasach miał atoli język niemiecki być językiem wykładowym. Dzieci, opuszczając szkołę miejską, powinny były płynnie wysławiać się w języku niemieckim ustnie i piśmiennie (§§. 1 i 2).

Przy seminaryach nauczycielskich kazała instrukcya ustanawiać, ile możności tylko takich nauczycieli, którzyby ucząc młodzież, mogli się płynnie posługiwać językiem polskim. Wykładowym językiem w tych zakładach mianowała instrukcya język niemiecki, i tylko religii miała się młodzież uczyć w ojczystym języku. Uczniom, nierozumiejącym niemieckiego wykładu, mieli nauczyciele przychodzić w pomoc, przez powtórzenie rzeczy w języku polskim. Przy seminaryum w Paradyżu nakazała instrukcya utworzyć zakład sierót polskich, aby w tej czysto niemieckiej okolicy mieli seminarzyści sposobność do wprawiania się w polskim języku, ucząc te dzieci (§. 1—7). Instrukcya powyższa, zajmująca się tak gorliwie językiem polskim, jest pierwszym otwartym etapem na drodze germanizacyi przez szkołę. Do szkół miejskich i do seminaryów wszedł język niemiecki jako wykładowy, utrudniając niezmiernie naukę; w szkołach wiejskich miał być częścią przedmiotem naukowym, częścią wykładowym; uczenie języka polskiego w okolicach z przeważną liczbą ludności niemieckiej, pozostawiono do woli rodziców; w miastach i przy seminaryach miano ustanawiać ile możności takich nauczycieli, którzyby znali język polski. Zrozumiano dobrze to „ile możności“, to też zaczęli wchodzić do szkoły Niemcy, nieumiejący się rozmówić z dziećmi, bo ledwo nieco język nasz znający. Mieli oni nas oswoić

z tą myślą, że nauczyciel nie potrzebuje znać języka powierzonych mu dzieci szkolnych. Do szkół miejskich i wiejskich zajeżdżali już teraz częściej rewizorowie, bo oprócz dyrektorów seminaryjnych, odbywali także rewizye radcy rejencyjni, którym zwykle zamało było postępów w języku niemieckim. Już na dobre zaczęła szkoła nasza uczuwać gniotącą ją rękę germanizacyi. Takie stosunki pozostawały u nas przez lat kilkanaście, stawiając coraz większe pretensye do szkoły o szerzenie języka niemieckiego. Zarysy *(Grundzüge)* z dnia 9 listopada 1867 r., z czasów ministerstwa Mühlera, wystąpiły jawnie z tem żądaniem, poczem można było być przygotowanym na cięższe ciosy wymierzone w szkołę. Tej bolesnej chwili doczekaliśmy się też z objęciem teki ministerstwa oświecenia przez *Dr. Falka* 1872 r., o czem obszerniej pomówimy, rzuciwszy atoli wpierw, chociaż na chwilę wzrok na ówczesny ruch w szkolnictwie pruskiem, aby się zaznajomić z wymaganiami nauczycieli z jednej, a z stanowiskiem rządu w obec tych pretensyj, z drugiej strony.

Widzieliśmy, że wzburzenia polityczne w r. 1848 poruszyły także nauczycieli elementarnych w Prusiech, dopominających się lepszego uposażenia i wyswobodzenia szkoły z pod opieki Kościoła. Po Eichhornie objął tekę ministerstwa *Rodbertus*, który atoli ledwo kilka dni wytrwał na tem stanowisku, poczem ster wychowania przeszedł w ręce ministra **Lavenberga.** Zbyt rozgorączkowane zastał Lavenberg umysły w całym kraju, aby od razu mógł był powstrzymać agitacyę nauczycieli, dopominających się na licznych zjazdach różnych prerogatyw dla szkoły, a tem trudniejsze było stanowisko Lavenberga, ponieważ ówczesny ogólny prąd liberalny porwał z sobą wielu urzędników, a nawet dyrektorów seminaryjnych i nauczycieli. Widocznem to było na obradach 13 dyrektorów i 53 nauczycieli seminaryjnych, których rząd na dzień 15 stycznia 1849 r. powołał do Berlina, aby przez nich poznać życzenia nauczycieli. Dwa tygodnie trwały te obrady, z których przebiegu król Fryderyk Wilhelm IV. widocznie niezadowolony, przybył na jedno z posiedzeń, a słysząc, co się dzieje, zabrał głos, wynurzając radzącym, że całe nieszczęście, jakie w r. z. 1848 na kraj spadło, było jedynie ich winą. „To połowiczne wykształcenie, ta bezreligijna mędrkowatość, którą jako prawdziwą mądrość szerzycie,

a przez którą wytępiliście w umysłach moich poddanych wiarę i wierność, i odstręczyliście mi serca ich, sprowadziły tę klęskę. Tego napuszającego się blichtrowego wykształcenia nie mogłem znieść jako książe następca tronu, nienawidziłem go z głębi duszy, a jako monarcha dołożę wszelkich starań, aby je przytłumić. Nie obawiam się ludu; ta nowomodna lekkomyślna mądrość światowa zatruwa i podkopuje mi moją biurokracyę, o której sądziłem dotychczas, że ona jest moją dumą. Przedewszystkiem żądam, aby wszystkie seminarya przeniesiono do małych miejscowości, aby je usunąć od nieszczęsnych wpływów zatrutego ducha czasu".

Jak prąd zimnej wody spadły te słowa monarchy na obradujących p e d a g o g ó w, to też od razu zmienili swoje poglądy i w 22 tezach orzekli między innemi, że „kształcenie nauczycieli jest rzeczą państwa, seminarya są internatami, i w średnich miastach winny być urządzane. Mają one mieć charakter wyznaniowy. Kurs w nich trzyletni. Państwo radzi o przysposabianiu preparandów, ale nie w osobnych zakładach".

Jakże różniły się te uchwały od wymagań nauczycieli pruskich, tj przeważnie protestanckich, dopominających się za wszelką cenę wyswobodzenia szkoły z pod Kościoła! To też znając wolę monarchy i widząc, że Lavenberg, w którym nie mało nadziei pokładano, nie spełnia ich życzeń, przycichli chwilowo, a kiedy konstytucya pruska z d. 31 stycznia 1850 r. zapowiedziała w art. 26 wyraźnie ustawy edukacyjne, zwrócili swoje widoki do tej zapowiedzi. Wywiązując się Lavenberg z swego zadania spisał w myśl art. 26 konstytucyi projekt do ustawy edukacyjnej, ale znowu skończyło się na projekcie. Dnia 19 grudnia 1850 r. wstąpił *Raumer* w miejsce Lavenberga. Był to reakcyonista; ustawy edukacyjnej nie pragnął, twierdząc, że trudną nader jest rzeczą rozsądzać w niej prawa Kościoła i państwa do szkoły stawiane. Natomiast wynurzył życzenie, aby wyznaczono nauczycielom lepsze pensye. Mało jednak w tej mierze uczyniono, to też zwiększał się brak nauczycieli, czemu chcąc Raumer zapobiedz, ustanowił przy seminaryach półroczne kursa dla młodzieży z odpowiedniem wyższem wykształceniem. Zwłaszcza uczniowie wyższych klas gimnazyalnych korzystali z tej instytucyi, ale to nie wypełniło niedoboru i nie powiększyło liczby nauczycieli, odpowiednio do potrzeb — wiele szkół było nieobsa-

dzonych. Za czasów Raumera wyszły z ministerstwa trzy regulaminy (1, 2 i 3 październ. 1854), dla szkół protestanckich, przepisując materyał naukowy. Wywołały one wielki niesmak w nauczycielach, jako zbyt mechanizujące umysł dzieci. Głównie na pamięć miały się dzieci uczyć, a mianowicie bardzo wiele religii; tejże zasady trzymano się w seminaryach. Raumer chciał przez to podnieść religijność w narodzie; pedagogowie jednak dowodzili mu, że to środek zwodniczy. Utrzymały się owe regulaminy jednak w szkole protestanckiej przez lat przeszło 18, bo dopiero dr. Falk je usunął rozporządzeniem z dnia 15 października 1872 r.

Bethmann Hollweg, który przez lat blisko cztery dzierżył tekę ministeryalną oświecenia po Raumerze (6 listop. 1858, do 18 marca 1862) był na wskróś konserwatystą, niechętnie też zabierał się do zmian w ustroju szkolnym, jaki przyjął po swym poprzedniku. W projekcie do ustawy edukacyjnej, który się znowu pojawił, ale podobnie jak poprzedzające go, przeszedł do aktów, wyznaczono dla szkół ludowych sześć lekcyj nauki religii tygodniowo, radzono o języku ojczystym dzieci, w dozorze szkolnym wyznaczono miejsce dla księdza parafialnego, mianowano nawet księdza opiekunem szkoły, inspektorem powiatowym miał także być kapłan, a gdyby władza rządowa na to stanowisko mianowała osobę świecką, w takim razie władza duchowna miała z swego ramienia mianować swego inspektora, któryby czuwał nad czystością nauki religii w szkole. Tę względność dla języka naszego i dla religii zachowano za następcy Hollwega, którym był minister Mühler (od 18 marca 1862 do 17 stycznia 1872). Za jego to czasów 24 marca 1863 r. przedłożyła Izba pruska rządowi pod rozwagę oświadczenie, w którym radzono uwzględnić w ustawie edukacyjnej język polski, a w nadzorze szkoły miały brać udział korporacye religijne.

Kiedy po wojnie austryacko-pruskiej zaczęła prasa przypisywać nauczycielowi pruskiemu zasługę w odniesionem nad Austryą zwycięstwie, skorzystali z tego nauczyciele i przyjaciele szkoły pruskiej i coraz stanowczej dopominali się ustawy edukacyjnej. Wygotowało znowu ministerstwo projekt z dnia 2 listopada 1869, projekt dość obszerny, ale i ten elaborat poszedł *ad acta*. Z tego obszernego projektu przekonujemy się, że w szkołach ludowych miały się dzieci nauczyć płynnego wysłowienia się ustnie i piśmiennie w ję-

zyku ojczystym. Kapłan parafialny miał być inspektorem szkoły swego wyznania, inspektorów powiatowych miano z reguły mianować z grona duchownych, którym oddać należało nadzór nad nauką religii tego wyznania, do którego należeli. Dla szkół naszych jednoklasowych były wówczas obowiązującymi „Zarysy“ (z dnia 9 listopada 1867 r.), przepisujące lekcye religii. Podług tych zarysów uczono w szkole w sześciu lekcyach tygodniowo religii a w ośmiu lekcyach języka polskiego.

Kiedy w sejmie pruskim i w ministerstwie brano publicznie w opiekę nasz język i religię, to równocześnie od lat kilku czuliśmy prąd przeciwny tym objawom, które w rzeczywistości były tylko pozornymi: po miastach uczono coraz więcej języka niemieckiego z krzywdą dla ojczystego języka dzieci naszych; rewizorowe, zaglądający teraz coraz częściej do szkoły z polecenia wyższych władz administracyjnych, widzieli zawsze za słabe postępy w języku niemieckim, a co się tyczy religii katolickiej, to głuche dochodziły posłuchy, że swoboda duchowieństwa w opiekowaniu się szkołą nie na rękę protestanckim kierownikom, stojącym u steru w biurach ministeryalnych i prowincyonalnych; w powietrzu czuć było jakąś duszną atmosferę, jakieś złowrogie przeczucie przejmowało katolików. (Dok. nast.)

Listy z nad Bałtyku.

I.

Zamęt pojęć o kresach baltyckich. — Łotwa. — Litwa. — Prusowie. — Jadźwingowie. — Osadnicy niemieccy i *Fratres militiae Christi*. — Krzyżacy inflanccy. — Dalsze losy Łotyszów. — Dane statystyczne o nich.

W październiku 1885 r.

Wielkim zaiste musi być dotąd zamęt pojęć o kresach baltyckich w Zachodniej Polsce, jeżeli stamtąd — i to od osób, które o nieznajomość krajoznawstwa najmniej posądzaćby można było — dochodzą do nas często listy adresowane: „*Riga en Courlande*“, „*Riga in Kurland*“ (sic!)

Nieznajomości o tych ziemiach niegdyś polskich nie zdołała jeszcze całkowicie rozjaśnić książka w r. 1879 w Poznaniu wydana i nosząca tytuł: „Inflanty polskie, poprzedzone ogólnym rzutem oka

na 7-miowiekową przeszłość całych Inflant", a to zapewne z powodu, że w wielu skądinąd nader łaskawych a cennych rozbiorach i recenzyach tego skromnego przyczynku do krajoznawstwa naszego, obok przeceniania jego zalet, spotykamy także i zdania następne, wypowiedziane tonem nieomylnej powagi:

„Jak wiadomo (sic!) Inflanty właściwe i Estonia (sic!) zowią się niekiedy Inflantami szwedzkiemi" (sic!)[1], albo: „Ponieważ tu głównie chodzi o Inflanty polskie — są słowa innego i ze wszechmiar szanownego recenzenta — powinien był autor podać tylko jak najzwięźlej historyę tak zwanych Inflant szwedzkich czyli Kurlandyi (sic!); tymczasem ta ostatnia (sic!) zajmuje więcej miejsca, niż dzieje tamtych"[2]. Przypomnieć tu musimy nawiasem, że w książce wyżej wspomnianej o Kurlandyi zgoła mowy nie ma.

Zarzuty wszakże tego rodzaju nietylko, że nie zraziły piszącego do dalszych badań w zakresie krajoznawstwa okolic północno-wschodnich dawnej Polski, ale owszem, bardziej go do nich zachęciły; przekonały bowiem najdobitniej o rzeczywistej potrzebie przesyłania od czasu do czasu czytelnikom zachodniej Polski o ile możności najbardziej wyczerpujących wiadomości w celu bliższego zapoznania ich z naszą okolicą kresową.

Przedmiotem dzisiejszej pogadanki ma być Łotwa i jej mieszkańcy. Artykuł „O postępie na Łotwie" umieszczony w zeszycie kwietniowym waszego szanownego czasopisma[3] daje mi powód zapoznać bliżej czytelników *Przeglądu Powszechnego* ze szczepem łotewskim, który nietylko w Europie, ale i u nas tak mało jest znanym.

Lud, zajmujący wybrzeże Wenty i Abawy, Lentawy (czyli rzeki Aa), Dźwiny i Bałtyku, na całej przestrzeni odnogi ryskiej,

---

[1] Porównaj: *Przegląd katolicki.* Warszawa r. 1879, Nr. 48 i z r. 1880. Nr. 4. a mianowicie artykuł „Sprostowanie o Inflantach", i tamże przypiski, w których szan. recenzent obstaje przy swojem błędnem zapatrywaniu się na kwestye jemu dosyć obce, i nawet w ogłoszeniu samego tekstu wspomnianych „Sprostowań" dopuszcza się zmian dowolnych.

[2] Obacz: *Kuryer poznański* Nr. 91 z r. 1879 i książkę w r. 1880 w Poznaniu wydaną pod tytułem: *I zbliska i zdaleka,* a w której tenże feljeton *Kuryera* dosłownie został przedrukowanym.

[3] Ob. *Przegl. Powsz.* z kwietnia b. r., a mianowicie tom VI., str. 140—143. Na niedokładności w powyższym artykule zawarte, zwróciliśmy w swoim czasie uwagę szanownej Redakcyi.

oraz od przylądku Domesnez, aż do ujścia rzeki Świętej (Heiligen Aa), należy do plemienia litewsko-łotewskiego, które dzieliło się: 1) na Lettgalów, później nazywanych Łotyszami (Łotwą), z których mała cząstka nosiła miano Semingalów; ci Lettgalowie zajęli najbardziej północne okolice a mianowicie: Kurlandyę i dzisiejsze Inflanty tak polskie, jako i szwedzkie, t. j. małą część dzisiejszej gubernii witebskiej, i większą (południową) część gubernii inflandzkiej czyli ryskiej; 2) na Litwinów, czyli Litwę właściwą (Letuwa), o których czytelnikom nie braknie wyczerpujących wiadomości; 3) na Prusów, którzy zajmowali pobrzeża Bałtyku od morza ku południowi, na prawym brzegu dolnej Wisły, ku wybrzeżom rzeki Drwęcy w dzisiejszych Prusach wschodnich; i wreszcie 4) na szczep Jadźwingów, którzy mieszkali na południe od Narwi, ku siedzibom polskiego szczepu Mazurów.

Jadźwingowie wytępieni byli w walce z Polską w XIII. stuleciu; Prusowie również wyginęli pod naciskiem krzyżackiego oręża i srogich germanizujących praw, a język ich uległ zatraceniu. Ostatnia kobieta mówiąca po prusku żyć przestała w połowie XVII. stulecia.

Z całego litewsko-łotewskiego plemienia, tylko szczep czysto litewski odegrał pewną rolę dziejową.

Był on już w XI. wieku wystawionym na najazdy, które pośrednio przyczyniły się do grupowania pojedyńczych gmin litewskich w jednę osadę. Były to najazdy waregskich książąt, panujących nad krewickimi ludami i dlatego u Łotyszów Rosyanin nazywa się dotąd „Krews“, a Rosya „Krewu-ziemie“, t. j. ziemia ludów krewickich.

Następstwem tych napadów ze strony ludów krewickich, było hołdowanie Litwinów z po nad górnej Wilii wielkiemu księciu Jarosławowi Włodzimierzowi.

Lecz daleko większego wpływu na losy całego plemienia litewsko-łotewskiego, a więc wszystkich składających go szczepów (Łotyszów, Litwinów, Prusów i Jadźwingów), były usadowienia się niemieckich osadników najprzód w r. 1200 u ujść Dźwiny, a wkrótce potem ponad Dolną Wisłą.

W roku 1202, dla obrony osadników niemieckich u ujść Dźwiny, założonym został w Inflantach zakon kawalerów mieczowych, znanych w dziejach tego kraju pod nazwą: *Fratres militiae Christi*

de Livonia, a w roku 1230 krzyżacy zaczęli się osiedlać na dobre w ziemi chełmińskiej.

I tu i tam, pod pozorem apostołowania, rycerskie zakony szerzyły ucisk, zabór i wytępiały ludność miejscową. Pierwsi, tj. kawalerowie mieczowi, całem swem brzemieniem przytłaczali Łotyszów i mieszkających przeważnie na morskich wybrzeżach Kuronów i Liwów, (należących również jak Estowie do plemienia fińskiego, a stanowiących obecnie już tylko nieznaczną cząsteczkę tego plemienia), drudzy zaś gnietli nielitościwie Prusów.

Prusowie i Łotysze, oba szczepy pokrewne Litwinom, wciągały i tych ostatnich w krwawe zapasy; lecz głównie Litwa wspiera Łotwę i walczy uporczywie z Kawalerami mieczowymi, nad którymi dosyć często odnosi zwycięstwa.

W roku 1236 zadają Litwini taką klęskę Kawalerom mieczowym, że zakon ich, czując się zbyt słabym i osamotnionym, jednoczy się i (za staraniem papieża Grzegorza IX. w roku 1237) zlewa zupełnie z zakonem krzyżackim, noszącym tu odtąd nazwę: *Fratres domus Teutonicorum per Livoniam*, dla odróżnienia go od pruskich Krzyżaków.

Ten zakon Krzyżaków inflanckich teraz już nietylko szczepom Liwów i Łotyszów, lecz nawet samym biskupom inflanckim śmiało stawia czoło i w tych nadmorskich krainach do coraz większej władzy dochodzi.

Ostatecznie potęgę pogańskich Łotyszów, która się najdłużej utrzymała w dzisiejszej Kurlandyi i Semigalii, łamie raz na zawsze już w końcu XIII. stulecia zakon inflancko-krzyżacki, zdobywając gródek pogański „Terweten“. Dzięki dokładnym wiadomościom, powziętym z „inflanckiej kroniki rymowanej[1]“, możemy dzisiaj jasny dopatrzyć związek pomiędzy wypadkami a miejscem, które było widownią krwawego dramatu, ostatecznego podboju łotewskiej Semigalii pod władzę inflanckiego krzyżacko-rycerskiego zakonu. Doblena, Raken i Sidobrena, bez silnego grodu Terweten, stały się dla szczepu łotewskiego straconym posterunkiem; bez niego straciły

[1] Przypisywana przez wielu uczonych Ditlepowi de Alupeke, co wszelako wedle najnowszych studyów, dokonanych przez słynnego badacza dawnych kronikarzy inflanckich Dra Jerzego Berkholca, grubym jest błędem.

główny punkt podpory i łączyć się z pogańską Litwą już nie mogły. Założony zaś nieopodal przez Krzyżaków zamek Heiligenberg, chociaż siał przestrach i krwawe łzy, chociaż niewiele lat liczył istnienia, przedstawia nam koniec walki zaborczej i początek nowej cywilizacyjnej epoki dla chrześcijańskiej już odtąd Kurlandyi, Semigalii, i całych Inflant, słowem wszystkich ziem, przez szczep łotewski dotąd zamieszkałych.

Łotysze mieszkają obecnie w guberniach: inflanckiej (czyli ryskiej), kurlandzkiej, części witebskiej, (zwanej „Inflantami polpolskiemi") i cząstek niektórych pogranicznych powiatów gubernij: kowieńskiej i pskowskiej. W XII. stuleciu stanowili oni, jak to wykazaliśmy wyżej, lud samodzielny i dosyć silny, lecz podbici najprzód przez zakon Kawalerów mieczowych *(Fratres militiae Christi de Livonia)*, któremu niezwykły stawiali opór, a następnie przez zjednoczony z nim od roku 1237 najzupełniej zakon Krzyżaków inflanckich *(Fratres domus Teutonicorum per Livoniam)* i nawróceni ostatecznie przez tych ostatnich, stracili całkowicie swoją samoistność. Za tychże Krzyżaków powodem, w połowie XVI. stulecia, większa część Łotyszów przyjęła wyznanie ewangelicko-augsburskie.

W roku 1561, za króla polskiego Zygmunta Augusta, wraz ze wszystkimi stanami całych Inflant, przeszli i Łotysze pod panowanie Rzeczypospolitej polskiej, do której część ich zamieszkała w Inflantach szwedzkich (czyli dzisiejszej gubernii inflanckiej albo ryskiej) należała do roku 1621, część zamieszkała w Inflantach polskich (stanowiących obecnie cząstkę gubernii witebskiej) do roku 1772, w którym Inflanty polskie wraz z Białorusią przyłączono do Cesarstwa rosyjskiego, a część zamieszkała w księstwie Kurlandyi i Semigalii (stanowiącem lennicze państewko Rzeczypospolitej polskiej do końca jej istnienia) aż do roku 1795, w którym nastąpił trzeci rozbiór Polski, a Kurlandya poddała się berłu rosyjskiemu.

Podług najnowszych danych statystycznych z dnia 12 stycznia roku 1882, liczba Łotyszów, stanowiących ogół ludu wiejskiego w gubernii kurlandzkiej, wynosi razem 479.978 głów; z tej liczby na miasta kurlandzkie przypada ich zaledwie 17.625; w gubernii inflanckiej czyli ryskiej (a mianowicie w jej wszystkich powiatach południowych i średnich) liczą Łotyszów ogółem 490.345, z których na miasta przypada 75.681 płci obojga; w Inflantach polskich

(weszłych od roku 1802 w skład gubernii witebskiej) liczą obecnie 205.000 Łotyszów płci obojga, zamieszkałych w powiatach: dyneburskim, lucyńskim i rzeżyckim; w gubernii kowieńskiej w dwóch tylko jej powiatach: poniewieskim i nowoaleksandrowskim (graniczącym z Kurlandyą) liczba łotewskich mieszkańców dochodzi do 20.000; nakoniec w gubernii pskowskiej w pogranicznym powiecie ostrowskim jest ich w kilkunastu osadach zaledwie około 200 głów. Ogółem więc liczba Łotyszów płci obojga wynosiła w roku 1882 przeszło milion głów (właściwie 1,195.523)[1].

Podług wyznań nie rozdzielają Łotyszów najnowsze nasze źródła statystyczne. Możemy więc tylko zaznaczyć, że obecnie w tym szczepie przeważa wyznanie ewangelicko-augsburgskie. Religię rzymsko-katolicką wyznaje przeszło $^1/_4$ miliona Łotyszów, zamieszkujących górną Kurlandyę, Inflanty polskie, oraz obszerne parafie łotewskie: Lenen, Liwenbersen i Alszwang, w Kurlandyi dolnej. Takich, co w połowie bieżącego stulecia przyjęli prawosławie, jest niewielu. Koncentrują się oni przeważnie w Inflantach szwedzkich, w okolicy Kokenhuzy, a w dolnej Kurlandyi, w okolicy miasta Goldyngi, w którem istnieje ich bractwo.

Gustaw Manteuffel.

Z Poznania.

Dnia 10 listopada 1885 r.

Niepomyślny rezultat wyborów tegorocznych do sejmu pruskiego nowy cień rzucił na naszą dzielnicę, już i tak tylu świeżemi i dawniejszemi klęskami nawiedzoną. Straciliśmy wszystko, co przed

---

[1] Źródła statystyczne czerpię do niniejszego listu przeważnie z dzieł następujących: *F. Jung-Stilling* i *W. Anders:* „Ergebnisse der livländischen Volkszählung vom 29 December 1881 bis 10 Januar 1882, Theil I., Band I., Lieferung I., Band II., Lieferung I., i Band III., Lieferung I. (Ryga, roku 1883 i 1884), oraz z ogłoszonej w końcu zeszłego roku pracy: „Ergebnisse der kurländischen Volkszählung vom 29 December 1881, bis 10 Januar 1882". Theil III., Band I. „Die Zählung auf dem Lande und in den Flecken", Lieferung I., (Mitawa, 1884), a także z nieogłoszonych jeszcze źródeł rękopiśmiennych, dostarczonych nam łaskawie przez członków miejscowych komitetów statystycznych.

sześcioma laty zdobytem zostało. Trzy okręgi wyborcze, w których do niedawna odnosiliśmy zwycięstwo, bądź drogą kompromisu z katolikami niemieckimi, bądź wysileniem własnem, tym razem przepadły. Zamiast tedy piętnastu posłów, zaledwie dwunastu, dzielnica w dwóch trzecich polska wyśle dla obrony swych interesów do Berlina. Że zaś i Prusy Zachodnie straciły jednego z drobnej liczby swych reprezentantów, koło polskie doliczy się ogółem piętnastu tylko członków. Skład koła pozostanie mniej więcej jednaki; z Księstwa zaledwie jeden nowy poseł wkroczy po raz pierwszy na tę cierniową drogę sejmową, do której coraz mniej u nas bywa poświęconych ochotników. Ks. Leonard Ostrowicz, z kaznodziejskiej słynny wymowy, przeniesie niezaprzeczony talent na trybunę polityczną, na której ks. prałat Stablewski tyle już zebrał i zbiera zasług i wawrzynów. Z pośród garstki posłów z Prus zachodnich, obok p. Ignacego Łyskowskiego, wybrano dwóch deputowanych o niemieckich nazwiskach, choć obaj są Polakami: prof. Szredera i kanonika Naubauera z Pelplina. Szczupłość naszej reprezentancyi bolesną wywołała trwogę we wszystkich sferach naszej dzielnicy. Alboż do tyla ostatnie lata przerzedzić zdołały nasze szeregi? Alboż duch został uśpiony? agitacya okazała się niedostateczną? germanizacya zwycięzko postąpiła naprzód? Rozpatrzywszy się w rezultacie i przebiegu ostatnich wyborów, można o nich dziś wypowiedzieć słowo prawdy. Ubytek liczebny sił naszych nie okazał się tak znacznym, skoro zwycięztwa niemieckie zaledwie nader małą przechodziły liczbą głosów. Lud się wszędzie stawił z sumiennością i świadomością obowiązku i walki wyborczej. Agitacyi przygotowawczej nie zabrakło, ani ze strony prasy, ani ze strony klas oświeceńszych. Cóż więc tak smutne dla nas wywołało skutki? przedewszystkiem nowa geometrya wyborcza, coraz misterniej nakreślone okręgi, dla ułatwienia przewagi żywiołu niemieckiego, a utrudzenia udziału polskim wyborcom. Z genialnością nienawiści, oznaczono odległe punkta, aby zniechęcić i przerzedzić liczbę spieszących do urny wyborczej kmiotków, pozmieniano dawniejsze urządzenia, aby zbałamucić lud prosty, ponaginano dowolnie rozkład i porządek wyborczy, w takim np. stosunku, iż w jednej miejscowości 900 Polaków wybierało trzech *Wahlmann'ów*, a opodal 760 Niemców także do wybrania trzech uprawnionymi zostali. W innej okolicy tak pozmieniano sztucznie geometryę wy-

borczą, iż gdzie dawniej wybierano czterech *Wahlmann'ów*, z których trzech Polaków, obecnie przeszło ich sześciu, co do jednego Niemców i protestantów. Atoli nie sama tylko geometrya zarządzona zgóry tym razem naszą przegraną w tylu zgotowała miejscach. Raz więcej mieliśmy sposobność ocenienia jaką bezmierną krzywdę, pociąga za sobą dla ogólnego interesu kraju i sprawy publicznej utrata większej własności, w niemieckie przechodzącej ręce. Ludu nie ubyło, ale ubyło nam ziemi w ciągu lat ostatnich, i to, niezawodnie o złowrogim wyniku tegorocznych wyborów rozstrzygnęło. Właściciele Niemcy, a bardziej jeszcze urzędnicy w wielkich włościach, które tu z politycznych widoków ponabywali książęta i magnaci niemieccy, nie sromali się wywierać niebywałego nacisku na obrót rzekomo wolnych wyborów. W istocie, o wolności mowy nie było, i w innych stosunkach jak nasze, możnaby nie jeden unieważnić wybór przywiedzeniem nagich faktów. Prawie powszechnie grożono naszym wieśniakom utratą miejsca i zarobku, jeżeli się odważą głos oddać na Polaka. Pewnemu cieśli, w Obornikach, zaraz przy urnie wyborczej chlebodawca Niemiec wypowiedział miejsce, za oddanie głosu na polskiego kandydata. Gdzieindziej urzędnik gospodarski pilnie zapisywał imiona opornych, aby im dać uczuć swe nieukontentowanie. To prostaczków przekupywano darem kapusty (notabene tak obfitej w bieżącym roku, iż nader tani był to proceder wyborczy). Innym grożono, że im z pola tejże kapusty nie zwiozą. Urzędnicy hr. Prücklera tak zawzięcie się zabrali do dzieła, iż dla pozyskania tem pewniejszego licznych głosów włościańskich, na wskazanych przez siebie kandydatów, wytoczyli beczkę wódki, i tak suto uczęstowali polskich chłopów, iż jeden się na śmierć zapił, kilku zachorowało, a resztę jak trupów poodwożono do domów. Nie brakło namów, ale jeszcze więcej znalazło się pogróżek, a terminatki z powodu oporu przy wyborach wydawane, z przebiegłością antydatowano, aby w danem razie nie można sprawy podnieść przed forum publicznem. Lud poczciwy i oświecony trzymał się dzielnie, bronił jak mógł, trudno jednak od wszystkich bohaterstwa wymagać, i nie dziw, że wielu osłabło i w oporze zwątlało, w obec groźby utraty chleba i dachu, przed idącą zimą.

Smutne to są karty obecnego naszego położenia. A tymczasem wydalania zamiejscowych postępują nieubłaganie. Niedawno władze

tutejsze w gorliwości swej powołały nawet pewnego nieboszczyka aby się w tej chwili z kraju wynosił. Oficer wojsk pruskich, p. Henryk Potworowski, nie zdołał się obronić przed wyrokiem banicyi z państwa, którego mundur przez lat wiele nosił, dlatego tylko, iż się urodził w Królestwie polskiem. Jednocześnie filozof pesymizmu, Hartmann, na nowo podnosi dawniejsze swe hasła, nawołujące do systematycznego *Ausrotten* zabłąkanych wśród niemieckiej ojczyzny Słowian. Pod tytułem: *Moderne Problème*, wydał on w Lipsku książkę, w której powtórzył ów głośny w swoim czasie artykuł, rozwijający systemat tępienia wszystkich obcych żywiołów, germanizacyi opornych, a więc przedewszystkiem katolickiego Kościoła i Polaków.

Piękny zaiste przedstawia widok katolickie w Niemczech stronnictwo. Chybiły wszystkie podstępne usiłowania, aby ich osłabić lub rozdwoić. Przy wyborach uwydatniła się jedność, wytrwałość i żarliwość tych dzielnych szermierzy, którzy umiłowawszy prawdę i sprawiedliwości strzegą, i stąd, zawsze odezwać się gotowi w sprawie uciśnionych i nieszczęśliwych. *Centrum* stanęło poważnie i potężnie, z 101 mandatami, a zatem z przybytkiem dwóch krzeseł, od ostatniej kadencyi. Wszystkie przewodnie światła tego wyjątkowego w dziejach parlamentarnych stronnictwa, z wyjątkiem jednego Augusta Reichenspergera, który dla lat sędziwych wycofał się z życia publicznego, na nowo zstąpią w szranki: a więc dr. Windthorst, Piotr Reichensperger, Schorlemer-Alst, Bachem, Porsch, Lieber, Huene i t. d. Rycerski ten zastęp z nowym zapałem podejmie prace sejmowe, czując za sobą rosnącą siłę katolików niemieckich.

Wywalczyli już oni niejedno dla siebie, dla Kościoła w Niemczech. Czyliż nie przybliży się godzina względnego dla naszych dyecezyj pokoju. Sprzeczne wieści o mniemanych i przerywanych wciąż układach do zupełnego już doprowadziły nas zwątpienia. Błyskiem pociechy w tych zaciemnionych dniach był nam list ks. kardynała Ledóchowskiego, z którym utrwalają się dotąd najściślejsze węzły ze strony Jego osieroconych owieczek. Corocznie mianowicie dzień 29 października święcony jest w całej archidyecezyi nietylko modlitwą za ukochanego Arcypasterza, ale mnóstwem listów, telegramów i życzeń, słanych do Rzymu z miast i siół naszych, tchnących zawsze jednaką dla Jego najdostojniejszej osoby miłością i wier-

ścią. Nie mogąc wszystkim z osobna odpisywać — Jego Eminencya na ręce *Kuryera Poznańskiego* przesyła wszem w obec podziękowanie z wyrazem rzewnej zawsze wdzięczności i tęsknoty. I w tym roku list kardynała wspominając o przewodniem wszystkich Jego owieczek życzeniu, aby czemprędzej do nas powrócił, zda się możliwość tego szczęścia i cudu przypuszczać, owszem nakłania do wspólnych modłów, aby tę błogą chwilę przyspieszyć.

Znalazły się tam i słowa zachęty dla dzielnej redakcyi *Kuryera Poznańskiego*, którego zasługi w ciągu bieżącej walki kulturnej powszechnem cieszą się uznaniem. Niestety! z innej strony groźne znów zbierają się chmury. Rząd bowiem postawił w Radzie związkowej wniosek, domagający się zaostrzenia prawa prasowego, i to w sposób najdotkliwszy dla nas, co pozwala się domyślać, iż ta nowa surowość głównie przeciw czasopismom polskim jest wymierzoną. Tymczasem z radością i chlubą zapisać należy pomyślny rozwój naszej prasy, zwłaszcza ludowej. *Wielkopolanin* dorósł już poważnej liczby 6000 abonentów. *Przyjaciel ludu* obchodził dwudziestopięcioletni jubileusz swego istnienia, Szlązk ma wybornego *Katolika*, Prusy zachodnie doskonale wydawanego *Pielgrzyma*, a mimo przeciwnych warunków, doliczyć się możemy pod zaborem pruskim dwudziestu kilku rozmaitej treści i rozmiarów czasopism które, z jednym chyba wyjątkiem swarliwego *Gońca*, wszystkie starają się dopełniać poczciwie i zacnie obowiązku religijno-narodowego.

M.

Z Anglii.

Londyn. Listopad 1885.

Anglia jest w Europie jedynym właściwie krajem parlamentarnym, nie biorę tu w rachubę rewolucyonistów francuskich; w Anglii jaki parlament, takie ministeryum, a jakie ministeryum, taka jest polityka wewnętrzna i zewnętrzna: dlatego wybory w Anglii należą do największych momentów życia narodowego. Wybory są już rozpisane, agitacye rozpoczęły się na wielką skalę. Dwa stronnictwa sięgają po berło: konserwatyści z Salisbury'm na czele, i liberalni w osobie Gladstone'a. Jakkolwiek jedni i drudzy mają za zadanie

utrzymanie potęgi angielskiej na zewnątrz, i rozwoju umysłowego i materyalnego na wewnątrz, lecz tak są różne ich punkta wyjścia i środki do ich osiągnięcia, że od skutku wyborów zależeć będzie nietylko obrót, jaki sprawy wezmą na Wschodzie, lecz nadto, co nas przeważnie tu zajmuje, ustalenie nowych zasad nauczania początkowego w kraju.

Pod względem cywilizacyi i prawdziwej wolności Anglia od półwieku wielki krok uczyniła naprzód. Znikła już prawie dawna sekciarska nienawiść ciemnych mas ku Katolicyzmowi: dzikie *no popery* nie powtarza się już na ulicach miast angielskich. Wyjątkowe i oburzające ludzkość prawa powoli zostały usunięte; katolicy angielscy nietylko mają zupełną swobodę sumienia, lecz pod każdym względem są równo-uprawnieni z innymi obywatelami kraju.

Katolicy w Anglii nie od parady noszą swe imię; nietylko się nazywają ale są w życiu katolikami. Są katolikami w ognisku domowem spełniając przykazania Boskie i kościelne, w życiu społecznem i politycznem stoją na stanowisku katolickiem. Duchowieństwo angielskie bierze czynny udział w ruchu wyborczym; Anglicy nietylko że tego im za złe nie mają, przeciwnie, to ich podnosi w opinii publicznej.

Kapłaństwo nie wyklucza obywatelstwa, lecz tylko wynosi do warstwy społecznej, a stanowisko tej warstwy żąda od jej członków aby nietylko nie uchylali się od spraw doniosłych, ale nadto aby wyjaśniali i wskazywali chrześcijańskie zapatrywania.

Kardynał Maning wydał w „Dublin Review“ odezwę do wyborców katolickich; ponieważ w niej znajduje się wiele rzeczy mających ścisły związek z naszymi stosunkami, sądzę, iż streszczenie jej będzie użyteczne dla waszych czytelników. W pierwszym ustępie, który nosi tytuł: O b o w i ą z e k k a t o l i k ó w w z g l ę d e m w ł a d z ś w i e c k i c h, mówi: „Stosunek Kościoła we wszystkich państwach do władzy świeckiej, powinien być takiż sam, jaki jest stosunek Stolicy Apostolskiej do wszystkich mocarstw świata. Stosunek ten polega na niezależności dobrej woli, i współdziałaniu w rzeczach mających związek z religią. Jednakże Stolica święta pomimo zajęcia Rzymu zachowała swoją niezależność, podczas gdy my wszyscy zlewamy się z narodem poddanym władzom świeckim — a stąd kościół lokalny (miejscowy) stanowi cząstkę życia narodowego swego kraju,

ale tylko o ile to dotyczy członków kościoła, lecz sam kościół, jako taki, nie jest częścią życia narodwego. Kościół żyje swojem własnem życiem, w które nie może wchodzić życie narodowe.

„Kościół katolicki w Anglii czerpie swoją niepodległość i cudowną siłę w trzech wiekowych prześladowaniach i uciskach. O ile nam ta niezawisłość jest drogą, można powziąść miarę z oburzenia, jakie powstało w Irlandyi skoro się dowiedziano, że rząd czyni pokątne zabiegi co do nominacyi arcybiskupa Dublińskiego. Od katolickiego ludu w Irlandyi któż wymagać może szczerej przychylności dla stronnictwa oranżystów, zamku Dublińskiego (Dublin Caske), albo dla angielskiego rządu, który przez trzy wieki prześladował, rabował i uciskał ten lud. Niesnaski plemienne wyradzały się w walkę religijną, a chociaż od pięćdziesięciu lat prześladowcze prawa zniesione zostały, pamięć ich pozostała w sercach ludzi tak żywą, że stulecia zatrzeć jej nie mogą.

„Nie ma miasta w Irlandyi, nie ma parafii, nie ma rodziny z którąby się nie wiązało wspomnienie gwałtów ucisku i nieszczęść. Jakaż tu może być przychylność?

„W Anglii lepiej może trochę rzeczy stoją lecz i tam katolicy po większej części są pochodzenia irlandzkiego. Pomimo jednak tego wszystkiego, każdy katolik obowiązany jest do okazania dobrej woli władzy świeckiecj, która ma Boski początek i Boską sankcyę. Te obowiązki są niezależne od historyi, nie mogą być zniesione (annihilowane) żadnemi wspomnieniami, jeżeli tylko teraźniejsze czynności tego rządu nie są przeciwne Bogu i kościołowi. Poganin powiedzieć może: *omnes omnium charitates una vox: „patria“ complectitur* — chrześcijanin zaś winien kochać swój kraj nietylko miłością wynikającą z naturalnego porządku, lecz nadto miłością ugruntowaną na wierze. Kraj i rodzina winny być przedmiotem miłości dla katolickiego serca. Każdy człowiek ma obowiązek poświęcenia sił swoich i służenia krajowi, w którym się urodził. Chronologicznie biorąc rzeczy — obowiązki obywatelskie poprzedzają obowiązki chrześcijańskie, w tem też znaczeniu możemy się poczytywać pierwej za obywateli jak za chrześcijan; lecz ponieważ obowiązki chrześcijanina są wyższej miary, musimy więc być najprzód katolikami a potem dopiero Anglikami. Zresztą, to porównanie jest tylko grą słów, gdyż obowiązki przyrodzone nie sprzeciwiają się obowiązkom względem

Boga, jedne i drugie od jednego Prawodawcy pochodzą. Jednakże, jeżeli się zdarzy, iż obowiązki przyrodzone staną w sprzeczności z obowiązkami względem Boga, wówczas tym ostatnim należy się pierwszeństwo. Kochać rodzinę jest prawem naturalnem, lecz opuścić ją dla wiary — jest prawem Boskiem. Naturalnem też jest obowiązkiem, powolnym być prawom państwowym, lecz jeżeli te prawu sprzeciwiają się prawom Boskim, wówczas „więcej trzeba słuchać Boga a niż ludzi". Powinniśmy więc najpierw być katolikami a następnie dopiero obywatelami".

Drugi ustęp jest poglądem na stan chrześcijaństwa w Anglii. Kardynał stwierdza, że naród angielski, jakkolwiek jest protestanckim, głębobo jednak pozostał religijnym i chrześcijańskim; kościół nawet anglikański tak wrogo usposobiony dla katolicyzmu, od czasu jako radykalizm począł burzyć podwaliny chrześcijaństwa, na całkiem inną wszedł drogę. To jest powodem dla którego arcybiskup Westminsterski ogłasza się przeciwnikiem zniesienia kościoła panującego w Anglii (Disestablishment). Zniesienie kościoła anglikańskiego w Irlandyi jest słusznem zadośćuczynieniem krzywd popełnionych; katolicy są tam w większości i mogą łatwo się oprzeć wpływom przewrotu — nie tak się rzecz ma w Anglii. „Gdyby Kościół katolicki mógł pozyskać miliony protestanckiej ludności, dziś po kraju rozsypanej, każdy katolik powinienby prosić Boga, aby najprędzej spełnił tę łaskę, lecz łączyć się z polityczną agitacyą, z tłumami złowrogo usposobionymi względem chrześcijańskiej wiary, mało wierzącymi a częstokroć nie wierzącymi wcale w żadną z objawionych prawd, jest to rewolucyjna czynność czyhająca na zagładę resztek pozostałej wiary chrześcijańskiej w ludziach, wiary, której nie bylibyśmy w stanie utrzymać, zważywszy na naszą małą przewagę liczebną i szczupłość materyalnych środków.

„Panujący kościół utrzymuje elementarne szkoły z wykładem katechizmu, i tę tradycyę chrześcijańską, która chociaż w wielu względach skrzywiona, zawsze ma charakter wychowania chrześcijańskiego, nie godzi się zatem przeciwstawiać środków rewolucyjnych mających na celu zburzenie tych pamiątek przeszłości. Trzysta lat temu tradycye te chrześcijańskie burzyli Cranmer, Ridley i Knox; nie należy zatem katolikom angielskim przykładać ręki do tego dzieła zniszczenia".

W następnym ustępie rozbiera Kardynał pojęcia angielskie konserwatyzmu i liberalizmu. Katolicy z zasady winni być konserwatystami, to jest, zachowywać stare d o b r e prawa i stare d o b r e zwyczaje, lecz nie mogą i nie powinni zachowywać tych, które są pozostałościami czasów barbarzyńskich. „Jeszcze raz, pisze on, powtórzyć zmuszeni jesteśmy, że obowiązkiem każdego katolika jest popieranie praw, przez które dobroczynny wpływ prawodawstwa wcisnąć się może pod najuboższą strzechę. Dobro ludu jest najwznioślejszem prawem, żadne niesprawiedliwe prawo nie może być popularnem. Prawodawstwo nadające przywileje bądź warstwom, bądź osobistym interesom poprzedza zwykle rewolucyą.

„Byliśmy nieraz w przededniu rewolucyi skoro słuszne żądania i sprawiedliwości były zakwestyonowane, lecz na szczęście zawsze potok rozszerzał swoje koryto nie rwąc brzegów i nie wylewając z nich. W tem też znaczeniu prawodawstwo powinno być popularnem a katolik nie powinien obawiać się liberalności jako dwuznacznika. Liberalizm znoszący poddaństwo, dający wolność katolikom, reformujący parlament, obalający zbożowe prawa, i dający możność wszystkim klasom ludności wychowywania swoich dzieci w zasadach wolności sumienia, ostatecznie nadający dzierżawcom prawo wyboru, to prawdziwy angielski i katolicki liberalizm; liberalizm zaś z 1788 r. lub z 1830, Gambetty, Juliusza Ferry, Pawła Berta i Clemenceau, to francuski liberalizm, uciskający wolność sumienia wszystkich tych, którzy nie są bezwyznaniowymi, burzący chrześcijaństwo wielkiego francuskiego narodu. Od takiego liberalizmu powinnością jest każdego katolika swój kraj bronić chociażby osobistemi ofiarami.

„Pierwszy krok fałszywego tego liberalizmu na angielskiej ziemi dostrzegliśmy w u s t a w i e w y c h o w a w c z e j z 1870. Ci, którzy przyłożyli rękę do wprowadzenia tej ustawy, wprowadzili ją bezwiednie, nie mając zamiaru rozpowszechniania w Anglii najgorszych zasad francuskiej rewolucyi, mianowicie zaś: 1. zaprowadzenia szkół bezwyznaniowych, 2. przyjęcia za zasadę, że dzieci ludu są dziećmi rządu, a stąd rząd jest naturalnym wychowawcą dzieci ludu.

„Te dwie zasady sprzeciwiają się przekonaniom większości narodu w Anglii, Szkocyi i Irlandyi“.

Dla wyjaśnienia sprawy należy kilka słów powiedzieć o systemie szkół elementarnych w Anglii.

Do roku 1870 szkoły elementarne w Anglii były konfesyjne i wolne (Voluntary schools). Te szkoły były założone i utrzymywane kosztem odnośnych Stowarzyszeń. Katolicy mieli swoje osobne szkoły, protestanci swoje. Koszta utrzymania ponosili rodzice posyłający dzieci do szkoły, nadto rząd dawał wsparcie, 16 szylingów $7^1/_2$ penów na dziecko; szkół takich było 8000, do których uczęszczało 1,700.000 dzieci. Ta liczba szkół na Anglię nie była dostateczną, stwierdzono iż około miliona dzieci do szkół nie uczęszcza — to było powodem bilu: *Education Act* z r. 1870 i zaprowadzenia szkół zwanych *Board schools*.

Te nowe szkoły różnią się od dawniej zaprowadzonych, które istnieć nie przestały, tem, że nauka religii nie jest objęta programem, a nadto koszta urządzenia i utrzymania, bardzo wysokie, pokrywają się podatkiem nałożonym na gminę. Stąd rodzice posyłający swe dzieci do szkół wolnych (Voluntary) muszą nietylko płacić składkę do tych szkół, lecz nadto płacić podatek na szkoły rządowe (Board), z których nie korzystają. Tak katolicy jak i protestanci domagają się zniesienia tej niesprawiedliwości, i dlatego kardynał Maning główny nacisk kładzie na ten punkt. „Ze wszystkich jednak naszych potrzeb, pisze on, najgwałtowniejszą jest kwestya edukacyjna. Wszyscy ci, którzy wierzą, że dzieci ludu są dziećmi rządowemi, krajowemi, będą staczać zacięte walki, przyznając rządowi prawo wychowania, a to jedynie w celu, by wykształcenie nie było chrześcijańskie. Lecz ci, którzy wierzą, że władza Kościoła i rodziców od Boga pochodzi, że dzieci chrześcijańskie tej podwójnej opiece są oddane przez prawo ludzkie i boskie, i tylko w chrześcijańskich szkołach powinny być wychowywane, wszyscy ci przy nadchodzących parlamentarnych wyborach powinni postawić kandydatom dwa następne pytania:

„1. Czy chcesz starać się aby ludowe szkoły (Voluntary schools) postawione były na jednej stopie z rządowemi (Board schools)?

„2. Czy chcesz najusilniej się starać o naznaczenie królewskiej komisyi, któraby przejrzała stan wychowania w Anglii i Walii, mianowicie Akt z 1870 r. i jego zastosowania w rządowych szkołach (Board schools)?

Na tem kończy kardynał Maning swój artykuł, lecz sprawa wychowania tak jest ważną, iż cały Episkopat angielski uważał za stosowne wydać odezwę do katolików angielskich. Dnia 31 paźdz. r. b. ogłoszono tak zwaną *resolution*, podpisaną przez 14 biskupów z arcybiskupem na czele. Dostojnicy Kościoła w imieniu prawa Bożego i prawdziwej wolności, występują przeciw uroszczeniom skrajnych liberałów znoszących powagę Kościoła w nauczaniu i naruszających święty obowiązek rodziców względem wychowania dzieci; występują mianowicie przeciw ich formułce, iż wychowanie ma być „powszechne, świeckie tj. bezwyznaniowe, przymusowe i bezpłatne“. Zasada ich sprzeciwia się tak prawu przyrodzonemu jak i boskiemu, sprzeciwia się wolności sumienia i wszelkiej sprawiedliwości. Protestują przeciw dzisiejszemu systemowi szkół rządowych (Board schools) dążącemu do zniesienia szkół wolnych, i zalecają wiernym głosowanie na tych kandydatów, którzy są za wolnością w nauczaniu. A ponieważ dzisiejsi konserwatyści angielscy w swych mowach przedwyborczych wygłosili toż samo zapatrywanie, głosy zatem katolików będą po ich stronie, i tym sposobem zwiększa się prawdopodobieństwo utrzymania tego stronnictwa przy władzy.

W.

Korespondencya Redakcyi.

Od Redakcyi Misyj katolickich otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo! W październikowym zeszycie *Przeglądu polskiego* znajduje się krótka recenzya pamiętnika missyjnego, wydanego jako przedruk z *Missyj katolickich*, pod tyt.: *Wyprawy missyjne do krajów Zambezy*. Należy się z naszej strony odpowiedź szanownemu recenzentowi, nie z powodu uczynionych nam ogólnikowych zarzutów, o których chętnie każdemu sąd zostawiamy, ale dla wyjaśnienia pewnej praktycznej kwestyi, poruszonej w jego piśmie. A że Redakcya *Przeglądu polskiego* odmówiła przyjęcia tej odpowiedzi, proszę Was o zamieszczenie takowej:

Szanowny recenzant F. C., wymieniając powody, dla których zawiedzioną została jego ciekawość, z jaką wziął się do czytania wymienionego dziełka, szczególny kładzie nacisk na naszą dowolność w pisaniu nazwisk geograficznych. Nie wymienił żadnej z tych reguł, o których twierdzi, że powszechnie obowiązują; o ile jednak wnosić można z przytoczonych przykładów, chce powiedzieć, że nie wolno spolszczać nazw geograficznych, ale że powinno się pisać takowe w sposób powszechnie przyjęty.

Na to nie możemy się pisać żadną miarą. Takiego sposobu powszechnie

przyjętego nie ma. Najlepszy dowód stanowią atlasy geograficzne, wydawane w różnych językach. Inaczej pisze te nazwy Anglik, inaczej Francuz, inaczej Niemiec.

Prawda, jest u nas jedna, jako tako ustalona zasada: z wyjątkiem niektórych celniejszych nazw, jak Wiedeń, Paryż, i t. d., piszemy zwykle nazwy ludów europejskiego pochodzenia według ich własnej pisowni. Piszemy Besançon, Bordeaux, Tromsöe (w Szwecyi), Wintschgau, Schneidemühl, i t. d., a piszemy tak, bądź dla wygody, bądź dla uszanowania pisowni ucywilizowanych krajów, chociaż nie doznajemy wcale wzajemności, bo cudzoziemcy piszą nasze miasta polskie po swojemu, jak: Covno, Jitomir Kieff, Tschenstohowa, i t. d.

Ale co do nazw krajów, nie mówię już barbarzyńskich, lecz dalekich, zamorskich, obcego nam pochodzenia, jak Chiny, Japonija, Afryka, to już niepodobna trzymać się tej zasady. Nazwy, jakie sobie urobili mieszkańcy owych krajów, odtwarza każdy naród, według swoich odrębnych form językowych. Dowodem najlepszym właśnie są mapy i dzieła geograficzne, wydawane w różnych językach. Aby tylko na kilku przykładach poprzestać, wymieniam tu następujące nazwy z ich odmianami w pisowni:

po niemiecku	*po francusku*	*po angielsku*	*po polsku* piszemy:
Schang-haj	*Chang-haï*	*Shang-hai*	*Szang-haj*
Mandschurei	*Mandchourie*	. . . . .	*Mandżurya*
Kwei-tscheu	*Kouy-tchéou*	*Kuei-chou*	*Kuj-czeu*
Luzon	*Luçon*	. . . . .	*Luzon*
Chartum	*Khartoum*	*Chartum i Khartum*	*Chartum*
Gebel	*Djébel i Gebel*	*Djebel i Gebel*	*Dżebel*
Kambodscha	*Cambodge*	*Cambodia*	*Kambodża*

I nie dziw, krajowcy bowiem sami stanowią o nazwie tych miejcowości, a każdy z naszych narodów chwyta ich brzmienia, oddaje takowe swoim sposobem, i o to się głównie stara, aby cały ustrój wyrazu o ile możności odpowiadał duchowi jego języka. Ztąd też uwzględnia wymagania swojej mowy ojczystej, tak w urabianiu samego rdzenia wyrazu, jak i w naginaniu jego zmian końcowych, jeźli tego potrzeba.

Ależ właśnie najwięcej podobno chodzi recenzentowi o te zmiany końcowe, jak to widać z przytoczonych przykładów. Według niego, zdaje się, nie wolno nic zmieniać w końcówkach. Zdanie to nie wytrzyma krytyki.

Chcieć ograniczać się na brzmieniach rdzennych, bez odpowiedniej modyfikacyi końcówek, znaczyłoby tylko robić sobie niepotrzebny kłopot w odmianach (deklinacyi), i zapoznawać zupełnie żywotność języka naszego, który właśnie końcowemi zmianami lubi nadawać obcym wyrazom swoje własne piętno, i ma w tym względzie siłę assymilacyjną, jakiej nie posiada może żaden inny nie słowiański język.

Patrzmy teraz na przytoczone przykłady. Pisze szanowny recenzent:

„Takie nazwy, jak Zambeza zamiast Zambezi, Oranija zamiast Oranije, „Dahomeja zamiast Dahome, mucha *cece* zamiast tsetse, Buszmen zamiast „Buszman, Umzila figurujący także jako Umzilas i Umzili, Kiliman zamiast „Quilimane, są krzyczącym błędem w obec obowiązujących reguł pisowni nazw „geograficznych".

Szanowny recenzent jest zbyt stanowczy w swych twierdzeniach. W nie-

mieckich, francuzkich i angielskich dziełach rozmaite są formy wymienionych nazwisk. Znaleść tam można Sambesi[1] Zambezi[2], Zambeze[3], Zambese[4], le Zambèze (Bas-Zambèze)[5], Znika więc wyłączność wyrazu Zambezi, a lekkie spolszczenie nasze, w obec nieustalonej jeszcze jego pisowni, nie jest wcale krzyczącym jakimś błędem.

Nie chcemy się spierać co do Quilimane, zwane może jeszcze częściej Quolimane, a powiemy tylko, że litera *q* zdaje *nam się anomalią w polskim* języku. Co nas jednak najwięcej zadziwia, to zarzut co do słowa *cece*. Obcokrajowcy nie mając litery na oddanie brzmienia naszego *c*, które słyszeli w ustach Kafrów, użyli na to dwóch liter, *ts*. My mamy właśnie taką literę — dlaczegóż nie mielibyśmy robić z niej właściwego użytku? Francuzi słysząc na Madagaskarze nazwy miejscowości *Becyleo, Fażankana, Mananżari*, wyrazili je po swojemu: Betsileo, Fajankana, Mananjari. Mamyż pisać je tak samo, i ze względu na Francuzów zrzekać się korzyści naszego alfabetu? A cóż powie na to P. Małecki, który co do obcych wyrazów stawia prawidło, że pisownia nasza powinna się według możności zbliżać do ich wymawiania rzeczywistego?

Prawda, byłoby to bardzo pożądaną rzeczą, gdybyśmy mieli ustalone reguły pisowni obcych wyrazów. Do tego dążą właśnie uczeni innych krajów, jak np. Francyi, gdzie niedawno wyszło dziełko w tym przedmiocie p. t. *La transcription et la prononciation des noms géographiques étrangers, p. Ed. de Luze* (Paris Ern. Leroux 1883).

Ale dla nas jestto jeszcze rzecz zbytkowna. Nie zaspokoiliśmy dotąd najzwyczajniejszych potrzeb naszej pisowni polskiej. Skoro to nastąpi, możemy wtedy myśleć o tem, co na teraz wydaje się zbytkiem. Może szanowna Akademia Umiejętności, jak się tego spodziewamy, dokona wreszcie ustawodawstwa ortograficznego, a my pewnie będziemy pierwszymi w poddaniu się jej uchwałom.

W dodatku muszę jeszcze wspomnieć o jednem wyrażeniu szanownego recenzenta, które nas w uczuciach katolickich niemile dotknęło. Missyonarzy katolickich stawia on na równi z wysłannikami sekt heretyckich i przypisuje tymże *zasługę apostolstwa*. Nie podkładam tym słowom żadnego zamiaru, zwracam tylko uwagę, że są niewłaściwe, gdyż po za Kościołem może być misya humanitarna, ale apostolstwo może być tylko w Kościele katolickim, któremu Chrystus dał posłannictwo: *Euntes docete omnes gentes*. Proszę przyjąć wyrazy...

Ks. Józef Hołubowicz T. J.

Red. „Missyj Katolickich".

---

[1] Niemieckie wydawnictwo *Missyj katolickich*. Rund um Afrika von Spillmann.

[2] Proceedings of the royal geographical saciety. Vol. VI. 1884. str. 56.

[3] Zambeze und Schire, Neue portugiesische Aufnahmen am unteren Zambeze, redigirt von Kiepert. Berlin 1883. Zeitschr. d. Gesellsch. f. Erdkunde. Proceedings of the royal geographical society. Vol. V. 1883 str. 309.

[4] Précis historiques. Juill. 1885 (p. 332).

[5] Annales de la propagation de la foi. — Missions catholiques.

Druk ukończony dnia 28 listopada 1885.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

	Stronnica.
Słowo prawdy, przez *ks. M. Morawskiego T. J.* . .	1
Emigracya naszych włościan, (dokończenie)	42
Między banicyą pruską a rewolucyą rumelską, przez *ks. M. Morawskiego T. J.*	Dodat. I
Encyklika Leona XIII. i liberalizm, przez *ks. Morawskiego T. J.*	„ IX

Artykuły naukowe i literackie.

Związek moralności z religią w pogańskiej starożytności, przez *Lud. Żychlińskiego*	20
Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów, przez *X. Antoniego Langera* (ciąg dalszy) . . .	364
Walka o bóstwo chrystusowe w v. wieku, przez *ks. J. Badeniego T. J.*	163, 349
Darwinizm w obec rozumu i nauki, przez *ks. Władysława Zaborskiego T. J.* (dokończenie)	221, 407
Z ukrainy połabskiej, przez *Jana Grzegorzewskeego* .	186, 387
Reforma muzyki kościelnej w xix. wieku	372
Szujski jako poeta, przez *Ludwika hr. Dębickiego* .	329
Z listów Bronisława Zaleskiego	81, 206
Korespondencya poufna ex agenta dyplomatycznego z damą dworu, i wyjątki z jej dziennika z roku 1813—1819	242

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Stronnica.

Postęp i szczęście i przewroty społeczne, przez *Wład. Dębickiego*. Warszawa 1885 99

Ueber die historische bedeutung des basilianerordens in Galizien und seine gegenwärtigen Verhältnisse, v. *I. Iwanowicz*. Leipzig 1885 (*ks. St. Załęski T. J.*) 106

Pozytywizm warszawski i jego główni przedstawiciele, p. *Teodora Jeske-Choińskiego*. Warszawa 1885 111

Kilka uwag nastręczonych dziełem ks. Maryana Morawskiego p. t.: „Filozofia i jej zadanie", przedstawił *Józef Billewicz*. Warszawa 1884 113

Herder jako pedagog, napisał *Dr. Fr. J. Albert Zipper*. Lwów 1885. Odbitka z „Programu szkolnego" 113

Wspomnienie o dziejach wiary św. rz. kat. w Rydze. Parafianom ryzkim w krótkich słowach opowiedział *ks. Jan J...* Ryga 1885 114

Pogląd na smutne i groźne położenie państw i ludów pod względem religijno-moralno-społecznym w wieku obecnym i na środki polepszenia onego, skreślił *ks. Licencyat Seweryn Paszkowski*. Kraków 1885 115

Leon XIII. w obec nauki i cywilizacyi, napisał *St. Smolka* . 258

Wiara Słowian, przez *Romualda Świerzbieńskiego*, kandydata praw, Dra medycyny. Warszawa 1884. str. 111 (*A. H. Kirkor*) 260

Historya reformacyi XVI wieku, nap. Dr. J. H. Merle d'Aubigné, z franc. przełożył *J. Pindor*, tom I. Cieszyn. . . . 270

Sprawozdanie komisyi językowej Akademii Umiejętności T. III. W Krakowie (*Sz. Matusiak*). 272, 437

Bułgarya i jej przeszłość dziejowa, przez *ks. J. Hołubowicza* . 276

Synody prowincyonalne, oraz czynności niektórych funkcyonaryuszów apostolskich w Polsce do r. 1357, przez *ks. Dra Tad. Gromnickiego*, prof. Uniw. Jag. (*ks. I. Polkowski*) . 430

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Z nowszej poezyi włoskiej 115

Le déluge biblique devant la foi, l'ecriture et la science, przez *ks. Aleks. Motais*, Oratoryanina z Rennes, Paryż 1885 . . 123

Voyage de la Véga par *A. Nordenskiöld* 124

Cursus scripturae sacrae, auctoribus *R. Cornely, J. Knabenbauer, F. de Hummelauer aliisque Soc. Jesu presbyteris*. Vol. I. Introductio generalis, (*ks. A. Arndt*) 277, 441

Monographie du Temple de Salomon, par le P Pailloux S. J. 285

Katholischer Missions-Atlas. Neunzehn Karten in Farbendruck mit begleitenden Text, von *O. Werner S. J.* Zweite verbesserte Auflage. Freiburg in Breisgau, 1885 286

Z literatury rosyjskiej: Historya Rossyi, praca *Dymitra Iłowajskiego*. Okres moskiewsko-litewski, czyli zjednoczyciele Rusi. — Rosyjska biblioteka historyczna, wydawana przez *Komisyę archeograficzną*. T. VIII. — Przeszłość rodzinna (Rodnaja Starina). Historya ojczysta w opowiadaniach i obrazach. (Wiek XVII.) ułożył *W. D. Sipkowskij*. — Archiwum Sulimowskie. Papiery familijne rodzin ruskich: Sulimów, Skorupów i Wojciechowiczów, odnoszące się do w. XVII. i XVIII. — Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Inflantach. Petersburg 1884, przez

Stronnica.

Truwnana. — WALKA O PANOWANIE NA MORZU BAŁTYCKIEM w w. XV. i XVI. przez *Forstena.* — HISTORYA UNIWERSYTETU ŚW. WŁODZIMIERZA, ułożył prof. *M. Władimirskij-Budanow.* Tom I. Uniwersytet św. Włodzimierza pod panowaniem cesarza Mikołaja I. *(A. Sulima)* 449

Z pism peryodycznych:

VI. MUZEUM, czasopismo „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych", *(Dr. K. Petelenz)* 287

Rozmaitości:

Nowe książki. — Wzrost zbrodni w stosunku do walki religijnej w Niemczech (z „Kurvera Poznańskiego") 127
Pamiętna odpowiedź Rządu Pruskiego. — Otwarty konkurs przeciw Jansenowi. — Nowe książki 296
Wydanie zbiorowe dzieł Józefa Szujskiego *(ks. St. Załęski).* — Najnowsze płody literatury religijnej 454

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Październik.

TRZYDZIESTY DRUGI KONGRES niemieckich katolików w Monasterze 132
OGÓLNY WIEC KATOLIKÓW W GLIWICACH 144
WYKOPALISKA W OJCOWIE 148
POSTĘP KATOLICYZMU W ANGLII 155

Listopad.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Pośrednictwo Papieża. — Zapatrywania różnych sfer na tę sprawę. — Stosunek Francyi do Kościoła. — Katolicka sprawa w Niemczech. — Salisbury o wychowaniu chrześcijańskiem 300
Z POZNANIA. Jeszcze o wydalaniach 304
Z REPUBLIK AMERYKI POŁUDNIOWEJ. Rzut oka na rzeczypospolite Ameryki południowej. — Kulturkampf w Argentynie — Wypędzenie Delegata apostolskiego Matera. — Prześladowanie religii i zakonów w Urugwaju. — Kongres katolicki a działanie wolnomularzy w Chili. — Reforma konstytucyi. — Wojna domowa w Peru. — Skutki encykliki: *Humanum genus.* — Szereg rewolucyj w Ekwadorze. Katolicki dekret rządu prowizorycznego — Rozprawy w parlamencie o wystawienie bazyliki Najśw. Serca Jezusowego. — Prezydent Caamano. List Rektora uniwersytetu z Quito do Papieża. — List Prezydenta Rady miejskiej do Arcybiskupa z Quito. — Memoryał IV. synodu prowincyonalnego w kwestyi dziesięcin — Rozwój prasy katolickiej. — Sprawa Santos'a — Stosunek Stanów Zjednoczonych do rzeczypospolitych Ameryki południowej 309
SCHRONISKO KS. LUBOMIRSKIEGO i zakłady księdza Dom Bosco, przez *ks. M. Morawskiego T. J.* 321

Grudzień.

Stronnica.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Encyklika. — Głosy prasy liberalnej i gazet włoskich. — Stronnictwo konserwatywne we Francyi. — *Union catholique.* — Odwołanie p. de Mun i *Univers'a.*— Zbliżenie Watykanu z Chinami. — Rzezie katolików na Wschodzie. — List Ojca św. do cesarza Japońskiego. — Sprawa misyj katolickich w Kamerunie. — Wybory w Prusiech. — List pasterski biskupów angielskich 458

ELEMENTARNE SZKOŁY WIELKOPOLSKIE pod opieką pruską . . 463

LISTY Z NAD BALTYKU: Zamęt pojęć o kresach baltyckich. — Łotwa. — Litwa. — Prusowie. — Jadźwingowie. — Osadnicy niemieccy i *Fratres militiae Christi.* — Krzyżacy inflanccy. — Dalsze losy Łotyszów. — Dane statystyczne o nich. Przez *Gastawa Manteuffla* 475

Z POZNANIA: Wybory do sejmu pruskiego. — Nowy poseł. — Przyczyny niepomyślnych wyborów. — Nowe banicye i Hartmann. — Centrum. — List ks. kard. Ledóchowskiego. Rozwój prasy 480

Z ANGLII: Wybory do parlamentu i ich skutki. — Stanowisko katolików i ich duchowieństwa w obec wyborów. — Odezwa kard. Maninga. — Szkoły ludowe. — Odezwa całego Episkopatu 484

KORESPONDENCYA REDAKCYI 162, 490

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski. T. J.